

ALAN CAMPBELL

NOO BILIZN



CAMPBELL ALAN
Kodeks Deepgate #1 Noc blizn

ALAN CAMPBELL

Kodeks Deepgate: Tom I

Przełożyła Anna Reszka

**WYDAWNICTWO MAG WARSZAWA
2008**

Tytuł oryginału:

ScarNight

Copyright © 2006 by Alan Campbell

Copyright for the Polish translation © 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Joanna Figlewska

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki: Jarek Krawczyk

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-093-8

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082
Warszawa
tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

**Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z
o.o.**

**ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów
Maz.**

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa: drukarnia@dd-w.pl

*Mojemu ojcu,
który czasami drapał się po głowie,
słyszac o moich marzeniach i ambicjach,
ale nigdy mnie nie zawiódł i pomógł mi je spełnić.*

PODZIĘKOWANIA

Szczere podziękowania i wyrazy wdzięczności dla Simona Kavanagha, Petera Lavery'ego i Juliet Pulman, trójki ludzi o takim bogactwie talentów, że zastanawiam się, czy w puli genowej zostało coś dla reszty nas.

Susi Quinn za wyczerpującą krytykę i miliony nabożów do drukarki, które zużyła (kupię Ci nowe, przyrzekam). Justinowi Chisholmowi, Barnaby'emu Dellarowi i Jocelyn Ramsay, kolejnej trójce dobrych przyjaciół, którzy poświęcili mnóstwo czasu i atramentu, żeby udzielać mi rad.

Wielkie dzięki mojej grupie pisarskiej: Gavinowi Onglisowi, który pomógł mi zacząć tę historię, i Martinowi Page'owi za wiedzę na temat starej broni i dziwaczne czasowniki, które mu buchnąłem. A także Stefanowi Pearsonowi, Andrew J. Wilsonowi, Hannu Rajaniemi, Charliemu Strossowi, Andrew C. Fergusonowi, Jackowi Deightonowi, Jane Makie i Guthriemu Stewardowi, wszystkim, od których dostałem zachętę i opinie.

Wyrazy wdzięczności dla miłych ludzi z Macmillana za ciężką pracę, między innymi: Rebecce Saunders, Liz Owen i Jonowi Mitchellowi. Jeśli nic wspomniałem o tobie, to tylko dlatego, że byłem w euforii, kiedy się spotkaliśmy.

Pozdrowienia dla Olivera Cheethama i Dagmar Tatarczyk za świetne wideo i dla Breta, właściciela Welsh Nun Pub w Koh Chang za pogawędki i robotę dentystyczną.

I wyrazy miłości dla Carach. Bez Twojego wsparcia ta strona i następne prawdopodobnie byłyby puste.

PROLOG

Podwórzec za zdewastowaną odlewnią armat w Applecross opasywała płatanina łańcuchów. Połączone ze sobą jak w łamigłówce szaleńca, rozchodziły się promieniście pod wszelkimi kątami, przymocowane do murów zardzewiałymi hakami i sworzniami. Pośrodku dziedzińca stała omotana nimi wieża strażnicza Barraby. Z jej zrujnowanego wierzchołka unosił się dym i płynął na zachód, nad miasto śpiące pod milionem zimowych gwiazd.

Prezbiter Scrimlock przedzierał się przez łańcuchy, sapiąc i dysząc. Jego lampa się kołysała, obijała o ogniwa, spoiny i Bóg wie co jeszcze, rysowała na połyskliwym bruku siatkę pęknięć. Gdy kapłan podnosił wzrok, widział kwadraty i trójkąty wypełnione gwiazdami, jego sandały ślizgały się, jakby szedł po stopionym szkłe. Gdy parę razy niechcący dotknął łańcuchów, stwierdził, że są mokre. Kiedy wreszcie dotarł do adepta Spine, czekającego nań przy drzwiach wieży, zrozumiał skąd ta wilgoć.

--Krew -- wyszeptał przerażony i zaczął gorączkowo wycierać ręce o sutannę. Na próżno. Adept Spine, który miał tak napiętą skórę, że wyglądał jak trup, popatrzył na prezbitera oczami całkowicie pozbawionymi życia.

--To z zabitych -- wyjaśnił niepotrzebnie. -- Zrzuca ich z wieży. Nie może ścierpieć, gdy dostają się do środka. -- Wskazał głową w bok.

Pod łańcuchami piętrzył się bezładny stos ciał Spine. Ich skórzane zbroje lśniły.

--Niech Ulcis się nad nimi ulituje -- wymamrotał Scrimlock. -- Ilu już zabiła?

--Jedenastu.

Prezbiter wziął głęboki wdech. Noc smakowała wilgocią i rdzą, jak powietrze w lochu.

--Tylko pogarszacie sprawę -- stwierdził z wyrzutem. -- Nie rozumiecie, że podsycacie jej wściekłość.

--Zraniliśmy ją -- powiedział adept z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i położył dłoń na zasuwie, jakby chciał ją wzmocnić.

--Co? -- Serce prezbitera podskoczyło. -- Jest ranna? Jak to...?

--Szybko dochodzi do siebie. -- Adept spojrzał w górę. -- Musimy się pospieszyć. Scrimlock poszedł za jego wzrokiem, ale przez chwilę nie był pewien, na co

właściwie adept patrzy. Potem, na tle jaśniejszego nieba dostrzegł sylwetki, drobne figurki wspinające się po łańcuchach, szybko i cicho, ku jedynej oknu wieży. Tylu Spine jednocześnie prezbiter jeszcze nigdy nie widział. Musiało ich być pięćdziesięciu, sześćdziesięciu. Jak to możliwe, że wcześniej ich nie zauważył?

--Wszyscy adepci odpowiedzieli na wezwanie.

--Wszyscy? -- powtórzył Scrimlock, ścisząc głos. -- To szaleństwo! Jeśli ona ucieknie... -- Zaczął wykręcać sobie palce. Kościół nie mógł się zgodzić na utratę tylu asasynów.

--Nie może uciec. Okno jest za wąskie dla jej skrzydeł, wejście na dach zagruzowane, wrota zabarykadowane.

Scrimlock popatrzył na drzwi wieży. Żelazna sztaba wyglądała na dostatecznie solidną, żeby zatrzymać armię. Ale ten widok nie do końca go uspokoił. Prezbiter spojrzał w oczy adepta, szukając w nich zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, ale oczywiście nic w nich nie znalazł. Oprócz całkowitej pustki, która przejęła go do szpiku kości. Naprawdę ją ranili? Co z tego wyniknie dla Kościoła? W jaki sposób ona się zemści? Niech Bóg mu dopomoże, tego już za wiele.

--Nie poblogosławię ich -- oświadczył, wskazując na stos trupów i krew płynącą po kamieniach. -- Ulcis nie przyjmie otwartych ciał. Wszyscy oni będą potępieni.

--Przybyły posiłki.

--Oni też zginą! -- nucił gniewnie prezbiter, ale sam usłyszał, że jego głosowi brakuje przekonania. Udało się im ją zranić. Przez tysiąc lat nikt tego nie dokonał.

--Ofiary są nieuniknione.

--Ofiary? Spójrz na tę krew! -- Scrimlock uniósł sutannę i zrobił krok do tyłu, opuszczając czerwoną sadzawkę. -- Piekło przyjdzie po tę krew, po te zmarnowane dusze. Ten dziedziniec jest przeklęty! Zło zagnieździ się tutaj na wieki. Nawet stu kapłanów nie zdoła przepędzić cienia Irilu z tych kamieni. Niczego nie da się uratować. Niczego.

Prezbiter sam nie wiedział, co przeraża go bardziej: świadomość, że ich Pan, bóg łańcuchów Ulcis, zostanie pozbawiony dusz tylu najlepszych asasynów Kościoła, czy piekło czające się w pobliżu. Było powiedziane, że Labirynt otwiera drzwi do tego świata, żeby zabrać dusze z przelanej krwi. Scrimlock gorączkowo przeszukał

wzrokiem otaczającą go ciemność. A jeśli piekło już tu jest? I dusze zabitych właśnie w tej chwili przechodzą przez niewidoczną bramę do niekończących się korytarzy Irilu? Jeśli tak, to co może przez nią przejść w drugą stronę? Co może stamtąd uciec?

--Natychniast zakończcie polowanie -- polecił. -- To zbyt niebezpieczne. Niech ucieka.

--Chcesz, panie, żeby przeżyła? -- zapytał adept.

--Nie. Ja... -- Prezbiter poczuł, że coś dotyka jego ramienia, i odwrócił się gwałtownie. Łańcuch. -- Chcę jedynie ratować Spine -- wykrztusił, trzymając się za pierś. -- Ściągnij z powrotem swoich ludzi, nim będzie za późno.

Na gorze ktoś ryknął śmiechem.

--Posiłki dotarły do okna -- oznajmił adept.

Scrimlock uniósł głowę. Z poszarpanego dachu wieży wzbijał się dym i rozchodził jak smar, zasłaniając gwiazdy. Kamiennie sokoły i blanki zawały się do środka, dokładnie tak, jak obiecali saperzy. Gruz zatarasował wejście na dach, uniemożliwiając ucieczkę. W powietrzu unosił się zapach siarki. Do okna znajdującego się pośrodku wieży właśnie wciskał się pierwszy z asasynów.

Rozległ się głośny szczełk miecza.

Scrimlock oblizal suche wargi.

--Niech Bóg nam dopomoże, ona jest uzbrojona. Broni się stalą -- powiedział wstrząśnięty.

--Nie -- odparł adept. -- Klatki schodowe i korytarze Barraby są wąskie. Walka w takich warunkach jest zdradliwa. To tylko nóż Spine uderzył o kamień. Ona jest nieuzbrojona.

--Nie rozumiem. -- Kapłan znowu zerknął na stos trupów. -- W środku musi być jakaś porzucona broń. Na pewno wszystkim nie zabraliście. Dlaczego ona jej nie weźmie?

Krzyk... a po nim przerażający śmiech. Scrimlocka ogarnęły mdłości. Zarówno wrzask, jak i rechot pochodziły jakby z tego samego gardła.

--Uważamy, że ona chce zostać pokonana -- stwierdził asasyn.

--Ale to nie ma sensu. Ona...

Hałas dobiegający z góry przyciągnął uwagę prezbitera. Scrimlock zadarł głowę w samą

porę, żeby zobaczyć człowieka wylatującego przez wąskie okno wieży. Gdy nieszczęśnik upadł na łańcuch, rozległ się trzask kości. Przez chwilę wisiał bezwładnie jak szmaciana lalka, z nogami i rękami zaplecionymi wokół masywnych ogniów. Potem

zsunął się na niższe łańcuchy, odbił od nich i w końcu runął na ziemię. Żelazne pręśła napięły się i zadrżały. Tymczasem pod okno wieży dotarli czterej kolejni Spine i przywarli do haków i sworzni w murze. Inni wspinali się ich śladem. Najbliższy celu asasyn, szczupły mężczyzna, wcisnął się do środka, trzymając miecz w pogotowiu. Chwilę później zawołał z góry:

--Jest ranna!...

Wycie wściekłości i udręki przeszło serce Scrimlocka. Następnie rozbrzmiał szloch, jakby płakało przerażone dziecko, a potem piekielny wrzask. Przez okno wypadło połamane, zakrwawione ciało asasyna i przeleciało w dół dwanaście stóp, aż zahaczyło o jeden ze sworzni sterzących z muru.

Trzeci Spine zajrzał przez okno do wieży i krzyknął:

--Schodzi!

--Co? -- Prezbiter Scrimlock cofnął się od drzwi. -- Musimy uciekać. Już, szybko... Jego sandały pośliznęły się na bruku zalanym krwią. Lampa zakolysała się i przygasła na chwilę. Zanim na nowo pojaśniała, kapłana otoczyły groźne cienie. W górze kolejni Spine wchodzili jeden za drugim przez okno. Trzech, sześciu, ośmiu.

--Teraz zginie -- oświadczył z przekonaniem adept.

Bum!

Coś w środku uderzyło w drzwi wieży z siłą tarana. Z grubych belek wzbił się kurz. Adept Spine zapał się o wrota.

--Odejdźmy! -- zawołał Scrimlock. -- Zostawmy ją, błagam. To jej noc.

--Jej ostatnia noc -- powiedział asasyn. Bum!

Sztaba podskoczyła. Drewno pękło i się rozłupało. Adept odsunął się, zebrał siły, po czym całym ciężarem podparł drzwi. Scrimlock rozejrzał się w poszukiwaniu najlepszej drogi ucieczki.

--Nie wytrzymają -- wydyszał. -- Ona...

W wieży zadźwięczała stal; wściekle, szybkie ciosy, jakby wprawny rzeźnik siekał mięso. Asasyni zdążyli zbiec po schodach i teraz znajdowali się po drugiej stronie drzwi. Rozległ się krzyk. Kolejne błyskawiczne uderzenia, brzęk ostrzy o kamień. Pod Scrimlockiem ugięły się nogi. Zatkanął uszy pięściami, opadł na kolana i zaczął się modlić.

--Panie nasz, Ulcisie, zakończ to, błagam cię. Niech twoi słudzy zwyciężą. -- Niech te drzwi wytrzymają. -- Uratuj ich dusze przed Labiryntem, uratuj nas wszystkich, uratuj mnie, oszczędź. Cisza.

--Już po wszystkim. -- Adept odsunął się od sztaby.

Bum!

Brama wieży eksplodowała na zewnątrz, grube belki rozpadły się jak zbutwiałe deski. Sztaba odpadła z jednej strony. Adept pofrunął w tył, prosto na łańcuch, ale pozbierał się błyskawicznie i ku zdumieniu prezbitera po chwili stał z wyciągniętym mieczem.

W miejscu, gdzie niedawno były wrota wieży, Scrimlock ujrzał ziejącą dziurę.

W otworze stała postać, ciemniejsza niż otaczające go cienie.

--Ona jest tutaj -- wyszeptał.

Anielka wyszła na dziedziniec, drobna, smukła, odziana w stare skóry poznaczone plamami pleśni. Za nią snuł się dym, czarny jak jej połyskujące skrzydła. Twarz była pokryta siecią blizn; tylu ran nie mogła odnieść w tej walce ze Spine ani w tysiącu wcześniejszych. Ręce, teraz zbryzgane krwią, też szpeciły niezliczone szramy. Spoglądała na nich oczyma o barwie burzowych chmur. W prostych, splątanych włosach miała kwiaty i wstążki. Najwyraźniej dbała o wygląd.

Była nieuzbrojona.

--Proszę -- powiedział Scrimlock, nadal klęcząc. Kącik pociętych bliznami ust drgnął.

--Biegnij -- szepnęła anielica.

Prezbiter wstał i rzucił się do ucieczki. Potykając się i klucząc między łańcuchami, przebierał ociężałymi nogami najszybciej jak potrafił. Tymczasem Spine o bladych twarzach pozbawionych wyrazu, z mieczami białymi w blasku gwiazd, bezszelestnie okrążali anielicę.

Scrimlock nie został, żeby być świadkiem rzezi. Uwolniwszy się z płataniny żelaza, biegł przed siebie, byle dalej od zgiełku bitwy, od wycia bólu i udręki, od diabelskiego śmiechu. Od Spine, którzy umierali, nie wydając żadnego dźwięku.

CZEŚĆ PIERWSZA KŁAMSTWA

Dwa tysiące lat później

ROZDZIAŁ 1 DILL

Gdy nadciągnął zmierzch, miasto Deepgate zawisło ciężko w łańcuchach. Rezydencje i kamienice czynszowe oklapły w zawilej żelaznej sieci lekko poskrzypujących alejek, dachy i kominy skłoniły się ku sobie. Łańcuchy naprężyły się i rozciągały wokół brukowanych ulic i wiszących ogrodów. Niszczące wieże pochylały się nad mrocznymi dziedzińcami, świadome własnego upadku. Labirynty zaułków wiły się pod coraz większymi sadzawkami cienia, połączone niezliczonymi mostkami i pasażami. Wszystko kołysało się, jęczało, skrzypiało. Oplakiwało.

W miarę jak gasło światło dnia, miasto jakby wypuszczało powietrze z płuc. Z przepaści, przez masy kamienia i łańcuchów, tchnął lekki wietrzyk, popłynął nad skalną obrożą Deepgate, zaświstał wśród zardzewiałych, na pół zagrzebanych w piasku ostróg. Nad Martwymi Piaskami wzbily się tumany pyłu, zatańczyły dziko pod ciemniejącym niebem i rozwiały się w nicość.

Po ulicach zaczęły krążyć latarnicy, zmieniając miasto w czarę gwiazd.

Latarnie na długich słupach kołysały się, opadały. Rozbłysły pochodnie i lampy gazowe. Od dzielnicy zwanej Ligą Sznurów, znajdującej się tuż przy krawędzi otchłani, przez Kolonie Robotników aż po Lilley i aleje Bridgeview, zamigotały światelka. Łańcuchy oplatały siecią ulice, opasywały budynki albo się przez nie przebijały, wiązały, łączyły, tworzyły kołyski dla domów, w których wierni czekali na śmierć.

Dźwięki rozbrzmiewające w całym mieście oznajmiały zbliżanie się nocy: skrzypienie zasuwanych żaluzji, łoskot zatrzaskiwanych, ryglowanych i barykadowanych drzwi, szcęk zamykanych klódek. Na kominy opuszczano kraty, ich huk dobiegał ze wszystkich dzielnic. Potem zapadła cisza. Wkrótce było słyhać tylko echa pospiesznych kroków latarników, którzy wracali w mroczne uliczki otaczające świątynię.

Kościół Ulcisa wznosił się dumnie w samym sercu Deepgate, czarny jak rozdarcie w krwistoczerwonym niebie. Na jego murach płonęły witraże. Nad iglicami i wieżyczkami krążyły gawrony, a na wysokich, przyprawiających o zawrót głowy grzędach, wśród łuków przyporowych, balkonów i krenelaży, tłoczyły się gargulce. Legiony bestii o kamiennych skrzydłach gapily się ponad miastem na Martwe Piaski; szyderczo wyszczerzone, wściekle.

Zagubiona na tych wysokościach, wyrastała z cieni mniejsza, przysadzista iglica. Jej mury porastał bluszcz, wspinał się po balkonie otaczającym cały wierzchołek. Tylko spiczasty łupkowy kapelusz był wolny od roślinności, przekrzywiony, ale lśniący w resztkach dziennego światła. Zardzewiały wiatrowskaz obracał się ze skrzypieniem, jakby nie wiedział, jaki kierunek wskazać.

Do wiatrowskazu przywierał chłopiec -- same łokcie i kolana.

Obejmował żelazny pręt chudymi, białymi rękoma. Kosmyki włosów za jego uszami drżały. Koszula nocna wydymała się i łopotąła jak porwana flaga. Stał tak przez długi czas, obracał się wraz z wiatrowskazem, obrzucał sąsiednie iglice szybkimi, nerwowym spojrzeniami. Palce u stóp miał brudne i zimne.

Ale był szczęśliwy.

Nagle wyprostował się czujne. Poprzeczka wskazująca kierunek północ-południe przekrzywiła się pod jego bosymi stopami, jęknęła. Płatki rdzy posypały się z szelestem w dół po dachówkach. Stado gawronów poderwało się spłoszone i rozproszyło wśród gargulców i witraży. Obserwując je, Dill uśmiechnął się od ucha do ucha.

Sam.

Wziął głęboki oddech, potem jeszcze jeden i rozpostarł skrzydła, zagarniając powietrze pod pióra. Mięśnie jego pleców się napięły. Krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach. Wiatr nim kołysał, szarpał go, namawiał do lotu. Z rozpromienioną twarzą chłopiec wychylił się i odrzucił głowę do tyłu. Wiatrowskaz obrócił nim jak na karuzeli. Prąd wstępujący omal go nie uniósł. Chłopiec wyprostował i opuścił skrzydła. Gdy jego stopy oderwały się na chwilę od poprzeczki, wybuchnął śmiechem.

Ktoś syknął.

Zakapturzona postać w jednym z okien, żółta lampa w ręce.

Dill mocniej przywarł do wiatrowskazu i złożył skrzydła. Serce mu łomotało.

Cień kaptura sięgnął jak wielki pazur ponad spadziste dachy świątyni. Po chwili tajemnicza postać opuściła lampę.

Sylwetka kapłana przesunęła się za szybą, a potem okno pociemniało. Dill stał bez ruchu przez sto uderzeń serca i drżał. Jak długo kapłan tam był? Co widział? Znalazł się tu przypadkiem czy ukrywał w pokoju, czekając, obserwując, szpiegując?

I czy na niego doniesie?

Blizny na plecach przypominały Dillowi, że klecha może to zrobić.

Przecież nie pofrunąłem. Nie zamierzałem latać. Tylko rozłożył skrzydła, żeby poczuć wiatr. Nic więcej. To nie było zabronione.

Nadal dygocząc, Dill zszedł z wiatrowskazu i przycupnął obok stożkowatego zwieńczenia dachu porośniętego mchem. Z początku wydawało się, że we wszystkich oknach stoją zakapturzone postacie i obserwują go, a ich niewidoczne usta mamroczą kłamstwa, które wkrótce dotrą do samego prezbitera. Do policzków napłynęła mu krew. Wyrwał kępkę mchu i zaczął udawać, że ją ogląda; miętosił w palcach, nie czując tego, badał, nie widząc. Gdy w końcu wypuścił kępkę z ręki, wiatr ją porwał i poniósł nad Deepgate.

Mówiło się, że kiedyś można było stanąć na krawędzi przepaści i zajrzeć w ciemność pod miastem, mając między sobą a niezmierną głębią tylko łańcuchowy fundament. Być może kiedyś luneta pozwalała ujrzeć duchy daleko w dole, ale nie teraz. Wielkie łańcuchy nadal tam były, ukryte pod miastem, które zbudowało sto pokoleń pielgrzymów. Z czasem powstała cała sieć krzyżujących się ze sobą kabli, lin, dźwigarów, rozperek i belek, rozrosła się jak korzenie wśród najstarszych ogniw. Wznoszono albo zawieszano kolejne budynki, mosty i chodniki, aż Deepgate zakryło swoje fundamenty.

Dill uniósł stwardniałą stopę i tupnięciem rozłupał dachówkę. Wziął do ręki jeden z kawałków wielkości pięści i zamachnął się, żeby rzucić nim w szybę. Powstrzymał się w porę. Okna były stare, może nawet tak stare jak sama świątynia i łańcuchy fundamentowe. Stare jak płytka, którą właśnie zniszczył. Ogarnięty wyrzutami sumienia, cisnął ją w stronę zachodzącego słońca i słuchał uważnie, czy o coś uderzy, zanim wpadnie w otchłań pod miastem.

Gdzieś w oddali rozległ się brzęk szkła.

Chłopiec cofnął się gwałtownie, nie zważając na to, że gniecie sobie pióra, i spojrział ponad roziskrzonymi ulicami na Martwe Piaski, które ciągnęły się po horyzont niczym pomięty jedwab. Na zachodzie zbierały się fioletowe chmury burzowe obwiedzione złotem. Na wschodzie wily się przez pustynię Dawn Pipes, a na niebie ukazała się srebrzysta fala,

przyciągając jego uwagę. Dill usiadł prosto.

Sterowiec pozbywał się balastu, schodząc do lądowania. Wypuszczał gorące powietrze z pasów tkaniny oplatających powłokę zbiornika gazu nośnego. W trakcie schodzenia skręcał ku stoczni Deepgate, opuszczając karawanę, którą eskortował z nadrzecznych miast. Obładowane wielbłądy kroczyły dalej między rurami wodociągowymi i kanalizacyjnymi, zostawiając za sobą pióropusze piasku. Za kupcami, między dwoma szeregami konnych strażników misyjnych, powłóczył nogami rząd pielgrzymów skutych kajdanami.

--Do jutra -- mruknął Dill, choć nie przypuszczał, by tak się stało. Wiedział, że miną dni, zanim pielgrzymi umrą.

Na niebo wkradała się ciemność, a wraz z nią pierwsze wieczorne gwiazdy, więc chłopiec zsunął się po dachu i z hukiem uderzył w rynnę, sypiąc piórami. Zbutwiała kratownica porośnięta bluszczem tworzyła szeleszczącą, rozchwianą drabinę, która prowadziła w dół na jego balkon. Gdy Dill trafił w końcu stopami na solidny kamień, trząsł się jak osika.

Znalazłszy się w środku, zaryglował drzwi balkonowe na wszystkie cztery zasuwy, a potem sprawdził, czy okno jest dobrze zamknięte. Ogień przygasł i w kątach pokoju czały się głębokie cienie. Dill ukląkł przed kominkiem, dorzucił węgla, poruszył go pogrzebaczem. Płomienie skoczyły, zasyczały, sypnęły iskrami, buchnęły ciepłem. Pomarańczowy żar poleciał spiralą w górę przewodu kominowego. Dill stuknął pogrzebaczem w żelazną osłonę paleniska i odwiesił go z powrotem na hak. Następnie podszedł do skrzynki, wyjął z niej garść dużych świątynnych świec. Chodził po celi, rozstawiając je, wciskając w stopiony wosk z poprzedniego dnia, i zapalając kolejno, żeby odstraszały noc.

Na koniec spojrział zadowolony na ścianę nad kominkiem. Na miecz.

Jego miecz.

Podbiegł do broni i zdjął ją z uchwytu. Jego poplamione sadzą palce ledwo objęły rękojeść oprawioną w skórę, ale wcale się tym nie przejął. Wiedział, że nazajutrz mimo to przypasze miecz. Blask ognia odbił się od zakrzywionej gardy i ostrza. Dill opuścił broń i uniósł ją ponownie, ważąc w dłoni. Choć miecz nadal był dla niego za duży i za ciężki, chłopiec zrobił krok do tyłu, a potem klasyczny wypad, unosząc drugą rękę tak, jak to robili wszyscy wielcy szermierze. Rękaw koszuli nocnej zsunął mu się do łokcia. Czubek klingi drżał.

Dill skupił się i przybrał groźną minę. Wysunął brodę do przodu i rozpostarł skrzydła.

--Boisz się? -- rzucił srogim tonem, zwracając się do ściany. Zmarszczył gniewnie czoło i przeciął mieczem powietrze, raz, drugi.

--Boisz się broni? Czy jej właściciela? -- Uniósł brew. -- Moje imię? -- Prychnął, wytarł usmoloną rękę o nocną koszulę. -- To nie ma znaczenia. Jestem archontem Kościoła Ulcisa, strażnikiem Zbieracza Dusz. -- Zawahał się. -- I śmiertelnym potomkiem jego herolda Callisa.

Dobrze to zabrzmiało.

Oczami wyobraźni ujrzał nadciągającą armię pogan, którzy rękojeściami mieczy bębnił w tarcze. Na jego widok zakrzyknęli głosami nabrzmiałymi strachem: „Jeden archont przeciwko stu wojownikom”.

--Stu? -- Dill się roześmiał drwiąco. -- Nic dziwnego, że się trzęsiecie. -- Zręcznym ruchem nadgarstka wyrzucił miecz w górę...i złapał go po niewłaściwej stronie gardy. -- Jaja na patelni!

Broń upadła ze szczękiem na podłogę. Od płytki, w którą uderzyła rękojeść, odlupal się

kawalek, na szczęście mały, tak że ślad był ledwo zauważalny pośród wielu innych.

Dill possał palec, potem przyjrzał mu się z bliska. Draśnięcie, jak wszystkie poprzednie. Kapłani zaniedbywali ostrzenie klingi przez całe jego życie... Dill wiedział dlaczego. Podniósł miecz, umieścił go z powrotem w uchwycie na ścianie i usiadł przed paleniskiem. Śmiertelny potomek jego herolda Callisa.

Postanowił, że tym razem nawet nie spojrzy na miecz, co najwyżej na niego zerknie. Oplótl kolana rękoma i zakolysał się w przód i w tył, patrząc w zamyśleniu na rozżarzone węgielki.

Poza jego całą gęstniała ciemność. Wiatr się wzmagał, szeptał za oknami, drażnił płomienie w kominku. Tylko raz spojrzenie Dilla pomknęło ku broni. Skrzywił się, mocniej objął kolana.

Jutro go przypasze...

Zaklął, wstał i sięgnął po miecz. Dostał go na własność przed sześciu laty, kawał życia temu. Powinien już dawno nauczyć się nim władać. Kapłani powiedzieli, że do niego dorośnie. To dobry miecz, zapewnili Dill wykonał obrót, gwałtownie rozpostarł skrzydła i przemówił do ściany:

--Boisz się?

Tym razem nie było armii pogan -- tylko zimne świątynne kamienie między Dilem i nocnym niebem. Energicznie zakręcił mieczem w tył i w przód, kreśląc duże łuki.

--Boisz się? -- Cięcie. -- Boisz się?

Zrobił wypad, dźgnął ścianę. Czubek wbil się na cal między kamienie. Posypała się zaprawa. Garda otarła mu dłoń. Dill skrzywił się i upuścił miecz. Wcisnął piekącą rękę pod pachę, opadł na kolana.

--Dlaczego się boisz? -- zapytał siebie.

Dlaczego się bał? Służba w świątyni była przywilejem, zaszczytem, Strażnik Dusz cieszył się powszechnym szacunkiem. Czyż jego przodkowie nie sprawowali tej godności? Jego ojciec Gaine? Ale oni byli archontami wojskowymi, trenowali ze Spine, w imieniu świątyni latali daleko poza Martwe Piaski. Walczyli z Heshette i narzucali wolę Ulcisa pogańskim twierdzom. Tymczasem on...

Uniósł miecz brudnymi rękami.

Kim jestem? Aniołem, który czyta o wyczynach swoich przodków w książkach, który dzień w dzień stoi na balkonie i patrzy, jak statki powietrzne wracają z nadrzecznych miast, z delty Coyle, z bandyckich osad, gdzie walczyli i ginęli wojskowi archonci.

Nigdy nie zobaczy tych dalekich krain. Teraz sterowce kościelne i bojowe przemierzały niebo, a miejsce aniola było tutaj, w Deepgate, wśród łańcuchów. Podczas gdy zbroja jego ojca rdzewiała w zamkniętym magazynie głęboko w sercu świątyni, bluszcz oplatał iglicę Dilla. Kurz gromadził się na starych witrażach. Wysoko między krokwiemi nad jego całą żyły pająki, zasnuwając belki pajęczynami. Wilgoć opanowała pokoje na dole, całkiem puste, nie licząc pleśni i ślimaków, wkradała się coraz wyżej po klatce schodowej.

Dill urodził się za późno.

A jednak dali mu miecz. To coś znaczyło, prawda?

Głośnie pukanie wyrwało go z zamyślenia. Dill poderwał się na nogi, umieścił miecz z powrotem w uchwycie, wtarł głębiej płamy z sadzy w wyświechtaną koszulę nocną i cicho

podszedł do drzwi. Na podeście stał zasapany prezbiter Sypes. Czarna sutanna spływała za nim po spiralnych schodach. Widać mu było tylko ręce i głowę, która trzęsła się jak luźna kość w stawie. Dłonie ciężko opierały się na lasce.

--Dziewięćset jedenaście stopni -- rzucił gderliwie. -- Liczyłem. Przez chwilę Dill tylko się na niego gapił. Potem wyjąkał:

--Wasza wielbność, nie spodziewałem się... to znaczy, myślałem...

--Bez wątpienia -- burknął prezbiter. -- Wdrapuję się tutaj chyba od śniadania. --

Wlokąc za sobą szatę, pokuśtykał do celi i rozejrzał się z zagniewaną miną. -- A więc to tutaj podziały się wszystkie świątynne świece. To wygląda całkiem jak Sanktuarium: Twój strój. -- Podał Dillowi sfatygowany tobolek przewiązany sznurkiem. -- Ale będziesz musiał doprowadzić go do porządku. Upuściłem go dwa razy.

--Proszę usiąść, wasza wielbność. -- Dill przysunął stolec bliżej ognia. Prezbiter zmierzył wzrokiem mały taboret.

--Zbyt niebezpieczny manewr. Moje kości nadal wspinają się po schodach. Nie, lepiej spoczną tutaj, przy oknie, aż zrozumieją, że wreszcie dotarłem na górę. -- Zebrał fałdy sutanny, przycupnął na parapecie i złożył ręce na srebrnej galce laski.

--No więc... -- zaczął.

Dill przycisnął tobolek do piersi.

--Powiedziałem: no więc? Anioł się zawahał.

--Nie mogę się doczekać -- zapewnił, spuszcżając wzrok.

--Naprawdę?

Dill pokiwał głową.

--Nie denerwujesz się? Chłopak pokręcił głową.

--Naprawdę? -- Starzec zmrużył oczy. -- To dobrze.

Na dłuższą chwilę w celi zapadła cisza. W kominku przesunęły się węgle. Dill podniósł wzrok. Jego broń nadal była na swoim miejscu. Lśniła w blasku świec.

--Miecz Callisa -- powiedział prezbiter.

Dill rzucił szybkie spojrzenie na broń. Kiedy odwrócił się z powrotem do kapłana, opuścił głowę jeszcze niżej.

Sypes omiół wzrokiem celę, zatrzymując go przez chwilę na popękanych płytach, na stolku Dilla, skrzynce ze świecami, wiadrze na ślimaki, macie do spania. Nie było tu nic więcej, co mogłoby przyciągnąć uwagę. Prezbiter zacisnął dłonie na galce laski.

--Zatem...

--Dziękuję za strój -- przerwał mu Dill. Kapłan zakaszlał.

--I tak szedłem na górę do obserwatorium. Pomyślałem, że wstąpię życzyć ci szczęścia z okazji wielkiego dnia.

Cela Dilla nie znajdowała się po drodze do obserwatorium. Nie była po drodze do czegokolwiek.

--Dziękuję, wasza wielbność.

--Nie denerwujesz się?

--Nie.

Prezbiter zagryzł wargę, najwyraźniej walcząc ze sobą. W końcu rzekł:

--Znowu byłeś na dachu, tak? Dill drgnął.

--Ja...

--Niektórzy kapłani nie mają nic lepszego do roboty, jak szpiegować i węszyć. --

Twarz prezbitera się zmarszczyła. -- Nie wymienię nazwisk. -- Zmarszczki się pogłębiły.

--To był Borelock, ten bezkrwisty pochlebca. Czai się w cieniu jak przeklęty sabotażysta Shettie, obserwuje wszystko, jakby to były jego sprawy. Dobrze choć, że tym razem przyszedł do mnie... -- Sypes zawiesił głos. -- Nie mogę jednak powiedzieć, żebym pochwalał twoje zachowanie. Świątynny dach jest w wielu miejscach przegniły.

--Zastukał laską w parapet. -- Niebezpieczny. Chyba nie chcesz spaść i skrócić sobie karku.

Dill zerknął na prezbitera, ale nie dostrzegł na jego twarzy śladu nieszczerości.

--To się więcej nie powtórzy -- obiecał.

I mówił to szczerze. Blizny po chłoście na jego plecach ściągnęły się, przypominając mu, że Borelock nie zawsze idzie ze swoimi odkryciami bezpośrednio do prezbitera.

Sypes przyjrzał się parapetowi, jakby podejrzewał, że kamień lada chwila się skruszy.

--Tylko bądź ostrożny -- powiedział. -- Świątynia to nie jest miejsce dla głupich błędów. To niebezpieczne, rozumiesz?

Podmuch wiatru wstrząsnął szybą w ołowianej oprawie, zawył w kominie. Płomienie zachwiały się, strzeliły jaśniej. Świece zaskwierczały.

Dill odniósł wrażenie, że noc ich osacza, napiera na okna, szuka drogi wejścia. Przelknął ślinę i skwapliwie pokiwał głową. Prezbyter zassał policzki, a następnie rzucił burkliwie:

--Lepiej już pójdę. Za dużo papierkowej roboty, żebym tracił tutaj czas. -- Wstał niepewnie z parapetu, już myśląc o pracy, która go czekała. -- Zmiany władzy wśród szlachty. Handel, nauka, spisy ludności, rachunki, wszystko: od dostaw po podatki i płace, od historii po przepisy kulinarne i... ha! poezję. -- Sypes przygarbił plecy. -- To nigdy się nie kończy. Kodeks staje się coraz grubszy, filary w świątynnej bibliotece są pełne książek, niemal pękają w szwach, a jeszcze drugie tyle trzeba by tam wcisnąć.

Nie ma miejsca, żeby to wszystko pomieścić. Jak długo trwa zbudowanie nowej kolumny magazynowej, co? Kamieniarz pracuje nad nią już od miesiący, od miesiący. --

Rozejrzał się. -- Nie widziałeś go przypadkiem? Kamieniarza?

--Nie, wasza wielbność.

--Tak myślałem. Sądzę, że umarł. Albo poszedł i rzucił się w przepaść. -- Prezbyter westchnął. -- Głupcy wciąż to robią, wiesz? Ledwo posmakują ciężkiej pracy, a już znikają, skaczą, prześlizgują się między łańcuchami jak poganie. Jakby Ulcis zechciał przyjąć niepobłogosławione ciała! -- Potarł oczy. -- Nie wiem, Dill. Nie wiem, jak to się wszystko skończy.

Dillowi wydawało się, że prezbyter Sypes z każdym rokiem starzeje się o dziesięć lat. Palce u rąk miał kościste, poplamione atramentem, zgięte niczym szpony, jakby wciąż ścisnął koldrę. Ale on się nie poddawał, wciąż gromadził i porządkował miejskie archiwalia, wypełniał kolumny w swojej bibliotece książkami, których nikt nigdy nie przeczyta. Aż w końcu praca go zabije. Starzec ruszył przez celę, szurając nogami, zgarbiony. -- Klnę się na Boga, że jeśli zobaczę go na dole, jak spiskuje ze zmarłymi, skręcę mu kark -- zapowiedział groźnie. -- Nie pozwolę na żadne knowania w mojej świątyni. Ani pod nią. O, nie! Nie będę tolerował ich nonsensów.

Dill pospieszył do drzwi.

--Ktoś musi mieć na nich oko. -- Prezbiter dźgnął laską w podłogę. -- Musi zadbać, żeby czegoś nie uknuli. Ten przekłety wiatr, przysięgam, to oni. Posłuchaj. Martwi jęczą bardziej niż żywi. Są niespokojni, zawsze niespokojni przed ceremonią. -- Zatrzymał się na podeście. Wyraz jego twarzy złagodniał.

--Nie denerwujesz się, Dill?

--Nie, wasza wielbność.

--Dobry chłopak -- Prezbiter Sypes uścisnął ramię Dilla. -- Jeśli chodzi o jutro... -Był wyraźnie skrępowany. -- Przed dzwonem żalobników przyjdzie po ciebie nadzorca. Po ceremonii rozpoczniesz szkolenie.

Dill spodziewał się tego. John Reed Burrson, ogólnie szanowany żołnierz i uczonec, był nadzorcą ojca i jego starszego brata, stryja Sewendera. Szkolił świątynnych archontów od ponad pół wieku. Dill miał osiem albo dziewięć lat, kiedy ostatni raz go widział. Burrson wyglądał wtedy tak, jakby miał ponad setkę, ale był twardy jak stara zbroja i radził sobie z wielkim żelaznym mieczem lepiej niż mężczyźni o połowę od niego młodszy.

--Właśnie -- dodał prezbiter. -- Twój miecz. Powinieneś umieć nim władać, prawda?

Nie mówiąc o innych rzeczach: truciznach, dyplomacji, dobrych obyczajach. -- Umilkł, jakby czekał na potwierdzenie.

--Tak, wasza wielbność.

--Nadzorca potrafi ci wyjaśnić to wszystko lepiej niż ja. Będzie tutaj rano. Masz go słuchać. Ładne stworzenie, jeśli pominąć zabiedzony wygląd. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Dill ukrył zaskoczenie. Najwyraźniej prezbiterowi coś się pomieszało. Johna Reeda Burrsona w żadnym razie nie można było określić jako ładne stworzenie.

--Nie, wasza wielbność.

Starzec się ożywił.

--Cieszę się, że odbyliśmy tę pogawędkę. -- Odwrócił się pospiesznie. -- Powodzenia.

Do jutra.

Kamienne schody biegły spiralą w ciemność. Na dole wiatr wpadał ze świstem przez wybite okna i otwory strzelnicze.

--Mam odprowadzić waszą wielbność? -- spytał niepewnym tonem Dill, rozdarty między poczuciem obowiązku a strachem przed zejściem w ten przerażający mrok. Zrobił krok w stronę najwyższego stopnia. Prezbiter Sypes mógł się pośliznąć, zranić w ciemności. Czyżby tam w dole zgasły wszystkie pochodnie?

Stary kapłan przyglądał mu się przez chwilę, a następnie położył dłoń na szorstkim murze i zszedł jeden stopień.

--Nie ma potrzeby, nie ma potrzeby -- powiedział. -- Wracaj do ognia, chłopcze. To tylko dziewięćset jedenaście stopni do pokonania.

Anioł nadal się wahał. Z tobołka, który cały czas do siebie przyciskał, wypadł but. Schylając się po niego, Dill upuścił resztę ubrań; tak bardzo trzęsły mu się ręce.

--Dziewięćset dziewięć. -- Prezbiter posłał mu wymuszony uśmiech i machnął laską. -- Dziewięćset osiem!

Młody anioł zgarnął rozrzucone rzeczy i wrócił do swojej celi. Po raz ostatni sprawdził

okno i zasuwę, a upewniwszy się, że jest bezpieczny, przez chwilę zastanawiał się, czy nie zapalić więcej świec. Dopiero co zapadła noc, a w celi hulały przeciągi. Skoro martwi byli dzisiaj niespokojni, część świec mogła zgasnąć.

ROZDZIAŁ 2 PAN NETTLE

Nióśl ją, idąc pewnym krokiem człowieka przyzwyczajonego do znajdowania drogi w ciemności. Belki trzeszczały pod jego nogami, liny jęczały, skrzypiały. Przy każdym kroku pomost zapadał się i kołysał. Zaulek nazwali Aleją Dębów, ci, którzy tu mieszkali, ale w całym tym przeklętym miejscu nie znalazłoby się nawet drzazgi dębowej. Sama dykta i blacha. Pan Nettle opuścił rękę, żeby nie zahaczyć całunem córki o wystający kawałek metalu. Chodnik ugiął się wraz z nim, podbijając trapy, które jak języki sięgały od progów chałup. Domy wisiały ciche i nieruchome nad ciemnością, stłoczone w swych kołyskach z konopi.

W górze nad osmoloną beczką skwierczała pochodnia, plując smołą. Kiedy ją mijał, wokół niego przemknęły gigantyczne cienie. Pan Nettle pociągnął duży haust z butelki, wytarł usta wierzchem dłoni i podjął marsz w dotychczasowym tempie.

Kaptur drażnił jego skórę. Cała ta cholerna szata drapała. Szorstka workowa tkanina ocierała mu nadgarstki jak dyby, przyprawiając go o pot mimo chłodu.

W Lidze Sznurów plotki rozchodziły się szybciej niż śmierć, a jego kłamstwa o morderstwie Abigail tylko je podsyciły. Ponieważ nie byłby w stanie ukryć ran ani bladeści martwego ciała, przepędził płaczki, które zapukały do jego drzwi. Sam umył i ubrał zwłoki. Nie było żadnego czuwania ani stypy. Ciekawość wkrótce przerodziła się w gniew i strach. Żeby uniknąć wścibskich spojrzeń sąsiadów, pan Nettle postanowił zanieść córkę o północy, kiedy ulice są ciche jak otchłań ziejąca pod nimi.

Aleja Dębowa przechodziła pod skrzyżowaniem Tummel -- nazwanym tak na cześć klejarza, który walczył i zginął w Sourwater -- a dalej znowu wznosiła się ostro. Pan Nettle wetknął butelkę pod pachę, po czym chwycił się liny, żeby wejść po śliskich deskach. Kiedy dotarł na szczyt, zobaczył, że jego plan zachowania tajemnicy spalił na panewce.

Przed nim, oddalona jakieś osiem stóp od pomostu, zwisała z jednego z łańcuchów fundamentowych tawerna Barterblutender. Pełna wgnieceń, pękata, połatana nitami i buchająca dymem nie straciła nic z uroku smołami, którą była w poprzednim życiu. Z otwartego włazu w dachu dobiegał rubaszny śmiech. Na zewnątrz znajdowali się czterej mężczyźni. Na głównym chodniku mocno zbudowany gość o wyglądzie złodziejaszka trząsał linami poręczowymi, podczas gdy drugi, dużo mizerniejszy, siedł do niego po chybotliwym trapie od strony piwiarni. Dwaj pozostali kucali przy wejściu, pośród kurtyn z łańcuchów, i dzielili się dymem ze starej blaszanej fajki wodnej. Łotry odwróciły się na widok pana Nettle. Pijackie uśmieszki zniknęły z twarzy. Kieszonkowiec puścił liny.

Jeden z palaczy dmuchnął dymem i rzucił zaczepnie:

--A ten gdzie z tym idzie?

--To sieciarz z Dens -- odezwał się mężczyzna stojący na trapie. -- Z pociętą dziewczynką.

Złodziej opuścił głowę i zrobił krok w stronę pana Nettle, jakby był właścicielem drogi.

--Zostawmy go straży świątynnej -- powiedział palacz. -- Ten człowiek nie wie, co robi. Jest pijany albo ogłupiały ze smutku.

--Nie ma prawa zanosić tego do świątyni -- stwierdził kieszonkowiec. Pan Nettle przytrzymał mocniej Abigail i wyminął go bokiem. Chodnik zapadł się gwałtownie. Złodziejaszek chwycił za linę, żeby utrzymać równowagę.

--Myślisz, że cię wpuszczą?! -- krzyknął. -- Myślisz, że nie będą wiedzieć?!

--Ktoś już mógł im donieść -- poparł go kompan z trapu. -- Lepiej pogrzebać ją na Martwych Piaskach, oszczędzić sobie drogi.

Pan Nettle wykopał spod niego deskę.

Ratując się, mężczyzna przerzucił rękę przez linę i zawisł nad przepaścią. Konopie naprężyły się niebezpiecznie i jęknęły, ale wytrzymały ciężar. Palacze zarechotali.

Pan Nettle chrząknął. Święta racja, był pijany.

Gdy stracił mężczyźn z oczu, poprawił brzemień przerzucone przez ramię. Serce boleśnie tłukło mu się w piersi. Przez dłuższą chwilę patrzył w ziemię, ale nic nie widział.

Co zrobiłaby Abigail, gdyby zobaczyła go w takim nastroju? Ile razy się martwiła, smuciła, marudziła, płakała i potrząsała nim, żeby wreszcie przestał milczeć i zainteresował się, co ją dręczy? On nigdy się nie gniewał, nigdy nie podniósł na nią

ręki jak inni ojcowie. Po prostu siedział i patrzył na córkę w pijackim otępieniu. Pociągnął kolejny łyk z zimnej butelki.

Wkrótce ścieżka zawiodła go na skraj Kolonii Robotników. W tym miejscu bezładne skupisko drewnianych chałup i chybotliwych pomostów stykało się z kamiennymi czynszówkami. Szron pokrywał kocie łby krętej i wąskiej ulicy Węglowej, prowadzącej do dzielnicy Chapelfunnel. Mgła ścieliła się nad ziemią, wciskała w fałdy żałobnej szaty pana Nettle, snuła się wokół jego kolan.

Zostały jakieś cztery godziny do świtu. Zaczynało brakować mu czasu. Znowu napił się z butelki, rozkoszując paleniem w gardle. Okaleczenie nie było dobrym wyjściem. Nie dla jego dziecka. Ci, którzy używali noży wobec swoich zmarłych, byli gorsi niż łotrzyki, złodzieje czy rzezimieszki. Gorsi niż poganie. Ale jaki miał wybór? Jeśli chciał zadbać o jej bezpieczeństwo?

Pod szatą u jego pasa wisiał ciężki tasak rzeźniczy.

Ulica Węglowa zwężała się coraz bardziej, w miarę jak zagłębiał się w Kolonię, pchając przed sobą mgłę. Minał Gospodę pod Rondlem, cichą i zamkniętą, pokonał długi zakręt wokół Targu Rybnego. Za zamkniętymi kratami snuł się dym. Pan Nettle zmrużył oczy i przeszedł przez niego szybko, mając nadzieję, że całun nie przesiąknie odorem. Za targowiskiem kamienice czynszowe stawały się coraz wyższe, pochylone do wewnątrz. W niektórych miejscach górne piętra dotykały tych z naprzeciwka, podtrzymując się nawzajem jak znużeni hulacy. Kroki pana Nettle rozbrzmiewały echem w całkowitej ciemności. Niewidoczne tunele przebijały się tutaj przez mury, z ich ziejących paszczy wionęły chłodne przeciągi, zapach wilgotnej słomy i koni, chwastów i dymu z rajek wodnych. Raz, przy Studni Grzeszników, wyczuł woń kadzidel. Z niepokojem skurczył mu się żołądek.

Za tunelami było niewiele więcej światła. Pochodnie już dawno pogasły, blask księżycy padał na szare płyty, przez co cienie wydawały się jeszcze ciemniejsze. Pan Nettle mijal kolejne zaryglowane drzwi. Poszczególne dzielnice Kolonii łączyły zardzewiałe mostki, spinające wąskie kanały pustej przestrzeni. Zostawił za sobą Chapelfunnel i wszedł do Merrygate. Żelazo dzwoniło pod ćwiekami w podeszwach jego butów.

Był w głębi Kolonii, w miejscu gdzie Merrygate łączyła się z Applecross, a droga omijała zawaloną wieżę strażniczą, żeby dalej biec wzdłuż Łańcucha Dolmen, kiedy zauważył, że stos koców leżący przed nim na ziemi porusza się, i usłyszał dźwięczny głos:

--Monetę dla pielgrzyma, dobry panie, pensa albo dwa? Spójrz na uśmiech księżycy, jeszcze jedna noc i zgaśnie. Pensa na pokój, żebyś był bezpieczny.

Twarz chłopca zakrywały koce, ale pan Nettle zobaczył wyciągnięty kubek.

--Głodny -- zawodził dalej żebrak, pokazując na usta. -- Ani matki, ani ojca.

Pan Nettle splunął na niego, nie zwalniając kroku. Pięćdziesiąt lat ciężkiego życia dużo go nauczyło. Nie oczekiwać niczego, o nic nie prosić. Jeśli czegoś potrzebujesz, znajdujesz to albo płacisz. Jeśli nie potrafisz znaleźć albo nie możesz sobie na coś pozwolić, nie potrzebujesz tego. Pens i tak nie odmienilby losu żebraka. Co za różnica jaka to noc? Pełnia czy ciemny księżyc, chłopak tak czy owak nie był bezpieczny. Nikt nie mógł się czuć bezpiecznie w tych czasach.

--Szmaciarz! -- krzyknął za nim żebrak. -- Zatrzymaj swoją brudną monetę. Nie jesteś lepszy ode mnie. -- Uderzył kubkiem o ścianę i zaczął śpiewać: -- Przyjdź jutro. Przyjdź zobaczyć księżyc. Jutro. Zobaczyć księżyc.

Pan Nettle zwolnił na moment. Spuszczenie lania żebrakowi tylko by go opóźniło. Chwycił mocniej Abigail, wyprostował plecy i ruszył dalej. Lunatyczna piosenka wkrótce ucichła w oddali. Zbliżał się świt, ale dzielnice Deepgate nadal spały przyprószone szronem, jakby wstrzymywały oddech przed nowym dniem. W wąskim, nierównym pasie między okapami lśniły gwiazdy, jak czubki włóczni. Butelka była prawie pusta. Pan Nettle podniósł ją, ale nie przystawił do ust, tylko opuścił. Co robić? Musiał się zastanowić. U nasady czaszki czaił się ból, myśli snuły się po głowie jak w smole. Jak trafił do tego labiryntu zapomnianego przez bogów i ludzi? Gdzie się teraz znajdował? Na Tapper Road, gdzie kiedyś złamał szczękę sprzedawcy oliwy za to, że obciążył jego beczkę kamieniami. Dotarł prawie do końca Kolonii. Ile czasu mu zostało? Niewiele. Dużo go zmarnował. Słuchał własnych kroków, patrzył na swój oddech zamieniający się w parę, popijał whisky. Tasak chłodził mu biodro jak lód, w garści ścisnął szyjkę butelki. Wyrzucił ją teraz i usłyszał, jak się roztrzaskuje, za następnym zakrętem Tapper Road zanurzyła się w gęstej mgłę. W oddali zamajaczyły latarnie gazowe. Dzielnice świątynne. Był prawie na miejscu.

Zatrzymał się przy wyrwie powstałej w miejscu, gdzie kawał bruku wpadł w otchłań. Ktoś rzucił na nią deski, ale te z łatwością mogły się załamać. Pod spodem zostało jeszcze sporo żelaza. Często można było usunąć trzy dźwigary albo nawet więcej bez osłabiania ulicy i robienia kolejnych dziur. Ale czasami wyszabrowało się za dużo żelaza i pod wyładowanym wozem zapadało się pół okolicy. Trudno to było przewidzieć.

Pan Nettle zdjął Abigail z ramienia i wziął ją w objęcia. Jej twarz pokrywała warstewka lodu, biała jak płótno, w które ją owinął. Porządny materiał, lepszy niż te, które można dostać w Lidze. Przed czternastu laty znalazł kupon pod Mostem Gazowym, nieskazitelnie czysty mimo panującego tam smrodu i brudu. Zatrzymał go dla siebie. Poprzedniego dnia przeszedł jednak wiele mil do Ivygarths, gdzie kupcy wyprzedawali jedwab, ale wrócił z pustymi rękami. Jego płótno było wystarczająco dobre.

W wyglądzie Abigail nie było nic delikatnego. Jego córka nie grzeszyła urodą. Miała mocno zarysowaną szczękę, duże czoło, rysy wyraziste jak u niego, tyle że łagodniejsze. Zbyt szerokie ramiona i biodra niepasujące do młodej dziewczyny, którą nadal w niej widział. Mimo mocnej budowy prawie nic nie ważyła. Mógłby nieść ją wiecznie.

Pan Nettle zacisnął powieki i wyobraził sobie, że Abigail otwiera oczy. Uniosłaby ręce i objęła go. „Nie musisz mnie dźwigać”, powiedziała by. „Mogę chodzić”. Wtedy postawiłby ją i wróciliby razem do domu. Przycisnął czoło do jej czoła. Było zimne jak kamień. Otworzył oczy, spojrzął na latarnie gazowe świecące w oddali i ruszył przez Krzemieny Most do Lilley.

Abigail często przychodziła tutaj malować. Lubiała pochyle stare rezydencje z listewkowymi żaluzjami i balkonami z misternie kutego żelaza. Lubiała siedzieć w cieniu drzew na brukowanych placykach i słuchać śpiewu ptaków. Ale najbardziej lubiła ogrody.

Kiedyś wybrali się tutaj razem. On próbował sprzedać grabie, które znalazł w Ivygarths, a Abigail -- wtedy była małym dzieckiem -- pukała do drzwi. Jeden stary gość zaprowadził ich do ogrodu i zaczął się z nim targować jak powroźnik, a tymczasem Abigail biegała w koło i podziwiała kwiaty. Potem chciała wchodzić do wszystkich ogrodów, ale ludzie z Lilley zamykali je na kłódki. Na szczęście on dostał wtedy osiem dublonów za grabie i był w dobrym humorze, więc wziął córkę na barana, żeby mogła spoglądać ponad murami.

Na południowy wschód od Lilley droga oddalała się od Łańcucha Dolmen i wznosiła ku Mostowi Targowemu. W porannej mgle uliczni handlarze przestępowali z nogi na nogę, zacierali ręce i przekrzykując się, zachwalali swoje towary.

--Nafta, nafta!

--Gorący chleb, chleb owocowy!

--Psy obrotne, myśliwskie, szczurołapy!

Niektórzy służący już wyszli z domów, kręcili się wśród wozów, kupowali, przekomarzali się i śmiali, jakby wydawali swoje pieniądze.

Nie było innej drogi jak przez targ. Pan Nettle opuścił głowę i przyspieszył kroku. Nikt go nie zaczepiał aż do chwili, kiedy dotarł do sprzedawców kwiatów w drugim końcu targowiska.

--Hej, panie? -- Handlarz podniósł się ze stolka i zablokował mu drogę. -- Mam stokrotki, maki i przebiśniegi z Lasu Shale, wszystkie świeże i tylko po dublonie za pęk.

Miał rzadką brodę koloru ziemi i złoty kolczyk w uchu, tak duży, że można by wsunąć w niego palec.

--Nic za więcej niż dublon, a za pół pensa gałązka mirtu z Highwine... I spójrz tutaj. -- Wziął do ręki pęk białych kwiatów i przytulił je do siebie jak dziecko. -- Róże z Lilley, samodzielnie wyhodowane, pensa za sześć.

Pan Nettle wbił wzrok w kolczyk. Handlarz zerknął na całun.

--Szlachta kupuje je za dwa razy tyle. Ziemia pochodzi aż z plantacji Goosehawk w Clune. Posłuchaj, dorzucę do tego jeszcze dwie, za tę samą cenę. -- Wcisnął kwiaty w rękę pana Nettle.

Róże wyglądały na przywiędnięte: pomarszczone płatki, brązowe lodyżki.

--To osiem za pensa -- nalegał handlarz.

Pan Nettle ścisnął pęk i potrząsnął nim. Płatki kwiatów się osypały.

--Hej!

--Zwiędłe -- stwierdził pan Nettle. Podniósł z ziemi garść płatków i cisnął je w handlarza. -- Martwe.

Niebo było bezbarwne, kiedy doniósł Abigail do Bridgeview, gdzie główna ulica rozdzielała się na dziesiątki alejek. Pokonywał je kolejno, czytając tabliczki, żeby nie zgubić drogi. Zwycięstwa, Śliwkowa, Srebrna. Na Różanej usłyszał nad sobą szuranie stóp i podniósł wzrok. Wysoko w górze mostki o delikatnych konstrukcjach łączyły szlacheckie rezydencje. W dół niosły się przytłumione rozmowy. Mieszkańcy szli obejrzeć anioła. Byli zmęczeni i przemarznięci, a w dodatku nic nie zobaczą, jeśli ta okropna mgła się nie podniesie. Pan Nettle

dotarł do końca alejki, zszedł ciężkim krokiem po czterech stopniach i znalazł się na dziedzińcu graniczącym z otwartą otchłanią. Tutaj się zatrzymał.

Poranne niebo przecinał Most Bramny. Jego luki i żelazne słupy tworzyły szkielet wachlarza. Rozstawione wzdłuż pomostu niskie latarnie gazowe oświetlały kliny z grubych dębowych belek, które biegły przez całą drogę aż do schodów świątyni. Tutaj leżeli martwi. Sześciu albo siedmiu. Tak mało? Żołądek ścisnął mu się w supel. Pan Nettle odruchowo podniósł rękę do ust, zanim sobie przypomniał, że wyrzucił butelkę. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na jasnych całunach. Dlaczego akurat dzisiaj nie ma ich więcej?

Po drugiej stronie mostu wznosił się kościół Ulcisa o murach niczym czarne urwiska. Ponure kamienne ściany, ostre w blasku lamp gazowych, rozmywały się po obu stronach wrót i ginęły we mgle, tak że budowla wyglądała, jakby ciągnęła się aż po krańce świata. Pan Nettle wiedział, jak jest ogromna. W pogodne dni, z Ligi było tak wyraźnie widać koronę iglic, że odnosiło się wrażenie, że wystarczy sięgnąć ręką, by ich dotknąć. Ale tak blisko nie był od dwudziestu trzech lat. Tamtego dnia na placu leżało trzynaście ciał, z jego żoną czternaście. Zostawił Abigail śpiącą w łóżeczku i sam przyniósł tutaj Margaret. Tydzień po Nocy Blizn strażnicy byli pobłażliwi. Nie otwierali całunów. Ale wtedy nie miał nic do ukrycia.

Na dziedzińcu panowała cisza jak przed burzą. Przed biciem dzwonów. Pan Nettle czuł ją w kościach. Aż dostał gęziej skórki. Stal tasaka chłodziła mu skórę na udzie. Teraz albo nigdy.

Mocniej przytulił córkę. Przez chwilę korciło go, żeby zawrócić.

Potem naciągnął kaptur niżej na twarz i ruszył przed siebie. Wszedł na most. Jego buty głośnie stukały o belki.

Na moście tłoczyli się żalobnicy. Niektórzy stali w milczeniu, inni skupili się w grupki i szeptali między sobą. Pogrzebowe szaty szeleściły, kiedy się rozstępowali, żeby go przepuścić. Stroje z jedwabiu i aksamitu, niektóre pięknie skrojone, przy każdym ruchu układające się w łagodne fałdy, inne uszyte prosto, ale wszystkie czarne jak jego. Większość żalobników odwracała się na jego widok, ale kilka kapturów pochyliło się, kiedy je mijał, białe palce złączyły się pod nimi w pozdrowieniu. Pan Nettle domyślił się, że to mieszkańcy Kolonii. Zignorował ich i dalej przepychał się w stronę wrót świątyni, z zaciśniętymi szczękami i sercem objającym się o żebra.

Na drugim końcu mostu położył Abigail razem z innymi i poświęcił chwilę, żeby przyglądzić jej włosy i strzepnąć szron z całunu. Wyglądała teraz tak, jak kilka nocy wcześniej, gdy obserwował ją śpiącą. Miedziane sploty tworzyły aureolę wokół twarzy, usta były lekko otwarte, jakby zaraz miała zaczerpnąć tchu i się obudzić. Wtedy pomyślał, że jest równie spokojna i ładna jak na jednym ze swoich własnych malowideł. Byłaby dobrą żoną dla jakiegoś chłopca.

Otworzył dłoń, ułożył na całunie trzy płatki białej róży i delikatnie zakrył jej twarz płótnem. W jednej chwili stała się anonimowa jak reszta zmarłych. Pan Nettle klęczał i długo wyglądał zmarszczki na sztywnym materiale, choć ten był zupełnie gładki.

Tymczasem ciemne postacie stały wokół niego i cierpliwie czekały. Latarnie gazowe syczały. Gdy pan Nettle odliczył trzydzieści uderzeń serca, poczuł dłoń na ramieniu. Odliczył kolejne trzydzieści i dopiero wtedy się odwrócił.

Strażnik świątynny miał na sobie naoliwioną zbroję, czarną jak otchłań. Promienie światła przesuwały się po jej powierzchni, nie zatrzymując się ani na chwilę. Na napierśniku lśnił

talizman Ulcisa, Zbieracza Dusz. Twarz mężczyzny była starannie ogolona, poorana zmarszczkami i czerwona od zimna, a oczy pod hełmem zapuchnięte od snu. W ręce strażnik trzymał pikę niczym żelazny maszt.

--Odsuń całun -- polecił, wycierając nos skórzaną rękawicą.

Pan Nettle podniósł wzrok. Jego dłonie nadal spoczywały na kirze

--Mam sprawdzić wszystkie -- powiedział gwardzista.

Pan Nettle nic nie odpowiedział. Twarz ukrywał pod kapturem. Strażnik przez chwilę mierzył go beznamiętnym wzrokiem; jego oddech parował w zimnym powietrzu. Potem odłożył pikę na ziemię i ukląkł przy zwłokach. Stalowe płytki naramienników przysunęły się do siebie, kiedy rozchylił fałdy materiału i ujął rękę zmarłej.

Obaj popatrzyli na rozdęty nadgarstek.

Strażnik puścił rękę Abigail, jakby to był padły szczur.

--Wykrwawiona -- oznajmił donośniej, niż musiał.

Wśród żałobników stojących z tyłu rozległy się szepty. Pan Nettle usłyszał, że ciekawscy zbliżają się, żeby popatrzeć.

Strażnik zakreślił kółko wokół talizmanu i dotknął czola.

--Truchło -- powiedział. -- Nie żyje od jakiegoś czasu. -- Sięgnął po pikę i wstał. --

Dlaczego przynosisz ten zewłok pod świątynne drzwi? Na bogów, człowieku, nic nie rozumiesz? -- Rozłożył ręce. -- Ona nie może tam wejść.

Pan Nettle nadal patrzył na rękę córki.

--Nie ma w niej duszy.

Słowa strażnika zadźwięczały jak dzwony w ciszy poranka. Pan Nettle poczuł, że coś w nim pęka głęboko w środku. I gaśnie płomyk nadziei, którego strzegł przez całą noc. Czyżby popełnił błąd, nie próbując ukryć jej ran? Nagle ogarnęło go wielkie znużenie, głowa opadła na pierś. Poczul się tak, jakby zimne ciało Abigail ciążyło mu na ramionach. Osunął się na ziemię.

Po chwili zacisnął szczęki, obnażył zęby. Mięśnie jego karku napięły się, ramiona wyprostowały, dłonie zamknęły w pięść. Zerwał się z głuchym warknięciem, chwycił strażnika za gardło i pchnął go do tyłu.

Mężczyzna zatoczył się, potknął o jedno z ciał i runął na ziemię pośród szczęku zbroi. Pan Nettle nadal mocno ścisnął jego szyję. Pika wypadła gwardziście z ręki.

Kaptur zsunął się z głowy oszalałego żałobnika. Na jego zarośniętej twarzy malowała się żądza mordy.

Strażnik próbował uwolnić się z żelaznego uścisku, uderzył napastnika w ramię, pociągnął za rękaw jego szaty, rozerwał workowatą tkaninę, ale imadło nie puszczało.

Ścisnęło mocniej.

Z gardła gwardzisty uciekły resztki powietrza, oczy wyszły mu na wierzch, twarz zrobiła się purpurowa. Znowu szarpnął duszącą go rękę, potem próbował uderzyć przeciwnika, wydłubać mu oczy. Rękawicami sztywnymi od mrozu rozorał mu policzki.

Nagle pan Nettle otrzymał silny cios tuż nad uchem i upadł na bok. Uderzył głową w deski mostu, przetoczył się niezgrabnie, wykręcając sobie ramię. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Wylądował na plecach, dysząc ciężko. Jego ucho płonęło, czaszka jakby się kurczyła. Potrząsnął głową, spojrzał w górę. Żelazne łuki zawirowały na tle jaśniejącego nieba.

Nad nim stał drugi strażnik, w lśniącej zbroi, z uniesioną piką. Pan Nettle dźwignął się chwiejnie. Z rozcięcia na czole płynęła krew, zalewała mu oczy. Tłum żałobników cofnął się na bezpieczną odległość.

Sieczarz rzucił się na strażnika... W każdym razie próbował, ból bowiem poraził go jak gwóźdź wbity w kręgosłup. Most usunął mu się spod nóg. Pan Nettle zachwiał się, machając niezdolnie pięściami jak pijak, i opadł na kolana.

Drugi strażnik dźgnął go drzewcem piki w brzuch.

Pan Nettle zgiął się wpół, wbił palce w deski; pod paznokcie weszły mu drzazgi. Runął ciężko na ziemię, próbował wstać, dostał kolejny cios. Potem następny. I jeszcze jeden.

Żałobnicy obserwowali w milczeniu całą scenę. Jeden kucnął, żeby sprawdzić obrażenia pierwszego strażnika. Podduszony nieszczęśnik kaszlał, pluł, chrapliwie łapał oddech.

Pan Nettle nie miał pojęcia, jak długo go bili. Po jakimś czasie przestał czuć ciosy, które na niego spadały. Następowaly po sobie szybko jak liźnięcia płomieni w piekle. Ledwo rejestrował ułucia metalu na ciele, twardość belek mostu pod policzkiem, krew zbierającą się w nosie, kiedy wciągał powietrze. Wszystko to mogło trwać minuty albo godziny.

W końcu strażnik się cofnął.

--Wynoś się! -- rzucił zasapany. Ręce mu się trzęsły, kiedy wymierzył ostry koniec piki w gardło zmaltretowanego żałobnika. -- Idź stąd! Wynocha!

Pan Nettle próbował się poruszyć, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Fale świeżego bólu przetoczyły się przez jego kończyny. Z trudem zwalczył odruch wymiotny, odepchnął się od mostu i uniósł na ręce i kolana. Lewe oko miał tak spuchnięte, że nie mógł go otworzyć, co najmniej jedno żebro pęknięte albo złamane. Wypluł na deski zakrwawiony ząb.

Zebrał siły i ruszył przed siebie. Nie zważając na strażnika, podpełzł do ciała córki. Powoli, ostrożnie, umieścił jej rękę z powrotem w całunie. Krew kapiała mu z czoła na płótno.

Potem wziął zwłoki na ręce i próbował się dźwignąć. Abigail nagle wydała mu się bardzo ciężka. Nogi się pod nim uginały, ale wstał z głośnym stęknieniem, które odbiło się echem od świątynnych murów.

Ze zsuniętym kapturem, obnażonymi zębami, opuchniętą i zakrwawioną twarzą ruszył z powrotem przez most. Jego szata była rozerwana, rękaw wisiał w strzępach. Pan Nettle toczył wokół siebie dzikim wzrokiem, a żałobnicy rozstępowali się przed nim jak ciemna rzeka przed dziobem statku, odsuwali od niego jak najdalej i spod kapturów śledzili jego odwrót. Gdy ich mijal, cichły nerwowe szepty.

Gdy się zbliżył do końca mostu, towarzyszyła mu tylko cisza i dudnienie krwi w uszach.

W cieniu dźwigarów u wylotu Mostu Bramnego przełożył córkę za poręcz i trzymając ją nad ciemnością, spojrzal na pogniecioną tkaninę zasłaniającą jej twarz, na kosmyki włosów wymykające się spod płótna. Łzy mieszały się z krwią na jego policzkach, kiedy wrzucił ją w otchłań. Biały całun zajaśniał na chwilę w blasku lamp gazowych, potem zniknął.

Rączka tasaka wbijała się panu Nettle w żebra i pomimo wartości znaleziska miał ochotę cisnąć cholerstwo w przepaść. Na co mu się teraz przyda? W jaki sposób zdoła zbliżyć się do mordercy córki na tyle, żeby go użyć?

Żeby zabić aniola, musiałby znaleźć dużo skuteczniejszą broń.

ROZDZIAŁ 3 DILL I RACHEL

Dill obudził się gwałtownie, łapiąc powietrze. W swoim koszmarze znajdował się sam w zimnej, przytłaczającej ciemności. No, niezupełnie sam, bo była tam również dziewczyna. Czarne oczy, czerwone usta, białe zęby. Kiedy próbował przypomnieć sobie jej twarz, obraz się rozmazał i zostało mu tylko wrażenie, że nieznajoma była jednocześnie piękna i przerażająca.

Plakała czy się śmiała?

Leżał na brzuchu na macie, poduszkę miał mokrą od śliny, świece całkiem się wypaliły, w kominku tlił się popiół. Przez witrażowe szyby we wschodniej ścianie celi przesączał się blask słońca. Zaspane spojrzenie Dilla padło na portret ułożony z barwionego szkła. Jego przodek Callis, herold i dowódca archontów Ulcisa, stał przed grupą przerażonych pogan, z rozpostartymi skrzydłami i uniesionym mieczem. Przed aniołem tańczyły w smudze światła pyłki kurzu, zmieniając kolor z różowego na niebieski albo złoty.

Dill pociągnął nosem, wytarł usta w rękaw koszuli nocnej i sztywno zwłókl się z maty. Przeciągnął się i nagle stwierdził, że bardzo swędzą go oczy.

Jęknął. O nie, tylko nie dzisiaj, akurat na samą ceremonię.

Niestety, nie mogły mu pomóc żadne błagania. Jego oczy miały niewłaściwy kolor, zupełnie niestosowny.

Wszystko przez nerwy. Nic dziwnego. To ta ciemność ze snu całkiem wytrąciła go z równowagi.

A dzisiaj po raz pierwszy mam przypasać miecz.

Później zajmie się oczami, najpierw musi się umyć. Woda w wiadrze była tak lodowata, że aż zaparło mu dech, kiedy się nią polał. Potem stał nagi, mokry i drżący, z wilgotnymi piórami, obejmując się chudymi rękoma.

Na stolku leżał, starannie złożony wieczorem, uniform z grubego aksamitu i brokatu przetykanego srebrną nicią. Buty stojące obok były nowe i pachniały świeżo wypastowaną skórą. Ale najmocniej lśnił miecz wiszący nad kominkiem.

Broń go przyzywała, ale nie mógł jej dotknąć, jeszcze nie teraz. Chciał, żeby za pierwszym razem wszystko było idealne, a najpierw musiał zająć się ślimakami. Tego ranka znalazł ich tylko siedem: jeden przy kominku, jeden pod oknem, pozostałe przyczepione do ścian na różnych wysokościach. Największy miał wielkość orzecha włoskiego, najmniejszy -- jego małego paznokcia. Dill delikatnie włożył je do wiaderka razem z innymi. Naliczył ich już czterdzieści. Pewnie zanosilo się na deszcz.

Ciekawe, skąd się tu brały?

Dill od lat próbował rozwikłać tę zagadkę. Pod drzwiami balkonowymi byk wąska szpara. Pod tymi, które wychodziły na klatkę schodową, również. Ślimaki mogły dostać się do celi przez obie. Z wilgotnych ścian wykruszyła się w kilku miejscach zaprawa. Dill nieraz godzinami obserwował te ciemne otwory, nic zobaczył jednak ani jednego wylazącego z nich stworzenia. Pod jego całą roilo się od nich, ale w tych pustych pokojach panował wieczny mrok, a on nie miał pochodni ani dostatecznie jasnych świec, żeby się tam zapuścić. Zresztą nie sądził, żeby udało mu się coś wytropić. Ślimaki, jak to ślimaki, poruszały się tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył.

Nagły huk wstrząsnął szybami. Eksplozja? Dill odwrócił się gwałtownie, przekonany, że ujrzy walące się ściany, i omal nie potracił wiadra ze ślimakami. Ale wbrew jego obawom wieża

nie runęła. Po chwili hałas ucichł.

Drzwi balkonowe się zablokowały, jakby lukowata framuga napęczniała przez noc, ale w końcu udało mu się otworzyć je kopniakiem i przecisnąć przez nie skrzydła.

Poczuł na twarzy rześkie poranne powietrze, kamienne płyty chłodziły jego nagie stopy. Parapet też był zimny, kiedy się o niego oparł. W dole rozpościerało się Deepgate, jasne w blasku słońca. Czyżby gdzieś pękł łańcuch i część miasta runęła w przepaść? Dill wychylił się bardziej.

Ciężkie od licznych balkonów rezydencje Bridgeview pochylały się pod dziwnym kątem nad dziedzińcami, ogrodami otoczonymi murem i fontannami, które lśniły jak rozbite szkło. Trochę dalej, w Lilley i Ivygarths, jednakowe spadziste dachy ciągnęły się równymi rzędami wzdłuż łańcuchów. Za nimi, z tysiący kominów Kolonii unosił się dym. Na obrzeżach miasta, w Lidze Sznurów stłoczonej wokół kotwicowych łańcuchów jak szczątki wyrzucone na brzeg jeziora, i na Martwych Piaskach też nie było śladu katastrofy. W tym momencie rozległ się kolejny potężny huk. Obok iglicy

przeleciało stado spłoszonych gawronów. Dill obiegił cały balkon. Grube czarne litery na usterzeniu statku bojowego układały się w napis *Adraki*. Sterowiec wykonywał powolny skręt ku świątyni. Śmigła dwa razy większe od człowieka obracały się z dudnieniem po obu stronach gondoli zawieszanej pod powłoką. Na pokładzie rufowym stali czterej aeronauci w białych mundurach i wychylali się przez poręcz nadbudówki biegnącą między lampami eterowymi i harpunami dokującymi. Sygnalista zauważył go i przekazał flagą wiadomość, która raczej nie była uprzejmym powitaniem.

Dill pomachał mu z wahaniem ręką. Nigdy nie widział sterowca z tak bliska. Srebrna powłoka wypełniała pół nieba. I jeszcze się zbliżała, mijając go w drodze do doku, który znajdował się w murze świątyni. Za jego życia żaden statek powietrzny nie korzystał z tego miejsca do cumowania. Na taką odległość nie dopuszczano nawet jednostek kościelnych, *Adraki* był statkiem wojennym, komory pokładowe miał wyładowane beczkami z gazem nośnym i bombami zapalającymi. Najwyraźniej przybywał ktoś ważny. Ze zdenerwowania Dilla zaczęły jeszcze mocniej śwędzić oczy.

„Biały jak flaga tchórza”, powiedziałby kapitan świątynnej straży. Przynajmniej aeronauci byli za daleko, żeby zobaczyć jego strach. Dill zacisnął powieki i pomyślał o mieczu Callisa -- o jego mieczu -- ale czuł, że białka oczu są teraz prawie purpurowe. Chwycił się mocno parapetu i potrząsnął głową, aż jaskrawy kolor zbladł do stosownej szarości.

--Liny! -- krzyknął aeronauta, rzucając w dół pierwszy zwój. Najwyraźniej załoga nie była przygotowana do użycia harpunów w tak bliskiej odległości od starożytnych kamieni i witraży. Członek obsługi naziemnej chwycił linę, owinał ją wokół bloku i pobiegł z nią do wciągarki. Z pozostałymi, zrzuconymi z góry, to samo zrobili jego koledzy.

Po chwili z dołu dobiegł okrzyk:

--Liny zamocowane! Gotowi do holowania!

--Zaczynajcie!

Liny napięły się i zabrzęczały, odwijając się ze szpul zamontowanych na pokładzie statku. Silniki zahuczały, sterowiec zadrżał i zaczął się zbliżać do doku.

--Hej, archoncie, chcesz się pościgać?! -- zawołał sygnalista. Pozostali aeronauci

parsknęli śmiechem.

--Zostaw biedaka w spokoju -- powiedział jeden z nich. -- To nie jego wina.

--Ja tylko pytałem.

Dill opuścił głowę, żeby nie zobaczyli jego różowych oczu, i ruszył po mokrych śladach z powrotem do celi. Aeronauci mogli się wypchać ze swoim statkiem. On miał teraz własny uniform. I oczywiście miecz. Rozpogodził się nieco; zostało mu jeszcze trochę czasu na ćwiczenia szermiercze. Przebiegł resztę drogi, złożył skrzydła i wcisnął się przez drzwi balkonowe do pokoju.

Zatrzymał się w pół kroku i wytrzeszczył oczy. Przy kominku czekała na niego młoda kobieta: mała, chuda, z jasnymi włosami ściągniętymi do tyłu i zaplecionymi w ciasny warkocz popularny wśród szlacheckich córek. Ale było to jedyne ustępstwo na rzecz mody, bo nieznajoma nie nosiła żadnej biżuterii i miała na sobie sfatygowany strój oraz mnóstwo broni. Zza jej pleców wystawała zniszczona rękojeść, na całej długości przedramion były zatknięte noże do rzucania i srebrne igły, przy pasie wisiały sakiewki z truciznami, dmuchawka, trzy mocno zużyte bambusowe rurki. Dziewczyna właśnie oglądała miecz Dilla, który wcześniej bez pytania zdjęła ze ściany. Dla niego broń była za duża, a w jej drobnych rękach wyglądała wręcz absurdalnie.

--Odlóż to! -- warknął Dill.

Ciemnozielone oczy spojrzały na niego wyzywająco. Dziewczyna była tak blada, że wyglądała na chorą.

--Twój miecz? -- spytała, zerkając na broń, a potem na niego.

W tym momencie Dill uświadomił sobie, że jest nagi. Chwycił nocną koszulę i owinał ją wokół pasa. Łypnął spode łba na intruza.

--To miecz Callisa.

--Podobno. -- Dziewczyna uważniej przyjrzała się broni. -- Rzeczywiście jest stary. Stal jednowarstwowa, krucha, ciężka. Klinga tępa. Wyważenie... -- Przeciągnęła płazem po rękawie, ujęła miecz oburącz. -- Do niczego. Głowica starta, co zresztą nie ma dużego znaczenia. Jelec... -- Prychnęła. -- Ktoś go wymienił. Ten pozłacany olów można wyszczerbić łyżką. -- Wsunęła broń z powrotem w uchwyt. -- Ale przynajmniej błyszczący.

Dill czekał sztywno wyprostowany.

--Rachel Hael -- przedstawiła się kobieta. Jej nazwisko wydało się Dillovi znajome.

--Czego chcesz? -- zapytał burkliwie.

--Niczego -- rzuciła Hael szybko i zdecydowanie, jakby to była jej zwykła odpowiedź na tego rodzaju pytania. Potem się zawahała, uświadamiając sobie, że powinna wyjaśnić sytuację. -- Jestem twoim nadzorcą.

--Co?

--Nadzorcą. Opiekunem. Nauczycielem. Osobistym strażnikiem.

Rachel Hael była o stopę niższa od niego, o połowę lżejsza i jakieś trzy, cztery lata starsza. Lecz emanowała pewnością siebie kogoś, kto zjadł zęby na szkoleniu innych.

--Nie jesteś moim nadzorcą -- stwierdził z przekonaniem Dill. Rachel rozejrzała się po celi.

--Ile świec potrzebujesz?

--Moim nadzorcą jest John Reed Burrsong.

--Nie żyje od siedmiu lat.

Burrsong nie żyje? To dlatego nie widział go od jakiegoś czasu. Ale z pewnością są inni żołnierze albo nauczyciele. W świątyni roilo się od zakurzonych, brodatych starców w okularach, którzy pamiętali wojny i czasy, kiedy woda smakowała lepiej i wszyscy byli uprzejmi. Opowiadali o minionych latach, mrugając i wzdychając ciężko. Musi się wśród nich znaleźć ktoś bardziej odpowiedni. Ktoś starszy. Mniej kruchy.

--Sypes kazał mi cię pilnować -- oznajmiła Rachel. -- A także szkolić. Szermierka, trucizny, dyplomacja, tego rodzaju rzeczy. -- Sięgnęła do sakiewki przytroczonej do pasa i wyjęła z niej małą książeczkę.

Dill zerknął na tytuł. *Etykieta handlu na pustyni dla szlachetnych kupców*, P.E. Wallaway.

--Co to jest?

--Zdaje się, że coś o dyplomacji. -- Hael spojrzała na okładkę. -- Tak mi przynajmniej powiedziano. Musisz to przeczytać. Na pewno okaże się fascynującą lekturą.

--Ja nie...

--Nie dziwię się -- skwitowała Rachel.

Dill przygryzł wargę. To musiała być jakaś pomyłka. Czyżby prezbiter Sypes już do końca dzieciństwa? Młoda kobieta uzbrojona w książkę, której nie przeczytała, i miecz, którego pewnie nie umiałaby wyciągnąć, nie kalecząc się, nie mogła być jego nadzorczą.

--Sama nie jestem zachwycona tym zadaniem -- wyznała Hael. -- Niech zgadnę, pomarańczowy oznacza irytację?

Dill odwrócił wzrok i próbował się skupić, by odzyskać szary kolor oczu. Pyłki kurzu tańczyły przed portretem Callisa. Pod oknem stało wiadro ze ślimakami. Miał ochotę je kopnąć.

--Dlaczego trzymasz w pokoju wiadro ze ślimakami? -- spytała Rachel.

--Co?

--Ślimaki.

--Bo tak.

Hael wyraźnie czekała na wyjaśnienia.

--Bo tutaj wchodzi -- dodał Dill. -- Wkładam je do wiadra i wynoszę.

--Dokąd?

Spojrzał na nią spode łba.

--Tak przy okazji, jakie szkolenie odbyłaś?

--Co z nimi robisz?

Dlaczego ona uczyła się tych ślimaków? Ze zniecierpliwieniem machnął książką.

--Na dół, do świątyni.

--Po co?

--Wypuszczam je.

--Dlaczego?

--Nie wiem! -- Po prostu to robił. Nie chciał ich tutaj, więc je wynosił i zostawiał w korytarzach za celami kapłanów. Hael próbowała odwrócić jego uwagę od najważniejszej sprawy, ale on nie da się nabrać na takie sztuczki. -- Dlaczego ty?

Rachel Hael westchnęła przeciągle.

--Rano przyniesiono truchło pod drzwi świątyni. Mówi się o kolejnym złodzieju dusz grasującym w mieście, jakby jeden nie wystarczył. Może to jakaś nowa moda. --

Wzruszyła ramionami. -- Zapewne kapłani wołają, żeby w twoich żyłach jednak została krew.

Rano?

--Ale Noc Blizn jest dopiero dzisiaj. Księżyc jeszcze nie zniknął.

--Naprawdę? -- Hael ziewnęła teatralnie.

Wiec teraz miał swojego kieszonkowego nadzorcę, chuchrowatą dziewczynę, która sądziła, że coś wie o złodziejach dusz. Może przeczytała jakąś książkę na ten temat. Jeszcze mocniej zapiekły go oczy.

--Co ta historia ma wspólnego z tobą?

--Bóg jeden wie.

Dill nagle zrozumiał. Rozpoznał jej strój. Przyjrzał się ponownie rękojeści jej miecza i tym razem zauważył, że jest bardzo zniszczona. Ogarnął go niepokój. To dlatego jest taka blada.

--Jesteś Spine -- stwierdził.

--Spine. -- Niemal wypluła to słowo. -- Nienawidzę tego określenia. „Kręgosłup” świątyni, bardzo szlachetne. Już wołę Nocnego Łowcę. Czy nie tak nazywają nas ludzie z gminu? W każdym razie do chwili, kiedy zostają zawleczeni na przesłuchanie.

Co ona tutaj robi? Członków Spine zwykle nie wyznaczano do innych zadań. To było niemożliwe po szkoleniu, które przeszli. Co sobie myślał prezbiter? Rachel przerwała jego rozważania.

--Wiadomość dla ciebie. Rzuciła mu pakunek owinięty w gruby papier. Dill próbował chwycić go niezdarnie. Paczka upadła na podłogę i się otworzyła. Zawierała żelazny klucz na łańcuchu i liścik od prezbitera.

Pamiętaj, żeby poza świątynią zamykać klatkę na dusze. Dopóki martwi nie zostaną pobłogosławieni, piekło będzie ich szukać, a ja nie chcę, żeby Labirynt otworzył tutaj swoje wrota. Bóg wie, co mogłoby przez nie uciec. I nie zgub klucza. To jedyny, który mamy, a liczy sobie trzy tysiące lat.

Dill zgniótł kartkę i wrzucił ją do kominka. Nie zgub klucza! Czy oni uważają go za idiotę? Callis spoglądał na niego z pogardą ze swojego szklanego pola bitwy. Nawet jego wrogowie już nie wyglądali na przerażonych, tylko uśmiechali się szyderczo.

--Dobre wieści? -- zainteresowała się Rachel.

Dill spochmurniał.

--Taki ranek -- rzuciła z westchnieniem Hael. -- Co prawdopodobnie oznacza, że będzie jeszcze gorzej.

Zachowywała się bardzo dziwnie jak na Spine. Zwykle adepci robili to, co im kazano, bez mrugnięcia okiem czy zbędnych słów. Nigdy nie byli źli ani sfrustrowani... i z pewnością nie sarkastyczni czy niegrzeczni. Miało to coś wspólnego z ich szkoleniem, jak przypuszczał. Ale ta Rachel była niezwykle emocjonalna, więc Dill zaczął podejrzewać, że dręczy ją coś innego niż nowa dla niej rola nadzorcy anioła. Nic go to jednak nie obchodziło.

--Zobaczymy się po ceremonii -- powiedziała Hael.

--To nie będzie konieczne.

--Nie masz wyboru. Ja też.

Na zewnątrz znowu zahuczały silniki sterowca bojowego. Z dołu dobiegły pokrzykiwania

obsługi doków, a potem bicie dzwonów. Dillowi aż zęby ścierpły od tych hałasów.

--*Adraki* - rzuciła Rachel cierpkim tonem. -- Wygląda na to, że Markowi udało się przycumować statek flagowy bez zburzenia świątyni. -- Widząc jego zdziwioną minę, wyjaśniła: -- Mark Hael, mój brat.

Teraz Dill przypomniał sobie, gdzie wcześniej słyszał jej nazwisko. Mark Hael został mianowany dowódcą floty powietrznej Deepgate po tym, jak sterowiec jego ojca, generała Edwarda Haela, przeszła nad północnymi Martwymi Piaskami ognista strzała Heshette. Przez wiele dni, w czasie licznych burz piaskowych, aeronauci szukali ciała komandora we wraku. Nagle stało się jasne, dlaczego *Adraki* przycumował do świątynnego doku. Znalezionego Edwarda Haela. Ojciec Rachel miał w czasie porannej ceremonii zostać przekazany otchłani razem z innymi zmarłymi.

--Znaleźli go. Twojego ojca. Rachel zaplotła ręce na piersi.

--Będziesz na ceremonii Wysłania -- stwierdził Dill.

--Nie, jeśli to będzie zależało ode mnie -- powiedziała, odwracając się do drzwi.

--Ale...

Rachela szła do wyjścia.

--Poczekaj! -- zawołał za nią Dill, machając podręcznikiem. -- Wspomniałaś coś o szermierce i truciznach. -- Nie obchodziło go ani jedno, ani drugie, ale nie zamierzał jej tak łatwo wypuścić. Nie teraz, kiedy dręczyło go tyle spraw. -- Skoro masz...

Rachel zatrzymała się w połowie celi, z sakiewki przy pasie wyjęła małą czarną fiolkę i rzuciła mu ją.

--Chcesz się czegoś dowiedzieć o truciznach? Wypij to.

I wyszła.

Dill stał przez dłuższy czas na środku celi, trzymając w rękach fiolkę, książkę i klucz, i próbował zebrać myśli. Czuł się oszukany. Dlaczego Spine? To jego pierwszy dzień służby, a za nim jak cień snuje się świątynny asasyn. Gorzej. Świątynny zabójca ma go uczyć. A przecież oni nie są uczonymi. Ani nawet normalnymi żołnierzami. To Nocni Łowcy! Co ludzie sobie pomyślą? Dill ścisnął klucz tak mocno, że zabolą go dłoń.

Nie zgub klucza.

Na bogów, był świątynnym archontem, a nie dzieckiem. Zwinął łańcuch i cisnął go na półkę nad kominkiem. Obok niego położył fiolkę i podręcznik. Przy okazji zauważył małego ślimaka, którego wcześniej tam nie było. Pstryknął w niego palcem i usłyszał, jak skorupka odbija się od przeciwległej ściany.

--Drań!

Wzwał buty i zaraz je zdjął, klnąc pod nosem. Sięgnął po spodnie.

Okazały się za duże, ale spiął je pasem. Koszula cisnęła go na plecach wokół skrzydeł, a system rzemyków był zbyt skomplikowany, żeby Dill mógł sam sobie z nim poradzić. Połowę pasków zostawił niezawiazaną. Uznał, że i tak nikt nie zobaczy ich pod marynarką. Zresztą z włożeniem sztywnego surduta też miał kłopoty. Oto kolejny strój niedopasowany do skrzydeł. Widać, że nieudolny świątynny krawiec, wyspecjalizowany w szyciu sutann, nigdy nie musiał nosić tego diabelstwa.

Gdy wreszcie się ubrał, wziął głęboki oddech i poczekał, aż jego pomarańczowe oczy z powrotem przybiorą stosowny szary kolor. W końcu przyjrzał się sobie krytycznie.

Ślimaki zostawiły tłuste ślady z boku marynarki. Poza tym brakowało w niej jednego srebrnego guzika. Buty były za luźne i nieco zdarte, spodnie się marszczyły, a tu i ówdzie przywarły do nich nitki pajęczyny. Wyglądał jak głupiec.

--Jestem świątynnym archontem -- oznajmił, zwracając się do portretu swojego przodka, ale wcale nie poczuł się lepiej. Zdjął miecz ze ściany i wsunął go do pochwy zawieszanej przy pasie. Co z tego, że głowica jest starta? Może to nie miecz Spine, ale kiedyś należał do Callisa, i to mu wystarczało. Poklepał jelec. Asasynka Spine pewnie była po prostu zazdrosna. Dill zdjął piórko z rękawa, strzepnął wyimaginowany kurz, po czym, dumnie ściskając rękojeść miecza, wymaszerował z pokoju, żeby rozpocząć pierwszy dzień pracy. Chwilę później wrócił po klucz.

ROZDZIAŁ 4 PŁATNERZ

Całe miasto schodziło panu Nettle z drogi. Tłum rozstępował się na pchlim targu Applecross, wrzeszczący kupcy ścisiali głosy, handlarze uliczni, służący, zonglerzy i głupcy uskakiwali na bok, nawet żebracy przestawali zawodzić i pobrzękiwać monetami w kubkach. Może chodziło o samą jego posturę, o posiniaczoną i zakrwawioną twarz albo o sposób, w jaki kroczył przed siebie, z zaciśniętymi szczękami i pięściami, jakby chciał kogoś zdzielić. I mógłby to zrobić, gdyby w porę przed nim nie umykali.

Miał zamiar wrócić prosto do Ligi, do domu, i poszukać zapomnienia w butelce, ale nogi zaprowadziły go na wschód od Merrygate, do dzielnicy płatnerzy.

Ze względu na liczbę kuźni i ciężkiego kamienia było tu więcej łańcuchów niż gdzie indziej w Kolonii, ale nie czuło się ich ani nie widziało całej konstrukcji. Pracowali przy nich sami kowale, dodawali kolejne, wzmacniali stare żelazo nowym, więc pan Nettle musiał teraz nieźle kluczyć, żeby znaleźć drogę. Łańcuchy były połączone ogromnymi klamrami grubości przedramienia albo przyśrubowane do ogniw w miejscach, gdzie pękły spawy. W bruk albo w ściany wbito wielkie sworznie, tak że gdzieniegdzie pod nogami miało się tylko żelastwo. Powstała w rezultacie tych napraw i ulepszeń płatanina metalu przy najmniejszym tchnieniu wiatru zaczynała drgać i śpiewać pieśń, która niosła się na mile w głębokiej ciemności pod ulicami miasta.

Zaułek Czarnych Płuc miał trafną nazwę. Cegły pokrywał brzydki nalot z sadzy. Przy każdym oddechu wyraźnie czuło się w ustach węgiel, a kiedy się s pluwało, ślina była czarna. Po obu stronach uliczki ciągnęły się kuźnie. Przez rury w ich ścianach wydobywał się dym i zawisał jak baldachim nad budynkami. Umieszczone nad drzwiami szyldy z kutego żelaza kołysały się i skrzypiały, choć nie było wiatru. Słońce

ledwo przeświecało przez poranne mgły, ale cała okolica już tętniła życiem. Zaułkiem płynął strumień tragarzy, którzy dźwigali węgiel, drewno, ciężkie skrzynie z surowym albo przerobionym żelazem. Cała ulica trzęsa się od ich kroków. Przed Nocą Blizn mieszkańcy wstali wcześniej, żeby jak najlepiej wykorzystać dzień, wykonać pracę, nim zajdzie słońce.

Dzwonił metal. Brzęczała stal. Huczały ognie. Zgrzytały łopaty, ludzie się pocili. Młoty uderzały o kowadła: brzdęk, brzdęk, brzdęk. Pan Nettle przepchnął się między tragarzami, pokonał łańcuchy i schylając się, wszedł w niskie drzwi po drugiej stronie alejki.

W środku dwaj mężczyźni o zarumienionych twarzach dokładali do pieca. Trzeci pochylał się nad kowadłem i walił młotem w rozżarzony do czerwoności miecz.

--Czego? -- burknął, nie podnosząc wzroku na intruza.

--Chcę pohandlować -- zagaił pan Nettle. Kowal zerknął na niego, nie przerywając pracy.

--Co za co?

Pan Nettle odpowiedział. Mężczyzna prychnął i rzucił krótko:

--Następne drzwi.

Na pożegnanie pan Nettle usłyszał śmiech.

Potem chodził od drzwi do drzwi, od jednej kuźni do drugiej, i w każdej napotykał ponure miny. Rechet kowali rozprzestrzeniał się po ulicy jak plaga, reakcja wszędzie była taka sama: „obok”, „następne drzwi”. Nigdzie w Zaułku Czarnych Płuc nie proponowano za tasak więcej jak cztery pensy i nigdzie nie chciano dać mu w zamian tego, czego potrzebował. Zanim dotarł do końca alejki, w głowie dźwięczały mu śmiechy, okrzyki i brzęk metalu.

Zaulek kończył się gwałtownym spadkiem w miejscu, gdzie zsunął się z łańcuchów. Mógł ześliznąć się w przepaść za tydzień albo za rok.

Z drugiej strony, takie ulice potrafiły trwać w stanie zagrożenia, zdawałoby się w nieskończoność, a mieszkańcy jakoś sobie radzili. Śmieci zmywane przez deszcze zebrały się na dole w gnijące hałdy. Ostatnia kuźnia wisiała w nieprawdopodobnej kołysce z łańcuchów i dźwigarów jak w sieci utkanej z kabli i sznurów. Drzwi były przekrzywione i zatarasowane przez skrzynie. Pan Nettle miał kłopoty z wejściem do środka.

Pod kowadło właściciel warsztatu wsunął kamienny blok, żeby stało prosto, i potężnym młotem bił w szpikulec z gorącego żelaza tak mocno, że każde uderzenie groziło runięciem całej ulicy w otchłań. Był stary jak na kowala, chudy i żyłasty, twarz miał brudną i pooraną zmarszczkami. W blasku pieca jego skóra wyglądała jak upieczona. Kiedy padł na niego cień przybysza, mężczyzna podniósł nań wzrok i powiedział:

--Trudna sprawa, co? Tutaj nie przychodzi nikt, kto mógłby dobić targu gdzie indziej. Ludzie pewnie myślą, że mam nierówno pod sufitem.

--Ci inni to złodzieje -- stwierdził pan Nettle.

--O, tak. -- Kowal nie przerywał pracy. Spłaszczył oba końce gorącego żelaza, potem wygiął je w środku, formując wspornik. -- Ale człowiek musi jeść, więc dobija targu, żeby mieć co do garnka włożyć, zwłaszcza ja. Sześćdziesiąt lat haruję w tej kuźni i interes idzie gorzej niż kiedykolwiek. Ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na coś lepszego, nie przychodzą aż tutaj. Boją się, że ulica zawali się pod ich ciężarem.

--Ja chcę pohandlować.

Kowal chwycił wspornik długimi szczypcami i wrzucił do kadzi z wodą. Z wściekłym sykiem buchnęła z niej para. Płatnerz otarł czoło szmatą.

--Zobaczmy, co tam masz. Pan Nettle podał mu tasak.

--Cóż, stal mogę wykorzystać, ale co za nią chcesz? -- zapytał kowal. Pan Nettle się zawahał.

--Kuszę.

Płatnerz zrobił minę, która mogła być grymasem albo tylko wyrazem zmęczenia.

--Widzisz tu gdzieś broń? -- zapytał. -- Robię bolce i wsporniki na ściany i mam szczęście, jeśli dostaję za nie pensa. Nikt nie płaci za żelastwo zrobione nad przepaścią, jeśli nie jest tanie jak piasek.

--Wygnieś metal, jeśli go przyniosę? Drewno przytnę sam.

--Nie za to. -- Kowal oddał tasak panu Nettle.

--Zapłacę dodatkowo za robotę.

--Dobra, wróć tutaj. Jak przyniesiesz więcej stali, pogadamy.

--Potrzebuję broni dzisiaj. Kowal pokręcił głową.

--Naprawdę ciężka sprawa. Zrobić kuszę w jeden dzień, w dodatku za taki mały zadatek...

--Mogę odpracować dług -- zaproponował pan Nettle. -- Dorzucać do pieca, nosić węgiel. Albo robić te wsporniki, jeśli mi pokażesz jak.

--Po co ci kusza?

Pan Nettle nie odpowiedział.

Kowal spojrział na jego podartą szatę żalobną, na siniaki i krew na twarzy. Po chwili rzekł:

--Dzisiaj czarny księżyc, co? Jeśli wybierasz się na polowanie, to nie sądzę, żebyś

spłacił dług.

Pan Nettle się zjeżył. Nie sięgał myślami poza Noc Blizn, sądził, że to mało ważne. Ale płatnerz miał rację, że był ostrożny. Dług to dług i trzeba go oddać. Każdy człowiek ma prawo jeść, a jeśli on nie wróci, będzie tak, jakby oszukał kowala. Równie dobrze mógłby mu ukraść jedzenie ze stołu. W tym momencie pan Nettle poczuł ssanie w brzuchu i bardziej niż kiedykolwiek zapragnął wrócić do swojej butelki.

--Posłuchaj -- zaczął kowal -- mówileś o przycinaniu drewna. Jesteś cieślą? Umiesz robić takie rzeczy? Strzelałeś kiedyś z kuszy? Widziałeś jakąś?

--Nie -- przyznał pan Nettle. Czuł się tak jak wcześniej na Moście Bramnym, jak ofiara okoliczności, kiedy to pomimo całego jego gniewu i siły otaczające go mury okazały się potężniejsze.

--Tak myślałem. Może lepiej zrezygnować, dać sobie spokój.

--Nie mogę. -- Pan Nettle zacisnął zęby.

--Przykro mi. -- Kowal się odwrócił.

Pana Nettle ogarnęła desperacja. Chwycił mężczyznę za ramię, mocniej, niż zamierzał. Już miał poprosić: „pomóż mi”, ale słowa uwięzły mu w gardle. Wykrztusił jedynie:

--Zapłacę, będę dla ciebie pracował. -- Był zaskoczony, kiedy usłyszał drzenie w swoim głosie. Zupełnie, jakby mówił ktoś inny.

Kowal zmierzył go wzrokiem. W blasku ognia jego twarz wyglądała jak odlana z brązu. Co też czaiło się w jego oczach? Pan Nettle nigdy wcześniej nie widział takiego wyrazu. Puścił kowala i ruszył do wyjścia, jednocześnie zawstydzony i przestraszony, że płatnerz usłyszał jego niewypowiedziane błaganie. Był głupcem, że tutaj przyszedł. Cholernym głupcem. Nie potrzebował niczyjej pomocy, teraz ani nigdy.

--Poczekaj -- rzucił za nim kowal.

Pan Nettle się zawahał. Jego uszy płonęły nie tylko od ciosów świątynnego strażnika.

--Chodź na zaplecze. Mam coś, co mógłbym ci pożyczyć... Jeśli na to zapracujesz.

Podłoga była tak mocno nachylona, że pan Nettle miał kłopoty z przejściem po niej. Musiał iść bokiem, dla równowagi wyciągając ręce w bok, ale i tak się ześlizgiwał. Gospodarzowi stromy spadek najwyraźniej nie przeszkadzał. Szedł przez warsztat dziwnym krokiem, powłócząc nogami jak kaleka.

Przez przekrzywione drzwi weszli do mrocznej kamiennej celi, w której pan Nettle ledwo mógł się wyprostować. Głową ocierał o kamienny sufit albo ścianę. W kącie, niemal ukosem, stała na podłodze -- albo na ścianie -- prycza zasłana słomą.

Dostrzegłszy jego spojrzenie, kowal powiedział:

--Z początku ustawiałem ją tak, żeby stała prosto. Ale pewnego dnia stwierdziłem, że już nie potrafię spać w płaskim łóżku. Człowiek przyzwyczaja się do różnych rzeczy.

Od nachylenia pokoju panu Nettle lekko kręciło się w głowie. Na długich gwoździach wbitych w ściany wisiały dziesiątki żelaznych wsporników i sworzni pod takim kątem jak wskazówki zegara ustawione na godzinie siódmej albo ósmej. Kowal ukląkł przed wielką skrzynią z ciemnoczerwonego drewna o wyraźnych słojach, solidnie okutą żelaznymi pasami. Otworzył ją i pogrzebał w środku. Wyjął narzędzia, głównie młoty i szczypce o różnych rozmiarach, niektóre mocno zużyte. Odłożył je na bok.

--Jest. Pomóż mi.

Razem wyjęli duży pakunek owinięty w jutowy worek i położyli go na podłodze.

Była w nim broń: cztery noże bez trzonków, ale z dobrymi ostrzami; prosty krótki miecz z rodzaju tych, jakich czasami używali rezerwiści Deepgate; cep bojowy o naoliwionych, żłobkowanych kolcach i duża kusza z cisowego drewna wzmocnionego stalą, z topornym urządzeniem na końcu kolby, podobnym do kołowrotu.

--Płacono mi lepiej, zanim ulica się osunęła -- powiedział kowal. -- Kiedyś wyrabiałem nie tylko gwoździe.

Pan Nettle wziął broń. Z powodu okuć i grubego drewna ważyła tyle co worek węgla.

--Nie jest przeznaczona do noszenia -- wyjaśnił płatnerz. -- Świetna sztuka, zrobiona dla kupca, który chciał zamontować ją na wozie, kiedy podróżował do Plantacji. Nie wygląda najpiękniej, ale potrafi przeszyć człowieka na wylot.

Urządzenie, które tu widzisz, to kołowrót do naciągania cięciwy. Mam tu gdzieś cięciwę, zawiniętą w brezent. -- Ponownie sięgnął do skrzyni i rzucił przez ramię: -- I tylko trzy belty, próbki, które dostałem od wytwórcy luków. Zamierzałem zrobić ich więcej, ale kupiec już się u mnie nie pojawił. Przypuszczam, że w czasie ostatniej podróży dopadli go Shetties. Ale weź te trzy. A tu jest cięciwa. -- Kiedy się odwrócił, jego oczy błyszczały.

Pierwszy belt miał do jednego końca przyczepiony szklany zbiorniczek z gęstym płynem.

--Środek zapalający -- wyjaśnił kowal. -- Musisz z nim uważać. -- Ostrożnie odłożył belt. -- Jest wielu rezerwistów ze szklanym okiem i poparzoną skórą, którzy w pobliżu czegoś takiego zapalili fajkę.

Drugi grot miał na końcu stalowy półksiężyc.

--Służy do polowania -- powiedział płatnerz. -- Kupiec chyba sobie wyobrażał, że w wolnych chwilach, kiedy nie będzie musiał bronić marchewki przed poganami, zapołuje sobie na jastrzębie albo sępy. Podejrzewam, że coś takiego może ci się przydać, co? Nie jest zatruty, ale wystarczy zanurzyć czubek w ptasim gównie, a wtedy wystarczy najmniejsze draśnięcie.

Ostatni belt miał na końcu kapturek z grubej skóry. Kowal sięgnął po szczypcę i zdjął go bardzo ostrożnie, odsłaniając prosty, ostry czubek ze stali.

--To prawdziwa rzadkość. Może już stracił moc, ale nigdy nie wiadomo. Nie dotknę go, żeby się przekonać. -- Obrócił grot w palcach, jakby był zrobiony z najdelikatniejszego szkła. -- Zaraza, najlepsza, od samego Devona. Z pajaków, które rosną w ciele człowieka, nie kłamię. Wiesz, jak działa?

Pan Nettle pokręcił głową. Kowal uśmiechnął się szeroko.

--Rana nigdy się nie goi. Nigdy. Nie przestanie krwawić, dopóki nie zabraknie krwi i nie przyjdzie Labirynt, żeby upomnieć się o swoje. -- Ostrożnie założył z powrotem kapturek na czubek strzały. -- „Złodzieje dusz”, tak je nazywają. -- Zerknął na podartą szatę żalobną klienta. -- Podoba ci się?

--Pożyczysz mi kuszę? -- zapytał pan Nettle.

--Tak, pożyczę. A w zamian chcę twojej pracy. Trzeba przewieźć z magazynów dwie tony surówki i przed zmierzchem dostarczyć do Rins cetnar wsporników.

Pamiętaj, że masz spłacić dług przed zachodem słońca. -- Kowal wyglądał na skrzępowanego. -- Bez obrazy, ale pamiętam, jaka jest dzisiaj noc.

Pan Nettle opuścił kuszę.

--Nie mogę jej wziąć.

--Co?

--Jest za droga. Nie dam rady za nią zapłacić.

Cały dzień pracy nie wystarczyłby na oddanie długu. Poza tym istniała możliwość, że kowal nigdy więcej nie zobaczy tej broni. Obaj to wiedzieli. Dobroć tego człowieka była jak cios pięścią. Pan Nettle odwrócił się, żeby ukryć zakłopotanie. Musiał znaleźć inne wyjście.

--Posłuchaj, synu -- rzekł kowal. -- Wyświadczyłbyś mi przysługę. Ci dranie płacą dwadzieścia dublonów za skrzynkę żelaza, więc nie mogę sobie pozwolić na tragarzy. I co mi z tego łuku, skoro leży tutaj bezużytecznie i pokrywa się kurzem?

Pan Nettle nie śmiał na niego spojrzeć.

--Mógłbyś ją sprzedać -- podsunął.

Kowal odchrząknął.

--Komu? Widziałeś kiedyś rezerwistę z pełną sakiewką? W dzisiejszych czasach te pijusy nie mogą sobie pozwolić nawet na jedzenie. Regularni mają pieniądze, ale broń kupuje im świątynia, i to nie taki złom jak ten tutaj.

--Jakiś kupiec?

--Mają własne statki powietrzne. A, na bogów, i tak muszą za nie płacić duże podatki. Znajdź mi kupca, w kieszeni którego świątynia nie trzyma ręki, a może coś mu sprzedam, ale ci, którzy nie mieli pełnych kufrów, żeby opłacić Spine i Avulsiora, już dawno stąd wyjechali, napiętnowani jako poganie. Wykonaj dla mnie pracę, ale zabierz to cholerstwo sprzed moich oczu, zanim kapłani je znajdą i wezmą jako podatek.

Pan Nettle się zawahał.

--Biedacy tacy jak my muszą sobie pomagać -- dodał kowal. -- Nikt inny tego nie robi.

W końcu pan Nettle skinął głową.

--Dobrze. -- Płatnerz pokazał mu, jak umocować cięciwę i załadować belt za pomocą kołowrotu. -- Ale pamiętaj, że są tylko te trzy pociski. Więcej nie ma. Jeśli powiedzmy, będziesz chciał strzelić w coś, co znajduje się wysoko, będziesz musiał piekielnie dobrze wycelować albo mieć trochę szczęścia.

Pan Nettle nigdy dotąd nie trzymał w ręce kuszy, nie mówiąc o strzelaniu z niej. Jeśli chodzi o szczęście, to też nigdy mu nie dopisywało. Ale teraz przynajmniej miał szansę, że wszystko naprawi i poczuje się jak dawniej. Przed zapadnięciem nocy spłaci dług wobec tego człowieka, a potem wyrówna rachunki z aniołem. Uniósł kuszę do oka i wyobraził sobie zarys skrzydeł pośród ciemności.

--Jak się nazywasz? -- spytał.

--Kowal -- odparł płatnerz, uśmiechając się jak spiskowiec.

ROZDZIAŁ 5 DUCHY, TRUCIZNY I CIASTKA

Prezbiter Willard Sypes obserwował i rejestrował ruchy duchów. Żeby lepiej widzieć otchłań, pogasił lampy w obserwatorium, zostawiając tylko kilka świec migoczących w kryształowych latarenkach. W mroku jego czarna sutanna była prawie niewidoczna, tak że

głowa unosiła się, niczym zjawa, nad biurkiem, popękanym i żółtym jak leżący na nim pergamin, a z artretycznej dłoni, która wyglądała jak oddzielona od reszty ciała, wyrastało gęsie pióro.

Fogwillowi Crumbowi wydało się, że plamista czaszka prezbitera pochylona nad księgą znieruchomiała na chwilę. Skóra na twarzy zwisała faldami jak stopiony wosk. Spojrzenie małych, chitynowych oczu przesunęło się, kiedy stary kapłan zanurzył pióro w atramencie, a następnie wpisał kilka słów do dziennika.

Potem Sypes odłożył pióro i z trudem nachylił się do okularu auroletyskopu. Przez krótką grzeszną chwilę Fogwill zastanawiał się, czy to skrzypnęło krzesło, czy stare kości jego przełożonego.

Auroletyskop zajmował większą część laboratorium. Kiedy Sypes przesunął rączkę, urządzenie z mosiądzu ruszyło jak mechanizm ogromnego zegara. Koła i tryby zaczęły się obracać z różną szybkością. Kolumna z soczewkami uniosła się gładko nad otworem w podłodze, kiedy prezbiter ustawiał ostrość. Na wirujących, wypolerowanych powierzchniach migotały odbicia świateł, przez co machina wyglądała jak zrobiona ze złota. Niski i okrągły adiunkt Fogwill stojący za mistrzem prezentował się dostojnie w ceremonialnej szacie. Łysą głowę miał gładką i twardą jak orzech, twarz pulchną i przyprószoną ulubionym talkiem z Clune. Na jego palcach lśniły pierścienie z dużymi rubinami osadzonymi w złocie, subtelnymi szmaragdami w srebrze i bursztynami pasującymi do jego wesółych oczu.

--Czy światełka dusz są jasne dzisiaj rano? -- zapytał.

Prezbiter spojrział w okular.

--Nie. Jak zresztą od wielu dni. Podejrzewam, że wzrok mnie zawodzi.

--Może martwi są mniej niespokojni.

Sypes odchylił się na oparcie krzesła. Wyglądał, jakby garbił się nad auroletyskopem przez całą noc.

--Albo czujniejsi -- powiedział.

Wpisał kolejne zdanie do dziennika i zamknął go z hukiem. Kurz osiadł dopiero po dłuższej chwili.

--Wzywaleś mnie, panie -- przypomniał Fogwill. Sypes odwrócił się do wtóru głośnych chrupnięć.

--Nie sądzę.

Crumb złożył palce pod brodą, próbując dociec, czy starzec się z nim droczy. W końcu wyciągnął z rękawa zwój pergaminu.

--Dostałem wiadomość.

--Tak, tak. -- Sypes sprawiał wrażenie poirytowanego. -- Wszystko gotowe do Wysłania?

Fogwill zrolował zwój i schował go z powrotem do rękawa.

--Przygotowania prawie ukończone. Sanktuarium wyszorowane i pobłogosławione, zadbałem również o nowe świece...

--Nieperfumowane?

Adiunktowi zrzęda mina, ale szybko się opanował.

--Rozumiem -- rzekł prezbiter. -- Czy zawsze musimy znosić te burdelowe zapachy?

--Perfumy maskują smród zgnilizny. Sypes pochylił się i pociągnął nosem.

--Najwyraźniej.

Fogwill cofnął się o krok, ale zachował cierpliwy wyraz twarzy. Rzeczywiście, coś tutaj dziwnie pachniało. Spojrzał na kominek. W żarze tlił się gruby plik pergaminu, a wokół jego osmalonych brzegów snuł się niebieskawy dym.

--Poezja -- powiedział prezbiter, dostrzegłszy spojrzenie Fogwilla. -- Wkład pewnego rzeźnika z Applecross do Kodeksu: sto sposobów na obdarcie kota ze skóry.

--Humorystyczne dzieło? -- zainteresował się Fogwill. -- Niewątpliwie bardzo długie jak na poezję.

--Nie dla kotów -- odburknął Sypes. -- Niech Bóg broni, żeby jeszcze więcej plebejuszy nauczyło się pisać. -- Z dramatycznym zacięciem pokręcił głową i odchylił się do tyłu. Krzesło, albo kości, zaprotestowało cicho. -- Jak Dill?

--W drodze do klatki na dusze.

--Myślisz, że jest gotowy? Adiunkt wzruszył ramionami.

--Hmm. -- Wargi Sypesa zadrżały. -- Chłopak ma... ile? Dziesięć lat?

--Szesnaście -- sprostował Fogwill. Jak sam dobrze wiesz.

Dill już o rok przekroczył wiek, kiedy zgodnie z Kodeksem powinien zostać Strażnikiem Dusz, co nie umknęło uwagi mieszkańców Deepgate. Po śmierci Gaine'a zwrócono się do Borelocka, żeby przejął obowiązki anioła, i choć okazał się kompetentny, jego osoba nie budziła w wiernych entuzjazmu. Dill był czymś więcej niż tylko kościelnym sługą, czymś więcej niż symbolem. Był ogniwem spajającym teraźniejszość z przeszłością, z początkami samego Kościoła. Jako żyjący potomek herolda Ulcisa stał się więzią łączącą ludzi z bogiem. Ale poza świątynią huczało od plotek. Czy ród Callisa wymarł wraz ze śmiercią ojca Dilla? Jeśli jego linia wygasła, czy Ulcis dotrzyma obietnicy złożonej tym, którzy oddają mu cześć? Czy zostawi ich na pastwę Irilowi, Labiryntowi Krwi? Życie w Deepgate było ponure, czasami burzliwe. Kościół od dawna wiedział, że jeśli chce przyciągnąć wiernych, musi dać im coś, czego mogliby się trzymać.

Fogwill był zaskoczony, że w tej kwestii prezbiter zlekceważył nakazy Kodeksu, ale jednocześnie przypisał to wyraźnemu pogorszeniu sprawności umysłowej starca. Dopiero później zaczął podejrzewać, że jego przełożony bywa zdziecinniały tylko wtedy, gdy mu to odpowiada.

Sypes przesunął palcem po brodzie, zostawiając na niej granatową smugę atramentu. Fogwill od razu zaczął się zastanawiać, czy ten gest był celowy.

--Nie możesz go wiecznie ukrywać w wieży, panie -- stwierdził. Prezbiter pokiwał ze znużeniem głową.

--Oczywiście masz rację. Ale nic nie mogę poradzić na to, że się o niego boję. Wystarczy jedna strzała, jeden nóż, jeden zatruty kubek.

--Jeszcze nie jest za późno, żeby wytrenować go w walce -- zauważył Fogwill. -- Mogłaby się tym zająć straż świątynna... albo nawet Spine, to znaczy... -- Miał na myśli każdego adepta Spine z wyjątkiem Rachel Hael. Uważał jej nominację za absurd. Sypes wybrał najgorszego asasyna w Deepgate, żeby nadzorował szkolenie Dilla.

--Hael bez wątplenia zdoła nauczyć go przynajmniej podstaw -- rzekł prezbiter.

--No, cóż -- bąknął Fogwill. Jeśli anioł istotnie czegoś się od niej nauczy, z pewnością będą to bardzo podstawowe rzeczy. Do licha, ta dziewczyna nawet nie została zahartowana. -- Za pozwoleniem, myślę, że czas poszukać mu żony. Sypes zmierzył go

chłodnym wzrokiem.

--Rodziny zawsze były dobrze wynagradzane -- ciągnął adiunkt. -- Przedtem i potem.

Prezbiter chrząknął.

--On potrzebuje kobiety, która go poślubi bez tych wszystkich... -- Wykonał ręką nieokreślony gest.

--Dziewczęta mają inne motywy...

--Bzdury! Pamiętam żonę Gaine'a w dniu jej ślubu, ten przyklejony uśmiech. --

Sypes westchnął przeciągle i powędrował spojrzeniem ku otworowi w podłodze. -- A teraz jest tam na dole i nas obserwuje. -- Oparł brodę na dłoni i zapatrzył się w otchłań.

--Co oni tam knują, ci martwi, Fogwill? Ukrywają się, dąsają, intrygują i spiskują w tej swojej norze. -- Ściszył głos do szeptu. -- A tutaj ja niknę w oczach jak stary atrament na pergaminie. Wkrótce do nich dołączę. -- Podkreślił ostatnie słowa, stukając palcem w biurko. -- I myślę, że oni to wiedzą.

Patrząc na plamistą skórę i drżące ręce, Fogwill pomyślał, że starzec prawdopodobnie ma rację.

--Nonsens -- zaprotestował. -- Jesteś, panie, silny jak rumak.

--Małżeństwo -- mruknął Sypes. -- Zdam się na ciebie, Fogwill. Nie mam cierpliwości do takich spraw.

Wziął do ręki pióro i zanurzył je w buteleczce z czerwonym atramentem.

--Wiadomość, wasza wielbność. -- Chłopiec, który stanął w drzwiach, nerwowo miał wystrzępione mankiety.

--Na bogów, czy nikt już nie puka? -- zirytował się Sypes. Posłaniec uśmiechnął się szeroko, wręczył prezbiterowi zwój, uklonił się krótko i uciekł jak szczur.

Sypes rozwinął list, odsunął go na długość ręki i zmrużył oczy.

--Dobrze, dobrze -- wymamrotał. -- *Adraki* przycumował. Ciało Edwarda Haela już jest w świątyni.

--To świetna wiadomość -- ucieszył się Fogwill. Sypes martwił się o generała przez wiele dni. -- Jego syn i córka odetchną z ulgą.

Prezbiter czytał dalej, marszcząc brwi.

--Ciało? -- zapytał ostrożnie adiunkt.

Sypes go zignorował. Odłożył list na biurko i wstał z krzesła. Sięgnął po laskę i rzucił krótko:

--Chodź ze mną.

Opuścili obserwatorium i zaczęli się wdrapywać po krętych schodach Spirali Akolitów. Grupa kapłanów zmierzających do sal misyjnych rozstąpiła się, żeby ich przepuścić. Wspinali się coraz wyżej, a Sypes przez cały czas mamrotał pod nosem, narzekając na serce, na kurz, na wszystko. W połowie drogi Fogwill otworzył kratę i obaj weszli w mroczne korytarze rozjaśnione eterowym światłem, prowadzące w stronę doku.

W przedsiönku czekał na nich Mark Hael. Dowódca aeronautów miał szczupłą twarz o skórze ogorzalej od pustynnego słońca, brązową na tle bieli munduru. Jego mankiety zdobiły trzy złote warkocze.

--Zostawiliśmy ciało na zewnątrz -- oznajmił. -- Ze względu na zapach. W powietrzu

rzeczywiście wisiał słaby odór rozkładu. Fogwill wstrzymał oddech i otworzył drzwi prowadzące do doku.

Zniszczona przez żywioly, porośnięta chwastami bazaltowa keja sięgała na odległość pięćdziesięciu kroków od muru świątyni. Była na tyle szeroka, żeby nie musiała mieć poręczy, ale znajdowała się na takiej wysokości, że Fogwill pożałował, że jej nie ma. Na jej końcu cumował *Adraki*. Pochwycona w sieć kabli srebrna powłoka górowała nad nimi i lśniła oślepiająco w słońcu. Bulaje i mosiężne części gondoli odbijały światło. Daleko w dole rozpościerało się Deepgate, zawieszane na łańcuchach pod błękitnym niebem.

--Dobry panie -- wykrztusił Fogwill, krzywiąc nos. Jego perfumy okazały się zdecydowanie za słabe.

--Przylecieliśmy z Sandport w ciągu jednej nocy -- powiedział Mark Hael. -- Opróżniliśmy zbiorniki, żeby dotrzeć tu na czas.

Fogwill go nie słuchał. Patrzył na trupa.

Zwłoki generała Edwarda Haela leżały na plecach, jego poczerniałe palce były zaciśnięte na piersi. Spękaną skórę pokrywała zaschnięta krew i zwęglone strzępy munduru, w miejscu oczu ziały czarne, puste oczodoły. Nagie podeszwy stóp skojarzyły się Fogwillowi z przypalonymi szynkami. Sypes zakaszłał.

--Jesteście pewni, że to on? -- spytał.

Mark Hael pokiwał głową. Sięgnął do kieszeni i podał coś prezbiterowi.

--Dzikusy Heshette strąciły *Skylarka* w pobliżu Dalamoor. Po uderzeniu w ziemię pękł zbiornik paliwa. Trochę czasu zabrało nam oczyszczenie terenu i dotarcie do wraku. Żadnych ocalałych. Cała załoga... jak on. Sypes patrzył na to, co trzymał w ręce.

--Paskudna sprawa -- rzekł po chwili.

--Jest suchy jak wiór -- stwierdził Fogwill.

--Dzisiaj pošlemy jego duszę na dół -- zapowiedział prezbiter. -- Ale...

Gdy Sypes uniósł rękę, Crumb zobaczył, że prezbiter ściska w niej garść medali.

--Trochę krwi przepadło, adiunkcie. Trochę. Mało jak na Edwarda. Miał jej pełno.

--Z zakłopotaniem spojrział na ciało. -- Był oddanym, świetnym żołnierzem i dobrym człowiekiem. Uważam, że jego dusza przetrwała nietknięta.

Mark Hael skłonił głowę.

--Prezbiterze...

--Może pan nas zostawić, komandorze -- przerwał mu Sypes. -- Adiunkt i ja zajmiemy się wszystkim.

--Dobrze, wasza wielbność. -- Hael ruszył do drzwi.

--Komandorze?

--Wasza wielbność?

--Jeszcze nie poinformowałem pańskiej siostry.

Mark Hael skinął głową i wrócił do świątyni. Po jego odejściu Fogwill wyrzucił ręce w górę.

--Spójrz na to ciało, panie. To truchło! W tych żyłach nie zostało ani kropli krwi. Dusza jest już w Irilu.

--Mark Hael to dobry chłopak -- wymamrotał Sypes, bardziej do siebie. -- Kiedyś będzie świetnym generałem. Dobra krew, co? Nie są nam potrzebne tarcia między Kościołem a wojskiem. -- Zmrużył oczy przed słońcem i spojrział na pustynię. -- Nie teraz.

--Nie możesz, panie, pobłogosławić tego czegoś! Ulcis będzie wściekły.

Prezbiter machnął z lekceważeniem ręką.

--Niewielu jest pobożnych żołnierzy takich jak generał Hael. Bóg łańcuchów potrzebuje dobrych wojowników.

--Ale jego dusza jest już w Labiryncie! -- wykrzyknął adiunkt.

--Nonsens.

Crumb pokręcił głową.

--Sprowadzę tragarzy -- burknął, żeby uciec od odoru spalenizny.

--Nie, Fogwill. Nie zostało dużo czasu do Wysłania. Spróbuj ściągnąć Devona, dobrze? On też powinien tutaj być.

Fogwill zmarszczył czoło i już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale się rozmyślił. Sypes wyglądał na zdeterminowanego. Nie było sensu mu się sprzeciwiać.

--Wyśle po niego chłopaka -- powiedział adiunkt

--Wolałbym, żebyś zajął się tym osobiście. -- Prezbiter ścisnął nasadę nosa palcami ubrudzonymi atramentem. Zostawił na nim jeszcze więcej granatowych smug. -- Twojemu posłańcowi Devon każe szorować kadzie w tej swojej piekielnej fabryce i nigdy więcej go nie zobaczymy.

--Szorować kadzie? -- Fogwill nie zdołał ukryć szyderstwa w głosie. Miał własny pogląd na to, co działo się ze świątynnymi sługami trafiającymi do Ministerstwa Nauk Wojskowych Deepgate.

Krzaczaste brwi Sypesa ściągnęły się tak, że niemal zasłoniły oczy, bruzdy na twarzy się pogłębiły.

--Poszukasz Devona?

--Nie będę miał czasu, żeby po niego pójść. Ceremonia...

--Proponuję, żebyś spróbował w kuchni.

--W kuchni? -- Adiunkt zmrużył oczy. -- W naszej kuchni? Świątynnej?

--Zdaje się, że wrócił do swoich starych sztuczek.

Fogwill spuścił wzrok na świeżo wypraną szatę i ulubione pantofle z niebieskiego pluszu, dar od matki, która z uczuciem, własnymi drogimi rękami wyhaftowała na nich srebrną nicią kwiatowe wzory. Upudrowana twarz adiunkta się zasepila.

--Kuchnia, oczywiście -- powiedział. -- Gdzie indziej mógłby być dzisiaj Truciciel?

Rachel Hael wisiała w ciemności głową w dół. Koncentrowała się na oddechu, na mięśniach, na biciu serca, próbując kontrolować przepływ krwi i respirację. Wyobrażała sobie przejmujące zimno, żeby odciągnąć krew ze skóry, i zagrożenie, żeby przyspieszyć pracę serca i wzmocnić zmęczone mięśnie.

Spine nazywali ten proces „regulowaniem”. Każdy dobrze wyszkolony adept potrafił przez jakiś czas panować nad zmęczeniem, głodem, a nawet pragnieniem. Ona powinna móc wisieć na linie przez wiele godzin albo i dni. Ale już po dziesięciu minutach dopadł ją straszliwy ból głowy. Jej mistrz, chudy mężczyzna, którego imienia nie знаła, wyraziłby się pogardliwie o osiągnięciach Rachel, gdyby był zdolny do jakichkolwiek uczuć.

Ze wszystkich adeptów Spine tylko ona odczuwała pogardę, urazę, gniew czy szczęście. Tyle słabości w jednym asasynie! Wśród Spine emocje były rzeczą wyklętą. Psuły czystość

myśli, osłabiały wolę, uniemożliwiały skupienie, przeszkadzały w walce. Nie tolerowano ich długo. W oczach Kościoła ona była najslabszym adeptem i nie raz już to udowodniła.

Nagle ktoś szarpnął za linę.

Rachel zgięła się wpród, wysunęła kostki z kajdan i wdrapała się z powrotem do pokoju.

Przy luku w podłodze stał jej brat.

--Zbliżasz się do boga? -- rzucił drwiącym tonem.

Rachel usiadła na brzegu włazu, wciągnęła linę i zaczęła ją nawijać wokół łokcia.

--Pomaga mi się zrelaksować -- powiedziała. Brat popatrzył na nią pustym wzrokiem.

--Cisza -- wyjaśniła Rachel.

W otchłani było morze ciszy, ciągnące się przez niezliczone mile we wszystkie strony i w dół, ale już nie uspokajało jej tak bardzo jak kiedyś. Teraz jedynie pomagało zmniejszyć napięcie.

--A jeśli lina się zerwie? -- spytał Mark. Rachel wzruszyła ramionami.

--Albo ktoś ją przetnie? -- dodał. Dziewczyna powtórzyła gest.

--Na bogów! -- wykrzyknął Mark. -- Mnisi powiedzieli mi, że jesteś na dole, ale im nie uwierzyłem. Pomyślałem, że to jakiś żart Spine... zanim sobie przypomniałem, że Spine nie mają poczucia humoru.

--Czego chcesz?

--Też się cieszę, że cię widzę.

Rachel zdjęła miecz ze stojaka na broń i wsunęła go do futerału na plecach. Przywiązała do pasa sakiewki z trucizną, obok nich do specjalnych przegródek wsadziła trzy krótkie bambusowe rurki, a następnie usiadła na łóżku i zaczęła wkładać noże i igły do odpowiednich otworów w skórzanej zbroi.

--Znaleźliśmy go -- oznajmił Mark.

Rachel znieruchomiała na chwilę, ale zaraz wróciła do swoich przygotowań.

--Sypes spodziewa się, że oboje będziemy obecni na ceremonii Wysłania.

--Jestem zajęta.

--Nie masz wyboru.

Usta dziewczyny rozciągnął gorzki uśmiech.

Mark otworzył okno, wychylił się i popatrzył na łańcuchy fundamentowe i spodnią część Mostu Bramnego.

--To chyba najniższe pomieszczenie w całej świątyni. Jest w tym pewien symboliczny sens, nie uważasz? W tym, że tkwicie przy samych fundamentach, w ciemności.

--Dostęp.

--Co?

--Nieważne.

Mark powiódł wzrokiem po pokoju, ale nie dostrzegł niczego interesującego.

--Nie dostajesz dużo, prawda?

Rachel wsunęła dmuchawkę za pas, wzięła kuszę z komody i zaczęła oliwić cięciwę.

--Mam wszystko, czego mi potrzeba.

--Jesteś dobra?

--Nadal żyję.

Mark westchnął. Jeszcze raz rozejrzył się po pokoju i wrócił spojrzeniem do kuszy leżącej

na kolanach siostry.

--Słyszałem o nowym złodzieju dusz. Aeronauci się rozglądają. Podobno większość truchel to świątynny personel.

Rachel nie zareagowała.

--Widziałaś coś?

--Na przykład? Kogoś niosącego bezkrwistego trupa? Mark Hael milczał przez chwilę, po czym rzekł:

--Jeśli coś ukrywasz... Siostra prychnęła.

--Znasz mnie lepiej. Mark wyrzucił ręce w górę.

--Nie, Rachel, nie znam. W ciągu ostatnich dwunastu lat prawie cię nie widywałem. Przenosili cię z jednej zapadłej dziury do drugiej. Kiedy nie gnijesz tutaj, w tym lochu, który mnisi lubią nazywać szkołą, to włóczysz się po cuchnących jaskiniach Heshette pod jakąś diabelską górą. -- W tym momencie zauważył wino stojące na komodzie. Sięgnął po karafkę, wyjął z niej korek, powąchał zawartość. -- Dolina Coyle -- stwierdził ze znanstwem. -- Nie warto męczyć się nalewaniem.

--Więc nie nalewaj.

Mark z powrotem zakorkował wino.

--Przepraszam -- bąknął. -- To był dla mnie trudny tydzień.

Rachel zacisnęła zęby, odłożyła kuszę i podeszła do okna. Stojąc plecami do brata, wystawiła twarz na podmuchy wiatru. Na tle porannego nieba rysowały się łańcuchy fundamentowe. Dobrze je знаła; stanowiły drogi prowadzące do wszystkich części Deepgate, ukryte szlaki. Ale po dachach miasta poruszała się z jeszcze większą pewnością. Od czterech lat przemierzała je w Noc Blizn. Cztery lata, czyli około pięćdziesięciu nocnych wypraw. W tym czasie wystrzeliła dziewięć beltów. Istota, którą ściagała, znała swoje terytorium lepiej niż ona.

Po występie muru poniżej jej okna skakał gawron, czarny jak otaczające go żelastwo. Rachel przez chwilę przyglądała się ptakowi, który też ją obserwował. Czy jej zdobycz również ją śledziła? Mało prawdopodobne, bo Carnival unikała światła dziennego.

--Sypes zachował się przyzwoicie, dając ojcu błogosławieństwo -- odezwał się Mark. -- Nie sądzę, żeby została w nim choć kropla krwi. Crumb to widział. „Suchy jak wiór”, powiedział. Miałem ochotę spoliczkować tłuszciocha za to, że mówi o ojcu w taki sposób.

Oto korzyści z bycia Haelem, pomyślała Rachel. Ranga Marka wśród aeronautów, jej przyjęcie na próbę do Spine, wszystko to zawdzięczali rodowemu nazwisku. Nazwisku szmuglerów, niewolników z plantacji i świątynnych wazeliniarzy, którzy w ciągu wielu pokoleń przebyli długą drogę z Ligi do Ivygarths.

--Nic cię to nie obchodzi -- stwierdził Mark. -- Nawet po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił?

--Wynoś się! -- warknęła siostra.

--Kiedyś dalbym ci klapsa za takie słowa.

Rachel pamiętała tamte czasy, ale nic nie odpowiedziała. Dwanaście lat w Spine dostatecznie uzbroido ją wobec Marka. Wobec każdego. Prawie każdego, pomyślała z westchnieniem.

--Dostałem formularz zgody na twoje hartowanie. -- Mark mówił teraz prawie

szeptem. -- Mistrzowie Spine naciskają mnie, żebym go podpisał.

Rachel zeszywniała.

--Sam nie wiem -- ciągnął Mark. -- Zastanawiałem się... Rachel. Nie chcę, żebyś była taka jak oni.

Asasynka zamknęła oczy.

--Oni są bez duszy. To chodzące trupy. Nie mogę sobie wyobrazić, że stajesz się taka sama. Moja siostra. Nie chcę...

Rachel nie mogła już dłużej się hamować.

--Kłamca! -- krzyknęła, odwracając się twarzą do brata. -- Po prostu chcesz mnie zranić.

Jesteś rozgoryczony, bo nie zdałeś testów, a ja tak. Obwiniasz mnie o to, że ojciec był tobą rozczarowany...

--Wciąż jesteś adeptem.

--Wiesz, co musiałam zrobić, żeby zasłużyć na ten tytuł? Wiesz, jak było trudno? Mark uśmiechnął się zimno.

--Słyszałem o twoim małym występie.

--Występie? -- Pokonała wszystkich adeptów, jednego po drugim, w jednej walce, ale to nie wystarczyło. Dlatego, posiniaczona i wyczerpana, rzuciła wyzwanie samemu mistrzowi. Prawdziwa zniewaga... gdyby był zdolny do obrazy. Na koniec nie był zdolny do niczego, bo musiał się skoncentrować na oczyszczeniu płuc z krwi.

--Cóż... -- Mark rozglądał się za czymś, co zaprzątnęłoby jego uwagę, ale bez powodzenia. -- To kolejny dowód, że nie musisz iść pod igły Spine. Skoro niezahartowana potrafisz tak walczyć...

--Nie miałam wyboru! Nie ufają mi, nie akceptują. Musiałam im pokazać, że warto czekać na twoją zgodę. Jeśli nie podpiszesz tych papierów, pozbędą się mnie, wykopią... albo jeszcze gorzej. -- Umilkła, patrząc twardo na brata, i nagle zrozumiała. -- Właśnie tego chcesz, prawda? Żeby mnie wykopali. Żebym przegrała.

--Chcę cię chronić -- odburknął.

--Jesteś nieczułym, bezwzględny draniem.

--Bezwzględny? -- Twarz Marka poczerwieniała. -- I kto to mówi? Z ilu Shetties oczyściłaś Hollowhill?

Było pewne, że Mark użyje słowa „czyścić”. On zabijał ze sterowca, z bezpiecznej odległości, z daleka. Całe plemiona Heshette „czyszczono” truciznami. Albo precyzyjnymi, skutecznymi i ekonomicznymi bombami zapalającymi. Mężczyzn, kobiety, dzieci. Komandor Hael nigdy nie widział z bliska, jak cierpią i krwawią. Byli po prostu „czyszczeni”, nigdy zabijani, nigdy mordowani. Rachel zacisnęła odruchowo dłoń na jednej z bambusowych rurek, które nosiła przy pasie. Puściła ją szybko i wzięła głęboki wdech.

--Proszę -- powiedziała cicho. -- Podpisz dokumenty. Niech mnie zahartują. Nie mogę dłużej tak żyć. Nie mogę robić rzeczy, których ode mnie wymagają.

--Nie, Rachel.

--Więc się wynoś. Chcę być sama.

--Zawsze jesteś sama. Tak bardzo nienawidzisz towarzystwa?

Czy rzeczywiście? Mnisi właściwie nie zabraniali kontaktów z innymi. To nie było aż takie proste. Po prostu trzymali ją tutaj, żeby się doskonaliła i trenowała, albo wysyłali ją w

najróżniejsze mroczne części świata. Pamiętała, jak pierwszy raz wzięła do ręki miecz i ze śmiechem wirowała z nim jak tancerka, a ojciec patrzył na nią z rozradowaną miną. Od tamtej pory już chyba nigdy się nie śmiała. Ale tańczyła wiele razy: w Hollowhill i w Łupkowym Lesie, w jaskiniach Heshette, w spelunkach i burdelach Sandport, aż miecz stał się jej nieodłączną częścią, taką jak wiara dla zahartowanych. Tańczyła setki razy, zanim wyznaczyli ją do ścigania Carnival po dachach. „Nie jesteś gotowa”, ostrzegli. „Ale to bez znaczenia”.

Spojrzała na jaskrawoniebieskie niebo widoczne między łańcuchami fundamentowymi. Jej oczy odwykły od światła dziennego, bo żeby polować nocą, musiała nauczyć się żyć i trenować w ciemności. Przez cztery lata budziła się po zmierzchu i zasypiała przed świtem.

--Sypes chce, żebyś tutaj została -- powiedział Mark. -- I pilnowała tej jego ptaszyny.

--Dilla.

Gawron nadal paradował po występie w tę i z powrotem, skubiąc mech, aż w końcu odfrunął. Rachel odprowadziła go wzrokiem, kiedy szybował w stronę oblanego słońcem miasta. Kościół spętał Dilla, tak jak Mark ją. Po śmierci Gaine'a świątynia zabroniła aniołom latać. Po zakończeniu wojny z Heshette i wprowadzeniu sterowców wojskowi archonci przestali być potrzebni. Przynajmniej tak twierdził prezbiter. Rachel podejrzewała, że chodzi o coś więcej. Starszy brat Gaine'a Sewender umarł młodo, bezpotomnie, a Gaine, który w tej sytuacji powinien wziąć sobie kilka żon, ożenił się tylko raz. Ku zgrozie kleru Sypes nie nakłaniał go do powtórnego małżeństwa. Kiedy nieznany łucznik zabił ostatniego archonta, z całego rodu został tylko jeden anioł. I to jaki! Podobnie jak Gaine, który mimo całej sławy był tylko cieniem przodków, Dill, biedny niezdarny Dill, był zaledwie cieniem swojego ojca. Krew Callisa najwyraźniej się rozrzedziła. Nic dziwnego, że Sypes trzymał chłopca zamkniętego w wieży.

Kościół miał wszędzie wrogów. Deepgate roilo się od szpiegów Heshette, więc prezbiter za wszelką cenę starał się zachować ostatnią więź swojej wspólnoty z bogiem. Zakaz, to okrutne, niezmiennie prawo zostało narzucone Dillovi, odkąd dorósł na tyle, żeby latać.

Czy odfrunąć?

Sypes był głupi. Trzymanie w zamknięciu tylko zwiększało determinację więźnia, żeby się wyrwać na wolność.

--Ale to ci się spodoba -- stwierdził Mark. -- Lubisz zwierzęta, prawda?

--Próbujesz mnie zdenerwować? O to ci chodzi?

--Świetnie! Idę sobie! -- Mark klasnął w dłoń. -- Zostawiam cię z twoją kolekcją noży w malej, ciemnej celi. Tylko postaraj się dotrzeć do Sanktuarium na ceremonię. -- Zawahał się przy drzwiach. -- Chyba nie weźmiesz ze sobą całej tej broni, co?

Rachel nie odpowiedziała. Myślała o Dillu. Pętając go, świątynia uratowała mu życie czy je zmarnowała? A czy ją to obchodzi, zastanawiała się, dopóki gawron nie zniknął jej z oczu wśród łańcuchów fundamentowych.

Z okrągłej komnaty na samym dole iglicy Dill zjechał przez otwór w podłodze do głównego budynku świątyni skrzypiącą windą, wyłożoną stęchłym chodnikiem. Żelazna klatka zgrzytała i drżała, pokonując kilka sążni kamiennego szybu, aż dotarła do wielkiego pomieszczenia bez dna, do Sali Aniołów. Przez ogromne wielodzielne okna o pomarańczowych, cytrynowych i

wiśniowych szybach wpadał słoneczny blask i oświetlał małe sylwetki kapłanów, którzy przygotowywali świątynię do Nocy Blizn. Uwijali się na pomostach i drabinach, zamykając kraty na oknach, sprawdzali zamki, ustawiali kusze na stojakach przed otworami strzelniczymi w kształcie krzyża.

Dill pociągnął za jeden z kilku sznurków z frędzlami, dając znak niewidocznym operatorom, że chce dotrzeć do korytarza Sanktuarium. Gdzieś daleko w dole zabrzączał dzwonek i teoretycznie pół tuzina mężczyzn powinno w tym momencie rzucić się do odpowiednich kołowrotów. Winda zakolysała się i stanęła, a po chwili znowu zaczęła opadać, teraz bliżej południowej ściany. Na prętach tuż nad Dillem usiadł gołąb i zagruchał, a kiedy dostrzegł anioła, odleciał ze skrzykiem.

Dill nienawidził windy. Prezbiter kazał ją zainstalować po kościelnym interdykcie, którym obłożono latanie. Ustrojstwo było powolne, niewygodne i rzadko przybywało na żądane piętro. Często zatrzymywało się tak daleko od półki, że wymuszało niebezpieczny skok. Dill nie wiedział, czy było to spowodowane jakąś usterką w mechanizmie, czy złośliwością obsługi.

Nagle winda zawisała w pustce dwieście stóp nad podłogą i osiemdziesiąt od najbliższej ściany.

--Halo?! -- zawołał Dill.

Żaden z kapłanów go nie usłyszał. Byli zbyt zajęci zabezpieczaniem okien, ustawianiem i ładowaniem kusz.

Dill stał w skrzypiącej windzie i czekał, trzymając dłoń na rękojeści miecza. Czekał.

--Halo?

Nikt nie zareagował. Wysoko w górze przeleciał ten sam gołąb.

Kuchnia była niczym pole bitwy. Brzęk niezliczonych noży wybijał się ponad huk ogni w piecach i okrzyki pracujących. Całe bataliony kucharzy w wysokich białych czapach pocili się przy stołach, siekając, patrosząc, krojąc, ucierając. Nad otwartymi paleniskami bulgotały kotły. Pomocnicy stali nad parującymi zlewami i szorowali niezliczone naczynia, stewardzi biegali z tacami pełnymi pieczonej kozłiny, baraniny na słodko, skowronków w cieście, zapiekanych gawronów i gorących ziemniaków z masłem.

Twarz Fogwilla poczerwieniała, strużki potu wyrzeźbiły ścieżki na upudrowanych policzkach. Doszedłszy do wniosku, że im sprawniej się uwinie, tym czystszy stąd wyjdzie, adiunkt ruszył szybkim krokiem między piecami i zlewami, nurkując pod rzędami wiszących miedzianych rondli, skacząc nad strumieniami mętnej wody. Zatykając nos rękawem, i omal nie zderzył się z siwym tragarzem niosącym świnię. Zwierzę kwiknęło i zaczęło wierzgać, stary zaklął. Jeden z kuchcików odwrócił się od limet, które siekał, i z drwiącym uśmiechem rzucił coś pogardliwego, ale w ogólnym hałasie Fogwill nie usłyszał jego komentarza.

--Koszmar -- mruknął adiunkt. -- Prawdziwy koszmar.

To miejsce było menażerią. Tylko pomyśleć o robactwie i brudzie przynoszonymi razem z tymi wszystkimi zwierzętami. Potem będzie musiał umyć się od stóp do głów olejkiem cytrynowym.

Szatę wokół kostek miał mokrą, a pantofle... cóż, wołał nie przyglądać się im z bliska.

W końcu znalazł głównego kucharza chrapiącego na barłogu z worków ułożonych

pod półką z węgorzami. Omal nie zadławił się od smrodu. Nawet odór trupa generała Haela wydał mu się w tej chwili znośniejszy. Rybi tłuszcz skapywał dużymi kroplami na obwisłe policzki śpiącego. Mężczyzna wiercił się i mamrotał coś przez sen. Fogwill trącił go palcem stopy.

--Obudź się, Fondelgrue. Obudź się.

Kucharz ocknął się z jękiem i podrapał po wydętym brzuchu pod tuniką, która kiedyś była biała. Na widok adiunkta zamknął oczy, puścił bąka i westchnął.

--Crumb? Czego chcesz?

Fogwill zauważył czarne plamy na swojej ceremonialnej szacie i odskoczył od węgorki, modląc się z całego serca, żeby ohydny smród wydzielał kuchmistrz, a nie martwe ryby.

--Szukam Devona -- powiedział. -- Widziałeś go gdzieś?

Za nim rozległ się huk, a zaraz potem brzęk talerzy. Fondelgrue nie zwrócił uwagi na te hałasy.

--Co miałby tu robić ten nędzny Truciciel? -- zapytał burkliwie.

--Może znowu próbował doprawić jedzenie -- zasugerował Fogwill i popatrzył wzgardliwie na bulgoczące gary, parujące rondle, dymiące piece oblepione zastarzalymi resztkami potraw. -- Ale widzę, że masz wszystko pod kontrolą.

Główny kucharz przecesał ręką tłuste włosy, a potem przyjrzał się czemuś, co utkwilo mu pod paznokciem. Łypnął na Fogwilla spode łba.

--Myślę, że testuje na nas swoje trucizny i zarazy.

--Słyszałem, że przychodzi tutaj po natchnienie -- rzucił adiunkt. Fondelgrue uśmiechnął się słabo.

--Jeśli go zobaczysz, powiadom go łaskawie, że jest oczekiwany w Sanktuarium w bardzo ważnej sprawie -- powiedział Fogwill.

Szef kuchni stłumił ziewnięcie.

--Dla was wszystko jest cholernie ważne.

Za nimi jakiś steward ryknął na kuchcika. Stłukła się kolejna rzecz, ale Fondelgrue nawet nie drgnął. W końcu odchrząknął i zamknął oczy.

--Sam widzisz, że Devona tu nie ma.

Fogwill rozejrzał się ponownie. W przejściu między rzędami zlewów i blatów roboczych bili się dwaj pomywacze. Kiedy pośliznęli się na mokrej podłodze i upadli, jeden kopnął w stół i stracił kosz ze sztućcami. Noże i widelce rozsypały się z metalicznym brzękiem po kamiennej posadzce.

--Widzę, że macie nowy personel -- skomentował Fogwill. -- Zostali dobrze sprawdzeni?

Prezbiter Sypes miał prawo być nerwowy. Wrogowie Heshette byli dziesiątkowani, ale zawsze istniało ryzyko, że uciekną się do bardziej subtelnych metod zemsty. Jeden kubek trucizny?

Fogwill wziął głęboki oddech i natychmiast tego pożałował. W pobliżu zawył pies i ucichł raptownie. Pies? Adiunkt wołał nic nie wiedzieć. Jeszcze raz zerknął na walczących pomywaczy i ruszył w przeciwną stronę. Z przerażeniem stwierdził, że odór podążył za nim.

Idąc z powrotem przez wielką kuchnię, musiał omijać zastępy kucharzy, pomywaczy, podkuchennych, kuchcików, stewardów, sprzątaczy i tragarzy. Pomieszczenie roilo się od ludzi. Kto by tutaj zauważył jednego pracownika mniej? Albo nawet tuzin? Ilu Truciciel porwał przez

te lata do własnych cuchnących kuchni? Przypomniały mu się słowa Fondelgrue'a. „Myślę, że testuje na nas swoje trucizny i zarazy”.

Zanim Fogwill dotarł do drzwi, zaczął sobie wyobrażać, że wszystkie kotły zawierają nieznanne okropieństwa. To mięso... czy nie jest podejrzenie zielone? A ten blade drób... jaka choroba tak go wycieńczyła? W tym momencie adiunkt postanowił, że już nigdy nie tknie mięsiwa przyrządzonego w tej kuchni. Przynajmniej przez jakiś tydzień. Tymczasem przyciśnie Sypesa w kwestii bezpieczeństwa i sam będzie nadzorował wprowadzenie zmian.

Obok niego przemknął steward, balansując srebrną tacą pełną ciastek.

Fogwill złapał jedno i przyjrzał mu się uważnie. Czy nie zalatuje lekko siarką? Crumb ostrożnie dotknął kremu czubkiem języka. Czyżby wyczuł ślad goryczy zamaskowany maślaną słodkością?

Wepchnął ciastko do ust i wyszedł z kuchni, poruszając szczękami.

Czasami warto zaryzykować.

Arcychemik i Truciciel Alexander Devon leżał na łóżku tuż po przebudzeniu i krwawił. Krew sączyła się z pęknięć na twarzy i szyi, na piersi, pod pachami i kolanami, wsiąkała w stare poplamione prześcieradło. Kędy się poruszył, popękały mu pęcherze na plecach. Każdy oddech go palił, w płucach mu bulgotało, kaszel powodował wydzielanie strużek płynu, które Devon wypluwał do wiadra stojącego

przy łóżku. Pod powiekami czuł pokruszone szkło szorujące spuchnięte gałki oczne. Gdy się odwrócił, żeby sprawdzić godzinę na zegarze ustawionym przy oknie, kości mu zatrzęszczały, mięśnie podrapały skórę od wewnątrz. Był już spóźniony do pracy, ale najmniejszy ruch oznaczał agonię. W końcu jednak zwałował się z łóżka, usiłując zmienić grymas bólu w uśmiech.

Ostatecznie życie było pełne drobnych wyzwań.

Strona łóżka należąca do Elizabeth pozostała gładka i sucha. Devon musnął palcami usta, a następnie dotknął miejsca, gdzie kiedyś spoczywała jej głowa. Po latach prania z pościeli niemal zniknął zarys jej ciała, zostały na niej tylko słabe ślady krwi. Pewnego dnia one też prawdopodobnie całkiem znikną.

Zdjął z łóżka prześcieradło i wrzucił je do wiadra, po czym wziął się do opatrywania ran. Najpierw ręce. Osuszył skórę miękką bawełnianą szmatką nasączoną alkoholem, wytarł krew i sięgnął po czysty bandaż. Potem przyszła kolej na pierś. Po oczyszczeniu skóry wetknął jeden koniec bandaża pod pachę i owinał się nim aż do pasa. Jego kolana przeszył gwałtowny ból, kiedy pochylił się, żeby zająć się nogami i stopami. Nie spieszył się jednak. Ważna była dokładność i staranność, żeby nie wdała się kolejna infekcja. W Kuchniach Trucizn nie brakowało wszelkiego rodzaju zarazy.

Kiedy skończył, ubrał się ostrożnie w stary tweedowy garnitur i zebrał siły przed czekającym go dniem, choć bolał go każdy skrawek ciała. Włożył okulary na nos. Wzrok mu się popsuł, ale oczy zachowały bystrość i ciepły wyraz. Niegdyś przystojna twarz o nieco szelmowskim uroku, pogodna, z wyraźnymi zmarszczkami mimicznymi, budziłaby w ludziach instynktowną sympatię, gdyby nie pęknięcia, pęcherze i sączące się rany.

Ciało Devona poznało działanie trucizn.

Blask poranka przesączał się przez gazowe zasłony sypialni, na zewnątrz ceglane mury i

smołowane dachy Depresji pływały się w słońcu. Ptaki, gnieźdzące się tutaj tysiącami, z dala od złodziei jaj i sieciarzy, którzy już dawno temu do szczętu огоłocili tę podupadłą dzielnicę, śpiewały bezustannie. Devon zamknął oczy i przez dłuższą chwilę rozkoszował się ich melodiami. W oddali rozbrzmiały uroczyście świątynne dzwony żałobne.

Elizabeth podobałoby się to miejsce. Devon nie mógł się doczekać, żeby pokazać jej nowy dom, gdy tylko skończy go remontować. To miała być niespodzianka. Dach magazynu nadal był zawalony glinianymi donicami i korytkami, białe kamyki

wytyczały kręte ścieżki wśródgórek ziemi importowanej z Plantacji. Devon zasiał trawę, wisterie i róże, zbudował trelisy, zbudował altankę z białego drewna. Ale kwiaty, które wtedy posadził, zdążyły już zwiędnąć, ziemia wyschła i umarła; za długo szykował niespodziankę. Przeżyły tylko ślady Elizabeth: wyblakłe plamy na prześcieradłach, które zabrał z ich domu w Bridgeview, kilka flakoników perfum, teraz już pustych, i jej portret, który kosztował go połowę rocznej pensji. W nowym domu zamieszkał ze wspomnieniami.

Wziął do ręki jedną z buteleczek po perfumach Elizabeth i głęboko wciągnął ich zapach. Woń była słaba -- jak duch dawno zwiędłego kwiatu -- ale jak zawsze dodała mu sił. Devon delikatnie zakorkował flakonik i odstawił go na miejsce. Jego dłoń jeszcze przez chwilę spoczywała na gładkim szkle.

Zza drzwi laboratorium znajdującego się obok sypialni dobiegł szloch. Boże, dziewczyna się obudziła. Może powinien zrobić jej kawę i spróbować ją uspokoić? Ale kawa mogła wejść w reakcję ze środkiem uspokajającym, który zamierzał jej podać. Devon westchnął. Porozmawia z nią łagodnie i postara się złagodzić jej ból. Wiedział jednak, że to nie będzie łatwe, bo czeka ją dużo cierpienia. Biedactwo będzie walczyć rozpaczliwie.

Ale przecież życie jest pełne drobnych wyzwań.

ROZDZIAŁ 6 WYSŁANIE

Korytarz wypełniał zapach pasty do podłóg, ale jej mdląca słodycz słabo maskowała odór rozkładu. Na łańcuchach zamocowanych w sklepionym suficie wisiały żelazne żyrandole, płomyki świec odbijały się w lśniącej marmurowej posadzce, ich światło było jednak za słabe, żeby rozjaśnić ogromne pomieszczenie.

Dill stał przy drzwiach Sanktuarium i żałował, że nie ma tu żadnych okien. Wokół niego pełzały cienie, jakby ktoś przesuwiał się na skraju pola widzenia. Ale kiedy się odwracał, nikogo tam nie było.

Nad nim coś zaskrzypiało. Pewnie łańcuch poruszony przez przeciąg.

Dill nie podniósł wzroku. Tam na górze było jeszcze gorzej niż w otaczającym go półmroku. Zamiast tego utkwił spojrzenie w stajennych wrotach i czekał niecierpliwie, kiedy się otworzą, a jednocześnie miał nadzieję, że pozostaną zamknięte. Stajniami zajmował się Borelock.

Kolejne skrzypnięcie. Dill zerknął w górę.

Na wysokich kolumnach, niczym upiorne marionetki, wisiały szczątki Dziewięćdziesięciu Dziewięciu. Ich szkieletowe ramiona były opuszczone, a postrzępione skrzydła szeroko rozpostarte i podtrzymywane przez łańcuchy. Niektóre anioły miały na sobie resztki zbroi albo wyszczerbione tarcze, ale wszystkie dzierżyły broń: miecze, włócznie, halabardy albo piki, zniszczone, zardzewiałe, pokrzywione.

Dill przestąpił z nogi na nogę. Mundur był sztywny i niewygodny, rękojeść miecza wbijała mu się w żebra. Splatał i rozplatał dłonie, gapił się w podłogę, rozpiął kilka guzików, poprawił kołnierz, ale nie zdołał się powstrzymać przed zerkaniem w górę.

Gaine opowiadał mu różne historie o tym ponurym miejscu; o zimowych burzach, kiedy cała świątynia chwiała się w posadach, a relikwie grzechotały łańcuchami w wyjących przeciągach. Dill popatrzył na ich szeregi, na pół spodziewając się, że

znajdzie wśród nich swojego zmarłego ojca, ale były tam tylko kości Dziewięćdziesięciu Dziewięciu, wpatrujących się w nicość, zbierających kurz.

Drzwi stajni w końcu otworzyły się ze szczękami. Wylał się przez nie na posadzkę blask pochodni, a wraz z nim zapach słomy i zwierząt. Borelock wyprowadził na korytarz dwie wielkie klacze. Za nimi z turkotem wytoczyła się na drewnianych kołach klatka na dusze.

Ciężka konstrukcja z żelaza i smołowanego drewna została pobłogosławiona przez kapłanów, żeby oddane pod opiekę świątyni znalazły w niej bezpieczne schronienie do czasu wysłania w otchłań. Teraz była pusta, ale dostatecznie duża i mocna, żeby pomieścić pięćdziesiąt dusz. Niepoświęcona krew stanowiła wielkie zagrożenie, bo wtedy piekło uchylało podwoje, żeby ją przyjąć, a gdy wrota Irilu stawały otworem, nie wiadomo, co mogło się przez nie wydostać.

Borelock poprowadził z wprawą konie po wypolerowanej marmurowej posadzce. Pod jego kapturem był widoczny jedynie ostry, spiczasty podbródek i zacięte usta. Reszta ciała przemieszczała się niezgrabnie pod sutanną, jakby znajdował się pod nią więcej niż jeden zestaw rąk i nóg. Dotarłszy do Dilla, kapłan przystanął, trzymając wodze w rękach pokrytych żółtymi plamami.

Dill zastanawiał się przez chwilę, czy oczy starego też są żółte. Przelknął ślinę i powiedział:

--Piękne zwierzęta.

Bliżej stojący koń obnażył zęby i parsknął. Jego czarna sierść lśniła jak zbroja świątynnego gwardzisty.

--Pięć lat -- burknął Borelock. -- Pięć lat powożę tą klatką zamiast ciebie. Pięć lat, zanim prezbiter uznał za stosowne wyrwać cię z twojej wieży i zagnać do uczciwej pracy. Nie uważasz, że miałem lepsze rzeczy do roboty niż oglądanie pogardliwych min nędznego motłochu stłoczonego przed świątynią?

--Jestem ci wdzięczny, panie -- pospieszył z zapewnieniem Dill.

--Tylko nie sknoć czegoś -- ostrzegł go Borelock. -- Są tam Mark Hael i jego siostra. -- Wskazał kciukiem na drzwi Sanktuarium. -- Syn i córka nieżyjącego generała.

Dill wdrapał się na kozioł. Skórzane siedzisko znajdowało się wyżej, niż przypuszczał. Borelock musiał rzucić mu wodze. Konie potrząsnęły łbami i smagnęły ogonami.

--Skrzydła -- rzucił krótko Borelock.

Dill je rozpostarł.

Gdy konie ruszyły z szarpnięciem, Dill omal nie upadł do tyłu na pręty klatki. Mocno pociągnął za wodze, ale zwierzęta go zignorowały i pomknęły przed siebie.

--Będę cię obserwował! -- zawołał za nim Borelock.

Klatka pędziła coraz szybciej, pod czujnym wzrokiem szkieleatów. Rdza przeżarła tabliczki z imionami umieszczone pod stopami aniołów, ale Dill rozpoznał kilku z nich ze swoich poprzednich wizyt.

Miał jedenaście lat, kiedy ojciec przyprowadził go w to okropne miejsce, kazał otworzyć wrota świątyni, żeby wpuścić do korytarza trochę światła, i zostawił go z kawałkiem pergaminu, na którym kazał mu narysować szczątki przodków. W dziennym blasku kościotrupy wydawały się mniej groźne, więc początkowo Dill nawet z przyjemnością wykonywał zadanie i starannie wpisywał pod rysunkami imiona aniołów. Ranek minął szybko, zwłaszcza że od czasu do czasu pojawiał się z kubkiem słodkiej herbaty Gaine i podziwiał jego dzieło. Kiedy zrobili przerwę i zasiedli do obiadu przy prostym stole obok kuchni, Dill dumnie pokazywał szkice każdemu, kto akurat tamtędy przechodził. Wszyscy byli pod wrażeniem.

Do wczesnego popołudnia uwiecznił na pergaminie ośmiu archontów i w końcu się znudził. Pozostałych dziewięćdziesięciu jeden wcisnął na pojedynczą kartkę. Przedstawił na niej wielką bitwę, a w dolnym rogu umieścił dwunastu czmychających wrogów Heshette, cienkich jak przecinki. Na naleganie syna Gaine policzył skrzydlatych wojowników i przyznał, że rzeczywiście jest ich razem dziewięćdziesięciu dziewięciu. Dillovi nie wystarczyło miejsca, żeby wpisać wszystkie imiona, ale ojcu i tak spodobała się kompozycja. To były jedne z ich ostatnich wspólnie spędzonych chwil. Gaine zginął kilka tygodni później z rąk łucznika Heshette. Tamtej nocy prezbiter Sypes przyniósł Dillovi dodatkowe świece i pomógł mu je rozmieścić w jego pokoju na wieży.

Klatka na dusze przejechała pod archontem z przekrzywionym skrzydłem, które naprawiono mosiężnymi klamrami. Z kolei wiszący po lewej tak mocno wychylał się do przodu, że w każdej chwili mógł upuścić włócznię. Tamtego pamiętnego dnia Dill narysował go z boku.

Patrząc teraz na relikwie, próbował dopasować do nich zapamiętane imiona. Ten z wielkim mieczem, stojący groźnie i dumnie, to chyba Simon... A może Barraby? Tamten, bardziej melancholijny, oparty na włóczni, to Dolmen? Jego sąsiad z tarczą, mocno wyszczerzony,

przypominał mu Praxisa, ostatniego archonta, który umarł przed Callisem. Dill próbował sobie wyobrazić, jak oni wszyscy musieli wyglądać za

życia: elita wojowników Ulcisa mknących do boju na skrzydłach, które lśniły w słońcu, z bronią iskrzącą się jak kryształki lodu. Minęły trzy tysiące lat, odkąd aniołowie powstałi z otchłani, a teraz ich szkielety czuwały nad zmarłymi i nad Strażnikami Dusz, wiozącymi ich do świątyni.

Właśnie próbował odszyfrować znak na tarczy, która mogła należeć do Mesy albo Perpaula, kiedy wehikuł zatrzymał się z hukiem i gwałtownym szarpnięciem. Dill odwrócił się i zobaczył, że lewe przednie koło zawadziło o kolumnę.

Następne chwile wlokły się jak w koszmarnym śnie. Klacze opuściły głowy i ruszyły z kopyta. Dill krzyknął. Klatka na dusze zaskrzypiała.

Kolumna drgnęła.

Kręgosłup wiszącego na niej archonta naprężył się, nogi się poruszyły, jakby szkielet próbował zachować równowagę. Słup zakołysał się i powoli przechylił w drugą stronę. Łańcuchy zaskrzypiały... Dill wstrzymał oddech... Kolumna się cofnęła...

I znieruchomiała.

Dill wypuścił powietrze z płuc.

Anioł zsunął się z postumentu. Helm rąbnął z hukiem o podłogę, włócznia pojechała po marmurze jak po lodzie i zniknęła w mroku. Kości rozpadły się na drobne kawałeczki. Czaszka uderzyła w siedzenie obok Dilla, odbiła się rykoszetem i poleciała w górę prawie do końca kolumny, po czym spadła na kamienną podłogę z nieprzyjemnym trzaskiem. Szczęka oderwała się, zęby rozsypały na wszystkie strony. Czerep podskoczył jeszcze dwa razy, a następnie potoczył się i zatrzymał kilkanaście jardów dalej, zwrócony oczodołami ku Dillowi. Konie wierzgnęły i zarżały.

Pył z kości osiadł powoli.

Nagle z tyłu dobiegł wściekły okrzyk. To Bolerock nadbiegł korytarzem, jak zjawa, wymachując chudymi rękoma. Dill zadrzał i osunął się niżej na koźle.

--Trzy tysiące lat -- wysapał Bolerock. -- Trzy tysiące lat. Zachowane, bezpieczne, chronione przed rozkładem i intruzami. Ale nie przed tobą! Nie przed niezdarnymi łapskami gamoniowatych durniów i smarkaczy. Trzy... -- Kapłanowi głos uwiązł w gardle.

Oczy Dilla przybrały intensywnie różową barwę. Krew odpłynęła mu z twarzy i chyba cała zebrała się w tęczęwkach, żeby ogłosić światu jego hańbę.

--Nieszczęście! -- zawył Bolerock, widząc wszędzie wokół siebie bluźniercze ślady zniszczenia. -- W drobny pył! Jeden z Dziewięćdziesięciu Dziewięciu! -- Spojrzał na tabliczkę przymocowaną do kolumny i wyrzucił ręce w górę. -- Samuel. Gwiazda Poranna, pogromca Heshette. Zniszczony!

Pozbawiona szczęki, bezzębna czaszka Gwiazdy Porannej spoglądała na nich z dywanu roztrzaskanych kości.

--Co powie prezbiter Sypes? Co zrobi? Każe cię wychłostać, to pewne. Gorzko pożałujesz, zбитy do krwi. A ja? Co ze mną? -- Odwrócił się do Dilla i wysunął spod kaptura podbródek. -- Jedź. Ceremonia nie będzie czekać. Później przyjdzie czas na karę, a teraz jedź, jedź. Ja muszę zająć się tą katastrofą. Jedź!

Dill ujął wodze drżącymi rękami. Gdy klacze ruszyły, pod kołami pojazdu zachrzęściły kości. Tymczasem Borelock zbierał na kolanach szczątki archonta, szlochając i mamrocząc coś do siebie.

Podróż do końca korytarza trwała tysiąc szybkich, urywanych oddechów. Wreszcie konie zatrzymały się przed ogromnymi wrotami, które wychodziły na Most Bramny. Dill przyłapał się na tym, że patrzy na ostatni szkielet w rzędzie. Na Callisa, największego z pierwszych aniołów. Herold Ulcisa był wyraźnie w gorszym stanie niż archonci, którymi dowodził za życia: niezliczone klamry spinały jego stare poźółkle stawy. W jednej kościstej ręce ścisnął butwiejącą książkę, w drugiej klucz otoczony przez syczące niebieskie płomienie. Ogień miał płonąć wiecznie, ale Dill słyszał plotki, że kapłani często zapominają wymienić zbiornik gazu, tak że światło czasami gasło nawet na kilka dni. Mimo to z szacunkiem skłonił głowę.

Dwaj strażnicy w czarnych zbrojach pchnęli wrota do środka i korytarz zalał jaskrawy blask słońca.

Dill zamrugał. Na schodach świątyni leżało sześć trupów owiniętych w całuny. Dalej tłoczyli się żałobnicy, zajmując całą szerokość Mostu Bramnego, a za nimi dziesiątki gapiów wspięły się na dźwigary, żeby mieć stamtąd lepszy widok. Radosny okrzyk wydany przez najmłodszych uczestników ceremonii został uciszony surowymi napomnieniami żon i matek. Nad rezydencjami Bridgeview wznosiły się słupy dymu. Gdzieś w oddali kowalski młot wybijał stłumiony metaliczny rytm.

Dill wyjechał na szeroki plac nad świątynnymi schodami. Następnie zeskoczył z kozła i po chwili mocowania się z kluczem udało mu się otworzyć klatkę na dusze.

Podczas gdy strażnicy wnosili do niej ciała, Dill przyglądał się żałobnikom. Ich twarze zasłaniały kaptury, ale wszystkie głowy były zwrócone w jego stronę. Patrzyli na niego. Ktoś pokazał go palcem i coś szepnął, wywołując nerwowy śmiech wśród tych, którzy stali najbliżej. Dill nagle uświadomił sobie, że w blasku słońca jego oczy na pewno są różowe jak wnętrze muszli. Na tę myśl, ku jego przerażeniu, ich kolor zrobił się jeszcze ciemniejszy.

Kiedy strażnicy skończyli ładować ciała, jeden zawrócił wehikul, prowadząc konie za uzdy. Dill wspiął się na kozioł i strzelił wiodzami. Zwierzęta nawet nie drgnęły.

Strażnik zakaszlał i wskazał głową na klatkę.

Dill poczuł, że jego oczy płoną czerwienią. Zsunął się na ziemię i zamknął klatkę na klucz. Na znajomy dźwięk klacze ruszyły, tak że Dill musiał w biegu wskakiwać na siedzenie. Jeden z żałobników wystąpił do przodu i rzucił w górę garść płatków kwiatowych, obsypując nimi anioła i zmarłych.

Gdy wrota świątyni zamknęły się ciężko, Dilla znowu otoczyła ponura cisza. Choć został z nim jeden strażnik, żeby eskortować klatkę, mimo jego obecności sklepiona przestrzeń wydawała się jeszcze bardziej pusta niż wcześniej.

Dill popędził konie, ale one nadal nie miały ochoty go słuchać. Przyspieszyły dopiero wtedy, gdy były gotowe. Oś skrzypiała, konie parskaly, dziesięć kroków za nimi maszerował strażnik w zbroi. Jego kroki rozbrzmiewały jak powolne, głuche bicie serca. Każdy gwardzista, który miał krewnego wśród zmarłych, mógł eskortować klatkę. Dill zastanawiał się, czy towarzyszący mu człowiek stracił niedawno kogoś bliskiego. Zerknął do tyłu, ale nie dostrzegł śladu smutku na jego twarzy, tylko zmęczenie i chyba znudzenie.

Tymczasem Borelock zebrał rozsypane kości w stosik obok pustej kolumny i teraz stał nad nimi przygarbiony. Wściekłość nadal otaczała go niewidzialną chmurą.

Gdy w końcu mała procesja dotarła do drzwi Sanktuarium, Dill sprawdził, jak się prezentuje. Jego mundur pokrywała warstewka kurzu i pyłu z kości. Otrzeptał go najlepiej, jak umiał, po czym wygładził palcami sterczące włosy. Tęczówki jego oczu nadal miały lekki odcień różu, więc zacisnął powieki i próbował zmienić barwę, ale te wysiłki okazały się nieskuteczne. Nagle poczuł, że coś uwiera go w plecy. Sięgnął ręką za siebie i stwierdził, że w piórach ugrzęzła mała kość; być może kawałek palca.

Gdy w zamku zachrzęścił klucz, Dill pospiesznie schował kość do kieszeni, usiadł prosto na koźle i ściągnął skrzydła.

Ściany Sanktuarium były najeżone kutym żelazem niczym ostrymi kolcami. Z uchwytów osadzonych głęboko w murach zwisały sople wosku z wypalonych świec, rzucając pazurzaste cienie na kamienne płyty. Wokół dużego otworu w podłodze były wyryte błogosławieństwa powstrzymujące zmarłych przed wyjściem z otchłani, dopóki Ulcis sam ich nie uwolni. Z jednej strony była zamontowana wyciągarka z łańcuchem, który biegł przez cały system bloków i leżał w zwojach na posadzce. To było serce

świątyni, serce Deepgate.

Dill strzelił wodzami i konie, na szczęście bez wahania, weszły do Sanktuarium. Dźwięk ich podków zabrzmiał w ciszy jak trzask bicia. Mocny, odurzający zapach kwiatów zmusił Dilla do brania płytkich oddechów.

Prezbiter Sypes opierał się o mównicę z twardego drewna. Obok niego, twarzami do otworu, siedziały na krzesłach z wysokimi oparciami trzy osoby: adiunkt Crumb, Rachel Hael i młody mężczyzna, który zapewne był jej bratem.

Nowy komandor aeronautów Deepgate?

Czwarte krzesło było puste.

Spodziewają się kogoś jeszcze. Ale kto zlekceważyłby wezwanie ze świątyni?

Przed nimi leżało ciało owinięte w jedwab zadrukowany setką błogosławieństw. Dill na chwilę zatrzymał wzrok na całunie, ale szybko przypomniał sobie o obowiązkach i wspiął się na klatkę, żeby pomóc strażnikowi ją zaczepić.

Rozległ się zgrzyt i dzwonienie żelaza, kiedy gwardzista pociągnął luźny łańcuch po marmurze. Podał hak aniołowi, a on przyczepił go do górnej części klatki, po czym zeskoczył na podłogę, żeby wyprząc konie. Klacze same potruczały z powrotem na korytarz, a Dill pobiegł zamknąć za nimi drzwi.

Trzask!

Tymczasem strażnik świątynny zakręcił korbą kołowrotu. Prezbiter, adiunkt i goście patrzyli w milczeniu, jak łańcuch powoli się napręży i klatka na dusze, razem z kołami, zaczyna wolno się podnosić, cal po calu.

--Słabowity okaz w porównaniu z Gaine'em. -- Szept Marka zabrzmiał jak krzyk w ciszy Sanktuarium.

Komandor nachylał się do siostry i zerknął na Dilla kątem oka. Rachel Hael nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła prosto przed siebie. Brat, skonsternowany, odchylił się na oparcie krzesła.

Mark Hael był równie szczupły jak siostra, ale na tym podobieństwo się kończyło. Siedział

w niedbalej pozie, ze zwieszonymi luźno rękoma i wyrazem znudzenia na mocno opalonej twarzy. Rachel wyglądała przy nim na trupio bladą. Była sztywno wyprostowana, miała na sobie te same brudne skóry co wcześniej.

Prezbiter Sypes opierał się o mównicę, jakby tylko dzięki niej stał, a spojrzenie jego zapadniętych oczu było utkwione w otworze. Adiunkt Crumb jarzył się obok niego jak skarbiec pełen klejnotów. Ręce trzymał równo złożone na podolku, czaszkę miał wyszorowaną i różową jak flakon perfum. Podchwyciwszy wzrok Dilla, mrugnął do niego.

Gdy klatka zawisła nad otchłanią, strażnik odpoczął chwilę, spocony i zdyszany. Wszyscy czekali.

Przez dłuższy czas prezbiter wpatrywał się w pustkę pod klatką na dusze. Rachel, jej brat i adiunkt wyglądali na głęboko pogrążonych we własnych myślach. Przeciąg poruszył płomykami świec. Ich cienie zachwiały się na podłodze niczym gałęzie drzew targane wichrem. Mijały minuty. Powieki Sypesa opadły.

Crumb odchrząknął. Prezbiter otworzył oczy. Wciągnął powietrze nosem, zmarszczył brwi i wymamrotał coś, czego Dill nie dosłyszał.

Adiunkt się skrzywił.

Sypes chyba sobie przypomniał, gdzie jest, i dał znak strażnikowi. Ten zaczął opuszczać klatkę przez otwór do otchłani. Gdy zniknęła z widoku, strażnik zablokował kołowrót, a Dill usłyszał szmer, jakby w zegarku obracały się tryby.

--Śmierć zawsze jest blisko -- zaczął prezbiter. -- Śmierć jest przerwą między oddechami, przestrzenią między uderzeniami serca. -- Opuścił głowę. -- Kiedy Ayen zapieczętowała drzwi do nieba, skazała nas wszystkich na piekło. Duchy dobrych ludzi będą wiecznie błądziły korytarzami Irilu wśród potępionych...

Dill starał pył z rękojeści miecza. Dobra broń, solidna i ciężka, godna świątynnego archonta. Miał nadzieję, że przyzwyczai się do jego wagi.

--...niekończącymi się korytarzami, po pas we krwi, wśród ropiejących demonów i zjaw, szaleńców, morderców, najgorszych łotrów, bluźnierców i ladacznic...

Z jelca odpadały złote płatki. Dill przesunął palcem po wypolerowanej powierzchni.

Pozłacany ołów czy nie, stare miecze zdecydowanie przewyższały nowe.

--...lecz mściwość Ayen wzmocniła Labirynt. Nakarmiła go duszami, do których nie miał prawa. Iril zyskał świadomość, spryt...

Stara broń miała duszę i charakter, a stal zawsze można naostrzyć.

--...nawet teraz próbuje znaleźć drogę do tego świata. Gdyby najstarszy syn Ulcis nie starał się zdetronizować matki...

Poprosi kapłanów, żeby naostrzyli klingę. Teraz, kiedy naprawdę rozpoczął świątynną służbę, będą musieli go posłuchać.

--...sto lat wojny w niebie. W rezultacie został wyrzucony z nieba, jego legion upadłych aniołów rozbity i uwięziony w otchłani pod naszą świątynią...

Jelec też trzeba będzie wymienić, żeby broń była zdatna do walki. Kowale Deepgate pewnie zechcą ozdobić ją stosownym wzorem: czymś w duchu

Dziewięćdziesięciu Dziewięciu...

--...Ulcis zaofiarował zbawienie w otchłani... Od trzech tysięcy lat powierzamy mu

nasze dusze... Armia czekająca w mieście Deep... Pewnego dnia odzyska niebo i...

Dill?

Ale nie identyczny. Raczej według jego własnego projektu: może orzeł albo jastrząb.

Zaraz po ceremonii zaczniesz szkicować wzory.

--Dill, nudzę cię?

Anioł, który bezmyślnie wodził palcami po rysach na szerokiej, złotej gardzie miecza, drgnął gwałtownie. Wrócił do rzeczywistości i przywołał na twarz wyraz powagi i zainteresowania.

W oczach prezbitera zamigotały wesole iskiereki.

--Gdyby zamach stanu Ulcisa się powiodł, nasz świat byłby dzisiaj innym miejscem. -- Uśmiech zniknął z oczu, a sam prezbiter chyba na krótką chwilę odpłynął.

--Teraz, przed bramą do miasta Deep, składamy tę błogosławioną krew w darze

Ulcisowi, najstarszemu synowi Ayen, Bogowi Łańcuchów, Zbieraczowi Dusz.

Z dziury dmuchnął wiatr. Płomienie świec skoczyły w górę i pojaśniały. Cienie sięgnęły bliżej otworu, potem się cofnęły. Dill patrzył w pustkę, ale nie widział nic oprócz całkowitej, niepokojącej ciemności.

Prezbiter ścisnął mocniej pulpit, pochylił się nad nim i rzekł grzmiącym głosem:

--Odmówmy Irilowi tej krwi. Uwolnijmy z niej dusze zmarłych. Niech dołączą do naszej armii i powstaną, żeby rozbić wrota niebios.

Zapach kwiatów stał się jeszcze mocniejszy. Dill miał trudności z oddychaniem, jakby coś wyciskało mu powietrze z płuc. Łańcuch zadrżał. Metal szczęknął, zabrzączał. Potem nagle wszystko ucichło.

Dill wypuścił powietrze z płuc. Klatka na dusze została podniesiona. Pusta. Otwarta klapa w jej dnie chwiała się tam i z powrotem, uderzając o tylną oś.

Prezbiter Sypes zszedł z mównicy i zbliżył się do zwłok generała Haela. Położył rękę na całunie i powiedział:

--Edward Hael zginął, broniąc wszystkiego, co dla mnie drogie. -- Zerknął na

Rachel, jej brata i Dilla. -- Zamiast niego teraz Mark będzie chronił miasto. A Rachel...

Mark Hael patrzył z powagą na prezbitera, a jego siostra ukryła twarz w dłoniach. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach lśniły łzy. Adiunkt Crumb zobaczył je i nie zdołał ukryć zaskoczenia, natomiast Sypes najwyraźniej niczego nie dostrzegł; był zajęty poprawianiem sutanny.

Nagle Rachel wydała się jeszcze drobniejsza, jeszcze bardziej nie na miejscu. Dill posłał jej słaby uśmiech. Może nie rozumiała, że śmierć to radosna okazja. Jej ojciec miał na nowo narodzić się w otchłani, a jego dusza służyć Ulcisowi. Łzy były oznaką samolubstwa i niewiary. Dill to wszystko wiedział, ale dobrze pamiętał ceremonię Wysłania swojego ojca i łzy, które sam przelał. Prezbiter Syper jego płaczu również nie zauważył. Wtedy też bardzo starannie poprawiał sutannę.

Strażnik wrzucił ciało generała do otchłani.

Dill porzucił rozmyślanie. Czekala go chłosta.

ROZDZIAŁ 7 SZCZĘŚCIE PANA NETTLE

Ściskając w ręce rachunek i pchając przed sobą rozklekotany wózek Kowala, pan Nettle szukał na przystani miejsca numer siedemnaście. Sterowce handlowe sunęły z hukiem nad lasem wież cumowniczych i łańcuchów, gdzie armia ludzi z młotami, hakami i płomieniami eterycznymi trudziła się, żeby całość chodziła jak w zegarku. Inni robotnicy wyladowywali towary z przycumowanych statków: rudy metali i węgiel z Hollowhill, drewno z Shale, trzodę i ziemię z Plantacji Coyle, wino z High Valleys; sól, tekstylia, złoto, srebro i brąz z pustynnych osad. Przez dźwigary i kamienie pod jego nogami przebiegało drzenie. Powietrze pachniało paliwem i żelazem.

Statki, które przybywały z Sandport i Clone, były ciężkie od dóbr z nadrzecznych miast, natomiast odlatujące -- szybkie i lekkie. Przewoziły niewiele poza wezwaniami do zapłacenia podatków i od czasu do czasu skrzyniami z uzbrojeniem dla wysuniętych garnizonów.

Pan Nettle pamiętał czasy, kiedy wielkie sterowce jeszcze nie przemierzały nieba. Towary przywożono do Deepgate karawanami, z których wiele nigdy nie docierało do miasta.

Najtrudniejsze były lata, gdy szalała wojna z Heshette i poganie odcięli

wszystkie drogi dostaw. On sam był wtedy chłopcem, ale pamiętał głód, rozlew krwi i kolejki po żywność. W tamtych czasach Iril zabrał wiele dusz.

W krajobrazie stoczni wyróżniały się wielkie, nierówne dziury, na tyle duże, żeby sterowce mogły przez nie dotrzeć do miejsc cumowania, gdzie szwacze i klejarze zabierali się do łatania ich i naprawiania. Wszystkie otwory, które mijał pan Nettle, były teraz puste, nie licząc ciemności, łańcuchów i dziwnego metalicznego tchnienia z głębi otchłani. Ale sieciarz wiedział, że na dole są ludzie i, zawieszeni na linach, w specjalnych uprzężach, wzmacniają stare żelazo nowym. Słyszał ich odległe pokrzykiwania i śmiechy, dudnienie młotów. Zastanawiał się, ilu z nich każdego dnia udaje się wrócić do domu i jak ich żony znoszą poranne pożegnania.

W końcu znalazł brygadzystę wrzeszczącego na grupę dokerów zebranych wokół przeladowanego wozu. Pod ciężarem worków z węglem pojazd przysiadł na tylnych kołach, a zaprzężony do niego osioł zawisł kilka stóp nad ziemią. Zwierzę spokojnie coś przeżuwało i wyglądało na znudzone.

--Myślicie, obiboki, że to żart? -- Brygadzista uderzył pałką o dłoń. -- Chcecie poczuć na łbach mój kij?

--To nie nasza wina -- zaprotestował jeden z dokerów. -- Od wczoraj osioł stracił na wadze.

--Tak, wy też straciecie, jak wam obetnę pensje za te wyglupy.

Uśmiechy zniknęły z twarzy. Dokerzy wzięli się pospiesznie do rozładowywania wozu.

--Surówka dla Kowala -- odezwał się pan Nettle, podając rachunek kierownikowi.

Ten zignorował świstek i burknął:

--Jutro. -- Potem odwrócił się do swoich ludzi i krzyknął: -- Najpierw bierzcie te z wierzchu, barany! Chcecie, żeby wszystko się rozsypało?

--Nie -- powiedział twardo pan Nettle. -- Teraz.

Brygadzista zmierzył go wzrokiem. Już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Może

zauważył napięte ramiona potężnego klienta. W końcu westchnął i wziął rachunek.

--Tam. Magazyn jedenasty, tak jak tutaj napisane. Paleta trzysta dwa.

Gdy rachunek został sprawdzony przez kierownika magazynu, pan Nettle znalazł skrzynie tam, gdzie mu powiedziano, i zaniósł pierwszą na wózek. Do wtóru skrzypiącej drewnianej osi ruszył z powrotem do Zaulka Czarnych Pluc.

Przez całe popołudnie ciężko pracował dla pana Kowala. Jego żebra protestowały przy każdym kroku, ale szedł wytrwale, stawiając nogę za nogą jak w transie. Nie myślał o niczym, widział tylko bruk przed sobą, słyszał jedynie turkot kół wózka. Każda kolejna skrzynia ważyła więcej niż poprzednia i zdawało się, że nigdy się nie skończą. Mógłby przysiąc, że ktoś doładowuje paletę, w miarę jak on ją opróżnia. Przy takim tempie będzie miał szczęście, jeśli skończy pracę, zanim się ściemni. Szczęście? Pan Nettle spochmurniał. Co to jest szczęście? Nie miał pojęcia, bo znał jedynie pech. Miał go wtedy, gdy wstawał lodowaty poranek, gdy przez tydzień niczego nie znalazł w sieciach albo kiedy zachorował, choć musiał pracować. Pech to po prostu samo życie. A szczęście? To tylko przerwa w nieszczęściu. Jak wtedy, gdy człowiek nie zachoruje i może codziennie przeszukiwać sieci. Kiedy znajdzie coś, co można sprzedać, i będzie miał na jedzenie. Ale może teraz fortuna się do niego uśmiechnęła. Kowal był dobrym człowiekiem. Ale pan Nettle nie chciał o tym myśleć. Im dłużej rozmyślał, tym bardziej czuł, że kusi los. Szczęście, prawdziwe szczęście, nie przychodzi do ludzi takich jak Kowal czy Nettle.

Zanim dzwony wybiły czwartą po południu, dostarczył połowę żelaza. Miał obolałe żebra, mięśnie całe zeszytywniały. Słońce prażyło bezlitośnie, wysysało z niego resztki sił. Żalobna szata przesiąkła potem. Pan Nettle osunął się na ziemię przy miejskim kranie pod wieżą Merrygate, zaspokoił pragnienie, spryskał wodą twarz. Niektórzy ludzie patrzyli na niego dziwnie, ale większość ignorowała go jak żebraka.

Tylko trzy bełty. Jakie miał szanse? Gdyby chybił za pierwszym razem, anielica z pewnością by go dopadła, zanim zdołałby wystrzelić drugi pocisk, zatruty czy nie. Jeden musiał wystarczyć. Ale którego użyć? „Złodziej dusz” wydawał się najbardziej odpowiedni -- dusza za duszę. Mimo że nowy będzie kosztował najwięcej, bo groty powodujące choroby były rzadkością. Kowal nie wspomniał słowem o placeniu za bełty, ale pan Nettle uważał, że przynajmniej tyle jest mu winny. O ile przeżyje tej nocy. Potarł oczy poduszkami dłoni. A jeśli anioł go zabije? Kusza zostanie na ulicy, ktoś ją znajdzie i pan Kowal nigdy więcej jej nie zobaczy. Kiepski interes jak za dzień pracy. Pan Nettle odepchnął tę myśl.

Wstał sztywno i wrócił do wózka. Gdy naparł brzuchem na uchwyt, ból przeszył mu żebra, ale on tylko zacisnął zęby. Miał przed sobą całe popołudnie harówki.

Jeszcze zanim dotarł do Zaulka Czarnych Pluc, wiedział, że stało się coś złego. W miarę jak pokonywał wąskie, kręte uliczki, kierując się ku kolonii płatnerzy, ogarniał go coraz większy niepokój. Z początku go lekcewał, biorąc za cień własnego smutku, ale lęk narastał z każdym krokiem, aż w końcu pan Nettle przyłapał się na tym, że idzie coraz szybciej.

Był jedną ulicę od celu, kiedy się zorientował, co jest nie w porządku. Nie słyszał dźwięczenia metalu ani huku młotów. W zaulku Czarnych Pluc panowała całkowita cisza. Pan Nettle przebiegł kilka ostatnich metrów, przy akompaniamencie grzechotu skrzyni na wózku.

Wjeście do zaulka tarasował tłum. Kowale o umięśnionych torsach pobrudzonych węglem

stali przed drzwiami kuźni albo usiłowali przepchnąć się do przodu, żeby zobaczyć, co się stało. Na końcu alejki kłębił się dym. Ktoś krzyknął:

--Cofnijcie się, cofnijcie! Zaraz się zawali!

Pan Nettle porzucił wózek i zaczął się przedzierać przez tłum. Ludzie rzucali mu gniewne spojrzenia, popychali go to tu, to tam, ale udało mu się dotrzeć na sam przód zbiegowiska. Kowale byli potężni, ale pan Nettle jeszcze większy. W powietrzu wisiał smród palących się sznurów.

--Cofnijcie się, mówię! Do tyłu, durnie!

Z przodu gapie kaszleli, inni krzyczeli. Nagle rozległ się trzask, a potem jęk naprężonego metalu. Przez kłęby dymu pofrunęły w górę rozżarzone węgielki i raptem tłum zafalował do tyłu, unosząc ze sobą pana Nettle. Ludzie próbowali go ominąć. Ktoś zdzielił go pięścią, ktoś inny uderzył kolanem w brzuch. Sieciarz omal nie upadł. Ratując się, chwycił napastnika za włosy i pociągnął w dół, wepchnął pod nogi innych. Przed nim natychmiast zrobiło się pusto. Zobaczył płomienie.

Zaulek Czarnych Płuc urywał się raptownie. Tam, gdzie kiedyś był bruk i mury poczerniałe od sadzy, teraz ziała dziura otoczona przez płonące ruiny. Koniec uliczki zsunął się w otchłań, zabierając ze sobą połowę kuźni i dużą część najbliższego sąsiedztwa. Nad otworem wisiała płatanina łańcuchów, przypominających kosz, któremu odpadło dno. Katastrofa spowodowała zniszczenie tuzina domów. Ich ściany się oderwały, tak że z kamienia sterczały teraz gołe dźwigary, a pokoje stały otworem przed wzrokiem pana Nettle, z nienaruszonymi meblami, ale zaledwie cale od przepaści.

Kowal i jego warsztat zniknęli.

Pan Nettle zrobił krok do tyłu i wepchnął się w tłum, gdy tuż przed nim zapadła się część bruku. Żar z pieców podpalil rozzerwane sieci, z dziury buchnęły płomienie, nad zbiegowiskiem przetoczyła się chmura dymu.

--Do tyłu! -- ryknął pan Nettle i z całej siły naparł na tłum.

Ludzie potykali się i upadali, stojący za nimi próbowali się cofnąć, ale z tyłu pchali się do przodu inni, niczego nieświadomi gapie.

Ciżba gęstniała niepokojąco i przez jedną straszną chwilę pan Nettle czuł, że jest spychany w stronę otchłani. Już miał upaść, ale złapał się czegoś -- chyba czyjś ucha -- i stanął prosto na nogach. Jego sąsiad wrzasnął, runął na plecy... ale czy zsunął się w przepaść, tego pan Nettle nie widział. Inni ciągnęli go za szatę ze wszystkich stron, popychali. Uwolnił się od nich kopniakami. Jednego uderzył łokciem w twarz, drugiego zdzielił w brzuch.

Kolejny huk i głośnie trzeszczenie. Jeszcze więcej pokruszonego kamienia posypało się w otchłań.

Nie można było przedrzeć się przez zbity tłum, więc pan Nettle musiał iść górą. Zwarł się z najbliższymi stojącymi, powalił ich na ziemię. Zewsząd dobiegały krzyki i dzikie wrzaski. Pan Nettle wspinał się po plecach, deptał po rękach i nogach, parł przed siebie, rozdzielając razy pięściami. Kopał, łapał za skórę albo włosy, pazurami torował sobie drogę. Przez jedno uderzenie serca był niesiony ponad tłumem, potem wpadł między twarde buty. Coś uderzyło go w twarz. Próbowal wstać, ale już zwalili się na niego ludzie, przygniatali go, dusili.

Usłyszał trzask pękających kabli. Nagle poczuł, że jego ręce są mokre. I całe czerwone. Nie wiedział, czy to jego krew. Czyjś but trafił go w zęby, a potem stanął mu na głowie.

Miażdżący ciężar gruchnął na jego obolały grzbiet.

Pan Nettle krzyknął, zrzucił z siebie jednego człowieka i z trudem uniósł się na łokciach. Kolejne wierzgnięcie i podciągnął pod siebie kolana. Dźwignął się w górę i wstał, strącając pozostałych ludzi. Zamknął oczy, wyciągnął przed siebie ręce i w gęstniejącym dymie ruszył przez tłum, mlóćąc pięściami na prawo i lewo. Trafił w cel dziesiątki razy.

Z tyłu dobiegło głuche dudnienie. Rozległ się jeszcze głośniejszy wrzask.

Z płucami pełnymi dymu, po omacku, pan Nettle przedzierał się dalej przez zbiegowisko.

I nagle stwierdził, że jest wolny.

Wokół niego kowale wyciągali kolegów z oszalałej ciżby. Inni nadbiegali z kubłami wody, ale nie mogli przedostać się do pożaru przez zwartą ludzką masę. Tak więc zostawiali wiadra i pędzili po następne.

Pan Nettle zatrzymał się, żeby złapać oddech. Jego szata była podarta na strzępy i zbryzgana krwią, zbyt dużą ilością krwi, żeby wytłumaczyć ją ciosami, które otrzymał. To pękające kable przeorały tłum, zrozumiał pan Nettle. Obejrzał siebie całego,

policzył palce. Był oszołomiony, posiniaczony, ale, nadal w jednym kawałku. Miałem szczęście, pomyślał żałośnie.

ROZDZIAŁ 8 BITWA ZĘBA

Dill nie potrafił stwierdzić, czy prezbiter Sypes czyta, czy śpi. Jego głowa kiwała się kilka cali nad tomiszczem, które leżało przed nim na biurku, twarz była nieruchoma i zastygła jak owsianka Fondelgrue'a. Suchy oddech rządził mu w piersi, ale stary kapłan nie chrapał, więc prawdopodobnie jednak czytał. Mimo to nie odwrócił stronicy, odkąd anioł wszedł do sali lekcyjnej.

Dill powędrował wzrokiem po półkach sięgających od podłogi do sufitu. Grzbiety starych woluminów tworzyły mozaikę ciemnych barw ożywionych gdzieniegdzie błyskami złotych liter. Oprócz tego zbioru książek, paru zniszczonych drewnianych biurków i krzeseł sala była pusta. Blask popołudniowego słońca wpadał przez okna rozmieszczone wysoko na zachodniej ścianie i kładł się na deskach podłogi snopami koloru miodu. Między smugami światła leniwie krążyła mucha, jakby z trudem przedzierała się przez powietrze aż gęste od ciszy. Gdy chrapliwy oddech nagle ucichł, Dill odwrócił się i zobaczył, że prezbiter na niego patrzy.

--Jak długo tu stoisz? -- zapytał starzec.

--Nie chciałem przeszkadzać, wasza wielbność.

--Zapewne. -- Sypes zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. -- Nie masz dzisiaj lekcji, prawda?

--Nie, wasza wielbność.

--Więc czego chcesz? Dill się zawahał.

--Kazano mi tutaj przyjść -- wyjaśnił. -- Borelock wydał mi takie polecenie.

--Ach, tak. -- Prezbiter wyprostował się na krześle. -- Poranny incydent. Zdaje się, że z Dziewięćdziesięciu Dziewięciu zostało dziewięćdziesięciu ośmiu. -- Sypes milczał przez chwilę. -- No więc, co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Dill zwiesił głowę.

--Naprawdę mi przykro. Prezbiter przyjrzał mu się uważnie.

--Widzę.

Mucha przeleciała z bzyčeniem koło ucha Dilla, zakreśliła szeroki łuk i usiadła na biurku. Prezbiter uderzył ręką w blat, ale nie trafił owada. Dill drgnął. Sypes z wyraźnym zakłopotaniem obejrzał dłoń.

--Rozumiem, że zanim objąłeś służbę świątynną, tego rodzaju sprawami zwykle zajmował się Borelock -- powiedział.

--Tak, wasza wielbność.

--Czego w takim razie ode mnie oczekujesz?

--Kazano mi... -- Dill nadal miał głowę spuszczoną na pierś, wzrok wbity w jeden punkt na podłodze. -- Wasza wielbność, zapowiedziano, że dostanę chłostę.

--Hmm, to zwyczajowa kara, prawda? Na przykład za spóźnienie, kleksy na pergaminie, rozlanie atramentu... i inne podobne zbrodnie.

--Tak, wasza wielbność.

--Uważasz, że twój poranny wypadek zasługuje na tradycyjną karę? O ile się orientuję w sytuacji, w korytarzu Sanktuarium mamy teraz stertę kurzu i zębów. Ni mniej, ni więcej, tylko Samuela, Gwiazdy Porannej. Sądzisz, że zwykła chłosta wystarczy?

--Nie, wasza wielbność.

--I słusznie. -- Prezbiter Sypes pokręcił głową. -- Wiesz, jaka to była stara relikwia?

--Tak, wasza wielbność.

--Synu, przed wypadkiem to była tylko kupa kości. -- Starzec zamknął delikatnie księgę. --

I nadal jest to kupa kości. Bardzo ważnych, owszem, nawet świętych. -- Odczekał chwilę, żeby jego słowa wywarły stosowne wrażenie. -- Naprawimy je, kosztem pewnego wysiłku i bez wątpienia sporych nakładów, ale w gruncie rzeczy to nadal będzie kupa kości. -- Niestety... -- prezbiter się zawahał -- tradycja wymaga kary chłosty i dostaniesz chłostę. -- Teraz mówil cicho, prawie szeptem. -- Jest jednak pewien problem. Jestem słabym, starym człowiekiem. Wątpię, czy zdołałbym utrzymać w ręce bat, nie mówiąc o jego użyciu z siłą konieczną do zadania bólu.

Dill aż zadrzał wewnątrz na samą wzmiankę o bacie, ale odpowiedział dzielnie:

--Rozumiem. Porozmawiam z Borelockiem.

--Nie, chłopcze, nie. Nie pozwolę, żeby uważano mnie za słabeusza, za beużytecznego starca, który nie potrafi spełnić obowiązku. Myślę, że wymierzimy sprawiedliwość batem.

Istniały trucizny sto razy gorsze niż bicz, trucizny, które potrafiły zadać bardzo wymyślne cierpienia, nie powodując trwałych uszkodzeń ciała. Oczy Dilla rozjarzyły się bielą, kolana pod nim zadrzały, tak że z trudem utrzymał się na nogach.

--Kiedy stąd wyjdiesz, radzę, żebyś szedł zgarbiony, z grymasem na twarzy -- rzekł prezbiter. -- Unikaj patrzenia prosto na kapłanów... i nic nie mów. -- Wzruszył ramionami. -- Niech ich głowy wypełnią wyimaginowane obrazy chłosty, trucizn i Bóg wie czego jeszcze. Niech się zachwycają wściekłością swojego starego mistrza. Dlaczego nie mielibyśmy osiągnąć pożądanego efektu, nie wysilając się zbytnio? Czy to nie oszczędzi nam obu bólu? Gdyby ktoś uśmiechał się pogardliwie albo drwił otwarcie, daj mi znać. Rozumiesz?

Dill trząsł się tak bardzo, że skinienie głową wyszło mu mimochodem.

--Nie bój się, chłopcze. Pomóż mi ukryć słabość, a ja postaram się wymierzać przyszłe kary w taki sam sposób. Co nie znaczy, że spodziewam się ujrzeć cię znowu w podobnych okolicznościach. Przecież jesteś już dorosły. Zgoda?

--Tak, wasza wielbność.

--To dobrze. -- Prezbiter się uśmiechnął. -- Nie pozwólmy im myśleć, że jestem starym, zramolałym głupcem.

--Tak, wasza wielbność.

--Cóż, przerwano mi drzemkę i akurat mam jeden z rzadkich momentów jasności umysłu, więc równie dobrze możemy go wykorzystać. Powiedziałbym, że mamy trzydzieści batów czasu, a wszyscy spodziewają się, że wymierzę je bez pośpiechu. A skoro jesteśmy w szkolnej klasie, może coś poczytamy. Do którego miejsca w podręczniku doszedłeś?

--Wasza wielbność wyrzucił podręcznik na naszej ostatniej lekcji.

--Naprawdę?

--Przez okno. -- Dill wskazał na nową szybę, jeszcze z odciskami palców szklarza.

--No, no. Co to była za książka?

--Nie wiem. Ciężka.

--I dobrze, bo nie cierpię grubych tomiszczy. Czy w takim razie studiowaliśmy coś innego?

--Wasza wielbność stwierdził, że ponieważ skończyłem szesnaście lat, czas na najważniejsze lekcje życia.

--Doprawdy? -- Prezbiter zmarszczył brwi i bąknął bez przekonania: -- Tak, tak, oczywiście, pamiętam.

--Zastanawiałem się...

--Tak?

--Temat, który ostatnio poruszyliśmy...

--Aha. -- Prezbiter Sypes zeszywniał. -- Och, ta moja pamięć. -- Postukał palcami o zęby.

-- Cóż, odłóżmy wstyd na bok. Skoro poruszyłem ten temat, powinienem go dokończyć... I tak to była tylko kwestia czasu. Szesnaście lat, więc oczywiście... -Otworzył dziennik i przebiegl wzrokiem stronę, ale Dill podejrzewał, że tak naprawdę wcale jej nie czyta. Twarz prezbitera przybrała dziwny odcień różu. W końcu cmoknął i utkwil wzrok w uczniu. -- Kobiety.

--Nie, wasza wielbność, to nie to.

--Nie?

--Rozmawialiśmy o wojnie.

--O wojnie? -- Prezbiter westchnął. -- O, miłoścy Ulcisie. Tak, tak, o wojnie.

Opowiem ci o wojnie.

Przez chwilę zbierał myśli, patrząc w dal.

--Głównie Heshette -- zaczął cicho. -- Inni byli zbyt zajęci mordowaniem się nawzajem z powodu kóz, wykradaniem sobie żon. Natomiast Heshette... -- Pokiwał głową. -- Trzy tysiące lat temu Callis zbudował świątynię nad królestwem Ulcisa, ale poganie przysięgli, że ją zburzą. Pierwszy bój, Bitwa Zęba, został stoczony w czasach, kiedy Deepgate było jeszcze osadą namiotów i glinianych chat zbudowanych wokół przepaści. Jeszcze nie wzniesiono miejskich murów, które powstrzymałyby wroga, jednak stu archontom i zaledwie dwóm tysiącom pielgrzymów udało się pokonać horde dwadzieścia pięć razy liczniejszą. -- Sypes się uśmiechnął. -- Ale już słyszałeś tę część opowieści?

--Tak, wasza wielbność. -- Dill dobrze znał historię tej bitwy. Uczni i poprzedni prezbiterowie wiedzieli dużo o tamtym wydarzeniu, a Sypes opowiadał mu o nim nie raz.

--W takim razie ją pomnę.

--Nie, wasza wielbność, proszę. Uśmiech starego kapłana stał się szerszy.

--Relacja Scrimlocka rozpoczyna się od dwóch pytań.

Dill pamiętał: to była jego ulubiona anegdota na temat pamiętnej bitwy.

--Ilu? -- zapytał Callis. -- I gdzie?

Balthus Brine klęczał na dywanie w nagrzanym przez słońce namiocie herolda. Jego szerokie barki rzucały cień na rozpostartą przed nim mapę.

--Heroldzie, według naszej oceny jest ich od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy. Osiem tysięcy Heshette, dwa razy tyle ich kuzynów z Dalamoor i dwadzieścia tysięcy spośród heshbańskich plemion z północnych Martwych Piasków. Są jeszcze poganicze wielbłądów ze stepów, nomadzi wciągnięci w wojnę i mały oddział solnych najemników z Lowlands, razem jakieś tysiąc pięćset ludzi. Tylu pogan na raz nie było w jednym miejscu, odkąd Poleman York chwalił się, że jest jeszcze jedna dziewica w Sanpah. Armia obozuje teraz cztery mile na

południowy zachód od Czarnego Tronu. Tutaj. -- Pokazał miejsce na mapie. -- Dziesięć do dwunastu dni drogi stąd.

--Solni najemnicy? -- zapytał anioł.

--Heshette zapłacili im solą z delty Pocked. Callis wybuchnął śmiechem.

--Więc miejmy nadzieję, że przynieśli swoją zapłatę. Brakuje nam soli, prawda?

--Brakuje nam wielu rzeczy, na przykład szczęścia. -- Balthus rozmasował kark. --

Heroldzie, armia maszeruje szybko. Prawie wszyscy najemnicy to ludzie pustyni. Jeśli mamy liczyć na to, że dotrzemy do Coyle i nadrzecznych miast, musimy wyruszyć już teraz.

--Uciec, Balthusie? -- Oczy Callisa zabłysły. -- Nie zamierzam uciekać.

--Heroldzie, nie zdołamy obronić Deepgate, stając przeciwko takiej sile.

Moglibyśmy wznieść mury obronne, ale... -- Balthus nie dokończył zdania, bo czy fortyfikacje opóźniłyby nieunikniony koniec o więcej niż godzinę?

--Zgoda. Nie byłoby rozsądne zostać w osadzie.

--Wycofamy się do świątyni? Moglibyśmy bronić łańcuchów, ale nie wystarczy nam zapasów, żeby przetrwać oblężenie. Wodociąg do Jakki nie jest jeszcze ukończony, a zanim horda do nas dotrze, zdąży wrócić mniej niż połowa naszych karawan. W ciągu miesiąca zginęlibyśmy z pragnienia.

--To prawda -- przyznał obojętnym tonem Callis. Balthus czekał, ale anioł nic więcej nie powiedział.

--Heroldzie, jakie są twoje rozkazy? -- zapytał w końcu.

--Pomaszerujemy im naprzeciw. Brine omal się nie zakrztusił.

--Naprzeciw pięćdziesięciu tysiącom ludzi?

--Sam powiedziałeś, że może ich być tylko czterdzieści tysięcy.

--Ale... -- Balthus stwierdził, że trudno mu znieść wzrok Callisa. Intensywność spojrzenia tych ciemnoszarych oczu wytrąciła go z równowagi, więc spojrzął na mapę, jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie ich dylematu. -- Mamy miecze dla siedemdziesięciu ludzi -- powiedział. -- Cztery beczki napalmu przywiezione zza morza. I oczywiście Dziewięćdziesięciu Dziewięciu. -- Zakreślił koło wokół talizmanu, który wisiał mu na piersi, i dotknął czoła. -- Jeśli z woli Ulcisa odpowiedzą na twoje wezwanie.

--Wątpisz we mnie, Balthusie?

--Nie, heroldzie, ale jest tylko stu archontów. I zaledwie dwa tysiące pielgrzymów...

--I Ząb -- powiedział Callis.

Brine gapił się na herolda przez dłuższą chwilę, po czym na jego twarz wypłynął uśmiech. Przez cały czas rozwiązanie mieli przed sobą.

--Heroldzie, natychmiast rozpocznę przygotowania.

Zostawił anioła dumającego nad mapą i wyszedł z namiotu, w cień Zębu.

Ząb był cudem; górował na osadą jak cytadela wyciosana z kości. Callis sprowadził maszynę do Markeh przed czterdziesty laty, a ona wstrząsnęła ziemią nie tylko w sensie dosłownym. Herold głosił z niej o tym, jak Ayen, bogini światła i życia, rozgniewała się na ludzi i zapieczętowała niebo. O tym, jak skazała ich dusze na Labirynt.

Wśród mieszkańców Markeh zapanował strach, bo nie chcieli wędrować krwawymi

korytarzami Irilu wśród potępionych.

Callis uspokoił tłum, opowiadając, że siedmiu synów wystąpiło przeciwko Ayen. Stworzyli armię aniołów, żeby usunąć matkę. Zamach stanu prawie się udał, ale ostatecznie siły Ayen okazały się zbyt potężne. Bogini zwyciężyła i za zdradę wypędziła synów z nieba razem z niedobitkami ich pokonanej armii, żeby dołączyli do królestwa śmiertelników.

Balthus słuchał go z zachwytem i nabożnym lękiem, razem z innymi. Wiedział, że to prawda. Czyż ostatniej zimy nie widzieli, jak nocne niebo płonie od furii Ayen? Czy nie byli świadkami, jak spadło siedem gwiazd?

Nie wszystko stracone, pocieszył ich Callis. Nadzieją dla ludzi był najstarszy syn Ayen, Ulcis, bóg łańcuchów, który został wygnany głęboko pod ziemię. Osłabiony, ale nie pokonany, wysłał swojego herolda, żeby zbudował świątynię i ogłosił, że Ulcis ofiaruje zbawienie w swojej otchłani. Dusze wysyłane do niego na dół miały unikać Irilu po śmierci, on sam tworzył nową armię, żeby zaatakować niebo.

Balthus był tak wstrząśnięty objawieniem, że bez namysłu porzucił dawne życie i przyłączył się do pielgrzymów przy budowie świątyni.

Teraz, stojąc przed namiotem herolda, podniósł wzrok na szerokie jak rzeki gąsienice Zęba, na jasny kadłub i osmalone kominy sięgające na wysokość stu stóp i buchające dymem w pustynne niebo. To była forteca, zrozumiał, a nawet coś więcej: broń. Przez ostatnie cztery dekady potężnymi nożami w gryzała się głęboko w zbocza Czarnego Tronu, wydobywała dziwną rudę z ciała góry i przenosiła ją do Deepgate, gdzie wyrabiano z niej świątynne łańcuchy.

Pięćdziesiąt tysięcy ludzi?

Równie dobrze mogłoby ich być pięćdziesięciu.

Ale Balthus nie miał pojęcia, w jaki sposób można wykorzystać wielką maszynę w bitwie. Ząb stał się taką samą częścią krajobrazu jak otchłań. A czy człowiek dostrzega grunt pod nogami albo dach nad głową? Czyżby on tak bardzo się zmienił, że brał tę manifestację boskiej mocy za oczywistość? Podeszedł do skraju przepaści i ukląkł na piasku, żeby błagać pana podziemi o wybaczenie.

Gdy dotarła wieść o zbliżającej się hordzie, wstrzymano wszystkie prace. Pomosty biegnące zygzakami od obwodu do środka były puste. Nad otchłanią wisiała głęboka cisza. Do tej pory rozciągnięto dziewięćdziesiąt dziewięć łańcuchów fundamentowych, a główny szkielet świątyni zaczynał nabierać kształtu. Balthus powiół wzrokiem po rozległym terenie budowy. Łańcuchy Mesy, Perpaula, Simona, imponujące jak legenda ich imienników. Byli nimi najwięksi wojownicy Ulcisa, ocalali z wojny w niebie. Czterdzieści lat wcześniej Balthus nie uwierzyłby, że śmiertelnik potrafi coś takiego zbudować.

Naprawdę był wdzięczny.

Na serio rozpoczęto przygotowania do bitwy. Pielgrzymi przenieśli zapasy do ładowni Zęba. Mężczyzn, kobiety i dzieci umieszczono w tymczasowych kwaterach w jego wnętrzu. Callis wezwał Dziewięćdziesięciu Dziewięciu.

Na rozkaz dowódcy aniołowie Ulcisa powstali z otchłani. Ich zbroje otaczał śmiertelny blask, miecze lśniły pod wściekłym słońcem Ayen.

Balthus zadrżał na ich widok.

--Oni nie żyją? -- zapytał Callisa.

--Dla nas wyrzekli się wieczności -- odparł anioł. -- Nie mogą przeżyć w tym świecie.

Światło Ayen ich zniszczy, tak jak niszczy ludzi. Ale dopóki żyją, będą płonąć jasno. Na rozkaz herolda przyniesiono butelkę czarnego płynu. Balthus rzucił Callisowi pytające spojrzenie.

--Anielskie wino -- wyjaśnił herold. -- Dar od naszego Pana.

--Napój magiczny? Callis się roześmiał.

--W pewnym sensie. Da wielką siłę, moc i długowieczność tym archontom, którzy go wypiją. Ulcis jest wspaniałomyślny, że czasami dzieli się swoją boskością, nie uważasz?

Brine zmierzył anioła wzrokiem. Czyżby eliksir naprawdę zawierał boską moc? Płyn wirował w środku jak dym. Balthusowi wydawało się, że słyszy w butelce szepty.

--To żyje -- wykrztusił. Callis podał mu naczynie.

--To wino zawiera dusze wielu ludzi -- powiedział.

--Ludzkie dusze?

--Wrogów Ulcisa. -- Jego ton ostrzegał przed dalszymi pytaniami. Balthus patrzył, jak każdy z Dziewięćdziesięciu Dziewięciu wypija łyk anielskiego wina. Zobaczył, że ich oczy stają się czarne, a blask otaczający zbroje przygasa. A kiedy sam herold przełknął swoją część, Brine nie zdołał się opanować.

--Czy lojalny sługa również może się napić? -- zapytał.

Callis wyglądał, jakby wpadł w morderczy szal. Odwrócił się gwałtownie, z wykrzywioną twarzą, i przez jedno uderzenie serca Balthus bał się o własne życie. Ale po krótkiej chwili oczy anioła złagodniały i pojawiła się w nich litość.

--Ten eliksir jest za mocny dla człowieka -- wyjaśnił cierpliwym tonem. --

Doprowadziłby cię do szaleństwa.

O świcie w dzień bitwy zerwała się potężna burza piaskowa, jakby bóg łańcuchów bił skrzydłami pod ziemią. Balthus Brine stał na mostku Zęba, u boku Callisa. Przez cały bój herold się nie odzywał. Opuściła go wściekłość. Patrzył na rzeź z wyrazem twarzy, który można by uznać za żal.

--Oplakujesz ich? -- zapytał Balthus.

--To dzikusy -- rzucił krótko Callis.

Brine pokiwał głową i uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

--Jak my -- dodał herold, odwzajemniając uśmiech sługi.

Burza szalała, miecze archontów lśniły, Ząb miażdżył wrogów, aż ziemia zrobiła się czerwona jak słońce przesłonięte przez tumany piasku. A kiedy ucichły ostatnie podmuchy wiatru i skończyło się zabijanie, na Martwych Piaskach leżały ciała dwudziestu tysięcy ludzi. Niedobitki hordy uciekły przed Zębem i aniołami, a Callis stał triumfujący na górze trupów.

--Wszyscy, którzy są cali, zostaną pobłogosławieni i wrzuceni do otchłani -- rozkazał. -- Czeka ich odkupienie.

--Ale będą próbowali nas zniszczyć -- zaprotestował Balthus. -- Nie zasługują na miejsce w armii naszego Pana.

Anioł się uśmiechnął.

--Ulcis to wspaniałomyślny bóg.

--Czy Callis naprawdę żył tysiąc lat? -- zapytał Dill.

Prezbiter spojrzal na niego dopiero po chwili i zaraz odwrócił wzrok.

--Relacje są sprzeczne -- powiedział. -- Ale większość istotnie podaje taki wiek.

Niestety, synowie nie odziedziczyli długowieczności po ojcu.

Dill się zadumał. Tysiąc lat życia po jednym łyku anielskiego wina. Ciekawe, czy anioł żyłby do dzisiaj, gdyby wypił więcej eliksiru?

--Ale Heshette wrócili -- zauważył.

--Tak, wrócili, choć już nigdy więcej w takiej liczbie. Ząb dał im nauczkę. Dopiero dwieście lat temu sytuacja zaczęła się zmieniać. Nasi szpiedzy odkryli u Heshette kastę szamanów, którzy podżegają pustynnych ludzi do drugiej wojny. Zaatakowaliśmy pierwsi, w nadziei że zabijemy szamanów i w ten sposób powstrzymamy wroga, ale nasze próby tylko umocniły ich determinację. -- Prezbiter kichnął i wytarł nos. -- Powstali znowu i od wielu lat nasze armie walczą z nimi wiarą i stałą. Oczywiście z pomocą synów Callisa. Ród herolda trzyma się mocno.

Dill skrzywił się w duchu. Raptem zapiekło go draśnięcie na palcu. Sypes mówił dalej, jakby do siebie. Jego oczy odrobinę zmętniały, ale wykladał z pasją.

--Za każdym razem, kiedy poganie otrząsali się po porażce, atakowali ponownie, choć rzadko silniejsi niż wcześniej. Głównie jako rozproszone plemiona, podburzane przez rdzennych Heshette i ich czarowników o węzowych językach. Pozostawiali lojalni wobec Ayen i przysięgali zniszczyć jej wypędzonych synów. -- Zdawało się, że Sypes na chwilę zapadł w letarg. -- Wytatuowane, zarośnięte dzikusy... chodzą również słuchy, że to kanibale. Zjadają własnych rannych i piją jakieś paskudztwo ze sfermentowanej krwi i mleka. -- Prezbiter zmarszczył czoło. -- Z drugiej strony, w tym mieście krąży wiele takich opowieści.

Dill próbował wyobrazić sobie Heshette, ich rytuały na cześć słońca i ofiary z ludzi, o których czasami mówili misjonarze. W jego wizji poganie szarpali się jak psy, a między nimi niczym duchy przemykali szamani o rozdwojonych językach i szeptali. On stał przed nimi, na krawędzi przepaści, ostatni archont broniący ulic ogarniętego paniką Deepgate, z uniesionym mieczem, oczami ciemnymi i głębokimi jak królestwo Ulcisa.

--Wiara, stal i wola boża chroniły nas długo, ale trzydzieści lat temu stało się coś, co pobudziło plemiona do działania -- ciągnął prezbiter. -- Z powodu suszy, najgorszej w historii, zmarniała większość naszych zbóż. Burze piaskowe zniszczyły resztę. Coyle, która nigdy wcześniej nie zawiodła, wyschła i zamieniła się w strumyk. Wszyscy ucierpieli jednakowo: mieszkańcy Deepgate i pustynni ludzie. Ale poganie dostrzegli w tej klęsce omen. Uwierzyli, że bogini Ayen karze ich za plemienne waśnie. Po raz pierwszy od Bitwy Zęba przestali walczyć między sobą i się zjednoczyli. Jeszcze raz pomaszerowali przeciwko nam, jako jedna armia, a szamani zagrzewali ich do boju. Nasze wojska były zbyt rozproszone po pustyni, więc wycofaliśmy się na skraj otchłani. Niestety, Heshette mieli nad nami przewagę liczebną. Nasi żołnierze byli wyszkoleni, zdyscyplinowani, władali ostrzejszymi mieczami, ale musieli walczyć z przeważającymi siłami wroga. Sam Gaine zabił ponad czterdziestu pogan. Plemiona zawsze bały się waszego rodu, i nic dziwnego. Powinieneś go widzieć.

Dill ujrzał w wyobraźni, jak nadchodzą wytatuowani, brodaci, umięśnieni Heshette w lachmanach. A naprzeciwko nich stoi jego ojciec, samotny obrońca. Jego miecz śmignął jak błyskawica. Głowy pospadały z ramion, trysnęła krew. Wrogowie padali jak muchy. Potem

Gainie wzbil się w powietrze, a poganie uciekli z wrzaskiem z powrotem na Martwe Piaski.

--Uratował nas Devon -- powiedziała Rachel Hael. Bez pukania weszła do sali lekcyjnej, a sądząc po minie Sypesa, był to zwyczaj, który wcale mu się nie podobał. Dill się odwrócił. Jego oczy poczerwieniały.

--Czego chcesz? -- warknęła i wrócił spojrzeniem do prezbitera. Sypes popatrzył z rezerwą na dziewczynę.

--Adeptka Hael ma rację -- powiedział. -- Devon był w tamtym czasie uczniem arcychemika z Kuchni Trucizn Elizabeth Lade, swojej przyszłej żony.

--Devon jest żonaty? -- zdziwił się Dill.

--Był -- sprostował Sypes. -- Biedna kobieta. W tym fachu niewiele dożywa podeszłego wieku... Te wszystkie opary.

Rachel, zbulwersowana lekceważeniem prezbitera, z trudem powstrzymała się od ciętej riposty.

--Elizabeth interesowały narkotyki -- ciągnął Sypes. -- Szukaliśmy alternatywnych sposobów obrony przed Heshette bez uciekania się do całkowitej eksterminacji. Braliśmy pod uwagę uzależnienie od środków nasennych. -- Wzruszył ramionami. -- Ale nigdy nie zbadano dokładnie tej możliwości. Po śmierci żony Devon wrócił do badania zwyczajnych trucizn i ich militarnych zastosowań. Miał... zapal do takiej pracy.

--Produkowałam gazy bojowe, od których robią się pęcherze na skórze i które powodują ślepotę -- wtrąciła Rachel.

Sypes pokiwał z wahaniem głową.

--I proszki, które zatruwają wodę i czynią z dzieci Heshette kaleki -- dorzuciła Hael.

Stary kapłan sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

--Oni...

--Straszna broń -- nie ustępowała Rachel.

--Oczywiście...

--Niegodna broń.

Dill spiorunował ją wzrokiem.

Prezbiter poprawił się na krześle. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym rzekł ostrym tonem:

--Konieczna broń.

--Skuteczna -- odparowała zimno Hael. Sypes sposepniał.

--Sądzę, że Devona bardziej interesuje ból niż skuteczność rzezi -- powiedział. Rachel popatrzyła na niego, mrużąc oczy. W przeciwieństwie do brata i jego oficerów prezbiter nie ukrywał się za eufemizmami. Zrozumiała, że niechęć Sypesa nie jest skierowana przeciwko niej. Najwyraźniej starzec czuł się odpowiedzialny za to, że wykorzystał umiejętności Truciciela przeciwko Heshette. Prezbiter skierował wzrok na Dilla.

--Devon pomógł zaprojektować nasze statki wojenne w taki sposób, żeby łatwiej było rozprzestrzeniać trucizny. Plemiona zostały...

--Upokorzone? -- podsunęła Rachel.

--Zdziesiątkowane -- warknęła Sypes. Wyciągnął chustkę z rękawa i wytarł nią czoło.

--Nie mieliśmy wyboru; żyliśmy w niedobrych czasach.

Hael zaplotła ręce na piersi. A obecne czasy były choć odrobinę mniej złe? Czy z poczuciem winy żyło się łatwiej niż w obliczu zagrożenia ze strony wrogów?

--Więc zwyciężyliśmy? -- skwitowała.

Dill stał cały czas zwrócony plecami do Rachel.

--Archontowie zawsze bronili świątyni? -- zapytał.

--Do tamtej bitwy tak -- odparł Sypes, nadal mierzając asasynekę nieufnym wzrokiem.

--Teraz sprawy mają się inaczej. W dzisiejszym świecie miecze i symbole są mniej ważne. Zamiast szermierki uczysz się ceremoniału, kodeksu...

Stanowczo za mało, pomyślała Rachel. Czego, zdaniem starca, miała uczyć anioła? Obowiązków Strażnika Duszy? Etykiety? Sposobu sznurowania butów? Istniało dużo zajęć, które Dill mógłby uznać za ciekawsze albo za bardziej przydatne.

Prezbiter uśmiechnął się słabo.

--...i historii, dopóki wystarcza ci cierpliwości -- dodał.

--A jeśli plemiona zaatakują nas znowu... Rachel prychnęła.

--Pole bitwy to nie miejsce dla ciebie. -- Za późno uświadomiła sobie, jak okrutnie zabrzmiały jej słowa. On chce walczyć. Niech bóg mu dopomoże, on naprawdę chce ruszyć do boju. Przygryzła wargę.

Sypes posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

--Nie ma niebezpieczeństwa kolejnego ataku. Nasze wojsko jest dla pogan zbyt silne. Plemiona są znowu rozproszone. Heshette i ich szamani zostali prawie całkowicie wyniszczeni. -- Na twarzy starca odmalowało się zmęczenie.

Dill opuścił wzrok.

--Dziękuję, wasza wielbność -- wymamrotał.

--Powinieneś pójść teraz z adeptką Hael -- rzekł Sypes. -- Ona na pewno potrafi cię nauczyć, jak używać tego twojego miecza.

Rachel skinęła głową. I nie tylko, dodała w myślach.

Na korytarzu przed salą lekcyjną Dill odwrócił się do niej i spytał zgryźliwie:

--Zawsze jesteś taka niegrzeczna?

Po raz pierwszy Rachel zapomniała języka w ustach. Przeprosiny utknęły jej w gardle. Tymczasem Dill ruszył przed siebie jak burza, rysując podłogę czubkiem tępego miecza.

--Poczekaj! -- zawołała za nim Rachel. Zignorował ją. Hael dogoniła go i chwyciła za ramię, nagle znowu rozgniewana.

--Ile masz lat? -- rzuciła szorstkim tonem. Anioł spiorunował ją wzrokiem.

--Szesnaście, prawda? Jesteś już mężczyzną.

--I co z tego?

--To, że zamierzam udzielić ci lekcji.

--Nie potrzebuję od ciebie żadnych lekcji. -- Dill próbował się wyrwać, ale trzymała go mocno. Jego skrzydła zadrżały. Zimne powietrze owionęło twarz Rachel.

--Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz -- oświadczyła Hael. -- I tak zamierzam cię szkolić. Zapomnij o szermierce. Teraz jesteś mężczyzną i musisz się nauczyć dużo ważniejszej rzeczy.

--Czego? -- Oczy anioła znowu stawały się czerwone. Oczy i cała twarz. Rachel powściągnęła uśmiech.

--Chodź ze mną.

--Dokąd?

--W odosobnione miejsce. Dill był teraz taki czerwony, że niemal czuło się promieniujący od niego żar.

Potrząsnął głową.

Ale Rachel ruszyła przed siebie, prowadząc go za ramię. Czuła się rozkosznie okrutna.

ROZDZIAŁ 9

TŁUMY PRZY STUDNI GRZESZNIKÓW

Setki gapiów zgromadziły się, żeby obejrzeć egzekucję. W milczeniu i bez ruchu stali pod płataniną zardzewiałych łańcuchów opasujących wieżę strażniczą, ale pan Nettle wyczuwał w powietrzu napięcie, od którego jeżyły mu się włoski na karku.

Nisko na zachodzie włócznie słońca przebijały się przez gęstniejące chmury burzowe. Noc Blizn była blisko.

Wyszczerbione, pocerniałe od ognia blanki wieży obserwacyjnej Barraby'ego sterczały spomiędzy łańcuchów jak pięść. Drzwi i okno były zamurowane od dwóch tysięcy lat, ale mówiono, że w środku nadal słychać kroki, wycie i chichot demonów.

Pan Nettle pchał przed siebie wózek, zaczepiając o golenie i kostki. Wokół niego brzęczały muchy. Obszedł drewniane podwyższenie i ruszył w stronę świątynnych wozów wyładowanych ofiarami dla Ulcisa: kutym żelazem, miedzią, drewnem, kwiatami i mieczami. Każdy darczyńca przynosił to, czym najbardziej mógł się pochwalić. Po egzekucji dary miały zostać wrzucone w przepaść, a pojazdy wrócić do świątyni.

Potworne marnotrawstwo.

Na straży przy wozach stali dwaj świątynni gwardziści w półzbrojach. Słyszając turkot kół, ten stojący bliżej pana Nettle podniósł wzrok.

--Co tam masz? -- zagrzmiał. -- Żelazo? Pan Nettle chrząknął.

--Nic dla was.

--Te przedstawienia nie są za darmo.

--Nie przyszedłem oglądać krwi pielgrzymów.

--Więc ruszaj w swoją stronę.

Pan Nettle poszedł dalej, zgarbiony. Najgorsi są znudzeni żołnierze. Ten człowiek powinien być wdzięczny, że ma pracę, bo Kościół zatrudniał tylko dziewięciuset zawodowych, z czego większość stacjonowała w nadrzecznych miastach. Tysiące przeniesiono do rezerwy. Bez zapłaty. Z czasów służby w armii została im tylko broń i zbroja, o które musieli dbać, żeby nie narazić się na niezadowolenie Avulsiora, a inspekcje przeprowadzano regularnie. W podobny sposób została zredukowana kawaleria Deepgate, rumaki bojowe sprzedano kupcom jako zwierzęta pociągowe albo rzeźnikom z Fleshmarket i klejarzom.

Nad tłumem poniósł się szmer. Pan Nettle odwrócił się i zobaczył, że po schodach wspina się na podwyższenie Ichin Samuel Tell, sam Avulsior. Mężczyzna o zapadłych policzkach, odziany w czarną szatę, z naoliwioną brodą, rzadką i spiczastą, był przywódcą Spine. Powiedział coś cicho do jednego ze świątynnych strażników. Ten wyprostował się, skinął głową i zbliżył się do pierwszego pielgrzyma.

Ciemnoskóry wojownik Heshette nie stawiał oporu. Nawet nie uniósł głowy. Oczy miał zamknięte, najwyraźniej się modlił. Reszta skazanych stała w szeregu za nim: pół tuzina mężczyzn, dwie kobiety i jeden szlochający chłopiec. Wszyscy mieli nadgarstki i kostki skute łańcuchami, a na sobie lachmany koloru piasku.

Pan Nettle przyspieszył kroku, pchając wózek obok grupy wyperfumowanych szlachciców i mierząc się wzrokiem z ich strażnikami. Może ta rzeź była słuszna, może nie; nie lubił myśleć

o takich rzeczach. Ale niech go ciemność pochłonie, jeśli tu zostanie i będzie się gapił. Avulsior zajrzał do zwoju, a następnie przemówił martwym głosem, zwracając się do gawiedzi:

--Ten człowiek to poganin i bluźnierca. Tłum ryknął:

--Odkupienie!

--Niech tak będzie.

Ichin Tell wymamrotał błogosławieństwa, a pierwszy gwardzista otworzył Studnię Grzeszników, szyb biegnący od podium w głąb otchłani, która miała przyjąć ciało, po tym jak dusza zostanie zbawiona. Drugi strażnik zacisnął pętlę na szyi pielgrzyma, po czym schylił się i zaczął rozwijać pakunek z grubego płótna. W środku leżały siekiery i piły. Spine już dawno temu odkryło, że odkupienie samym sznurem nie wystarcza, żeby zadowolić motłoch. Nad Studnią Grzeszników musiała zostać przelana krew.

Pobłogosławiona krew, ale... Pan Nettle ujrzał taki sam wyraz na twarzach wszystkich gapiów: odrazę zmieszaną z ciekawością i podnieceniem. A także potrzebę doświadczenia czegoś niebezpiecznego, by poczuć, że się żyje. Chęć posmakowania piekła i otchłani.

Dwie twarze Kościoła Ulcisa: Sypes ze swoim aniołem i Spine ze Studnią Grzeszników. A między nimi niepewna równowaga, ale na jak długo? Większość ludzi uważała, że prezbiter jest coraz słabszy, może nawet zgrzybiały.

W świątyni jest teraz tylko jeden anioł, i to z winy starego. Powinien zmusić Gaine'a, żeby wziął sobie drugą żonę. Nie brakowało dziewcząt, które chętnie zostałyby męczennicami.

Pan Nettle spojrział na otaczające go twarze.

Albo rodzin, które zmusiłby córki do małżeństwa w zamian za świątynne monety.

Może Sypes wcale nie był taki zdziecinniały.

Chłopiec Heshette zawodził teraz w głos. Ichin Tell umieścił go na końcu szeregu, więc biedak musiał patrzeć na egzekucję innych, zanim przyjdzie jego kolej.

Pan Nettle zacisnął szczęki i ruszył przez tłum, z całej siły zaciskając dłonie na rączkach wózka. Za nim zaskrzypiała lina, gapie wzniesli gromki okrzyk.

Znalazłszy się z powrotem w Lidze, pan Nettle maszerował energicznie drewnianym chodnikiem i rozpychał się wśród przechodniów, nie dbając o to, ile pomostów rozkołysze ani kto przez niego będzie musiał ratować się przed upadkiem. Deski jęczały pod ciężarem wózka, żalobna szata furkotała, podarta, brudna i sztywna od krwi. Mieszkańcy Ligi łypali na niego spode łba, usuwali się na bok, ale żaden nie powiedział mu złego słowa aż do Mostu Dziewięciu Sznurów, gdzie stara panna o paląkowatych nogach zaskrzeczała za nim:

--Cham! Wielka świnia!

Pan Nettle odwrócił się gwałtownie, gotów ją spoliczkować, ale kiedy zobaczył, że przechylona przez linę trzyma się jej kurczowo, poczuł się jak lotr. Popatrzył tylko na nią groźnie i splunął na deski, ale zwolnił kroku, żeby most tak bardzo się nie kołysał.

Trzasnęłyby drzwiami, gdyby nie to, że framuga ledwo się trzymała i w każdej chwili mogła się rozpaść. Od razu po wejściu rozładował żelazo, po jednej sztabie, i ułożył je w przedsiönku na najmocniejszych legarach podłogowych. Gdy skończył pracę, ruszył korytarzem, kopiąc puste butelki i barylki po oleju. Cały dom aż się trząsł, liny skrzypiały złowieszczo. Pan Nettle wcale się tym nie przejął; wytrzymają

albo nie. Do diabła z jego szczęściem. W salonie zapalił lampę, zerwał z siebie szatę żalobną, cisnął tasakiem w ścianę. Ostrze wbilo się w deski i przez chwilę drgało.

Pan Nettle odkorkował świeżą butelkę whisky i opadł na fotel.

Anielka. Uderzył pięścią w kolano, zgrzytając zębami. Anielka, anielica, anielica. Dlaczego ludzie tak ją nazywają? Nie była bogobojnym świątynnym archontem, tylko pijawką, potworem, niegojącą się raną miasta, taką jak te, które sama zadawała swoim ofiarom. Jak rany, które zadała Abigail.

Napił się whisky prosto z butelki, rozlewając alkohol po brodzie.

Nieważne, że jest Noc Blizn, morderczyni i złodziejka dusz będzie cierpiała. Zasłużyła sobie na to. Dzisiaj wieczorem wyjdzie jej poszukać. Czarny księżyc i tylko on i ona, sam na sam, nie licząc żebraków, szaleńców i Spine. Ci Nocni Łowcy ze swoimi poświęconymi mieczami, kuszami i truciznami, za kogo oni się uważają? Żebracy nie mieli wyboru, a szaleńcy własnego rozumu, ale Spine... skoro byli tacy cholernie dobrzy, dlaczego demon nadal grasował na wolności? Dlaczego Abigail nie żyła? Pan Nettle spojrział na wbity w ścianę tasak. Nie potrzebował kuszy Kowala. Głupi pomysł. Wystarczy mu kawałek ostrej stali i silne ramię. Znajdzie sposób, żeby podejść do niej jak najbliżej. Pociągnął kolejny łyk z butelki.

Potrzebował tylko szczęścia. Prawdziwego szczęścia. Odrobiny. Suka go zauważy; to pewne, jeśli opowiadane o niej historie były prawdziwe. Dostrzeże go z odległości mili. Już on się o to postara. Usłyszy jego okrzyki. Całe cholerne miasto je usłyszy. W tę Noc Blizn nikt nie zaśnie. Ale on też musi ją zobaczyć, a to będzie trudniejsze. Jego wróg nienawidzi światła.

Pan Nettle długo siedział na krześle i dumal. Gdyby zdołał jakoś ściągnąć ją z dachów, zastawić pułapkę. Mógłby się gdzieś położyć i udawać pijanego. Nie, ona nie lubi krwi przesyconej whisky, tak powiadają ludzie. Mógłby udawać rannego albo, jeszcze lepiej, obłąkańca, który włóczy się po mieście i śpiewa na całe gardło. Szybko jednak zarzucił ten pomysł. Jego żona powtarzała mu, że ma głos jak chory dzik.

Pewnie tylko wystraszyłby sukę.

Na ścianach nadal wisiały malowidła Abigail. Dziesiątki obrazów. Jasne małe kwadraty płyty pilśniowej, a na nich jej wymyślone ogrody: czerwone i żółte kwiaty i drzewa. Nigdy nie udało mu się zdobyć dla niej zielonej farby, tylko te dwie. Ona nigdy nie narzekała. Czerwony i żółty to jej ulubione kolory, zapewniała, a potem go obejmowała. Mamrotał coś wtedy i odpychał ją od siebie. Mówił, żeby poszła coś namalować.

Pan Nettle wziął drżący oddech i potarł oczy. Wszędzie widział rozmazane czerwone i żółte plamy.

Jakimś cudem butelka była prawie pusta. Zostało w niej whisky na dwa palce. Powieki same mu się zamykały, głowa opadała. Cały był obolały. Obmyśli pułapkę, jak się trochę prześpi. Musi być wypoczęty i mieć jasny umysł, żeby układać plany. Zmęczenie wysssało ostatnią kroplę krwi z jego mięśni. Zapadł się głębiej w fotelu. Przymknął oczy. Musi być sprytny, przebiegły. I trzeźwy. Nic mu z tego nie przyjdzie, jeśli Carnival zaatakuje go, kiedy będzie pijany.

Stał na wysokiej wieży i patrzył na jasne miasto delikatnych iglic i smukłych mostów. Czarny księżyc wzeszedł na niebo koloru kości, podziurawione czarnymi gwiazdami. Na horyzoncie kłębiły się ciemne chmury, jakby przeganiały je gwałtowne wichry.

Ulice w dole były puste. Z początku sądził, że jest sam, jedyny człowiek w całym mieście, ale wtedy ktoś dotknął jego ręki.

Obok niego pojawiła się Abigail. Jej całun łopotał na wietrze. Spojrzała na niego smutnymi oczami i ścisnęła rękę zimną dłonią.

„Głęboko”, szepnęła.

„Tak”.

Potem zobaczył światła. Zza zamkniętych okiennic sączyło się ciepło. Domy nagle zapelnily się ludźmi. W górę niesły się dalekie dźwięki pieśni i śmiech. Ale tutaj, wysoko na wieży, było przenikliwie zimno.

„Armia Ulcisa”, powiedziała Abigail. „Czekają na niebo”.

Wzruszył ramionami.

„Nadal masz wybór. Naprawdę myślisz, że możesz ją pokonać? Jeśli nie weźmie twojej duszy dla siebie, odeśle ją do piekła”.

„Czym jest jedno piekło w porównaniu z drugim”, odparł. „Mieszkalem w Deepgate przez całe życie i nigdy się nie skarżyłem. Labirynt nie może być gorszy”.

„Iril jest nieskończony”.

Serce mu się ścisnęło, gdy pomyślał, że jest tam sama. Chciał powiedzieć, że przynajmniej będą razem, ale wiedział, że to kłamstwo. Wszyscy, którzy wędrowali po Labiryncie, byli samotni, skazani na błędzenie przez całą wieczność korytarzami pełnymi krwi, na szukanie swojej duszy. Nie mógł dłużej na nią patrzeć, więc utkwil

wzrok z powrotem w niebie. Na tle gwiazd przesunął się ciemny kształt. Skrzydła? Sięgnął po tasak.

„Nie”, powstrzymała go Abigail.

„Co nie?” -- zapytał, jakby naprawdę nie rozumiał.

Mocniej ścisnęła jego rękę.

„Proszę, tato, nie rób tego”.

Odrzącił jej dłoń.

„Nie zwracaj mi głowy”, burknął. „Odejdź”. Omal nie powiedział: „Idź coś namalować”. Ból w sercu stał się nie do zniesienia.

„Boję się”.

Chciał ją objąć, ale nie mógł.

„To nie twoja sprawa”. Tylko takie słowa przyszły mu do głowy.

„Idź do domu, tato”.

„Do czego?”.

ROZDZIAŁ 10 SEKRETNE MIEJSCE

Ukryta wśród świątynnych iglic, opleciona bluszczem wieża uwolniła się z gniazda dachów. Niegdyś lukowate zwieńczenie skruszyło się, ale między ocalałymi postaciami z kamienia nadal siedziały gargulce, skrzydlate bestie z łapami lwa i kłami. Ich gniewne pyski pokrywała pleśń, skrzydła porastał mech, a ze szczelin między palcami kielkowały malutkie białe kwiatki. Mimo to gargulce, niezrażone, nadal pełniły swoją niekończącą się rolę.

Dill siedział na zwalonym klinie i obserwował ptaki, które śmigały wokół wieży. Słońce przyjemnie grzało pióra jego rozpostartych skrzydeł.

Rachel Hael opierała się o gargulca.

--Rzucasz taki sam cień jak one -- stwierdziła, poklepując łeb kamiennego stwora.

Dill obejrzał się na swój cień i natychmiast poczuł szczypanie w oczach.

--Różowy oznacza mieszanie, prawda? -- powiedziała Rachel. Kolor stał się intensywniejszy.

Rachel wzięła głęboki wdech i spojrzała w dal, poza kamienie i świątynne iglice.

--Nie byłam tutaj od dzieciństwa. Gdy ojciec przyjeżdżał, pozwalali mi chodzić po całej świątyni, a ja zawsze najbardziej lubiłam to miejsce. -- Okrążyła go wolno, ścierając kamienny pył z gargulców. -- Nie wydawało się wtedy takie zaniedbane. -- Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła jego piór. -- Potrafisz latać?

Dill złożył skrzydła.

--Nie wolno mi.

--Ale na pewno próbowałaś. Ja bym spróbowała.

--Kodeks zabrania. Teraz mamy statki powietrzne do obrony, trucizny, asasynów. --

Położył nacisk na ostatnim słowie.

Jeśli to zauważyła, nie dała nic po sobie poznać.

--Boją się, że odfruniesz? Wzruszył ramionami.

--Zasady to zasady.

--Co za głupie gadanie!

Dill się obruszył. Rachel znowu musnęła jego skrzydła, a on ściągnął je mocniej. Nieraz korciło go, żeby pofrunąć, ale bał się kapłanów. Oni zawsze wiedzieli, kiedy zrobił coś złego.

--Moje oczy... -- zaczął.

--Są różowe -- dokończyła Hael.

--Zielone, kiedy czuję się winny albo zawstydzony.

--Jak moje. Uśmiechnął się mimo woli.

--Ciągłe czujesz się winna? -- Spoważniał na widok jej miny. Nie chce wiedzieć.

--Przepraszam. -- Rachel westchnęła. -- Ludzie mówią, że Spine są pozbawieni poczucia humoru, i mają rację. Powinam zachowywać się bardziej po ludzku.

Ukucnęła obok niego, najwyraźniej zakłopotana.

Dill też nie wiedział co powiedzieć.

Zza kręgu iglic dobiegał szum Deepgate, jego łańcuchy i domy z wolna pochłaniały cienie wydłużające się od zachodu. Na górę docierały dalekie pokrzykiwania i słabe zapachy niesione wieczornym wiatrem: pieców opalanych węglem, tchnienia zielonych ogrodów, suszonych przypraw z Martwych Piasków. Obłok dymu wisiał nad stoczną i nad Sierpem, gdzie do cumowania podchodził lśniący złościście sterowiec bojowy, który Dill zauważył już wcześniej. Z

tej wysokości wydawał się nie większy od kciuka.

--Przyleciał uzupełnić paliwo -- wyjaśniła Rachel. -- Mark wyrusza do Sandport z rozkazami dla wysuniętych garnizonów. Wyjedzie na długo przed wschodem ciemnego księżyca. -- Przeniosła wzrok na burzowe chmury, które zbierały się na zachodzie. Nagle spojrzała Dillovi w oczy i powiedziała cicho: -- Wyświadczyć mi przysługę.

--Jaką?

--Poleć.

--Nie mogę.

--Możesz.

Chwyciła go za kołnierz, szarpnięciem poderwała na nogi i zaczęła popychać na skraj wieży.

Dill próbował stawiać opór, ale okazała się zadziwiająco silna.

--Nie, ja... -- Niebo zamajaczyło bliżej. -- Poczekaj. -- Wbił pięty w kamienne płyty. --

Proszę, nie. -- Rozpaczliwie usiłował jej się wyrwać.

Rachel puściła go i zmierzyła dziwnym spojrzeniem.

--Myślałeś, że zamierzam cię zrzucić?

--A nie? -- Twarz Dilla płonęła, oczy były białe. Hael wyglądała na szczerze wstrząśniętą.

--Moim zadaniem jest pilnowanie ciebie, a nie zabijanie. Chciałam tylko cię namówić, żebyś przeleciał z tej strony kręgu na drugi. -- Wychyliła się przez parapet, a potem odwróciła do niego. -- Ale to tylko taki pomysł. Gdybym cię wypchnęła... nie dostałbyś kary za to, że próbowałeś ratować życie.

Dill zaczął się cofać.

Rachel chwyciła go za rękę i przytrzymała.

--Oto poczucie humoru Spine -- skomentowała cierpko.

Dill gapił się na nią bez słowa.

--Zapomnij o tym. -- Rachel zawahała się, po czym wskazała na gargulca znajdującego się po drugiej stronie wieży.

--Przeleć tylko stąd tam -- poprosiła.

--Po co?

Hael zastanawiała się przez chwilę.

--Bo oni ci zabraniają.

--A ty na mnie doniesiesz? Asasynka spochmurniała.

--Myślisz, że bym to zrobiła? Sądzisz, że próbuję zastawić na ciebie pułapkę? To tylko krótki lot, na litość boską. Nie proszę cię, żebyś wznosił świątynię Irilowi.

--Zostanę ukarany.

--Tylko jeśli cię złapią. Zresztą przeżyjesz chłostę, prawda? Nie pierwszą w życiu, nie zgrywaj teraz przede mną świętoszka. Spine nie zależy na twoich kościach.

Dill drgnął.

--Co?

Rachel westchnęła.

--Przepraszam, to było nie fair. To ostatnie truchło... wszyscy znowu mówią o

Miękkich Ludziach.

--O Miękkich Ludziach? -- powtórzył ze zdziwieniem Dill.

--Nie słyszałeś o Miękkich Ludziach? Dill spojrział na swoje stopy.

--Nic nie dociera do tej twojej wieży? -- Kiedy nie odpowiedział, Rachel podjęła: -Miękcy Ludzie to trzej naukowcy, którzy kiedyś zrobili w tajemnicy anielskie wino. Polowali na pijaków i żebraków i spuszczały z nich krew, żeby zdobyć dusze. Ale kiedy w końcu uzyskali eliksir, po jego wypiciu dostali obłądu. Kościół to odkrył i nasłał na nich Spine. Niestety, asasyni nie potrafili zabić trzech naukowców. Anielskie wino ich zmieniło. W rezultacie Spine wyjęli z nich kości i pogrzebali ciała na Martwych Piaskach. Ludzie mówią, że oni nadal żyją, choć minęły setki lat, ale nie mogą się odkopać i uwolnić. Handlarze wielbłądów wciąż opowiadają, że słyszą jęki i krzyki dobiegające spod piasków. -- Hael umilkła na chwilę. -- To oczywiście mit. Jak ten o Łańcuchowym Łowcy, o Wiedźmie czy o Powieszanej Wdowie. Nie można traktować go poważnie. Przynajmniej...

--Powieszona Wdowa?

--Kobieta z Chapelfunnel, która... -- Rachel urwała. -- Zapomnij. Nie opowiem ci o niej. To zbyt ponura historia.

Dill nie uznał za stosowne wspomnieć, że o Łańcuchowym Łowcy i o Wiedźmie również nigdy nie słyszał. I teraz tym bardziej nie był w nastroju, żeby zmuszano go do zabronionego lotu. Unikając wzroku Hael, zerknął na klapę w posadzce prowadzącą do świątyni.

--Kapłani nigdy tutaj nie przychodzą -- stwierdziła Rachel. Ale zawsze wiedzą. Czy ona tego nie rozumie?

--Powiedzieli mi, że w Sali Aniołów jest winda. Dill spiorunował ją wzrokiem.

--Ja nie potrzebuję...

--Szczерze mówiąc, nie uwierzyłam im. Musiałam zobaczyć ją na własne oczy, więc po ceremonii Wysłania pogadałam z jednym z operatorów kołowrotu, ze świątynnym strażnikiem o imieniu Snat. Wiesz, że rzucają kośćmi, żeby wybrać, na które piętro cię zawieźć?

Dill poczuł, że jego oczy zmieniają barwę z białej na szarą.

--Czasami zostawiają cię, żebyś wisiał przez jakiś czas, prawda? Szary kolor ściemniał.

--To zabawa -- ciągnęła Rachel. -- Zakładają się, ile razy pociągniesz za sznurek dzwonka?

Zrobił się ciemnoszary.

--Snat twierdzi, że wygrał trzy dublony.

Teraz oczy były prawie czarne.

--Nie mógł przestać się śmiać. Mówi, że brakuje mu tylko pięciu wygranych, żeby sobie kupić nowy miecz.

Dill rozpostarł skrzydła.

--Stąd do tamtego miejsca -- powiedziała Rachel. Zrobiła krok do tyłu, nadal trzymając go za rękę.

Anioł zamachał skrzydłami, raz, drugi. Potem zaczął nimi wolno poruszać. Czuł gęstość powietrza, twardniejące mięśnie ramion i pleców. Przyspieszył tempo, energicznie odchyłał skrzydła do tyłu, ściągał je do przodu, coraz mocniej i mocniej.

Stopy uniosły się nad podłogę.

Rachel puściła jego rękę.

A on pofrunął.

Wzbił się bez tchu, z bijącym sercem, cały rozdygotany. Chłodny wiatr muskał mu kark, owiewał twarz. Policzki szczypały go i paliły. Skrzydła unosiły się i opadały, jak ręce pływaka w zimnej wiosennej wodzie. Dill wziął drżący oddech. Powietrze smakowało krystalicznie. Na zachodzie, gdzie zbierały się ciemne chmury, otwarte, bezkresne niebo zmieniło kolor z różowego na czerwonożłoty. Sięgające aż po horyzont Martwe Piaski były poprzecinane pomarańczowymi cieniami.

Rachel coś do niego krzyknęła.

Dill się odwrócił i stracił równowagę. Wpadł w panikę, próbował się czegoś złapać, ale nic nie znalazł. Nagle runął w dół, mlóćąc rękami. Golenią zahaczył o leb gargulca, odbił się, zatoczył do tyłu i uderzył w kamienne płyty z impetem, od którego stracił dech.

Rachel natychmiast podskoczyła do niego ze strachem i troską na twarzy.

--Jesteś ranny? Niczego sobie nie złamałeś?

Dill próbował złapać oddech, ale wokół jego piersi zaciskały się żelazne obręcze. Wstał niepewnie, otrzepał kurz ze spodni. Wokół zawirowały pióra. Poczł skurcz bólu w łydce. Skrzywił się, zachwiał i czym prędzej usiadł na parapecie wieży.

--Wszystko w porządku. Ja tylko...

--Co? Co się stało? Kolana mu się trzęsły.

--To moja wina. Spanikowałem, straciłem kontrolę.

--Jak się teraz czujesz?

Dill rozmasował łydkę. Ból w piersi zelżał. Oddychało mu się łatwiej.

--Czuję się... nie wiem... głupio. -- Na brodę pociekła mu strużka krwi.

--Skaleczyłeś się. -- Rachel wyciągnęła chusteczkę i otarła jego wargi. Dill opuścił wzrok na swoje dłonie. Pokrywały je liczne zadrapania.

Gdy tylko na nie spojrział, zaczęły go piec.

--Chyba wylądowałem na mieczu.

--Całe szczęście, że dobra ciężka stal trochę wyhamowała upadek -- skwitowała

Rachel.

Anioł uśmiechnął się słabo. Na twarzy Hael dostrzegł łagodność, której nigdy wcześniej u niej nie widział.

--Leciałeś. No, powiedzmy, że coś w tym rodzaju. Krzywiąc się, Dill wstał z parapetu.

--Już późno -- stwierdził. -- Muszę iść. Wkrótce będą zamykać iglice. Okna, włazy. Rachel pokiwała głową.

--Zobaczymy się jutro? -- Zadał to pytanie lekkim tonem. Nadal ludził się w głębi duszy, że ten pechowy dzień był snem, że Rachel go zrozumie i przekaże swoje zadanie komuś, kto bardziej nadaje się na jego nadzorcę. Ale widząc napięcie na jej twarzy i lekko zmrużone oczy, zorientował się, że ona inaczej rozumiała jego pytanie.

--Mam nadzieję -- odparła.

Powłócząc nogami, Fogwill towarzyszył swojemu mistrzowi, który kuśtykał do biurka. Prezbiter często poruszał się dużo szybciej, kiedy nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany, albo kiedy jakaś pilna sprawa zmuszała go do tego, żeby na chwilę zapomniał o własnym zniedołężnieniu. Mimo wszystko adiunkt zachowywał cierpliwość.

Cale ściany biblioteki od podłogi do sklepionego sufitu zajmowały półki wypełnione książkami o przybrudzonych skórzanych grzbietach. Woluminy były bezpiecznie zamknięte za okratowaniem z pozłacanego filigranu. Obecnie trwała budowa trzydziestej pierwszej kolumny Kodeksu. Wokół jej podstawy leżały przycięte bloki piaskowca i marmurowej okładziny, ale na drewnianym rusztowaniu nie pracowali kamieniarze.

Gdzie oni są? Dwa miesiące, a jeszcze nie wzięli się do roboty. Płacimy im za godziny?

Dwaj kapłani lawirowali między stosami świeżo zapisanego pergaminu, gotowymi do przejrzania przez prezbitera. Raporty z garnizonów i gildii handlowych, rozprawy chemików z Kuchni Trucizn, sprawozdania, literatura, historia, listy, listy... i jeszcze więcej listów. Jak Sypes sobie z tym wszystkim radził? Nic dziwnego, że spalił prawie całą poezję.

Kiedy wreszcie dotarli do biurka, prezbiter opadł na krzesło i rzucił do adiunkta:

--Mów.

--Wasza wielebność?

--Coś chowasz w zanadru, Fogwill. Wiem to, bo rzadko czekasz, milcząc. Gadaj.

--To truchło... ta dziewczyna... podobno była córką sieciarza.

--Tak, tak. -- Sypes otworzył szufladę i wyjął z niej grubą księgę z wytłoczonym tytułem: *Brakujące Dusze*. - Jednak kradzież musiała być odnotowana. Jej nazwisko?

--Nie znamy go. Powstało zamieszanie, strażnicy przegnali jej ojca. Będę musiał przeprowadzić dochodzenie. Nie powinno być trudno go odnaleźć. Taka śmierć zapewne jest na ustach wszystkich mieszkańców Ligi.

Prezbiter umoczył pióro w atramencie i zaczął pisać.

--Nie martwiłbym się tym zbytnio. Nasze archiwa są dalece niekompletne.

--To nie była sprawka Carnival. Sypes nie podniósł wzroku znad księgi.

--Jest tylko jeden złodziej dusz w tym mieście, adiunkcie.

--Z całym szacunkiem, wasza wielebność, ale ciało przyniesiono rano przed Nocą Blizn.

--Najwyraźniej trzymano je na lodzie.

--Przez cały miesiąc? Skąd sieciarz wziąłby tyle lodu?

--Ci ludzie potrafią być pomysłowi, Fogwill. To niczego nie dowodzi. Więc dlaczego unikasz mojego wzroku?

Crumb wziął głęboki wdech i powiedział:

--Strażnik zameldował, że widział siniaki na jej rękach, nad łokciem...

Sypes nadal na niego nie patrzył.

--Co świadczy, że ten, kto spuścił z niej krew, najpierw ją związał. Truchła zostawiane przez Carnival są posiniaczone tylko przy kostkach, od kajdan.

Prezbiter suszył w skupieniu świeży atrament.

--Ten morderca jest dużo bardziej nieprzewidywalny niż Pijawka -- ciągnął Fogwill. -- Carnival przynajmniej jest konsekwentna w swojej metodzie zabijania. Jedna dusza dla niej w Noc Blizn, pozostałe... Ale te inne truchła pojawiają się we wszystkich fazach księżycy, całkowicie pozbawione krwi. Ktoś chce, żeby je znaleziono. Ktoś przesyła nam wiadomość.

--Jaką wiadomość?

Fogwill splótł ręce.

--Anielskie wino -- powiedział. -- Ktoś próbuje zrobić anielskie wino... i chce,

żebyśmy o tym wiedzieli.

--Anielskie wino? -- prychnął Sypes. -- Co ty pleciesz, Fogwill? Anielskiego wina nie da się zrobić.

--Ale...

Sypes uniósł rękę.

--Mity, legendy, przesady.

Crumb zmarszczył brwi i rzucił spojrzenie na książki zamknięte w kolumnach Kodeksu. Dziesięć tysięcy mitów, legend i przesądów.

--Pospólstwo nadal wierzy w Miękkich Ludzi -- przypomniał. -- Jeśli Devon...

--Wystarczy. -- Ton prezbitera był surowy. -- Nie pozwolę, żebyś tu wpadał i rzucał oskarżenia podważające wersję, którą uzgodniliśmy z wojskiem w kwestii tej... niedorzecznej plotki. Naprawdę tak bardzo nie lubisz tego człowieka?

W tym rzecz. W ciągu siedmiu miesięcy, podczas których Fogwill na próżno dzielił się podejrzeniami z Sypesem, pojawiły się cztery dodatkowe truchła, oprócz tych, których się spodziewano. Wyssano krew z czterech ciał, ukradziono cztery dusze, a przecież Carnival, mimo swej żarłoczności, brała dla siebie tylko jedną w Noc Blizn. Jednakże jak miał przekonać prezbitera o winie Devona, nie mówiąc mu całej prawdy?

Czy nienawidzę go dostatecznie, żeby znosić twoje szyderstwa?

Kiedy Fogwill ostatnio poskarżył się na opary z Kuchni Trucizn, od których wędło geranium jego drogiej matki, wkrótce potem wszyscy w świątyni zachorowali. Podejrzewając nieczystą grę, Crumb zrobił wielką awanturę, a potem przez cały miesiąc cierpiał z powodu biegunki. Gdy w końcu doszedł do siebie, odkrył, że Devon zaczął werbować pracowników ze świątynnych kuchni. Nigdy nie sprawdzono, co się z nimi stało. Ten wieprz Fondelgrue nie wiedział albo nic go to nie obchodziło, podobnie jak całą resztę.

Oczywiście z wyjątkiem Fogwilla.

--Miałem przyjaciela... -- zaczął. Sypes podparł głowę rękoma.

--Nie chcę tego słuchać, Fogwill.

--Kuchennego tragarza -- ciągnął śmieiej adiunkt. -- Tamtego dnia Devon powiedział, że wieczorem przybywają cztery statki i że potrzebuje silnych chłopców do wyladowania towaru. Twierdził, że brakuje mu rąk do pracy, a nie chciał wykorzystać żołnierzy ani uczonych. Mówił, że nie ma czasu i środków, żeby osobiście sprawdzić każdego sprzątacza albo jucznego konia.

--To jego słowa?

--Nie moje.

--To niemila, ale konieczna praca. Wojna odbija się na nas wszystkich. -- Sypes zamknął księgę. -- Kiedy to było?

--Sześć tygodni temu.

--I co się stało z twoim... przyjacielem?

--Zniknął. Truciciel oczywiście udawał, że nic nie wie. Powiedział, że pewnie... cóż, nie chcę wdawać się w szczegóły. To nie było uprzejme. Szczerze mówiąc, jego komentarze były obsceniczne. On mnie nienawidzi, więc zawsze... -- Fogwill nie potrafił znaleźć słów na wyrażenie frustracji. -- On zawsze...

--Nie ma ciała? -- przerwał mu Sypes.

Odpowiedziało mu zranione spojrzenie.

--Naprawdę mi przykro, że straciłeś przyjaciela, Fogwill, ale to nie powód, żeby podejrzewać nieczystą grę. Może chłopak po prostu się ulotnił. Zdaje się, że to powszechne wśród zatrudnionych w Kuchniach Trucizn. Nikt o zdrowych zmysłach nie chce tam pracować. A Devon wbrew swojemu oficjalnemu tytułowi nie jest złym człowiekiem.

--Kwestia do dyskusji. Spójrz, panie, na broń, którą wymyśla. Taki rozmiar cierpienia wcale nie jest konieczny.

--Twoja opinia o jego pracy nie ma znaczenia.

--Pozwól mi, panie, wziąć do tej sprawy Spine. Niech go tylko poobserwują.

--Wykluczone.

--Moglibyśmy wykorzystać Rachel Hael. Jeszcze nie została zahartowana, ma związki z wojskiem...

--Nie. Chcę, żeby pilnowała Dilla.

--Więc pozwól mi porozmawiać z sieciarzem, dowiedzieć się, gdzie i kiedy umarła jego córka, może zbadać ciało.

Mówiąc to, zaskoczył samego siebie. Liga Sznurów nie była najbezpieczniejszym miejscem w Deepgate. Prezbiter pokręcił głową.

--Fogwill, odmówiliśmy tej dziewczynie naszego błogosławieństwa. Jej ojciec nie dość, że jest pogrążony w żałobie, to na pewno czuje się pokrzywdzony. Nie chcę, żebyś jeszcze solił jego rany. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Dlaczego mnie powstrzymujesz?

Fogwill potrząsnął z frustracją głową.

Czyżby Sypes coś ukrywał?

W okno biblioteki zaczął postukiwać lekki deszcz. Zachód słońca był teraz wąskim złotym pasem między horyzontem a grubą warstwą chmur. Nadciągała burza. Wyglądało na to, że w tę Noc Blizn ściemni się wcześniej niż zwykle. Fogwill podejrzewał również, że w mieście będzie grasować więcej niż jeden morderca.

CZEŚĆ DRUGA MORDERSTWO

ROZDZIAŁ 11 NOC BLIZN

Deszcz chlustał strugami, bębnił o dachy, bulgotał w rynnach i wpadał do gardzieli zbiorników. Łańcuchy parowały, uginały się pod ciężarem nasiąkniętych wodą budynków, ich metaliczne łąki rozbrzmiewały w całym Deepgate.

Wieczne światło przybladło i zgasło, ale nie pojawili się latarnicy, żeby zapalić lampy, więc wkrótce dzielnice wokół świątyni, Kolonie i Ligę Sznurów spowija ciemność.

Na Piekło Lane zebrało się dwunastu asasynów Spine. Nieruchomi, o chudych, bladych twarzach wyglądali jak duchy. W zasięgu rąk mieli noże, miecze, kusze. Krople deszczu odbijały się z sykiem od ich skórzanych zbroi.

Z nich wszystkich tylko Rachel drżała. Stykała się z nimi wcześniej wiele razy, ale nie знаła ich imion.

--Będziesz przynętą -- rzekł do niej mężczyzna o martwych oczach, z blizną w kształcie haka na nosie.

--Dlaczego ja?

--Potrafisz ją rozwścieczyć.

--A ty nie? -- Rachel prychnęła. -- Nie pochlebiaj sobie. Wystarczy, że otworzysz usta i coś powiesz, a będzie wkurzona, gwarantuję.

--Sprowokuj ją, a nie mnie, adeptko. Carnival zareaguje na twoje zniewagi. Masz talent do stosowania takich... emocjonalnych metod. Będziesz przynętą.

Wszystkie rozmowy ze Spine przebiegały w ten sposób. Czasami Rachel była prawie zadowolona, że oszczędzono jej igieł, tortur, brutalnego hartowania, które miało oczyścić adepta, żeby mógł funkcjonować bez bagażu zbędnych uczuć.

Prawie zadowolona.

--Oczywiście jesteś spisana na straty. -- To powiedziała kobieta o zawadiackiej twarzy i pełnych, bezkrwistych wargach. Stała obok smukłej dziewczyny, która mogła być jej siostrą, młodej istoty o głębokich cieniach pod pustymi oczami.

Boże, czy ja też tak wyglądam? Jak te duchy? Te truchła? Rachel przesunęła wzrokiem po adeptach i w ich spojrzeniach nie dostrzegła zupełnie niczego.

--Spisana na straty -- mruknęła. -- Tak, zapomniałam. Ale jestem głupia. Dzięki. Kobieta skinęła sztywno głową.

Zniewagi, sarkazm, ironia -- nic z tego nie docierało do jej kolegów. Rachel spoliczkowałaby tę kobietę, gdyby sądziła, że ją tym rozgniewa, ale co to za satysfakcja bić ceglany mur? A jednak zazdrościła jej. Zazdrościła im wszystkim. Hartowanie dawało wewnętrzny spokój, dzięki któremu nie żałowałyby utraty poczucia własnego ja.

--Zejdźcie mi z oczu -- warknęła. -- Spotkamy się w planetarium.

--Nie zwabiaj Carnival, dopóki pułapka nie będzie zastawiona -- powiedział mężczyzna o martwych oczach.

--A jeśli zaatakuje mnie wcześniej?

--Nic nie rób.

--Nic?

--Zgadza się.

Rachel zacisnęła pięści.

--Według rozkazu. Mężczyzna przekrzywił głowę.

--Wstaje czarny księżyc -- stwierdził.

Na niewypowiedzianą komendę Spine rozplynęli się pośród nocy, zostawiając Rachel samą.

Nic nie rób? Odwróciła się w jedną stronę, w drugą, zakłęła pod nosem. O, nie. Znajdę tawernę, będę bębnić do jej cholernych drzwi, aż mnie wpuszczą, potem usiądę i się napiję, jak normalny człowiek. Może poznam jakiegoś mężczyznę... Może...

Może nie jest dla niej za późno.

Wyskoczyła na deszcz. Ulice były opustoszałe, ale w powietrzu wyczuwała napięcie. Z pozamykanych domów dochodziły niezliczone hałasy: trzask zasuwanych żaluzji, stuk gwoździ wbijanych w deski, ryglowanie drzwi i żelaznych krat, sprawdzanie łańcuchów i klódek.

Deepgate szykowało się do bitwy.

--Monetę dla pielgrzyma? -- W bramie siedziała skulona brudna postać. Długie tłuste włosy, broda z okruszkami jedzenia wystająca spod kaptura. -- Wschodzi czarny księżyc, panie, deszcz jest świeży i czysty, a my żyjemy. Masz krew w sercu, a ja w moim klej. Jakie to cudowne! Podaruj mi monetę.

Klejarz? Jego skóra pod łachmanami powinna być żółta i lepka, język gruby i obłożony od chemikaliów, krew... niezwykła.

--Panie? -- powtórzyła.

--O, dobra pani. Młoda, sądząc po głosie, i ładna. Tak, tak, teraz słyszę piersi, o rany, uda, obcisły materiał... czy to skóra? Jakie to nieprzyzwoite! Ale chodzić bez mężczyzny u boku w taką paskudną noc? Rzucił cię, umarł, zostawił bezradną i załamana? Pograżoną w żalu? Moje kondolencje, biedactwo.

Rachel zorientowała się, że żebrak jest ślepy. To dlatego usłyszał, że nadchodzę.

--I wystarczyło ci jedno moje słowo?

--Teraz już siedem, kotku. A w każdym takie brzemie bólu, że pękłby pod nim bruk. I tęsknoty. Biedne stworzenie, takie zagubione i rozdarte. Słyszę też ukryte pożądanie. Słyszę... -- Żebrak umilkł na chwilę, jakby nasłuchiwał, a potem dodał ścisłym głosem: -- O, tak. Jesteś całkiem mokra, co, całkiem mokra? -- Zaczął się kołysać w przód i w tył. -- Powiedz mi dwa słowa. Dwa słowa, a poznam twoją duszę. Proszę, proszę.

Asasynka westchnęła.

--Jakie dwa słowa?

Żebrak przysunął się bliżej i wyszeptał:

--Niegrzeczny chłopiec.

--Chcesz, żeby wymówiła te słowa?

--Powiedz je, błagam.

--Nie.

--Proszę. Proszę.

--Nie ma mowy, żebraku.

--Laleczko, miej litość. Spójrz, jaki jestem połamany i samotny, jaki zrotpaczony. Moi bracia zginęli w stoczni. Moja żona uciekła z biednym rezerwistą nieokreślonej płci. Mój stary ojciec klejarz został aresztowany za rzucanie kamieniami w Avulsiora. Matka...

--Już dobrze. -- Chyba zamierzał postawić na nogi całą okolicę. Rachel rozejrzała się ukradkiem, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, i pospiesznie szepnęła: -Niegrzeczny

chłopiec.

--Rozkosz! Żądza! -- wykrzyknął żebrak. -- A teraz chodź tutaj, usiądź mi na kolanach.

Rachel zmarszczyła brwi.

--Słyszałem tę minę.

--Co tu w ogóle robisz? -- spytała asasyńska.

--Siedzę na ziemi i żebrzę. Usta Rachel drgnęły.

--Bardzo sprytnie -- stwierdziła. -- Nie możesz znaleźć sobie bezpieczniejszego zajęcia niż siedzenie w tej bramie? Może dzięki swojej krwi uratowałbyś duszę, ale nie ciało. Dzisiejszej nocy nic nie jest pewne. Grozi ci niebezpieczeństwo.

--Ale Carnival i ja mamy porozumienie.

--Jakie?

--Ja nie zabiję jej, ona nie zabije mnie.

--Korzystna umowa. -- Rachel przyłapała się na uśmiechu. -- Zatem rozmawiałeś z nią?

--Usłyszałem nad głową łopot skrzydeł i zawołałem do niej. Sfrunęła na dół i wręczyła mi podarunek.

--Podarunek?

--Smakowity podarunek! Udziec barani na słodko, z przyprawami, w sosie żurawinowym. Patrz... -- Klejarz wyjął coś spod łachmanów.

Martwego szczura z głową ogryzioną do kości. Uśmiech zniknął z twarzy Rachel.

--Carnival dała ci... tę baraninę?

--Na moją duszę, przysięgam. Jak widzisz, nie mam się czego bać.

--Szczęściarz z ciebie. -- Rachel sięgnęła do jednej z sakiewek przytroczonych do pasa, wyjęła miedziaka i wcisnęła go żebrakowi w dłoń.

--Mściwy Ulcis niech błogosławi twoje noce -- powiedział żebrak i dodał ciszej: -- A złośliwa Ayen niech błogosławi twoje dni. -- Mrugnął niewidzącym okiem. -- I tak nie modłę się za żadne z nich. Jestem skazany na piekło. -- Stwierdził to z dumą. -- Dlatego czczę Iril. Z potępieniem wiążą się wspaniałe korzyści. Labirynt rośnie. Słyszę, jak jego kamienne korytarze wkradają się w opuszczone zaułki tego miasta. Czasami słyszę dudnienie krwi. -- Schował monetę do kieszeni. -- Kupię sobie wino na naszą ucztę. Musisz się ze mną napić. Nalegam. Wystarczy mięsa na dwoje, a z tobą, niedawno owdowiałą, tak jędrną, moglibyśmy...

--Dziękuję, nie. Muszę wracać do pracy, zanim... -- Słowa same popłynęły z jej ust.

--Do pracy? -- Żebrak odsunął się od niej pośpiesznie i syknął: -- Spine. Odejdź ode mnie, suko.

Rachel stała bez ruchu.

--Dziwka Ichina Telia! -- ryknął żebrak, chowając za siebie szczura. -- Nie mam nic dla ciebie.

Hael odwróciła się. Jej serce biło nierówno.

--Ile noży wyszczerbiłaś w życiu, Nocna Łowczyni?! -- krzyknął żebrak i zaczął ogryzać swoje trofeum. -- Noc Blizn to jej pora. Czarny księżyc. Jedna dusza dla anioła... Krew Spine dla Irilu. -- Zachichotał. -- Ale nie ma żadnych dusz, żeby nakarmić Labirynt. Już je zabrałaś!

Asasyńska odeszła, zostawiając żebraka. Pokonywała całe mile, idąc wśród łańcuchów. Minęła cztery tawerny, ale tylko zerknęła na ich solidne, zaryglowane drzwi.

Deszcz w końcu ustał, ale oczyścił i schłodził nocne powietrze. Z północy powiał świeży wiatr, naciągając na gwiazdy pierzyny chmur. Dachy czynszówek lśniły jak węzowa skóra, ulice w dole tonęły w ciemnościach. Opuszczono wszystkie żaluzje, wygaszono kominki, nie zapalono lamp gazowych. W mieście zapanowały pustki. Na zewnątrz nie było nikogo oprócz niej i tych, którzy ją ścigali.

Przycupnęła na dachu wieży strażniczej Ivygarths i złożyła skrzydła ciasno na plecach, chroniąc się przed zimnym wiatrem, rozkoszując jego siłą. Na każdym rogu ośmiokątnej wieży siedziały kamienne sokoly i z ponurą determinacją obserwowały miasto. Twarz Carnival była pozbawiona wyrazu. Jej długie czarne włosy chłostały niezliczone blizny: na policzkach, czole, nosie i szyi, pod oczami czarnymi jak księżyc. Wszystkie po cięciach nożem, z wyjątkiem jednej.

Wieże strażnicze zbudowano przed wiekami. Carnival pamiętała jedynie to, że kiedyś zarys miasta na tle nieba wyglądał inaczej. Po zwietrzałych kamieniach oceniała, że liczą sobie więcej niż tysiąc lat. Może kiedyś używali ich Spine? Niejasne wspomnienie wypłynęło na powierzchnię jak trucizna przelewająca się przez brzeg kotła.

Inna wieża... Wyszczerbione blanki... Dym... Krew.

Blizny stężały. Omal nie krzyknęła, ale wbiła paznokcie we wnętrza dłoni i poczekała, aż emocje opadną. Cała drżała, bez tchu. Coś strasznego wydarzyło się kiedyś w wieży Barraby'ego, w miejscu zwanym obecnie Studnią Grzeszników. Nie chciała wiedzieć co.

Nazwy innych części Deepgate też poruszały w niej bolesną strunę: Zaulek Szklarzy, Dom Tysiąca Cegieł, sieci pod targowiskiem Chapelfunnel. Fragmenty

starych, bardzo starych wspomnień atakowały ją zawsze, gdy za bardzo zbliżyła się do tych miejsc, przyprawiały o panikę, odpychały. Przypuszczała, że kiedyś ginęli tam ludzie. Przez nią.

Najgorsza była przepaść. Nieraz próbowała wlecieć w tę ciemność, ale za każdym razem blizna po sznurze na jej szyi zaciskała się tak, że Carnival z trudem łapała oddech i wracała do miasta jak błyskawica. Otchłań ją przerażała.

Teraz cierpliwie lustrowała miasto wzrokiem. Głód się nasilał -- czuła go za oczami i w żyłach -- ale jeszcze nie straciła nad nim kontroli. Czekala więc, szukając słabych punktów: zapomnianego okna na strychu, luźnych dachówek na dachu zniszczonym przez burzę, komina bez dymu albo niezabezpieczonej żaluzji stukającej na wietrze o framugę.

Nic. Nie widziała żadnych szczelin, żadnych łatwych dróg wejścia do domów. Jej zdobycz już dawno nauczyła się dokładności.

Carnival była zadowolona.

Na zachodzie, milę od jej wieży, wysledziła poruszający się cień. Spine, z ciężką kuszą w rękach, biegł przygarbiony po dachu gospody Pod Kozą i Krabem w Merrygate. Schował się za kominem. To dziewiąty asasyn, którego dzisiaj dostrzegła.

Jego skórzana zbroja jest dużo ciemniejsza niż dachówki. Czy on o tym wie? A może ten kiepski kamuflaż jest celowy?

Carnival mocniej chwyciła się półki, aż zabolęły ją palce. Blizny na grzbietach dłoni zaczęły swędzieć, serce przyspieszyło. Zwilżyła wargi. Miała wielką ochotę podkraść się do tego asasyna, dopaść go. Zacisnęła szczęki i gwałtownie zaczerpnęła tchu. Głód przestał ją

dręczyć.

Pułapka. Na pewno.

Zamknęła oczy i zaczęła nasłuchiwać cichych dźwięków niesionych porywistym wiatrem. Z najbliższych domów płynęły strzępy ściszonych rozmów:

--...nie, oboje śpią... -- Głos matki zatroskanej o dzieci.

--...zamknięte, sprawdzałam. -- Inna kobieta, starsza, mówiąca do męża. Carnival słyszała trzaskanie ognia w kominku, kroki na drewnianej podłodze, szczęk sztucców. Czyjś płacz i urywki klótni. Nagle gdzieś w oddali rozległ się pijacki ryk.

--Cholerna dziwka, przeklęta morderczyni!

Otworzyła oczy i z bijącym sercem przebiegła na drugą stronę wieży. Krew pulsowała jej pod bliznami.

--Paskudna, pociachana suka! -- Był kilka przecznic dalej i wrzeszczał w stronę dachów. Potężny mężczyzna szedł ulicą chwiejnym krokiem, wymachując tasakiem i butelką trzymaną w drugiej ręce. Raptem zatoczył się i wpadł na stos skrzyń. Leżał na ulicy przez dłuższą chwilę, mamrocząc coś niezrozumiale, a potem dźwignął się i powłókł dalej zygzakiem. -- Wylaż, ty mordercza dziwko! -- Dwadzieścia kroków dalej osunął się na kolana, wymiotował, runął na bok i znieruchomiał.

Skórę Carnival przeszyły igielki ostrego, rozkosznego bólu.

--Cii -- szepnęła, kładąc palec na wargach. -- Słyszę cię.

Palec musnął cienkie jak pajęczyna zmarszczki wokół ust, zsunął się na wypukłe białe blizny na brodzie i wreszcie zatrzymał na szyi, na głębokim śladzie po sznurze. Po twarzy przemknął blady uśmiech.

Potem Carnival skoczyła z wieży i zanurkowała w noc.

Planetarium Oberhammera tkwiło na wieży zegarowej zniszczonej szarej rezydencji niczym ogromne szklane jajo, gotowe w każdej chwili stoczyć się na ulicę. Winorośl i bluszcz oplatające jego zachodnią stronę wrosły w głąb mosiężnego szkieletu w miejscach, gdzie fasety zostały rozbite przez rzucane z dołu kamienie albo popękały od zimowych mrozów. Ale większość pomalowanych na czarno i podziurawionych szyb ocalała. Kiedyś w słoneczne dni te dziury były gwiazdami dla przebywających w środku. We wnętrzu zachowała się platforma z dwunastoma wygodnymi krzesłami, w swoim czasie na stałe ustawiona poziomo dzięki jakimś mechanicznym sztuczkom, podczas gdy kula obracała się na kołach, udając firmament.

Siedząc teraz na jednym z krzeseł w obserwatorium, Rachel patrzyła na prawdziwe gwiazdy świecące w miejscu wybitych szybek.

Za jej życia planetarium już nie funkcjonowało. Z powodu nietolerancji Kościoła Oberhammer umarł w biedzie, jako kolejny wariat, który zabił się po tym, jak stracił fortunę. Podobnie jak większość rozwijających się nauk astronomia została potępiona, dorobek dziesiątków lat badań przeniesiono do świątyni i skazano na zapomnienie. Masy nie potrzebowały edukacji. Jaki z niej pożytek, skoro Ulcis czekał, skoro Ulcis był wszystkim? Minie jeszcze jedno pokolenie i mało kto będzie pamiętał imię naukowca.

Rezydencja Oberhammera rozpadała się: okna były zabite deskami, ściany opasane łańcuchami, żeby nie zawaliły się pod swym dziwnym brzemieniem.

Wieża zegarowa od lat pokazywała trzynaście minut po dziewiątej, czas szczurów,

nietoperzy, lunatyków, duchów i demonów wymyślonych przez pospólstwo z Deepgate. Naukowiec zatrzymał zegar właśnie na tej godzinie, wrócił do salonu i podciął sobie żyły brzytwą. To było jego ostateczne pożegnanie z Kościołem. Teraz szeptano, że dom jest nawiedzony. Otwierały się w nim drzwi Irilu, a kiedy Labirynt otwiera bramę, zawsze coś się przez nią przedostaje. Rachel przypominała sobie historie z dzieciństwa: o Szarym Mimie, Łańcuchowym Łowcy, Niani -- o grzesznikach, którzy uciekli z przepelnionego piekła i chodzili po opuszczonej rezydencji.

Anioł miał do planetarium wiele wejść i tyle samo dróg ucieczki. W tym miejscu nie dało się zastawić pułapki, i to oczywiście czyniło je doskonałym.

Rachel wstała z wilgotnych poduszek. Miała od nich mokre spodnie. W planetarium i w całej rezydencji zbierała się deszczówka. Woda kapiała i ściekała strumyczkami do zamkniętych pokojów na dole, nasączała mury. Hole płakały, sufity się wybrzuszyły. Schody mogły się zawalić w każdej chwili. Malowidła łuszczyły się z farby. Rachel zadrżała, gdy wyobraziła sobie Łowcę szukającego ją po całym domu, Nianię skradającą się korytarzami, ze szpilkami od kapelusza w ręce.

Przed platformą widokową znajdowało się metalowe ramię z zaśniedziałymi dźwigniami i mocno skorodowanymi kółkami. Łańcuchy łączące je z wielkim mechanizmem zegara usunęli przypuszczalnie robotnicy, którzy zamykali dom Oberhammera, ale Rachel i tak próbowała obrócić jedno z kół. Nie dało się ruszyć, było zardzewiałe na amen.

Słyszając dobiegające z południa wycie, napięła wszystkie mięśnie. Carnival była w pobliżu. Rachel zwalczyła pokusę, żeby opuścić posterunek, wdrapać się do kopuły planetarium i znaleźć punkt obserwacyjny, z którego mogłaby patrzeć, jak zbliża się anielica. Ale jej zadanie polegało na siedzeniu w tej klatce. Spine mieli zapędzić Carnival w pułapkę, a ona jedynie ściągnąć jej uwagę. Odchyliła się na oparcie krzesła, poluźniła paski wokół noży do rzucania i czekała. Wokół niej rozbrzmiewały odgłosy charakterystyczne dla wszystkich starych domów.

Pana Nettle obudziła seria głośnych trzasków. Uniósł głowę i skrzywił się, czując przeszywający mu czaszkę ból. Leżał w zaułku, którego nie poznawał, czuł odór whisky i lajna. Bruk, mokry w blasku gwiazd, kołysał się i rozmazywał mu przed oczami. Przed sobą miał ukośny kanał, który pięćdziesiąt jardów dalej ostro skręcał w

lewo. Po obu stronach stały smętne czynszówki, które wyglądały, jakby napierały na łańcuchy kamiennymi mięśniami. Pan Nettle usiadł prosto i spróbował się zorientować, gdzie, do diabła, jest i co tutaj robi.

I nagle sobie przypomniał.

Obejrzał się w samą porę.

Carnival leciała na niego jak demon, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, rozwianymi włosami, oczami czarnymi od furii.

Pan Nettle uniósł tasak.

Anielica się uśmiechnęła.

I raptownie skręciła w lewo, a między nimi na bruku roztrzaskało się kilkadziesiąt beltów.

Pan Nettle zrobił obrót.

Spine, dwunastu, na dachach.

--Natychmiast wejdź do domu, cywilu! -- dobiegł z góry męski głos. -- Jeśli nie

mieszkaś w tej dzielnicy, możesz znaleźć tymczasowe schronienie w jednej z kryjówek Kościoła albo w przytułkach dla żebraków za sześć dublonów albo półtora pensa...

--Odwal się! -- wrzasnął pan Nettle i rozejrzał się za anielicą.

Carnival wzbijała się pod niebo, umykając przed drugą nawałnicą beltów. Kilka przeszło jej skrzydła, inne wbiły się głęboko w stare skóry pokryte pleśnią. Anielica zawyla, oddalając się od kościelnych asasynów.

Pan Nettle pobiegł za nią.

Zaulek łączył się z szerszą alejką, którą od razu rozpoznał. Wąska i pofałdowana ulica Klatkowa biegła od starego planetarium w Applecross i serią garbatych mostków opadała łagodnie na południe ku stoczni. Jej nazwa pochodziła od krat z kolcami chroniącymi wszystkie okna i drzwi. Mierniczowie i budowlani, którzy tu mieszkali, mieli lepszy dostęp do żelaza niż kowale. Tylko Kościół nie wiedział, że na każde dwie tony, które ginęły w Deepgate, jedna trafiała tutaj, przesz muglowana i wykorzystana do wzmocnienia domów. Całe fasady były ukryte za ciężkimi kratami i sztachetami o czubkach ostrych jak igły, tak że kiedy je podnoszono, człowiek miał wrażenie, jakby stał w otwartej paszczy jakiegoś potwora. Zważywszy na sam ciężar metalowych zabezpieczeń, zakrawało na cud, że ulica Klatkowa już dawno temu nie pociągnęła całej dzielnicy w otchłań. Nawet stare planetarium wieńczące rezydencję stojącą w najwyższym punkcie alejki zostało ogolone z kół zębatach i legarów -- mosiądz i stal

przerobiono domowym sposobem na zbroje dla wielu okolicznych mieszkańców. Na szczycie wieży zegarowej ciężką kulę utrzymywało niewiele więcej poza winoroślą.

Pan Nettle nagle usłyszał syk, spojrział w górę i zobaczył ciemne postacie biegnące po dachach po przeciwnej stronie uliczki. Spine wypuszczali dziesiątki strzał, celując w miejsce, które znajdowało się po jego stronie. Pan Nettle ruszył przed siebie, przecinając alejkę, żeby lepiej widzieć cel asasynów.

Wyglądało na to, że zaganiają Carnival na północ, w stronę planetarium. Belty odbijały się od kamieni, żelaznych płyt i dachówek, bębniły w odsłonięte belki.

--Dziwka! -- Pan Nettle szeroko rozpostarł ręce.

Carnival obróciła się w powietrzu i zanurkowała prosto na niego.

I znowu kusze Spine zmusiły ją do odwrotu w górę Klatkowej, w stronę obserwatorium. Mogli ją tak osaczać do świtu, odciągać od świątynnych dzielnic i Kolonii. Dalej od niego.

Pan Nettle ryknął i popędził za anielicą.

Gdy Spine ranili Carnival, ona srogo się mściła, za każdym razem coraz okrutniej. Nawet najmocniejsze barykady nie potrafiły zatrzymać rannej anielicy. Powroźnicy i żebracy nienawidzili za to Spine, bo później cierpieli przez nich najbardziej. Ich budy sklecone z desek równie dobrze mogłyby być zrobione z papieru. Ci, których było na to stać, mieli w domach klatki i zamykali się w nich razem z dziećmi. Czasami dzięki temu ratowali życie, ale tylko czasami. Carnival słyęła z tego, że w Noc Blizn zdarzało się jej wedrzeć do kilkunastu takich domów, odrywać całe budynki od łańcuchów, które je podtrzymywały.

Spine zaczęli się spieszyć. Ich sylwetki pojawiły się przy planetarium na tle wygwieźdzonego nieba. Wstrzymali ostrzał.

--Tutaj, dziwko!

Ale tym razem Carnival go zignorowała. Jej uwagę przyciągnęło coś innego. Coś w planetarium. Przeklinając wściekle, pan Nettle przyjrzał się rezydencji pod ogromnym mosiężnym globem. Stary dom cuchnął Irilem. Wieżę zegarową opleciono łańcuchami, żeby nie wykruszył się cały kamień. Okna zabito deskami, ale między nimi zostały szerokie szpary. Panu Nettle wydawało się, że dostrzega w środku jakiś ruch, postacie o dziwnych kształtach wyprawiające dzikie harce. Niektórzy powiadali, że korytarze tego domu przemieszczają się, tworzą wciąż nowe labirynty, żeby zapewnić rozrywkę uwięzionym w nim istotom.

Wahał się przez jedno uderzenie serca, po czym ruszył dalej. Kiedy dotarł do łańcuchów opasujących wieżę zegarową, zaczął się na nią wspinać.

Gwiazdy widoczne przez jedno z brakujących okien nagle przesłoniła jakaś sylwetka. Rachel odchyliła się na krześle. Gdy zaskrzypiało, postać zmieniła kształt. Carnival ją zobaczyła, ale wstrzymała się z atakiem.

Nic dziwnego, że podejrzewasz pułapkę. Ci idioci przestali strzelać, gdy tylko znalazłaś się w potrzasku. A ja mam siedzieć i nic nie robić.

Rzuciła nożem, celując tak, żeby zabić.

Carnival warknęła i zrobiła unik. Ale nadal nie atakowała.

No dalej, suko, chodź po mnie.

Asasynka cisnęła następny nóż i jeszcze jeden, lecz anielica uchylała się przed nimi z taką łatwością, jakby to były niesione wiatrem liście. Jak ona w ogóle może je dojrzeć? Rachel zacisnęła usta. Sprowokuj ją, powiedzieli.

--Hej, dziwolągu! -- krzyknęła.

To wystarczyło. Carnival zanurkowała.

Rachel rzuciła się w bok; krzesło, na którym przed sekundą siedziała, rozpadło się na kawałki. Przetoczyła się po platformie obserwacyjnej, jednocześnie wyciągając kolejny nóż z rękawa, i w tym samym momencie usłyszała, że ciężka kusza ukryta na dachu rezydencji wypuszcza pociski.

Na planetarium opadła stalowa sieć. Cała konstrukcja zadrżała pod jej ciężarem.

Anielica wydała groźny pomruk.

No tak. Teraz ja też jestem uwięziona. Rachel rzuciła nożem, ale usłyszała, że odbił się z brzękiem od rozporki po przeciwnej stronie niż ta, w którą celowała.

Cholera, cholera, cholera. Carnival go odtrąciła. Równie dobrze mogę rzucać w nią balonami.

Zerwała się na nogi, dobywając mieczy. W rozjaśnionym przez gwiazdy mroku skrzydła anioła były ogromne i czarne.

--Jesteś spisana na straty -- wysyczała Carnival.

--Nic z tego.

Anielka zaatakowała. Wyglądała jak plama ciemności. Rachel zadała cios, ale Carnival po prostu odepchnęła ostrze dłonią i znalazła się tuż przy niej. O, Boże. Hael nagle poczuła się bezbronna. Przeciwniczka sięgnęła do jej gardła. Rachel zgięła kolana i uchylała się przed jej ręką, ale straciła równowagę i nie miała innego wyjścia,

jak rzucić się do tyłu. Niestety, nie zdołała uniknąć ciosu.

Ból przeszył jej szyję, ale nie zdążyła się tym przejąć, bo Carnival już wykonała obrót i

ponownie ruszyła do ataku. Jak błyskawica! Asasynka zrobiła fikolek w tył i zerwała się z podłogi, machając na oślepie mieczem.

Walczę jak przerażony rekrut.

Na szczęście, dzięki niezdarnemu manewrowi zyskała dość czasu, żeby stanąć pewnie na nogach.

Raptem w górze rozległ się brzęk szkła. Co to? Rachel obróciła się błyskawicznie. Przez chwilę wydawało się jej, że znowu pada deszcz, choć niebo było bezchmurne. Przez wybite szyby lała się woda i ściekała po elementach konstrukcyjnych planetarium. Carnival uskoczyła przed ulewą, tak że odległość między nimi się zwiększyła. Na rękę Rachel spadła kropla. Tłusta. Gdy asasynka poczuła ostry chemiczny zapach, zrozumiała, co się dzieje.

To nie woda. Nie tak wyglądał ich plan.

Przynajmniej ta część, o której mi powiedzieli.

Najwyraźniej Anielica też rozpoznała odór.

--Ofiara -- rzuciła z drwiącym uśmiechem.

Rachel usłyszała świst strzał zapalających, zanim je dostrzegła. Pierwsza trafiła w bluszcz porastający zachodnią ścianę, zasyczała i wybuchła. Druga wpadła przez jedną z faset z wytrawionymi konstelacjami we wschodniej części kuli i utkwiała w platformie obserwacyjnej. Wokół niej rozkwitły płomienie. Za tymi dwiema podążyło pół tuzina kolejnych.

Nafta do lamp. Zamierzają nas obie spalić żywcem.

Po tyłu uderzeniach serca, ile było strzał, całe planetarium Oberhammera stanęło w ogniu.

--Spine! -- warknęła Rachel. -- Skończone dranie.

Oczy Carnival zwężyły się; blizny wydawały się krwistoczerwone w blasku płomieni.

Anielica poruszyła skrzydłami i uniosła się sześć stóp nad platformą. Płomienie strzeliły w górę, otoczyły ją ze wszystkich stron.

Spisana na straty? Rachel opuściła miecz. Oni wcale nie żartowali.

Jednakże Carnival najwyraźniej nie podzielała jej rezygnacji. Machała z lopotem skrzydłami pośrodku płonącej kuli. Znieruchomiała na chwilę, żeby zebrać siły, i pomknęła ku południowej ścianie planetarium.

Rachel poczuła wstrząs, kiedy eksplodowały fasety. Szkło posypało się z brzękiem w dół na alejkę. Metal aż jęknął od impetu.

O, cholera, ona chyba nie zamierza... Nie może... Ta kula pewnie waży ze sto ton.

Carnival cofnęła się, sprężyła do skoku i rzuciła na wewnętrzną powierzchnię globu.

Rozległ się donośny chrobot. Planetarium się przechyliło.

Tymczasem płomienie objęły platformę obserwacyjną i pelzły wokół rzędu krzeseł. Z ich obić unosił się z sykiem dym, zbijał w kłęby, rozchodził w stronę dachu. Jego strzępy wirowały wokół rozpostartych skrzydeł Carnival. Żar zmusił Rachel do ucieczki na południowy koniec planetarium. Zakrywając ręką usta, zeskokczyła z platformy i przywarła do metalowego słupa pomiędzy dwiema roztrzaskanymi fasetami. Szarpnęła stalową sieć. Na próżno. Mosiężny szkielec obserwatorium lśnił w blasku pożaru, broczył zielonymi, czerwonymi i złotymi strumieniami.

Carnival cofnęła się ponownie, wzniecając wokół siebie płomienie. Zamknęła oczy, wrzasnęła i rzuciła się do przodu.

Przeciągły zgrzyt.

Rachel usłyszała, że kamień pęka i kruszy się pod nią, metal skrzypi i wygina się z jękiem, osłona z bluszczu rozrywa się na strzępy.

Dzieło Oberhammera runęło z wieży.

Pan Nettle znajdował się na wysokości dwóch trzecich wieży zegarowej, kiedy wybuchł pożar. Zatrzymał się zdyszany, niepewny. Stopy miał zaklinowane w łańcuchach i w niszczącym murze. Wcześniej widział, jak ku planetarium frunie stalowa sieć i owija się wokół niego. Obrzucił Spine przekleństwami. A teraz jeszcze za ogień. Trzy tysiące lat walki, i akurat tej nocy uda im się dopaść Carnival? Ta myśl przyprawiała go o udękę. Co za cholerne szczęście! Anielica nie zasłużyła na to, żeby zginąć z rąk Spine. Zasłużyła na tasak w głowie. Może jednak zdoła ją dopaść, zanim pożar rozsiale się na dobre. Zada jej jeden porządny cios. Nawet gdyby miał splonąć. Najważniejsze, że pomściłby Abigail.

Spojrzał w dół. Na dachach po obu stronach alejki stali Spine, dwudziestu albo trzydziestu uzbrojonych w kusze. Ulica Klatkowa opadała w stronę lasu dźwigów i doków cumujących.

Pan Nettle wciągnął powietrze przez zęby. Nie zamierzał dopuścić do tego, żeby anielicę pochłonął ogień, zanim on się zemści. Odwrócił się twarzą do muru i z determinacją ruszył w górę.

W tym momencie planetarium przechyliło się nad nim, wokół spadały okruchy zaprawy i gruz. Chwilę później wielki glob z mosiądzu całkiem się obluzował.

Pan Nettle przywarł do ściany. Owiał go żar, kiedy obserwatorium z hukiem przeleciało tuż obok niego. Z ogłuszającym trzaskiem uderzyło w czynszówki, miażdżąc okapy po obu stronach alejki. W niebo wzbily się chmury dymu i płomieni. Ale sama kula, szersza niż uliczka, utknęła między żelaznymi fasadami osiem stóp nad ziemią. Spine uciekli, gdy przewróciły się kominy. W dół posypały się lawiny dachówek.

Pan Nettle wyszczerzył się w uśmiechu od ucha do ucha. Teraz ją miał.

Lecz jego uśmiech zgasł raptownie.

Płonące Planetarium Oberhammera, ciasno oplecione stalową siecią, uwolniło się z potężnym jękiem i ruszyło przed siebie, krusząc dachy po obu stronach ulicy, urywając rynny. Potoczyło się Klatkową w stronę doków.

Impet powalił Rachel na ziemię. Ekspłodowały fasety, posypał się na nią deszcz kolorowych odłamków. Ona sama wypadła przez kwadratowy otwór między sąsiednimi mosiężnymi prętami, jedną nogą przebiła stalową sieć. Daleko w dole na bruku lśniło szkło. Rachel się skrzywiła, Carnival zawyla z radości.

Cholera. Zginie, jeśli spadnie.

Na szczęście planetarium ugrzęzło między domami Klatkowej, a wzmocnione żelazem fasady utrzymały jego ciężar. Zawaliły się tylko dachy. Rachel uwolniła nogę z siatki i dysząc opadła na plecy. Kula płonęła, a ona nadal była w niej uwięziona razem z Carnival. Musiała się stąd wydostać.

Nagle rozbrzmiał jęk niczym krzyk zranionego boga.

Cała konstrukcja zaczęła się toczyć.

Cholera cholera cholera cholera.

Platforma obserwacyjna z płonącymi krzesłami stanęła pionowo, potem uniosła się nad nią,

jak sufit, który zaraz może się zapaść. Rachel podążyła za nią, wczepiona w sieć. Gdy spojrziała w dół, zobaczyła, że pod nią przesuwają się ściany, a Carnival wisi sześć stóp nad nimi. Prześwitujące przez klęby dymu Deepgate nachyliło się ku niej i wypełniło całe pole widzenia: ciasne alejki z zakratowanymi czynszówkami, labirynt mokrych dachów, świątynia...

Doki.

Nad stanowiskami do cumowania, wystarczająco dużymi, żeby pomieścić największe sterowce, majaczyły dźwigi.

Cholera cholera cholera.

Rachel trzymała się mocno, podczas gdy kula toczyła się dalej, miażdżąc dachówki i okapy po obu stronach ulicy. Gdy asasynka ponownie znalazła się na dole, na chwilę stanęła wyprostowana i zaczęła skakać z pręta na pręt jak szczur po szczebelkach koła.

Carnival przywołała ją, wskazując ręką na siebie.

--No, chodź.

Rachel skoczyła i zamachnęła się mieczem, celując na prawo w przewidywaniu pudła. Carnival tylko się cofnęła ze śmiechem, nawet nie próbując sparować ciosu. Teraz znalazła się za asasynką.

Rachel nie mogła się zatrzymać, więc, narażona na atak z tyłu, pobięła jeszcze szybciej. Chwytając się stalowej siatki, zaczęła się wdrapywać po wewnętrznej stronie obserwatorium i wściekle cięła mieczem za siebie. Cios minął ze świstem brodę Carnival o cal, ale powstrzymał atak. Hael zrobiła wykop i trafiła przeciwniczkę w brzuch, posyłając ją w dół.

Płomienie! Pewnie jest prawie ślepa w tym blasku.

Planetarium Oberhammera gorzało. Powój jęczał, trzaskał i skręcał się w rozżarzone powietrze. Rachel zebrała siły. Platforma obserwacyjna poszybowała w górę i z powrotem na dół. Asasynka wskoczyła na nią, przebiegła między palącymi się krzesłami i zeskoczyła po drugiej stronie. Chwyciła sieć i z całej siły pociągnęła za stalowe ogniwa. Jej mięśnie się napięły, ale siatka nie dała się rozerwać. Rachel spróbowała jeszcze raz. Kula podskakiwała i turlała się w dół ulicy Klatkowej, nabierając szybkości.

Tymczasem Carnival zdążyła już dojść do siebie i wzbila się w powietrze, mlóćąc skrzydłami, żeby się utrzymać pośrodku kuli, z dala od wirujących ścian. Rachel prześliznęła się pod nią, wyprostowała się po drugiej stronie. W dół posypały się kawałki połamanych krzesel, płonące liście i gałęzie. Wokół huczały i strzelały płomienie. Deepgate przesunęło się po niebie -- bruk, lampy gazowe, ceglane mury, łańcuchy -- podczas gdy gwiazdy uciekały spod nóg.

Nabierając prędkości.

Siła odśrodkowa pchnęła Rachel z powrotem na sieć. Asasynka znowu zatoczyła łuk pod Carnival, w górę po ścianie, nad anielicą, z powrotem na dół. Próbowała się ruszyć, ale nie pozwalał jej na to pęd. Wydawało się, że jej kruche kości zaraz pękną. Szybciej i szybciej.

Gdy znalazła się bezpośrednio nad aniołem, planetarium uderzyło w coś solidnego, podskoczyło i przez jedno uderzenie serca Rachel była nieważka.

Resztką sił odbiła się kopnięciem od sieci.

Carnival odwróciła się w bok, ale okazała się nie dość szybka. Miecz Spine przeciął jej kolano do krwi. Asasynka spadła na sieć, gdy kula potoczyła się dalej, miażdżąc dachy ulicy Klatkowej.

Carnival skoczyła tam, gdzie przed chwilą znajdowała się asasynka.

Tymczasem ona była już nad nią. Wyrwała nóż z rękawa. Ostrze wbiło się w ramię anielicy.

Carnival krzyknęła, wyszarpnęła nóż z rany.

--Spine! -- warknęła. -- Przyjdę po ciebie, kiedy będzie ciemno. Słyszysz? Znajdę cię i wyrwę ci przekłete serce.

Nie wyglądało na to, żeby anielicą miała okazję spełnić groźbę. Kula obracała się tak szybko, że Rachel nie mogła się ruszyć. I jeszcze nabierała prędkości, tak że Hael czuła w żebrach i szyi każdy wstrząs. Jej skórzana zbroja była osmalona od płomieni, ręce pokryte pęcherzami, włosy się tliły. Żarzące się węgle i płonące pióra zataczały koła razem z nią. W jednej chwili Carnival była przed nią, w następnej pod nią, w kolejnej do góry nogami. Rachel zrobiło się niedobrze. Rozpaczliwie szarpnęła za sieć, zaczęła ją kopać. Choć ze stali, siatka była cienka. Potrafilby ją rozerwać każdy adept Spine.

Każdy adept oprócz niej.

Zebrała siły, podciągnęła się, aż zaprotestowały mięśnie.

Nic się nie stało.

Rachel opadła na sieć, z trudem łapiąc oddech. Carnival była gdzieś nad nią, z tyłu albo na dole. To nie miało teraz znaczenia. Nie potrafiła z nią walczyć, nie umiała jej pokonać. Nigdy nie będzie do tego zdolna. Nic więcej nie mogła zrobić. Oto koniec jej służby w Spine.

I nagle dostrzegła dziurę.

Cztery stopy od niej stalowa siatka była rozerwana i wisiała w strzępach. Rachel nie zauważyła jej wcześniej z powodu płomieni.

O bogowie, całe szczęście, że jeszcze przez nią nie wypadłam.

Zaciskając zęby, przesunęła się w stronę otworu. Oddychała z trudem. Miała wrażenie, że jednocześnie unosi się i opada, nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Płomienie lizaly jej gołe ręce i szyję.

--Słyszę cię! -- wrzasnęła Carnival.

Rachel ujrzała ją w przelocie: zamknięte oczy, tłące się skrzydła, blada twarz poorana bliznami. Potem otoczył ją ogień i dym.

Resztką sił podciągnęła się do otworu i wydostała przez rozerwaną siatkę na świeże powietrze. Przed jej oczami przesunęły się kamienie brukowe i gwiazdy. Miasto wirowało jak pijane, kręgi światła i ciemności. Poczula, że Carnival chwyta ją za stopę. Wyrwała się jej i runęła w dół.

Najpierw nurkowała prosto w niebo, chwilę później w stronę szarych łupkowych dachów. Otaczała ją błogosławiona cisza, nie licząc szumu wiatru. Chłodne powietrze było delikatne jak jedwab. Ogarnęło ją takie zmęczenie, że zamknęła oczy.

Rąbnęła w coś twardego, poczuła ból w biodrze, ale jak przez mgłę... Usłyszała trzask, a potem znowu leciała w dół. Kolejne zderzenie, dalsze spadanie. Wreszcie wylądowała z hukiem na czymś miękkim. Na jej twarz posypał się piach.

--Mamo! -- Krzyk brzmiał tak, jakby dochodził z innego świata. -- Mamo, ta kobieta wpadła przez dach!

--Nie gadaj głupstw -- dobiegł z jeszcze większej odległości inny głos.

--Jest w moim łóżku!

--Spij. Nie będę powtarzać drugi raz.

Asasynka uśmiechnęła się, ale nie otworzyła oczu. Ten drugi głos miał rację; bardzo potrzebowała snu. I wiedziała, że nic jej nie obudzi aż do następnego ranka.

--Dlaczego mi to robisz? -- zapytała dziewczyna błagalnym tonem. Devon przestał czytać i podniósł na nią wzrok. Biedaczka była w oplakany stanie: oczy czerwone od łez, twarz dużo bledsza, niemal przezroczysta, ale śliska od potu i poznaczona cienkimi jak włos atramentowymi żyłkami. Nadal miała na sobie fartuch pomywaczki w niebieskie i białe paski, a teraz jeszcze w czerwone plamy, bo walczyła, kiedy wbijał jej igłę. Fioletowe siniaki szpeciły białe ręce w miejscach, gdzie przykuł ją kajdankami do krzesła, i na nadgarstku, gdzie umieścił rurkę, przez którą wyciekała z niej krew.

--Szukam boga -- odpowiedział.

Dziewczyna zaczęła znowu płakać, a Devon zastanawiał się przez chwilę, czy powinien zaaplikować jej więcej środka uspokajającego. Buteleczka ze strzykawką stała wśród papierów rozrzuconych na biurku. Pojemnik u jej stóp był w dwóch trzecich zapełniony krwią, więc zdecydował, że jednak tego nie robi. Działanie leku tylko by przedłużyło cały proces, a on miał coraz mniej czasu i zbyt dużo do stracenia. Wcześniejsze kolby były ustawione pod ścianą, ciemnoczerwone, poza jej zasięgiem. Devon przesunął je tam, kiedy dziewczyna zaczęła kopać.

Za ciężkimi żaluzjami wstawał nad miastem czarny księżyc Nocy Blizn, Carnival rozpoczynała polowanie na robactwo na zimnych ulicach. Ale tutaj w gabinecie było jasno i ciepło. Pokój, cały w nawoskowanym drewnie, pełen kryształowych lampek olejnych, został zmieniony w prowizoryczne laboratorium. Blask ognia tańczył na bezliku szklanych probówek, stalowych destylatorów, mosiężnych zacisków i stojaków, które zajmowały każdy wolny skrawek przestrzeni. Kilka oprawionych w złote ramy olejnych portretów dawno nieżyjących naukowców opierało się niedbale o ścianę pod wykresami, którymi je zastąpił.

Tylko jeden obraz wisiał na ścianie. Przedstawiał elegancką kobietę o surowym wyrazie twarzy, łagodnych bursztynowych oczach i ze śladem uśmiechu na wargach. Jego ukochana Elizabeth. Devon zajrzał głęboko w jej namalowane oczy, jakby szukał w nich otuchy.

Przyjdą po mnie Spine? Już zakradają się po schodach do mojego mieszkania, w tej chwili, z naoliwionymi mieczami, z kuszami napiętymi i gotowymi do strzału?

Nie. Chronił go ktoś potężny. Już wcześniej zadbał o jego bezpieczeństwo.

Ktoś stojący wysoko w hierarchii kościelnej.

Wszystko zaczęło się siedem miesięcy temu, kiedy Devon wrócił do mieszkania i znalazł na biurku niegroźną przesyłkę, wypociny kogoś z chemików, jak przypuszczał. Odłożył pakunek na bok i niemal o nim zapomniał, ale kiedy wreszcie go otworzył, przeżył prawdziwy wstrząs. W rękach trzymał dziennik Miękkich Ludzi, trzech naukowców: pana Partridge'a, pana Hightowera i pana Blooma. Całe stronicie notatek, liczących sobie setki, jeśli nie tysiące lat. Archaicznym pismem został w nich szczegółowo przedstawiony proces wytwarzania anielskiego wina.

Nie było żadnych wskazówek, kto dostarczył paczkę, ale Devon miał swoje podejrzania. Dziennik mógł pochodzić tylko z jednego miejsca. Z Kodeksu.

Czyżby przysłał go prezbiter Sypes?

Dlaczego?

To pytanie dręczyło go bezustannie, ale czuł, że byłoby nieroztropnie zwrócić się z nim bezpośrednio do Sypesa. Jego tajemniczy dobroczyńca najwyraźniej chciał pozostać anonimowy. A jeśli Devon się mylił? Jedno nieostrożne słowo mogło sprawić, że sam pożegna się z życiem. Spine nie spojrzeliby laskawie na ponowne pojawienie się takiego dzieła.

Devon oderwał wzrok od portretu nieżyjącej żony i spojrzął na półkę nad kominkiem. Ozdobny zegar wybijał sekundy, ledwo widoczny wśród zakorkowanych butelek z chemikaliami, na których widniały nalepki z ręcznie wykonanymi napisami. Trucizny niezbędne przy wyrobie anielskiego wina.

Devon wciągnął powietrze nosem. Wyczuł słaby odór siarki, przyjemnie nieprzyjemny.

Wrócił do czytania, stukając ołówkiem o złotą oprawkę okularów. Bandaże pokrywające jego plecy nasiąkły płynami. Trochę świeżej krwi zebrało się w zgięciu łokcia, niedużo, ale wystarczyło, żeby na starej tweedowej marynarce zrobiła się kolejna plama. Devon się tym nie przejął; wygląd nie miał znaczenia. Elizabeth nadal go kochała.

Zacisnął popękane wargi, czytając leżące przed nim notatki.

Krew zawierała energię: siłę życiową... albo duszę, jak nazywa ją Kościół. Dziennik opisywał metodę ekstrakcji, sposób na usunięcie ducha z krwi. Na zamknięcie go w butelce. Ciało wędnie. Wszystko co materialne jest trucizną, wszystko, co jemy. Niszczy nas nawet powietrze, którym oddychamy. Ale kiedy karmimy ciało duchem, czymś eterycznym... Gdzieś tam na zewnątrz była istota, która właśnie to robiła, i to od tysięcy lat.

--Proszę, przestań -- zaczęła znowu błagać dziewczyna.

Devon zerknął na pojemnik z jej krwią i wrócił do notatek. Dokładnie przeprowadził proces upuszczania i oczyszczania, ale jeszcze nie uzyskał oczekiwanych rezultatów. Czyżby jego transkrypcja była błędna? Czyżby coś przeoczył? Niemożliwe. Z całą pewnością nie popełnił żadnego błędu w przygotowaniach ani potem przy stosowaniu tej techniki. Czego jeszcze mogło brakować? Dodatkowej manipulacji, która nie została spisana. Dziennik, choć mieszał mistycyzm z nauką, wyglądał na kompletny. Devon rozmyślał, żując koniec ołówka. Zanieczyszczenie materiałów? Mało prawdopodobne. Nie mogłyby być bardziej sterylne. Kazał nawet pobłogosławić pojemniki. Jakby to miało w czymkolwiek pomóc. I użył minimalnej ilości środka uspokajającego.

Więc co się stało? Czego zabrakło?

Błagania dziewczyny były coraz słabsze.

--Zabijasz mnie... proszę... przestań.

--Cicho, dziewczyno -- powiedział spokojnie Devon.

--Mam na imię Lisa... -- Wysilek pozbawił ją tchu.

Devon przetoczył ołówek między palcami. Otworzył mu się jeden z pęcherzy, na drewnie zostało trochę wilgoci. Może dusze były skażone, w jakiś sposób uszkodzone w procesie usuwania? A może nie udało mu się wydobyć ich całych? Miętkcy Ludzie zebrali trzynaście, zanim eliksir osiągnął punkt nasycenia i nie mógł już zaabsorbować więcej ducha. Dopiero wtedy ciało biorcy było w stanie wchłonąć anielskie wino. Devon zgromadził już dziesięć dusz. Oprócz tej dziewczyny potrzebował jeszcze dwóch. Martwiło go jednak, że nic nie wskazuje na to, by magiczny napój wkrótce był gotowy. Czyżby dusze różniły się jakością?

--Mój ojciec to Duncan Fry, porucznik świątynnej straży -- wyszeptała pomywaczka. -- Mamy trochę oszczędności, wiem, że tak. Ojciec da ci pieniądze. Devon trzasnął dłonią w biurko.

--Nie widzisz, że pracuję? -- Skrzywił się, gdy ból przeszył mu pierś. -- Dlaczego chcesz zostać oszczędzona? Po co? Czego pragniesz? Czuć na sobie spocone łapska Fondelgrue'a? Słuchać chrząkania tej śmierdzącej świni, kiedy będzie cię używała? Całe życie hodować jego pomiot? Niech cię Iril pochłonie, dziewczyno, miej trochę szacunku dla siebie.

Pomywaczka drgnęła i wykręciła głowę na ile pozwalały jej pęta. Jej usta drżały, kiedy mówiła:

--Ja... zrobię wszystko, co zechcesz. Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

Devon próbował jeszcze raz przejrzeć notatki, ale nie mógł się skupić.

Błagania dziewczyny go rozpraszały. Wstał od biurka, zbliżył się do niej i ukląkł na dywanie. Uniósł jej twarz, zmuszając, żeby na niego spojrzała, na sączące się rany i pęknięcia skóry.

--Właśnie to robisz -- powiedział z krzywym uśmiechem.

Z piersi dziewczyny wyrwał się szloch. Na jego dłoń spłynęła wydzielina z jej nosa. Devon wytarł rękę kuchennym fartuchem i otoczył ramieniem jej barki.

--Największą tajemnicą życia jest śmierć -- powiedział. -- Co się z nami dzieje?

Dokąd idziemy? Wierzysz w boga, prawda? Wierzysz w duszę?

Dziewczyna pociągnęła nosem i kiwnęła głową, patrząc mu w oczy.

--Więc musisz wierzyć, że Ulcis uwolni ją z twojej krwi. -- Devon odgarnął kosmyk z jej twarzy. -- Jeśli dusza naprawdę istnieje, znajdź pocięgę w tym, że twoja się nie zmarnuje. -- Wyraz jego twarzy złagodniał. -- Zamierzam wykorzystać ją w najlepszy sposób. Jeszcze jedno dorodne grono w butelce rzadkiego wina, co ty na to? Dziewczyna jęknęła i potrząsnęła głową. Włosy opadły jej na twarz.

--Cicho, dziewczę, nie powinnaś się martwić. Wkrótce będzie po wszystkim. --

Posłał jej swój najcieplejszy uśmiech i skrzywił się, czując ból. Położył dłoń na jej policzku. Po palcach Devona spłynęły łzy. Nachylił się i przemówił łagodnie: -- Cii. Postaraj się być dzielna. Wiem, że odpychamy od siebie śmierć, zapominamy o niej aż do dnia, kiedy puka do drzwi i przypomina o sobie. Dla mnie ten dzień nadszedł, kiedy zachorowała moja żona. Ale Elizabeth miała w sobie niezrównany czar, którego nie mogła jej zabrać żadna siła, ani człowieka, ani natury. Nawet u kresu życia, kiedy jej skóra płakała tak jak moja, pozostała piękna... dla mnie.

Oddech dziewczyny był coraz cichszy. Zegar na kominku tykał równomiernie, w kominku trzaskały polana. Devon oparł głowę pomywaczki o swoją pierś i tulił ją, dopóki nie umarła.

--Na litość boską, kobieto, na wszystko, co święte i dobre, zamilkiesz wreszcie? --

Dłonie doktora Salta zacisnęły się na wyimaginowanej szyi.

Rosemary Salt stała z zaplecionymi na piersi rękoma, tarasując wyjście z saloniku.

--Nie ustąpię ci, Arthurze. Guzik mnie obchodzi, jaka dzisiaj jest noc.

--Ona cię usłyszy -- syknął mąż. -- A wtedy już nic nie będzie miało znaczenia.

Chcesz, żebyśmy oboje zginęli?

Żona nawet nie drgnęła.

--Dwanaście butelek, Arthurze? Jakim cudem opróżniłeś dwanaście butelek w ciągu miesiąca? Musiałeś być stale pijany.

Doktor Salt rozłożył ręce.

--Nie wypilem wszystkich sam. Ostatnio miałem dużo oficjalnych okazji, sama wiesz, przecież nie mogłem zjawiać się z pustymi rękami.

--O, tak, byle nie z pustymi rękami. Tak, świetnie. Następnym razem zabierz swój własny leb pelen grogu, ale nie waź się sięgać po moje dywidendy z destylarni. Ta skrzynka miała nam wystarczyć na rok. A przy okazji, co z butelką, którą obiecałam mojemu ojcu, i z tą dla twojego brata? -- Rosemary Salt wycelowała w męża tłusty palec. -- Myślisz, że nie wiem, co się dzieje? Chodzi o Jocelyn Wilton, tak? Wciąż się tam kręcisz.

--Odwiedzam Patricka -- wycedził przez zaciśnięte zęby doktor Salt. -- Nie mogę odrzucić zaproszenia od szefa wydziału, nie sądzisz? On potrzebuje z kimś pogadać. Martwi się o zdrowie Jocelyn. To wszystko.

--Jej zdrowie! -- krzyknęła Rosemary. -- Oprócz ciebie to największa pijaczka w Deepgate. Jej krwi można by używać do marynowania.

--Uciszysz się wreszcie? Możemy porozmawiać o tym innym razem. Odkupię ci tę cholerną whisky.

--Żebyś wiedział...

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Rosemary Salt zamarła z rozdziawionymi ustami. Jej mąż patrzył na korytarz szeroko otwartymi oczami.

--To nie może być ona -- wykrztusił. -- Nie przypuszczam, żeby... Kolejne stukanie, bardziej natarczywe. Doktor Salt przelknął ślinę.

--Nie musimy otwierać -- powiedział cicho. Rosemary przycisnęła rękę do ust.

--A jeśli to nie ona? -- wyszeptala przez rozsunięte palce. -- Jeśli to jeden z twoich pacjentów? Nie możemy zostawić go na zewnątrz w taką noc.

--Jasne, że możemy.

--A jeśli to nagły przypadek?

--Jasna cholera!

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Trzy stuknięcia.

--Zapytam, kto tam -- postanowiła Rosemary. Wzięła lampę z komody i na palcach wyszła na korytarz, rzuciwszy wpierv spojrzenie na męża. -- Nie musimy otwierać. Salt podążył za nią, drżąc z napięcia. Frontowe drzwi były zaryglowane; nie dobiegał zza nich żaden dźwięk oprócz świstu wiatru. Drewniane panele trzęsły się od gwałtownych podmuchów.

--Kto tam? -- zapytała Rosemary.

--Jocelyn -- odpowiedział spokojny głos. -- Wpuść mnie. Doktor Salt odetchnął z ulgą i ruszył do drzwi.

--Zaczekaj. -- Żona chwyciła go za ramię, spiorunowała wzrokiem i zapytała szeptem: -- Co to za zapach?

--Jaki zapach?

--Jakby spalonych włosów albo... Pukanie.

--Wpuść mnie, proszę.

Rosemary odwróciła się z powrotem do drzwi.

--Co się stało. Jocelyn? Masz taki dziwny głos.

--Oczywiście, że mam inny głos. Jestem przerażona.

Wcale nie wydawała się przerażona, ale co on mógł wiedzieć? Kobiety trudno zrozumieć, nawet w normalnych okolicznościach, a co dopiero wystraszone kobiety. Odtrącił rękę żony i sięgnął do zasuw.

Rosemary złapała go za rękaw i szarpnięciem obróciła do siebie. Jej oczy były wytrzeszczone w niemym proteście. Patrząc na męża, zapytała:

--Po co tu przyszłaś, Jocelyn? Wiesz, jaka dziś noc.

Doktor Salt już miał chwycić za zasuwę, ale żona znowu go powstrzymała, bezgłośnie wymawiając słowa: „Nie mamy pewności”.

--Do diabła z tobą -- warknął doktor. -- Nie zostawię jej tam ani chwili dłużej.

Odepchnął żonę, odsunął rygiel i otworzył drzwi.

Wiedziała, że będzie boleć. Umieranie zawsze boli. Nigdy się do tego nie przyzwyczaiła. Napięła łańcuch za pomocą zębatki, jego koniec przerzuciła przez hak wbity w krokwie. Zawiązała doktorowi usta i ręce, skuliła mu nogi i powiesiła głowę w dół, tak że jego włosy muskały deski podłogi. Jego oddech wydobywał się ze świstem z kącików ust. Oczy były dzikie, naga pierś biała jak wosk, twarz posiniaczona, nabrzmiała od krwi, zalana łzami. Salt próbował uwolnić stopy z kajdan, podciągnął się na łańcuchu, ale zaraz opadł bez sił. Jego ciało kołysało się, to przecinając smugę bladego światła gwiazd, które wpadało przez szparę w dachu, to znikając w cieniu.

Carnival zamierzała opuścić strych zaraz po tym, jak dokończy dzieła. Wiedziała, że zapach krwi ściągnie Spine i demony. Hak, zębatkę i kajdanki zabierała ze sobą do innego ciemnego, opuszczonego miejsca, zostawiała jedynie zakrwawione łańcuchy. W Deepgate ich nie brakowało.

Unieruchomiła doktora, przyciągnęła garnek i ustawiła go pod nim. Żołądek miała ściśnięty jak pięść. Patrzyła na Salta dopóki była w stanie.

Jego spojrzenie pomknęło ku nożowi, który trzymała w ręce, i zaraz umknęło przerażone. Sapał przez nos, szybko, urywanie. Mogłaby usunąć knebel, bo teraz walczyłby jedynie o oddech.

Gdy chwyciła nadgarstek Salta, jego pęcherz nie wytrzymał. Mocz pociekł mu po piersi i brodzie, zaczął kapać do garnka. Carnival uklękła i wykonała jedno cięcie. Doktor zadrżał, kiedy przysunęła wargi do jego skóry.

Rozkoszne ciepło wypełniło cały strych. Łańcuch poskrzypywał cicho, kołysał się, kiedy Carnival pila łapczywie. Tam i z powrotem, coraz wolniej.

Odprężyła się, zaspokoivszy pierwszy głód.

Do środka przesączyła się gęsta ciemność, wniknęła w drewno, w ciało i krew. Łańcuch znieruchomiał i ucichł. Mężczyzna też nie dawał oznak życia. Poruszała się tylko krtań Carnival.

Kiedy się nasyciła, wstała i spojrzała na nadgarstek martwego mężczyzny. Wgryzła się w niego mocniej, niż zamierzała, brzydko rozerwała skórę wokół nacięcia. Gdy puściła bezwładną

rękę, po podłodze rozprysły się czerwone gwiazdki.

Carnival wytarła usta i uniosła nóż. Z jego czubka ściekała krew.

Anielka czekała, drżąc.

A potem umarła.

I narodziła się na nowo.

Przeszył ją ból, tak silny, że omal nie wyrwał z niej duszy. Dysząc, upadła w przód, na rękę i kolana. Krew szumiała jej w uszach. Żołądek podszedł do gardła. Zacisnęła szczękę i wyprostowała się z trudem.

W głowie jej się kręciło. Przez dłuższą chwilę nie wiedziała, kim jest i gdzie się znajduje, a potem zobaczyła krew i wszystko sobie przypomniała.

Co ja zrobiłam?

Ogarnął ją inny rodzaj bólu. Szarpał od środka jak pazury zwierzęcia, które próbuje się uwolnić z klatki. Carnival przeszła kilka kroków, po czym zawróciła oszołomiona. Palcami przesuwała bezmyślnie po piersi.

Wszędzie krew. Na rękach, na ubraniu.

Co ja zrobiłam?

Zawahała się, kręcąc się w miejscu. Ogarnęła ją fala mdłości.

Spojrzała na swoje udo i głęboko dźgnęła je nożem. Poczula, że ostrze zatrzymuje się na kości. Z nogi trysnęła krew. Ból był przejmujący, doskonały. Rozkoszując się nim, obróciła ostrze w ranie. Zamknęła oczy i wzięła długi, chrapliwy oddech. Potem wyszarpnęła nóż z uda, rzuciła go na podłogę. Była bliska agonii. Jej dłonie zakrzywiły się jak szpony. Po brodzie pociekła ślina... albo krew. Carnival zaczerpnęła tchu i zawyla.

Ból stopniowo ustał.

Rana w udzie już się goiła, zablizniała.

Ręka mężczyzny nadal kołysała się nad zachlapanym garnkiem w tę i z powrotem, ociekając krwią. Carnival wyjęła z kieszeni brudny kawałek płótna i wytarła nim usta, twarz i szyję. Potem przetarła szmatką dłonie i rzuciła ją na deski. Po chwili podniosła ją i bezskutecznie próbowała wyczyścić zniszczone paznokcie. Oblizwała zęby i splunęła, raz i drugi. Chciała przeczesać włosy palcami, ale nie dała rady; były zbyt posklejane i splątane. Po raz pierwszy zwróciła uwagę na zapach krwi, która powoli wsiąkała w podłogę, słodkawy i mdlący. Do rana na strychu będzie się roiło od much.

Carnival odwróciła się, walcząc z mdłościami. Przeszła chwiejnie kilka kroków, ślizgając się na mokrych deskach. Ukucnęła, czując tępe pulsowanie w nowej bliznie na udzie i dudnienie serca, a kiedy już dłużej nie była w stanie znieść tych sensacji, obróciła się z krzykiem i wymierzyła kopniaka martwemu mężczyźnie. Jego kark pękł jak sucha gałąź.

Carnival osunęła się na podłogę, objęła ciasno rękoma. Łańcuchy i haki skrzypiały nad nią, kiedy płakała. Jej ciałem wstrząsał szloch wydobywający się z głębi trzewi. Znowu chwyciła za nóż, uniosła go i wbila w udo, otwierając świeżą bliznę. Potem jeszcze raz, i jeszcze.

Czuła ból, ale zbyt słaby.

ROZDZIAŁ 12 KUCHNIE TRUCIZN

Gdy Dill czekał na Rachel w sali lekcyjnej, dręczyło go jedno pytanie.

Jak mam ją zwolnić?

Ostatecznie jej również nie dano wyboru w tej kwestii. Prezbiter Sypes sam podjął decyzję, nie pytając nikogo o zdanie. Nadzorca, który nie był mędrce, nauczyciel, któremu nie zależało na przekazywaniu wiedzy, adept Spine, który zachęcał do łamania kościelnego prawa. To wszystko wydawało się bez sensu. Dzisiaj miała zapoznać go z truciznami, ale oczywiście się spóźniła.

Pewnie jeszcze wylegiwała się w łóżku.

Prezbiter leżał na biurku stojącym pod zakurzoną ścianą książek i chrapał. Mucha zataczała leniwe kręgi wokół jego głowy. Nad starcem wciąż krążyły te natrętne owady. Akurat tę muchę Dill obserwował od godziny -- od czasu do czasu siadała na poplamionych atramentem palcach prezbitera albo na plamistej czaszce, a kiedy się ruszył, odlatywała z bzyczeniem, żeby zakreślić następne kółko. Przez wysoko umieszczone okna wpadały promienie słońca. Wirował w nich kurz. Przesycone zapachem atramentu i wosku pszczelego powietrze oblepiało jak syrop skrzydła Dilla.

Wskazówka zegara wiszącego na ścianie pokazała kolejną minutę po dziewiątej, ale ani trochę nie zbliżyła się do jedenastej. Dill odnosił wrażenie, że czeka tutaj już od paru dni.

Popatrzył na książkę, którą miał przeczytać, i westchnął. *Hierarchia dzwonników*. Wszystkie księgi w sali lekcyjnej były takie jak ta: grube i bez wątpienia nudne. Każda poruszała ważne tematy, co, o dziwo, podnosiło go na duchu, ale dzisiaj nie był w stanie dokończyć ani jednego zdania.

Nadal nie dawał mu spokoju jego wczorajszy zakazany lot. Dlaczego dał się namówić Hael? Właściwie Rachel nie tyle go namówiła, ile zmusiła do tej próby. Była tyranem. Miała na niego zły wpływ. Komplikowała mu życie.

Gdzie ona się podziewa?

Cyk. Wskazówka zrobiła następny maleńki kroczek na długiej drodze do jedenastej. Mucha zabrzęczała koło jego głowy. Dill machnął ręką, ale chybił. Przez chwilę gapił się tępo przez okno i wyobrażał sobie, że wylatuje przez nie w złotej zbroi, żeby wyruszyć na bitwę.

Nazajutrz miała się odbyć kolejna ceremonia Wysłania, a on wcale się z tego nie cieszył. Borelock z pewnością nadal będzie na niego wściekły. Ciekawe, czy już naprawili archonta? A może kolumna stoi pusta? Jak nieme oskarżenie, pomnik jego niekompetencji i porażki, wyrzut sumienia wśród pozostałych dziewięćdziesięciu ośmiu relikwii i samego herolda.

W oczach Dilla pojawiły się iskierki różu.

Obecność Rachel w świątyni najwyraźniej była początkiem jego pecha. Najpierw zniszczony archont, potem zabroniony lot. Dill odpędził te myśli, zanim uczepliły się go na dobre. Prezbiter nigdy nie odkryje przestępstwa, jeśli oboje zachowają milczenie. Najlepiej będzie zapomnieć o tym incydencie. Życie świątynnego sługi przypominało krętą rzekę. Żeby nią płynąć i nie wpaść na mieliznę, trzeba było podążać wraz z prądami kościelnego prawa. Dill pokiwał głową. Kiedy Sypes się obudzi, powie mu, że nie potrzebuje nadzorcy. Uprze się i postawi na swoim. Przecież to dla jego dobra.

Skrawki błękitnego nieba widoczne w oknach sali lekcyjnej wydawały się zimne i odległe.

Gdzie ona jest?

O wprowadzenie Dilla w sztukę stosowanie trucizn asasyńska poprosiła samego Aleksandra Devona, szefa Ministerstwa Nauk Wojskowych. Dill spotkał go tylko raz, wiele lat temu. Czarujący gość o bystrych oczach i ciepłym uśmiechu mimo skóry pokrytej pęcherzami. Truciciel dał mu ukradkiem trochę słodczy, kiedy prezbiter nie patrzył. Dropsy, po których Dill przez cztery dni miał fioletowy język, i torebkę kwaśnych cukierków, które ukrył na swoim balkonie. Ukradły mu ją gawrony, za co potem rzucał w nie kamieniami, dopóki kapłani nie krzyknęli, żeby przestał. Twierdzili, że wybił tuzin szyb, choć było ich najwyżej osiem.

Wskazówka przesunęła się znowu, ale wydawało się, że zegar chodzi do tyłu. Prezbiter Sypes wymamrotał coś przez sen i wrócił do chrapania.

Dill zmusił się, żeby zajrzeć do książki.

W tym momencie skrzypnęły drzwi sali lekcyjnej i do środka zajrzała Rachel.

--Chodź, tylko go nie obudź -- wyszeptała i cofnęła się na korytarz. Dill zerknął na prezbitera, potem na zegar. W końcu wstał i wyszedł z sali.

Na ścianach korytarza wyłożonego drewnem wisiały portrety nieżyjących prezbiterów. Wszyscy bez wyjątku starzy kapłani wyglądali ponuro w swoich czarnych sutannach i patrzyli na niego z pogardą, jakby dobrze wiedzieli, co Dill knuje, i wcale tego nie pochwalali. Lampy gazowe wysuwały z sykiem żółte języki ognia, który pachniał wiśniami.

--Devon na nas czeka -- rzuciła Rachel, idąc szybkim krokiem. Dill musiał podbiec, żeby się z nią zrównać.

--Posłuchaj...

--Jest w kuchni. Znowu.

--Myślałem...

--Za każdym razem, kiedy się tu zjawia, porywa kogoś do pracy przy tych swoich kadziach. Piekielnie denerwuje Fogwilla. -- Uśmiechnęła się. -- Mógłby szukać personelu w dowolnym miejscu w Deepgate, ale, nie, on koniecznie musi żerować na małym poletku Crumba. Założę się, że adiunkt już jest w drodze, żeby ratować dorodnych młodzieńców ze szponów Truciciela. Na bogów, nie wiem, który z nich jest gorszy. Jeśli chodzi o Fogwilla, przynajmniej mają jakiś wybór.

Dill zauważył bandaże na lewej dłoni Rachel. Skórzana zbroja była nadpalona na jednym boku, włosy osmalone. Asasyńska wyglądała na bardzo zmęczoną.

--Co ci się stało? -- zapytał. Machnęła ręką.

--Wciąż to samo. Posłuchaj, nie pij niczego, co zaproponuje ci Devon. Ma bardzo dziwne poczucie humoru. -- Przez chwilę się zastanawiała. -- Chyba nie próbowałeś płynu z tej małej czarnej fiołki, którą ci dałam, prawda?

--Och, nie. Rachel, chcę...

--To dobrze. Przeczytałaś książkę?

--Cóż...

--Pospiesz się.

Stromymi schodami zeszli do dolnej sali bankietowej, Niebieskiej, w której jadali świątynni gwardziści. Śniadanie skończyło się o dziewiątej i teraz ubrani na biało kelnerzy sprząтали naczynia z długich stolów, zmywali podłogę i ustawiali krzesła pod

ścianą. Crumb już był na miejscu. W kolorowej szacie ozdobionej lśniącymi klejnotami

wyróżniał się spośród personelu i kierował pracami, wchodząc wszystkim w drogę.

--Adiunkcie -- powitała go Rachel, kiedy się zbliżyli. Crumb drgnął.

--A co wy tu robicie?

--Mamy się spotkać z Devonem.

--Nie ma go. Spójrzcie na ten bałagan, spójrzcie na dywan. Dlaczego nasi gwardziści nie potrafią jeść z zamkniętymi ustami? -- Jego uwagę przyciągnął kelner zbierający tace z resztkami ciasta z pobliskiego stołu. -- Hej, ty, co robisz? Nie kładź ich na stos, wszędzie rozrzucasz jedzenie...

--Kłopoty z pracownikami, Fogwill?

Dill odwrócił się i zobaczył, że od strony kuchni nadchodzi Devon. Wstrzymał oddech. Jak to możliwe, że on jeszcze żyje? Stan Truciciela jeszcze się pogorszył od czasu, kiedy Dill widział go ostatnio. W kącikach jego oczu i ust zebrała się zaschnięta krew. Skóra łuszczyła się i jątrzyła w wielu miejscach. Tweedową marynarkę znaczyły ciemne plamy. Bezwłosa czaszka wyglądała jak na pół ugotowana, ale na twarzy malował się szeroki uśmiech. Za nim podążał chudy tragarz, zerkając na nich zza pleców Devona.

--Pożyczyłbym ci swoich, ale odmawiają noszenia uniformów -- ciągnął Truciciel. -- Za ciasne i piekielnie niewygodne, tak twierdzą. Podobno nigdy nie zamawiasz dla nich właściwych rozmiarów.

--Szukałem cię. -- Adiunkt przeniósł wzrok na tragarza. -- Powiedziano mi, że znowu werbujesz personel.

--Dziesiąty raz w tym roku -- odparł Devon. -- Z jakichś powodów nigdy długo u mnie nie zostają. Może jak dla nich jest za dużo pracy.

--A co to właściwie za praca? Devon uśmiechnął się jeszcze szerzej.

--Nie będę cię zanudzał szczegółami.

Adiunkt Crumb poczerwieniał. Jego ozdoby zabrzęczały.

--Zechcesz wypić ze mną herbatę? -- zapytał. -- Jest kilka drobnych spraw, które chciałbym z tobą omówić.

Truciciel wyjął z kieszeni kamizelki chusteczkę, zdjął okulary i wyczyścił je z krwi.

--Chętnie, ale tym razem z żalem muszę odmówić. Wezwano mnie, żebym wyświadczył Kościołowi pewną przysługę. -- Nasadził okulary z powrotem na nos i uniósł brew. -- Zwrócili się z tym do mnie, ni mniej, ni więcej, tylko sami Spine. Naszemu nowemu archontowi trzeba udzielić lekcji na temat trucizn. Pomyślałem, że wycieczka po naszej fabryczce może być dla niego pouczająca.

--Oczywiście.

Wycieczka? Dill zerknął na Rachel, ale ona go zignorowała. Nawet słowem nie wspomniała o żadnej wycieczce. Jak niby miał zwiedzić Kuchnie Trucizn? Musiałby opuścić świątynię i przejść przez miasto, a wiedział, że prezbiter Sypes nigdy na to nie pozwoli. Z pewnością zaszło jakieś nieporozumienie. Spojrzał na adiunkta Crumba, szukając u niego pomocy, ale tłusty kapłan całą uwagę skupił na Devonie.

--Wybacz, ale im szybciej zaprowadzę tego człowieka do laboratorium, tym prędzej będzie przydatny -- powiedział Truciciel.

Rumieniec adiunkta się pogłębił.

--Przydatny do czego?

Devon nachylił się do niego i mrugnął konspiracyjnie. Z oka wyciekła mu strużka brunatnego płynu.

--Gdybym mówił im o tym z góry, nikogo nie nakłoniłbym do przyjęcia tej pracy. --

Uklonił się adiunktowi. -- Proszę nam wybaczyć. -- Następnie zwrócił się do Rachel i Dilla: -- Idziemy?

--Chwileczkę -- odezwała się Hael. Ze stojącej na najbliższym stole tacy wzięła pasek świńskiej skóry, rozerwała go na trzy części, po czym wetknęła po jednej do rurek wiszących u jej pasa i szybko zatkała je z powrotem. -- Po co ma się zmarnować? Dillowi wydawało się, że bambusowe rurki drżą.

--Makabryczne, ale interesujące -- stwierdził Devon.

Opuścili Niebieską Salę sklepionym przejściem, które prowadziło wzdłuż wschodniego boku świątyni i skręcało w stronę Mostu Bramnego. Światło wpadające przez łukowate, witrażowe okna w zewnętrznym murze układało się na kamiennych płytach w kolorowe wachlarze.

--Dziękuję, że pan się zgodził -- powiedziała Rachel.

--Cała przyjemność po mojej stronie -- odparł Devon. -- Nie możemy pozwolić, żeby nasz anioł nic nie wiedział o najlepszym towarze eksportowym Deepgate. -- Napięta skóra rozciągnęła się i popękała w kącikach jego ust.

Przez boczne drzwi weszli do korytarza Sanktuarium. Dill zauważył, że roztrzaskany archont jeszcze nie został naprawiony. Tragarz otworzył główne wrota i wszyscy wyszli na blask słońca.

Po każdym kroku Dill oglądał się na świątynię. Jej czarne mury obsiadły stada gargulców. Iglice, pinakle i blanki wyrastały na niebotyczną wysokość. Szkło iskrzyło się jak roztrzaskana tęcza. Samo miasto wyginało się w górę ku brzegom otchłani niczym wielka misa pełna kamieni i żelastwa. Łańcuchy lśniły za przezroczystą kurtyną wilgotnego powietrza. Dill trzymał głowę spuszczoną. Wstydził się swoich oczu koloru mrozu.

Na końcu mostu skręcili w prawo i zagłębili się w płataninę zaułków Bridgeview. Tutaj miasto docierało do fosy z łańcuchów opasującej świątynię i, nie znajdując więcej miejsca na ekspansję, pęczniało w górę. Tę dzielnicę upodobał sobie bogacze. Ich rezydencje walczyły o przestrzeń, tak że przejścia pozostawały w wiecznym cieniu. Żeby uprzywilejowani mogli spacerować w słońcu, chodniki skonstruowano wysoko nad alejkami. Wąskie platformy z drzewa morwowego zgrabnie łączyły przeciwległe balkony. Najwyższe ze starych budowli zwieszały się nad świątynną fosą, podczas gdy te za nimi, jakby zazdrosne o doskonałą pozycję, nachylały się ku nim jak najbliżej, w niektórych miejscach zaledwie na szerokość kładek. Gdzieniedzie wydawało się, że mieszkańcy mogliby sięgnąć ręką, żeby zapukać do okna sąsiada.

--Czy wasza rodzina ma tutaj dom? -- zapytał Devon, zwracając się do Hael.

--Na zachód stąd -- odparła Rachel. -- Jeśli nadal stoi. Nie byłam tam od lat.

--Przykro mi z powodu pani ojca. To był świetny generał. Przepraszam, że nie wziąłem udziału w Wysłaniu.

--Na pewno musiał być pan bardzo zajęty.

--Praca nigdy nie ustaje.

Po raz pierwszy Dill był wdzięczny za panujący wokół półmrok. Pasował do jego nastroju.

Z nich wszystkich chyba tylko tragarz podzielał jego lęk, spowodowany faktem, że znaleźli się poza świątynią. Ten młody mężczyzna siedł przez cały czas zgarbiony, z rękami w kieszeniach, podczas gdy Devon kroczył żwawo, z wysoko uniesioną głową, a Rachel dotrzymywała mu kroku zwinnie jak kot. Dill włókł się za nimi i zerkał nerwowo na boki.

Większość domów tutaj miała małe okienka. Tylko służba zajmowała niższe piętra, a szkło było drogie. Szyby pokrywała gruba warstwa brudu i pajęczyn, ale od czasu do czasu Dill dostrzegał wnętrza: tapety w złote pasy, przestarzałe meble, fajansowe figurynki na półkach. Jakaś kobieta śpiewała w otwartym oknie, z którego płynął zapach świeżo upieczonego chleba.

Kupił kraby

W dokach Sandport,

Zapłacił dwa razy.

Dill spojrział w tamtą stronę, ale zobaczył tylko fartuch zawiązany wokół szerokiej talii. Rachel, Devon i tragarz gnali przed siebie, nie zwracając uwagi na takie obrazki i odgłosy. Anioł nie raz musiał podbiec, żeby ich dogonić.

Choć bruk między budynkami wyglądał, jakby nie miał żadnych spojeń, fundamenty były podtrzymywane przez ogromne sieci z łańcuchów. Inżynierowie Deepgate zbudowali Bridgeview według jakiegoś starożytnego, niezgłębitego projektu. Wąskie uliczki wiły się i zakręcały, opadały i wznosiły niczym organiczny twór albo tunele wydrążone przez myszy.

Zostawiali za sobą jedną alejkę, wchodzili w drugą i podążali nią przez jakiś czas, a kiedy skręcała pod ostrym kątem, musieli wybrać inną, żeby zachować mniej więcej ten sam kierunek. Do tej pory nie spotkali nikogo, ale kiedy Dill już zaczął wierzyć, że pozostanie niezauważony, otworzyły się drzwi i z jednego z domów wybiegł mały chłopiec. Omal na niego nie wpadł.

Pulchny malec z perkatym nosem wytrzeszczył oczy, gapiąc się na Dilla. Anioł odwzajemniał jego spojrzenie, dopóki Rachel nie zawołała, żeby się pospieszył. Chłopiec krzyknął i wskoczył z powrotem do domu.

--Nie przejmuj się. -- Devon wyszczerzył się upiornie. -- Mnie coś takiego wciąż się przydarza.

Kiedy Dill obejrzał się przez ramię, stwierdził, że idzie za nimi dwójka dzieci. Tłusty chłopczyk wrócił w towarzystwie młodszej dziewczynki w czerwonych butach i z czerwoną wstążką we włosach. Gdy dzieci zobaczyły, że je zauważono, pisnęły i uskoczyły za pobliskie schody. Potem wyjrzały zza nich ostrożnie, ale z szeroko otwartymi oczami. Rachel posłała Dillowi zrezygnowane spojrzenie.

--Lepiej chodźmy przez Gardenhowe -- zaproponował Devon. -- W Lilley jeszcze uprzątają bałagan. -- Uniósł brew, patrząc na Hael. -- W nocy runęło Planetarium Oberhammera. Podobno toczyło się całą milę przez Applecross, a potem uderzyło w łańcuch fundamentowy i przeskoczyło nad Sierpem.

--Słyszałam -- mruknęła Rachel.

--Wybiło dziurę w domu właściciela fabryki po drugiej stronie. Biedak był dziś rano w świątyni, przeklinał Spine i wysyłał ich do Irilu. Domagał się odszkodowania.

--Spine na pewno znajda mu inne lokum.

Dill odniósł wrażenie, że śmiech Devona jest wymuszony.

Drzewa w Gardenhowe były obsypane różowymi kwiatami, z których część już opadła i

pokrywała trawę miękkim dywanem. Z dwojga dzieci zrobiło się czworo. Trzymały się z tyłu w bezpiecznej odległości, chichotały i wymachiwały rękami, wzbijając w górę chmury płatków. Kiedy Rachel próbowała je przegonić, schowały się za najbliższym pnem.

Było wczesne popołudnie, kiedy dotarli do Sierpa. Tutaj Gardenhowe było gęściej zabudowane, domy okazalsze, kamienne ściany pociemniałe od popiołu. Mocno skorodowane łańcuchy i dźwigary dzieliły niebo na błękitne trójkąty. Uliczka zwężała się, wznosiła i kończyła przy wysokim murze łączącym dwie wysokie, okrągłe budowle. Nad małymi czerwonymi drzwiami wisiała przekrzywiona wyblakła tabliczka z herbem Ministerstwa Nauk Wojskowych Deepgate.

--Jesteśmy na miejscu -- oznajmił Devon. -- I to w samą porę. -- Skinieniem głowy wskazał za siebie.

Dill obejrzał się przez ramię. Na końcu zaułka stało w rzędku ośmioro dzieci i machało rękami jak skrzydłami.

--Mnożą się w postępie geometrycznym -- stwierdził Devon. -- W tym tempie przed zmierzchem zaleją całą okolicę.

Za drzwiami ich oczom ukazała się drewniana platforma z zardzewiałą balustradą. Do głównej bramy Kuchni Trucizn, która znajdowała się jakieś trzysta metrów dalej, prowadził most linowy, pośrodku głęboko zapadnięty. Był przerzucony nad przepaścią, która wyglądała jak czarna rzeka płynąca przez miasto. Ziejącą otchłań spinały monstrualne łańcuchy fundamentowe. Przysadzisty i poczerniały od sadzy budynek Ministerstwa Nauk Wojskowych Deepgate przypominał gigantyczny kociol zwieńczony wielkimi żelaznymi kominami buchającymi parą. Z dachu unosił się dym, z rykiem strzelały race płonącego gazu. Pod budowlą wznosiły się liczne wieże dokujące dla sterowców. Dill dostrzegł zarys kadłuba statku wojennego przycumowanego do jednej z nich i zbliżył się do balustrady, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Tragarz wcisnął głębiej rękę w kieszenie.

Most linowy zakolysał się, kiedy na niego weszli.

--Jest bezpieczny? -- spytał Dill.

--Oczywiście -- odparł Devon. -- O ile nie spadniesz.

Wkrótce znaleźli się poniżej poziomu budynków stojących po obu stronach przepaści. Płatanina ołowianych rur łączyła fabryki i mieszkania z systemami wodociągowymi i kanalizacyjnymi Deepgate. Wszędzie były rozciągnięte sieci splecione z konopi, obwisłe pod ciężarem ulic, przeszyte promieniami światła dziennego, padającego z góry. Zatrzymywały wyrzucane śmieci, a od czasu do czasu ratowały pijaka albo samobójcę przed upadkiem w otchłań. Ulcis niechętnie widział żywych w swoim królestwie.

--Królestwo sieciarzy -- powiedział Devon, dostrzegłszy zainteresowanie Dilla. --

Byłbyś zdumiony, jakie rzeczy wyciągają z tych sieci.

Tymczasem Rachel przyglądała się jednemu z łańcuchów fundamentowych rozciągniętych nad mostem linowym.

--Wykuł je Callis? -- zapytała.

--Między innymi. -- Devon zerknął na Dilla z błyskiem rozbawienia w oczach. --

Maszyna, której używał do wydobywania rudy i spawania ogniw, nadal stoi u podnóża Czarnego Tronu. Nasze statki wojenne odkryły ją jakiś czas temu. Kapłani nazywają ją Zębem Boga. -- Prychnął. -- Powinieneś słyszeć ich zapewnienia. Obiekt czeka, czuwa

nad nami, jakby posiadał świadomość, a nawet wrażliwość.

--Nie zgadza się pan z tym? -- zapytała Rachel.

--Moim zdaniem więcej w nim kół zębatych niż świadomości. Starożytny, owszem, wielki jak cały ten kompleks, ale jednak mechaniczny twór. Kiedyś wydobywał metale z Czarnego Tronu i przywoził je przez Martwe Piaski do Deepgate. Teraz stoi porzucony w cieniu góry. Heshette wykorzystują go jako cytadelę. Wyobrażacie sobie? Żyje w nim cała ludzka społeczność. Żyje i parzy się jak zwierzęta.

--Zatem nie wierzy pan, że Czarny Tron był kiedyś tronem Ulcisa?

--Góra rzeczywiście jest wyjątkowa. Złoża rudy w niej też są wyjątkowe. Sama ich obecność zatruwa ziemię w promieniu setek mil, ale jeśli to kiedykolwiek był tron, to cholernie niewygodny. -- Devon umilkł na chwilę, po czym dodał: -- Wierzę jednak, że część legendy jest prawdą i że Czarny Tron spadł z nieba.

Rachel popatrzyła na niego zaskoczona.

--Dlaczego nie? -- powiedział Devon. -- Przecież mamy spadające gwiazdy.

Uważam, że góra jest właśnie takim obiektem.

--A co z Zębem? -- drążyła Rachel. -- On też mógł spaść z nieba?

--O, to jest bardziej tajemnicza sprawa. Kościół zachowuje w związku z nim dziwną powściągliwość. Pewnie chce, żebyśmy zapomnieli o tej maszynie. Dziwne, nie sądzicie?

Odgłosy pracującej maszynerii i pieców stawały się głośniejsze, w miarę jak zbliżali się do Kuchni Trucizn. Powietrze było gryzące, ciężkie od popiołu wydobywającego się z kominów. Deski pokrywał cuchnący osad, tumany którego wznosiły się przy każdym kroku. Zanim dotarli do głównej bramy, Dill miał brudne ubranie i pióra.

Samemu Trucicielowi toksyczne powietrze najwyraźniej nie przeszkadzało. Zaprowadził ich do lobby, które kiedyś mogło być wykwintne, ale teraz z powodu popiołu znajdowało się w oplakanym stanie. Wzorzysty dywan znaczyły czarne ślady, eterowe lampy rozmieszczone na ścianach trzaskały i syczały.

Devon odciągnął tragarza na bok i otworzył mu najbliższe drzwi.

--Prosto, na lewo, potem sto jardów, znowu w lewo, w prawo, trzecie drzwi po prawej, w górę po schodach, drugi podest, czwarte drzwi na lewo. Biuro kierownika. Da ci maskę i pokaże, co masz robić. Zrozumiałeś?

Młody mężczyzna popatrzył na niego pustym wzrokiem.

--Sio! -- pogonił go Devon. Tragarz oddalił się pospiesznie.

--Mam nadzieję, że wytrzyma dłużej niż inni -- skomentował Truciciel. -- Dokładne prześwietlenie pracowników trwa całe wieki, a mnie ledwo wystarcza ludzi do obsługi pieców. Poprowadził Rachel i Dilla przez inne drzwi.

Natychmiast otoczył ich żar i hałas. Dill wytrzeszczył oczy. Hala ciągnęła się bez końca. Całą jej długość zajmowały dziesiątki ogromnych, beczkowatych pieców. Palacze karmili ich ogniste paszcze, nabierając węgla z wagoników, które przesuwały się wolno po szynach biegnących przez środek fabryki. Z pieców sterczały rury wielkie jak świątynne iglice i znikwały w sklepieniu z dźwigarów i kładek zawieszonych wysoko w górze. Węższe rury odchodziły od nich niczym liany, w równych odstępach czasu z zaworów buchały strumienie ognia. Para syczała, piece huczały, zagłuszając pokrzykiwania robotników, szuranie łopat i dudnienie

żelaznych kół pociągu z węglem. Dill czuł, że podłoga drży mu pod stopami.

--Paliwo! -- krzyknął Devon.

Ruszyli przez halę wzdłuż rzędu wagoników. Spoceni, pokryci sadzą mężczyźni pozdrawiali Truciciela ukłonami i czasami uśmiechem, na widok anioła na chwilę przerywali pracę. Przy drzwiczkach każdego pieca, który mijali, żar owiewał twarz i skrzydła Dilla, porywał luźne pióra i posyłał je spiralą w górę.

Przez drzwi w drugim końcu pomieszczenia weszli do stosunkowo cichego magazynku ze sprzętem. Dillowi nadal szumiało w uszach po wizycie w hali pieców, piekła go skóra.

Z rzędu haków wbitych w ścianę Devon zdjął dwie osobliwie wyglądające maski i podał po jednej Rachel i Dillowi. Z ustników zwisały rurki niczym macki kalamarnicy.

--Dla ochrony płuc -- wyjaśnił, również zakładając maskę. -- Pójdziemy teraz przez niebezpieczne sale.

Następne pomieszczenie było wielkości połowy hali pieców. Podłoga skończyła się raptownie i dalej szli po kładce nad rzędami otwartych kadzi. Bulgotały w nich mętne płyny, w górę buchały kłęby pary. Technicy w dziwnych maskach i zatłuszczonych fartuchach ustawiali zawory i sprawdzali odczyty na tarczach, inni stali na drabinkach i drągami podobnymi do wiosel usuwali pianę z powierzchni wrzących płynów.

Devon zatrzymał się, żeby skontrolować, jak idzie praca na dole.

--Kwasy, zasady i amoniaki. -- Jego głos był stłumiony przez maskę.

--Broń? -- spytała Rachel.

--Najbardziej podstawowa. Te substancje wypalają płuca, skórę. -- Devon zerknął na anioła. -- Pióra.

Dill spojrział na zawartość kadzi przez podrapany wizjer maski. Powietrze, które wdychał przez cienkie rurki, miało ostry, lekko metaliczny smak. Czuł się niepewnie na chybotliwej kładce. Wystarczyło za bardzo się wychylić...

W drzwiach do następnej sali Devon zatrzymał się i powiedział:

--Dział badań. Nie zdejmujcie masek i, proszę, nie dotykajcie niczego.

Weszli do laboratorium, mniejszego niż fabryczne hale. Całą powierzchnię szerokich blatów roboczych zajmowały szklane zlewki i rurki. Chemicy nosili fartuchy równie brudne i poplamione jak rzeźnicy. Pochłonięci pracą, nie zwracali uwagi na gości. Odmierzali, nalewali, mieszały roztwory i robili notatki w dużych księgach. Ogromną drewnianą karuzelę umieszczoną na środku pomieszczenia wypełniały niezliczone szklane menzurki zatkane korkami.

Dill podszedł do karuzeli i zobaczył, że każda probówka zawiera kilka kropel czerwonego płynu.

--Co to jest? -- zaciekawiała się Rachel.

--Choroby -- odparł krótko Devon. Dill wstrzymał oddech.

--Te roztwory wywołują gorączkę, wysypkę, influencę, żółtaczkę, anemię. Inne sprzyjają infekcjom, osłabieniu kości, powodują obrzęki i rany albo nawet bezpłodność i wady dziedziczne.

--Bezpłodność? -- Rachel wytrzeszczyła oczy. -- Wady dziedziczne?

--To nadal nowa nauka. Używamy głównie trucizn. Ale niektóre pochodne

substancji, które tu widzicie, już były testowane na polu bitwy.

--Przeciwko plemionom?

--To cię przeraża?

Hael przesunęła spojrzeniem po stojakach.

--Wiedziałam o truciznach, ale te choroby... wydają się okrutne, nienaturalne.

Devon się zaśmiał.

--Natura jest okrutna, a czyż my nie jesteśmy jej częścią? Nasza wola to też produkt natury, więc tego, co robimy, nie można nazwać czymś nienaturalnym. --

Truciciel przeniósł wzrok na Dilla. -- A ty co myślisz? Masz coś przeciwko wykorzystaniu naszej wiedzy w ten sposób?

--Myślę, że niektóre kwestie lepiej zostawić bogu -- odparł Dill.

Devon klasnął w dłonie.

--Oczywiście -- powiedział, przechylając głowę. -- Masz rację. A teraz pozwólcie, że pokażę wam moją chlubę. -- Z szuflady wyjął rękawice, podobne do tych, które nosili chemicy, i wręczył je Rachel i Dillowi. -- Bądźcie tak dobrzy i włóżcie je, bo przechodzimy do sali trucizn.

Pierwsze pomieszczenie nie było takie, jakiego spodziewał się Dill. Powietrze pachniało solą. Na podłodze falowało bladozielone światło padające z akwariów wbudowanych w ściany. Devon zdjął maskę. Po chwili wahania Rachel i Dill zrobili to samo. Ruszyli wzdłuż zbiorników, podziwiając stworzenia umieszczone za szkłem.

--Najbardziej śmiertelne trucizny pochodzą od istot znalezionych w morzach tego świata -- wyjaśnił Devon. Zatrzymał się przed jednym z akwariów. W środku wily się gady w żółte i zielone pasy. -- Pręgowane węże z rafy Ordan. Wystarczy jad z jednego ukąszenia, żeby zabić setkę ludzi.

Dill przez chwilę obserwował morskie węże pelzające po piasku. W pewnym momencie nieświadomie dotknął szklanej ściany dłonią w rękawicy. Jeden z gadów zaatakował ją błyskawicznie. Anioł gwałtownie cofnął rękę.

--Tutaj, wśród tych koralu, jeśli uważnie się przyjrzycie, może zobaczycie papugoośmiornicę. -- Devon wskazał następny zbiornik. -- Teraz nas obserwuje. Zza koralu wyglądało, nie mrugając, duże czarne oko z niebieską obwódką.

--Są inteligentniejsze od kotów -- powiedział Devon. -- Przez krótki czas mogą przeżyć bez wody. Tego osobnika przyłapaliśmy na nocnych wycieczkach po pokoju, aż w końcu musieliśmy zapieczętować akwarium. Miał apetyt na tamte krewetki, które trzymamy w pojemnikach z karmą.

Zastanawiając się, co jeszcze mogło uciec z akwariów, Dill z niepokojem spojrział na posadzkę.

Pokonanie całej długości pomieszczenia zabrało im trochę czasu, bo Devon zatrzymywał się przy każdym zbiorniku i wyjaśniał, co jest w środku. Dill dowiedział się o niegojących się pęcherzach wywoływanych przez kolce pelzacza i o powolnej, bolesnej śmierci rybaków ukąszonych przez wdowie węgorze złapane w sieci. Podziwiał bladą, kulistą meduzę z mnóstwem upiornych macek. Były tam również wielkie ślimaki z nakrapianą niebieską skórą, morskie anemony, jaskrawo ubarwione galaretowate stworzenia o nieokreślonym kształcie i opancerzone istoty podobne do stonóg, najeżone kolcami.

Gdy wreszcie Devon uniósł zasłonę znajdującą się na końcu sali, ich oczom ukazało się kolejne pomieszczenie pełne szklanych zbiorników. Ten pokój był jaśniejszy, ale cuchnął stęchlizną. W powietrzu unosiły się trociny. Przez wysoko umieszczone świetliki wpadały smugi słońca, oświetlając ciemne kształty skulone za szkłem. W kącie sali znajdowała się nisza z półkami, na których piętrzyły się bele delikatnego materiału. Jedna leżała rozłożona na stole.

--Stawonogi -- wyjaśnił Devon. -- Trucizny, które tutaj ekstrahujemy, nie są bardzo silne, ale mają swoje zastosowanie. Śmierć odwleczona w czasie jest bardziej pożądana niż natychmiastowa. -- Spojrzał na Hael. -- Przypomina mi się wypadek kapitana Mooreshanka na półwyspie Towerbrack.

Rachel pokiwała głową.

--Dopiero uczymy się nasączać jadem pająka jedwabne nici snute przez jego kuzynów -- mówił dalej Truciciel. -- Ubiory uszyte z takiej delikatnej tkaniny są piękne, ale śmiertelnie niebezpieczne. -- Uśmiechnął się. -- I zyskowne, mam nadzieję.

Za kolejną zasłoną znajdowała się trzecia sala trucizn, oranżeria, w której panował tropikalny upał. Przez wysokie paprocie przesączało się z góry zielone światło, z rur biegnących pod dachem padała lekka mgielka. Powietrze przesyciło mocne wonie.

--Flora -- powiedział Devon. -- Niczego nie dotykajcie. Niektóre kolce mogą przebić rękawice ochronne. Uważaj na skrzydła.

Tym razem mijali orchidee o woskowych liściach, liany oplecione wokół mokrych pni, winorośle z jasnymi kwiatami, zwisające jak liny. Dillowi sphywał po karku pot.

--Te rośliny pochodzą z Peryferii: z wysp Loom i Wulkanicznej za Żółtym Morzem --ciągnął Devon. -- Są wśród nich bardzo rzadkie okazy, bardzo delikatne.

Coś zaszeleściło w kępie liści. Rachel natychmiast sięgnęła po miecz, ale Devon ją powstrzymał.

--Mięsożerna roślina -- wyjaśnił. -- Wyczuwa naszą obecność. Zwabia ofiary, trzęsąc się i w ten sposób imitując odgłosy skradania się małego zwierzęcia przez poszycie. Ma wokół podstawy trujące kolce, tak że drapieżnik, który przyjdzie sprawdzić, co to za hałas, już nie ucieknie. Martwe stworzenia użyźniają glebę wokół rośliny, a zapach gnijącego mięsa przyciąga kolejną zdobycz.

--Nigdy o czymś takim nie slyszalam -- mruknęła Rachel. Devon zmierzył ją wzrokiem.

--W naturze oszustwo to powszechny sposób na zdobycie pożywienia. Po wyjściu z oranżerii Truciciel zaprowadził ich do chłodnego wnętrza strzelistej wieży. Spiralne, wąskie schody biegły wzdłuż kolistych ścian na niebotyczną wysokość. Obok nich pięły się w górę półki wyciosane w kamieniu, zapełnione setkami ciemnych butelek. Na dole znajdował się wielki stół roboczy zastawiony zlewkami, rurkami, flakonami kolorowych płynów i proszków. Były tam również moździerz i tłuczki różnej wielkości, mosiężne palniki, łapy laboratoryjne i stojak z metalowymi klatkami, po których z piskiem śmigwały szczury.

--Tutaj testujemy nasze trucizny -- powiedział Devon.

--Na szczurach? -- domyśliła się Rachel.

--Początkowo.

Dill podążył wzrokiem w górę schodów, które wyglądały, jakby nie miały końca.

--Ile trucizn tutaj trzymacie? -- zapytał.

--Wszystkie -- odparł Devon, wskazując na półki. -- A teraz, przyjaciele, zakończymy naszą wycieczkę. Muszę dziś po południu dokończyć ważny eksperyment. -- Posłał im ciepły, czerwony uśmiech. -- Ale, proszę, nie krępujcie się mnie odwiedzić, jeśli przyjdzie wam chęć pogłębienia wiedzy na temat mojej pracy.

Jakiś czas później Dill i Rachel siedzieli na pomoście nad Kuchniami Trucizn i patrzyli, jak dym snujący się z kominów opada w przepaść. Nad otchłanią rozbrzmiewało słabe, rytmiczne pobrząkiwanie. Asasynka zwiesiła nogi między prętami balustrady, odrywała duże płaty rdzy z żelaznych poręczy i rzucała je w ciemność.

--Jak myślisz, co jest tam na dole? -- zapytała nagle. Dill popatrzył na nią ze zdziwieniem.

--Oczywiście Ulcis -- powiedział. -- Miasto Deep.

--Naprawdę w to wierzysz? We wszystko, co mówią kapłani? W miasto umarłych?

Zigurat? Ogród Kości? Armię szykującą się do odzyskania nieba?

--A ty nie?

--Kiedyś tak. -- Rachel przesunęła palcem po zardzewiałym żelazie. -- Teraz nie jestem pewna. Wszyscy czekają na coś lepszego, nawet jeśli to oznacza czekanie na śmierć. A wcale nie jest pewne, że istnieje coś lepszego, prawda? -- Zerknęła na niego z ukosa i szybko odwróciła wzrok. -- Spine działają jako ręka boga, ale nie sądzę, żeby nawet zahartowani asasyni słyszeli jego głos. Im bliżej poznaję moich kolegów, tym bardziej nieswojo się przy nich czuję.

Dill przelknął ślinę. Czyżby Rachel Hael nie została właściwie przeszkolona?

--Nie pozwoliłaś, żeby cię zahartowali? -- odważył się zapytać.

Asasynka wzięła głęboki wdech.

--Boże, myślisz, że nie chciałam? Uwolnić się od tego wszystkiego jak od fizycznego bólu? -- Przycisnęła dłonie do czoła. -- Ale to nie zależy ode mnie. Teraz głową rodziny jest mój brat, a on nigdy nie podpisze zgody. Chce mnie ukarać, bo robię to, czego on nie potrafił. Mogę zabijać i potem spokojnie z tym żyć. Wbić w człowieka nóż i patrzeć, jak się wykrwawia. -- Odchrząknęła. -- W pewnym sensie czyni to ze mnie potwora jeszcze gorszego od Carnival. Podobno ona po każdym morderstwie zadaje sobie rany, żeby się ukarać i ulżyć cierpieniu.

Dill zmarszczył brwi.

--Czy to nie powoduje jeszcze więcej bólu?

--Są różne jego rodzaje -- odparła Rachel. -- Czasami jeden może przyćmić drugi. -- Spojrzała na swoje zabandażowane ręce. -- Wszystkie moje blizny są pamiątką po ranach zadanych przez innych. Nie potrzebuję kaleczyć się sama. Może więc nie zasługuję na hartowanie? Pragniemy igiel, bo oznaczają śmierć bez strachu przed śmiercią. -- Zaśmiała się sucho. -- Zamiast na nią Spine powinni polować na mnie.

Dill przyjrzał się bandażom Rachel i poczuł niepokój.

--Walczyłaś z nią?

Hael wzruszyła ramionami.

--Skąd ona się wzięła?

--Prosto z Irilu, jeśli wierzyć kapłanom. To demon, przysłany, żeby gromadzić

dusze dla Labiryntu. Inni twierdzą, że wyszła z otchłani razem z Callisem i Dziewięćdziesięcioma Dziewięcioma. Kiedy skończyło się anielskie wino, zaczęła zabijać, żeby przetrwać. -- Rachel zapatrzyła się w przepaść. -- Kiedyś sądziłam, że opowieści o niej są przesadzone. Uważałam, że Carnival zabija, ale nie zabiera dusz. Widziałam jednak zbyt wiele truchel po Nocy Blizn, widziałam, jak ona się porusza. Jest zbyt szybka, zbyt silna. A jej oczy... tyle w nich wściekłości, głodu. Zawsze są czarne.

--Zdołasz ją powstrzymać?

--Wątpię.

--Więc dlaczego próbujesz? Gorzki uśmiech.

--Bo jestem Spine.

Milczeli przez jakiś czas. Nad Kuchniami Trucizn płomienie to buchały z hukiem, to przygasaly. Z kominów wydobywały się gęste kłęby dymu, pęczniały i opadały w postaci popiołu. Słońce chyliło się ku krawędzi otchłani. Przez toksyczną mgłę niebo wyglądało jak posiniaczone i chore.

Rachel oderwała następny kawałek rdzy i wrzuciła go w czeluść.

--Były ekspedycje. No wiesz, na dół.

Dill zrobił zdziwioną minę.

--Sekretne -- dodała Rachel. -- Świątynia o nich nie wiedziała. Ludzie kradli sterowce, robili balony, konstruowali dziwne skrzydlate wehikuly i inne wynalazki.

Potem wyprawiali się na dół.

--Co się z nimi stało?

--Nikt nie wrócił.

Dill zapatrzył się w mrok. Nawet w świetle wczesnego wieczoru ciemność otchłani przyprawiała go o lęk. Rachel nadal wrzucała do niej płatki rdzy i obserwowała, jak spadają, tańcząc niczym maleńkie liście. Po drugiej stronie przepaści zawyla syrena i od wieży cumowniczej pod Kuchniami Trucizn oderwał się statek wojenny, który uzupełniał tam paliwo. Spłynął łagodnie w dół, a następnie wychynął z cienia, wyciągany na linach. Dill słyszał dalekie zgrzytanie bloków i okrzyki dokerów. W końcu wielki sterowiec, zwolniony z uwięzi, zaczął się wznosić z głębokim rykiem ponad dźwigi, łańcuchy i słupy dymu.

Oboje patrzyli, jak obraca się wolno, czarny na tle zachodzącego słońca.

Po chwili Rachel wstała i przechyliła się przez balustradę. Żelazna barierka zatrzeszczała pod jej ciężarem.

--Złapiesz mnie, jeśli spadnę? -- zapytała, unosząc stopy i kładąc się brzuchem na poręcz.

Dill zerwał się pospiesznie.

--Nie umiem dobrze latać.

--Próbowałbyś mnie ratować? -- Wychyliła się jeszcze bardziej. Balustrada znowu zaskrzypiała.

Dill zrobił krok w stronę Rachel.

--Proszę, to niebezpieczne.

--Próbowałbyś, nawet gdybyś wiedział, że mnie nie uratujesz? -- drażyła asasynka.

--Tak.

**Rachel postawiła stopy na kładce, ale nie odwróciła się do Dilla.
--Może i tak -- powiedziała cicho.**

ROZDZIAŁ 13 LIGA SZNURÓW

Samotna pochodnia rzuciła czerwony blask na zardzewiałe blachy i wyblakłe drewno byle jak skleconych domów Ligi Sznurów. Nędzne budy wisiały przekrzywione w swoich kołyskach, połączone z chodnikiem cienkimi deskami. Światła Deepgate opadały tuż za linami i ponownie wznosiły się w oddali, przesłonięte przez sylwetę świątyni.

Fogwill obserwował ich refleksy na czarnej zbroi kapitana Claya, podczas gdy świątynny gwardzista rozglądał się z niesmakiem. Deski trzeszczały pod jego wielkimi okutymi buciorami.

--Jesteś pewien, że to tutaj? -- zapytał Crumb. Clay wciągnął nosem powietrze i zmarszczył nos.

--Tak, sądząc po smrodzie.

Fogwillowi nie trzeba było tego mówić. W pobliżu coś gniło. Może zdechły szczur? Niestety, Clay nie pozwolił mu przed wyjściem użyć perfum. Na szczęście sutanna zachowała odrobinę ulubionego zapachu Crumba, ale to nie wystarczyło, żeby zabić odór.

--Możesz już wracać -- powiedział. -- Stąd sam trafię.

--To jest Liga, adiunkcie -- przypomniał, opierając się na pice. -- Ten sieciarz omal nie udusił jednego z moich ludzi. Brudny, zły, wielki paskudny łotr. Nie ufałbym mu za grosz.

--Mimo to porozmawiam z nim sam. Twoja obecność tylko bardziej by go rozgniewała. Znajdę drogę powrotną.

Fogwill natychmiast pożałował tych słów.

Po chwili wahania Clay odwrócił się, kręcąc głową, i ruszył z powrotem po kładce, trzymając pikę poziomo, żeby zachować równowagę. Pomost zapadał się przy każdym kroku, liny naprężały się i skrzypiały.

Zwykle sznury, nawet nie kable. Fogwill trzymał się mocno poręczy i choć starał się nie patrzeć w nieprzenikniony mrok, otchłań przyciągała jego wzrok jak magnes. Zamknął oczy.

Kiedy pomost znieruchomiał i mdłości minęły, adiunkt stanął przed pudłem zbitym z dykty i blachy, które najwyraźniej służyło jako dom. Pojedyncze okno było ciemne, wewnątrz ani śladu życia.

Fogwill przeszedł pod uliczną liną, która podtrzymywała tę stronę chodnika, i zmierzył wzrokiem cienką deskę prowadzącą nad czeluścią do frontowych drzwi. Miał jakieś cztery stopy do przejścia, a do przytrzymywania tylko dwa przegniłe sznury. Nic, co uratowałoby przed upadkiem w ciemność. W dole nie widział żadnej sieci.

Przecież musi tam być. Nawet tutaj. Takie jest prawo.

Ta myśl wcale nie dodała mu otuchy, kiedy sprawdzał nogą wytrzymałość kładki. Wydała nieprzyjemne skrzypnięcie. Może powinien zawołać o pomoc? I wyjść na przerażone kociątko, którym i tak był? Bardzo sprytnie. Zresztą okrzyk mógłby obudzić sąsiadów, a tego Fogwill raczej by nie chciał. Pozostawało mu jedynie pokonać przeszkodę. Wziął głęboki wdech i ruszył przed siebie, mocno ściskając kołyszące się liny. Nawet w nikłym świetle widział na palcach białe ślady po zdjętych pierścieniach. Deska uginała się pod jego ciężarem, kiedy cal po calu przesuwał się ku jej środkowi.

Przejście czterech stóp zabrało mu tyle samo czasu, co droga ze świątyni, a kiedy dotarł do drzwi, cały się trząsnął. Musiał zebrać resztki odwagi, żeby oderwać rękę od bezpiecznej liny i zapukać.

Żadnej reakcji.

Fogwill zaklął cicho. Szkoda, że nie kazał Clayowi poczekać. Po zmierzchu nie jest rozsądnie włóczyć się samotnie po tej części Deepgate.

Zapukał ponownie, tym razem mocniej.

--Zamknięte! -- ryknął w środku mężczyzna.

Fogwill nachylił się do drzwi i odezwał najciszej, jak się dało.

--Możemy porozmawiać przez chwilę?

--Precz!

Fogwill drgnął. Postawił na nogi całą ulicę.

--Proszę, to pilne.

Sąsiednie domy nadal były ciche i ciemne. Pochodnia wisząca nad środkiem pomostu skwierczała. Fogwill chciał znowu zapukać, ale drzwi uchylily się ze skrzypnięciem. W środku nie paliło się światło. Adiunkt nachylił się do szczeliny i wyszeptał pośpiesznie:

--Musimy porozmawiać. Chodzi o pańską córkę.

--Zostaw mnie w spokoju, cholerny kapłanie. Pijawka ją zabiła. Drzwi zatrzęsły się przed samym nosem Fogwilla.

--Nie -- zaprotestował.

Usłyszał ruch i drzwi znowu się uchylily. Postanowił wykorzystać okazję.

--Nie wierzę, żeby Carnival była odpowiedzialna za jej śmierć.

Tym razem drzwi otworzyły się szerzej i z cienia wyłoniło się najbrzydsze oblicze, jakie Fogwill w życiu widział. Z trudem stłumił okrzyk. Właściciel tej twarzy -- tak, bo to była twarz, kiedy jej się lepiej przyjrzał -- zerknął na ulicę, po czym wbił wzrok w kapłana. Pociągał nosem i węszył.

--Cuchniesz -- stwierdził.

Ulga Fogwilla, że wreszcie zszedł z niebezpiecznej kładki, trwała krótko. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, znalazł się w całkowitej ciemności. Przez jedną straszną chwilę myślał, że popełnił fatalny błąd, przychodząc tutaj. Gdyby został zaatakowany przez tego draba, nie byłby w stanie się obronić. Clay ostrzegał go, że ten człowiek potrafi być gwałtowny i z całą pewnością nie jest przyjacielem Kościoła. A jeśli go zadźga? Albo jeszcze gorzej? Niech Bóg mu dopomóż, może nawet zostać zniewolony.

Lecz w tym momencie gospodarz zapalił lampę naftową i w wąskim korytarzyku z dykty i cienkich blach zrobiło się jaśniej. W żółtawym blasku pan Nettle z kwaśną miną zmierzył wzrokiem adiunkta Crumba.

Sieczarz był ogromny. W podartym szlafroku wydawał się większy niż świątynny gwardzista w pełnej zbroi. Blokował wąskie przejście jak góra. Rysy miał toporne i grubo ciosane, jakby rzeźbiarz jeszcze nie zaczął cyzelować szczegółów. Spłaszczony nos kiedyś źle się zrósl po złamaniu, pół twarzy pokrywała szczecina szorstka jak opilki żelaza, a resztę siniaki. Policzki były zapadnięte. Zaczerwienione i podsiniałe oczy lypały groźnie na nieproszonego gościa.

Pan Nettle wyglądał, jakby nie spał ani nie jadł od tygodnia. Sprawiał wrażenie wycieńczonego. I cuchnął jak cap.

--Tędy -- burknął.

Ruszył korytarzem, przechodząc nad paczkami papieru i pudłami pełnymi butelek. W pewnym momencie musiał stanąć bokiem, żeby się precyzyjnie przemieszczać obok stosu skrzynek ustawionych jedna na drugiej. Cały dom drżał, jakby zaraz miał się rozpaść. W różnych dziwnych miejscach, gdzie popadnie, sterczały gwoździe użyte do wzmocnienia budy kawałkami drewna albo blachy. Przyjrząwszy się bliżej, Fogwill zauważył, że ściany też zostały zrobione z odpadów. Jedną część drzwi szafy na ubrania wykorzystano jako przepierzenie, drugą do uzupełnienia sufitu. Rama starego rozbitego lustra wypełniała odstęp między dwoma słupami. Zardzewiałe rury i połamane drabiny służyły jako legary podłogowe i belki stropowe. Pan Nettle najwyraźniej nie znalazł się na ciesielstwie. Trudno byłoby tu znaleźć choć jedno proste złącze. A to co znowu? Czyżby tarcza świątynnego strażnika? Fogwill siedł za gospodarzem, trzymając ręce przy sobie, żeby przypadkiem niczego nie dotknąć. Starał się nie myśleć o szczurach.

Pod wyblakłą reklamą miodowego olejku do mycia „Withworth” -- Fogwill był prawie pewien, że pan Nettle nigdy nie używał tego produktu -- leżały w nieładzie puste butelki po whisky, które stoczyły się po pochylej podłodze.

Gospodarz zdjął kilka pudeł ze starego krzesła i rzucił je na stertę śmieci.

--Siadaj -- warknął.

Fogwill przycupnął ostrożnie na brzegu krzesła, którego oparcie było niczym więcej jak obłupanym szpikulcem. Zupełnie nie tak wyobrażał sobie dom sieciarza. Spodziewał się raczej czegoś w rodzaju antykwariatu: solidne meble, rzadkie przedmioty wyłowione z sieci, odnowione i przeznaczone do ponownej sprzedaży. Na pewno nie sam papier, butelki, blaszane puszki i szmaty. W całym tym bałaganie na uwagę zasługiwało jedynie kilka rzeczy: marmurowy zegar z jedną wskazówką, raczej nie znaleziony w tej części miasta; duże mosiężne tryby, które śmiało mogłyby pochodzić z auroletyskopu prezbitera; parę kolorowych obrazów ze scenami miejskimi, namalowanych na kawałkach dykty i przybitych gwoździami do ściany. Ale większość to były zwykłe śmieci zawalające pokój od podłogi do sufitu. Jak można mieszkać w takim chlewie?

Pan Nettle odstawił lampę i skrzyżował ręce, czekając, aż przybysz się odezwie.

Kapłan wygładził sutannę, prostą i czarną, do włożenia której namówił go Clay.

--Mogę spytać, jak pańska córka zarabiała na życie? -- zaczął łagodnym tonem. Pan Nettle się skrzywił.

--Była malarką -- odburknął w końcu. Fogwill zerknął na bohomazy.

--Ona je namalowała? Sieciarz kiwnął głową.

--Doskonała robota -- pochwalil Fogwill. -- Miała dobre oko.

--Pensa za sztukę.

Adiunkt zastanawiał się przez chwilę, czy dla dobra sprawy nie powinien kupić choć jednego obrazu, ale przypomniał sobie, że wszystkie pieniądze zostawił w świątyni, więc postanowił zmienić temat.

--Panie Nettle, wie pan dokładnie, gdzie zniknęła pańska córka?

Zamiast odpowiedzieć, gospodarz sięgnął za siebie po nierówny kwadrat dykty. Fogwill zobaczył, że to niedokończone dzieło, pierwszy szkic, równie okropny jak pozostałe. Tak czy inaczej, nie było wątpliwości, co przedstawia.

--Pracowała nad tym obrazem?

--Znalazłem go w sieci. Najpierw tam szukałem.

Przyjrząwszy się malowidłu, Fogwill rozpoznał okolicę i charakterystyczne kominy Kuchni Trucizn. Oczywiście to nie był żaden dowód. Choć wnioski nasuwały się same, nie wystarczyłyby, żeby oskarżyć Devona, nawet w połączeniu z podejrzeniami adiunkta. Carnival zabijała we wszystkich częściach miasta. Crumb musiał zadać następne pytanie.

--Miała siniaki na obu rękach? Pan Nettle zmrużył oczy.

--Czy jej ręce były posiniaczone? -- powtórzył Fogwill. Sieciarz przyglądał mu się przez chwilę.

--Tak.

Nasz morderca. Pan Nettle nie trzymał zamordowanej córki na lodzie. Fogwill rzucił spojrzenie na inne obrazy. Miejskie pejzaże w tych samych jaskrawych kolorach. Najwyraźniej dziewczyna miała dziwne upodobanie do żółtego i czerwonego, bo tylko tych barw używała, niezależnie od tematu.

--Znaleźliśmy inne ciała -- wyjaśnił. -- Rany są takie same, ale siniaki... To nie było dzieło Carnival. Ona wieszka swoje ofiary za stopy.

--Kto to zrobił?

--Nie wiemy.

Gospodarz przysunął twarz do twarzy kapłana.

--Ale podejrzewacie kogoś? -- W jego tonie brzmiała groźba. Mięśnie rąk sieciarza naprężyły się jak liny podtrzymujące dom. Fogwill skulił się wewnętrznie, ale nie uciekł wzrokiem.

--Nie.

Pan Nettle przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego. Siniaki na jego twarzy niemal pulsowały.

Crumb starał się zachować spokój, choć za uchem spływał mu strumyczek potu. W oddechu mężczyzny wyczuł whisky. Dlaczego tak pochopnie odprawił Claya?

W końcu gospodarz odsunął się i warknął:

--Wynoś się!

Fogwill pokonał chybottliwą kładkę w dwóch krokach i popędził w stronę świątyni, aż furkotała za nim szata. Chodnik zapadał się i unosił pod jego stopami, ale on nie zwalniał. Utrzymał tempo do samego końca.

Pan Nettle ubrał się szybko i wrzucił do plecaka narzędzia: linę, hak, młotek, kolki, krążek linowy, lampę sztormową i krzesiwo. Do tych rzeczy dołożył następnie butelkę z wodą, parę sucharów, kawałek boczku i torebkę rodzynek. Wsunął tasak za pas, wytoczył wózek Kowala na chodnik i zaczął ładować na niego surówkę. Pomoc, której potrzebował, była droga. Może żelazo wystarczy na pokrycie kosztów, a może nie. Niewykluczone, że będzie musiał zapłacić dużo więcej.

Nagły podmuch zimnego powietrza z otchłani wstrząsnął Ligą Sznurów. Rozkolysane budy zderzyły się ze sobą. Belki rąbnięły w ściany z dykty, gwoździe zadrapały blaszane dachy. Nawet Kolonie poruszyły się w dole. Płomienie lamp gazowych zadrżały. Tylko świątynia stała nieruchomo, czarna i ogromna, a jej okna wyglądały jak strumień rozżarzonych węgielków zatrzymany w pędzie wysoko ponad sercem miasta.

Tłusty mały kapłan skłamał. Kościół kogoś podejrzewał. Pan Nettle to czuł. Przesunął dłonią po spoconej twarzy, westchnął przeciągle. Nie Carnival? Może kapłani coś z tym zrobią, a może nie. Nieważne. On nie zamierzał czekać z założonymi rękami. Mniejsza o cenę.

Czarna magia nie istniała. Wszyscy to wiedzieli. W tawernach i spelunkach Kolonii ludzie na samą sugestię reagowali szczerym śmiechem.

Ale bystry obserwator zauważyłby, że odrzucali ten pomysł zbyt skwapliwie, śmiali się zbyt głośno.

Kiedy wózek został załadowany do pełna, pan Nettle splunął na ziemię, zebrał siły i wyruszył na spotkanie z jedynym człowiekiem w Deepgate, który potrafił rozmawiać z piekłem.

Im dalej od domu pana Nettle znajdował się Fogwill, z tym większą siłą dręczyły go mdłości i zawroty głowy. Tutaj, jak wszędzie na obrzeżach miasta, odległość między głównymi łańcuchami była największa; biedniejsze dzielnice podtrzymywała mniej solidna pajęczyna lin, kabli i sznurów.

Wszystko się chwiało, trzęsło, jęczało. Drewno było wiecznie mokre. I ten okropny zapach. Jak w lazarecie pełnym ofiar zarazy. Cała ta okolica gnije. Jest śmiertelnie chora.

Sznury wyglądały tak, jakby miały zaraz pęknąć. Wystarczyłoby jedno cięcie nożem, żeby całą tę brzydką, brudną, śmierdzącą bandę posłać w otchłań. Fogwill bał się, że następny krok może być jego ostatnim. Nawet te sieci, które udawało mu się wypatrzeć w dole, nie dodawały otuchy. Były cienkie, przetarte i wyglądały na zbyt słabe, żeby utrzymać psa, a co dopiero jego korpulentne ciało. I jeszcze te ciemności. Nieliczne pochodnie rzucały na chodniki żółtawą poświatę, ale przez większą część drogi Fogwill był skazany na nikły blask księżyca i ani na chwilę nie wypuszczał z rąk linowych poręczy. Od Nocy Blizn minęło niedużo czasu i księżyc nadal był wąskim sierpem. Mieszkańcy Ligi rzadko wypuszczali się w nocy na ulice, ale brak lotrów i rzezimieszków stanowił niewielkie pocieszenie. Człowiek, z którym Crumb zamierzał się spotkać, był bardziej niebezpieczny od każdego z tamtych.

Kaleki taumaturg mieszkał na Moście Sparrow w Chapelfunnel. Wysoka drewniana konstrukcja wzniesiona na granitowej płycie spinała brzegi otchłani między Tanners Gloom po jej zachodniej stronie i starymi piecami do produkcji gazu węglowego wyrastającymi na wschodzie. Otwarty od góry i dostatecznie szeroki, żeby minęły się na nim dwa wozy, był kiedyś symbolem rozwijającej się dzielnicy przemysłowej. W dawnych czasach robotnicy ponad jego balustradami widzieli kanał wcinający się głęboko w Kolonie, mury z dobrego, mocnego krzemienia po obu stronach i dymiące kominy. Ale prosperity przyniosła bogactwo, bogactwo przyciągnęło ludzi, a ludziom były potrzebne domy. Teraz Most Sparrow miał wysokość czterech pięter. Zbudowano na nim domy, jedne na drugich jak dziecięce

klocki, i połączono łańcuchami przymocowanymi do wszelkich dostępnych kotwic. Strome dachy tworzyły nad nim nierówną linię. Na moście mieszkało jakieś czterdzieści rodzin, zanim osiedlił się tutaj Thomas Scatterclaw. Przez długi tunel pod domami nadal z turkotem toczyły się wozy wyladowane skórami albo stałą z rozebranych gazowni, zmierzające na targ w Chapelfunnel, ale teraz poruszały się w jednym rzędzie, i to tylko za dnia.

Pan Nettle spojrział na rusztowanie wzniesione przy zewnętrznych ścianach domów i

stwierdził, że w wielu miejscach się zapadło, a słupy i drabiny przegniły. W dachach ziały dziury, okna wychodzące na otchłań były wybite i ciemne. Tylko w jednym, wysoko, paliło się przyćmione czerwone światło.

--To żelazo?

Pan Nettle odwrócił się i zobaczył, że z tunelu wyjeżdża mężczyzna siedzący na niskiej platformie wyposażonej w koła. Wprawiał ją w ruch, odpychając się od ziemi zabandażowanymi rękami. Gdy się zbliżył, sieciarz zauważył, że nieznajomy ma nogi ucięte na wysokości kolan. Poza tym wyglądał na zdrowego i silnego. Miał szeroką, umięśnioną pierś i ręce dostatecznie silne, żeby skrócić kark koniowi. Jego lewe przedramię przecinały dwie głębokie blizny, jak po ranach od miecza. Panu Nettle przyszło do głowy, że kaleka mógł być kiedyś żołnierzem albo świątynnym gwardzistą.

--Wystarczy? -- spytał pan Nettle.

--Zależy, czego chcesz. -- Koła zapiszczały, gdy mężczyzna się zatrzymał. -- Ale w końcu, tak czy inaczej, będzie za mało.

--To ma być zagadka? Kaleka odchrząknął.

--Nazywam się Danning. Chcesz wiedzieć, co się stało z moimi nogami?

--Nie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

--Chcesz rozmawiać z panem Scatterclaw. Jest na górze. Ja wezmę żelazo.

--Może nie będzie umiał mi pomóc. Danning wzruszył ramionami.

--To nie moje zmartwienie. Tak już tutaj jest.

Sieciarz się zawahał. Surówka Kowala była dla mieszkańca Ligi fortuną, która wystarczyłaby na utrzymanie się przez sześć miesięcy albo więcej. Gdyby taumaturg nie potrafił nic dla niego zrobić, pan Nettle nie widział dla siebie żadnej przyszłości. A jeśli Scatterclaw zdoła mu pomóc? Taka przyszłość mogłaby okazać się gorsza niż żadna.

--Nie mogę decydować za ciebie -- powiedział Danning -- ale wydaje mi się, że już sporo zaryzykowałeś, przychodząc tutaj. -- Uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech.

--Pan Scatterclaw wie, że tu jesteś. A jeśli pan Scatterclaw wie, to wie też Labirynt.

Pan Nettle puścił dyszle wózka. Danning przekrzywił głowę.

--Drzwi obok czerwonego okna.

Odepchnął się, podjechał do wózka, złapał za dyszle i oparł je na szerokich barkach. Potem ruszył w stronę, z której przyjechał. Towarzyszyło mu teraz skrzypienie sześciu kół.

Rusztowanie chwiało się pod ciężarem rosłego mężczyzny, śliskie liny jęczały, przegniłe deski zapadały się, ale pan Nettle bez przygód dotarł do najwyższego pomostu. Pod nim wił się w blasku księżyca kanał Chapelfunnel, pocięty przez łańcuchy na wąskie skrawki ciemności. Przez wypaczone okno znajdujące się obok drzwi przesączało się czerwone światło, w środku było widać zamazane czerwone kształty. Pan Nettle schował plecak w cieniu i zapukał.

Usłyszał szorstki głos:

--Już jest. Ukryjcie się.

Sieciarz nie chciał się zastanawiać, do kogo albo do czego może mówić Thomas Scatterclaw. Na Moście Sparrow Iril otworzył wiele bram.

--Mamy towarzystwo! -- krzyknął Scatterclaw. -- Chcecie przerazić go na śmierć?

Zejdźcie mi z oczu. Wszyscy. Schowajcie się!

Pan Nettle długo czekał pod drzwiami, ale nie usłyszał nic więcej. Żadnych kroków. Żadnych głosów. Nic. Zapukał ponownie.

--Wejść -- rozległo się po chwili.

Za drzwiami pan Nettle zobaczył ścianę z tłuczonego szkła. Ostre jak brzytwa odłamki wszelkich kształtów i kolorów zostały naklejone na drewniane przepierzenia ustawione kilka stóp od wejścia. Wysokie na osiem stóp, tworzyły długi, wąski przedpokój, od którego odchodził tuzin innych korytarzy, również wyłożonych tłuczonym szkłem. Z krokwi zwisała czerwona lampa. Jej światło miało barwę krwi.

Labirynt? Taumaturg zbudował świątynię na cześć Irilu. Pan Nettle wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Musiał ustawić się bokiem, żeby nie rozedrzeć ubrania o odłamki. Labirynty, we wszelkiej postaci, były zakazane w Deepgate. Demony Irilu czerpały z nich moc. Niecałe dwa miesiące wcześniej pewnego złotnika z Ivygarths zawleczono przed Avulsiora za zrobienie broszki tak skomplikowanej, że

porównywano ją do korytarzy Irilu.

Ten labirynt był prawdziwy, solidny, skonstruowany z drewna i szkła. Gdyby Kościół go odkrył, kazałby spalić cały dom.

Pan Nettle dotarł do pierwszego rozwidlenia. Dwadzieścia stóp dalej korytarz kończył się ślepo, a od niego odchodziło sześć innych.

--Scatterclaw?! -- zawołał sieciarz.

--Tutaj.

Głos dochodził jakby ze wszystkich stron jednocześnie. Pan Nettle skrzywił ostrożnie w pierwsze odgałęzienie i ruszył przed siebie, starając się zapamiętać drogę. Na jednej ścianie zauważył odłamek szkła w kształcie sierpa, czarny w czerwonym świetle. Wrył go sobie w pamięci i na trzecim zakręcie zdecydował się pójść w prawo.

Na widok trzeciego korytarza, o długości co najmniej czterdziestu stóp, i wielu bocznych zmarszczył brwi. Z zewnątrz Most Sparrow nie wydawał się dostatecznie szeroki, żeby to wszystko pomieścić. Pan Nettle spojrzął w tył i odszukał wzrokiem odłamek w kształcie sierpa, po czym zagłębił się między zdradliwe ściany. Coś ukuło go w bark. Zatrzymał się i poczuł, że po plecach cieknie mu strużka krwi.

--Stać! Stać! Stać! -- wrzasnął Scatterclaw. -- Zostańcie tam, gdzie jesteście.

Wszyscy. On się nie zgubił. Nie zgubiłeś się, prawda, sieciarzu?

--Nie.

--Więc idź dalej.

Pot oblał czoło pana Nettle, ale nie odważył się podnieść ręki, żeby je wytrzeć. Ledwo wystarczało tu dla niego miejsca na zaczerpnięcie tchu. Następne przejście okazało się dwa razy dłuższe od poprzedniego. Ciemne szklane ściany lśniły. Wszystko było bez sensu: cały pokój nie mógł mierzyć więcej niż sześćdziesiąt stóp szerokości. Pan Nettle zerknął w górę i zobaczył lampę. Czy zawsze wisiała bezpośrednio nad jego głową? Miał już tego dość.

--Scatterclaw! -- krzyknął.

--Nie zwlekaj. Wiedzą, że tu jesteś.

--Kto?

Żadnej odpowiedzi.

Pan Nettle zaklął i ruszył dalej. Skręcił w lewo, a po pięćdziesięciu krokach w prawo. Kiedy spojrział w górę, lampa nadal była tuż nad nim. Cholerny taumaturg! Nie wystarczy, że zapłacił majątek w żelazie, żeby porozmawiać z tym człowiekiem? Teraz jeszcze musiał błądzić po tej pułapce. Był prawie zdecydowany, że wejdzie na ściankę działową i się rozejrzy albo tasakiem roztrzaska szkło.

Ale nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Thomas Scatterclaw nie należał do osób, które pan Nettle chciałby rozgniewać. Ludzie mówili, że przybył z kraju, gdzie oddawano cześć Irilowi. Przeprowadził się przez Żółte Morze, a jego podróż trwała sto czterdzieści lat. Gdy się tu pojawił, był szary i chudy jak szkielec. Powiadano, że przebił sobie wargi, uszy i oczy drzazgami z szubienicy, żeby móc rozmawiać z demonami, a kręgosłup gwoździami, żeby w czasie snu nie zwracać oczu ku niebu.

Sieczarz odczekał dwanaście oddechów i ruszył dalej. W lewo i znowu w lewo. Dwadzieścia kroków. W prawo. Dziesięć kroków. Znowu w prawo. Wszędzie te same wąskie korytarze, wciąż ta sama krwistoczerwona lampa nad głową. Czyżby go oszukano? Miał spędzić tutaj resztę życia? Wydawało mu się, że już od wielu godzin chodzi tymi korytarzami, omal nie szorując plecami i piersią po ostrym szkłe.

W końcu się zatrzymał.

Dziesięć kroków przed nim po lewej był otwór w ścianie, ale nie prowadził do następnego korytarza, tylko do większego pomieszczenia. Nawet stąd pan Nettle widział kolejne przepierzenie, ale nie było ono wyłożone szkłem. Ze znużeniem poszedł w jego stronę.

Pośrodku pudełkowego wnętrza o długości dwudziestu stóp, ograniczonego ściankami działowymi, siedział ze skrzyżowanymi nogami Thomas Scatterclaw. Każdy cal jego ciała zakrywała szata z kapturem w kolorze głębokiej czerwieni, ale pan Nettle zauważył wybrzuszenie materiału na plecach, tam gdzie nie powinno być żadnych wybrzuszeń. Na podłodze przed mężczyzną leżał zardzewiały kuchenny nóż i wyszczerbiona miska. Pełna krwi.

Pan Nettle odchrząknął i zapytał:

--Jesteś taumaturgiem?

--Weź nóż i otwórz sobie żyłę. -- Thomas Scatterclaw nie podniósł na niego wzroku. -- Dodaj swoją krew do krwi martwych.

--Po co?

--Zrób to szybko.

--Nie wiesz, czego chcę.

--Ja nie, ale Iril wie -- odparł Scatterclaw. -- Pospiesz się, bo są tu demony.

Pan Nettle się rozejrzył. Zniszczone drewniane przepierzenia, a poza tym zupełnie pusto. Żadnego dźwięku, żadnego skrzypienia desek. Taumaturg próbował wytrącić go z równowagi.

--Natychmiast -- warknął Scatterclaw.

Pan Nettle sięgnął po nóż i, nie zastanawiając się, naciął wierzch dłoni tuż za kciukiem. Krew zaczęła ściekać mu po ręce.

--Do miski -- rozkazał taumaturg. -- Szybko.

Sieczarz wykonał polecenie.

Kapłan Irilu zadrżał, pochylił się i wziął miskę. Pan Nettle zobaczył, że jego ręce są czarne i powykręcane, jakby były spalone, a palce zachodzą na siebie niczym ciasno splecione korzenie. Sam to sobie zrobił? Scatterclaw przechylił miskę i zaczął z niej pić. Wychyliwszy

całą zawartość, odstawił naczynie.

Sieciarz przyglądał mu się z odrazą.

--Nie zamykaj oczu -- ostrzegł Scatterclaw. -- Ani na chwilę. Rozumiesz? Wystarczy mrugnięcie, a wejdą ci przez oczy. Ale tylko wtedy, gdy nie będziesz ich widział. Próbują wkraść się do człowieka podstępem. Jeśli dostaną się do środka, nigdy nie opuścisz labiryntu. Zostaniesz tutaj uwięziony razem z nimi, aż przyjdzie po ciebie Iril.

--Z kim?

--Z Non Morai.

Pan Nettle rozejrzał się z niepokojem.

--Zobaczysz je, jeśli wyteżysz wzrok. I radzę ci patrzeć uważnie. Ciesz się, że nie jest ciemno, bo ciemność je ośmiela. Całe to nieszczęście na Cog Island wydarzyło się w nocy. To sprawka Non Morai. Brama do piekła przyciąga demony jak muchy.

Pan Nettle odniósł wrażenie, jakby światło w pokoju zgęstniało. Próbował coś dojrzeć przez czerwoną zasłonę. Ściany, podłoga i sufit przybrały ciemnoczerwoną, prawie czarną barwę. Nagle usłyszał za sobą szelest i obejrzał się gwałtownie. Nic. Doleciał go jedynie odór zepsutego mięsa. Kątem oka zauważył jakiś ruch, jakby coś starało się podkraść do niego niepostrzeżenie, ale kiedy odwrócił głowę, stwierdził, że niczego tam nie ma. Wyczuwał jednak aurę zła w tym pustym pomieszczeniu, tak silną, że jego serce zaczęło bić szybciej.

Thomas Scatterclaw oddychał przez chwilę wolno i głęboko, a potem przemówił głosem, który nie należał do niego:

--Ile was tu jest?

Za sobą pan Nettle usłyszał chór szeptów. „Jedenaście”. Obejrzał się, ale nic nie zobaczył.

--I jedna żywa dusza -- dodał Scatterclaw.

„Nasza”, syknęły głosy.

Thomas Scatterclaw albo demon, który go opanował, milczał przez dłuższą chwilę, po czym zwrócił się do pana Nettle:

--Twojej córki nie ma z nami. Zabrał ją żywy człowiek. Sieciarz zacisnął pięści.

--Kto?

--Jest chory. Hafe się o niego upomina.

--Hafe?

--Piekło czwartego anioła. Sale pełne brudu i trucizny. Zielone duchy, szczury i kwiaty.

Pan Nettle zmarszczył brwi. Labirynt próbował zamącić mu w głowie. Tak to bywa z Irilem.

--Kto to jest? -- zapytał.

Głosy opadły go ze wszystkich stron. „Zamknij oczy. Wpuść nas, to ci powiemy”.

Omali ich nie posłuchał. Przez jedno uderzenie serca wydawało mu się całkiem naturalne zamknięcie oczu i wpuszczenie głosów. Ale jakaś jego część stawiała opór.

--Kto to jest? -- powtórzył. Głosy zasyczały, warknęły.

--Devon -- powiedział Thomas Scatterclaw.

Dym unoszący się z kadzielnic rozstawionych wokół Studni Grzeszników tworzył pachnącą chmurę nad uciętymi głowami. Zajęte było dziewięć z dwudziestu pali. Napisy na dykcie głośiły,

że sześciu mężczyzn, dwie kobiety i dziecko to bluźniercy, czciciele Irilu albo szpiegów Heshette. Wszyscy zostali zdemaskowani przez Spine i doprowadzeni przed oblicze Ichina Samuela Teli, żeby dostąpić zbawienia na oczach tłumu. Ich ciała, jeszcze krwawiące, wrzucono do otchłani. Głowy nasadzone na pale miały świadczyć o skuteczności Spine. Fogwill patrzył na tę scenę łzawiącymi oczami i oddychał przez fałdy rękawa. Czy jego człowiek już tu jest? A może to on się spóźnił?

W głębokim cieniu dostrzegł blask fajki, który na chwilę podświetlił pociągłą, brudną twarz, a potem znowu zapadła ciemność. Crumb podszedł do swojego szpiega.

--Dobry wieczór, adiunkcie -- powiedział mężczyzna.

--Jakieś postępy? -- zapytał Fogwill.

--Nie. Pracuje do późna, jak zwykle.

--Udało ci się wymknąć bez kłopotów?

Mężczyzna zaciągnął się dymem z fajki. Jej płomyk oświetlił rzędy wąskich zębów, zapadnięte policzki i cienki nos.

--Wyszedłem zakurzyć. Połowa robotników tak robi. -- Uśmiechnął się szeroko. --

Zresztą kto by mnie zatrzymał? Brygadzysta od pieców? Boi się mnie. Mam nóż, a oni o tym wiedzą.

Fogwill zerknął na najbliższą głowę i skrzywił się z odrazą. Kruki już wydziobały kobiecie oczy i wargi.

--Dlaczego spotykamy się akurat tutaj? Nie cierpię tego miejsca.

--A ja je lubię. -- Między zębami szpiega przesączyl się dym. -- Te głowy do mnie przemawiają.

Fogwill próbował przelknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Ten człowiek był szalony.

--Co mówią? -- spytał mimo woli.

--Zdradzają sekrety -- odparł szpieg.

--Tutaj przelano krew -- powiedział adiunkt. -- To niebezpieczne. Bóg jeden wie, co się może czaić w pobliżu.

--Kadzielnice są pobłogosławione.

--Nigdy dość ostrożności. -- Fogwill dostrzegł kątem oka jakiś ruch i obejrzał się. Między łańcuchami biegło stworzenie podobne do psa, ale dużo większe. -- Widziałeś? Co to było? Duch?

Szpieg wzruszył ramionami. Crumbowi ów gest wydał się dziwnie niepokojący. Ten człowiek był kiedyś Spine, nie adeptem, tylko zwykłym rzeźnikiem. Na szyi zostały mu ślady po igłach; dowód, że mistrzowie próbowali go zahartować. Ale tutaj zlewały się ze sobą tak, że wyglądały jak tatuaż, nieusuwalne świadectwo porażki. Dość częsty przypadek, bo hartowanie nie zawsze kończyło się sukcesem. Niektóre umysły po prostu się załamywały.

Wyrzuceni z bezpiecznej świątyni, napiętnowani zabójcy nie żyli długo. Społeczeństwo ich odtrącało i było tylko kwestią czasu, kiedy jakiś pijany, ale sprawny rzezimieszek poczuje się przez kogoś obrażony.

--Dowiedziałeś się, panie, czegoś od sieciarza? -- zapytał szpieg.

--Jego córka zniknęła niedaleko Sierpa, w Depresji. Siniaki na rękach wskazują, że to nie była robota Carnival.

--Na to wygląda. -- Asasyn zaciągnął się dymem. -- Mam dalej szukać? Fogwill skinął

głową.

--A jeśli nic nie znajdę?

--Zgłosisz się jutro rano.

--A jeśli znajdę? Crumb się zawahał.

--Znasz wolę Boga. -- Te słowa same wypłynęły z jego ust, tak po prostu. Właśnie usankcjonowałem morderstwo.

Cokolwiek zawładnęło Thomasem Scatterclawem, teraz go opuściło, a on sam leżał nieprzytomny na podłodze. Jednakże głosy stawały się coraz donośniejsze, śmielsze.

„Dlaczego nie zamkniesz oczu? Tylko na chwilę. Światło jest takie ostre”.

W pokoju rzeczywiście było bardzo jasno, ale pan Nettle nie zamierzał ulec podszeptom. Gniew dawał mu siłę do ignorowania demonów, jeśli to one go osaczały.

Abigail zabił Devon, a on był śmiertelny. I pan Nettle mógł sprawić, żeby cierpiał. Jeszcze nie wiedział, jakiego rodzaju ból mu zada. Ale postanowił, że Truciciel będzie krzyczał i błagał o życie, zanim noc dobiegnie końca.

„Możemy ci pomóc. Zamknij oczy. Albo stłucz lampę. Właśnie, zbij ją. Pomożemy ci, jeśli będzie ciemno”.

--Zamilczcie!

Musiał pomyśleć. Nadal był uwięziony w labiryncie taumaturga i nie miał pojęcia, jak się z niego wydostać. Nie uśmiechało mu się powtórne przeciskanie się między ścianami z tłuczonego szkła, z demonami na karku. Lepiej znaleźć inną drogę.

„Jest inna droga. Bezpieczna. Stłucz lampę, a my ci ją pokażemy”.

Pan Nettle rozejrzał się po pokoju. Krokwie znajdowały się zbyt wysoko, żeby zdołał ich dosięgnąć, a deski podłogowe wyglądały na zbyt solidne, żeby dało się przez nie przebić. A gdyby wspiał się na jedno z przepierzeń i poszedł górą? Zbeształ się w myślach za to, że zostawił plecak pod drzwiami.

Coś zimnego dotknęło jego ucha. Machnął ręką.

Trafił powietrze.

Głosy tańczyły wokół niego, śmiały się.

Pan Nettle wykonał powolny obrót. Wszędzie dostrzegał ruch, ale nie mógł dokładnie przyjrzeć się niewyraźnym, zamazanym kształtom, bo powietrze wokół nich migotało. Widział cienie, które nie były cieniami, kiedy na nie patrzył. Postacie, które się rozmywały albo zamieniały w wiry na powierzchni ścianek działowych.

Lampa nad jego głową zamrugwała i przygasła i wtedy pan Nettle zobaczył chudych mężczyzn o białych twarzach i czerwonych uśmiechach. Otaczali go kręgiem.

Podbiegł do najbliższego przepierzenia, chwycił się jego górnej części i podciągnął.

Ostre szkło wbiło mu się w palce. Podniósł kolano i ukląkł na szczycie ścianki. Z góry labirynt był mniejszy, niż wydawał się z dołu. Miał nie więcej niż pięćdziesiąt stóp kwadratowych powierzchni, ale jego zawilóść zdumiała pana Nettle. Wąskie korytarze łączyły się i rozchodziły we wszystkie strony, tworząc spirale, litery L i S. Niezliczone ślepe uliczki. Całość została wyłożona szkłem w kolorze krwi. Dwadzieścia kroków dalej drzwi, przez które wszedł, obok nich jedyne okno. Gdyby zachował ostrożność, mógłby górą dotrzeć do wyjścia. Wyprostował się powoli. Górna część przepierzenia miała zaledwie dwa cale szerokości.

„Oszust!” -- zawyły głosy. „Oszust, oszust, oszust!”.

Pan Nettle przeszedł na sąsiednią ściankę, zachwiał się. Miał wrażenie, że powietrze na niego napiera, jakby próbowało strącić go na dół. Rozłożył ręce. Przez kilka uderzeń serca stał z drżącymi kolanami, pewien, że zaraz upadnie. Udało mu się jednak odzyskać równowagę. Wziął głęboki wdech i zrobił następny krok. Przepierzenie jęknęło pod nim i zachwiał się, a jemu żołądek podszedł do gardła. Serce waliło mu młotem. Szklany labirynt błyszczał pod nim, jakby szczyrzył oślinione, ostre zęby.

„Oszust, oszust, oszust”. Furia demonów była namacalna. Lodowate oddechy muskały jego twarz. Niewidoczne istoty miały się wokół niego rozwścieczone. Przeszedł na następną ściankę. Drewno zatrzeszczało pod jego ciężarem, ale wytrzymało. Pan Nettle chwiał się przez jedną straszną chwilę. Korytarze ze szkła przekrzywiły się pod nim i wyprostowały. Zrobił kolejny krok. I jeszcze jeden.

Był w połowie drogi, kiedy zgasła lampa i pokój pograżył się w ciemności.

ROZDZIAŁ 14 DWAJ ASASYNI

Słyszając pukanie do drzwi laboratorium, Devon zatrzasnął klatkę na szczury i podniósł maskę ochronną.

--Co znowu? -- warknął.

Zdenerwowany chemik wsunął głowę do środka.

--Przepraszam, ale musimy wiedzieć, czy nadal pan chce, żebyśmy dzisiaj opróżnili zbiorniki eteru. Rano ma przybyć statek z Plantacji. W takiej sytuacji musiałby przez cały dzień czekać na tankowanie.

--Handlowy czy kościelny?

--Kościelny.

--Osuszyć zbiorniki.

--A co ze statkiem?

--Może poczekać. I nie chcę, żeby mi więcej przerywano.

--Dobrze, proszę pana. Chemik zniknął.

Truciciel odwrócił się do klatki i spojrzał na drepczące po niej stworzenie. Z kieszeni kamizelki wyjął małą fiolkę, potrząsnął nią i przyjrzał się różowemu płynowi. Z powrotem nasunął maskę na twarz, otworzył ampulkę i ostrożnie wciągnął kroplę płynu do pipety. Wymieszał ją w płytkim naczyniu z łyżką miodu i umieścił w klatce. Gryzoń natychmiast podbiegł do miseczki i zaczął chleptać słodki roztwór. Devon patrzył na niego w napięciu.

Gdy szczur wypił cały płyn, Devon obserwował go przez kilka minut, ale nie zauważył żadnej widocznej zmiany w jego zachowaniu.

--No -- mruknął, sięgając po skalpel. -- Obawiam się, że to będzie boleło.

Uzbrojona ręka cierpliwie podążała za stworzeniem skaczącym po klatce, aż w końcu dźgnęła je w grzbiet. Szczur zapiszczał i próbował się uwolnić, ale Devon trzymał go przyszpilonego w miejscu, aż biedak przestał walczyć. Wtedy wyciągnął skalpel i zanurzył go w zlewce z alkoholem.

Czekał, oddychając głośno przez maskę. Mijały minuty. Szczur drgnął. Z rany pociekła krew. Potem długo nie działo się nic. Truciciel przetoczył stworzenie na grzbiet i stwierdził, że nie żyje.

Westchnął ciężko.

Zerwał maskę i rzucił ją na blat roboczy. Swędziała go cała twarz, włosy miał rozczochrane. Ostrożnie zdjął okulary, wyczyścił je starannie i ponownie nasadził na nos. Spojrzał na gryzonia. Nic się nie zmieniło. To nadal był martwy szczur w klatce.

Devon opadł na stół. Na dzisiaj wystarczy. Czuł się wykończony, a jeszcze musiał posprzątać w gabinecie. Ostatnio wciąż był znużony. W miarę jak przybywało mu lat, chodził do łóżka coraz wcześniej, a rano nie miał siły wstać. Ciało wydawało się coraz cięższe, każde zadanie bardziej męczące. Pogodził się z tym, ale ból...

W niektóre noce budził się w agonii. Jego pierś ścisnęła żelazna obręcz, miał wrażenie, że oddycha odłamkami szkła. Rany krwawiły bezustannie. Trucizny, paliwa i siarki Kuchni Trucizn przeniknęły do jego ciała i wypełniły kości jak olów. W środku już nie było miejsca na nic więcej. Umierał.

Zbawca Deepgate, zatruty i pozostawiony na śmierć przez ludzi, których uratował. Po co? Mieszkańcy mną gardzą. Moi chemicy mną gardzą. Kościół mną gardzi, mimo że tyle dla niego

zrobiłem. Kim są ci ludzie? Ludzie, których ocalenie zostało okupione moim cierpieniem. Cierpieniem mojej Elizabeth. A ja znoszę te męki, żeby oni mogli mnie przeżyć.

Rozwścieczała go ta ironia losu. Wszyscy w Deepgate czekali na śmierć. Z wyjątkiem Devona. Nie zasłużyli na swoje życie, ale zabrali jego. To jednak jeszcze nie koniec. Odzyska to, co mu ukradli. I nie tylko to. Potrzebował zaledwie trzynastu dusz, żeby uzyskać anielskie wino. Gdyby potrzebował ich tysiąc, zabrałby je miastu bez wahania.

Deepgate było jego dłużnikiem.

Postąpił nierozważnie, że zostawił ciało dziewczyny w swoim mieszkaniu, ale nie miał ochoty wychodzić z domu w Noc Blizn, a rano brakowało mu sił, żeby przenieść zwłoki. Na samą myśl o taszczeniu trupa robił się jeszcze słabszy. Postanowił, że wrzuci go do pierwszej ciemnej dziury, jaką znajdzie, a potem zrobi sobie kolację. Ostatnio nie jadał tyle, ile powinien. Dobry posiłek postawi go na nogi. Może stek z

tluczonymi ziemniakami? Wziął z blatu słoik z miodem, starł ze szkła krople szczurzej krwi i schował go do kieszeni. A na deser naleśniki na słodko.

Żeby uniknąć kontaktu z chemikami, skierował się do tylnych drzwi. Robotnicy pracujący przy piecach wchodzili przez nie i wychodzili rzędami. Twarze poczerniałe od sadzy były zmęczone, a te czyste i różowe -- przygnębione.

Zegar wybił północ. Ku swej konsternacji Devon zauważył pod wieżą, w kręgu światła lampy gazowej, grupę chemików. Rozpoznał wśród nich Danderporta. Dziarski, ale nadgorliwy młodzieniec o wiecznie wilgotnych ustach i niespokojnych rękach prowadził ożywioną dyskusję z jakimś pokurczem cuchnącym siarką.

Na widok Truciciela Danderport zawołał:

--Mogę pana poprosić o opinię?!

--W jakiej sprawie? -- burknął Devon.

--Zęba, proszę pana.

--To znaczy?

Młodzieniec posłał mu blady uśmiech, gestykulując rękami.

--Aeronauci z *Adraki* dobrze mu się przyjrzeni, kiedy w czasie pościgu za *Skylarkiem* okrążali Czarny Tron. Zastanawialiśmy się, czy ma pan jakieś przemyślenia na temat jego konstrukcji. Moja teoria jest taka, że materiał kadłuba mógł zostać wyhodowany w kadzi. Brent się z tym nie zgadza.

Devon myślał przez dłuższą chwilę. Ząb Boga, jak nazywali go kapłani, wydawał się zbyt ciężki, żeby przejechać przez Martwe Piaski, nie zagrzebując się w nich po same osie. A jednak kiedyś dokonał tej sztuki. Głębokie koleiny ubitej ziemi przecinały pustynię w różnych miejscach, często znikaly pod ruchomymi wydmanami i pojawiały się znowu wiele lat później. Materiał użyty do jego budowy musiał być dużo lżejszy i mocniejszy od tych, które znali.

--To możliwe -- powiedział w końcu.

--Może kiedyś dałoby się obejrzeć Ząb z bliska? -- zapytał Danderport z nadzieją w głosie.

-- Tylko obejrzeć. Niczego byśmy nie dotykali.

Truciciel odchrząknął.

--Jeśli Sypes się zgodzi, dam wam znać.

Danderport błyskawicznie zapomniał o rozczarowaniu i wrócił do dyskusji.

Devon odszedł niechętnie, pamiętając, że czeka go praca. Zostawił spierających się

chemików i pomaszerował przez dziedziniec do bramy. Zrobiło się późno, on był zmęczony, a przed kolacją musiał jeszcze pozbyć się trupa.

Pan Nettle balansował w ciemności na ścianie działowej szerokiej na dwa cale. Bał się ruszyć z miejsca, nie widział następnego przepierzenia ani labiryntu z tłuczonego szkła. Wiedział jedynie, że niewidzialne postacie krążą wokół niego. Wyczuwał ich wściekłość; była jak piorun uwięziony w butelce.

Non Morai szarpali go, nie dotykając.

„Zamknij oczy. Zamknij oczy. Zamknij oczy”.

--Odwalcie się! -- warknął pan Nettle. Wyciągnął zza pasa tasak i ze złością przeciął nim powietrze. Ścianka się zachwiała, a on omal nie stracił równowagi.

„Zamknij oczy! Wpuść nas!”, krzyknęły demony.

Widział je kątem oka tylko wtedy, gdy nie patrzył w ich stronę. Niewyraźne czarne kształty, ciemniejsze niż otaczający je mrok, długie, czerwone zęby i długie białe palce. Ostre paznokcie. Kiedy próbował się im przyjrzeć, uciekały, jakby jego wzrok wprawiał je w furję. Pan Nettle obracał głowę we wszystkie strony, usiłując je wyśledzić. Były wszędzie i zarazem nigdzie, poruszały się tak szybko, że nie miał pewności, czy w ogóle coś widzi. Gdy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, dostrzegł daleko przed sobą okno, zamazany szary kwadrat, i górną część najbliższego przepierzenia. Wiedział, że przed nim jest kolejna ścianka, ale musiałby polegać na własnej pamięci, żeby ocenić dystans. Gdyby się pomylił, wpadłby do labiryntu, a bez lampy pewnie utknąłby w nim na dobre.

Coś musnęło jego kark.

Pan Nettle drgnął i odwrócił się gwałtownie. Cienie roily się wokół niego i syczały:

„Zamknij oczy. Zostań z nami”.

Niech go diabli, jeśli zostanie. Zatknął tasak z powrotem za pas i zrobił krok w nicość.

Natrafił na coś podeszwą buta. Przez chwilę balansował całym ciałem, stojąc jednocześnie na dwóch ściankach, aż w końcu przekroczył niewidoczny odstęp.

„Wpuść nas!”.

Teraz był w stanie dojrzeć kilka słabych zarysów: górne krawędzie dwóch albo trzech przepierzeń znajdujących się najbliżej okna. W dole połyskiwało szkło. Nadal jednak zostało mu do pokonania dwadzieścia stóp ciemności głębokiej jak kanał Chapelfunnel. Skąd miał wiedzieć, czy następna ścianka biegnie równoległe do tej, na której stał? Zrobi krok w pustą przestrzeń i zwali się głową w dół między dwie szklane ściany? A spadając, odruchowo zamknie oczy?

„Nic ci nie grozi z naszej strony”, przymilały się Non Morai. „Chcemy ci pomóc. Nie próbuj tędy przejść, bo spadniesz. Idź w lewo. Tak będzie bezpieczniej”.

Ostatnie, czego potrzebował, to słuchanie demonów, jaką drogę wybrać. Zrobił następny krok.

Nic nie wyczuł pod stopą.

Runął w dół.

Szkło wbiło się głęboko w barki i ręce, odłamki przeorały ciało. Szczęką rąbnął w podłogę, a siła uderzenia pozbawiła go tchu. Niestety, na moment zamknął oczy.

To wystarczyło.

Pan Nettle otworzył je natychmiast, ale już było za późno. Coś się w niego wciskało, jakby chluśnięto mu w twarz stęchlą wodą. Poczul smak stojących sadzawek i martwych wodorostów. Próbował wyciągnąć to coś, ale złapał tylko powietrze. Niczego tam nie było. Cuchnąca ciecz zalala jego gardło i płuca. Zaczął się dławić, walczyć o oddech. Ogarnął go strach, więc zerwał się z podłogi i rzucił na oślep przed siebie.

Szklane odłamki rozrywały mu ręce na strzępy, ale gnał dalej bez tchu. Wiedział, że jest tchórzem. Zawsze nim był. Wiedział to, odkąd ojciec, ogromny mężczyzna o palcach poplamionych tytoniem, przewiesił go przez poręcz Mostu Dziewięciu Sznurów i, trzymając za kołnierz nad czarną otchłanią, powiedział: „Na dole są butelki”.

Miał wtedy pięć lat, nie wiedział, co to jest sieć, i błagał swojego staruszka, żeby go nie puścił. Potem spadł. I trafił na sieć. Leżał przez całą wieczność i szlochał, ściskając sznury z konopi, a kiedy łzy obeschły, zaczął szukać butelek. Nie znalazł ani jednej.

„Tam nigdy nie było żadnych butelek”, wysyczały Non Morai, naśladując głos jego ojca. „Sieć dawno się wystrzępiła i podarła”.

Teraz pan Nettle czuł takie samo przerażenie: paniczny strach ściskający serce i płuca. Pędził dalej korytarzem. Szklane ostrza szarpały jego ciało. Krew spływała mu po rękach, ale nie zwracał na to uwagi. Nie mógł oddychać, nie mógł myśleć. Umierał.

Uderzył w przeszkodę.

Odłamki posypały się na jego dłonie, ramiona, pierś. Pan Nettle ryknął z bólu, cofnął się i ponownie rzucił na ścianę.

Świątynia Irilu zadrżała. Przepierzenie zawaliło się, rozbijając sąsiednie.

Pan Nettle zaczął się wspinać na górę szkła, nie zważając na odłamki, które wbijały mu się w kolana. Na jej wierzchołku zobaczył okno, zaledwie trzy metry od niego. Skoczył, nie dosięgnął go. Złapał się szczytu ścianki działowej i podciągnął. Okno było tuż przed nim.

„Nie!”. Non Morai szarpały jego krwawiącą skórę i wrzeszczały jak opętane. Ich dotyk był jak lodowaty deszcz. „Oszust! Nie możesz opuścić labiryntu! Nie waż się!”.

Zapomniawszy o drzwiach, pan Nettle dał nurka przez okno.

W deszczu szkła spadł na rusztowanie. Cała konstrukcja zatrzeszczała, przechyliła się i zakolysała nad kanałem Chapelfunnel. Szkło odbijało się z brzękiem od łańcuchów. Pan Nettle leżał nieruchomo przez dwanaście uderzeń serca, bojąc się zaczerpnąć tchu czy poruszyć. Ucisk w jego piersi stopniowo zelżał, płuca i gardło znowu były czyste. Smak stęchlizny zniknął z ust. Pan Nettle splunął z wściekłością... i zaczął swobodnie oddychać.

Każdy skrawek ciała miał pocięty, ubranie w strzępach, zdartą skórę na rękach. Ale wstał jak człowiek uwolniony z ciężkich łańcuchów i spojrzal posępnie na drugą stronę Chapelfunnel, gdzie pod uśmiechniętym księżycem buchały płomienie Kuchni Trucizn.

Odór krwi w mieszkaniu zmusił Devona do otwarcia okna. Jeśli miał się cieszyć posiłkiem, musiał pozbyć się trupa i wywietrzyć pokój. Z szafy wyjął jeden z worków, które trzymał specjalnie do tego celu. Zostało ich już mniej niż tuzin. Zanotował w pamięci, że powinien postarać się jeszcze o kilka. Gdy już tu posprząta, każe jednemu ze swoich ludzi przynieść worki. Znowu trzeba będzie zajrzeć do kościelnych archiwów, żeby znaleźć kogoś bez rodziny.

Pozbawione płynów ciało dziewczyny było stosunkowo lekkie, więc nie miał specjalnego

kłopotu z wsadzeniem go do worka. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien tym razem wyrzucić zwłok gdzieś dalej. Były miejsca bez sieci, gdzie otchłań na zawsze połykała wszelkie dowody.

Nie. Devon chciał, żeby znaleziono ciała. Chciał, żeby prezbiter, jeśli to on mu pomógł, widział rezultaty.

Widzisz, nad czym pracuję? Pochwalasz to?

Truciciel czerpał przyjemność z myśli, że starzec się wzdryga. Zabijanie nikomu nie przychodziło łatwo, nawet jemu. Choć miał czyste motywy, uważał mordowanie za męczące i nieprzyjemne, a nawet wulgarne. Deepgate zmusiło go do tego, że stał się zwykłym rzezimieszkiem, więc miało obowiązek podzielić się brzemieniem, którym go obciążało.

Przede wszystkim jednak pragnął, żeby Sypes przerwał swoje nieznośne milczenie. Co starzec miał nadzieję zyskać? Władzę? Siłę? Nieśmiertelność? Sądził, że Devon skwapliwie podzieli się z nim owocami swojego trudu?

„Naprawdę tak bardzo boi się śmierci? A może czegoś więcej?”.

Truciciel potarł oczy. Niedługo pozna odpowiedzi. Na razie musiał pozbyć się ciała, a był zbyt zmęczony i głodny, żeby iść daleko.

W tym momencie jednak odezwała się ostrożna strona jego natury. Po co ściągać na siebie uwagę? Gdyby został publicznie zdemaskowany jako złodziej dusz, nikt by go nie obronił. Spine postaraliby się, żeby zawisł na szubienicy Avulsiora. Dlatego zdecydował się na kompromis i ukrycie ciała trochę dalej. Im szybciej zrobi swoje, tym wcześniej zasiądzie do kolacji.

Zniszczone domy ciągnęły się w mroku we wszystkie strony. Niezależnie od wybranego kierunku Devon musiał nieść worek pod górę. Przed dwudziestu laty kwitł tutaj przemysł, ale z czasem ciężar licznych fabryk, zakładów i magazynów sprawił, że dzielnica się zapadła. Czyniono wszystko, żeby budynki jak najdłużej stały poziomo, ale nic nie dało się zrobić z przeciążonymi, obwisłymi łańcuchami poprzecznymi.

Na zachodzie Depresji, jak zaczęto nazywać tę dzielnicę, przepaść oddalała się od Kuchni Trucizn i sąsiadującej z nimi stoczni. Ci, którzy tu pracowali, nazywali otchłań Sierpem, z powodu kształtu. Wąski na wysokości Młyna Drake'a, przy trzydziestym trzecim łańcuchu, powiększał się do szerokości odpowiedniej dla statków powietrznych obok cegielni Cottera i Wyrw, sieci rozdartych przez samobójców. Stamtąd przepaść biegła obok Chapelfunnel, gdzie kiedyś wytwarzano gaz węglowy, fabryki gwoździ Rina, przędzalni i dziury w miejscu dawnej tawerny Pod Cysterną i, w tym miejscu najszersza, docierała do Kuchni Trucizn. Tutaj znajdowały się główne doki, między innymi keja Coultera, nadal poskręcana i osmalona po tym, jak przed pięciu laty spłonął przy niej statek kościelny *Ataler*. W Rzadkich Metalach Samuela dźwięczały młoty, zagłuszające nawet hałasy, które dobiegały z pieców, hut i cementowni. Sierp zwęzał się znowu przy Wylomie, nienaprawionym po tym, jak pękł jeden z mniejszych łańcuchów i przeciął na pół magazyn z materiałami budowlanymi, zabijając sześćdziesięciu trzech ludzi. Przy czterdziestym siódmym łańcuchu, Mesy, przepaść zniknęła pod budami robotników, które wyrastały wzdłuż jej brzegów jak grzyby po deszczu.

Depresją wstrząsał kiedyś huk sterowców kościelnych, handlowych i wojennych oraz pokrzykiwania tragarzy, robotników i dokerów, wybijające się ponad jęk napiętego kabla. Teraz dzielnica drzemała i niszczała w ciszy.

Znajdujące się kilka przecznic od otchłani mieszkanie Devona zostało przerobione z górnego piętra Składu Whisky i Rhaku Crossopa. Choć zakład nie należał do największych i w przeciwieństwie do nich nie mieścił się przy nabrzeżu, w swoim czasie nieźle prosperował i nadal był imponującym budynkiem. Ze względu na swoje położenie w martwym centrum Depresji prawie wcale się nie przechylił w czasie późniejszego osiadania i wymagał jedynie drobnego podniesienia. Stary Crossop obserwował, jak inne firmy wokół niego podupadają, całkiem dosłownie, aż został jednym z ostatnich przedsiębiorców w tej okolicy, a potem ostatnim. Gdy w końcu statki handlowe przestały cumować w tej części Sierpa, stracił kontakt z dostawcami i został zmuszony do sprzedania magazynu za cenę, która omal nie przyprawiła go o atak serca. Niewielka ilość towaru, która mu pozostała, przyniosła więcej pieniędzy niż sam budynek. Devon nabył cały zapas razem z domem. Lubił czasami wychylić szklaneczkę starego rhaku.

Kupił magazyn piętnaście lat temu i już wtedy była to jedyna nadająca się do zamieszkania budowla w promieniu kilku przecznic. Na jego dom nie wychodziły żadne okna, stalowe drzwi o grubości pół cala zniechęcały intruzów, a solidne mury tłumiły wszelkie odgłosy ze środka, nawet jeśli w całej okolicy nie miał kto ich usłyszeć. Trucicielowi bardzo odpowiadało to miejsce.

Tak więc, skoro wszystkie drogi prowadziły pod górę, pozostawało mu jedynie dokonanie wyboru. Gdyby zdecydował się na doki, musiałby tak rzucić ciało, żeby nie trafić w sieci, albo podjąć się niebezpiecznej wspinaczki na wieżę do cumowania. Nie uśmiechała mu się żadna z tych perspektyw. Istniała również możliwość, że zauważy go ktoś z domów stłoczonych po drugiej stronie Sierpa. I wtedy przyszło mu na myśl bliższe miejsce.

Zanim dotarł na szczyt wzgórza, jego pierś płonęła. Opadł zdyszany na ziemię, przygnieciony brzemieniem, które teraz wydawało mu się bardzo ciężkie. Te bóle ostatnio się nasiliły. W płucach rzeziło mu od kwaśnej wydzieliny. Gdy splunął, zauważył w ślinie krew.

W Kuchniach Truczizn osuszali zbiorniki eteru, kominy buchały płomieniami, malując na srebrno cegły, żelazo i płaskie smołowane dachy Depresji. Popiół docierał nawet tutaj. Większość ludzi uważałaby takie powietrze za trujące, ale Devon był do niego przyzwyczajony. Płonące gazy i oleje miały smak postępu, wydzielaly ostry, nierozcieńczony zapach władzy.

Nie władzy. Łańcuchów.

Miał ochotę krzyknąć na całe miasto: „Widzicie, jak mnie okaleczyliście? Oto ofiara, którą złożyłem, żebyście wy byli bezpieczni. Czy was to obchodzi?!”.

Uderzył pięścią w ciało dziewczyny.

Jesteście tylko chodzącymi trupami. Wy wszyscy. Trupami, które zostaną wrzucone do otchłani. Ja jestem jedynym żywym człowiekiem w tym mieście i powoli ginę.

To było morderstwo. Deepgate próbowało go zabić. Devon splunął ponownie i przyjrzał się krwawej ślinie. Morderstwo? On im pokaże morderstwo.

Na końcu przecznicy, między odlewnią Blacklocka z pojedynczym, pijanym kominem a sklepionym przejściem, które łączyło fabrykę sukna Smithport z jej magazynem, przepaść spinał most towarowy.

W dole były rozpięte sieci, ale dość głęboko. Devon zastanawiał się nawet, czy ich nie przeciąć, ale zejście wyglądało na trudne.

Jestem na to zbyt zmęczony.

Za dnia cień mostu ukryje worek, a zresztą i tak będzie niewiele przechodniów, którzy mogliby go dostrzec albo zwrócić uwagę na smród. Sieciarze już od dawna nie zapuszczali się do Depresji; nie mieli po co.

Devon dźwignął worek i przechylił go przez zardzewiałą balustradę. Sieć zaskrzypiała pod ciężarem. Przez dłuższą chwilę Truciciel patrzył w ciemność. Nagle całkiem stracił apetyt.

Pan Nettle wiedział, co jest w worku. Domyślił się od razu, kiedy zobaczył Devona opuszczającego magazyn Crossopa. Tydzień wcześniej niedaleko stąd wyciągnął z sieci identyczny pakunek. Tamtego dnia zwlekał długo, bardzo długo, zanim go otworzył.

Ukryty w bramie odlewni czekał, aż Truciciel zniknie mu z oczu. Wtedy pobiegł na most, zaczepił linę o balustradę i zsunął się na sieć.

Wokół panowała ciemność i cisza. Pan Nettle zapalił lampę sztormową. Plecionkę z konopi pokrywała gruba warstwa popiołu. Worek leżał bezpośrednio pod mostem w najniższym punkcie sieci. Trzymając uchwyt lampy w zębach, pan Nettle wyjął tasak i przeciął materiał.

Młodsza od Abigail, wyglądała na piętnaście, może szesnaście lat. Włosy miała ciemniejsze, wargi pełniejsze, ale z tą bladą skórą i równie pustymi oczami mogłaby być jego córką. Pan Nettle ujął jej dłoń, objął ramieniem jej głowę i plecy. Była lekka jak piórko.

Trzymał ją tak przez dłuższą chwilę, podobnie jak Abigail, kołysząc w przód i w tył. Zastanawiał się, czy ktoś jej szuka. Może ojciec dziewczyny przemierza teraz ulice, wołając jej imię? Czy Truciciel je znał? Czy go to w ogóle obchodziło?

Rany na dłoniach, przedramionach i barkach pulsowały, jakby nadal rozrywało je szkło z labiryntu Scatterclawa.

Pan Nettle mocno chwycił sieć i przeciął tasakiem konopne liny wokół ciała. Dziewczyna zsunęła się w ciemność.

Gdy wrócił na powierzchnię, popędził do składu Crossopa, nie przejmując się, że zdradza go tupot butów. Dotarł do rogu magazynu w samą porę, żeby zobaczyć, jak Truciciel znika w środku. Metalowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Kolejno zgrzytnęły trzy zamki.

Pan Nettle wyszedł z cienia i przyjrzał się budynkowi.

W otwartym oknie na najwyższym piętrze paliło się światło. Biegnąca obok niego rynna wyglądała na starą, ale nie było innej drogi.

„Tato”. Głos Abigail dobiegł z odległej, cichej części jego umysłu, ale przebił się przez gniew.

„Nie teraz, dziecko”.

„Tato, nie rób tego”.

„Zostaw mnie w spokoju”.

„To morderstwo”.

„To sprawiedliwość”.

„Morderstwo!”.

Jej okrzyk przeszył mu serce. Pan Nettle stał przez chwilę bez ruchu, zbity z tropu, niepewny. Morderstwo? Jak mógłby zabić żywego, oddychającego człowieka?

Ale czy to byłoby morderstwo?

Poczuł, że krew dudni mu w uszach.

A gdyby człowiek, którego zabiłeś, nie miał duszy? Czy to byłby grzech? A jeśli tak? „A jeśli tak?”.

Pan Nettle objął rynnę, a kiedy utrzymała jego ciężar, zaczął się wspinać, nie zważając na ból w poranionych dłoniach i barkach. Wysuszone cegły kruszyły się pod jego butami i spadały na ulicę razem z płatkami rdzy. Gdyby dotarł do mieszkania przed Devonem, miałby ułatwione zadanie. Nie chciał zostać przyłapany w połowie drogi, gdzie byłby narażony na atak. Lepiej, żeby czekał w środku, gotowy.

Dotarłszy na górę, postawił stopę na parapecie, podciągnął się i zajrzał przez okno.

Lampy naftowe rzucały ciepły blask na ściany wyłożone drewnem, mosiężna aparatura, butelki, flakoniki. Biurko i szeroki fotel z wysokim oparciem, a naprzeciwko niego drugi, ze skórzanymi pasami przymocowanymi do poręczy. Pan Nettle zmrużył oczy na widok metalowego stojaka oplecionego rurkami. Poprawił tasak za pasem, sięgnął do framugi... i zamarł.

Z fotela z wysokim oparciem ustawionego tyłem do okna uniósł się kłęb dymu. Ktoś w nim siedział.

Pan Nettle schował się za framugę. Serce waliło mu młotem. Jakim cudem ten drań zdążył tak szybko wrócić? Niemożliwe. W takim razie, kto tam jest? Uczeń? Pan Nettle zacisnął zęby. Z samym Trucicielem by sobie poradził. Z dwoma mężczyznami będzie trudniej.

Nie widział nikogo za szerokim oparciem fotela, co oznaczało, że palacz jego też nie mógł zauważyć. Gdyby teraz zaatakował szybko i cicho, nadal miałby przewagę zaskoczenia. Powstrzymały go wątpliwości. Devon mógł się zjawić w każdej chwili.

Do diabła z ostrożnością!

Sięgnął do okna.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Truciciel.

Devon zamarł. W jego fotelu siedział robotnik z fabryki, od stóp do głów pokryty sadzą. Taki bałagan był tutaj niedopuszczalny.

--Czym mogę służyć? -- zapytał uprzejmie.

Robotnik wyjął nóż do cięcia. W drugiej ręce trzymał kajdanki, których Devon ostatnio użył do skrępowania dziewczyny.

--Siniaki na rękach -- powiedział intruz, wskazując głową na fotel z pasami, na poplamione krwią rurki i butelki. -- Kradniemy dusze, co?

Devonowi serce podeszło do gardła. Czyżbym przez cały czas się mylił? Był niewybaczalnie głupi i arogancki, zakładając, że to Sypes go chroni.

--Jest całkiem racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego -- oświadczył spokojnie. Cisza się przedłużała.

--Czy Sypes zagwarantuje mi uczciwy proces? -- spytał Devon. Odpowiedziało mu puste spojrzenie.

On nic nie wie? W takim razie to nie Sypes. A więc kto?

--Fogwill -- powiedział Devon i w oczach mężczyzny natychmiast znalazł potwierdzenie, że ma rację.

Adiunkt ukrywał się za plecami swojego mistrza. Devon uważnie przyjrzał się niedoszłemu

zabójcy i omal się nie uśmiechnął, kiedy zauważył na jego szyi tatuaż, częściowo zasłonięty przez sadzę. Wybrakowany Spine po nieudanym procesie hartowania. Poczł przyływ nadziei. Nadal miał szansę. Wiedział, że odrzuceni kandydaci na asasynów są niezrównoważeni. Ego, fanatyzm i szaleństwo zapewne tworzyły w tym człowieku mieszankę wybuchową.

Devon postanowił jeszcze bardziej zamącić mu w głowie.

--Adiunkt popełnił błąd, przysyłając cię tutaj -- stwierdził. -- Jesteś zelotą, ale niezahartowanym, więc brakuje ci umiejętności samokontroli. Dzięki temu łatwiej tobą manipulować.

--Sądziysz, że możesz mną manipulować?

--To powinno być całkiem łatwe -- rzucił lekkim tonem Devon. -- Wystarczy, że cię rozgniewam.

Mężczyzna błysnął zębami.

--Twoja arogancja jest zadziwiająca -- wysyczał. -- Tak bardzo chcesz umrzeć? Naprawdę żalozne. On po prostu nie może się powstrzymać.

--Właściwie nie -- odparł Devon. -- Śmierć to mój przeciwnik, którego zawsze starałem się pokonać w swojej pracy. Naszym przodkom niemal się to udało tysiąc lat temu. Pamiętasz historię o Miękkich Ludziach?

Asasyn sposepniał.

--Pamiętam, jaka spotkała ich kara.

Devon się uśmiechnął.

--Opanowali proces ekstrahowania duszy i jej butelkowania. Wiesz, co się dzieje, kiedy człowiek wchłania duszę innego? Powiem ci. Kiedy ciało zostaje nasycone jedyną substancją, która naprawdę je wzbogaca, zmienia się równowaga między tym co fizyczne a metafizyczne. Wystarczy sama wola, żeby przedłużyć sobie życie, wzmocnić ciało, wyleczyć rany. Wtedy fizyczne starzenie się to tylko kwestia kaprysu.

Zrobił krok w stronę metalowego stojaka z rurkami.

--Ten sprzęt jest podobny do tego, którego używali Miękczy Ludzie. Potrzeba trzynastu dusz, żeby osiągnąć punkt nasycenia, dzięki któremu biorca zaabsorbuje roztwór. Jedna kropla wystarczy człowiekowi na wiele istnień, da mu taką władzę nad ciałem, że śmiertelne rany będą zwykłymi draśnięciami. Człowiek, który wypije anielskie wino, w pewnym sensie znajdzie się bliżej boga.

Asasyn był teraz napięty jak struna, mocno ścisł nóż w ręce.

--Nie będziesz miał procesu -- warknął.

Devon wyjął z kieszeni płaszcza małą buteleczkę i uniósł ją. W środku chlupotał przezroczysty płyn.

--Jedenaście niepobłogosławionych dusz. -- Truciciel wyjął korek i powąchał zawartość fiolki. -- Skradzionych Ulcisowi i bez wątpienia poszukiwanych przez Iril nawet w tej chwili, kiedy rozmawiamy. Zastanawiam się, czy Labirynt potrafi wyczuć, co stracił.

Zabójca aż się cofnął, przerażony.

--Włóż korek -- wykrztusił. -- Ukryj te dusze, zanim...

Devon chlusnął w niego cieczą z buteleczki.

Mężczyzna zawył i zgiał się wpół, prychając i gwałtownie trąc twarz rękami.

Devon chwycił metalowy stojak i zamachnął się nim mocno. Cios był tak silny, że asasyn przeleciał przez biurko zastawione zlewkami i runął na dywan.

Ból ścisnął pierś Truciciela. Rany pod bandażami otworzyły się i pociekła z nich krew. Krzywiąc się, Devon wyjął z kieszeni kamizelki drugą, mniejszą buteleczkę i przyjrzał się bladoczerwonemu płynowi.

--Jest miejsce na jeszcze jedną? -- Przystawił fiolkę do ucha i z westchnieniem pokręcił głową. -- Niech mnie Iril pochłonie, rozmawiam z naczyniem pełnym dusz. A część mnie niemal oczekuje odpowiedzi. Cisnął w kąt pustą butelkę.

--Tyle dobrego rhaku się zmarnowało -- mruknął.

Podłoga była zasypana potłuczonym szkłem. Devon zmiażdżył je do końca, ciągnąc nieprzytomnego asasyna w stronę fotela.

--Jestem stary i chory -- powiedział -- Ale w przeciwieństwie do ciebie... -- dźwignął zabójcę na fotel -- żyję. A ty, mój przyjacielu, byłeś martwy od urodzenia.

Zacisnął pasy wokół rąk i kostek mężczyzny.

--Zeloci. Łatwo nimi manipulować.

Pan Nettle drżał, skulony za oknem, i obserwował, jak Devon przywiązuje nieprzytomnego asasyna do fotela, a potem wsadza rurki w jego ręce. Patrzył, jak krew splywa do naczynia umieszczonego na podłodze. Przyglądał się przez cały czas, ale nic nie widział. Myślał o anielskim winie.

Jedenaście dusz.

Dusza Abigail?

Ona nie żyła, jej ciało zniknęło w otchłani, ale dusza nie została oddana Ulcisowi ani porwana przez Iril. Była uwięziona na tym świecie, w eliksirze Truciciela. Jeszcze istniała dla niej nadzieja.

Czy jej dusza mogła na powrót połączyć się z ciałem? Czy Abigail żyłaby znowu, nie w otchłani ani w Labiryncie, tylko tutaj, w mieście? Z nim.

Pan Nettle zrozumiał, co musi zrobić.

Zadrżał.

Pozwoli Devonowi dokończyć pracę, a kiedy anielskie wino zyska moc, zabije go i odbierze duszę Abigail człowiekowi, który ją ukradł.

A potem?

Jakoś będzie musiał odzyskać jej ciało.

ROZDZIAŁ 15 MINY PUŁAPKI I ŚLIMAKI

Po trzech godzinach niespokojnego snu Fogwill wstał o świcie, żeby się spotkać z asasynem. Chodził wokół stołu z zimnym, nietkniętym śniadaniem, mrugając zmęczonymi oczami i obracając pierścienie na palcach.

Kiedy jego człowiek nie zjawiał się do południa, adiunkt zaczął się obawiać najgorszego. Minęła dwunasta, a on stał przy oknie i bezmyślnie patrzył na Deepgate. Horyzont wydawał się bliższy z powodu zachmurzonego nieba, które przygniatało dachy i odbierało kolory światu. Spine nigdy się nie spóźniali. Było wykluczone, żeby nawet niezahartowany asasyn nie pojawił się z raportem.

Fogwill wiedział, że zabójca nie żyje.

Ale to było najmniejsze z jego zmartwień. Każda, choćby drobna krytyka pracy Devona kończyła się epidemią w świątyni. Co zrobi Truciciel, jeśli się dowie, kto napuścił na niego asasyna? Fogwill się skrzywił. Biegunka może się okazać blahą dolegliwością.

Wysłał gońców do Kuchni Truczizn, żeby popytali o Devona, i do kapitana Claya z poleceniem, żeby zebrał sześciu ludzi i spotkał się z nim za godzinę na Moście Bramnym.

Clay nadszedł od strony świątyni ciężkim krokiem, pobrząkując zbroją koloru węgla. W popołudniowym upale jego twarz była szara i obwisła.

Za nim podążało sześciu letargicznych gwardzistów.

--Od dawna zanoszą się na deszcz -- stwierdził kapitan na powitanie. -- Chmury są nim brzemienne, ale zatrzymują go w sobie, żeby nas dręczyć. Paskudny dzień. Mam wrażenie, że będzie jeszcze gorzej. Skoro już tu jesteśmy, pewnie zaproponujesz, panie, marsz do miasta.

Fogwill wytarł czoło.

--Idziemy do mieszkania Truciciela.

--Jasna cholera! -- zaklął Clay. -- Wiedziałem.

Adiunkt postanowił zignorować jego impertynencję. Mimo swojej szorstkości i bezpośredniości Benedict Clay był dobrym człowiekiem.

--Truciciel nie pojawił się dziś rano w pracy -- wyjaśnił Crumb. -- Obawiam się, że mogło go spotkać coś złego.

--I do sprawdzenia tego trzeba aż sześciu strażników? -- Kiedy Fogwill nie odpowiedział, kapitan westchnął. -- Cóż, nie robi się chłodniej. Lepiej ruszajmy.

Ulice były ciche i pustawe, a ludzie, których mijali, zajmowali się swoimi sprawami, z trudem znajdując energię, żeby oderwać wzrok od bruku i spojrzeć na adiunkta i jego świtę. Strażnicy gotowali się w swoich zbrojach, Fogwill sływał potem pod sutanną. Nawet łańcuchy jakby się pocily pod ciężarem miasta. Kiedy przecinali Sierp, idąc Mostem Dokerów, powietrze było zupełnie nieruchome, ani śladu powiewu z otchłani. Adiunkt zastanawiał się, czy sam Ulcis piecze się na dole w ciemności.

Starał się nie myśleć o tym, co zastanie w mieszkaniu Truciciela, ale nie mógł zapanować nad niepokojem. Jeśli Devon rozprawił się z asasynem, bez wątplenia już dawno uciekł. Czy usunął wszystkie ślady swoich zbrodni? Najprawdopodobniej. Sypes będzie wściekły. Ale czy zniknięcie Devona przekona prezbitera o jego winie? Fogwill nie był tego pewien. Ostatecznie dał zabójcy wolną rękę, mówiąc, żeby sam ocenił sytuację. Zupełnie, jakby wręczył szaleńcowi nóż i pozwolił mu go użyć.

Dotarli do Depresji wczesnym popołudniem. Dzielnica prażyła się w słońcu i czerwonym blasku płomieni wydobywających się z kominów Kuchni Truczizn. Tam, gdzie fabryki i magazyny zapadły się w głąb misy, rozprażone powietrze cuchnęło. Cegły pokrywała cienka warstewka wilgoci. Płatki popiołu osiadały jak émy na łańcuchach i kamieniach brukowych, pot na policzkach i szyi Fogwilla zrobił się czarny. Jego chusteczka była brudna.

Gdy otworzyli drzwi składu Crossopa, zobaczyli mroczną klatkę schodową.

--Nie podoba mi się to -- stwierdził gderliwie Clay. -- Co mamy mu powiedzieć, jeśli go zastaniemy?

--Powiedz, że martwię się i chciałbym zamienić z nim słowo.

--Tylko tyle? -- Clay prychnął. -- I po to maszerowaliśmy taki kawał?

Wydał świątynnym strażnikom rozkaz wejścia do magazynu.

I wtedy po raz ostatni Fogwill widział ich żywych.

Eksplozja wstrząsnęła całą Depresją. Pod niebo trysnął gejzer kamieni, cegieł, desek i zaprawy. Nad dachem magazynu utworzył się grzyb z dymu. Fogwill runął na plecy. W uszach dzwoniło mu od huku. Clay złapał go za ramię i coś do niego krzyczał, ale adiunkt nic nie usłyszał.

--Uciekajmy! -- ryknął kapitan, szarpiąc go za sutannę. -- Gruz! Zasypie nas!

Zmiażdży!

Powlókł go w stronę opuszczonej fabryki. Fogwill ślizgał się i potykał, próbując utrzymać się na nogach. Obejrzał się za siebie.

Górna część magazynu zniknęła. Płomienie lizaly jego wnętrze i okna pozbawione szyb. Z dziury ziejącej w miejscu, gdzie niedawno był dach, buchał czarny dym.

Clay wciągnął go do bramy w chwili, gdy z góry posypał się gruz. Cegły roztrzaskiwały się na bruku. Żelastwo i płonące belki spadały na ulicę albo przebijały się przez okapy i wyrwały rynnę. Żwir padał jak deszcz.

Fogwill przycisnął dłoń do uszu.

Niebo pociemniało. Gęsta chmura dymu rozplywała się nad Depresją. Oświetlona przez płomienie dalekich kominów wyglądała, jakby się jarzyła na brzegach niczym stopiony bazalt. Nagle rozległ się niski grzmot, po czym mieszkanie Devona zapadło się do środka.

--Biegiem! -- Clay wybiegł z powrotem w alejkę.

Wokół nich nadal fruwały cegły. Fogwill się zawahał, gdy odłamki zabębniły o zbroję kapitana.

--Łańcuchy pękają! -- krzyknął Clay. -- Cała dzielnica zaraz się zawali!

Adiunkt obejrzał się na zrujnowany magazyn. Poczul żar. Wysokie na pięćdziesiąt stóp płomienie ogarnęły rumowisko i płataninę łańcuchów naprężonych przez walące się mury i kominy. Kilka lin już się zerwało, smagając powietrze jak bicze.

Fogwill pobiegł za Clayem, dysząc ciężko.

Dotarli do końca uliczki w chwili, gdy potężny huk zakołysał ziemią. Bruk się wybrzuszył, ścinając Crumba z nóg. Kapłan potoczył się w dół jak beczulka i uderzył w ścianę.

Zapadła cisza.

--Iril niech będzie przeklęty -- wysapał Clay.

Adiunkt pozbierał się, otrzepał z kurzu i obejrzał za siebie.

Magazyn Crossopa zniknął bez śladu. Podobnie jak pół kwartału Depresji. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stały fabryki i odlewnie, ziała ogromna dziura, spowita chmurą dymu i kurzu.

Gniewne burzowe chmury przyniosły miastu wczesny zmrok. Zachodnie wichry obracały wiatrowskazami, trzaskały okiennicami, ciskały kurtyny deszczu w okna biblioteki prezbitera.

Sypes siedział z zamkniętymi oczami przy biurku i masował skronie.

--Od jak dawna szpiegował dla ciebie w Kuchniach Trucizn?

Fogwill chodził ze spuszczoną głową przed biurkiem i bawił się pierścieniami. Każde słowo prezbitera odczuwał jak policzek.

--Od kilku tygodni.

--Czy ktoś jeszcze o tym wiedział?

--Nie. Uznałem, że będzie naj lepiej...

--Podkopać mój autorytet? -- Kościste palce Sypesa zacisnęły się wokół laski. --

Myślisz, że jestem za stary, za słaby i zbyt zgrzybiały, żeby podejmować decyzje?

--Staralem się być dyskretny.

Prezbiter zmarszczył brwi i wycelował laskę w adiunkta.

--To nazywasz dyskrecją? Twój... asasyn przepadł. Devon zniknął. W mieście jest dziura, w której zmieściłaby się połowa Sandport.

--Wyślijmy oddział straży. I więcej Spine...

--Więcej! -- Ryk Sypesa zagłuszył bębnienie deszczu o szyby. -- I co spodziewasz się znaleźć? Devona dającego znaki z dachu? Trupy? -- Trzasnął laską w biurko. -- Wczoraj przynajmniej wiedziałem dokładnie, gdzie on jest.

--Wczoraj odrzuciłeś moje podejrzenia, panie. Łypnięcie spode łba.

Fogwill się zatrzymał.

--Wiedziałeś, panie? O złodzieju dusz? I nic nie zrobiłeś? Pozwalałeś na kolejne morderstwa?

Sypes unikał jego wzroku.

--Na litość boską, dlaczego?

Prezbiter wykrzywił usta, jakby przeżuwał coś bardzo niesmacznego.

--Chodź ze mną -- rzekł w końcu. -- Powinieneś coś zobaczyć.

Po wyjściu z biblioteki zeszli schodami dla akolitów prowadzącymi w głąb świątyni. Na dole Sypes zdjął pochodnię ze ściany i poprowadził Fogwilla przez wilgotne korytarze i piwnice, których najwyraźniej używano do przechowywania

zapasów. Wszędzie wisiały pajęczyny. Po jakimś czasie dotarli do ciężkich metalowych drzwi ukrytych za stertą skrzyń. Gdy Sypes je otworzył, ruszyli w dół po spiralnych schodach. Byli już tak głęboko, że zdaniem Crumba nie dało się zejść niżej.

--Zapewne jesteśmy teraz pod salami Spine -- domyślił się.

--To część starych lochów, obecnie nieużywanych. -- Głos Sypesa odbił się echem od murów. -- Pomóż mi z tymi drzwiami.

U stóp schodów otworzył kolejne starożytne wrota, a Fogwill pomógł mu je odciągnąć. Ich nozdrza zaatakował potworny odór. Gnijące mięso? Adiunkt nie miał złudzeń. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy prezbiter gdzieś go prowadzi, czeka tam na niego martwe ciało.

--Kolejny trup? -- zaryzykował.

--Tak, coś w tym rodzaju. Trzymam go w jednej z naszych cel.

Starzec ruszył przez lochy. Zaintrygowany i bardziej niż lekko przestraszony Fogwill pospieszył za nim. Zardzewiałe kraty zamocowane w ścianach wskazywały wejścia do ciemnych cel. Smród stał się nie do zniesienia. W dodatku pochodnia zaskwierczała i przygasła, tak że znaleźli się w niemal całkowitym mroku.

--Bezużyteczna rzecz -- stwierdził prezbiter. -- Od lat nie była smolowana. --

Zatrzymał się przed jedną z cel i przywołał Fogwilla. -- Bądź ostrożny. Nie zbliżaj się za bardzo do krat. To pluje.

--Myślałem, że jest martwe.

--Trudno powiedzieć.

Adiunkt zajrzał do celi. Światło pochodni nie sięgało zbyt daleko od krat. Fogwill wyteżył

wzrok. Przez jedno uderzenie serca wydawało mu się, że widzi jakiś ruch. Z głębi lochu dobiegł zgrzyt łańcucha szorującego po kamieniu. Crumb cofnął się gwałtownie.

--Co to jest?

Prezbiter chrząknął i niecierpliwie machnął ręką. Fogwill przyjrzał się uważniej. Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegł znajomy kształt. Skrzydło?

--To anioł -- wyszeptał.

--Niezupełnie -- mruknął Sypes.

I wtedy adiunkt zobaczył, co prezbiter miał na myśli. Skrzydło było połączone z barkiem, bark z torsem, a tors z nogą, ręką, szyją i głową. A przynajmniej większą częścią głowy. Reszty anioła brakowało, jakby został podzielony z grubsza na połowę. Ogryzał coś białego i mokrego.

--Ta istota to Callis -- powiedział prezbiter. -- A raczej jego część. Druga została z Ulciszem. Na dole. -- Stuknął laską w podłogę lochu.

--Niech mnie ciemność! Co to tutaj robi?

--To co zawsze. Oznajmia wolę swojego pana. Przekazuje rozkazy.

--Potrafi mówić?

--Nigdy się nie zamyka. Milczy pierwszy raz od roku. Jak na dany znak Callis się odezwał:

--Nakarm mnie.

--Nie! -- huknął Sypes. -- Dość już dostałeś.

Z ciemności dobiegł chrapliwy oddech i syczenie:

--Nigdy dość.

Fogwill stał jak ogłuszony. Ta żalosa istota była przodkiem Dilla. Okaleczona, gnila w lochu od tysięcy lat. Gdy do adiunkta dotarły słowa anioła, rzucił czujne spojrzenie prezbiterowi.

--Czym go karmisz, panie?

--Wszystkim, o co poprosi. Crumb przelknął ślinę.

--Ale skoro to herold Ulcisa, czyje kości wiszą w korytarzu sanktuarium wśród Dziewięćdziesięciu Dziewięciu?

--Przyjrzałeś się z bliska tym kościom? Są podobnych, ale nie identycznych rozmiarów. -- Sypes wzruszył ramionami. -- Tamten szkielet to zbieranina. Żebro stąd, przedramię stamtąd... bez wątpienia pożyczone ze szczątków pozostałych Dziewięćdziesięciu Dziewięciu.

--Ale dlaczego? Dlaczego Callis jest tutaj? W tej celi? Sypes skrzywił się i rzucił do anioła:

--Powiedz mu.

Z ciemności dobiegł głos nabrzmiały złością:

--Nakarm mnie.

--Powiedz mu. Warknięcie.

--Mów! Bo będziesz głodował przez rok.

--Ośmielasz się mi odmówić! -- krzyknął stwór i, sapiąc, powlókł się przez celę. --

Ulcisowi się nie odmawia. On nadchodzi, kapłanie. Armia złożona z trupów waszych ojców, posłusznych jego woli. Zabierzemy to co nasze. Wkrótce.

--Z początku były tylko prośby -- zaczął wspominać Sypes. -- Więcej dusz, więcej dusz.

Potrafił tak słodko się przymilać o straszne rzeczy. Ale później poprosił o więcej, niż mogliśmy dać. Heshette zostali zdziśiatkowani. Kogo jeszcze mogliśmy zabić? Gdy nie znalazłem sposobu, żeby spełnić jego prośby, stracił całą ogładę. Posypały się żądania. Potem groźby. A ja nie lubię, kiedy mi się grozi.

--Dobry Boże! -- wykrzyknął Fogwill. -- Nie rozumiesz, panie? Tej natarczywości? Ulcis zamierza odzyskać niebo. Rzucić wyzwanie Ayen. Musimy się przygotować. Musimy...

--Nie -- uciął prezbiter.

--Co?

--Nie, Fogwill, ten potwór mówi, co naprawdę czuje, bo ostatnio postanowiłem go przegłodzić. Ulcis nigdy nie zamierzał odzyskać nieba. On pragnie tego świata. Nasz Kościół opiera się na kłamstwie.

Adiunkt wytrzeszczył oczy. Usłyszawszy coś tak wstrząsającego, na chwilę zapomniał o strachu. Oparł się o kraty celi.

--Cofnij się! -- krzyknął Sypes. Zagrzechotały łańcuchy.

I Fogwill poczuł zęby wbijające się w łydkę. Zawył, próbował się wyrwać, ale uścisk był potężny.

--Puść go! -- ryknął prezbiter. -- Bo nigdy więcej cię nie nakarmię. Będziesz tu gnął przez całą wieczność.

Warcząc, anioł rozwarł szczęki. Fogwill zatoczył się do tyłu, blady i drżący. Z rany płynęła krew, brudząc szatę. Adiunkt skrzył w jedną stronę, potem zrobił kilka kroków w drugą, kompletnie oszłomiony. Mydło, potrzebował mydła. Musiał się stąd wydostać, uciec od słów Sypesa, od okaleczonego anioła. Nie chciał nic wiedzieć. Potrzebował światła słonecznego, spokojnego miejsca, gdzie mógłby zebrać myśli. Gdzie odzyskałby wiarę i mocno się jej trzymał.

Prezbiter potrząsnął nim bezceremonialnie.

--Weź się w garść, człowieku! Musisz myśleć jasno, bo do tego cię potrzebuję. W głębi celi zachrobotaly łańcuchy.

--Nakarm mnie! Nakarm mnie!

Devon siedział na leżaku na dachu starej pochyłej wieży, która kiedyś należała do Jacoba Blacklocka, zamożnego właściciela odlewni na obrzeżach Depresji. Biały

parasol łopotał na wietrze i słabo chronił przed siekącym deszczem, ale Truciciel i tak rozkoszował się widokiem. Nad Deepgate zbierały się ciemne chmury, oświetlone przez płonące fabryki i magazyny stłoczone nad ziejącą rozpadliną, która przecinała miasto. Mimo dużej odległości pożar odbijał się w jego okularach i wysokim, kryształowym kieliszku rhaku, który trzymał w ręce. Podniósł go do nosa, wciągnął oleisty bukiet i odstawił naczynie. Zapasy starego Crossopa zrobiły dobrą robotę, podsycając ogień. Przynajmniej nic się nie zmarnowało.

Teraz Devon miał do wykonania ważne zadanie. Wstał z leżaka i, zachowując ostrożność na pochyłym dachu, podszedł do schodów, które opadały spiralą do jego nowego mieszkania. Blacklockowie opuścili wieżę po zamknięciu odlewni, kiedy to łańcuchy podtrzymujące naprężyły się do tego stopnia, że Depresja stała się niebezpiecznym miejscem. Devon nie przejmował się zbyt zagrożeniem. Wieża od tak dawna stała nietknięta, że było mało prawdopodobne, by się zawaliła w najbliższej przyszłości.

W porównaniu z poprzednim lokum pokój, w którym się rozgościł, był skromny. Pod kolistymi ścianami leżały kupki pokruszonej zaprawy. Przez roztrzaskane okno wpadał wiatr. W niszach z nagiego kamienia leżało trochę jego książek i stała skwiercząca lampa naftowa. Reszta książek była ułożona w stosach na podłodze, z wyjątkiem kilku, których użył do podparcia nóg biurka i krzesła, żeby stały prosto. Wolne miejsce pod jedną ścianą zajmowały skrzynie z nazwą Crossop wypaloną w drewnie, z podstawowym wyposażeniem, ubraniami i zapasem jedzenia. Na środku pokoju stało siedem buteleczek z krwią Spine i fotel z pasami.

Devon wypatrzył wieżę przed laty podczas jednego z zimowych spacerów i zapamiętał to miejsce. Blacklockowie zostawili kilka prostych mebli: stoczone przez korniki biurko, które nie zmieściło się w wąskim oknie albo na klatce schodowej, a nie było warte trudu rozkładania go na części; starą komodę i kufer, również zbyt nieporęczne i ciężkie, żeby je zabierać; i beczkę nafty do lamp. Cysterna była w jednej trzeciej zapełniona wodą, trochę słonawą, ale zdatną do picia; jakieś dziewięćdziesiąt galonów. Przeniesienie reszty sprzętu na wzgórze, a potem wtaszczenie go po schodach wymagało całej nocy ciężkiej pracy. Wysilek omal nie wykończył Devona. Ale najważniejsze, że po urządzeniu się mógł tu mieszkać przez kilka miesięcy bez konieczności wyprawiania się do miasta. Choć czuł pewien żal z powodu utraty pięknych mebli i obrazów, zwłaszcza delikatnego lustra z Clone albo zbioru dzieł Brandekasa oprawionych w skórę, nie należał do osób, które długo rozpamiętują

nieszczęścia. Zajął się rozpakowywaniem reszty sprzętu. Pod pewnymi względami jego sytuacja była teraz prostsza. Praca w Kuchniach Trucizn już mu nie przeszkodzi w wytwarzaniu anielskiego wina, a pozbycie się ostatniego ciała nie powinno być męczące. Wieża miała głęboką piwnicę.

Po rozstawieniu aparatury do ekstrakcji, oczyszczania i filtrowania buteleczek, stojaków i palników -- usiadł przy biurku i otworzył torbę z papierami. Dziennik Miękkich Ludzi położył po jednej stronie, swoje notatki po drugiej.

Doprowadzenie oryginalnego eliksiru do stanu nasycenia wymagało trzynastu dusz. Devon spodziewał się, że napój do tej pory już objawi swoją moc, ale ku własnej konsternacji nie zaobserwował ani śladu opisanych efektów. Prawdę mówiąc, notatki okazały się niekompletne, miejscami nawet sprzeczne. Archaiczny język był najeżony terminami, które Truciciel nie całkiem rozumiał, domyślał się jednak, że rezultaty były widoczne wcześniej.

Po wypiciu anielskiego wina szczury laboratoryjne szybko dochodziły do siebie, nawet jeśli ich rany albo choroby były potencjalnie śmiertelne. Kilka odciętych kończyn odrosło, nawet dekapitacja nie zakończyła się zgodnie z przewidywaniami. Głowy przeżyły i zachowały świadomość, podczas gdy ciała drgały w klatkach. Po połączeniu zrastały się i szczury znowu zaczynały funkcjonować normalnie. Gdyby nadał odżywiało się je kroplami eliksiru, można by przedłużać ich życie w nieskończoność.

Devon przejrzał swoje zapiski. Oprócz braku oczekiwanych rezultatów jeszcze jedno bardzo go niepokoiło. Zwierzęta były skłonne do ataków niepohamowanej wściekłości... i szaleństwa.

Szczury karmione anielskim winem atakowały i rozrywały każde żywe stworzenie, które znalazło się na ich drodze. Często nawet sobie usiłowały robić krzywdę -- gryzły własne kończyny, jakby szukały śmierci.

Próby uwolnienia się od nieznośnego koszmaru? -- myślał Devon.

W każdym razie eliksir niezaprzeczalnie działał. Zwyciężało życie. Każda rana, którą zadawały sobie biedne stworzenia, wkrótce się goiła. Jedynym sposobem, żeby zakończyć ich mękę, było usunięcie z nich krwi do ostatniej kropli.

Kolejny dowód, że życiowa energia jest zawarta we krwi. Dusza? Kościelne słowo. A kto w otchłani usuwa krew z umarłych, zanim jej energia się zmarnuje? Bóg łańcuchów?

Devon się uśmiechnął. Kiedyś może warto by to odkryć.

Po wstępnych wynikach testów na zwierzętach w dzienniku pojawiały się luki. Strony były pomazane, jakby spisana na nich wiedza była zbyt niebezpieczna dla Kościoła. Ale zachowały się uwagi na marginesach nabazgrane po tym, jak pan Partridge, pan Hightower i pan Bloom napili się anielskiego wina.

Devon przeczytał fragmenty, które zdołał odszyfrować, parę zdań skreślonych przez pana Hightowera, zanim po niego i jego kolegów przyszli Spine.

--Skażony duch albo wiele duchów ukrytych w roztworze może naginać wolę rozdartej wspólnoty.

--Mordercy czy nikczemnicy? A może dusze doprowadzone do obłądu przez brzemień grzechu.

--Wybuchowość jest wyrazem ich gniewu z powodu naszych grzechów.

--Dusze szepczą zza zasłony. Najostrzejszy nóż nie może się do nich przebić. Ciało się goi. Głosy przyciągają mnie do Irilu.

Z tekstu wynikało, że wyekstrahowane dusze umieszczone w nowych gospodarzach miały świadomość. I były wściekle. Devon odrzucił tę interpretację, ale czuł pewien niepokój. Miał do czynienia z metafizycznymi energiami i fizyczną materią, bezrozumnymi siłami, za pomocą których można kierować żyjącym umysłem. Nie butelkował duchów.

Hightower, ze względu na żarliwą wiarę, po prostu usiłował wytłumaczyć niezrozumiałe dla niego zjawiska w kategoriach duchowych. Wierzył, że został opętany.

Devon rozważał przez chwilę tę kwestię. Hightower najwyraźniej straszliwie cierpiał. Szaleństwo było wynikiem zważnienia albo ubocznym skutkiem skażenia eliksiru. To ostatnie wydawało się bardziej prawdopodobne. Bezmyślne szczury też przecież piszczały bez powodu.

Po powrocie do biblioteki Sypes odstąpił swoje krzesło Fogwillowi, kazał służbie przynieść szarpie, alkohol i bandaże. Teraz klęczał przed adiunktem i opatrywał mu rany.

--Znalezienie dziennika Miękkich Ludzi zabrało mi wiele miesięcy -- powiedział, wycierając krew z łydki Crumba. -- Wśród tego bałaganu. -- Zakrwawionym kawałkiem płótna wskazał na stosy książek.

Fogwill prawie nie czuł bólu. Nadal cały się trząsł. Lodowate zimno ścisnęło mu wnętrzności. Jego życie nagle wywróciło się do góry nogami, a on po omacku szukał w tym chaosie kawałków, które miałyby jakiś sens.

Nasza wiara zbudowana na kłamstwie? Niebo na zawsze zamknięte? Callis, herold Zbieracza Dusz to żarłoczna bestia. A nasz bóg...

Otoczała go świątynia Ulcisa, niepojęty ogrom. Nic, tylko zimne, puste przestrzenie.

Kim jest nasz bóg?

--Oczywiście nie zrozumiałem części naukowej, ale niektórym naszym chemikom się to udało.

--Kradzież trzynastu dusz... Po co? Chciałeś zmienić Devona w potwora, który rywalizowałby z Ulciszem?

Sypes przewiązał bandażem oczyszczoną łydkę Fogwilla. Wstał ze znużeniem i ze zmarszczonym czołem.

--Myślisz, że łatwo było powziąć tę decyzję? -- wyrzucił z siebie. -- Devon jest jedynym człowiekiem, który ma dość odwagi, żeby czegoś takiego dokonać. On nienawidzi Kościoła!

--Uczyniłbyś go bogiem?

--Nie jego, głupcze! Jeden łyk anielskiego wina i zmieniliby się w szaleńca. Wtedy zabralibyśmy mu eliksir.

--Nie ty, Sypes... Niech mnie ciemność pochłonie... Myślałeś, że zdołasz utrzymać oblężenie na wodzy?

--Rozejrzyj się, adiunkcie! -- Prezbiter zatoczył laską koło. -- Jakże prawdy butwieją pogrzebane pod tymi wszystkimi kłamstwami? -- Pokuśtykał do jednej z kolumn, otworzył kratę i wyjął gruby wolumin. -- Katapulta. Działo. Zapomniane słowa. -- Zaczął wrywać kartki. -- Żadnego sensu! A tutaj... -- Następna półka, kolejne tomiszczce. -- Pogańskie kultury. Kurhany w Loom. Co to znaczy? -- Rzucił księgę na podłogę, wyjął następną. -- Ha! Relacja z Bitwy Zęba. Kłamstwa! -- Starzec wyszarpnął stronicę, cisnął je w powietrze. -- Wszystko kłamstwa! To nic nie znaczy. -- Stał zasapany pośród walającego się papieru. Zaciśnął na lasce chude palce poplamione atramentem. -- Najstarsze księgi obróciły się w proch, Fogwill. I to jest jedyna prawda. Czas wszystko ujarzmia. Prawda i kłamstwa stają się synonimami. W rezultacie nie liczy się nic, co wiemy albo robimy. Ale ty nie możesz w to uwierzyć.

Sprzeciwiłbyś się swojemu bogu, wypił anielskie wino i popadł w szaleństwo? Zaryzykowałbyś gniew Spine, żeby nas wszystkich uratować. -- Sypes westchnął głęboko. -- Elixir był przeznaczony dla Carnival, żeby położyć kres jej cierpieniu. Dzięki niemu... -- Oparł się ciężko na lasce. -- To była jedyna rzecz, za którą moglibyśmy kupić sobie jej pomoc.

--Chciałeś Carnival za sojusznika?

Zaledwie przed godziną adiunkt uznałby takie słowa za potworne bluźnierstwo. Ale teraz? Wieża z kart, cały ten plan. Zlecić jednemu wrogowi wymyślenie sposobu na zwerbowanie drugiego wroga, żeby ten z kolei wystąpił przeciwko trzeciemu, najgroźniejszemu z nich?

Naszemu własnemu bogowi?

Prezbiter musiał czytać w twarzy adiunkta, bo powiedział:

--Bóg łańcuchów jest wściekły, Fogwill. Przychodzi po nasze dusze, ma na swoje rozkazy całą armię zmarłych, a oni wszyscy są bezmyślnymi wykonawcami jego woli. Kto oprócz Carnival mógłby stanąć przeciwko niemu? -- Potarł twarz i westchnął przeciągle. -- Anielskie wino?... Trzeba znaleźć Devona.

Crumb pokiwał głową.

--Nasze wojska?

--Wezwij je -- polecił Sypes. -- Potrzebujemy ich tutaj... gotowych do walki.

--Co im powiemy? Prezbiter wzruszył ramionami.

--Nie mam zielonego pojęcia.

Działo się coś dziwnego. Dill już dwa dni temu zaobserwował zmiany, ale jak zwykle nikt

nie raczył mu nic wyjaśnić. Statki wojenne wracały z wysuniętych posterunków; jeszcze nigdy nie widział ich tyłu naraz. Niebo nad Deepgate aż się od nich roilo. A na dziedzińcu przed Mostem Bramnym każdego ranka gromadziły się oddziały żołnierzy i wyruszały do miasta. Z podsłuchanych urywków rozmów personelu kuchennego wynikało, że odbywają się jakieś manewry wojskowe. Kapłani biegali z posępnymi minami i żaden nie miał czasu porozmawiać z Dilem. Nawet żalobnicy zjawili się na ceremonii Wysłania bardziej ożywieni niż zwykle, a w Sanktuarium zarówno prezbiter, jak i adiunkt Crumb siedzieli pogrążeni w ponurej zadumie.

Anioł zaczął się zastanawiać, czy w całym mieście jest oprócz niego jeszcze ktoś, kto nie zna sekretu. Czyżby Deepgate spodziewało się ataku ze strony pogan?

Rachel była pewnie zajęta swoimi obowiązkami, bo nie widział jej od czasu wyprawy do Kuchni Trucizn. Poprzedniego dnia, gdy tylko słońce przebiło się przez koronę iglic, wspinał się po schodach i drabinach na dach wieży, gdzie nie tak dawno asasynka namówiła go do latania. Ale teraz jej tam nie było. Nie poszedł jej szukać; po prostu miał więcej wolnego czasu niż kiedykolwiek, więc rozkoszował się wiatrem, który przeczesywał mu pióra, i cieszył się, że kapłani zaferowani swoimi sprawami nie zwracają na niego uwagi.

Poza tym miał kłopot ze ślimakami. Drogę do jego pokoju znajdowało ich więcej niż zwykle, dlatego ostatnio zaczął wypuszczać je na wolność coraz dalej od swojej wieży. Szedł przez świątynię całymi milami, zostawiał jednego tu, drugiego tam, głównie pod drzwiami cel kapłanów, w korytarzu Sanktuarium, na schodach i parapetach, przed salą lekcyjną. Raz dotarł aż do siedziby Spine, z wiadrem zapelnionym do połowy, ale stwierdził, że jest tam za ciemno, więc zaniósł je do Niebieskiej Sali i ukrył pod serwetkami.

Dzisiaj miał pełne wiadro, prawie sto ślimaków, i szukał odpowiednich miejsc, wędrując zakurzonymi korytarzami w pobliżu schodów dla akolitów, gdy obok niego przepchnął się zgarbiony kapłan o szarej twarzy, z naręczem zwojów, ze złością odpychając skrzydła anioła.

--Musisz zawsze wchodzić wszystkim w drogę?

--Przepraszam. -- Dill rozpląszczył się na ścianie.

--Nie możesz ich sobie zwięzać? -- burknął kapłan i popędził dalej korytarzem, zamiatając sutanną kamienne płyty i potrząsając siwą głową. Przez ramię rzucił jeszcze: -- Jeśli już koniecznie musisz zbierać ślimaki, na litość boską, nie dopuść do nich Fondelgrue'a.

Kuchnia? O tym wcześniej nie pomyślał. Tam byłoby im dobrze. Może polubiłyby ciepło i już tam zostały. Rozpostarł skrzydła i pognał przed siebie, piórami zbierając kurz ze ścian.

Będę zajmował tyle miejsca, ile chcę.

Biegł korytarzami, składając skrzydła tylko wtedy, gdy mijał pochodnie umieszczone na murach. Za sobą zostawiał ślad w postaci ślimaków.

Zanim dotarł do schodów prowadzących na wieżę porośniętą bluszczem, wiadro było puste, a on czuł się zwycięzcą. Nie ustąpił miejsca żadnemu kapłanowi. Co prawda, ani jednego nie spotkał, ale nie w tym rzecz. Zdjął ze ściany pochodnię i ruszył na górę.

Sto stopni wyżej zaczynały się wąskie okna. Dill wsadził pochodnię w pusty uchwyt, odstawił wiadro i resztę schodów pokonał biegiem. Ktoś schodzący z góry musiałby usunąć mu się z drogi.

Wychynawszy z włazu, ujrzał bezkresne błękitne niebo. Pod walącymi się łukami siedziały przygarbione gargulce, zwrócone w stronę miasta, obojętne.

Rachel nie było.

Nikt już nie miał dla niego czasu. Dlaczego wszyscy tak się spieszyli? Jeśli miasto szykowało się na atak, czy ktoś nie powinien go o tym poinformować? Chyba nadal był stróżem świątyni?

Z irytacją załopotał skrzydłami.

Patrzycie?

Okna w sąsiednich iglicach były zamknięte, kapłani zbyt pochłonięci bieganiem po korytarzach i swoim wielkim sekretem, żeby coś zauważyć albo się tym przejąć. Dill mocniej poruszył ramionami i unosił się cał nad ziemię, ale wpadł w panikę i czym prędzej opadł.

Ale drzwi uchylone na jeden cal to, tak czy inaczej, otwarte drzwi. Właśnie wtedy Dill postanowił zrobić coś, co było zakazane. Postanowił nauczyć się latać.

Pierwsze próby były tragiczne. Zaniepokojony, że ktoś może wejść na wieżę, znalazł starą belkę i zablokował nią klapę. Nawet wtedy nie przestał się bać i przez jakiś czas chodził w tę i z powrotem, aż nabrał pewności, że nikt się nagle nie pojawi. Przy każdym uderzeniu skrzydeł czuł, że się unosi, ale zaraz potem nasluchiwał nerwowo, czy ktoś nie wspina się po schodach. W końcu zebrał się na odwagę i wzbil w górę na całą stopę. Potem trzy stopy. Sześć. Ale zawsze opuszczał się szybko i przystawiał ucho do wjazdu.

Największe kłopoty miał ze zmianą kierunku. Potrafił utrzymać się w powietrzu, ale kiedy próbował skrócić w lewo albo w prawo, tracił równowagę i przestraszony opadał na kamienne płyty, zanim zdążył odkryć, co robi źle. Mógł wisieć w jednym miejscu, unosić się i opuszczać, ale jaki byłby z niego pożytek, nie licząc wymiany świec w świątynnym żyrandolu? Jak to robił Gaine? Dill nigdy nie widział, jak ojciec lata, ale słyszał, że w młodości pofrunął do boju razem ze statkami kościelnymi. Szkoda, że nie mógł teraz udzielić mu paru lekcji.

Mijały dni. Dill każdego ranka wracał na bluszczową wieżę, żeby ćwiczyć. Utrzymywał się w powietrzu coraz dłużej, wisząc nad środkiem okrągłego dachu, a kamienne gargulce odwracały się od niego, ale jednocześnie drwiły z jego prób, bo bał

się skrętów i nieuniknionego upadku na kamienne płyty. Ręce i kolana miał wiecznie otarte, ubranie zakurzone i postrzępione. Najwyraźniej nikt tego nie dostrzegał. Personel świątyni nadal był zaabsorbowany swoim tajemniczym dylematem. Rachel się nie pojawiała. Dilla pozostawiono samemu sobie.

Aż pewnego ranka wreszcie mu się udało.

Wisiał jakieś sześć stóp nad dachem i słuchał ćwierkania ptaków wśród blanków, kiedy zauważył, że z karku gargulca wyrasta mały kwiatek. Pod wpływem impulsu postanowił go zerwać i zanim się zorientował, co robi, trzymał kwiat w ręce. Jak trofeum. Potem zawrócił, przeciął środek okręgu i skręcił w lewo do następnego kamiennego stwora. Nagle wszystko okazało się proste. Wystarczyło, że pomyślał o zmianie kierunku, i już tam leciał. Serce mu lomotało.

Wykonywał tak subtelne ruchy skrzydłami, że sam nie był pewien, na czym polegają. Gdy świadomie spróbował skrócić w prawo, zaczął spadać i musiał się ratować przed runięciem na ziemię. Za dużo myślenia, doszedł do wniosku. Musi się odprężyć, pozwolić, żeby skrzydła niosły go bez wysiłku. Odkrył, że sztuczka polega na tym, żeby się nie starać, tylko zdać na instynkt. Powoli wykonał zwrot w prawo, zawrócił nad środek kręgu. Potem zrobił to samo, tylko wyżej. Tym razem nie skupiał się na poruszeniach skrzydeł. Zatokczył ciasne koło nad

dachem wieży i poszybował w górę, do miejsca, z którego upadek skończyłby się fatalnie. Z każdym nowym manewrem nabierał pewności siebie.

Udało się. Potrafił latać.

Szybował, śmiejąc się radośnie. Zostawił gargulce i wyszczerbione blanki daleko w dole, poleciał nad stromymi łupkowymi dachami i kominami, poza iglicę Rookery. Pod nim rozciągało się Deepgate spowite delikatną poranną mgielką. Dill nabral pełne płuca słodkiego powietrza, okrążył iglicę, a następnie zawrócił i triumfalnie spojrział z góry na znajomą bluszczową wieżę. Gargulce były teraz małe, przykute do ziemi i brzydkie, patrzyły w dal z przyklejonym grymasem, nieświadome obecności anioła.

I wtedy Dill usłyszał stukanie we właz. Ktoś próbował dostać się na dach.

Na moment wpadł w panikę i omal nie runął jak kamień, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą i kontrolę nad lotem. Wylądował bezpiecznie, choć niezbyt elegancko. Kiedy odsunął belkę i otworzył klapę, cały drżał i brakowało mu tchu.

To była Rachel. Wyszła na blask słońca i zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

--Co robisz? -- zapytała, patrząc na jego sfatygowane ubranie.

--Nic.

--Dlaczego nie otwierałeś włazu?

Dill się zaczerwienił. Jego oczy też zrobiły się różowe.

--Ja... ćwiczyłem.

Asasynka zerknęła na jego poprzecierane spodnie.

--Ćwiczyłeś? -- Na jej wargach pojawił się cień uśmiechu. -- Mój brat zwykle mówił to samo.

Dill poczuł, że jego oczy płoną czerwienią. Odwrócił się i otrzepał kurz z ubrania.

--Gdzie byłeś? -- zapytał. -- Od wieków nie widziałem cię w świątyni.

--Byłam zajęta. Cała ta historia z Devonem sprawiła, że w wojsku zapanował chaos. Nikt nie wie, który sterowiec ma uzupełnić paliwo, gdzie dostarczyć ładunek. Wezwano statki wojenne i żołnierzy z garnizonów. Mówi się nawet o powołaniu rezerwistów.

--Jaka historia z Devonem? Rachel popatrzyła na niego dziwnie.

--Nikt ci nic nie powiedział?

Dill potrząsnął głową. Próbował zachować obojętną minę, ale w końcu jego ożywienie i radość przerodziły się w żal.

--Nie.

Tak więc Rachel opowiedziała mu o zniknięciu Truciciela i o eksplozji, która zabiła świątynnych strażników wysłanych do jego mieszkania. Teraz w całym mieście trwało polowanie na Devona. Dill słuchał jej z mieszaniną zdumienia i narastającego wstydu. Miasto nie szykowało się na żaden atak. Kościół nie odwrócił się do niego plecami. Za to on złamał świątynne prawo, ucząc się latać.

--Robił anielskie wino -- wyjaśniła Rachel.

--Tak jak...

--Właśnie. Miękczy Ludzie. Pojawia się sporo truchel, Kościół wysyła gwardzistów, żeby porozmawiali z Devonem i... Bum! Sześć grzanek w zbrojach i ani śladu Truciciela.

--Czy Kościół...

--Tak. Sypes musiał wydać oświadczenie. Gdyby Spine byli w stanie się zdenerwować, teraz chodziliby po wszystkich łańcuchach Deepgate. Anielskie wino! -- Rachel potrząsnęła głową. -- Mówi się nawet o wykopaniu Miękkich Ludzi, żeby ich zapytać, czego możemy się spodziewać.

--Dlaczego...

--On umiera, a tacy ludzie są zdesperowani. Dill zmarszczył brwi.

--Dlaczego ty...

--Nie pozwalam ci dokończyć zdania? -- Asasynka umilkła na chwilę. -- Nie wiem.

Przepraszam. Mów. Nie będę przerywać.

Ale Dillowi nic więcej nie przyszło do głowy.

ROZDZIAŁ 16 POLOWANIE

W następnych dniach trwało polowanie na Devona. Każdego ranka Dill obchodził balkon wkoło i patrzył na sterowce sunące nisko nad Deepgate. Całe niebo się od nich roiło. W nocy ich eterowe reflektory przeczesywały najciemniejsze zaułki pod przybywającym księżycem, a Dill siedział skulony w swojej celi pośród świec i ślimaków i miał nadzieję, że chociaż raz światła padną na niego.

Zaniesienie ślimaków do kuchni okazało się złym pomysłem. Fondelgrue rzucił się na nie od razu i wszystkie włożył do worka. Zapewniał, że zna miejsce, gdzie będą szczęśliwe i gdzie Dill ich więcej nie zobaczy, ale go nie przekonał. Anioł zaproponował, że pójdzie razem z nim, ale tłusty kucharz go przegonił, mówiąc, żeby się nie martwił, bo będzie im naprawdę dobrze i bardzo ciepło. A teraz spływaj. Dlatego Dill znalazł dla swoich podopiecznych nowe miejsce: zbrojownię świątynnej straży z mnóstwem ciemnych zakamarków, w których mogły się ukryć.

Niedługo po tym, jak wrócił z cowieczornego spaceru ze ślimakami, do jego celi wpadła Rachel. Dill upuścił książkę, którą czytał.

--Wszyscy gwardziści są na mieście, pukają do drzwi, przeszukują domy, zadają pytania, ogary węszą. Z Sandport i z fortów Plantacji wezwano trzeci, siódmy i dziewiąty oddział, żeby dołączyły do poszukiwań. Zaczynają powoływać rezerwistów, setkami. Tylu żołnierzy nie widziałam w Deepgate od lat, a kolejni są w drodze. Zauważyłeś statki wojenne? Na pokładach stoją aeronauci z lornetami. -- Umilkła, żeby zaczerpnąć tchu. -- Szlachta jest niespokojna, pospólstwo płacze jak kocięta w worku. Ludzie czują, że zbliża się godzina policyjna i większe podatki. Powinieneś słyszeć rozmowy w piwiarniach i tanich gospodach. Po co tylu żołnierzy do zwykłego poszukiwania zbiega? I dlaczego, do licha, oni mają za to wszystko płacić?

--Szykują się kłopoty? -- spytał Dill, nadal lekko wytrącony z równowagi po jej nagłym wtargnięciu.

--Nie ze strony wojska. Rezerwiści są szczęśliwi, że znowu dostają żołd, kupcy i szlachta mogą sobie pozwolić na dodatkowe opłaty. Ale zwykli ludzie zaczną się burzyć. Są szczęśliwi, że ich dusze będą zbawione, i chętni do przyglądania się egzekucjom, ale nie lubią sięgać do kieszeni, żeby wyżywić armię.

Rachel ruszyła do drzwi balkonowych i wyszła na taras. Po chwili wahania Dill wziął książkę i podążył za nią.

Cienie wędrujące od zachodniej krawędzi otchłani już pochłonęły jedną trzecią Deepgate. Na wschodzie ulice i domy, łańcuchy, dachy i kominy lśniły w zachodzącym słońcu jak złoto, z przebłyskami miedzi i brązu, okna iskrzyły się niczym rozrzucone klejnoty. Dwanaście sterowców dryfowało nad miastem jak padlinożercy wypatrujący zdobyczy.

--Dzisiaj pełnia -- powiedziała Rachel. -- Z tej okazji Spine modlą się do Ulcisa, żeby księżycyca nie ubywało i żeby nie nastąpiła Noc Blizn.

--A ty?

Asasynka wzruszyła ramionami.

--Normalnie w czasie pełni jestem spokojniejsza, bo Carnival pozostaje w ukryciu. W nocy na ulicach panuje spory ruch, ludzie są odprężeni. Ale dzisiaj... -- Blisko świątyni przeleciał statek wojenny. Rachel obserwowała go przez chwilę. -- Dzisiaj jest inaczej. Wezwano żołnierzy aż z północy, żeby zostawili ziemie uprawne wzdłuż całej Coyle niestrzeżone i szukali jednego człowieka. Czuję, że chodzi o coś więcej. Prezbiter Sypes nie mówi nam

wszystkiego.

--Atak Heshette?

--Nie. -- Rachel jeszcze przez chwilę patrzyła na sterowiec, a potem odwróciła się do Dilla.

-- Heshette od dziesięcioleci nie stanowią zagrożenia dla miasta. A przy okazji, co czytasz?

Dill pokazał jej książkę: Strategie lotów bojowych dla świątynnych archontów. Asasynka się uśmiechnęła.

--Nie jest zakazana -- powiedział szybko anioł. -- Sprawdzalem. -- Poczul jednak, że jego oczy się rumienia.

W mroku kryjówki, którą urządził sobie w sieciach pod wieżą Devona, pan Nettle obserwował statki wojenne. Ryk silników dochodził do niego lekko przytłumiony, reflektory poruszały się bezustannie, przesywając noc. Wyglądały jak nogi dziwnych eterycznych bogów.

Na prowizoryczny dach składała się płachta blachy cztery na pięć i trzy mocne belki znalezione w ruinach magazynu gazu węglowego. Pan Nettle związał je liną i przymocował do sieci, w tym miejscu wyjątkowo grubych, jak we wszystkich dzielnicach przemysłowych, i dostatecznie mocnych, żeby utrzymać ciężar jego schronienia. W ciągu ostatnich dwóch tygodni kilka razy wypuszczał się do miasta, żeby uzupełnić zapasy. Ponieważ nie miał nic na sprzedaż ani czasu, żeby coś złowić, był zmuszony kraść jedzenie z wozów na targu Gardenhowe. Blisko Sierpa napelnil butelkę wodą z ogólnodostępnej rury dla robotników, ale nie wrzucił półpensówki do szczeliny.

Te przestępstwa nie dawały mu spokoju -- wciąż wracał do nich myślami, jakby zdzierał świeże strupy -- ale dużo bardziej dręczyło go coś innego. Ten drugi dylemat ciążył mu na duszy jak cegła.

Devon ukradł już dwanaście dusz, potrzebna mu była jeszcze jedna. Żeby anielskie wino nabrało mocy, Truciciel musiał spuścić krew z kolejnej niewinnej ofiary.

I pan Nettle nie miał innego wyjścia, jak mu na to pozwolić.

Zacisnął zęby i przewrócił się na sieci, jakby to mogło złagodzić jego ból. Abigail była wszystkim, co się dla niego liczyło. Abigail, Abigail. Wciąż powtarzał jej imię, żeby przepędzić inne myśli. Teraz, kiedy wiedział, gdzie jest jej dusza, nie mógł przeszkodzić Devonowi w uzyskaniu eliksiru. Musiał czekać beczynn timer. Dla niej.

Jednak głos Abigail wciąż odzywał się w jego głowie. Jego córka nie była szczęśliwa.

„A co z innymi duszami?“, pytała go. „One będą uwięzione we mnie? Czy ja będę uwięziona w nich?“.

Pan Nettle nie chciał o tym myśleć. Iloma osobami będzie jego córka?

Liny pod nim się napięły, kiedy przekręcił się na brzuch i zajrzał w otchłań. Podróż w dół byłaby trudna.

„To niemożliwe“, upierała się Abigail. „Zamierzasz zejść na dół? Po linie? Użyjesz haka i kolków, żeby dotrzeć do miasta Deep? A potem co? Wejdiesz do pałacu Ulcisa i zażądasz mojego ciała?“.

Pan Nettle nie wiedział. Wszyscy słyszeli opowieści o ludziach, którzy zeszli na dół. I o tym, że nikt nie wrócił.

„Znajdę drogę“.

„Jak?”.

„Nie wiem”.

Może ukradłby sterowiec albo zszedł po ścianie przepaści?

„Ukraść sterowiec?”. Abigail się zaśmiała. „Za kogo siebie uważasz? Jesteś zwykłym sieciarzem, na litość boską”.

„Zostaw mnie w spokoju”.

I wtedy przed jego oczami stanął obraz sześćioletniej Abigail tupiącej nogą.

A co z jego duszą? Była skazana na potępienie od chwili, kiedy postanowił odzyskać ciało córki z otchłani. Bóg łańcuchów niechętnie witał intruzów. Nie będzie zbawienia dla pana Nettle.

„Nie dbam o to”, oświadczył. I uświadomił sobie, że naprawdę tak myśli. W potępieniu była pewna pociecha. Stosowna kara za to, że pozwoli Devonowi znowu kogoś zamordować. Konieczna.

„On wypuści z nich krew!”. Pan Nettle drgnął, słysząc gniew w głosie córki. „Jak możesz się zgodzić, żeby jeszcze kogoś skrzywdził? Kogoś takiego jak ja”.

„Zamilcz!”.

Wokół jego serca zacisnęła się pięść. Jak dotarł do tego punktu? Jakie siły nim kierowały? Od śmierci córki przestał mieć w życiu wolny wybór. Za nic nie ponosił odpowiedzialności. To bóg był winien. Próbował zabrać mu wszystko, uczynić go pustym w środku. Próbował go złamać. Pan Nettle na krótką chwilę poddał się rozpacz. W ciemności pod wieżą, całym miastem i niebem ze statkami powietrznymi poczuł się mały i samotny, nie licząc ech głosu Abigail.

Potem wezbrał w nim gniew, wypełnił pustkę, odepchnął wszelkie inne uczucia. Krew zadudniła mu w uszach. Ten gniew wystarczyłby, żeby podtrzymać miasto. Pan Nettle chwycił w garści sieć, splunął w otchłań. I co z tego, że jeszcze ktoś umrze? To nie on będzie trzymał nóż.

„Nie!”.

„On mnie nie pokona”.

Abigail będzie jego zwycięstwem.

Oddychał ciężko. Odwrócił się na plecy, nie wypuszczając sznurów z rąk. Jeden statek powietrzny zniknął za wieżą, ale kolejny zbliżał się z hukiem od południa. W wąskim oknie wysoko na wieży paliło się światło.

„Nieostrożny”.

Ostatnio Devon nabrał zwyczaju zostawiania światła przez całą noc. W czasie pierwszego przeczesywania Depresji strażnik świątynny nie dał rady otworzyć drzwi wieży, a ogary nie wykazały zainteresowania tym miejscem, więc po prostu poszedł sobie dalej. Ale jeśli Truciciel myślał, że jest bezpieczny, bardzo się mylił. Blask lampy w końcu przyciągnie czyjaś uwagę, zwłaszcza w tej okolicy. Jak Devon mógł być taki głupi?

Z okna wychyliła się głowa, błysnęły okulary. Truciciel rozejrzał się i cofnął do środka.

Pan Nettle sięgnął po tasak, ale nie odrywał wzroku od światła na wieży.

Nagle do jego uszu dotarło głuche bębnienie. Sieciarz usiadł prosto i zaczął nasłuchiwać. Po chwili dźwięk się powtórzył. Nie mylił się. Ktoś dobijał się do drzwi kryjówki Truciciela.

Carnival obserwowała sterowce z gałęzi starego kamiennego drzewa. Przez niskie chmury przeświecała jasna tarcza, ale po tej nocy księżyc zaczynał ubywać. Jeszcze dwa tygodnie do Nocy Blizn, a głód już powoli wpełzał z powrotem w jej żyły. W żołądku czaił się tępy ból. Nieprzyjemne wrażenia miały się nasilać w ciągu następnych dni... aż do chwili, kiedy wzejdzie czarny księżyc, a ona znowu umrze.

Próbowała ignorować te doznania. Noc była rozkosznie chłodna, z ogrodu płynął zapach kwiatów. Gładki srebrzysty trawnik otaczały pachnące zioła i krzewy jaśminu sięgające aż po mur opleciony bluszczem.

Często przychodziła tutaj w nocy, żeby posiedzieć na drzewie, oczyścić płuca i posłuchać szelestu liści poruszanych wiatrem. Codziennie o świcie zjawiał się stary ogrodnik, otwierał żelazną kratę w północnym murze, zamykał ją za sobą i zaczynał leniwy obchód rabat kwiatowych.

Carnival rzadko zostawała aż do tej pory -- światło dzienne ją raziło -- ale kilka razy zdarzyło się jej przyglądać w milczeniu starcowi. Jego spokój i pracowitość działały na nią kojąco. Sposób, w jaki się krzątał, mrużąc coś pod nosem, kopał w ziemi, pielil, rozkoszował się ciszą poranka. Takiej bliskości nie czuła wobec żadnej innej osoby w mieście.

W Noc Blizn unikała ogrodu.

Sądząc po nędznym wyglądzie ogrodnika, wątpiła, żeby do niego należały rośliny, które pielęgnował. Ten ogród miał świadczyć o bogactwie i jeśli właściciele

kiedykolwiek go odwiedzali, zapewne robili to długo po tym, jak słońce wyszło roś z trawy, i kiedy Carnival już od dawna siedziała w swojej kryjówce.

Czując nocny chłód na skórze, a wokół zapach kory i kwiatów, spojrzała w górę i zmarszczyła brwi, kiedy nad jej głową z hukiem przeleciał statek wojenny. Jego reflektory przecinały ciemność.

Jak długo już trwają te poszukiwania? Na początku przyglądała się sterowcom z umiarkowanym zainteresowaniem. Czyżby zabiła kogoś ważnego podczas ostatniej Nocy Blizn? Nie przypuszczała, żeby doktor zajmował szczególnie wysoką pozycję społeczną, ale mógł być krewnym jakiegoś generała albo kapłana wysokiej rangi. Co kilka dekad, zwykle po namaszczeniu nowego prezbitera, świątynia urządziła pokazowe łowy na Carnival. Wprowadzano godzinę policyjną, nerwowi strażnicy patrolowali ulice, nigdy nie zaglądając w mroczne zakamarki. Ludziom należało pokazać, że coś się robi dla ich bezpieczeństwa. Farsa zwykle kończyła się po niedługim czasie, ale tym razem polowanie trwało w najlepsze i zaczynało działać jej na nerwy. Te sterowce były takie głośnie. Carnival przeklinała za każdym razem, gdy któryś zakłócał jej odpoczynek. I zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście to ona jest celem poszukiwań.

Statek zawrócił i przeleciał nisko z wyciem silników, jakby jego jedynym celem było zirytowanie anielicy. Reflektor przesunął się po ogrodzie, oślepił ją.

--Do diabła! -- Carnival odwróciła głowę.

Promień zatrzymał się na chwilę, zalewając ogród jaskrawym blaskiem, potem ruszył dalej. Znowu zapadła ciemność.

Carnival mocno chwyciła się gałęzi i zmrużyła oczy, patrząc za powietrznym intruzem. To musi się skończyć. Jeśli próbują ją znaleźć, ułatwi im sprawę.

Wypatrzyła leżące na ziemi narzędzie ogrodnicze z trzema zębami. Zeskoczyła z konaru,

rozpostarła skrzydła i pofrunęła tuż nad trawnikiem. W locie podniosła z trawnika widły. Wzleciała w górę, kierując się w stronę statku wojennego.

Pan Nettle spojrzął na okno wieży. Devon zgasił światło. Najwyraźniej on też usłyszał stukanie.

--Za późno -- syknął. -- Znaleźli cię, stary głupcze.

Bezszelestnie wygramolił się z kryjówki i zbliżył do skupiska zardzewiałych dźwigarów i wielokrotnie spawanych, ciężkich płyt, gdzie sieć łączyła się z jednym z łańcuchów podtrzymujących wieżę. Dla utrzymania równowagi trzymając jedną rękę na kamieniu, pan Nettle wspiął się po kablach do miejsca, skąd miał dobry widok na drzwi Truciciela.

Było ciemno, ale dostrzegł dwie postacie w zbrojach stojące pod wieżą. Świątynni strażnicy uzbrojeni w piki. Przy ich nogach węszył zaśliniony ogar o oklapniętych uszach. Jeden z gwardzistów kilka razy załomotał drzewcem we wrota.

--Otwierać! -- krzyknął. -- Rozkaz prezbitera.

Sieciarz zaklął pod nosem. Gdyby rzucił się na strażników, wątpliwe, czy zdołałby ich pokonać, a odgłosy walki tylko zaalarmowałyby Devona. Sytuacja była beznadziejna. Pan Nettle opierał mocno lewą dłoń o kamienną ścianę, prawą zaciskał na ręczce tasaka. Mógł liczyć jedynie na to, że gwardziści nie zauważyli światła w oknie i sprawdzają ten budynek tylko z obowiązku, ale w końcu zrezygnują i pójdą dalej.

I wtedy ze szczytu wieży dobiegł głos:

--Dobrze, dobrze! Już idę.

Pan Nettle wstrzymał oddech. Devon naprawdę chciał im otworzyć?

W głowie sieciarza kłębiły się myśli. Co ten idiota wyprawia? Jest pijany czy postradał rozum? Zdecydował się poddać? Czy eliksiru też Ulcis zamierzał mu odmówić?

Na szczęście Abigail milczała. Znała ojca na tyle dobrze, żeby pozostawić go jego rozpacz. Pan Nettle zwiesił głowę i oparł się o mur. Bóg go pokonał.

Szczęknął zamek, drzwi zaskrzypiały i uchylily się odrobinę.

--Kim jesteście? Czego chcecie o tej porze? -- W głosie Devona pobrzmiwała irytacja.

Ogar przez chwilę węszył przy drzwiach, ale szybko wrócił do nogi strażnika. Nie wiadomo, co dano mu wcześniej do powąchania, ale Truciciel najwyraźniej pozbył się tej woni.

Gwardziści też chyba nie widzieli dobrze, z kim rozmawiają.

--Mamy rozkaz przeszukać wszystkie budynki w tej okolicy.

--Rozkaz? Czyj?

--Prezbitera Sypesa. Chwila milczenia.

--Przykro mi, ale to wykluczone.

Strażnicy zeszytnieli, wymienili spojrzenia i opuścili piki, celując nimi w drzwi.

--Dlaczego? -- zapytał pierwszy.

--Bo to doprowadziłoby do mojego aresztowania -- odparł spokojnie Devon.

I wtedy pan Nettle usłyszał świst powietrza. Ku jego zdumieniu pierwszy gwardzista padł na ziemię. Drugi cofnął się chwiejnie kilka kroków, kołysał w miejscu przez chwilę, a potem też runął na bruk ze szczękiem zbroi. Ogar potruchtął parę stóp dalej, po czym odwrócił się i

zaczął warczeć.

Devon wyszedł za próg, rozejrział się po uliczce. Trzymał w ręce metalowy pojemnik z wystającą z niego giętką rurką.

--Dwa tygodnie -- powiedział. -- Cholerne dwa tygodnie zabrało wam trafienie tutaj.

Już miałem wywiesić szyld.

Pies cofnął się, uniósł łeb, zawarczał, a potem ostrożnie ruszył do przodu. Devon wyjął coś z kieszeni i rzucił w jego stronę.

Ogar skoczył na zdobycz, aż mu się rozjechały łapy i zaczął jeść łapczywie. Gdy skończył, spojrział wyczekująco na Devona. Z pyska ściekały mu strużki śliny. Tymczasem Truciciel wciągał strażników do wieży. Pies poszedł za nim, machając ogonem.

Piwnica była wilgotna i pozbawiona okien. Metalowe płyty przyśrubowane do zbutwiałych desek podłogowych dudniły, kiedy Devon po nich kroczył, spacerując przed jeńcami. Spod posadzki dobiegały piski i drapanie szczurów, które biegały w niskim korytarzu technicznym po ciężkich żelaznych fundamentach. Osadzony nisko na ścianie palnik dymił, długi cień Truciciela to zasłaniał, to odsłaniał siniaki na twarzach dwóch strażników.

Devon zrzucił nieprzytomnych mężczyzn na dół z dwudziestu stromych schodów. Była to halaśliwa metoda, ale kosztowała go stosunkowo niewiele trudu, a Truciciel czuł, że w jego obecnym stanie ważne jest oszczędzanie sił. Zbroje uchroniły gwardzistów przed najgorszym. Choć trochę pogięte i odrapane, lśniły teraz w blasku płomieni.

Strażnicy byli oszołomieni, ale przytomni. Siedzieli przykuci i zwrócenii plecami do jednego ze słupów podtrzymujących wyższe piętra. Jeden był młody, o gładkiej skórze, ale potężny jak zapaśnik, drugi, prawdopodobnie jego porucznik, miał wygląd zmęczonego weterana, a jego twarz nosiła ślady zbyt licznych patroli w zimne

poranki. Pies węszył w głębi piwnicy.

--Jak się czujecie? -- zapytał wesołym tonem Devon.

Siląc się na uprzejmość, zamierzał pokazać jeńcom -- na ile to możliwe w tych okolicznościach -- że jest ich sojusznikiem, a jego działaniami kieruje wyższa konieczność. Jednocześnie od samego początku musiał ich poróżnić, bo nie miał czasu ani energii, żeby rozmawiać z nimi osobno. Lepiej było nastawić ich przeciwko sobie nawzajem. Im więcej o nich wiedział, tym łatwiej mógł nimi manipulować. I zadawać cierpienie, zawsze nieodłączne przy jego pracy.

--Moja pierś -- wydyszał młodszy strażnik. -- Nie mogę oddychać.

Devon pokiwał głową.

--Pewnie złamałeś sobie żebro, spadając ze schodów. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego. Chyba mam na górze maść, która złagodzi ból.

Weteran zmrużył oczy przed ostrym blaskiem palnika.

--Devon?

--Mam dylemat -- ciągnął Truciciel, uważnie obserwując jeńców. Obaj patrzyli na niego w milczeniu.

Devon popukał palcem w wargi, nie przestając spacerować. Potem westchnął, splótł ręce i powiedział współczującym, niemal przygnębionym tonem:

--Obawiam się, że tylko jeden z was przeżyje.

O dziwo, oczy weterana rozszerzyły się ze strachu. Może zimne poranki były czymś najgorszym, co wycierpiał ten człowiek. Twarz młodszego stwardniała. Dobrze.

--Jakie nosicie imiona? -- spytał łagodnie Devon.

Z gardła młodego strażnika wydobył się urywany oddech.

--Angus -- odpowiedział weteran z niepokojem. -- A to jest Lars.

--A pies?

--Fitzgerald.

Na dźwięk swojego imienia ogar na chwilę uniósł głowę, po czym wrócił do swych poszukiwań.

Rytmiczny stuk butów Devona chodzącego po metalowej podłodze brzmiał jak powolne tykanie żelaznego zegara. Echa odbijające się od ścian sprawiały, że piwnica wydawała się jeszcze bardziej odcięta od świata.

--Macie rodziny? -- wypytywał dalej Truciciel.

--A co? -- Angus się skrzywił. -- Czego od nas chcesz?

Devon nie zmienił tempa kroków, lecz starał się ukrywać twarz w półmroku. Jego cień przesuwiał się po ścianach i posadzce.

--Wybaczcie mi szczerść, ale trzeba rozstrzygnąć tę kwestię, zanim będziemy mogli kontynuować. Zadałem wam pytanie.

Lars opuścił głowę i zmrużył oczy.

--Żona i dwoje dzieci -- powiedział.

Angus milczał przez chwilę, a potem oznajmił:

--Jestem żonaty. Mam czworo dzieci. Devon usłyszał drzenie w jego głosie.

--Kłamie -- syknął Lars.

Weteran wykręcił się w łańcuchach do tyłu, próbując spojrzeć na towarzysza.

--Drań! -- rzucił.

Truciciel prychnął ze zniecierpliwieniem.

--Ponieważ nie zamierzam tracić więcej czasu, żeby was poznać, nie jestem pewien, jak najlepiej rozwiązać ten dylemat. -- Zbliżył się do jeńców i ukucnął przed nimi. -- Może powinienem zostawić decyzję w waszych rękach.

--Wiedzą, gdzie jesteśmy. -- Angus sprawiał wrażenie, jakby był bliski lez. -- Przyjdą nas szukać.

Devon podjął spacer.

--Mój problem polega na tym, że potrzebna mi będzie pomoc jednego z was. --

Odwrócił się do jeńców. -- Ale którego? Wszyscy świątynni gwardziści mają dostęp do Sanktuarium, więc nie o to chodzi. Zdaje się, że ty, Lars, jesteś w kiepskim stanie, a do twojego kolegi już zdążyłem poczuć niechęć.

Młody strażnik opuścił głowę na pierś i oddychał krótko, urywanie. Angus wykręcał ręce, napierając na łańcuch. Rytm kroków Devona pozostał niezmienny.

--Wypuść nas -- poprosił Angus. -- Nie złożymy raportu.

Lars uniósł głowę i zacisnął szczęki. Zamknął oczy.

--Ułatwię sobie sprawę. -- Devon westchnął przeciągle. -- Jeden z was umrze tutaj, w tej wieży. Drugi będzie dla mnie pracował. Nie obchodzi mnie, który z was, więc możecie rozstrzygnąć to między sobą.

Zatrzymał się. Jego ostatni krok rozbrzmiewał echem przez jedno uderzenie serca, potem ucichł.

--Potrzebujecie jeszcze kilku minut na podjęcie decyzji?

Statek wojenny przypominał Carnival larwę owada, ogromnego czerwia ryjącego w chmurach. Po powłoce, w miejscach gdzie padał na nią blask księżyca, przesuwały się srebrne fale. Gorące powietrze z układu chłodzącego zasilalo żebra opasujące zbiornik gazu, zapewniało większą stabilność i pozwalało na szybkie lądowanie w razie nagłego przebicia. Silnik napędzał dwa śmigła zamontowane w tylnej części kadłuba. Sterowiec powoli zataczał krąg nad Deepgate. W środku szczękały zawory. W gondoli zawieszanej pod brezentową czaszą jaśniały bulaje. Mostek znajdował się z przodu, pomieszczenia załogi, kambuz i maszynownia z tyłu. Pokłady, dostatecznie szerokie, żeby mógł nimi przejść człowiek, znajdowały się na obu burtach i sięgały kawałek poza maszynownię, w której czterej aeronauci obsługiwali reflektory umieszczone w każdym rogu, kierując przepływem eteru i obracając lustrzane misy tak, żeby promienie światła przesuwały się po całym mieście.

Carnival wylądowała cicho na przednim lewym pokładzie, otworzyła drzwi i weszła do sterowca.

Znalazła się w jasno oświetlonym, wyłożonym drewnem tekowym korytarzu, biegnącym od maszynowni do mostka. Obite mosiądzem drzwi prowadziły do wewnętrznych kajut, których bulaje były teraz ciemne. Silniki dudniły, wstrząsając drewnianą podłogą ukrytą pod ciemnoczerwoną wykładziną. Powietrze cuchnęło paliwem i politurą.

Carnival ruszyła w stronę mostka.

Wymuskany kapitan w białym mundurze ze srebrnymi guzikami stał przed deską rozdzielczą i wyglądał przez okna, biegnące łukiem przez pół pomieszczenia. Sternik w białej czapce włożonej na bakier trzymał w rękach wysokie koło znajdujące się pośrodku mostka.

--Jedenaście stopni na prawą burtę -- rozkazał kapitan.

--Tak jest, sir, jedenaście stopni na prawą burtę -- powtórzył sternik, zerkając na kompas znajdujący się po jego lewej stronie, i kilka razy obrócił kołem.

Carnival zamknęła za sobą drzwi. Kapitan obejrzał się przez ramię.

Przez chwilę gapił się na anielicę, jakby jej obecność była niczym więcej jak nieoczekiwanym zakłóceniem wachty. Potem jego twarz powlekleła się bladeścią.

--Gotowe -- zameldował sternik. -- Kurs jeden jeden pięć. -- Nie doczekawszy się żadnej reakcji, spojrzal na kapitana i poszedł za jego wzrokiem. -- Do diabła -- wymamrotał.

Carnival złożyła skrzydła i ruszyła ku aeronautom. Jej pióra muskały sufit i zamiatały podłogę. W eterowym świetle blizny wydawały się ciemniejsze. Czarne oczy były zmrużone przed ostrym blaskiem.

--To nie diabeł, tylko ja -- powiedziała.

Sternik zrobił krok w stronę kapitana.

Jego przelożony stał jak wrośnięty, z rękami opuszczonymi sztywno po bokach, szeroko otwartymi oczami i szczęką mocno wysuniętą do przodu. Carnival zatrzymała się kilka kroków od niego i oznajmiła:

--Nie jestem w nastroju do rzezi.

Obaj mężczyźni gapili się na nią bez słowa.

--Kogo szukacie? -- zapytała anielica. -- Kiedy to się skończy?

Kapitan przełknął ślinę.

--Odpowiedzcie mi czy mam was ozdobić bliznami? -- Carnival obnażyła zęby w uśmiechu.

Dowódca przesunął spojrzeniem po szramach na jej twarzy i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

--Devona -- wykrztusił w końcu ochryplym szeptem. Anielica przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi.

--Truciciela Deepgate -- objaśnił kapitan. -- Szefa ministerstwa nauk wojskowych.

--Dlaczego go szukacie?

Aeronauta zawahał się i zerknął na sternika, ale podwładny tego nie zauważył, bo cała jego uwaga była skupiona na Carnival.

--Anielskie wino -- powiedział kapitan. -- Devon robił anielskie wino. Anielka popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

--Świątynia znajdowała truchła -- wyjaśnił kapitan. -- To znaczy... za dużo truchel.

--Gdzie?

--We wszystkich dzielnicach...

--Kiedy?

--W inne noce, nie tylko...

Carnival rozpostarła z trzaskiem skrzydła, zrobiła krok do przodu i pochyliła się do kapitana. Jej oczy były niczym ostrza noży.

--Ten... Devon spuszcza krew z ofiary?

Dowódca statku miał tak mocno zaciśnięte szczęki, że jego usta ledwo się poruszyły.

--Tak, on...

W tym momencie otworzyły się z hukiem drzwi. Carnival odwróciła się błyskawicznie, przecinając skrzydłami powietrze. Zobaczyła, że na mostek wpadają aeronauci z krótkimi mieczami. Na jej widok pierwszy zatrzymał się tak raptownie, że omal nie runął jak długi. Dwaj towarzysze biegnący za nim uskoczyli na boki, żeby uniknąć zderzenia, i też stanęli jak wryci. Kolejni rozstawili się powoli przy wejściu, z wyciągniętą bronią, odcinając jej drogę ucieczki.

Carnival warknęła.

Potężny, siwiejący mężczyzna zajmujący pozycję przy samych drzwiach pierwszy odzyskał rezon. Sądząc po gwiazdkach na kołnierzu, był pierwszym oficerem. Nie odrywając wzroku od anielicy, powiedział do kapitana cichym, spokojnym głosem:

--Usłyszeliśmy hałasy przez interkom.

Carnival zauważyła kątem oka, że dowódca i sternik przesuwają się wolno pod ścianę.

--Jakieś rozkazy, kapitanie? -- zapytał oficer.

Gdy anielica rozłożyła skrzydła, podmuch powietrza owiał stojących przed nią ludzi. Pióra sięgnęły nierówną kurtyną prawie do bocznych ścian mostka. Blizny pokrywające jej ciało od palców stóp aż do zmarszczonego czoła nagle zaczęły swędzieć. Stare rany na twarzy nabrzmiały.

--Na bogów -- szepnął aeronauta, cofając się.

--Ona nie może uciec -- stwierdził jego towarzysz o chłopcym wyglądzie. -- Jest nas ośmiu, uzbrojonych. -- Ale miecz drżał mu w ręce.

Starszy oficer spojrział na kapitana, czekając na rozkazy.

--Zabijcie ją -- odezwał się sternik.

Aeronauci stali bez ruchu, niepewni co robić.

Carnival ściągnęła skrzydła i przykucnęła, napinając mięśnie do skoku. Jej oczy płonęły. Na szyi wyraźnie zarysowały się ścięgna, napierając na grubą bliznę od sznura otaczającą gardło. Anielica powoli wysunęła z za pasa ogrodowe widły.

Ośmiu mężczyzn mimo woli zrobiło krok do tyłu.

--Nie jestem w nastroju do rzezi -- powtórzyła Carnival. -- Lepiej odejdźcie.

--Zabić ją! -- warknął sternik.

Krótkie ostrze przecięło powietrze. Anielica chwyciła je między zęby widel i szarpnęła mocno. Miecz trafił w ścianę mostka i wbił się w nią, drżąc.

--Odejdźcie! -- krzyknęła Carnival. -- Natychmiast!

--Zabić ją! -- ryknął sternik.

Aeronauci ruszyli na nią z wysuniętymi mieczami.

Carnival wzięła głęboki wdech, zatrzymała powietrze w płucach i skoczyła z taką szybkością, że dwóch atakujących odruchowo zamknęło oczy.

Anielica przebiła sufit, jakby był z papieru. Usłyszała syk gazu i zobaczyła, że znajduje się wewnątrz szkieletu z metalowych obręczy połączonych wąskimi prętami. Konstrukcja biegła przez całą długość statku i zwężała się z obu końców ginących w mroku. Anielica zrobiła obrót, ściskając widły. Mogła wyciąć sobie drogę w dowolnym miejscu.

Pofrunęła w górę.

Widły z łatwością rozerwały cienki, napięty materiał. Chwilę później Carnival poczuła na twarzy zimne nocne powietrze.

Odetchnęła głęboko.

Pod nią powłoka faldowała się, w miarę jak gaz wyciekał z powiększającego się rozdarcia. Sterowiec przechylił się gwałtownie, śmigła zawyły, pchając gondolę w dół ku ulicom miasta. Aeronauci desperacko ściskali poręcze na rufie i w żaden sposób nie byli w stanie się uratować. Jeden zsunął się z krzykiem z pokładu, ale szybko uciszyło go śmigło.

Carnival patrzyła na statek spadający w dół jak olów. Gondola runęła na rząd czynszówek, wybiła dziurę w dachach. Nastąpił błysk...

...rozkwitła kula ognia i wzbila się ku niebu. Powłoka rozleciała się na kawałki, szczątki sterowca zasypały pobliskie dachy. We wszystkich domach w okolicy popękały szyby w oknach. Dachówki śmigły w powietrzu, w górę buchnęły płomienie.

Do uszu Carnival dotarł huk eksplozji, gwałtowny podmuch uniósł ją wyżej. Pofrunęła na prądzie wstępującym z szeroko rozłożonymi skrzydłami, a w jej oczach odbijał się blask ognia.

--Może jednak byłam w nastroju -- mruknęła.

ROZDZIAŁ 17 ANIELSKIE WINO

Truciciel nie spieszył się z przygotowaniami. Procedura była zbyt ważna, żeby mógł sobie pozwolić na błąd. Starannie wyczyścił całą kolekcję butelek i rurek, z szacunkiem. Cylinder do destylacji zanurzył w alkoholu, potem wyplukał go cztery razy, a na koniec wysuszył sprężonym powietrzem żółte szkło od środka i na zewnątrz. Następnie w taki sam sposób zdezynfekował strzykawkę i ułożył je groźnymi, lśniącoymi rzędami na stalowej tacy. Skorzystał nawet z okazji i szybko wypolerował stojak do rurek. Wszystko musiało być idealne. Gdyby miał pod ręką jakiegoś kapłana, może kazałby mu pobłogosławić sprzęt.

Kiedy wszystko było gotowe, nalał sobie duży kieliszek rhaku i wznosił samotny toast.

--Prezbiterze Sypes -- powiedział i wychylił zawartość jednym haustem.

Jeszcze nie rozwikłał tej zagadki. Im dłużej się zastanawiał, tym większej nabierał pewności, że pomagał mu w tajemnicy stary kapłan, a asasyn Spine, którego zabił, był narzędziem adiunkta.

Tłuszcioch cię przejrzał, prawda? I teraz, kiedy zostałem zmuszony do ucieczki, boisz się, że anielskie wino jest dla ciebie stracone. Zamierzałeś mi je odebrać? Co miałeś nadzieję dzięki niemu zyskać? Moc? Nieśmiertelność?

Devon musiał poznać prawdę. A do tego potrzebował pomocy świątynnego strażnika.

Była też kwestia szeroko zakrojonych poszukiwań. Wkrótce dwóch strażników uzna się za zaginionych. Pora działać.

Ale najpierw miał pracę do wykonania. Zaczął wkładać butelki, cylindry, rurki i strzykawkę do głębokiego, sterylnego pojemnika.

I wtedy usłyszał odległy huk.

Zgasił lampę i rozsunął ciężkie draperie, ale za oknem nic nie zobaczył, więc wspiał się po krzywych schodach na blanki wieży.

Ku ognistej kuli płonącej na wschodzie, chyba w Merrygate, zlatywały się sterowce. Devon policzył reflektory i się uśmiechnął.

O jeden mniej.

Statek mógł spaść z wielu powodów: niekompetencji aeronautów, strzały wypuszczonej przez jakiegoś niezadowolonego mieszkańca, sabotażu Heshette. A może Carnival w końcu miała dość zamieszania związanego z polowaniem? Zresztą mniejsza o to. On miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Musiał zdobyć ludzką duszę.

Kiedy dotarł do piwnicy, od razu zobaczył, która dusza jako ostatnia trafi do jego eliksiru.

Angus miał twarz zlaną potem, oczy czerwone i pełne bólu. Łypał na niego spode łba. Najwyraźniej próbował się uwolnić, bo metalowe ogniwa zadrapały i powgniatyły jego napierśnik. Wzdrygał się na każdy krok Devona. Lars zwisał bezwładnie na łańcuchach, nieprzytomny. Fitzgerald nadal węszył w ciemnych zakamarkach pomieszczenia.

Devon ukucnął przed Angusem.

--Zdaje się, że twój towarzysz zemdlął. Udało się wam dojść do porozumienia w czasie mojej nieobecności?

--Lars za bardzo cierpiał -- odparł weteran powoli, z namysłem. Najwyraźniej starał się być przekonujący. -- Zgodził się... -- Spuścił wzrok. -- Obaj uzgodniliśmy, że ja ci pomogę.

--Gdyby twój kolega był przytomny, powiedziałby mi to samo? Strażnik sztywno skinął głową.

--Mam go ocucić, żeby potwierdził tę decyzję? Angus mruganiem strącił z oczu krople potu.

--Nie ma potrzeby -- zapewnił. -- Zgodził się.

--Mimo wszystko to niezwykła decyzja -- stwierdził Devon. -- On ma rodzinę, która będzie za nim tęsknić, a ty nikogo.

--Za dużo bólu -- wysyczał Angus.

--Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Wszystkie mięśnie na twarzy i szyi strażnika były napięte. Warstwa potu pokrywała jego szarą skórę. Przez dłuższą chwilę wytrzymał wzrok Truciciela, aż w

końcu wykrztusił:

--Proszę.

Devon postukał palcem po brodzie, przyglądając się weteranowi. Potem skinął głową.

--Angusie, jesteś dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebuję. Sądzę, że mogę cię wykorzystać.

Sięgnął po pojemnik ze sprzętem i zaczął go rozpakowywać.

--Na żywca? -- zapytał Angus.

--Co? -- Gdy Devon się obejrzał, wydawało mu się, że strażnik próbuje coś ukryć za plecami. -- Tak, tak, na żywca.

Pan Nettle siedział przyczajony na ciemnej sieci i czekał. Wysoko nad nim jedyne okno wieży przez cały czas pozostawało ciemne. W końcu wstał, łapiąc równowagę, kiedy konopie ugięły się pod nim. Gdyby zdołał zaczepić hak o blanki, nachylenie wieży ułatwiłoby mu wspinaczkę.

A potem co?

Nie dalby rady precyzyjnie się przez wąskie okno. Musiał znaleźć inne miejsce, z którego mógłby obserwować drzwi i czekać, aż pojawi się Devon. Truciciel nie mógł siedzieć w wieży bez końca.

Pan Nettle postanowił opuścić swoją kryjówkę i poszukać innej w którejś z wypalonych skorup po drugiej stronie uliczki.

Patrząc na resztki glinianych naczyń rozrzucone po podłodze, domyślił się, że kiedyś był to zakład ceramiczny, ale pożar dawno temu zmienił wnętrze w poczerniały szkielet. Dzięki łańcuchom i kablom zewnętrzne ceglane mury pozostały nietknięte, ale całość pochylała się ku przepaści jak pijana. Prawie całe górne piętro zapadło się, lecz ze ściany wychodzącej na zaułek sterczała wąska półka z belek podłogowych, skąd można by prowadzić dalszą obserwację.

Pan Nettle przerzucił hak nad pękniętą krokwią, wdrapał się po linie na górę i usadowił się przy oknie. We framudze zostało kilka odłamków szkła.

Noc mijala, a on kulił się między wilgotnymi od deszczu deskami i stosem gruzu, bojąc się zapalić lampę sztormową. Jego ubranie i skóra przesiąkły zapachem zgnilizny i popiołu. W górze przez dziurawy strop było widać migoczące gwiazdy. Przez cały ten czas nie przeleciał nad nim żaden statek powietrzny, ale pan Nettle

słyszał odległe dudnienie ich silników dochodzące z drugiej strony miasta. Wcześniej rozbil się jeden sterowiec. Nie jego sprawa.

W końcu pasy nieba widoczne między belkami pojaśniały. Drewno, gruz i poczerniałe cegły stały się bardziej widoczne. Huk sterowców przycichł wraz z odgłosami świtu: świergotaniem ptaków, dalekimi okrzykami i stłumionymi hałasami dochodzącymi ze stoczni.

W miarę jak poranek przechodził w południe, pod ołowianym niebem robiło się gorąco i parno. Pan Nettle zmienił pozycję, żeby ulżyć zeszywniałym stawom. Potarł zmęczone oczy, sięgnął po butelkę wody i garść rodzynek, które były wszystkim, co zostało mu z zapasów. Jedno i drugie śmierdziało popiołem.

Ze zmęczenia ciążyła mu głowa, strzykało w karku. Ubranie, grube od brudu, ocierało i drażniło niezliczone małe ranki na skórze. Pan Nettle spróbował usadowić się wygodniej. Otuchy dodawał mu ciężar tasaka zatkniętego za pas.

„Nie można się cieszyć mordowaniem”. Głos Abigail też zdradzał znużenie.

Pan Nettle był zbyt wyczerpany, żeby się z nią spierać.

Bogowie wiedzieli, jak bardzo potrzebował drinka. Aż ścisnęło go w żołądku. Żeby się pozbiierać, mocniej ścisnął rączkę tasaka w poranionej pięści. Coś go dręczyło, gryzło jak szczur, którego słyszał, ale nie mógł zobaczyć. Chodziło o coś ważnego, co powiedział Truciciel.

Pan Nettle wiedział jednak, że przypomni to sobie we właściwym czasie. Z niechęcią puścił tasak i odsunął się od okna. Popiół z luźnych cegieł walających się wokół osiadł na jego ubraniu. Ręce i paznokcie miał czarne.

Drań nie mógł tam siedzieć wiecznie.

Słońce nie ukazało się przez całe popołudnie. Powietrze było gęste i wilgotne. Prawie zagłuszało dalekie dudnienie i szczękanie dobiegające z doków Sierpa, krzyki robotników i bicie świątynnych dzwonów.

Pan Nettle stracił mruganiem pot z powiek i na chwilę je przymknął. Gdzieś z oddali docierało do niego wycie silników.

Coś było nie tak. Nagle znalazł się w mieszkaniu Devona. W ręce ścisnął nóż, broń asasyna.

Truciciel, którego twarz była koszmarną maską z popękanej skóry, siedział w fotelu i uśmiechał się szeroko. Uniósł małą buteleczkę, w której przelewał się płyn

koloru krwi, napierający na szkło powolnymi falami. Pan Nettle usłyszał dochodzące z naczynia szepty, ciche jęki i okrzyki żalu. Ale przecież anielskie wino powinno być przezroczyste. Nie, to oszustwo -- zwykły rhak. Mąciło mu się w głowie. Nie myślał jasno. Właśnie to jest prawdziwy eliksir.

Truciciel coś powiedział, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Pan Nettle zbliżył się do Devona, powoli, jakby brnął przez wodę sięgającą piersi. Z ogromnym wysiłkiem podniósł rękę i próbował go dźgnąć, ale nóż zniknął. Jego dłoń była pusta.

Cichy śmiech Devona, chłodne rozbawienie w jego oczach.

Sieciarz zaczął się cofać, aż wyczuł za sobą parapet. Odwrócił się i wyjrzał w ciemność tak głęboką jak otchłań. Gdzieś w górze buczał jak wściekła osa sterowiec. Pan Nettle sięgnął do rynny, ale namacał tylko cegły, czarne i miękkie od popiołu.

Poczuł ręce Truciciela na swoich plecach i nagle stwierdził, że spada. Jego głowę wypełnił ryk sterowca i... dobiegający z oddali krzyk Abigail.

Obudził się gwałtownie. Ciemność, popiół, loskot silników. Przez kilka uderzeń serca siedział oszołomiony i próbował przegonić mgłę z umysłu, aż w końcu przypomniał sobie, kim jest. Wyjrzał przez okno. Uliczka była pusta, połyskiwała srebrzyście pod chmurami oświetlonymi przez księżyc. Drzwi wieży pozostawały zamknięte.

Pan Nettle przetarł oczy. Musiał długo spać. Poszukiwania Devona najwyraźniej wznowiono w tej dzielnicy. Gdzieś niedaleko huczał niewidoczny sterowiec.

Czy Truciciel nadal ukrywał się w wieży?

Sieczarzowi przypomniał się sen. Jak zniknął nóż, który trzymał w ręce?

Rozbudził się całkiem, ogarnięty strachem. Wspomnienie czające się w zakamarkach umysłu nagle wypłynęło na powierzchnię: rozmowa Devona z asasynem. I pan Nettle uświadomił sobie, że jednak nie będzie mógł zabić Truciciela.

Gdy anielskie wino nabierze mocy, Devon go spróbuje. Pan Nettle już się z tym pogodził, bo wiedział, że zostanie dość eliksiru dla Abigail. Ale przegapił coś. Niczym żałobna pieśń wróciły do niego słowa Truciciela.

„Śmiertelne rany staną się zwykłymi draśnięciami”.

Jak można zabić takiego człowieka?

Teraz. Nim będzie za późno. Musi teraz powstrzymać Devona. Musi go dopaść, zanim ten napije się anielskiego wina. Pan Nettle zerwał się na równe nogi.

W tym momencie otworzyły się drzwi wieży.

Na ulicę wyszedł świątynny strażnik. Jego powgniatana zbroja tylko miejscami lśniła w blasku księżyca. Twarz ocieniał mu hełm, ale pan Nettle go rozpoznał. Gwardzista niósł na ramieniu trupa w całunie, w ręce trzymał hełm zabitego kolegi. Ruszył w stronę świątyni. Za nim biegł wężący ogar.

Jeden ze strażników przeżył.

W takim razie Devon był martwy.

Serce pana Nettle wybiło rytm wielu szybkich pytań. Anielskie wino? Zyskało moc? Nadal jest w wieży? A może strażnik zabrał je do świątyni? Tak czy inaczej, musiał się tego dowiedzieć, zanim kapłani zniszczą eliksir. Zsunął się po linie ze swojej kryjówki i poszedł do wieży, żeby poszukać duszy Abigail.

Gdyby już dawno temu nie porzucił wiary w boga, teraz by się pomodlił.

ROZDZIAŁ 18 KŁOPOTY W SANKTUARIUM

Dill obudził się z koszmaru pełnego krwi i blizn. Echo głuchego, złośliwego śmiechu zagłuszyło bicie dzwonów. Czoło miał śliskie od potu, pierś ściśniętą. Skrzydło, na którym leżał, całkiem zesztyniało. Anioł wstał wolno i skrzywił się, kiedy szpileczki bólu przeszyły zdrętwiałe mięśnie.

Wygladzając pióra, próbował przepędzić z umysłu ten okropny śmiech. Ostatnio Carnival coraz częściej nawiedzała go w snach. Jej twarz zawsze była tuż przy jego twarzy, rany zawsze świeże, w czarnych oczach drwiące wyzwanie.

Skąd u niej ta wściekłość? I to od wieków.

Dill zadrzał, mimo że w celi było ciepło.

Za witrażowymi oknami wstawał posępny ranek. Wraz ze świtem nadciągnęły gęste szare chmury i groziły ulewnymi deszczami. Powietrze było ciężkie jak wilgotna zasłona.

Ubranie się kosztowało Dilla tyle trudu, co wbicie się w zbroję. Kurtka z czarnego

aksamitu i wysokie buty nosiły ślady ślimaków... Devon nadal grasował na wolności i może krał dusze na swoje anielskie wino; zbliżała się Noc Blizn, więc nikt nie zwracał na Dilla uwagi. Zanim skończył się ubierać, już był zmęczony. Przypasał miecz i ciężkim krokiem poczłapał do swych obowiązków.

Borelock już na niego czekał w korytarzu Sanktuarium. Wymamrotał coś o przekłętym pogodzie i wręczył Dillovi lejce, ale słowem nie wspomniał o zniszczonej relikwii. Dwie klacze zaprzężone do klatki na dusze stały z opuszczonymi łbami, a ich sierść już lśniła od potu. Gdy Dill trzepnął wodzami, parsknęły i ruszyły z rezygnacją. Nawet szkielety umieszczone na kolumnach zwisały bezwładnie na łańcuchach.

Gdy świątynne wrota się otworzyły, do środka wlał się żar. Dill aż musiał zmrużyć oczy przed oślepiającą bielą. Nad Mostem Bramnym wisiała ciężka cisza. Żalobnicy

prażyli się w grubych szatach. Na rozkaz jednego ze strażników pozostali zaczęli rozładowywać klatkę na dusze. Ruszali się jak muchy w smole.

Dopiero kiedy Dill wprowadził wóz z powrotem w mrok korytarza, zwrócił uwagę na świątynnego gwardzistę, który mu towarzyszył. Z początku pomyślał, że ten człowiek jest ranny. Szedł niepewnym krokiem, przygarbiony, a pikę trzymał bardziej jak kulę niż jak broń. Jego zbroja była powgniatana i pełna rys. Musiał wyczuć, że anioł na niego zerka, bo podniósł wzrok i wtedy Dill zauważył chorobliwą błądź jego skóry, cienie pod oczami i ledwo skrywany ból.

Odwrócił głowę, zawstydzony i zakłopotany. Gwardzista skorzystał z prawa towarzyszenia zmarłym. W klatce musiał mieć kogoś z rodziny.

Przez resztę podróży Dill patrzył prosto przed siebie. Próbował zwolnić, żeby ułatwić strażnikowi dotrzymanie kroku, ale klacze, przyzwyczajone do swojego zadania, utrzymywały własne tempo. Gwardziście udało się jednak zachować niewielką odległość od klatki. Rytmicznemu poskrzypywaniu kół wtórował szczeł zbroi.

Sanktuarium nie chłodził najmniejszy powiew. Płomienie świec osadzonych w żelaznym żywopłocie zakolysały się, gdy za końmi zamknęły się drzwi. Prezbiter Sypes garbił się za mównicą, adiunkt Crumb siedział bezwładnie na krześle u jego boku. Obaj wpatrywali się w podłogę.

Z twarzą zlaną potem, dysząc w upale, strażnik ciągnął łańcuch do klatki na dusze. Dill wspiał się na jej dach, żeby zaczepić hak. Zastanawiał się, którego ze zmarłych owiniętych w całuny oplakuje gwardzista. Czy w ogóle rozpoznaje ciało?

Sięgnął w dół po łańcuch, ale strażnik nie podał mu go, tylko zrobił coś dziwnego.

Uniósł pikę, wycelował ją w Dilla i zażądał:

--Daj mi klucz. Anioł wytrzeszczył oczy. Prezbiter Sypes stanął wyprostowany.

--Strażniku?

--Klucz do klatki na dusze. Daj mi go -- warknął strażnik, trącając Dilla czubkiem piki w pierś.

Anioł poczuł ból między żebrami. Chciał się odsunąć, ale gwardzista nacisnął mocniej.

--Natychmiast!

Dill rzucił mu klucz.

Sypes zastukał laską w kamienne płyty.

--Co się dzieje, do licha?

Adiunkt Crumb zerwał się z krzesła i stanął obok prezbitera, blady, z szeroko otwartymi oczami.

Strażnik otworzył klatkę i wszedł do środka.

--Wychodź stamtąd! -- rozkazał Sypes. -- Co ty wyprawiasz? Gwardzista rozwinął jeden z całunów.

--Postradałeś rozum, strażniku?

Dill spojrział w dół przez pręty. Gwardzista ściągnął materiał z trupa.

Nieboszczyk wstał.

Anioł cofnął się przerażony i omal nie spadł z klatki. Skóra zjawy była czerwona i cała w pęcherzach, powieki opadały. Kępki białych włosów sterczały nad uszami, które wyglądały jak przeżute. Najgorsze, że trup nadal krwawił. Gdy zrzucił z siebie całun, wyjął z kieszeni kamizelki złote okulary w cienkich oprawkach i nasadził je na nos.

Wtedy Dill go rozpoznał.

--Co za dzień -- powiedział Truciciel, wyskakując z klatki. Z upiornym uśmiechem na twarzy wyglądał jak kościotrup. -- Nawet martwi się pocą.

Prezbiter Sypes i adiunkt Crumb wytrzeszczyli oczy. Strażnik opuścił pikę i podążył za Devonem niepewnym krokiem, zataczając się jak pijany. Adiunkt pierwszy odzyskał głos.

--Postanowiłeś się poddać?

Devon zaklął i uśmiechnął się diabolicznie.

--Czy na to wygląda, Fogwill? Między twoimi ustami a mózgiem nie ma połączenia? A może masz zupełnie pusto w głowie? -- Truciciel wytarł czoło brudną chusteczką. Z pęcherzy popłynęła jasna ciecz.

--Żołnierzu! -- Sypes potrząsnęła laską. -- Aresztować tego człowieka!

Gwardzista tak mocno zacisnął dłoń na pice, że zbieleły mu palce. Odwrócił się do Truciciela i wyszeptał:

--Ból... nie mogę...

--Już niedługo, Angusie -- pocieszył go Devon i przeniósł wzrok na prezbitera, który zmierzał do dzwonka, żeby wezwać świątynną straż. -- On ci nie pomoże, Sypes. Zrób jeszcze krok w stronę tego sznurka, a każę mu nadzieć cię na pikę.

Stary kapłan zatrzymał się i spytał cicho:

--Co mu zrobiłeś?

--Zdradził swojego towarzysza, żeby przeżyć. Zdrada Kościoła przyszła trochę łatwiej. -- W głosie Devona zabrzmiała nuta smutku. -- Wiara jest jak żelazo, silna, ale krucha. Może udźwignąć ogromny ciężar wątpliwości, ale wystarczy niewielki nacisk we właściwym miejscu, żeby pękła. -- Truciciel zamarkował cios młotkiem. -- Kto był świadkiem przedstawień Ichina Telia, wie, jak łatwo cierpienie może zabić wiarę. Zbyt dużo bólu niszczy człowieka, za mało jedynie wzmacnia jego determinację i wydłuża cały proces. -- Skrzywił się, patrząc na strażnika, jakby jego widok napelnił go niesmakiem. -- Ten nieszczęśnik cierpi na bolesną infekcję, którą można wyleczyć serum albo pozwolić jej rozwijać się w naturalny sposób. Służy mi, bo chce żyć.

--On cię nie uratuje -- powiedział prezbiter, zwracając się do strażnika. -- Na litość boską, pomóż nam i zbaw swoją duszę.

--Oto cel, dla którego warto umrzeć -- skwitował szyderczo Devon. -- Nawet teraz

stawiasz religię ponad wiarę. Wierz mi, Sypes, los twojej duszy mniej się liczy, kiedy każda kropla twojej krwi krzyczy o następną godzinę życia. Tylko na niego spójrz!

Strażnik się skrzywił.

--Miałem nadzieję, że ten środek okaże się niepotrzebny -- wyznał Truciciel twardszym tonem. -- Truczina, która krąży w żyłach tego człowieka, jest rzadka i droga. Ale musiałem jej użyć, prawda, Angusie?

Gwardzista pokiwał głową jak skarcone dziecko.

--Ukryty nóż! -- powiedział Devon z oburzeniem i spojrzał na Sypesa, jakby oczekiwał, że stary kapłan podzieli jego dezaprobatę. -- Ten osobnik próbował mnie zamordować w chwili, gdy uwalniałem go z łańcuchów.

Prezbiter zmarszczył brwi.

--Podejrzewam, że masz taki wpływ na wiele osób -- skomentował. -- Czego więc chcesz?

Okulary Devona zaśniły w blasku świec.

--Czego chcę? -- Truciciel patrzył na Sypesa przez dłuższą chwilę. -- Chcę pokazać ci cud. -- Z kieszeni kamizelki wyjął strzykawkę z płynem koloru krwi. -- Wiesz, co to jest?

--Nie rób tego -- rzekł pospiesznie prezbiter. -- Nie tutaj. Porozmawiajmy na osobności.

Devon podwinął rękaw.

--Porozmawiamy, Sypes, ale później. -- Zerknął na Fogwillę, potem na Dilla. --

Potrzebuję świątynnych świadków. -- Wbił igłę pod skórę. -- Szukałem jakiegoś

stosownego naczynia: przydymionej buteleczki albo pozłacanej fiołki... -- Wtłoczył trochę

plynu w żyłę. -- Ale ostatecznie uznałem, że zwykła strzykawka będzie bardziej praktyczna. --

Devon wyjął igłę z ramienia i rozłożył ręce jak magik. -- A teraz patrzcie uważnie.

--Całkiem oszalał -- mruknął prezbiter.

Gdyby ktoś poprosił Dilla, żeby zrelacjonował wydarzenia w Sanktuarium, nie potrafiłby

dokładnie opowiedzieć, co się stało ani w jakiej kolejności. Wszystko działo się jak we śnie.

Po twarzy Truciciela przemknęła cała gama odczuć -- błogości, zdumienia, bólu. Samo

oblicze zmieniało się tak szybko, że wyglądało to tak, jakby każda z tych emocji należała do

innego człowieka. Czerwona, podrażniona skóra najpierw zrobiła się różowa, a chwilę później biała, wygładziła się i napięła na czole i pod oczami. Pęcherze zniknęły, sączące się rany wyschły i zagoiły się w mgnieniu oka. Krwawienie ustało. Devon stanął z rozpostartymi rękoma nad przepaścią i powiedział:

--Czuję ich w środku. -- Jego oczy jaśniały, gdy intensywnie wpatrywał się w otchłań. -- Wszystkich. Słyszę... ich głosy.

Prezbiter i adiunkt byli całkowicie pochłonięci obserwowaniem transformacji. Angus

podpierał się piką i patrzył gdzieś w dal, więc tylko Dill zauważył, że z przepaści gramoli się

jakiś człowiek. Najpierw na krawędzi pojawił się hak, potem zabandażowana ręka, chwilę

później druga i wreszcie największy i najbrzydszy mężczyzna, jakiego Dill widział w życiu.

Intruz podciągnął się i stanął na brzegu otchłani. Miał na sobie podarte lachmany, spod których

wyzierały niezliczone skaleczenia; jego twarz była zakrwawiona, brudna i zarośnięta. Oczy

plonęły nienawiścią. Wyglądał jak koszmar prosto z piekła.

Zza pasa wyciągnął tasak i uniósł go, stojąc tuż za Devonem.

--Pan Nettle! -- krzyknął adiunkt Crumb, który nagle oprzytomniał. -- Sieciarz!

Truciciel odwrócił się jak pijany, nadal z rozłożonymi rękami.

Potężne mięśnie rąk napięły się tak mocno, że pękły szwy w brudnych szmatach, gdy sieciarz z wielkim zamachem opuścił broń.

Tasak odciął prawą rękę Truciciela w nadgarstku. Dłoń, nadal ściskająca strzykawkę, upadła na podłogę.

Devon wytrzeszczył oczy, patrząc, jak z kikuta tryskają fontanny krwi. Wydawało się, że Truciciel chce coś powiedzieć, ale tylko stał osłupiały przez dwanaście uderzeń serca, aż w końcu zdrową ręką zakrył ranę. Krew przeciekła mu między palcami, spryskała posadzkę Sanktuarium.

Pan Nettle schylił się po odrąbaną dłoń i uniósł ją jak trofeum. Strzykawka lśniła czerwono w blasku świec.

--Abigail -- powiedział sieciarz.

Devon rzucił się na niego z rykiem. Obaj upadli na podłogę, ucięta ręka poleciała wysokim łukiem w stronę przepaści.

Pan Nettle przetoczył się na bok, zerwał błyskawicznie i skoczył za zgubą, ślizgając się na zakrwawionej podłodze.

Za późno. Dłoń wraz ze strzykawką zniknęły w otchłani.

Angus, który do tej pory bez ruchu obserwował całą scenę, teraz popędził na sieciarza z uniesioną piką. Pan Nettle stał zwrócony do niego plecami, na skraju przepaści, i patrzył tępo w dół.

Strażnik włożył w cios wszystkie siły i cały swój impet. Pan Nettle runął w otchłań.

--Nie! -- krzyknął Devon i podbiegł do Angusa na skraj przepaści, nadal ściskając kikut. Obaj spojrzeli w mrok.

Dill poczuł, że jego oczy zaczynają się jarzyć nieznanymi kolorami. Truciciel odwrócił się z kwaśną miną i ruszył jak burza na adiunkta Crumba i prezbitera.

--To kolejny z waszych asasynów? -- zapytał oskarżycielsko.

--Nie -- odparł adiunkt spokojnie. -- Sądzę, że zamordowałeś córkę tego człowieka.

--Ignorancki dzikus! -- wybuchnął Devon. -- Ja tylko przeniosłem jej duszę w inne miejsce.

--On chyba wołał, żeby jej dusza została tam, gdzie była -- stwierdził Crumb. Devon go zignorował. Przyglądał się prawej ręce. Z rany przestała tryskać krew.

--Mniejsza o to -- powiedział. -- Lepiej spójrzcie, jak się goi. Pomachał kikutem. Dill zobaczył, że ranę rzeczywiście zarasta nowa skóra.

--Angusie, wychodzimy -- rzucił Truciciel rozkazującym tonem. -- Sypes idzie z nami. Jeśli będzie stawiał opór, zrób w nim dziurę.

Wrócił do klatki na dusze i zaczął grzebać wśród całunów, aż znalazł skórzaną torbę podróżną.

Tymczasem strażnik popychał przed sobą prezbitera końcem piki.

--A co z tymi dwoma? -- zapytał.

--Za kogo mnie uważasz? -- oburzył się Devon. -- Za pospolitego mordercę? --

Wzruszył ramionami. -- Deepgate powinno znać prawdę o tym, co się tutaj wydarzyło.

Nie sądzą, żeby wyszło mi na dobre zabicie ostatniego archonta Ulcisa. Bóg łańcuchów mógłby wziąć to do siebie. Jeśli chodzi o tłuszciocha -- zmarszczył brwi, patrząc

na adiunkta -- chyba nie znajdę lepszego głupca, żeby zastąpił Sypesa w czasie jego nieobecności. Zamknij ich obu w klatce.

Angus zapędził Fogwilla i Dilla do klatki, zamknął drzwi i rzucił klucz w ciemny kąt Sanktuarium. Następnie poprowadził Sypesa do drzwi, a Devon wziął torbę podróżną i ruszył za nimi.

Crumb potknął się o ciała owinięte w całuny i oparł ciężko na Dillu.

--Myślisz, że tak po prostu stąd wyjdiesz?! -- krzyknął za Devonem. -- Miasto jest pełne uzbrojonych ludzi, którzy cię szukają.

Truciciel westchnął przeciągle, ze znużeniem.

--Sądzę, że poszukiwania dotarły już na przedmieścia Deepgate. A ja nagle straciłem zaufanie do umiejętności waszych żołnierzy.

Przy drzwiach Devon obejrzał się i mrugnął do Dilla.

--Dobra walka, archoncie -- powiedział.

Dopiero teraz anioł przypomniał sobie o mieczu zatkniętym za pas. Jego oczy zapłonęły czerwienią.

Wrota Sanktuarium zamknęły się z hukiem. Szczęknęła zasuwka. Ten dźwięk był jak nóż wbity w serce Dilla.

ROZDZIAŁ 19 NIEBEZPIECZNY PLAN

--Był ranny, miał ze sobą strażnika i porwał prezbitera! -- wykrzyknął Mark Hael. --

Jakim więc cudem, w imię stu archontów, mógł tak po prostu zniknąć?

Młody kapitan aeronautów stał sztywno na baczność, podczas gdy dowódca chodził przed nim w tę i z powrotem.

--Sądzimy, że ukradł sterowiec -- odparł służbistym tonem.

Fogwill siedział bez ruchu za biurkiem Sypesa i trzymał palce złożone pod brodą. Był należycie upozowany. Jego sutanna spływała na dywan szkarłatnymi kaskadami i wydzielala zapach lawendy. Stos kamieni i marmuru zaśmiecał podłogę wokół niedokończonej kolumny Kodeksu. Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd adiunkt był tutaj ostatnio, a jeszcze nie widział ani jednego murarza na rusztowaniu.

Zdecydowanie trzeba im płacić od godziny.

Kapitan Clay siedział w niedbalej pozycji naprzeciwko Crumba i ze znudzoną miną przysłuchiwał się rozmowie. Jego oczy były jak lebki gwoździ w porowatym kamieniu. Na zbroję miał narzuconą pelerynę koloru dymu, spiętą na szyi żelazną broszą z insygniami straży świątynnej.

Komandor Hael przestał spacerować i zmarszczył brwi. Miał na sobie śnieżnobiały mundur ze złotymi lamówkami.

--Sądzicie, że ukradł sterowiec? Albo jest meldunek o zaginięciu statku, albo nie.

--Brakuje jednego statku wojennego.

--Wojennego?

Młody aeronauta nie spuścił wzroku.

--*Birkity*. Przyleciała, żeby się dozbroić. Pelen arsenał. Załoga miała wejść na pokład po dzisiejszej ceremonii Wysłania.

--Więc jest uzbrojony po zęby -- wysyczał komandor.

Fogwill gestem nakazał Markowi Haelowi usiąść, a sam pochylił się nad biurkiem i zapytał:

--Chciałbym wiedzieć, jak udało im się dotrzeć do doków tak, że nikt ich nie zauważył?

Aeronauta spojrział adiunktowi w oczy.

--Mamy raport o strażniku eskortującym dwóch żalobników. Przypuszczamy, że chodzi o Angusa. Oczywiście twarze żalobników były zasłonięte, ale...

Clay zaśmiał się szczecliwie.

--Wszyscy są winni -- skwitował krótko. -- Co teraz zrobimy?

Fogwill rozmasował skronie. Czuł, że zbliża się ból głowy. Chciał być sam, z dala od tych szorstkich mężczyzn.

--W jakim kierunku odleciał sterowiec? -- spytał.

--Na północ.

--Dziękuję, możecie odejść.

Aeronauta zerknął na dowódcę. Hael skinął głową.

--Komandorze. -- Kapitan zasalutował, wykonał w tył zwrot i odmaszerował. Gdy zamknął za sobą drzwi, Clay rozparł się na krześle i powiedział:

--Po prostu wyszedł ze świątyni.

--Błyskotliwa uwaga, kapitanie Clay -- skomentował Fogwill, bardziej zły na siebie niż na dowódcę świątynnej straży.

Spędził godzinę uwięziony w klatce na dusze razem z cichym, zamyślonym Dilem, zanim w Sanktuarium zjawił się Borelock, ciągnąc kosz do sprzątania. Na ich widok kapłan wytrzeszczył oczy, ale szybko otrząsnął się ze zdumienia i uwolnił ich. Fogwill natychmiast kazał posłać gońców po kapitana Claya i komandora Haela. Prezbiter nie przeszedł przez Most Bramny, zapewnili go, więc Fogwill polecił im przeszukać całą świątynię. Było już południe, kiedy się okazało, że Devon uciekł z Deepgate.

--Powinniśmy wysłać za nim armadę -- zaproponował Clay. Crumb zaczął obracać pierścień na palcu.

--Komandorze, ile czasu minie, zanim statkowi zabraknie paliwa?

--Był zatankowany do pełna, a więc tydzień albo najwyżej osiem dni -- odparł sztywno Hael. -- Zależnie od pogody, wiatrów i od tego, jakie tempo narzuci Devon. -- Patrząc na adiunkta, nie potrafił ukryć pogardy. -- Czego Devon chce od prezbitera?

Fogwill spojrział mu prosto w oczy.

--Odpowiedzi.

--Na jakie pytanie?

Kapłan się zawahał. Sypes stanowczo twierdził, że oprócz nich dwóch nikt nie powinien znać planów Ulcisa. Jak można armii, całemu miastu, rozkazać walczyć z bogiem, którego tak długo czcili? Wszystko zależało od tego, czy zdobędą pomoc Carnival. A teraz wyglądało na to, że nie mają jej nic do zaoferowania. Była natomiast armia zmarłych szykująca się do powiększenia swoich szeregów, porwany prezbiter i szaleniec na wolności, dysponujący sterowcem wojennym.

--Nie tylko on szuka odpowiedzi -- stwierdził Hael. -- To polowanie od początku było cyrkiem. Nasze plantacje wzdłuż całej Coyle są narażone na atak. Ledwo wystarcza nam ludzi, żeby strzec portów handlowych w Racha i Clune. Ostatnio cumujące *Jasmin Eulen* i *Marisa* zostały ostrzelane przez bandy piratów. A jeszcze

przed Nocą Blizn tysiąc rezerwistów powołanych do służby będzie oczekiwać na żold.

Z kim, jeśli mogę zapytać, mamy walczyć?

Fogwill nie odpowiedział.

--Żądam, żeby pan...

--Komandorze -- przerwał mu adiunkt. -- Proszę nie wydawać mi rozkazów w mojej własnej świątyni. Intencje Devona bez wątpienia wkrótce staną się jasne, a ja chcę, żeby do tego czasu armia była w pełnej gotowości. Truciciel ma do dyspozycji uzbrojony sterowiec wojenny, a anielskie wino już zmienia go w sposób, którego nie potrafimy przewidzieć.

Spojrzenie Haela było twarde jak guziki jego munduru. Fogwill przyłapał się na tym, że irytacja komandora sprawia mu przyjemność. Dowódca aeronautów był zabijaką, a Crumb zawsze gardził takimi ludźmi.

--Wątpię, czy anielskie wino w jakikolwiek sposób go zmieni -- odezwał się Clay. -- Devon był wariatem. Fakt, że wtłoczył sobie to paskudztwo w żyły, jest wystarczającym dowodem. Nigdy mu nie ufałem. Nie tykałem pasztetów Fondelgrue'a przez cały tydzień po tym, jak Truciciel kręcił się po kuchniach.

--Dziękuję, kapitanie. -- Fogwill rozplótł ręce. -- Komandorze Hael, powiedział pan, że Devon skierował się na północ, nad Martwe Piaski. Dlaczego akurat północ? Co tam znajdzie?

--Nic -- odparł Hael. -- Rozrzucone obozowiska Heshette, skamieniały las... i Czarny Tron. Większość oaz jest zatruta. Tak czy inaczej, Heshette będą dla niego większym zagrożeniem niż dla nas.

--Więc dlaczego wybrał ten kierunek? Clay popukał się palcem w czoło.

--Po prostu wariat.

Ale Fogwill wcale nie był tego pewien. Devon miał jakiś plan. On zawsze miał plan.

--Przygotować armadę do pościgu -- rozkazał.

Gdy wszyscy wyszli, adiunkt został przy biurku Sypesa i myślał. Carnival już wiedziała o anielskim winie. Według nawigatora, który przeżył ostatnią katastrofę sterowca, kapitan wszystko jej wypaplał.

Tylko że teraz anielskie wino przepadło w otchłani.

Ale ona nie miała o tym pojęcia.

Pokład drżał, kiedy *Birkita* sunęła na północ nad Martwymi Piaskami. Silniki huczały równomiernie. Devon stał przy wielkim kole sterowym i wyglądał przez zaokrąglone okna mostka. Pomarańczowe słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając długie cienie na wydmy. Tek i mosiądz deski rozdzielczej lśniły w ciepłym świetle. Z pokładu i ścian wystawało kilkadziesiąt błyszczących trąbek interkomu. Rzędy okrągłych tarcz pokazywały ciśnienie, szybkość, wysokość, kierunek i wiele innych parametrów, które inżynierowie dodali do pierwotnego projektu. Devon uznał, że odczyty, których nie potrafi rozszyfrować, nie są ważne. Sterowiec to worek z gazem. Leci w górę, w dół, w przód i w tył. Porusza się z określoną prędkością w określonym kierunku. Co jeszcze trzeba wiedzieć?

Podmuch z kanałów wentylacyjnych biegnących nad oknami poruszył jego rzadkie włosy. W oddali brązowe szczyty Czarnego Tronu wyraźnie rysowały się na tle nieba poznaczonego różowymi i niebieskimi smugami.

--Nie ma twojego człowieka -- wychrypiał Sypes. -- Zostawił cię? A może nie

znalazłeś w porę serum?

Stary kapłan nie ruszył się z krzesła, które Angus znalazł dla niego w kabinie kapitana i postawił na środku mostka. Czarne fałdy sutanny niemal całkiem go zakrywały. Widać było tylko głowę, podobną do indyczej i lekko się chwiejącą, kiedy mówił.

--Miał pan przyjemną drzemkę? -- zapytał Devon.

--A spałem?

--Przez cały czas.

--To z gorąca.

--Zrobi się chłodniej, kiedy zajdzie słońce. Angus jest w maszynowni, w stanie błogości wywołanym przez serum. Gdybym musiał obsługiwać silniki, przegapiłbym ten cudowny widok, a gdybyś ty, panie, ich pilnował, wszyscy bylibyśmy martwi. -- Obrócił nieznacznie statek. -- Ale wtedy przynajmniej nie musiałbym słuchać ciągłego chrapania. Na podłodze przy krześle stoi wino, jeśli jesteś spragniony, wasza wielbność.

Sypes znalazł butelkę i unióś ją do ust drżącymi rękami. Wino koilo jego nerwy.

--Ludzie w moim wieku nie są dobrymi podróżnikami. -- Uczynił wysilek, żeby skupić wzrok na Devonie. -- Jak ręka?

Truciciel unióś kikut. Nadgarstek pokrywała nowa skóra.

--Gdyby ten lotr nie wrzucił mojej dłoni do otchłani, miałbym ją z powrotem na swoim miejscu. I wtedy mógłbym użyć obu, żeby pana udusić.

--Wyglądał na bystrego osobnika. Devon prychnął.

--Nie dość bystrego, żeby wyhodować sobie skrzydła.

--Zdaje się, że zamordowałeś jego córkę?

--Myślę, że obaj ponosimy za to winę, Sypes. Prezbiter spuścił wzrok.

Truciciel przyjrzał się jednej z tarcz na tablicy sterowniczej i obrócił koło o kilka stopni.

--Zastanawiam się, co pańskie duchy pomyślały sobie o dzisiejszych nowo przybyłych. Najpierw moja ręka, a tuż za nią głupi asasyn.

Zmarszczki na twarzy Sypesa się pogłębiły.

--Zwykle są martwi, zanim docierają do kryjówki Ulcisa.

--Kryjówki? Dość dziwny dobór słów. -- Devon zerknął na starca. -- Przypuszczam, że jego dusza miała do pokonania mniejszy dystans. Twoim zdaniem, Sypes, jak długo mógł spadać, zanim uderzył w dno?

Prezbiter nie odpowiedział. Sterowiec zadrżał i się przechylił. Mostek zaskrzypiał groźnie.

Sypes wskazał głową na odległą górę widoczną za oknami i lekko przekrzywioną.

--Spodziewasz się znaleźć sojuszników w Czarnym Tronie?

--Sojuszników? Nie, niewolników.

Śmiech Sypesa przeszedł w suchy kaszel.

--Myślisz, że Heshette zrobią, co im każesz?

--Jestem optymistą.

--Zabiją nas wszystkich. Devon pokazał mu kikut.

--Mogą spróbować.

Stary kapłan zmarszczył czoło i sięgnął po butelkę wina, żeby się nie przewróciła.

--Zniszczą statek w chwili, kiedy wyląduje.

--Prawdopodobnie.

--Anielskie wino -- burknął Sypes. -- Zdajesz sobie sprawę z tego, że już stajesz się od niego szalony?

Truciciel tylko się uśmiechnął i odwrócił do okna. Czarny Tron jaśniał w ostatnich promieniach słońca przekrzywiony pod dziwnym kątem. Devon zaklął pod nosem i rzucił do interkomu na desce rozdzielczej:

--Angus, upuść z żeber prawej burty... -- zerknął na wskaźniki -...jakieś osiemset galonów. -- Odwrócił się z powrotem do Sypesa. -- Widzisz, jak góra lśni? To czarna ruda. Muszą być jej tam miliony ton. Dziwne, że nie znaleźliśmy innego złoża. Ani jednego. Sądzę, że Czarny Tron nie jest naturalną skałą, tylko czymś, co spadło z nieba eony temu. -- Wzruszył ramionami. -- To dlatego prawie nic nie rośnie na Martwych Piaskach. Ta góra jest trująca.

Sypes spojrział na horyzont i przeniósł wzrok na Devona.

--Postanowiłeś na nowo rozbudzić w sobie zainteresowanie metalurgią?

--Interesuję się wszystkimi naukami, ostatnio szczególnie tymi zakazanymi. --

Devon zauważył, że prezbiter unika jego wzroku. -- Dość wykrętów, Sypes. Dlaczego mi pomagales?

Prezbiter osunął się na krzesło. Przez dłuższą chwilę w milczeniu patrzył za okno. W końcu rzekł:

--Nigdy nie miało do tego dojść. Mam na myśli polowanie na ciebie.

--Fogwill -- rzucił krótko Devon. Sypes pokiwał ze znużeniem głową.

--Wiedziałem, że gdy w twoje ręce trafi dziennik Miękkich Ludzi, nie będziesz w stanie oprzeć się pokusie przeprowadzenia destylacji. Trud, który sobie zadałeś, ból, który musisz znosić, utrata zdrowia z powodu trucizn. I oto pojawił się sposób, żeby położyć kres tym cierpieniom. Przynajmniej fizycznym. Przykro mi, że odkryłem go za późno, żeby uratować Elizabeth.

Twarz Devona spochmurniała.

--Nie wymawiaj jej imienia, Sypes. Nie zasłużyłeś sobie na to prawo.

--Przepraszam.

--Nie ufaleś mi dostatecznie, żeby zwrócić się do mnie bezpośrednio?

--Oczywiście, że nie.

--To przynajmniej ma sens.

--Poznałbym po twoim wyglądzie, że anielskie wino jest gotowe. Odebranie ci go byłoby prostą sprawą.

Devon odruchowo uniósł do brody okaleczony nadgarstek. Poczul nową, miękką skórę bez bolesnych pęcherzy i uświadomił sobie, że nadal ma bandażę pod ubraniem. Przez lata tak się do nich przyzwyczaił, że ledwo je zauważał. Ale teraz oczywiście mógł się ich pozbyć. Omal się nie uśmiechnął, gdy pomyślał, że ubranie będzie dla niego za duże.

--Chciałeś eliksir dla siebie, Sypes?

--Nie, dla Carnival.

Ufa jej bardziej niż mnie?

Właściwie myśl, że cieszył się aż tak złą sławą, sprawiła Devonowi satysfakcję.

--Spine by cię za to pokochali -- skomentował.

--Istniało ryzyko. -- Prezbiter pociągnął łyk wina. -- Mniejsze zło. Z anielskim winem we krwi Carnival już nie musiałaby zabijać, żeby przeżyć. To by oznaczało koniec Nocy Blizn. Trzynaście istnień poświęconych, żeby uratować niezliczone. Ale teraz te dusze ciąży mi na sumieniu jak łańcuchy na szyi.

Mostek przechylił się gwałtownie, metal zajęczał. Coś zabrzęczało za ścianą jak zbyt mocno napięta lina. Devon pochylił się do trąbki interkomu.

--Angusie, kazalem ci opróżnić prawą burtę... -- Porwał drugą trąbkę połączoną z deską rozdzielczą długą giętką rurką i przyłożył ją do ucha. -- Tak... Nie... teraz niech będzie tysiąc galonów... Prawa burta... Nie, prawa... Tak, to coś, co wygląda jak zawór. Co? Nie wiem, po prostu przekręć to cholerstwo kilka razy...

Kilka uderzeń serca później *Birkita* wyprostowała się z sykiem i drzeniem. Horyzont przez chwilę był mniej więcej poziomy, ale potem zaczął się wychylać w drugą stronę. Devon sięgnął po trąbkę, ale mostek wyprostował się niemal natychmiast.

Truciciel odwrócił się do kapłana i przez chwilę mierzył go wzrokiem. Czyżby prezbiter tak łatwo pogodził się z kradzieżą trzynastu dusz, żeby położyć kres rozlewowi krwi w Noc Blizn? Przecież taka decyzja stanowiłaby całkowitą sprzeczność z tym, co głosił ten człowiek i jego Kościół. W oczach jego boga nie mogło być gorszej zbrodni. W grę musiała wchodzić większa stawka.

On się czegoś boi, coś ukrywa. Był nawet gotowy zaryzykować gniew swojego boga. Im dłużej Devon się zastanawiał, tym mniej rozumiał.

Boi się swojego własnego boga? Albo tego, co uważa za boga?

--Powiedz mi, Sypes, co naprawdę znajduje się na dnie przepaści? -- zapytał.

--Zmarli... i Ulcis. -- Prezbiter odpowiedział zbyt szybko. Devon prychnął.

--Zdetronizowany bóg, który dowodzi armią duchów? Dla mnie to nie do przyjęcia.

Sypes napił się wina, odstawił butelkę na podłogę i upewnił się, że stoi prosto.

--Nie wierzysz w Ulcisa?

--Wierzę, że coś tam rezyduje na dole. Ale bóg? Nie.

--Twoja żona wierzyła...

Devon wyczuł, że Sypes próbuje odwrócić jego uwagę, ale nie potrafił zapanować nad gniewem.

--Elizabeth już zgnila, ty stary durniu. Tylko że robaki toczyły ją na długo przed tym, zanim umarła. Te same robaki, dla ochrony których poświęciłem własne zdrowie. Teraz mów, co wiesz, bo tracę cierpliwość.

--Zamierzasz mnie torturować?

--Co? -- Devon z zaskoczeniem stwierdził, że ściska ramię starca tak mocno, że aż zabolala go ręka. Natychmiast go puścił. -- Nie, nie, oczywiście, że nie.

Co się z nim działo? Te zachowania były zupełnie do niego niepodobne. Jego umysł jakby zasnuwała mgła. Nie myślał jasno. Anielskie wino, uboczne skutki, o których donosili Miękczy Ludzie? Nie, to minie, tak jak ucichły głosy.

A były jakieś głosy?

Po tym, jak eliksir dostał się do jego żył, Devon był przekonany, że je słyszał: głosy wszystkich, których zabił. Szeptali, płakali, krzyczeli. A teraz? Nie pamiętał.

--Jestem zdziwiony -- rzekł prezbiter. -- Zawsze twierdziłeś, że nie wolno nie doceniać skuteczności cierpienia.

--Myślę, że twoje serce by wysiadło, Sypes, gdybym tylko na ciebie krzyknął.

Starzec zaśmiał się niepewnie i od razu rozkaszał. Sięgnął po wino, przewrócił je. Butelka potoczyła się po pokładzie, brudząc go czerwonymi strużkami. Devon podniósł ją i podał Sypesowi. Prezbiter pociągnął spory łyk. Kiedy atak kaszlu minął, Sypes powiedział:

--Jeśli zamierzasz mnie upić...

--Niech bóg broni. Miałbym znosić jeszcze więcej chrapania?

--No więc?

Co więc? Jakie miał plany? Jeszcze chwilę temu był pewien, że zna odpowiedź. Teraz był zdezorientowany. Próbował się skupić, rozpędzić mgłę, która zaćmiewała umysł. Gdzie się znajdował? Gdzie Elizabeth?

Elizabeth...

Leżała na łóżku i umierała, a on patrzył na to z bezsilnym smutkiem. Życie z niej uciekało. Najpierw straciła urodę, potem energię i wreszcie nadzieję. Płakała jak dziecko, a on nie był w stanie jej uratować. Mimo woli zacisnął pięść, której już nie miał. W końcu miasto wszystko mu zabrało. Wiedział, co musi zrobić.

--Martwi wcale nie mieszkają na dnie otchłani -- powiedział. -- Zbierają się nad nią. Pielgrzymi zostają doprowadzeni do Deepgate, a tam karmi się ich przed rzezią. Ich dusze służą jako pokarm temu, co jest na dole. To ma być życie?

--Co ty wiesz o życiu?

--Moja krew i pot zapewniały wam bezpieczeństwo! -- ryknął Devon. --

Okaleczyliście mnie, zniszczyliście. Zabraliście mi ją. Zamordowaliście!

--Już nie jesteś okaleczony... -- Sypes plątał się i kulił, jakby się spodziewał, że Truciciel go uderzy.

--A co to jest? -- Devon pokazał kikut. -- Jeszcze nie dość mi zabraliście. Nigdy nie będzie dość. Masy znajdują sobie tego, kogo potrzebują, a potem go pożerają. Wszyscy jesteście martwi, gnijecie pod skórą, czekacie na to, żeby stać się pokarmem waszego boga.

Truciciel wziął głęboki wdech. Niedawno po takim wybuchu jego płuca przeszłyby gwałtowny ból. Ale nie teraz. Krew tętniła mu w żyłach, świeża, pełna energii. Wydarł miastu swoje życie. Lecz to za mało. A czy kiedyś wystarczy? Deepgate było mu winne więcej, niż kiedykolwiek zdoła zapłacić.

--Nie wiadomo, jaki stwór żyje w tej norze, ale zbudował Żąb Boga, żeby wydobywać rudę z Czarnego Tronu i wykuć z niej łańcuchy, a potem ukrył się w otchłani na trzy tysiące lat i domaga się, żeby go karmić. Bóg? -- Devon uśmiechnął się szyderczo. -- Nie. Pasożyt, jak reszta was. Sypes zmrużył oczy.

--Powiedz mi, co tam się kryje? -- nalegał Truciciel.

--A co zamierzasz zrobić? Devon uśmiechnął się blado.

--Ściągnę na siebie jego uwagę. Przetnę łańcuchy. Prezbiter zacharczał.

--A dlaczego nie? -- ciągnął Devon. -- Czy i tak wszyscy tam nie skończycie? Czy to nie jest sens waszego życia? Dlaczego nie posłać wszystkich na dół od razu?

Zbladły nawet plamy na czaszce prezbitera.

--Zabijesz wszystkich mieszkańców miasta?

--Zabiję?! -- krzyknął Truciciel. -- Dam im to, czego pragną!

Składając meldunek, młody aeronauta nie patrzył na adiunkta Crumba. Jego wzrok przykuwał lśniący mosiądz auroletyskopu.

--Za *Birkitę* wysłano trzydzieści krążowników lecących pod pełną parą. Po drodze rozwina linię flagową.

--Fascynujące -- rzekł adiunkt. -- I kompletnie bezsensowne. Dill, rozumiesz, co ten człowiek powiedział?

Dill nie miał pojęcia i przyznał się do tego. Aeronauta zerknął na Crumba i zaczął od początku.

--Krażownicy...

--Krażownicy?

--Ciężkie sterowce wojenne. Gaz wapienny, bomby zapalające...

--Rozumiem. Proszę mówić dalej.

--...ścigają *Birkitę* pod pełną parą. Mają podwójne silniki i zwiększone ciśnienie gazu nośnego...

--Dobrze, dobrze. Nie muszę znać wszystkich szczegółów. Pomajstrowano przy silnikach, żeby sterowce szybciej leciały. Ale co to za nonsensy o rozwijaniu flag?

--Statki będą się odłączać od głównej floty w równych odstępach czasu i zostaną na ustalonych pozycjach, żeby uformować linię flagową...

--Linię flagową?

--Linię komunikacyjną.

--Aha! -- Adiunkt nareszcie wyglądał na zadowolonego. -- Dlaczego nie powiedzieliście tak od razu? No dobrze, możecie już iść. Anioł i ja mamy ważne sprawy do omówienia.

Gdy aeronauta z trudem oderwał wzrok od tajemniczego przyrządu obserwacyjnego i wyszedł, Crumb skinieniem przywołał Dilla do auroletyskopu.

--Ci ludzie mają zwyczaj wyrażania się w bardzo skomplikowany sposób o najprostszych rzeczach. Cud, że flota Deepgate w ogóle funkcjonuje. -- Sięgnął do pokręteł i zaczął je ustawiać. -- O ile pamiętam, Sypes robił to w taki sposób. Musimy podłączyć fantomowe lustro do kopuły pryzmatycznej -- wsunął coś do środka -- i obrócić filtry mroku, żeby uzyskać obraz. -- Pokręcił czymś błyszczącym. -- Właśnie tak. Teraz powinniśmy ich zobaczyć. Chciałbyś ujrzeć martwych?

Dill zbliżył się ostrożnie do auroletyskopu, żeby nie zawadzić o nic skrzydłami w zagraconym obserwatorium. Poza tym o niepokój przyprawiał go panujący tutaj półmrok. Ciemność jakby się zaciskała wokół niego. Czuł, że ciężar świątyni go przygniata, wtłacza krew do brzucha. Starał się oddychać głęboko i spokojnie.

Po biurku wałały się zapieczętowane zwoje, kościane pióra i szklane piramidki z czerwonym, zielonym, czarnym i niebieskim atramentem. Inne zwoje, w skórzanych tubach, były ciasno upakowane na półkach zajmujących wszystkie ściany. W szafce ze szklanymi drzwiami leżały wymyślne urządzenia do regulowania i kalibrowania auroletyskopu, ułożone jak narzędzia chirurgiczne. Sama maszyna zajmowała tyle miejsca, że równie dobrze pokój mógł być jej częścią. Kolumna soczewek sięgała prawie pod łukowate sklepienie, a otaczające

ją tryby, rozporki i zwierciadła zajmowały resztę wolnego miejsca.

Adiunkt wcisnął się z jednej strony biurka, unosząc rękawy, żeby nie dotknąć płomyków świec. Wionęła od niego chmura perfum o zapachu letnich owoców w cukrze.

--Teraz spojrzysz tutaj i powiedz mi, co widzisz.

Dill pochylił się i zerknął w okular. Gdy przysunął się bliżej, w soczewkach odbiły się jego szaro-białe oczy, ale nie zobaczył nic oprócz ciemności.

--Widzisz ich?

Anioł wyteżył wzrok, próbując dostrzec jakieś jaśniejsze plamy w jednolitej czerni.

--Daj oczom czas na przystosowanie się -- poradził Crumb.

Dill wpatrywał się w pustkę. Nadal nic. Równie dobrze mógł patrzeć na arkusz czarnego papieru. Cienie zalegające w kątach obserwatorium zbliżały się, otaczały go coraz ciaśniejszym kręgiem. Jego puls przyspieszył.

--Jak oni wyglądają?

Adiunkt Crumb sapnął z irytacją.

--Spróbuj wyregulować ostrość. Ta rączka na lewo od okularu. Właśnie.

Dill poruszył dźwignią i usłyszał, że mosiężny szkielet zaczyna się poruszać.

Jest.

Zatrzymał maszynę i przez pół uderzenia serca widział ruch w pustce na dole. Maleńkie światełka. Przesunął dźwignię z powrotem i błyski pojawiły się znowu, bardzo słabe, migotliwe.

--Widzisz ich?

Dwa, trzy płomyczki. Sunęły wolno przez ciemność, zmieniając kształt, od czasu do czasu gasnąc i zapalając się znowu.

--Widzę -- wyszeptał.

--Dusze zmarłych -- powiedział cicho adiunkt.

Dill starał się zobaczyć coś więcej, próbował dopatrzeć się ludzkich kształtów w mrugających światełkach. Ale były zbyt odległe i nikle, ledwo widoczne. Gdyby Rachel mogła to zobaczyć... Obserwował duchy, aż zniknęły z pola widzenia. Później jeszcze długo patrzył w okular, w nadziei że wrócą, ale już nic więcej nie zobaczył.

W końcu adiunkt Crumb położył mu dłoń na ramieniu i delikatnie go odsunął.

--Masz szczęście, że w ogóle je ujrzałeś. Niewielu ludzi je widziało, zwłaszcza o tej porze. Normalnie pojawiają się po ceremonii Wysłania.

--Witają nowych zmarłych? Crumb skrzywił się lekko.

--Tak sądzimy.

Dill liczył na to, że adiunkt pozwoli mu jeszcze raz spojrzeć w okular auroletyskopu, ale kapłan odchylił się na oparcie krzesła i zmierzył go zamyślonym spojrzeniem.

--Zewsząd otaczają nas wrogowie -- oświadczył.

--Poganie?

--Oczywiście. -- Crumb się zawahał. -- Ale obawiam się, że teraz mamy nowego, bardziej niebezpiecznego.

Dill pokiwał głową.

To dlatego mnie wezwał? Potrzebują mojej pomocy przeciwko Devonowi? Rachel już przekazała mu nowinę, że anielskie wino doprowadziło Truciciela do szaleństwa.

Ukradł sterowiec wojenny pełen broni i uciekł z miasta, a Deepgate szykowało się na

najgorsze. Dillowowi nagle zabrakło tchu z podniecenia i strachu.

--Pamiętasz swoją przysięgę, że będziesz służył i bronił świątyni? -- ciągnął adiunkt.

Ceremonia odbyła się w jego dziesiąte urodziny. Stojąc na brzegu przepaści w Sanktuarium rozjaśnionym przez miliony świateł, Dill złożył przysięgę przed prezbiterem Sypesem, adiunktem Crumbem i Gaine'em. Nadali mu tytuł świątynnego archonta i podarowali stary miecz, który teraz miał przy pasie.

--Zrobię wszystko, czego zażadasz, panie -- zapewnił. Adiunkt Crumb zajrzał w okular auroletyskopu.

--Powiedz mi, co wiesz o Carnival.

--O Pijawce?

Kapłan zmarszczył brwi.

--Różnie ją nazywano, ale nie jestem pewien, czy podoba mi się to określenie. Sądzę, że to przezwisko wymyślone przez pospólstwo.

--Ona jest potworem, złodziejem dusz -- przypomniał Dill. -- Rachel mi o niej opowiadała.

--W porządku. Wiem, że czasami coś przed tobą ukrywamy, ale tylko dla twojego dobra. Anioła nie należy niepotrzebnie obciążać brzemieniem okrutnych stron życia. Ale archont powinien znać wrogów świątyni.

--Carnival byłaby potężnym sojusznikiem.

--Carnival?

--Ona... -- Adiunkt Crumb od niechcienia obrócił dźwignię auroletyskopu. -- Wiem, co robiła w przeszłości. To udręczona, nieszczęsna istota, ale w obecnej sytuacji mimo wszystko jest mniejszym złem.

Dill zaniemówił. Jakim cudem Devon może być gorszy od Carnival? Jak w ogóle ktoś może być od niej gorszy?

Adiunkt nadal bawił się dźwignią, przesuwał ją w tę i w powrotem, ale nie sprawiał wrażenia skupionego na obserwacji.

--Carnival jest demonem w każdym sensie, ale jednocześnie złem, które dobrze znamy, nawet jeśli jej nie rozumiemy. -- Rubin na jego palcu zaśnił w blasku świateł. -- Nie proponuję, żeby jej wybaczyć, ale... -- w górze szczęknęły tryby --...po Nocy Blizn życie toczy się dalej.

--Dlaczego miałyby nam pomóc? -- zdziwił się Dill. -- Myślałem, że nas nienawidzi.

--Omal nie powiedział: „was”.

Skrzypienie maszyny ucichło. Crumb rozsiadł się na krześle i złożył palce pod brodą.

--Mamy coś, czego ona rozpaczliwie potrzebuje. Doszły mnie słuchy, że Carnival wie o istnieniu anielskiego wina wytworzonego przez Devona.

--Ale ono wpadło...

--I Carnival nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć. Jeśli się zorientuje, że już go nie mamy, stracimy przewagę.

--Co mam zrobić?

Adiunkt wrócił do obserwowania otchłani. Przesunął dźwignię i maszyna zaczęła szumieć, mruścić i postukiwać.

--Chcę, żebyś dostarczył jej wiadomość -- rzekł Crumb. Skrzydła Dilla drgnęły mimo woli. Oczy zbieleły ze strachu.

--Ja?

--Tobie będzie łatwiej ją znaleźć. Potrafisz latać.

--Ale ja nigdy wcześniej nie latałem, ja...

Urwał w pół słowa, bo z powodu kłamstwa jego tęczęwki zaczęły zmieniać barwę na zieloną. Na szczęście, adiunkt nie odwrócił się od auroletyskopu.

--Pora, żebyś się nauczył. I to szybko. Rachel ci pomoże. Chcę, żebyś znalazł Carnival przed następną Nocą Blizn i przekazał jej naszą ofertę. Nie mów o tym nikomu, rozumiesz? Nikomu. -- Crumb zrobił pauzę. -- Dill, to musisz być ty. Ona zabiłaby każdego innego posłańca. Carnival poluje na ludzi z gminu. Nienawidzi Spine, którzy od zawsze ją ścigają, kapłanów, którzy nasylają na nią asasynów, i aeronautów. Ostatnio bez wyraźnego powodu straciła sterowiec wojenny. Zginęła większość załogi.

Dill ledwo mógł oddychać. W przeszłości wojenni archonci nieraz stawiali czoło Carnival. Czytał o nich w książkach: o aniołach, którzy zdążyli spłodzić wielu synów. W przeciwnym wypadku Kościół nigdy nie zaryzykowałby ich śmierci. Kilku przeżyło, ale żaden nie uniknął ran.

--Ona mnie zabije -- wykrztusił.

--Nie. Myślę, że cię wysłucha.

--Dlaczego?

--Będziesz nieuzbrojony.

ROZDZIAŁ 20 ZMIANA NASTAWIENIA

Silny przeciwny wiatr miotał sterowcem, gwizdał w przewodach wentylacyjnych, brzdąkał na napiętych kablach. *Birkita* była niczym orkiestra wygrywająca osobliwe dźwięki pośród nocnej ciszy. W ciemności za oknami mostka migotały niezliczone gwiazdy. W dole przesuwaly się Martwe Piaski, które wyglądały jak nakryte bezkształtną srebrną gazą.

--Szybciej byłoby na piechotę -- powiedział gderliwie Devon, grzebiąc w torbie z truciznami.

Wykorzystywał tylko dwie trzecie mocy silników, bo nie ufał Angusowi, że poradzi sobie w maszynowni, a sam też nie czuł się najpewniej przy tablicy sterowniczej. Oznaczało to, że prześladowcy z każdą godziną nadrabiają straty.

--Nie spiesz mi się do Czarnego Tronu -- stwierdził prezbiter.

Nie wstawał z krzesła, odkąd na nim usiadł, aż w końcu Devon zaczął się zastanawiać, czy po wylądowaniu nie będzie musiał wynieść go ze sterowca na siedząco.

--I słusznie -- rzucił szyderczo.

--Nie spieszno mi również do tego, żebyś znalazł właściwą truciznę.

Truciciel chrząknął. W miarę jak sterowiec z trudem posuwał się pod wiatr, tracił cierpliwość do małowówności Sypesa. Krew coraz żywiej krążyła w jego żyłach, skóra napięła się na mięśniach jak u młodzieńca. Zęby były zdrowe i mocne, oczy bystre i niespokojne. Anielskie wino nadal działało. Dlaczego nie miałby podręczyć kapłana? Musiał coś zrobić, zanim ta przekłeta wichura zniesie ich z powrotem do Deepgate.

--Nie ta -- mruknął, odstawiając buteleczkę na deskę rozdzielczą. -- Ta też nie.

Wyjął z torby kolejną zieloną fiolkę, przeczytał nalepkę i potrząsnął głową.

Naprawdę nie wziął nic, co mógłby wykorzystać? Co nie od razu zabiłoby starca?

Potrzebował specyfiku, który spowoduje ból, ale nie doprowadzi do wstrząsu, śpiączki albo czegoś gorszego. Jad węża, zarodniki grzybów, ekstrakt z psiego ziela, pigment z wdowiego węgorza. Odłożył je na bok.

--Niech to diabli! -- zaklął. Sypes poruszył się na krześle.

--Już coś znalazłeś?

--Staram się.

--Jest może więcej wina? Albo coś do jedzenia? Umieram z głodu.

--Daj mi minutę.

Truciciel uniósł ostatnią buteleczkę i zmarszczył brwi, a potem wrzucił wszystkie z powrotem do torby i westchnął przeciągle.

--Co chciałbyś zjeść, Sypes?

--Cokolwiek. Nie chcę być ciężarem.

--W kambuzie są marynowane małże, solona świńska skóra i mątwą, obawiam się, że suszona.

--Mogą być małże.

Gdy Devon otworzył drzwi, pomieszczenie wypełnił loskot śmigiel. Wiatr próbował wepchnąć do środka iluminatory. Truciciel ruszył w dół prawą zejściówką, sunąc dłonią po gładkiej mosiężnej poręczy.

W ciemnej kuchni wisiały na hakach garnki i patelnie. Pod ścianą stały beczki, w większości puste albo z kilkoma kawałkami solonej słoniny na dnie. Półki również były ogolone. Świeże owoce i mięso zostały zjedzone przez załogę, a po ostatnim rejsie *Birkita* nie zdążyła uzupełnić zapasów. Devon znalazł w spiżarni słoik z małżami i włożył go pod pachę.

Może powinien pomęczyć Sypesa w staroświecki sposób? Mógłby go skrępować i wziąć nóż. Zapalona świeca też byłaby skuteczna. Utrata kilku palców albo oka w znieczuleniu nie stanowiłaby dużego ryzyka dla zdrowia prezbitera, pod warunkiem że zatamowałby krwawienie i utrzymywał rany w czystości. Na pokładzie powinny być gdzieś bandaże i szarpie. Mógłby nawet uciąć mu jądra. Devon skrzywił się na tę myśl. Niektórych rzeczy wolalby nie oglądać. Doszedł w końcu do wniosku, że tradycyjne tortury są zbyt mało wyszukane i niesmaczne. Brakowało im finezji.

Ale czy mógł pozwolić sobie na czekanie, kiedy ściagała go cała armada Deepgate? Wcześniej stał na rufie i obserwował odległe światła przesłonięte przez dymy unoszące się nad miastem. W dodatku miał wrogów nie tylko za sobą. Wiedział, że

Heshette nie powitają go z otwartymi ramionami, gdy wyląduje przy Zębie Boga. Coś mu mówiło, że wkrótce sprawdzi swoją wytrzymałość na ból.

Odpędził te myśli. Miał teraz inne zmartwienia na głowie. Przedłużające się milczenie Sypesa doprowadzało go do szału. Stary cap czegoś się bał. Tak bardzo, że zlekceważył doktrynę własnego Kościoła i zadał sobie wiele trudu, żeby kupić pomoc Carnival.

Dlaczego?

Pytania bez odpowiedzi nie dawały Trucicielowi spokoju. Sypes wiedział, co jest na dole, a jeśli Devon miał posłać całe Deepgate do swojego stwórcy, chciał się najpierw dowiedzieć, kto nim jest.

Bóg?

Nie potrafił w to uwierzyć. Świątynia została zbudowana na wierze i umocniona

klamstwami. Ale czy ignorancja mogła być fundamentem jakiegokolwiek obrzędku? Devon gardził nabożnym szacunkiem wobec wszystkiego co nadprzyrodzone. Według niego były to po prostu jeszcze niewyjaśnione zjawiska naturalne. Krew zawierała energię, którą można wykorzystać, żeby przedłużyć życie. Devon lubił zrozumiałe terminy i jasne definicje. Dla człowieka o jego błyskotliwości tylko to się liczyło.

Myśli nadal kłębiły się mu w głowie, kiedy wyszedł z kambuza i ze słoikiem pod pachą maszerował do części mieszkalnej sterowca.

Może powinien nauczyć się cierpliwości, bo czas był teraz jedyną rzeczą, której miał w nadmiarze? Sypes w końcu zacznie mówić. Kiedy zobaczy ukochane miasto pędzące w dół ku swojemu przeznaczeniu, wyzna Devonowi całą prawdę.

Kabina kapitana była tylko odrobinę większa od kajut załogi, ale bogato wykończona: lśniaca drewniana okleina, rżnięte szkło, dywany miękkie jak stopione złoto. W barku stały butelki rhaku, whisky i wina.

Devon nie znalazł białego, więc wybrał lekkie czerwone z Duskvalley. Nawet jeśli nie pasowało do krabów, przynajmniej nie powinno zabić ich smaku.

Akurat czytał nalepkę, kiedy statek zanurkował do przodu, a on runął na ścianę kabiny. Wino wyśliznęło mu się z ręki. Butelki i kieliszki zagrzechotały, spadły na podłogę i potoczyły się po dywanie. Ryk silników nagle przeszedł w wizg.

--Krew i łańcuchy -- wymamrotał Devon, gramoląc się z podłogi. -- Zabiję tego starego głupca.

Wytoczył się z kabiny, opierając się o ścianę. Prawa zejściówka była ostro nachylona w stronę mostka. Devon na pół pobiegł, na pół ześliznął się po niej do

samego końca i walnął w drzwi mostka. Przez bulaj zobaczył, że Sypes pochyla się nad deską rozdzielczą i trzyma w rękach wolant. Za oknami szalała burza piaskowa. Devon przez chwilę grzebał w kluczach, aż znalazł właściwy i włożył go do zamka.

Drzwi nawet nie drgnęły. Prezbiter zablokował je krzesłem wstawionym pod klamkę.

--Stary dureń! -- krzyknął Devon i zabębnił w drzwi.

Sypes się odwrócił i zmarszczył brwi.

Trzymając się poręczy, Devon wdrapał się po zejściówce, skręcił w prawo i ruszył przez śródkręcie na lewą burtę. Ramieniem obijał się o ścianę. Silniki *Birkity* wyły i krztusiły się, przewody wentylacyjne zatykały się od piasku. Kiedy Devon dotarł do lewej zejściówki, jej nachylenie było tak duże, że zsunął się po niej na plecach i kolanami uderzył w drugie drzwi mostka. Zagrzechotał kluczami, wypróbował jeden, potem drugi. Przekręcił go w zamku i...

To samo. Sypes przesunął krzesło na drugą stronę mostka.

--Otwieraj! -- Devon zaczął kopać drzwi.

Prezbiter go zignorował. Za oknami kłębiły się tumany piasku. Przechył był coraz większy. Zbyt duży, żeby dało się wdrapać po zejściówce i przedostać z powrotem na prawą burtę. Sypes napelniał gazem tylne żebra, a opróżnił przednie, przez co sterowiec zanurkował dziobem w dół.

--Zabijesz nas! -- wrzasnęła Truciciel, mocując się z drzwiami. Gdy w końcu się otworzyły, wpadł do środka.

Sypes nawet się nie odwrócił, kiedy Devon uderzył w deskę rozdzielczą tuż obok niego. Dłońmi o zbiegających kostkach trzymał wolant maksymalnie przesunięty do przodu. Z interkomu dobiegał rozgrzany głos Angusa. Kable jęczały pod naciskiem. Drewno skrzypiało.

Tumany pyłu rozdzieliły się i za oknami zamajaczyły wydmy.

Truciciel odepchnął kapłana i przekręcił zawory, żeby zalać przednie żebra. Przyciągnął do siebie dźwignie steru wysokości.

Nie nastąpiła żadna zmiana w położeniu statku.

Wydmy się zbliżały. Kępy wyschniętej trawy drżały na wietrze. Skąły i skamieniałe drzewa oblane eterowym światłem rzucały groźne cienie na piasek. Znajdowali się zaledwie sto jardów od ziemi, dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt.

Nos sterowca uniósł się lekko.

--Szybciej! -- ryknął Devon. Ręką i kikutem pociągnął wolant jeszcze bardziej do siebie i krzyknął do interkomu: -- Angus! Zwiększ ciśnienie paliwa. Potrzebujemy więcej gorącego powietrza z przodu. -- Spojrzał na Sypesa. -- Gdzie, do diabła, uczyłeś się prowadzić sterowiec?

--To tylko worek z gazem -- odparł z podłogi prezbiter. -- Co w tym trudnego?

Truciciel warknął i odwrócił się do tablicy sterowniczej.

Wydmy były coraz bliżej. Sześćdziesiąt jardów, pięćdziesiąt, czterdzieści.

Dziób uniósł się odrobinę.

Devon zobaczył pofalowany piasek, fale i spirale wyrzeźbione przez wiatr pod konarami skamieniałych drzew. Trzydzieści jardów. Powietrze wydobywało się z sykiem z przednich żeber, zwiększone ciśnienie groziło wybuchem, ale statek powoli się prostował.

Dwadzieścia jardów.

Kamienne gałęzie przemknęły za oknami jak zakrzywione szpony.

Birkita wyrównała lot. Zaczęła się wznosić.

Devon rozluźnił uchwyt na wolancie.

Tymczasem Sypes pozbierał się z podłogi i skinieniem głowy wskazał na słoik, który Devon nadal trzymał pod pachą.

--Zapomniałeś o winie -- stwierdził spokojnie.

--Co kazał ci zrobić?

--Znaleźć Carnival i przekazać jej wiadomość. -- Oczy Dilla były nadal białe po spotkaniu z adiunktem Crumbem, ale on się tym nie przejmował. Rachel już dawno przyzwyczaiła się do ciągłych zmian ich koloru.

--Po co?

Anioł wyjaśnił jej sytuację.

--Chce dobić z nią targu? Nakłonić do pościgu za Devonem? To nie ma sensu.

--Zapewnił, że nic mi nie grozi, bo będę nieuzbrojony. -- Po chwili wahania dodał: --Zabrał mi miecz.

Rachel popatrzyła na Dilla ze zdumieniem.

--Twierdzi, że jeszcze nikt nie stanął przed nią bez broni.

--I słusznie. Nie chciałabym stanąć przed nią, nie mając dowolnej broni z arsenału Spine. --

Rachel siedziała na parapecie pod witrażem przedstawiającym Callisa i z roztargnieniem prostowała i zginała rękę. Bandaży już nie miała, ale skóra nadal była czerwona i spuchnięta.

Dill dopiero niedawno dowiedział się o walce stoczonej w planetarium. Spine zameldowali o

niej kapłanom, a jeden z nich, niejaki Primpleneck z leniwym okiem, zrelacjonował całą historię strażnikowi o imieniu Paddock. Opowieść rozniosła się wśród świątynnych gwardzistów, personel kuchenny podsłuchiwał ich rozmowę przy śniadaniu. Stewardzi przekazali wieść kucharzom, kucharze pokojówkom i kelnerom, ci z kolei sprzątacjom, a sprzątacze stajennym. Przynajmniej tak twierdził masztalerz, który rano zaczepił anioła przed stajnią.

--Ach, ta sprawa -- powiedział z lekceważeniem Dill. -- Słyszałem o niej wieki temu.

Odszedł dumnym krokiem, a później urządził sobie wyjątkowo długi bieg ze ślimakami. Kiedy się nad tym zastanowić, jest tyle nieoczekiwanych miejsc, w których można ukryć śliskie stworzenia.

--Nie pozwolę im na to -- oświadczyła Rachel.

--Na co?

--To zbyt niebezpieczne. Nie pozwolę im cię nigdzie wysłać. -- Zeszła z parapetu. -- Nikt nie może ode mnie oczekiwać, że w tych okolicznościach będę cię chronić. Wyznaczono mnie na twojego nadzorcę, więc porozmawiam z Fogwillem i zażądam, żeby odwołał tę głupią akcję. Odzyskam twój miecz. -- Pokręciła głową. -- Nie mogę uwierzyć, że ryzykują twoje życie. Nie zdają sobie sprawy, kim jesteś?

--Ostatnim archontem.

--Nie... -- Rachel zmarszczyła brwi. -- Nie to miałam na myśli. Chodziło mi... -- Szukała właściwych słów. -- Chodziło mi o to, że jesteś jedyną osobą w całym tym bałaganie, która pozostała czysta i niezepsuta. Jesteś sercem świątyni... sercem Deepgate. Oni potrzebują cię bardziej, niż przypuszczają.

Dill poczuł, że jego oczy zmieniają barwę. Nie od razu rozpoznał ten kolor. Widział go w czasach, kiedy jeszcze żył ojciec. Rachel ruszyła do drzwi.

--Poczekaj! -- zawołał.

Nie zatrzymała się, tylko rzuciła przez ramię:

--To zły pomysł, Dill. Szaleństwo. Nie wiem, co Fogwill sobie wyobraża.

--Ja chcę to zrobić. Pozwól mi, proszę.

Rachel przystanęła. Może sprawiła to jakaś nuta w jego głosie.

--Sama nie wiem -- mruknęła.

Ale Dill wiedział. To była chwila, na którą czekał przez całe życie; szansa, żeby zrobić coś dla świątyni. Szansa, żeby stać się archontem godnym swoich przodków.

Szansa, żeby zabłysnąć. Nawet bez miecza czuł się jak prawdziwy wojownik.

ROZDZIAŁ 21 DILL I CARNIVAL

Do Nocy Blizn pozostawało jeszcze dziesięć dni, nad Martwymi Piaskami wschodził ogromny krwawy księżyc. W miarę jak się wznosił, tracił czerwoną barwę, robił się coraz jaśniejszy, aż w końcu zaświecił samotnie we własnym kręgu nocy, jakby gwiazdy od niego stroniły. W dole jarzyło się Deepgate, tysiące migających punkcików. Lodowaty północny wiatr pędził przez miasto, świszczał i zawodził wśród łańcuchów. Rozedrgane liny śpiewały. Żelazne sieci drżały i wydawały dziwne fałszywe tony.

Dillowi wydawało się, że słyszy odległe krzyki.

Noc była zimna, szczególnie na dachu, gdzie kulił się anioł. Chłodne dachówki ziębiły mu palce, oddech zamieniał się w parę. Ale Dill nie ruszał się z miejsca. Ciemność go paraliżowała.

Gdzie zacząć?

Wszystkie kierunki wydawały się równie odstręczające. Adiunkt Crumb poradził mu, żeby trzymał się dużej wysokości i przez cały czas był w ruchu.

--Ona cię znajdzie -- powiedział.

Dill powędrował dłonią do rękojeści miecza, ale namacał tylko powietrze. Crumb zabrał mi broń, przypomniał sobie.

Adiunkt prawdopodobnie już spał. Świątynia była ciemnym, nierównym zarysem na tle nieba, za kilkoma witrażowymi oknami paliły się słabe lampy niczym dogasające węgielki. Pewnie wszyscy spali, nawet Rachel. Tylko Dill czuwał samotnie na lodowatym zimnie.

W ciemności.

Jak długo już tu siedział? Musiały minąć godziny. Nie czuł, że jego oczy zmieniają kolor, od czasu kiedy wyszedł ze świątyni. Zrobiły się wtedy białe i nadal były białe.

Skąd zacząć?

Szron pokrył mu pióra, ręce i nogi zdrętwiały. Mimo zimna morzył go sen. Musiał zbliżyć się świt. Dill jednak nie miał odwagi się poruszyć.

Spadająca gwiazda przecięła niebo na południu. Czwarta albo piąta tej nocy.

Ayen jest dziś bardzo zajęta; kolejna towarzyszka wypędzona z nieba.

Dill obserwował, jak jasny punkcik migocze i gaśnie.

Wstań i rusz się wreszcie.

No, dalej!

Musiał się ruszyć, jeśli nie chciał zamarznąć.

Kolczuga zazgrzytała, kiedy anioł w końcu wstał i rozpostarł skrzydła. Adiunkt Crumb dał mu broń, która kiedyś należała do Gaine'a. Drobne ogniwa były wykute ze starożytnej stali, kiedyś lekkiej i mocnej, teraz skorodowanej i ciężkiej od rdzy. Pokryta wilgocią, zaciskała się wokół jego piersi. Dill wziął głęboki wdech i stwierdził, że noc pachnie metalem. Zrobił krok do przodu, potem następny. Jego stopy ślizgały się na oszronionych dachówkach. W dole ciągnął się labirynt ulic, lśniący w blasku księżyca jak wielkie jezioro skute lodem. Dill zatrzymał się na krawędzi dachu i, chłostany przez wiatr, nasłuchiwał wabiącej muzyki Deepgate.

Rusz się, bo zamarzniesz.

Zeskoczył z dachu.

Zimny podmuch przeszył go na wskroś, załopotał koszulą i spodniami, rozwiał włosy; wkradł się za kołnierz, zaparł dech w piersiach. Dill pofrunął nad brukowaną ulicą. Kilka razy uderzył skrzydłami, a następnie dał się ponieść lodowatemu powietrzu.

Równy i spokojnie.

Staral się zachować jednakową odległość od spiczastych dachów, które wyglądały jak fale zamrożone nad wąskimi alejkami. Między sadzawkami światła otaczającymi latarnie gazowe gromadziły się cienie.

Lecąc, wpatrywał się w nie, czujny na każdy ruch, tak jak mu przykazał adiunkt. „Ona widzi w ciemności”, ostrzegł go Crumb. „Nie pozwól, żeby cię zaskoczyła”. Ciekawe, czy Carnival czai się teraz gdzieś w mroku i obserwuje go z dołu? Dill wzbił się wyżej, wdychając hausty ostrego powietrza.

Każde machnięcie skrzydłami oddalało go od świątyni. Od bezpiecznego schronienia.

A jeśli Carnival wcale nie ukrywa się na ziemi? Czy usłyszy, jak anielica się zbliża?

A jeśli jest tuż za nim? Jego serce ścisnął lęk. Dill obejrzał się, sięgając do miecza, pewny, że Carnival wyciąga po niego okaleczone ręce i wpatruje się weń zmrużonymi oczami, które wyglądają jak blizny od noża. Ale zobaczył tylko zarys świątyni i zimne gwiazdy. Otworzył pięść zaciśniętą na... pustce.

Uliczka biegła w głąb miasta. Solidne drzwi, zamknięte okiennice, żelazne kraty na kominach. I wszędzie cienie. Stanowczo za dużo. Dill przyspieszył. Kolczuga zwisała mu na piersi, koszula pod nią wydymała się na wietrze, pióra otaczały go jak rozwiane śnieżnobiałe płachty. Mocniej zamachał skrzydłami, napinając mięśnie ramion. Próbowal odpędzić wszelkie myśli i skupić się na utrzymaniu miarowego rytmu.

W dole alejka opadała przy wahadłowym domu zawieszonym na jednym z łańcuchów fundamentowych. Dill zostawił go za sobą i poszybował dalej szerokim łukiem, żeby okrążyć świątynię. Zamierzał spiralami dotrzeć do krawędzi przepaści. A potem? Modlił się, żeby wtedy już nastal świt.

Równy i spokojnie.

Księżyc spoglądał w dół jasnym okiem, a Dill wyobraził sobie inne, ukryte oczy obserwujące go z dołu; spod ciemnych okapów, z zasłoniętych okien, ze świątyni, oczy zerkające przez łańcuchy, wyzierające z czeluści.

Zatoczył koło nad świątynią, wysoko nad wiatrowskazami Lilley. W dole widział kominy Kuchni Trucizn i zakłady przemysłowe rozlokowane wzdłuż brzegów Sierpa i przesłonięte bursztynowym smogiem. Płomienie oświetlały od spodu chmury wyziewów. Wokół płataniny rur kłębiła się para. Ponad dym wyrastały żelazne szkielety pomostów, dźwigów i doków cumujących. Dill rozejrzał się za sterowcami, ale nie zobaczył żadnego. Większość ścigała Devona. Gdy sobie to uświadomił, poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Pofrunął w stronę płomieni, w stronę światła.

Zostawił za sobą Lilley i znalazł się nad Ivygarths. Łańcuchy otaczały tutaj wszystko: ogród z sękatymi drzewami; pochyla wieżę z pojedynczym światelkiem w górnym oknie; gospodę z wiszącym nad drzwiami szyldem w postaci drewnianej kozy. Na ulicach nie było ludzi. I żadnych dźwięków oprócz szumu powietrza, szczęku jego zbroi i łopotu skrzydeł.

Blżej Sierpa zrobiło się cieplej, więc Dill postanowił trochę odpocząć i przy okazji się rozgrzać. Wylądował na płaskim, smołowanym dachu przewieszonym nad otchłanią, gdzie unosił się ostry, słodkawy zapach gazu węglowego. Łańcuchy

fundamentowe sięgały na drugą stronę przepaści, jakby wisiały nad nieruchomą atramentowoczną rzeką. Fabryki zajmujące przeciwległy brzeg wypluwały popiół, a silny

wiatr porywał go nad miasto. Wokół syczały strumienie pary, w górę wzbijały się płomienie i dym, od Kuchni Trucizn dobiegał głębszy, buczący dźwięk.

Przynajmniej było tutaj ciepło i jasno. Żar buchający od kominów sięgał przez otchłań i ogrzewał Dillowi twarz i ręce, topił szron na piórach. Zardzewiała kolczuga lśniła złotoczerwonym blaskiem.

--Co za ironia, prawda? -- usłyszał za plecami kobiecy głos. -- Zanieczyszczają siedzibę własnego boga.

Dill zamarł.

--Spokojnie. Nie jestem w nastroju do rzezi.

--W końcu się ruszył. -- Clay patrzył przez lunetę ustawioną na trójnogu przed oknem adiunkta. -- Już myślałem, że przymarznie do tego dachu.

--Za to my na pewno zamarzniemy, jeśli to okno jeszcze dłużej będzie otwarte. -- Fogwill poprawił koc. -- Nie ma nic gorszego niż zimny przeciąg w nocy.

Clay chrząknął.

--Przychodzi mi do głowy parę innych rzeczy.

Crumb łypnął na niego spode łba i przysunął krzesło bliżej do ognia. Zaczął dźgać żar pogrzebaczem.

--W którą stronę poleciał?

--Na południe. -- Kapitan świątynnej straży odziany w znoszone skóry nie zważał na zimno, garbiąc się nad lunetą. -- Niech to licho, wygląda jak okaleczony gołąb z tą wielką pustą pochwą na miecz. Po co kazałeś mu ją przypasać, panie?

--Nie kazałem. Sam się uparł.

--Biedaczysko!

Fogwill odłożył pogrzebacz i wytarł ręce w kawałek płótna.

--Nie wysyłałbym go, gdybym uważał, że to niebezpieczne. -- Starł się mówić tak, jakby naprawdę w to wierzył.

--Tam jest mnóstwo lodowatych przeciągów -- stwierdził burkliwie Clay, kręcąc głową. -- Ten pański plan to szaleństwo.

Fogwill był gotów się z nim zgodzić, ale jaki miał wybór? Nawet nie mógł wyjawić Clayowi prawdziwego powodu kryjącego się za próbą podjęcia rozmów z anielicą. Nie

mógł zdradzić go nikomu. Stąd kłamstwo, że Carnival dostanie anielskie wino w zamian za śmierć Truciciela. Nikt oprócz Fogwilla nie musiał znać jej prawdziwego celu. Samego Dilla było dość łatwo przekonać. Teraz, kiedy Kościół miał dwóch śmiertelnych wrogów, czyż nie było rozsądne i słuszne napuścić ich na siebie? Ale inni okazali się bardziej sceptyczni, więc Crumb wymyślił sposób, dzięki któremu mógł bezpiecznie negocjować z Carnival. Zastawienie pułapki. Mark Hael, wyraźnie zachwycony perspektywą, że adiunkt i anielica znajdą się w tym samym pokoju, skwapliwie zgodził się wszystko zorganizować. Clay tylko patrzył na Fogwilla przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł, mamrocząc pod nosem przekleństwo.

Crumb zadrżał w duchu na wspomnienie reakcji kapitana. Cisnął zużyty kawałek płótna do ognia.

--Wydaje mi się, że komandor Hael już dawno powinien tu być z wieściami z Kuchni Trucizn.

--Odkąd Devon zniknął, panuje tam chaos. Nikt nie wie co robić. Nie byłbym zaskoczony, gdyby połowa armady wyruszyła z beczkami masła na pokładzie zamiast gazu wapiennego.

--Może powinienem tam pójść i osobiście sprawdzić przygotowania?

--Nic dobrego by z tego nie wyszło. Hael się zjawi, jak wszystko będzie gotowe. No tak, anioł szuka miecza przy pasie. Może coś zauważył.

Fogwill wstał z krzesła.

--Carnival?

--Nie. Pewnie chłodny przeciąg. Kapłan opadł z powrotem na krzesło.

--Cholerne strojenie -- zaklął Clay, mocując się z lunetą. -- Jest! Nadal kieruje się na południe.

Ogień podskoczył, zaskwierczał. Fogwill dorzucił polano i patrzył, jak zaczynają je lizać płomienie. Wyjął kolejną chusteczkę z pudełka stojącego przy kominku i wyczyścił ręce.

--Trzeba było dać go na przeszkolenie do straży -- stwierdził. -- Tak jak zrobiliśmy z Gaine'em. Ale Sypes nie widział sensu. Poganie poszli w rozsypkę, nasza flota rosła w siłę, więc uznał, że wojna wkrótce się skończy. Oświadczył, że anioł powinien stać się symbolem pokoju, a nie wojny.

--Nigdy nie ufałem Gaine'owi -- rzucił Clay. -- Przysięgam, że jego oczy ciemniały za każdym razem, kiedy na mnie patrzył.

--I właśnie dlatego my mu ufaliśmy -- rzekł Fogwill. -- Archontowie nie mogą ukrywać emocji tak, jak to robią zwykli ludzie.

--To było cholernie nieprzyjemne, jeśli kogoś interesuje moje zdanie. A co z Carnival? Jej oczy też zmieniają kolor?

--Ona nie jest aniołem. No... świątynnym aniołem.

--Kiedyś była. Przynajmniej tak słyszałem.

--Koszarowe plotki.

Clay znowu majstrował przy pierścieniu regulującym.

--Podobno to ostatni archont, który wyszedł z otchłani, tak mówią ludzie. Oczy miała wtedy czarne jak smoła, a było to trzy tysiące lat temu. Niektórzy uważają, że ona wysysa krew, żeby zastąpić...

--Kapitanie...

--Ja tylko powtarzam...

Fogwill zmarszczył brwi. Gdy Clay się rozgadał, trudno było go uciszyć.

--W piwiarniach Deepgate ludzie plotą różne rzeczy. Na przykład, że ona ma siedem stóp wzrostu, siedem głów i siedem języków.

--Siedem języków?

Kapitan odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem. Fogwill zamknął oczy. Clay zajął się lunetą.

--Aeronauci z tamtego sterowca widzieli ją całkiem dobrze. Nawigator przeżył katastrofę prawie bez poparzeń. Niemal ją dopadli, tak twierdzi. Otoczyli ją, ale wyrwała się, skacząc przez sufit, a potem wycięła sobie drogę przez... -- Machnął ręką.

--Powłokę. Ale nie zaatakowała ich bezpośrednio.

--Mieli nad nią przewagę liczebną -- przypomniał Clay. -- Powinni byli ją dopaść. Nawigator twierdzi, że miała zęby jak dziki kot i diabelskie oczy.

--Nie zaatakowała, bo to nie była Noc Blizn.

--Powiedz to, panie, ludziom, którzy zginęli w katastrofie.

Fogwill nic nie odpowiedział, tylko zapatrzył się w ogień. Luneta uderzyła we framugę okna.

--Zniknął -- zameldował Clay. -- Jest po drugiej stronie świątyni.

--Więc zamknijmy okno. Jest lodowato.

Clay po raz kolejny obrzucił krytycznym spojrzeniem ściany obite jedwabiem i wazony z kwiatami rozstawione po całym gabinecie, ale w końcu zamknął okno. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł przy kominku obok adiunkta. Pokój szybko się

nagrzał. Przez jakiś czas obaj siedzieli w milczeniu, słuchając trzaskania polan.

--Zastanawiałem się... -- zaczął Clay.

Fogwill uniósł brew.

Kapitan wymamrotał coś pod nosem.

--Słucham?

--Nic. Myślałem o tym, czego Devon chce od prezbitera.

--Tak?

--A jeśli to wszystko oszustwo? Jeśli działają w zмовie?

Fogwill wziął kolejny kawałek płótna i wytarł ręce, choć nie były zabrudzone.

--W zмовie? -- powtórzył piskliwym głosem. Skoro nawet Clay odkrył prawdę, to co dopiero Spine? -- Absurd! Sypes nigdy nie zgodziłby się na taki spisek. To byłoby wbrew kościelnemu prawu. Wbrew woli boga. Doprawdy...

--A jeśli bóg nie żyje?

--Nie żyje? -- Fogwill przestał wycierać ręce. -- Myślisz, że bóg nie żyje? Kapitan wzruszył ramionami.

--Jesteś człowiekiem wiary, Clay? Wierzysz w duszę?

--Oczywiście -- odburknął gwardzista.

--Widziałem je -- powiedział Crumb. -- Na własne oczy widziałem światelka dusz. Wierz mi, Clay, tam na dole są duchy, a skoro one istnieją, to znaczy, że Ulcis jest jak najbardziej żywy. Sypes też obserwował umarłych. Całe noce spędzał na wpatrywaniu się w otchłań i zamartwianiu, co też knują.

--Rozumiem. -- Kapitan ziewnął. -- Ja też nigdy nie ufałem duchom.

--Widziałeś kiedyś ducha, Clay? Dowódca straży poprawił się na krześle.

--Nie jako takiego, ale słyszałem kiedyś pewną historię... Fogwill uniósł rękę.

--To nie jest miejsce na takie rozmowy. Clay prychnął.

--Cała ta sprawa to strata czasu. Ona nie będzie gadać.

--Domyślałam się, że Carnival również nie ufasz.

--Cholerna racja. Jest w niej coś nienaturalnego. Na wargi adiunkta wypełził uśmiech.

--Uważasz, Clay, że to coś niezwykłego, że się jest nieśmiertelną, poznaczoną bliznami, wysysającą krew anielicą, która kradnie dusze w bezksiężycowe noce? Co w tym może być nienaturalnego? Kapitan się zamyślił. Fogwill w końcu się roześmiał.

--Nie, kapitanie Clay, mnie też nic nie przychodzi do głowy.

Minęła jeszcze godzina, zanim zjawił się Mark Hael. Przyprowadził ze sobą chemika w zatłuszczonym fartuchu i masce zawieszzonej na szyi. Skóra na ramionach i głowie tego

człowieka była krwistoczerwona. Nawet usta wyglądały jak odarte z naskórka. Chemik wciągnął powietrze nosem i z przyjemnością rozejrzał się po pokoju.

Tymczasem Fogwill z przykrością zauważył ślady sadzy na mundurze komandora i smugi pozostawione przez obu gości na jego pięknym dywanie z Loombenno.

--To jest Coleblue -- powiedział Hael. -- Właśnie rozstawił zbiorniki z gazem w Sanktuarium.

Chemik wdeptał jeszcze więcej sadzy w dywan i zatarł czerwone ręce.

--Nie mogę zagwarantować, że gaz zadziała. Wypróbowaliśmy go na ptakach, owszem, na gołębiach, wróblach i jaskółkach, bo mają podobny układ oddechowy, bardziej wrażliwy od naszego, ale nigdy nie wiadomo.

--Co się stało z ptakami? -- zapytał Fogwill.

--Szybko ginęły. -- Coleblue pstryknął palcami. -- O, tak. Błyskawicznie.

Fogwill popatrzył na ugotowaną skórę chemika. Nieprzyjemny odór unoszący się wokół tego człowieka przywodził mu na myśl żyrandole gazowe.

--Co by się stało, gdybym ja wciągnął w płuca ten gaz?

Coleblue zmrużył oczy.

--Nie radzę, zdecydowanie nie. Tak czy inaczej, niewiele byłoby tych oddechów. Na Carnival trucizna podziała jeszcze szybciej. Tak jak wasza wielebność sobie zażyczył, powinna zostać unieszkodliwiona w mgnieniu oka. Ale najlepiej, żeby wstrzymał pan oddech i opuścił pokój, gdy tylko gaz zostanie uwolniony.

Clay chrząknął.

--Gaz na sterowcu nie wyrządził jej zbyt wiele krzywdy.

--Gaz nośny nie pali płuc tak, jak ten. Poza tym ona wiedziała, że nie powinna go wdychać.

-- Coleblue przeniósł wzrok z Claya na Fogwilla. -- Carnival nawet nie zdąży go poczuć, bo zaraz padnie. -- Klasnął w ręce.

--Mam nadzieję, że w ogóle nie będziemy musieli go użyć -- powiedział adiunkt. -- To tylko środek ostrożności.

--Nie podoba mi się ten plan -- oświadczył Clay. -- Jest zbyt ryzykowny. Fogwill uniósł brwi.

--Nie ma pan zaufania do gazu, kapitanie?

--Nie ufam czemuś, czego nie można zobaczyć.

--A co z powietrzem?

--Zwłaszcza powietrzu.

Adiunkt pokręcił głową i zwrócił się do chemika:

--Gdzie pan ukrył zawór?

--Pod mównicą -- odparł Coleblue. -- Trzeba obrócić go przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Sanktuarium wypełni się gazem w ciągu kilku sekund. Możemy tam teraz pójść, to pokażę waszej wielebności.

--Dobrze. -- Fogwill wstał. -- Zaraz wracam, Clay. Będzie miał pan oko na Dilla? -- Ruszył za komandorem i chemikiem do drzwi, ale po dwóch krokach zatrzymał się nagle. -- Panie Coleblue, co się stanie, jeśli Dill wciągnie gaz do płuc?

--Niedobrze. -- Chemik pstryknął palcami. -- Szybko, szybko.

Ona zamierza mnie zabić.

Dill nie byłby w stanie sięgnąć po miecz, nawet gdyby go miał przy sobie. Krew zastygła mu w żyłach, a ręce i nogi zdrętwiały. Cienka zbroja była niczym ciężkie łańcuchy oplecione wokół ramion, pusta pochwa na miecz ciągnęła go w dół jak kotwica.

Carnival stała lekko przygarbiona, z częściowo rozpostartymi skrzydłami, jakby się szykowała do lotu.

Albo do skoku?

Jej pióra mieniły się różnymi odcieniami szarości z plamkami brązu i czerni. Była smukła i zwinna jak asasyn Spine, miała delikatny kościec, ale mięśnie twarde jak stal. Skórzane spodnie i kamizelka wyglądały, jakby liczyły sobie tysiąc lat. Zmierzwione czarne włosy opadały jej na twarz, częściowo zasłaniając blizny. Mnóstwo blizn.

Starych na jeszcze starszych. Cienkie białe kreski przecinały jej policzki, czoło, brodę, nagie ramiona. Nie znalazłoby się ani skrawka skóry, który nie byłby nimi naznaczony. Same szramy po nożu, z wyjątkiem jednej: grubego śladu po sznurze wokół szyi. Carnival dotykała go z roztargnieniem, obserwując Dilla z głową

przekrzywioną na bok, jakby nigdy wcześniej nie widziała takiego dziwoląga. Gdyby nie blizny, mogłaby być piękna; starsza od niego najwyżej o rok. Gdyby nie blizny, mogłaby uchodzić za świątynnego anioła. I gdyby nie te oczy.

Czarne jak otchłań, groźniejsze niż gniew stu archontów, zimne i puste jak śmierć. Odbijające się w nich płomienie Kuchni Trucizn wydawały się jedynym obecnym w nich blaskiem życia.

--Nie cierpię tego miejsca -- powiedziała.

--Jest zimno... -- wykrztusił Dill. -- Ale tutaj trochę cieplej.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Huki i trzaski dobiegające z fabryk wypełniały noc. Napływały znad Sierpa wraz z chmurami popiołu.

Carnival zmierzyla wzrokiem pustą pochwę na miecz. Dill zauważył żelazne widły zatknięte za jej pas. Narzędzie ogrodnicze? Anielka pociągnęła nosem.

--To powietrze cuchnie. Dill pokiwał głową.

--Jest trujące.

Anioł potwierdził skinieniem głowy.

--Lubisz wdychać trucizny? Potrząsnął głową.

--Chodź ze mną.

To nie była prośba. Carnival wzbila się w powietrze, a Dill poszedł w jej ślady.

Obejrzała się na niego tylko raz i błysnęła zębami w lekkim uśmiechu. Potem pofrunęła w górę wdzięcznym łukiem, szybko nabierając wysokości. Dill podążył za nią z dudniącym sercem.

Carnival kierowała się na północ, Dill starał się dotrzymać jej tempa, ale zbroja ciągnęła go w dół. Młócił skrzydłami powietrze, jego płuca płonęły. Pochwa miecza obijała się o nogę, aż w końcu pożałował, że ją zabrał. Potrzebował jednak czegoś, co by mu przypominało, że jest świątynnym wojownikiem. Wtedy to miało znaczenie, teraz wydawało się głupie. Miasto w dole było zamazaną plamą. Domy, łańcuchy i ulice przesuwały się z zawrotną szybkością. Dill miał wzrok utkwiony w Carnival. Wiatr rozwiewał jej długie czarne włosy, skrzydła przecinały roje gwiazd; uderzała nimi jeden raz na jego dwa, a mimo to odległość między nimi rosła.

--Zaczekaj! -- krzyknął, ale wiatr zagłuszył jego głos. Zaciskając zęby, zmusił

wyczerpane mięśnie do większego wysiłku. Nagle Carnival zwolniła i jak kamień opadła ku dachom. Dill ruszył za nią, ale zawahał się, kiedy zobaczył, gdzie wylądowała. Był to otoczony murem ogród, ciemny jak sadzawka smoły. Tylko mały skrawek trawnika jaśniał słabo w blasku księżyca, pocięty cieniami konarów nagiego drzewa rosnącego pośrodku i sieci łańcuchów rozciągniętych między sąsiednimi domami. Dalej panował mrok. Dill krążył w górze resztkami sił. Ból ścisnął mu pierś, chyba cała krew odpłynęła ze skrzydeł.

--Co się dzieje?! -- krzyknęła Carnival.

Dill wylądował na cienkim łańcuchu biegnącym nad ogrodem, żeby złapać oddech. Żelazo zakolysało się, skrzypiąc. Dill stracił równowagę i chwilę później leżał na trawniku, patrząc w gwiazdy, bez tchu.

Carnival chrząknęła.

--Zgrabne lądowanie.

Dill wstał chwiejnie. Z dołu ogród wcale nie wydawał się taki ciemny. Trawnik otaczały krzewy obsypane kwiatami i mury porośnięte bluszczem. Brama z kutego żelaza wychodziła na brukowaną uliczkę. Nocne powietrze pachniało różami. Anioł ostrożnie złożył skrzydła.

Wyglądało na to, że nic sobie nie złamał.

--Śniesz mi się -- powiedziała Carnival.

Dill wytrzeszczył oczy.

--Śnią mi się wszystkie anioły. -- Znowu popatrzyła na niego w ten dziwny sposób. -- Jak myślisz, dlaczego?

--Nie wiem.

--Nie znam ich imion, ale pamiętam wszystkie twarze. Stare i młode. Czasami widzę je wśród trupów, nieraz umierają. Opuszczają mnie na zawsze, a ja śnię o ich synach. -- Carnival umilkła na chwilę. -- A ty śniesz o mnie?

Przez głowę Dilla przemknęło mgliste wspomnienie: skrzypiące łańcuchy, blizny, świeża krew.

--Czasami -- przyznał.

--Jak masz na imię?

--Dill.

--Ty moje znasz. Anioł przelknął ślinę.

--Świątynia cię przysłała. Udało mu się skinać głowę.

--Po co?

Adiunkt Crumb poinstruował go, co ma odpowiedzieć. Mówił elokwentnie o pokoju i zrozumieniu, o nienawiści, strachu i przebaczeniu. Dill przez wiele godzin uczył się na pamięć tej przemowy, ale pod wzrokiem anielicy zapominał słów.

--Ja... -- zaczął. -- Oni...

Carnival jakby go nie słuchała. Patrzyła gdzieś poza niego.

--Lubię ten ogród -- wyznała. -- Pewien stary sługa pielęgnował te rośliny dla bogatych właścicieli, którzy nigdy tutaj nie przychodzili. -- Chwyciła gałązkę jaśminu i przesunęła białymi kwiatami po pokrytej bliznami dłoni. -- Kiedyś chyba wyczuł, że obserwuję go z drzewa. Słyszałam, jak jego puls przyspiesza, zobaczyłam, że napinają mu się mięśnie. Wiesz, co zrobił?

Dill potrząsnął głową.

--Nadal zajmował się kwiatami, wrywał chwasty z ziemi, przycinał róże i bluszcz, nawet nie spojrzal na drzewo, a przez cały czas jego serce wybijało szybki rytm jak werbel.

Na koniec przystrzygl trawę nożycami, potem zgarnął ją na taczki i wywiózł, tak jak zawsze. Od tamtej pory się nie zjawił, a przychodziłam tutaj codziennie.

--Chcę z tobą rozmawiać -- wykrztusił w końcu Dill.

Carnival wybuchnęła ostrym, dzikim śmiechem, od którego zjeżyły mu się włoski na karku. Cofnął się o krok.

Anielka zmniejszyła odległość.

--A czego niby ja od nich potrzebuję? Pokoju? Rozgrzeszenia? Obietnicy, że powstrzymają Spine?

Dill znów się cofnął.

Carnival postąpiła krok w jego stronę.

--Miejsca w otchłani dla mojej duszy i tych wszystkich, którzy są we mnie? -- Lance blasku księżycowego przeszyły jej oczy. Ściągnęły się blizny widoczne pod gęstwiną włosów. -- A może krwi? Pozwolą mi wybierać wśród zmarłych, zanim wrzucą ich do otchłani? -- Obnażyła zęby. -- A może dadzą mi miecz i pasują na świątynnego anioła? -- Dotknęła palcem piersi i przysunęła twarz do jego twarzy... -- Nie wierzę w anioły.

Dill poczuł, że jego skrzydła dotykają ogrodowego muru.

--Anielskie wino -- rzucił pospiesznie.

Carnival znieruchomiała i zacisnęła zęby. Włosy wiły się wokół jej twarzy jak żywe, ale z oczu zniknął ogień.

--To pułapka -- stwierdziła.

--Nie.

--Chcę mnie zabić.

--Nie -- powtórzył Dill. -- To znaczy, tak, ale...

--Myślą, że nie pamiętam. Myślą, że tak szybko zapomniałam o planetarium.

Myślą, że nic nie pamiętam! -- Na jej twarzy odmalowała się wściekłość. -- Ta suka Spine powinna była spłonąć, powinna...

Rachel? Ma na myśli Rachel.

Dill zaczął szybko wyrzucać z siebie słowa, żeby tylko ją uspokoić:

--Chcę, żebyś przyszła do Sanktuarium o świcie. Adiunkt Crumb będzie tam z tobą sam na sam. Żadnych żołnierzy. Żadnych Spine. Złóż ci propozycję.

Carnival prychnęła.

--Powiedz mu, żeby poszedł do diabła. Myślisz, że zwariowałam?

Dill nic nie odpowiedział.

--Były inne pułapki -- wycodziła anielica. -- Dawno temu. W różnych miejscach. W dziesiątkach miejsc. -- Jej oddech był coraz szybszy, oczy płonęły. -- W miejscach, gdzie w ślad za mną pojawiał się Labirynt. I krew. Myślę... -- Uderzyła się dłońmi po bokach. -- Wiedzą, że nie pamiętam. Oni...

--Ona tam będzie -- wtrącił Dill.

--Kto?

--Spine z planetarium. Ja się o to postaram.

Carnival zamarła. Mierzyła go wzrokiem przez dłuższą chwilę, aż w końcu jej blizny rozciągnęły się w strasznym uśmiechu.

--Możesz to zrobić?

Dill poczuł się, jakby wkroczył prosto w otchłań. Bez słowa skinął głową.

--Twoje oczy -- zauważyła Carnival.

Dill ledwo ją słyszał. Przez całe życie pragnął zrobić coś właściwego, żeby Kościół był z niego dumny. Chciał się okazać godny swoich przodków. Ale teraz najchętniej cofnąłby wszystko, co powiedział i uczynił. Wróciło wspomnienie Rachel przechylonej przez balustradę nad Sierpem.

„Złapałbyś mnie, gdybym spadła?”.

W tym momencie uświadomił sobie, kim jest. Nie świątynnym wojownikiem, takim jak Callis, tylko tchórzem i zdrajcą niegodnym miana anioła. Jego oczy płonęły zielenią. Jak oczy Rachel.

--Już się mnie nie boisz -- stwierdziła Carnival.

Dill spojrział na nią śmiało.

--Nie.

--Tylko poczekaj -- burknęła anielica.

ROZDZIAŁ 22 WSZYSTKO SIĘ PSUJE

Devon stał oparty o poręcz rufową i patrzył na wstający świt. Pozwolił Angusowi przespać się kilka godzin, zanim podejmą próbę lądowania. Miał nadzieję, że kiedy strażnik trochę wypocznie, niczego nie sknoci przy podejściu. Wiedział, że Heshette będą ich obserwować, i dlatego nie mógł pozwolić, żeby ich manewry wyglądały na niekontrolowane. Sypes siedział na mostku przywiązany do krzesła i chrapał po wypitym winie. Można było odnieść wrażenie, że umysł prezbitera stara się ukryć sekrety pod kocem snu. Sam Devon wcale nie marzył o odpoczynku. Anielskie wino buzowało w jego żyłach, płonęło, swędziało, nie pozwalało zasnąć. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie potrzebował drzemki.

Zdawał sobie jednak sprawę, że eliksir zmienia go również w inny sposób. Wybuchał bez powodu, a jego gniew nie dawał się okiełznać. Po tym, jak Sypes próbował rozbić sterowiec, z wielkim trudem powstrzymał się przed uduszeniem starca. Miał wrażenie, że jego świadomość jest nabrzmiąta jak chmura burzowa, ale rozproszona.

Czy ten gniew bierze się z mojej własnej podświadomości, czy z anielskiego wina?

Czy w eliksirze mogły przetrwać resztki nienawiści? Co za nedorzeczna myśl. Dusza nie miała własnego rozumu ani sumienia; to była tylko energia zasilająca ciało. Mimo wszystko Devon odczuwał niepokój.

Wychylił się przez poręcz, żeby pustynny wiatr ochłodził mu twarz. Deepgate leżało daleko na południu, za różowymi wydmami, ukryte za horyzontem, i tylko lekka mgielka zdradzała jego położenie. Trochę bliżej wisiał na niebie rój srebrnych ciem. Wydawało się, że chmura stoi w miejscu, ale w rzeczywistości sterowce wojenne pędziły za nimi z maksymalną szybkością. Kiedy załogi przesyłały sobie wiadomości, między statkami błyskały eterowe światła. Na północy było widać w porannym świetle

ostry ząbkowany zarys Czarnego Tronu.

Nawet z tej odległości góra wyglądała nienaturalnie, jak wyciosane przez starożytnych

kostki potężnej pięści z brązu, która przebiła się przez otaczające ją wzgórza.

Pustynia była tutaj dziewicza, wolna od szlaków karawanowych, przecinających ją wokół Deepgate. Niekończące się fale i pagórki piasku nawiewanego przez wiatr, urozmaicone jedynie przez równiny usiane głazami i zagajniki skamieniałych drzew.

Devon oceniał, że dotrze do wzgórz w ciągu godziny. Do tego czasu zamierzał pozwolić swoim jeńcom spać, choćby po to, żeby się nacieszyć spokojem poranka. A potem spotkanie z tubylcami? To miała być pierwsza próba anielskiego wina, sprawdzenie, kim się stał dzięki niemu. Może powinien lecieć dalej, poza Czarny Tron? Poza horyzont? Jakie nowe lądy by tam odkrył? Martwe Piaski ciągnęły się aż do Dalamoor na dalekiej północy, pustynnej osady w cieniu jałowych, bezimiennych gór. Misjonarze, którzy się tam zapuszczali, rzadko odnajdywali drogę do domu. Padali ofiarą pragnienia albo Heshette. Ci, którzy przeżyli, opowiadali o groźnych kultach, bandytach, wyschniętych ziemiach uprawnych i zdrażliwych ruchomych piaskach.

Ci, którzy podążali na wschód wzdłuż zielonych brzegów Cole, na południe od nadrzecznych miast, radzili sobie lepiej. Przed trzystu siedemdziesięciu laty chlubą i bożyszczem Deepgate stał się Arthur Drum, kiedy wrócił cały i zdrowy swoim skifem z nowiną, że Coyle wpada do Żółtego Morza. Kolejne ekspedycje omijały wybrzeża i znalazły niewiele oprócz wiosek z błota i pali, zamieszkanymi przez dzikusów. Dziewięćdziesiąt lat temu słynny wilk morski kapitan Donald Bosonson wypuścił się za morze. Wrócił po roku z mniej niż połową swoich ludzi i ponurymi wieściami. Na południu były rozsiane bujne, ale bezludne Wyspy Wulkaniczne, a jeśli w ogóle istniał kraniec Żółtego Morza, to znajdował się poza zasięgiem największych statków.

Przy pomyślnych wiatrach sterówce mogłyby lecieć szybciej, ale ciężar paliwa ograniczał ich zasięg. Tylko największe zdołałyby dotrzeć do delty Coyle. I po co? Tysiące mil niebezpiecznych bagien zamieszkałe przez morskie żmije. Od czasu do czasu organizowano wyprawy na Wyspy Wulkaniczne, ale ich rezultat był zbyt marny, żeby usprawiedliwić wydatki, więc Kościół aż się palił, żeby je ukrócić.

Szklarnia Devona była pełna roślin z tamtych podmokłych, zielonych krain, akwaria roili się od okazów wyłowionych z trującej słonej wody, która pochłonęła tyle ofiar spośród żeglarzy.

Właśnie tak wygląda życie. Wszystko jest trucizną. Wszystko gnije, jest pożerane, rodzi kolejne życie, które w końcu też ulega rozkładowi.

Devon znowu powędrował wzrokiem daleko na południe, gdzie za horyzontem szalało Żółte Morze. Widział tylko piasek, równiny porośnięte krzakami i skamieniałymi drzewami. Cywilizacja rozkwitła tylko w jednym miejscu tego jałowego pustkowia.

Cywilizacja? To słowo dziwnie brzmiało w jego uszach. W tym mieście panuje namacalny głód, potrzeba wysysania szpiku z innych, żeby martwe serce biło jeszcze przez następną chwilę. Ale jest jeszcze inne lanknienie: to, które rządzi w otchłani. Głód dusz.

Wkrótce zapewni Ulcisowi prawdziwą ucztę.

Drzwi na prawej burcie otworzyły się ze skrzypnięciem i wyszedł przez nie Angus. Kiedy Devon się odwrócił, zobaczył, że strażnik pozbył się zbroi i został w stroju z gotowanej skóry. Jego trupio bladą twarz znaczyły ciemne linie. Wyraźnie cierpiał.

--Potrzebuję więcej serum -- powiedział słabym głosem.

Odstępy czasu między atakami głodu stawały się coraz krótsze. Biedak był u kresu sił. Devon skinął głową i wyjął z kieszeni kamizelki buteleczkę z serum. Napelniając strzykawkę, trzymał ją w zgięciu łokcia.

--Niewiele zostało -- stwierdził Angus, wpatrując się w fiolkę.

--Wystarczy. -- Devon wziął strzykawkę w zęby i schował drogocenną truciznę z powrotem do kieszeni.

--Na jak długo? Na kolejny dzień?

Prawdę mówiąc, na dwanaście godzin. Angus uzależnił się szybciej, niż Devon przewidywał. Mógłby być użyteczny przy pilotowaniu Zęba Boga z powrotem do Deepgate, ale teraz wyglądało na to, że Devon będzie musiał całkowicie polegać na współdziałaniu Heshette. Niepokojąca perspektywa.

--Wystarczy do naszego powrotu -- zapewnił.

--A jeśli nie?

Truciciel uśmiechnął się, wbijając igłę w ramię strażnika.

--Potrafię uśmierzyć ból... w inny sposób.

Gdy serum zadziało, otworzył oczy i uśmiechnął się szyderczo.

--Oto łaska Truciciela. Przykuleś mnie łańcuchem do swojego boku jak psa, a potem proponujesz śmierć jako nagrodę.

--Wolisz ból? -- zapytał Devon.

--Chcę żyć.

--Życie to tylko różne stopnie cierpienia i głodu. Po co się go czepiać tak rozpaczliwie? Czy jak wszyscy inni nie czekasz po prostu na śmierć?

Strażnik prychnął.

--Życie to coś więcej niż czekanie na śmierć.

--Co? Mnożenie się? Sprowadzanie na świat kolejnych wrzeszczących gąb, żeby przekazały głód następnemu pokoleniu?

--Nie lubisz kobiet?

Truciciel przypomniał sobie Elizabeth na łożu śmierci, kiedy zabierały mu ją trucizny. Nie była w stanie otworzyć oczu ani mówić. Devon tak mocno ścisnął jej dłoń, że obojgu sprawiał ból. Gdy jęknęła, rozplakał się. W tamtym momencie mógł z nią dzielić jedynie cierpienie.

--Kiedy to coś w buteleczce się skończy, zabiję cię -- oświadczył Angus. Devon obrzucił go krótkim spojrzeniem i przeniósł wzrok na jaśniejące niebo, nadal myśląc o Elizabeth. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zażył anielskie wino, zatęsknił za bólem.

--Niedługo wylądujemy -- powiedział. -- Wtedy wszyscy będą chcieli mnie zabić.

Rachel stała na górnym balkonie iglicy Rookery, kiedy dostała wezwanie. To był najwyższy punkt świątyni i miała z niego najlepszy widok na Deepgate oblane blaskiem księżycy. Zaledwie przed godziną obserwowała, jak Dill w końcu skacze z dachu i wzbija się w powietrze, ale szybko straciła go z oczu. Od tamtej pory chodziła w tę i z powrotem, przesuwając nóż do rzucania między palcami jednej ręki. W drugiej trzymała miecz Dilla. Wzięła go do Fogwilla na przechowanie.

Posłaniec miał nadwagę i sapał ciężko. Na szczyt Rookery prowadziło ponad dwa tysiące

stopni.

--Masz... -- tłuscioch chwycił się za pierś -...przyjść do Sanktuarium

--Ja? -- zdziwiła się Rachel. Kapłan skinął głową.

--Jestem ostatnią osobą, której by tam potrzebowali.

--Adiunkt Crumb... -- posłaniec oparł się o balustradę -...wszystko wyjaśni. Anioł... --

Umilkł, żeby zaczerpnąć tchu.

--Co z nim? Co się stało?

--Wrócił.

--Już? -- Rachel mocniej zacisnęła dłoń na mieczu Dilla. -- Jest ranny?

Posłańcowi udało się pokręcić głową.

Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, Rachel zbiegła po schodach i popędziła korytarzami świątyni. Miała ochotę ucałować miecz. Może jednali nie był taki bezużyteczny, jak się wydawało. Brak broni najwyraźniej uratował młodemu aniołowi życie.

Kiedy dotarła do Sanktuarium, Dill i Fogwill już tam na nią czekali. Nie było jednak śladu Carnival. Adiunkt wyglądał na mocno poruszonego, anioł stał ze spuszczoną głową. Kiedy na nią spojrział, zobaczyła, że jego oczy są zielone.

Co zrobił, że aż tak się wstydzi?

--Nie chce wyjść -- oznajmił Crumb. -- Odmówił wykonania bezpośredniego rozkazu zwierzchnika! Oświadczył, że nie ustąpi. Skoro już tu jesteś, może ty zdołasz przemówić mu do rozumu. Nie chcę być zmuszony do usunięcia go siłą.

--Gdzie jest Carnival? -- zapytała Rachel.

--Będzie tu lada chwila. -- Fogwill spiorunował Dilla wzrokiem, a anioł opuścił głowę jeszcze niżej. -- Tymczasem mamy mały kłopot.

Świt wlał się do misy miasta, jakby ścigał Carnival po ulicach. Anielka niemal lekkomyślnie śmigła między łańcuchami, omijała wahadłowe domy, przelatowała nad mostami i pod nimi, frunęła alejkami niewiele szerszymi od rozpiętości jej skrzydeł. Za nią wzbijały się z ziemi suche liście. Otworzyła się jakaś okiennica i natychmiast zamknęła z trzaskiem, ale Carnival nawet nie spojrziała w tamtą stronę. Myślała o tej suce Spine i o tym, co z nią robi.

Oczywiście wiedziała, że zastawili na nią pułapkę, ale nic jej to nie obchodziło. Przed tą w planetarium było wiele innych i nie raz udało im się ją zranić. W jakiejś mrocznej części umysłu czaiły się wspomnienia, które pogrzebała głęboko, bo sięganie do nich sprawiało, że miała ochotę krzyczeć. Teraz nic nie miało znaczenia. Nieważne, co jej zrobili, ona odplaci im stukrotnie. Tysiąckrotnie. Przyprowadzi Iril prosto do ich drzwi i zapędzi wszystkich do korytarzy piekła.

Suka będzie pierwsza.

Carnival zanurkowała w labirynt łańcuchów oplatających Kolonie, z rozkoszą wdychając mgliste, świeże powietrze. W dole kręcili się ludzie, ale ona nie zwracała na nich uwagi. Kiedyś nadejdzie Noc Blizn. Tylko suka Spine nie będzie musiała czekać.

Zgodnie z obietnicą, którą anielica zamierzała spełnić już dzisiaj w mrocznych zakamarkach świątyni.

Dotarwszy do Mostu Bramnego, zatrzymała się. Mgła zrzędła, blade słońce przedarło się przez nią i otoczyło wielką budowlę złotym halo. Żeby dostać się do Sanktuarium, musiała zejść

pod ziemię. Zawahała się, bijąc skrzydłami, i spojrzała w otchłań. Blizna na jej szyi się ściągnęła, Carnival gwałtownie zaczerpnęła tchu.

Czego tak się bała?

Nie mogła sobie przypomnieć. Czyżby ich boga? Nie wierzyła w bogów. Uważała, że są ludzkim wymysłem. To oni wymyślili sobie bóstwa, żeby przerzucić na nie ciężar własnych win. Ludzie zabijali, bo się bali, ale perspektywa wybaczenia czyniła zabijanie łatwiejszym. Bez rozgrzeszenia cierpieli.

Stare blizny na jej ciele rozgorzały na nowo. Carnival wiedziała wszystko o cierpieniu. Przelknęła ślinę, zacisnęła zęby i zanurkowała.

Podstawa świątyni była najeżona kolcami z ciemnego metalu. Żelazne obręcze, wielkie jak domy, przytrzymały łańcuchy fundamentowe. Do wnętrza potężnej budowli prowadziły niezliczone otwory, połączone płataniną mostów linowych i kabli. Zwykle korzystali z nich Spine, żeby wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie. Ale teraz był ranek i nikogo w zasięgu wzroku. Rosa pokrywająca metal skapywała rdzawymi kroplami. Gdy Carnival wleciała pod gmaszysko, blizna na szyi zaczęła ją palić dusić jak garota.

Z dużego otworu pośrodku świątyni zwisała lampa. Kiedy Carnival do niej dotarła, zmusiła się do zatrzymania. Czekala, nasłuchując i węsząc.

Przez jakiś czas docierały do niej tylko odgłosy kapania i zapach rdzy. Potem usłyszała głosy.

Rachel nie winiła Dilla. Jeśli przedstawienie Carnival nedorzecznego planu tłuszciocha wymagało jej obecności, to w porządku. Ostatecznie na tym polegała jej praca. Ale jak miała pokonać ośli upór anioła i dotrzeć do jego zakutej mózgowicy? W końcu odzyskał swój głupi miecz i teras stał z oczami jarzącymi się zielenią jak wiosenna trawa i nie chciał wyjść z Sanktuarium. Oświadczył, że nie zostawi jej samej.

Ta nieustępliwość mogła z dużym prawdopodobieństwem kosztować go życie.

--Wezwę Claya i każę mu wywlec cię stąd za kołnierz -- ostrzegł Fogwill. -- Jakby to wyglądało, Dill? Świątynny archont wyrzucony jak pijak z podrzędnej tawerny.

Anioł nie odpowiedział.

Rachel poczuła nagle ruch powietrza i spojrzała na otwór prowadzący do otchłani. Nie zobaczyła nic podejrzanego, ale nie odrywała od niego wzroku, kiedy odezwała się do Dilla:

--Fogwill ma rację. To sprawa między mną a Carnival. Postąpiłeś słusznie. Nie musisz niczego udowadniać.

Dill nadal milczał.

Crumb spacerował przed tysiącem świec osadzonych w żelaznych uchwytych, którymi były najeżone ściany. Jego kroki odbijały się echem od sklepienia. Zbliżywszy się do mównicy, odwrócił się i wyrzucił ręce w górę.

--Nie możesz tu zostać, Dill. Wszystko zepsujesz. Powtarzam po raz ostatni: wyjdź.

Anioł nawet nie drgnął.

Tymczasem Rachel uważnie obserwowała otwór. Wszystkie nerwy miała napięte. Nic nie słyszała, ale coś wyczuwała. Przez tę dziurę do Sanktuarium przenikało zimno. Płomienie kilku świec zadrżały. Dłoń asasyunki powędrowała do jednej z bambusowych rurek zatkniętych za

pas.

--Musisz się tym bawić? -- skarcił ją Fogwill. -- Te rzeczy przyprawiają mnie o dreszcze.

Rachel cofnęła rękę. Crumb podjął spacer.

Z otworu znowu powiało chłodem. Świece zaskwierczały. Połowa z nich zgasła.

Nagle z otchłani jednym potężnym ruchem skrzydeł wydostała się Carnival. Wisiała w powietrzu przez dwanaście uderzeń serca, rozglądając się, aż w końcu jej wzrok padł na Rachel.

--Złożyłam ci obietnicę -- powiedziała z drapieżnym uśmiechem, który wyglądał jak najświeższa blizna na jej obliczu.

Asasynka wzruszyła ramionami. Niepostrzeżenie zaczęła zdejmować zatyczkę z bambusowej rurki. Znieruchomiała, kiedy Dill ruszył w jej stronę z dłonią na rękojeści miecza.

Dill!

Nie powinna była oddawać mu broni. Ale bez niej miał taką nieszczęśliwą minę. Myślała, że po prostu weźmie miecz i opuści Sanktuarium, kiedy go o to poprosi. Oczywiście tak było, zanim adiunkt Crumb opowiedział jej o swoim planie. Teraz położyła dłoń na ramieniu Dilla i powstrzymała go przed dobytciem broni.

Fogwill zamarł w pół kroku i rozdziawił usta.

Porozmawiaj z nią, na litość boską!

Carnival wylądowała lekko na krawędzi otworu, złożyła skrzydła i całą uwagę skupiła na Rachel, która z konsternacją zauważyła żelazne widły zatknięte za jej pas. Choć broń wyglądała na niegroźną, asasynka miała dość rozumu, żeby jej nie lekceważyć. Ostatnim razem, kiedy walczyły, anielica była nieuzbrojona i oślepią blaskiem ognia.

--Ja... -- Fogwill zaczął się pocić. -- My... mamy dla ciebie propozycję. Carnival go zignorowała i wbiła spojrzenie ciemnych oczu w Rachel.

--Wymianę. -- Adiunkt zbliżył się do mównicy, do zaworu gazu. Nie waż się, dopóki Dill tutaj jest.

Rachel nie mogła się ruszyć, żeby go powstrzymać. W ten sposób ostrzegłaby Carnival o grożącym jej niebezpieczeństwie. Albo jeszcze gorzej. Nastrój w Sanktuarium był kruchy jak szkło. Najmniejszy nieostrożny ruch mógł je roztrzaskać.

--Wiesz o regenerujących właściwościach anielskiego wina -- ciągnął Fogwill. --

Eliksiru, którego po raz pierwszy użył Callis, żeby zapewnić swoim wojownikom nadzwyczajną siłę i długowieczność. -- Przelknął ślinę. -- Zapewne wiesz również, że niedawno uzyskano destylat...

Carnival nadal się nie odzywała, ale adiunkt wreszcie zasłużył na jej spojrzenie.

Czuje pokusę. Ostrożny dobór słów przez kapłana nie umknął uwagi Rachel. To niebezpieczna gra, Fogwill. I w jakim celu prowadzona? Musi chodzić o coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Tłusty kapłan oparł się niedbale o pulpit, ale zrobił to w tak sztuczny sposób, że asasynka aż zacisnęła zęby.

--Zgodnie z naszym prawem to bluźnierczy wywar -- mówił dalej Fogwill. -- Nie powinno się go wytwarzać, niemniej jednak teraz istnieje. Odebrano go Devonowi... a tobie przyniosłby niezmierzone korzyści. No więc jak, dobijemy targu? Anielskie wino

za pomoc w pewnej drobnej sprawie.

Carnival tylko spiorunowała go wzrokiem.

Crumb omal nie zemdlął. Na jego szerokim czole lśnił pot. Kapłan powoli sięgnął ręką za pulpit, rzucając ukradkowe spojrzenie na Rachel i Dilla. Przelknął ślinę.

--Chcielibyśmy, żebyś kogoś dla nas zabiła -- wykrztusił. Kogoś? Dlaczego nadal kluczysz, Fogwill?

--Spodziewacie się, że będę dla was zabijać? -- wysyczała Carnival. -- Myślicie, że jestem cholerną asasynką, jak ta suka, którą można kupić? -- Odwróciła się w stronę Rachel. Blizny na jej czole zbiegły się, oczy zmrużyły do wąskich szparek. Anielka rozpostarła skrzydła na całą szerokość i zamachała nimi kilka razy. Większość świec zgasła od gwałtownego podmuchu. -- Robi się ciemno, Spine. Fogwill uniósł ręce.

--Zaczekaj, wysłuchaj mnie.

Rachel wyrwała bambusową rurkę zza pasa, nacisnęła kciukiem zatyczkę. Carnival ruszyła na nią jak burza.

--Zostaw ją! -- Nagle między nimi wyrósł Dill z mieczem w drżącej ręce.

--Dill! -- Rachel odepchnęła go. Carnival zaatakowała.

Tak szybko, że nim Rachel się zorientowała, została z brutalną siłą ciśnięta przez całe Sanktuarium. Przejechała dwadzieścia stóp na plecach i zatrzymała się całe od ściany. Bambusowa rurka potoczyła się w mrok.

--Mówilem, żebyś ją zostawiła! -- Dill rzucił się z mieczem na anielicę.

Carnival odparowała jego cios, nie odrywając wzroku od Rachel. Złapała tępe ostrze dłonią, wyszarpnęła je i zdzieliła archonta pięścią w twarz. Dill upadł jak marionetka, której ucięto sznurki. Łopocząc skrzydłami, anielica ruszyła na asasynkę.

Tymczasem Rachel zerwała się z podłogi i dobytego miecza. Musiała działać, dopóki w Sanktuarium zostało jeszcze trochę światła. Skoczyła na przeciwniczkę, uniosła broń, żeby zamarkować cios znad głowy...

Carnival sięgnęła po jej miecz...

Gołymi rękami?

Myśli, że jest aż taka szybka? Cholera, rzeczywiście jest szybka.

Rachel nie miała zamiaru ciąć mieczem. W ostatniej chwili wysunęła nogi do przodu i padła plecami na marmurową posadzkę, zamieniając szarżę w brawurowy poślizg. Carnival uskoczyła w bok, lecz odrobinę za późno. Asasynka podcięła jej nogi.

Niekonwencjonalna taktyka okazała się skuteczna. Anielica runęła w przód, bijąc skrzydłami, a Rachel zatrzymała się sześć stóp za nią.

Świetnie, tylko że ona nie pozwoli mi spróbować tego jeszcze raz.

Przetoczyła się na brzuch i wyciągnęła zza pasa naładowaną rurkę. Leżąc na podłodze, przyłożyła ją do ust i dmuchnęła.

Carnival jakoś udało się wylądować na nogach. Okręciła się błyskawicznie i z zadziwiającą łatwością złapała zatrutą strzałkę w powietrzu. Następnie włożyła w usta

tępy koniec cienkiego jak igła pocisku i uśmiechnęła się szyderczo. Ponownie ruszyła do ataku, machając skrzydłami i żując rurkę jak wykalaczkę.

--Myślisz, że dasz radę mnie otruć, Spine?! -- ryknęła. -- Co tam jeszcze masz? Noże do rzucania? Kwas w proszku? Boisz się użyć miecza?

Tymczasem Dill podczołgał się do niej i wysapał:

--Anielskie wino... Powiem ci... gdzie jest. Kościół go nie ma... Tylko ją zostaw... proszę.

Wichura, która szalala w Sanktuarium, ucichła raptownie. Carnival wypłuła strzałkę, chwyciła Dilla za gardło i podniosła go z podłogi.

--Mów! -- syknęła.

Anioł zaczął łapać ustami powietrze.

--Przepadło...

--Gdzie?

--W otchłani... Strzykawka Devona... Carnival puściła go.

Dill runął na podłogę.

W całym pomieszczeniu paliło się tylko kilka świec. Anielicę otaczały drżące pajęczyny cieni.

Rachel wetknęła rurkę za pas i wstała chwiejnie. Crumb nadal stał przy mównicy, z twarzą szarą jak popiół.

Gdy Carnival wzbijała się w powietrze, cienie uniosły się razem z nią, wielkie i ciemne jak burzowe chmury. Anielka przez dłuższą chwilę wpatrywała się w otchłań, a płomień świec migotały jej w oczach. Potem z warknięciem złożyła skrzydła.

--Nie! -- krzyknął Fogwill. -- Wysłuchaj mnie!

Carnival skoczyła w czeluść.

--O, bogowie! -- Adiunkt popędził do drzwi i gwałtownie pociągnął za wiszący przy nich sznurek od dzwonka. -- Nieszczęście, nieszczęście! Jeśli ona znajdzie strzykawkę, zostaniemy z niczym. Dlaczego jej powiedziałaś, Dill? Dlaczego?

Rachel skrzywiła się, masując ramię.

--A jakie to ma znaczenie, do licha? Niech sobie bierze ten cholerny eliksir.

W tym momencie do Sanktuarium wpadli kapitan Clay i Mark Hael. Komandor jednym spojrzeniem zlustrował scenę.

--Co się stało? Gdzie ona jest?

Fogwill wyjaśnił mu sytuację.

--Już więcej jej nie zobaczymy -- stwierdził Clay. -- Szerokiej drogi.

Adiunkt zaczął nerwowo spacerować tam i z powrotem. Wciąż gładził łysą czaszkę, jakby przeczesywał włosy.

--Nie! -- zaprotestował. -- Musimy znaleźć strzykawkę, zanim jej się to uda. To wszystko, co nam teraz zostało! -- Zatrzymał się. -- Dill, musisz tam zejść... musisz ją powstrzymać, nim będzie za późno.

--On nigdzie nie pójdzie -- oświadczyła Rachel.

Crumb ją zignorował. Podjął spacer, gestykulując upierścienionymi dłońmi i mamrocząc pod nosem:

--Ona go nie zabije. Wcześniej też nie zrobiła mu krzywdy. Bez broni będzie bezpieczny.

--Ma zejść do otchłani nieuzbrojony? -- spytała Rachel wstrząśnięta.

--Będzie potrzebował światła -- stwierdził Fogwill. -- Lampy sztormowej. -- Odwrócił się do Clay'a. -- Przynies lampę.

Kapitan się zawahał.

--Lampa! -- ponaglił adiunkt. -- On potrzebuje lampy.

Clay skinął głową i wyszedł z Sanktuarium.

Rachel położyła dłoń na ramieniu Dilla.

--Nie musisz tego robić -- powiedziała, po czym zwróciła się do Fogwilla -- Wasza wielebność nie może go do tego zmusić. To pewna śmierć!

Crumb zamarł w pół kroku.

--Nie mam wyboru! -- warknął. Prawdę tych słów potwierdzała upiorna bladość twarzy i błagalne spojrzenie oczu przepelnionych bólem. Gorycz i przytłaczające brzemie własnej decyzji wyłobily zmarszczki na jego czole.

Boże, Fogwill, ty cierpisz. Ale dlaczego? Co przed nami ukrywasz? Przekonał ją udręczony wyraz jego twarzy.

--Dobrze -- powiedziała, zbliżając się do krawędzi otworu. -- Jeśli on musi tam iść, ja pójdę z nim.

Mark Hael prychnął.

--Nauczyłaś się latać, droga siostrzo?

--On mnie poniesie. -- Zerknęła w ciemność, a potem odwróciła się do Dilla. -- Jest dostatecznie silny.

Anioł opuścił broń. Czubek miecza dotknął podłogi. Złocona garda lśniła w blasku świec. Nie wiedzieć czemu, była zarysowana.

--Rachel, ja nie wiem... nie mogę...

--Możesz -- rzekła z mocą asasynka.

--Co może? -- Kapitan Clay, który właśnie wrócił z lampą sztormową, zmarszczył posiwiale brwi.

--Moja siostrzyczka upiera się, że chce iść z aniołem -- wyjaśnił Mark Hael.

--Masz, chłopcze. -- Clay z poważną miną wcisnął lampę w wolną rękę Dilla i zamknął jego palce na uchwycie. -- Wlałem oleju do pełna, najlepszego, jaki mamy.

Świeci jasno. W podstawie jest zapasowy knot i krzesiwo, gdybyście ich potrzebowali.

Dill opuścił skrzydła. Przez chwilę gapił się na lampę, a potem przeniósł wzrok na asasynkę. Jego oczy jarzyły się bielą, jakiej nigdy wcześniej w nich nie widziała.

--Ochronię cię, Dill -- wyszeptala. -- Obiecuję.

--Rachel, to szaleństwo. -- Brat ruszył w jej stronę. -- Nie mamy czasu. Ona nadal patrzyła w oczy Dilla.

--Ufam ci -- powiedziała. -- Złap mnie.

--Rachel! -- ryknął Mark Hael, ale nie zdążył jej dopaść. Jego siostra zrobiła krok do tyłu i zniknęła w czeluści.

Zapadła cisza. Serca Dilla na chwilę przestało bić. Adiunkt Crumb zamarł. Mark Hael i kapitan Clay też znieruchomieli.

Potem z otchłani dobiegł okrzyk radości.

--Suka omal we mnie nie uderzyła! -- Śmiech Carnival rozbrzmiał echem w wysokiej komnacie.

Nagle Dill poczuł na sobie czyjeś ręce. To komandor aeronautów chwycił go za kolczugę i

pociągnął w stronę krawędzi.

--Pomóż jej! -- krzyknął. -- Leć!

Dill próbował mu się wyrwać, ale pośliznął się na wypolerowanej posadzce.

--Nie, ja...

Mark Hael włókł go dalej.

--Musisz.

Mroczna czeluść była coraz bliżej. Bardzo zimna i całkiem martwa.

--Proszę.

Dill chciał krzyknąć, ale zabrakło mu powietrza w płucach. Jego oczy płonęły bielą.

Skrzydła były bezużytecznie, zbyt słabe, żeby go uratować przed tą straszliwą ciemnością. Na próżno wymachiwał rękami. Lampa i miecz kołysały się gwałtownie.

Po chwili znaleźli się przy samej krawędzi. Otchłań sięgała po Dilla, bezdenne studnia, z której wychodziły wszystkie jego koszmary. Odbierała mu resztki sił, niemal wysysała z niego życie. Kolana się pod nim ugięły. Żołądek podszedł do gardła.

--Nie mogę -- zaprotestował słabo.

--Ratuj ją! -- wrzasnął Mark Hael, potrząsając aniołem.

Dill zapatrzył się w otchłań. Rachel była dla niego stracona i nienawidził jej za to.

Nienawidził jej, bo nie mógł zrobić nic, żeby ją uratować. Wiedział, że jeśli wejdzie w ten mrok, zginie. Pustka w dole była wszystkim i niczym, czeluścią, która odbierze mu życie i pochłonie go całkowicie. Jak głęboko spadła Rachel? Czy to miało znaczenie? Nie ludził się, że ją uratuje.

Był słaby, niezdarny i głupi. Kłamca, zdrajca i tchórz -przeciwieństwo prawdziwego archonta. Był niczym.

Ale ona mu ufała.

Dill wkroczył w ciemność.

CZEŚĆ TRZECIA WOJNA

ROZDZIAŁ 23 OTCHŁAŃ

Czarny Tron wznosił się ku niebu warstwami nierównych skarp i pofałdowanych wąwozów, jarzył się i łuszczył w słońcu. Wokół rozproszonych błysków kryształu wiły się żółte i zielone żyły. Głęboko w południowy stok wgrzyzał się kamieniołom -półksiężyc metalowych klifów. Podnóże wyszczerzonej góry zaścielały głazy wielkości domów i skalne rumowiska, ale w cieniu Zęba wyglądały jak kamyki i kupki żwiru.

Ząb górował nad kamieniołomem. Jego gładki biały kadłub szpeciły żółte smugi. U podstawy z jednej strony wiatr naniósł przyzmy piasku wysokości stu stóp, które częściowo zasłaniały szerokie jak rzeka ślady na ubitej ziemi. Z przodu maszyny niczym ogromna żuchwa sterczała zakurzona łyżka, pod cofniętą szczęką w postaci rzędów tarcz tnących. Wysoko nad nimi jaśniał pas okien, a wyżej z dachu wyrastały poczerniałe kominy otoczone pomostami i schodami.

Devon przekręcił koło sterowe.

--Niezły ząbek -- skomentował.

Prezbiter Sypes otworzył oczy, ale czym prędzej je zamknął i wrócił do chrapania.

W dole były widoczne ślady, świadczące o tym, że ktoś tu mieszka. Usunięto część piasku wokół ogromnej maszyny, żeby zrobić dostęp do cienia pod kadłubem. W górę wydm prowadziły ścieżki i znikaly przy rządzie zasłoniętych szmatami otworów, które znajdowały się na jednej czwartej ich wysokości. Sami Heshette siedzieli w ukryciu. Devon oczywiście nie zakładał, że nie wiedzą o obecności sterowca wojennego.

--Opróżnij zębra, Angusie, tylko powoli -- rzucił przez interkom. -- Schodzimy.

Po chwili z powłoki dobiegł syk i *Birkita* zaczęła się obniżać.

Devon obrócił ster, żeby zatoczyć krąg nad kamieniołomem. W polu widzenia pojawiło się skupisko pali i dachów krytych słomą, stłoczonych w cieniu między drugą stroną Zęba a urwiskiem. Błotnistą ziemię wokół nich znaczyły ślady zwierząt.

Źródélko? Oczywiście. Czarny Tron ściąga deszcz.

Ale na zatrutej ziemi nadal nic nie rosło. Maszyna służyła jedynie jako tymczasowy dom dla Heshette i ich zwierząt, oaza między równinami otaczającymi

Dalamoor a bandyckimi wioskami na zachód od Coyle.

Sterowiec obniżał lot. Devon trzymał się z dala od klifów, żeby okrążyć koronę Zęba.

--Więcej ciągu, Angusie -- powiedział do interkomu.

Kolejny syk. Opadli o dwa sążnie.

--Powiedziałem: w górę, człowieku. -- Głos Truciciela był spokojny, ale jego ręka na kole sterowym drżała od wibracji silników.

W dole ukazało się dno kamieniołomu, unoszące się na ich powitanie. Urwiska zamajaczyły bliżej. Devon przyspieszył obroty śmigła na prawej burcie i obrócił koło ostro w lewo. Sterowiec zakolysał się lekko i zaczął oddalać od skał.

--W górę, Angusie.

Z drugiej trąbki dobiegł głos strażnika:

--Giń!

--Mało prawdopodobne -- powiedział Devon. -- Ja wyjdę cało z każdej katastrofy, a takim działaniem doprowadzisz jedynie do śmierci swojej i kapłana.

Z interkomu dobiegł stek przekleństw. Potem rozległ się kolejny syk i nagle zaczęli opadać

jeszcze szybciej.

Niech go diabli!

Ziemia pędziła prosto na nich. Przód kadłuba niemal musnął skały. Przez okna prawej burty Devon zobaczył wyrastające tuż obok potężne kominy. Znajdowali się teraz między Zębem a ścianą urwiska i spadali zbyt szybko, żeby bezpiecznie ominąć wielką maszynę.

--Podnieś statek, Angusie, bo nigdy więcej nie zobaczysz kropli serum.

Strażnik nie odpowiedział. Devon przekręcił koło mocno w prawo. Następnie przyciągnął do siebie oba drążki steru wysokości i dał całą moc na śmigła.

Silniki zawyły, ryknęły. Mostek zadrżał. Po lewej ocieniony kadłub Zęba ruszył w górę. Z prawej burty otaczały ich klify. Z przewodów wentylacyjnych buchnęły chmury pyłu. Devon rozkaszał się i zamrugał, próbując coś dojrzeć przez okna. Ziemia była blisko, coraz bliżej. Mostek się przechylił.

--Ostatnia szansa, Angusie! -- krzyknął Truciciel, możliwe, że do niewłaściwej tuby.

Nawet na nią nie spojrział. Zaraz mieli się rozbić. Musiał wyrównać sterowiec.

Wyłączył śmigła, przesunął drążki steru wysokości do przodu.

Widok z przodu zasłaniał kurz, burza uwięziona między dwiema wysokimi ścianami, z jednej strony gładką i brudnobiałą, z drugiej ostrą poszarpaną skałą.

Z tyłu dobiegł przeciągły zgrzyt. I głośny huk. Naprężone liny brzęczały. Drewno rozlupalo się z loskotem, gdy z impetem runęli na ziemię.

Devon mocno uderzył brodą o koło sterowe. Okna mostka się rozprysły, nastąpiła eksplozja szkła i pyłu.

Sterowiec osiadł po serii długich trzasków i jęków. Gondola przechyliła się na jedną stronę, wydała ostatni syk i znieruchomiała.

Devon wyłączył silniki i odwrócił się, żeby sprawdzić, co z prezbiterem. Krzesło przesunęło się po podłodze i oparło na jednej ze ścian, a Sypes po prostu w nim siedział i lekko pochrapywał.

--Nie do wiary -- mruknął Truciciel.

W tym momencie jego uwagę przyciągnęło beczenie. Przez opadający kurz zobaczył, że wśród stosów polamanego drewna i podartej skóry chodzą kozy. Tu i tam podlatywały i gdakały kury, wszędzie fruwało pierze. *Birkita* wylądowała w zagrodzie Heshette. Przez okno wskoczył na deskę rozdzielczą kogut i popatrzył na intruza, przekrzywiając głowę.

--Bracie -- powiedział do niego Devon.

Potem obudził Sypesa, potrząsając nim bezceremonialnie. Prezbiter zamrugał, potarł oczy i łypnął na koguta.

--Pomyślne lądowanie? -- zapytał.

--Jesteśmy na ziemi, tak czy nie? -- burknął Truciciel.

--To nie najlepszy początek, żeby wystąpić z propozycją sojuszu -- stwierdził Sypes. -- Nalegam, żebyś jeszcze raz się zastanowił. Heshette nas zabiją.

Devon tylko chrząknął, wziął torbę z truciznami i wyszedł, żeby obejrzeć szkody. Angus, jeśli jeszcze żył, mógł zostać tam, gdzie jest, i zgnieć.

Wydostanie się z wraku okazało się nie takie proste. Devon musiał torować sobie drogę przez roztrzaskane zagrody i odgarniać na bok wyblakłe od słońca pale. Przerażone kozy wdrapywały się jedna na drugą, próbując uciec, i meczały bezustannie.

Birkita była w kiepskim stanie. Gondola leżała przechylona pod lekkim kątem. Tekowe drzazgi tworzyły poszarpaną linię w miejscu, gdzie wybrzuszył się pokład rufowy. Prawe śmigło wisiało luźno, lewe miało o stopę krótsze łopaty w miejscu, gdzie uderzyły w skalny występ. Trzy z czterech głównych reflektorów eterowych uległy zniszczeniu. Ale, o dziwo, powłoka wyglądała na nietkniętą. Opierała się o kadłub Zęba, ledwo sięgając do połowy gigantycznej maszyny.

Ząb wznosił się jak cytadela, jego strome ściany zwięzały się ku okopconym kominom wyrastającym wysoko w górę. Niżej ciągnęły się rzędy potężnych kół osadzonych w gąsienicach spoczywających wśród stosów pokruszonej skały. Cienkie linie wyryte na kadłubie tworzyły niezliczone zawijasy.

Czy to jakiś rodzaj ceramiki? Trzy tysiące lat, a ledwo widać na niej jakiś ślad. I jest lekka, bo inaczej cała machina zatonąłaby w piachu. Wytwór cywilizacji o wiele bardziej zaawansowanej niż nasza, porzucony tutaj jak złamana łopata.

Devon oszczędził maszynę, doszukując się regularności we wzorach wyrzeźbionych na kadłubie, jakiegoś klucza do ich odszyfrowania. Był tak pochłonięty swymi dociekaniem i obserwacjami, że kiedy dotarł do łyżki, z zaskoczeniem stwierdził, że czekają tam na niego Heshette.

Wyglądali jak postacie zrobione z piasku. Mieli na sobie workowate stroje z gabardyny wyblakłej od słońca i twarze zasłonięte chustami barwy kurzu. W słońcu poza cieniem Zęba zebrali się dwunastu mężczyzn, uzbrojonych głównie w kusze do polowania i włócznie, ale również w inną broń: maczugi, kościane siekiery, długie noże, zakrzywione miecze i bandyckie rapiery, zdobyte w dziesiątkach potyczek.

Z całej grupy wyróżniał się tylko szaman. Jego długa broda wystawała spod fałd chusty niczym postrzępiona, splątana lina ozdobiona fetyszami z piór i kości. W sękatej pięści mężczyzna ścisnął długą drewnianą laskę.

Oto człowiek, który kształtuje umysły plemienia, podsyca jego nienawiść. Jego muszę przekonać.

Członkowie plemienia zbliżali się powoli. Devon rozluźnił ramiona, uniósł głowę i wyszedł im na spotkanie. Podejrzewał, że czekają go trudne chwile. I bolesne.

Po kilkunastu krokach przekonał się, że miał rację.

Nie było żadnych rozmów, negocjacji, wymiany obelg. Był tylko ból.

W pierś uderzyła go siekiera. Truciciel upadł na plecy.

Mężczyzna, który ją rzucił, nie krzyknął triumfalnie ani nie puścił się biegiem w jego stronę. Nawet nie przyspieszył kroku. Nie wiadomo, czy miał na twarzy wyraz satysfakcji albo nienawiści, bo zasłaniała ją chusta zawiązana wokół głowy.

Gdy Devon przycisnął dłoń do piersi, jego palce od razu zabarwiły się na czerwono. Wyrwał siekiere i z niedowierzaniem popatrzył na krew lśniąca na zaostrowym kościanym ostrzu. Potem dźwignął się na kolana.

--Teraz patrzcie -- powiedział.

Żaden z Heshette nie wypowiedział ani słowa. Przemówiła ich broń. Twarda i szybka.

Kamień odbił się od skroni Devona. Druga siekiera rozplatała mu obojczyk i pół szyi. Świsnęły strzały. Jedna utkwiała w udzie, druga oderwała pas skóry z policzka, trzecia trafiła w brzuch, kolejna śmignęła przez ucho, następna przejechała po czaszce, inna wbiła się w płuco.

Coś ciężkiego uderzyło go w głowę i cały świat zawirował.

Devon był oszolomiony. Chciał krzyknąć: „Dość!”, ale drugi kamień uderzył go prosto w czoło. Kiedy Truciciel padał na ziemię, potężny kadłub Zęba przesunął się przez jego pole widzenia jak brudne niebo koloru kości.

Nadal zasypywał go grad pocisków. Metal i kamień spadały nań ze wszystkich stron, raniły, wbijały w piasek. Wokół słyszał głuche odgłosy. Włócznia przeszła mu pachwinę. Devon chwycił ją, wyprostował się wyrwał drzewce. Noże wbiły się w jego ramiona, brzuch, pierś, szyję, i on znowu zobaczył niebo. Coś złamało mu żebro: usłyszał trzask kości, czysty i głośny w pustynnej ciszy. Próbował wstać, ale potężny cios w bark obrócił nim dookoła osi.

Heshette wciąż celowali weń z luków, podnosili kamienie. Truciciel spojrział w dół na swoje zmaltretowane ciało. Skóra wisiała na nim w strzępach. Z ręki sterczał odłamek kości. Krew zabarwiła na ciemno piasek u jego stóp. Oddech było chrapliwy i mokry. Devon rozchylił spuchnięte wargi, przesunął językiem po luźnym zębie. Kiedy spróbował coś powiedzieć, w jego płucach zabulgotało. Źle widział na prawe oko. Sięgnął ręką i namacał drzewce strzały tkwiącej w gałce ocznej. Ułamał je. Z tyłu czaszki znalazł grot, chwycił go i pociągnął.

Kawalki mózgu przykleiły się do drewna.

Ból obejmował go powoli i niemal czule, delikatnie, bardziej przypominał lekkie swędzenie. Musnął czubki palców, zadrzał na skórze. Devon wciągnął powietrze przez zęby i wtedy ból zaatakował z całą siłą. Zawył w jego krwi, czaszce, języku. Szarpał pazurami, ryczał w głowie, wrzeszczał w uszach.

Devon zaczął się śmiać.

Ciemność. Dill nic nie widział. Nie mógł dojrzeć nawet swoich wyciągniętych rąk ani kolczugi grzechoczącej mu na piersi. Leciał w dół jak kamień, ze skrzydłami złożonymi ciasno na plecach. Krzyk uwiązł mu w gardle. Pęd zimnego powietrza wyciskał łzy z oczu. Dill zacisnął powieki, ale to nic nie pomogło. Wszystko było czarne. Z każdym uderzeniem serca spadał coraz głębiej. Ku śmierci. Otworzył oczy i pozwolił łzom płynąć po twarzy.

--Rachel! -- krzyknął. Pustka pochłonęła jego głos, zanim go usłyszał. Strach nakazywał mu wyhamować. Otchłań nie mogła się ciągnąć bez końca. Wiedział, że kiedyś uderzy w dno. Ale nie miał wyboru. Gdyby się zatrzymał, byłby zupełnie sam w ciemności, a Rachel na pewno by zginęła. Nie mógł wrócić... bez niej.

„Ufam ci”.

Obraz jej twarzy wryty w pamięć wzbudził w nim rozpaczliwą nienawiść: do siebie, do wojennych archontów, którzy odeszli przed nim. Nienawiść do wszystkiego, czym oni byli, a on nie. Zacisnął powieki.

Leciał w dół. Bez końca. I cały czas wołał:

--Rachel! Rachel!

Otchłań wciągała go jak smoła, wypełniała mu płuca, wdzierała się w ciało i umysł, aż stała się wszystkim. Przerazenie Dilla było absolutne.

„Złap mnie”.

Jak miał ją złapać? Spadała gdzieś pod nim albo nad nim, stopę po jego lewej stronie albo po prawej. Jak mógł ją znaleźć? Był zupełnie ślepy. A ona martwa. Była martwa w chwili, kiedy

rzuciła się w przepaść.

„Ufam ci”.

Te słowa wryły się w jego umysł i serce, nie dawały mu spokoju. Nie opuszczą go nawet wtedy, gdy zginie. Dill otworzył oczy. W ich kącikach zebrały się łzy. Wbił wzrok w nicość. Pędzące powietrze zmusiło go do otwarcia ust. Wyrwał się z nich krzyk. Na dole czekała na niego armia duchów. Czy jej duch już był wśród nich? Zobaczy je, zanim poczuje uderzenie w skalę, która zakończy jego życie? A potem?

Co potem?

Nie będzie żadnych kapłanów, którzy pobłogosławią jego trupa. Ulcis nie da mu zbawienia ani miejsca w swojej armii.

Przyjdzie po niego Labirynt? Potrafi sięgnąć aż do miasta Deep, żeby się o niego upomnieć? A może będzie leżał na wieki w ciemności, połamany i zapomniany?

Nigdy więcej nie zobaczy ojca. Ta myśl zdzieliła go jak pięść. Dill mocniej przyciągnął skrzydła do pleców i dalej mknął w głąb czeluści.

--Rachel!

Wydawało mu się, że ponad szum powietrza wybił się daleki głos.

--Rachel!

Czy w ogóle coś usłyszał? Jak blisko dna się znajdował? Czyżby usłyszał jedynie ostrzegawcze zawrodożenie duchów? Wzywające, żeby się zatrzymał?

--Rachel!

Z dołu odpowiedział mu głos. Chyba ktoś wołał jego imię, ale Dill nie był pewien skąd. Dobiegał gdzieś z lewej. Dill skierował się w tamtą stronę, sięgając dłonią do lampy sztormowej, którą miał przy pasie. Drugą mocno chwycił rękojęść miecza.

--Rachel!

--Dill! -- Wydawało się, że to echo rozbrzmiewające w wieczności. Pomknął ku niemu, nie pozwalając sobie na nadzieję. Jego głowę wypełniało dudnienie krwi i szydercza ciemność.

--Dill, tutaj, pod tobą!

Anioł lekko otworzył skrzydła, żeby zwolnić. Powietrze szarpało pióra. Nic nie rozumiał. Niemożliwe, żeby wciąż spadała. I niemożliwe, żeby go widziała. Ale głos brzmiał jak jej.

Albo jej ducha? Już jestem martwy? Uderzyłem w dno?

--Dill, na lewo, nad tobą, trzydzieści jardów.

Nade mną? Rozpostarł skrzydła i zatrzymał się gwałtownie.

--Rachel?

--Nad tobą, po lewej.

--Gdzie jesteś? -- Jego głos rozplynął się w ciemności.

--Zapal lampę.

Cały wiek zabrało mu znalezienie jej przy pasie. Potem szukał ząbkowanego kółka krzesiwa, bijąc skrzydłami, żeby się utrzymać w miejscu. Nawet nie wiedział, czy oczy ma zamknięte, czy otwarte. Po trzech: próbach lampa wreszcie się zapaliła, oświetlając jego ręce, pas i spodnie. Garda miecza lśniła złotem. Zardzewiałe ogniwa kolczugi błyszcząły na jego piersi. Ale poza tym nic więcej nie było widać. Wokół panowała czerń otchłani, nietknięta przez światło. Wydawała się jeszcze gęściejsza niż przedtem. Serce Dilla ścisnął lęk, oddech stał się

szybszy.

--Rachel?

--Widzę cię! -- krzyknęła asasynka. -- Nad tobą, niedaleko. Jestem tutaj. Zdezorientowany

Dill podążył za jej głosem.

Rachel jedną ręką obejmowała barki Carnival, tył jej kolan spoczywał w zgięciu łokcia anielicy.

Carnival leniwie uderzała skrzydłami i trzymała Rachel na rękach, jakby ta nic nie ważyła.

--Zgaś lampę -- syknęła.

Przez chwilę Dill był zbyt wstrząśnięty, żeby jej posłuchać. Tylko się na nie obie gapił.

Carnival obnażyła zęby. Dill przygasił światło.

--Uratowała mnie -- wyjaśniła Rachel. -- Zobaczyła, że za mną skoczyłeś, i powiedziała mi, gdzie jesteś.

Twarz anielicy była biała. Wydawało się, że nawet jej blizny zbladły. Ale oczy pozostały zimne i puste.

--Ciemno tu, co? -- Jej głos brzmiał, jakby się dusiła. -- Tam jest półka. -- Wskazała głową. -- Możesz na niej odpocząć.

Podlecieli do niej w milczeniu. W blasku lampy Dill zobaczył, że Rachel ogląda się na niego ponad ramieniem Carnival i uśmiecha. Jego serce załomotało.

Z gładkiej jak lustro skały sterczał wąski metalowy występ. Po jego obu stronach, w odległości wyciągniętej ręki, znajdowały się pionowe żebra z tego samego metalu. Dill wylądował kilka stóp od Carnival i Rachel. Jego miecz uderzył z brzękiem w półkę.

--Otchłań musi się zwęźać -- stwierdziła asasynka dziwnie głuchym i metalicznym głosem. Zerknęła w głąb przepaści, a potem zadarła głowę. -- Myślę, że ta ściana jest nachylona do wewnątrz.

Dill po raz pierwszy spojrział w górę. Gdzieś wysoko migotały światelka Deepgate niczym blask słońca przefiltrowany przez garść klejnotów.

--Jak głęboko jesteście? -- zapytał.

--Co najmniej pół mili -- odparła Rachel. -- Może więcej. -- Położyła dłoń na gładkiej ścianie. -- Ona jest... stopiona.

Na skale odbijały się refleksy lampy. Ze środka patrzył na Dilla drugi anioł uwięziony w lśniącym czarnym lodzie. Błady i opuszczony, przypominał mu archontów ze świątynnych arrasów.

Tymczasem Carnival zostawiła ich i przeniosła się trochę dalej, poza krąg światła.

Gdy zostali sami, Dill usiadł obok Rachel i szepnął:

--Co z nią? Co zamierzasz zrobić?

--Mogła pozwolić mi zginąć.

--Dlaczego tego nie zrobiła?

--Nie wiem, Dill. Nie rozmawiała ze mną. Jest jakaś inna, jakby działo się z nią coś... bardzo złego. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałam. -- Asasynka ściszyła głos. -- Myślę, że się boi.

--Możesz ją powstrzymać, zanim dotrze do Deep?

Rachel zacisnęła ręce na krawędzi półki, jej oczy przygasły.

--Nie mogę z nią walczyć tutaj -- powiedziała zdecydowanym tonem. -- Musimy

zaczekać.

--Jak długo?

--Aż dotrzemy do dna.

--A jeśli Ulcis nas znajdzie? Wzruszyła ramionami.

--Nic więcej nie mogę zrobić.

Dill odchylił się do tyłu, dotykając piórami ściany otchłani. Przygniatało go tysiąc ton ciemności. I ogłuszająca cisza. Zamknął oczy i próbował odciąć się od tego wszystkiego, ale tylko pogorszył sprawę.

--Mógłbym zabrać cię z powrotem. Powiniennem to zrobić.

Przecież to on dostał rozkaz odzyskania anielskiego wina, a nie Rachel. Gdyby był silniejszy, dzielniejszy, w ogóle by się tutaj nie znalazła. Skoczyła, bo wiedziała, że inaczej Dill się nie odważy. Skoczyła, bo był tchórzem. A teraz jego tchórzostwo znowu narażało ją na niebezpieczeństwo.

--Dziękuję, że za mną poleciałeś -- powiedziała Rachel. Dill milczał.

--Dobrze się czujesz?

--Ja... przepraszam, że cię nie złapałem.

--Nie. -- Rachel położyła dłoń na jego ramieniu. -- To ja muszę cię przeprosić.

Byłam taka wściekła na Marka i Fogwilla, że nawet się nie zastanowiłam. Jak miałeś mnie odnaleźć w takich ciemnościach? Uświadomiłam sobie to w chwili, kiedy skoczyłam. -- Zerknęła na Carnival. -- Myślałam, że już po mnie.

Dill odwrócił głowę, żeby nie dostrzegła wstydu w jego oczach.

--Skoczyłam i nagle do mnie dotarło, co zrobiłam -- ciągnęła asasynekę. -- Wołałam, wołałam, aż ochryplam. Ona mnie złapała. W jednej chwili spadałam, w następnej znalazłam się u niej na rękach. Z początku sądziłam, że to ty.

Dill uwolnił ramię z jej uścisku.

Rachel przysunęła się bliżej, ale nie dotknęła go ponownie.

--Przynajmniej próbowałeś.

Siedzieli w milczeniu przez całą wieczność. Dill wciąż odtwarzał w pamięci wydarzenia z Sanktuarium. Widział, jak Rachel znika w otchłani. „Złap mnie”. Przez jedną straszną chwilę nikt nie oddychał, a potem jej brat złapał go i popchnął na pewną śmierć.

Dill za długo się wahał. A teraz nawet ciężar ciemności nie mógł zniszczyć tego wspomnienia.

--Byłeś taki dzielny -- szepnęła Rachel.

Nie spojrział na nią. Nie usłyszał również, jak Carnival się zbliża, ale z ulgą powitał głos, który brutalnie wdarł się w jego myśli.

--Nie widzę dna. -- Twarz miała napiętą i zbolaną. Dotykała blizny na szyi i mówiła tak, jakby nadal zaciskał się na niej sznur. -- Ty ją teraz poniesiesz czy ja?

--Sądzę, że dam radę -- oparł Dill.

--Więc zrób to.

Gdy wstali i asasynekę oplotła rękoma jego szyję, jej dotyk przyprowadził go o dreszcz.

Carnival patrzyła na nich nieprzenikniętymi czarnymi oczami. Jej blizny stanowiły mapę nienawiści i mordy.

Każda szrama to jedno życie. Sama sobie zrobiła tę maskę. Ale może gdzieś głęboko pod

nią jest ukryty anioł. Wiedziała, że nie zdołam złapać Rachel. Mogła pozwolić jej spaść i się zabić. Ale do tego nie dopuściła.

--Dziękuję, że ją uratowałaś -- powiedział Dill.

--Nie dziękuj mi, aniele -- odparła bez cienia emocji Carnival. -- Nie wiem, co jest na dole i ile czasu zajmie mi odnalezienie anielskiego wina. Ale wiem jedno. -- Spojrzała na Rachel i w jej oczach błysnął głód. -- Ta suka ma krew w żyłach. -- Uśmiechnęła się. -- A zbliża się Noc Blizn.

ROZDZIAŁ 24 NIEŁATWE SOJUSZE

--Jeśli zdejmiesz ci głowę z karku, obetniemy ręce i nogi, a to, co zostanie, podzielimy na małe kawałki i nakarmimy nimi kozy, wtedy umrzesz? -- zastanawiał się szaman Heshette. -- Jak myślisz?

Mówił z akcentem z Dalamoor, dialektem hodowców wielbłądów. Ozdoby z kości wplecione w jego brodę zagrzechotały, kiedy się nachylił.

Devon siedział na piasku i próbował sięgnąć lewą ręką do strzały tkwiącej w lewym barku. Inne już wyciągnął, a to bolało. Z siekierami poszło łatwiej, ale zostawiły głębokie rany w piersi i na szyi. Musiał chwilę przytrzymać ich brzegi razem, żeby się zrosły. W każdym razie nie krwawił, a rany się goiły. Ból w czaszce zelżał, ostrość widzenia w przebitym oku szybko się poprawiała.

--Naprawdę nie wiem -- odpowiedział z żalem.

Szaman zdzielił go laską w krtań. Devon upadł do tyłu, dławiąc się. Po chwili dźwignął się na kolana, ciągnąc kikut po ziemi, splunął krwią i piaskiem. Pozostali członkowie plemienia otaczali ich kręgiem. Twarze mieli ukryte za chustami, broń przygotowaną.

--Takie... rozwiązanie... -- wykrztusił Devon między oddechami -- byłoby... złe... dla nas obu.

--Myślę, że dla ciebie gorsze -- odparł szaman.

Jeden z jego współplemieńców parsknął śmiechem. Devon w końcu chwycił strzałę i szarpnął ją mocno. Ból zmusił go do zaciśnięcia zębów.

--Nawet nie jesteś ciekaw, po co tutaj przybyłem? -- Rzucił strzałę na zakrwawiony stosik, który leżał przed nim na piasku. Było tam już dwanaście pocisków z kościanymi grotami i lotkami z piór sępa.

Czarownik szarpnął brodę.

--Będzie potrzebna piła, żeby zrobić to dobrze -- stwierdził po namyśle.

--Przybyłem tutaj, żeby wam coś zaproponować -- oznajmił Devon.

--Najpierw ręce i nogi -- ciągnął Heshette.

--Przystąpcie do rozmów?

--Potem głowa. Jeśli nadal będzie żył, możemy ją tak ustawić, żeby lepiej widział kolejne cięcia. -- Szaman zwrócił się do jednego ze swoich ludzi: -- Przynieś pilę.

--Dobrze, Batabo. -- Mężczyzna pobiegł pod kadłubem Zęba na tył maszyny.

--Ostra albo tępą, jak wolisz! -- zawołał za nim czarownik. W odpowiedzi posłaniec uśmiechnął się szeroko.

Devona swędziało ramię, kiedy rana po strzale zamykała się i goiła. Drugi dzikus wywrócił do góry nogami jego torbę z truciznami i teraz grzebał w kolorowych buteleczkach, wachał szklane korki.

--Polecam czerwoną -- rzucił Truciciel. -- Tak, tę małą. -- Przeniósł wzrok na Batabę. -- Nie interesuje was moja nadzwyczajna wytrzymałość?

--Stanowi dla mnie wyzwanie -- odparł szaman.

Tymczasem gondolę *Birkity* otoczyło ze dwudziestu mężczyzn. Coraz pewniejsi, że nie zostaną zaatakowani ze środka, zbliżali się do niej powoli. Wyglądało na to, że niedługo znajdą Sypesa.

--Mogę wam zaproponować coś lepszego niż moja śmierć -- kusił Devon.

--Twoja śmierć wystarczy, Trucicielu.

--Znasz mnie?

--Myślisz, że Deepgate jest wolne od naszych szpiegów? Już dawno dowiedzieliśmy się o polowaniu urządzonym przez Kościół. Teraz ścigają cię statki podniebne. Ale ty jesteś głupi, że do nas przyszedłeś.

--Mamy wspólnego wroga. Bataba prychnął.

--Trzydzieści lat trucizn i chorób, a ty mówisz o sojuszu?

Heshette już byli w sterowcu i niszczyli wszystko na swojej drodze. Nagle jeden z nich wydał dziki okrzyk i chwilę później przez drzwi na lewej burcie został wywleczony Sypes. Kiedy stary kapłan, ciśnięty na pokład, runął twarzą na wybrzuszone deski, Devon się skrzywił.

--Doradzam większą ostrożność -- powiedział. -- Jest taki kruchy, jak na to wygląda, i warty niezłą sumkę. To prezbiter Deepgate.

Bataba przez chwilę obserwował, jak starzec się podnosi.

--Symbol waszej wiary? A może ty jesteś takim symbolem?

--Zabijcie go, jeśli chcecie.

--Myślisz, że potrzebuję twojego pozwolenia, Trucicielu?

Devon nic nie odpowiedział, bo na widok Heshette, który zjawił się z zardzewiałą, boleśnie tępą piłą, ogarnęły go mdłości. Wszystko teraz zależało od jego propozycji.

--Wysłuchaj mnie -- zaczął. -- Przybyłem tutaj, żeby zakończyć wojnę trwającą od dziesiątków lat, położyć kres rozlewowi krwi. Przybyłem tutaj, żeby zaproponować wam zwycięstwo. Mogę wam dać Deepgate.

Bataba odwrócił się do niego powoli. Jego twarz była niewidoczna pod chustą, na fetyszach wplecionych w brodę widniały czerwone plamy.

--Jesteś kłamcą i mordercą -- oświadczył. -- Każde twoje słowo to trucizna.

Weźmiemy okup za kapłana, ale za ciebie nie.

Devon splunął krwią na piasek.

--Więc jesteś głupcem. Myślisz, że nasza nauka skończy się wraz ze mną. Są inni, którzy zajmą moje miejsce. Jak sądzisz, ile dostaniecie za prezbitera? Spójrz na niego, jest prawie martwy. Samo utrzymanie go przy życiu będzie walką. Świątynia obejdzie się bez jednego starego, kalekiego kapłana. Proszę cię o pomoc, żeby wreszcie zakończyć wojnę.

Bataba wziął do ręki piłę i przyjrzał się tępemu, ząbkowanemu ostrzu.

--Tak, spowoduje bardzo dużo bólu -- orzekł z przekonaniem. Devon prychnął.

--Strata czasu i sił. Ból, jak widzisz, nie robi na mnie wrażenia. Szaman powoli zdjął chustę z twarzy.

Devon wstrzymał oddech. Połowę twarzy szaman miał ciemną i gładką, drugą, od szyi po zapadnięte policzki, pokrywała jedna wielka blizna po oparzeniach. Lewe oko było jasnoszare, w miejscu prawego ział czerwony oczodół. Brakowało prawego ucha. Po pomarszczonej gadziej skórze widać były czarne tatuaże i zmniejszały do punkcików na spękanej czasce pokrytej pęcherzami; jej zdrową stronę porastały kępki włosów.

--Tak, na tobie nie -- powiedział szaman.

--Powinniśmy zgasić światło -- stwierdziła Rachel, przekrzykując łopot skrzydeł

Dilla. Ręką obejmowała go za szyję, a nogami oplatała w pasie.

--Nie. -- Anioł trzymał lampę blisko siebie, jak matka tuląca dziecko.

--Musimy oszczędzać oliwę.

--Ja... -- Nie potrafił wymyślić nic na usprawiedliwienie swojego uporu. Mógł jedynie powiedzieć prawdę.

--On się boi ciemności -- zdradziła go Carnival.

Rachel przyglądała mu się przez chwilę, a potem oparła głowę na jego ramieniu.

--Niech jeszcze trochę się pali -- zdecydowała.

--Nie. -- Raptem światło wydało się Dillowi nie tylko przyjacielem, ale i wrogiem.

Jednocześnie łagodziło i demaskowało jego strach. -- Masz rację. Musimy oszczędzać oliwę.

Drżącymi palcami zgasił lampę.

Natychmiast ogarnął ich nieprzenikniony mrok.

Lecieli coraz głębiej w dół. Ciemność, która tworzyła wokół nich lity mur, rozpraszało jedynie nikle światelko widoczne w górze. Deepgate było mniejsze i bardziej odległe za każdym razem, kiedy Dill unosił głowę. Czuł oddech Rachel na swojej szyi, jej pierś unoszącą się i opadającą tuż przy jego piersi, i starał się dostosować do niej rytm własnego oddechu. Ale choć bardzo się starał, nabierał tchu dwa razy częściej niż ona.

Tylko Carnival widziała w ciemności. Od czasu do czasu Dill słyszał cichy łopot gdzieś z boku albo czuł ruch powietrza, kiedy ich okrążała. Jej plan zakładał, żeby trzymać się jak najbliżej łagodnie nachylonej ściany, ale bez światła Dill nie mógł się zorientować, gdzie ona jest. Wciąż się bał, że otrze skrzydłem o skalę. Wytężał wzrok, próbując dostrzec cokolwiek, aż w końcu rozboleły go oczy.

Powietrze stawało się coraz cieplejsze i gęściejsze. Dillowi pot wystąpił na czoło, skleił włosy. Oddychało mu się coraz trudniej. Zbroja go ocierała, dusiła, krępowała ruchy. Plecy miał całkiem mokre. W karku usadowił się tępy ból, potem sięgnął mackami ramion, spłynął na kręgosłup.

Niewidoczna Carnival fruwała wokół nich bez wysiłku.

--Chcesz odpocząć? -- zapytała go w końcu Rachel.

--Wszystko w porządku -- wymamrotał Dill. Myślami był gdzie indziej.

Daleko w dole leżało miasto Deep, a po jego zimnych ulicach włóczyły się legiony duchów. Czy teraz patrzyły w górę? Nadal tęskniły za blaskiem Ayen? Całkowite zapomnienie wydawało się lepszym losem niż tysiące lat bez światła.

Asasynka zmieniła pozycję. Futerał miecza przewieszony przez jej plecy ocierał mu rękę. Ruch powietrza zdradził, że Carnival znowu przemknęła obok nich. Dill odczekał chwilę i szepnął Rachel do ucha:

--Myślisz, że ona mówiła poważnie? O tym... dlaczego cię uratowała?

Asasynka zeszywniała.

--Może właśnie dlatego się boi -- powiedziała. -- Niedługo Noc Blizn, a ona będzie potrzebowała świeżej krwi.

--Poradziłabyś sobie z nią?

Rachel tylko wzruszyła ramionami.

W miarę jak zagłębiali się w przepaść, asasynka coraz bardziej mu ciążyła. Musiał bez przerwy poruszać skrzydłami, żeby opadali łagodnie. Mięśnie powoli drętwiały mu od wysiłku.

Koszula przykleiła się do pleców, kolczuga ocierała skórę w wielu miejscach. Ciężki miecz ciągnął pas w dół, rękojeść wbijała się w bok. Ich wilgotne oddechy mieszały się, serce Rachel przyciskało się do jego serca.

W dół, wciąż w dół. Wydawało się, że lecą już od wielu godzin.

W tej bezkresnej ciemności nie było nic, dzięki czemu można by ocenić, jak są daleko. Tylko gęstniejące powietrze, narastający ból i coraz większy skwar. Dill już miał zaproponować, żeby odpoczęli, kiedy nagle coś sobie uświadomił. Zwolnił raptownie.

--O co chodzi? -- spytała Rachel.

--Carnival. Zostawiła nas.

Nasłuchiwali przez dłuższą chwilę, ale nie usłyszeli niczego oprócz własnych oddechów i łopotu skrzydeł anioła.

--Zapal lampę -- powiedziała Rachel.

--Ale ona nas zobaczy -- sprzeciwił się Dill. A ty mnie.

--I tak nas widzi. Musimy się zorientować, czy dno jest blisko.

Dill uniósł lampę, a Rachel przekręciła kółko krzesiwa. Nawet przy najślabszym płomyku światło było oślepiające.

--Widzisz coś? -- zapytał Dill.

--Nic.

Nikły blask nie zdołał przebić ciemności. Przez jakiś czas wisieli w miejscu w całkowitej ciszy.

--Wyglądasz na zmęczonego -- stwierdziła Rachel. -- Spróbujmy dotrzeć pod ścianę.

--W którą stronę?

--Nie wiem. Jeśli otchłań cały czas się zwęża, nie może być do niej daleko. Dill pokiwał głową.

--Leć wolno -- ostrzegła go Rachel.

Rzeczywiście kawałek dalej pojawiła się przed nimi lśniąca w mroku ściana. Albo Dill instynktownie wybrał właściwy kierunek, albo otchłań była tutaj węższa. Rachel odpięła lampę od jego pasa i uniosła ją przed sobą. Skalne zbocze było pofałdowane i usiane bąblami powietrza jak stopione czarne szkło. Ich odbicia płynęły po nierównej powierzchni, twarze wykrzywiały się i rozciągały w blade kształty podobne do zjaw.

Dill zadrzał. Jesteśmy duchami? Czy to już królestwo zmarłych?

--Niżej widzę następną półkę -- powiedziała Rachel.

Metalowa grzęda była mokra. Woda wypływała ze szczeliny w skale, łączyła się w wąskie strumyczki i kapiała na półkę, wydając niesamowity odgłos. Rachel stuliła dłonie i próbowała łyk.

--Dobra. Zimna.

Kiedy ugasili pragnienie, niedaleko znaleźli miejsce, które było w miarę suche. Dill usiadł z nogami przewieszonymi przez krawędź i rozprostował szyję, krzywiąc się z bólu.

--Jak daleko, według ciebie, dotarliśmy?

Rachel spojrzała w górę.

--Nie widzę wyraźnie, ale zdaje się, że w Deepgate jest jaśniej. Musi tam być już późny ranek.

Wysoko w górze było widać słabe spirale i linie światła, niemożliwie odległe. Dill skierował

wzrok w głąb czeluści. Nic. Czarna pustka.

--Może otchłań ciągnie się bez końca?

Rachel uniosła lampę i przeszła kilka kroków po występie. Potem zatrzymała się i ukucnęła.

--Dill, ta półka nie jest płaska. Wznosi się pod niewielkim kątem. -- zerknęła wzdłuż metalowego grzbietu. -- Nie byłam pewna za pierwszym razem, kiedy się zatrzymaliśmy, ale teraz jestem. Tutaj wydaje się bardziej stroma. Biegnie spiralą po ścianie otchłani.

--Ścieżka w dół? Rachel uniosła głowę.

--Albo w górę. Jej początek musi być ukryty gdzieś pod krawędzią przepaści.

--Ale po co?

Asasynka pokręciła głową.

--Nie wiem. Nie powinno jej tutaj być. Metal... -- przesunęła dłoń po brzegu półki

--jest zardzewiały, choć wyżej nie był. Ta część ścieżki jest starsza, może o całe dekady.

--Możemy nią zejść?

Rachel spojrzała na dół.

--Nie widzę ani śladu Deep. Jeśli miasto istnieje, jest nieoświetlona albo znajduje się całe mile niżej. Możliwe, że trzeba by do niego iść przez wiele dni.

Miasto pograżone w wiecznej ciemności. Serce Dilla aż się skurczyło na tę myśl.

Na dole gromadzi się cały mrok świata, jest tam uwięziony. Przysunął się bliżej lampy. A oliwa wkrótce się skończy.

Nagle poczuł się tak, jakby tonął, jakby zanurzał się coraz głębiej w czarny ocean. Ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby się wydostać na powierzchnię. Wstał cały roztrzęsiony, łapczywie chwytając powietrze.

--Dill? -- Rachel w jednej chwili znalazła się u jego boku. -- Spójrz na mnie! --

Chwyciła go za ramiona i obróciła ku sobie. -- Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Anioł nie mógł oddychać.

--Spójrz na mnie! Nie zostawię cię. Jesteś bezpieczny. -- Uniosła lampę. Jej oczy były pełne troski. -- Zostało mnóstwo oliwy, mnóstwo światła.

Dill powoli się uspokoił i przestał drżeć.

--Przepraszam. Tak mi wstyd. -- Próbował się wyrwać z jej uścisku, ale trzymała go mocno.

--Niepotrzebnie -- powiedziała. -- Wszyscy się czegoś boją. Spójrz na Carnival. Jak myślisz, dlaczego unika światła dziennego?

--Jestem świątynnym archontem -- głos mu się łamał -- ale nic nie potrafię zrobić dobrze. Nie umiem posługiwać się mieczem, ledwo fruвам. -- Zamknął oczy, rozpaczliwie próbując ukryć wstyd. -- Nie radzę sobie nawet z końmi od klatki na dusze. A ta ciemność... przeraża mnie! Jestem tchórzem. Jestem niczym.

Co by pomyślał o mnie ojciec? Albo ty, Rachel, gdybyś widziała, jaki się wahalem? Nie było ucieczki od tej hańby. Gdy spojrzał jej w oczy, ogarnęło go wielkie przygnębienie.

--Przecież podjąłeś wyzwanie, Dill. Zobacz, jak daleko już dotarliśmy. Na bogów, jesteś odważniejszy ode mnie.

--Ale ty potrafisz walczyć.

--Myślisz, że to wymaga odwagi? -- Rachel uśmiechnęła się smutno. -- Nie ma nic zaszczytnego w byciu mordercą na usługach świątyni. Paganie Heshette to ludzkie istoty. Zdrajca to nadal ludzka istota. -- Ból wyzierający z jej oczu wstrząsnął Dilem. --

Zanim Spine wysłali mnie na dachy Deepgate, polowałam na szpiegów i informatorów Heshette, a czasami na najemników i pielgrzymów, którzy uciekli z miasta. W Hollowhill, Sandport i Shale Forest. Nie wiem, ilu... pamięć o nich mnie przeraża. Ale zabijałam ich, bo bałam się sprzeciwić. Gdy się należy do Spine, trzeba wykonywać rozkazy albo samemu stać się zwierzyną.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, podczas gdy nad nimi ciągnęły się całe mile mrocznej pustki, a w dole niezmierzone, nieznane głębie. Dillowi wydawało się, że są jedynymi ludźmi, którzy zostali na świecie. Anioł i asasynka, zupełnie samotni, nie licząc zniekształconych odbić w czarnym kamieniu, podobnych do zjaw.

Czy tak widzi nas otchłań? Jako groteskowe karykatury ludzi, którymi kiedyś mieliśmy nadzieję się stać? Jego odbicie drwiło z niego swą okrutną uczciwością. W lustrzanej powierzchni skały widział anioła, którego ledwo rozpoznawał: poważnego jak na swój wiek, zniekształconego, przerażonego w zetknięciu z twardą rzeczywistością.

Odwrócił wzrok.

To wszystko, czym jestem? Proszę, Ulcisie, daj mi siłę, żeby się zmienić. Daj mi odwagę, ze względu na Rachel. Ona bardziej niż ja potrzebuje kogoś, kto by ją chronił.

Przypomniał sobie Carnival. Do jakiego stopnia ukształtowały ją brutalne prawdy? Ale ona nie miała złudzeń co do tego, kim jest albo kim może się stać. Dill nagle ją zrozumiał. Jej blizny były skutkiem ran, które sama sobie zadała. Ona nienawidzi siebie, okalecza się, żeby najskrytszą część własnej duszy zachować nietkniętą. Serce Dilla ścisnęło się na tę myśl. Dusza Carnival nie była oszpecona i brzydka. Była czysta. I anielica strzegła jej zażarcie.

Blizny służyły jej jako zbroja.

Carnival i Rachel... zawzięci wrogowie. Ale tacy do siebie podobni.

Zajrzał w głąb otchłani.

Gdzie ona jest? Kiedy nadejdzie Noc Blizn, kto kogo zabije? Rachel jakby czytała w jego myślach. Puściła go i zmierzyła nieprzeniknionym wzrokiem.

--Może Carnival uznała, że jednak nas nie potrzebuje. -- Nie wyglądało na to, żeby wierzyła we własne słowa.

Woda kapiała miarowo, wybijając rytm na metalowej, wąskiej ścieżce prowadzącej z Deep do Deepgate.

Dla kogo ją zbudowano? Czy będą nią szli zmarli?

Dill wciągnął powietrze nosem i wyczuł znajomy zapach, ale nie potrafił go nazwać. Z jakiegoś powodu przypominał mu sny, które go nawiedzały. Sny o bitwie.

--Czujesz coś? -- zapytał.

--To znaczy?

--Nie wiem. Dziwnie pachnie.

--Tutaj powietrze jest cieplejsze. I stęchłe.

Może i tak. Dill wziął głęboki wdech i zmarszczył brwi. Nie. To było coś innego.

Przywodziło mu na myśl wojnę. W snach zawsze latał z mieczem, piką albo włócznią w dłoni, w lśniącej zbroi, z pomalowaną tarczą przypasaną do ramienia. Im dłużej się nad tym zastanawiał,

tym bardziej zapach przypominał mu...

Broń?

Czy kuty metal ma określony zapach? Dill potrząsnął głową. Co innego mogłoby to być? Coś, co kojarzyło się z bronią, zbroją, wojną...

Jego uwagę przyciągnął ruch w ciemności na dole i szmer powietrza. Z głębi otchłani wyłoniła się Carnival. Miała na twarzy drapieżny uśmiech, a jej czarne oczy błyszczały.

--Widziałam dno -- oznajmiła. -- Wy też musicie je zobaczyć.

ROZDZIAŁ 25 ZĄB

We wnętrzu Zęba prowadził Bataba, trzymając przy boku długi biały kij. Devon siedł za nim, pod eskortą dwóch członków plemienia. Obaj Heshette zdjęli chusty, ukazując szerokie, ciemne oblicza o ponurym wyrazie. Za nimi dreptał prezbiter Sypes, postukując laską. Reszta plemienia została, żeby splądrować sterowiec i pobić trzeciego jeńca. Devona nie obchodził los Angusa. Strażnik świątynny był teraz dla niego mało przydatny.

Korytarz, którym szli, wyglądał, jakby był wyciosany z kości słoniowej. Kolumny podobne do wielkich kłów podpierały kadłub w miejscach, gdzie promienie słońca wpadały przez przewody wentylacyjne i malowały na przeciwległej ścianie oślepiająco białe pasy. Pod nogami chrzęścił piasek. W górze biegła płatanina rur, gładkich i jasnych jak piaskowe żmije. Wszędzie, gdzie Devon spojrział, widział zawijasy takie same jak te, które pokrywały zewnętrzną stronę kadłuba.

Ale Heshette zamienili wielką maszynę w miasto. W powietrzu snuł się dym, gęsty od zapachu przypraw i nawozu służącego jako opał. Zza zasłon ze skóry zawieszonych na wewnętrznych drzwiach zerkały ciemnoskóre kobiety. Za nimi Devon dostrzegał w przelocie gliniane naczynia, plecione dywany, końskie uprząże i sępie pazury. Wszędzie biegały obdarte dzieci, piszcząc, wrzeszcząc i bębniąc kośćmi o ściany.

Na końcu korytarza Bataba zapalił cienką świeczkę i ruszył w dół po schodach. W rozległym, mrocznym i chłodnym pomieszczeniu las wysokich tłoków białych jak kości otaczał rząd silników, które wyglądały jak monstrualne kręgi. Na przeciwległej ścianie, pod ogromnymi szklanymi kadziami pełnymi ciemnoczerwonego płynu, lśniły szeregi tarcz.

To nie krew. Ale ten zapach... Żelazo?

Devon chciał się im lepiej przyjrzeć, ale Heshette popędzili go naprzód. Za maszynownią znaleźli się w kolejnym długim, wąskim korytarzu. Tutaj też było mnóstwo kolumn podobnych do kłów, zwężających się ku sufitowi. Po obu stronach wisiały na drzwiach ceramiczne tabliczki. Rekultywacje, siew, separacja, główny zapłon, drugi zapłon, załoga pierwsza, załoga druga, dyscyplina. Pod każdym napisem widniały hieroglify, dziwne zawile symbole przypominające kłębowiska węży.

Korytarz biegł zygzakiem przez wnętrze Zęba, obok potężnych grodzi i ziejących otworów, z których wionęło wilgotnym powietrzem.

Cała maszyna została zaprojektowana na wzór czegoś organicznego. Cel? Wywołać nabożny lęk w tych, którzy ją zobaczą... i zamaskować mechanizmy.

Dym ze świecy Bataby zostawiał osad sadzy na już osmalonych ścianach i suficie. Gdy dotarli do końca korytarza, wspięli się po wąskich, dziwnie nachylonych schodach do włazu, który zaprowadził ich do jasnego pomieszczenia.

Mostek wyglądał jak wnętrze muszli. Gładkie ściany z kostnymi zgrubieniami łączyły się bez spójń z niskim, pofałdowanym sufitem. Rząd okien znajdujących się na wprost wejścia wypełniało wyblakłe pustynne niebo. Szyby miały osobliwą galaretowatą fakturę, która sprawiała, że wpadające przez nie światło było zabarwione na różowo i żółto i układało się w spirale. Pod oknami stała skomplikowana szkieletowa konstrukcja, coś w rodzaju rzeźby wykonanej z kości tysięcy małych stworzeń. W środku lśniły szklane żyły pełne czerwonego płynu.

Płyn poruszał się i pulsował.

Devon przyjrzał się urządzeniu.

Coś jest w środku. Kurczy się. Rozszerza. Miarowo. Wdycha i wypuszcza powietrze.

Powiew... z wilgotnych, zwapniałych przewodów.

Maszyna jakby oddychała.

Ząb żyje? Mechaniczne serce, płuca, krew? Mózg? Nie, nie, to zamierzony efekt.

Urządzenie naśladuje żywą istotę. Te ściany to nie kość.

Ceramika? Żyły... Nie, to nie żyły, tylko rury wypełnione olejem, a nie krwią. Hydraulika.

Powiew? System chłodzący. Nadal działa po trzech tysiącach lat? Dlaczego nie? Ludzkie ciało można tak zmienić, żeby żyło wiecznie. Dlaczego nie maszynę? Wystarczy zapewnić dość paliwa...

--Sprowadź radę -- polecił szaman jednemu ze swoich ludzi.

Heshette skinął głową i odwrócił się do wyjścia.

--Oprócz Drosiego -- dodał Bataba. -- Przejście z jego pokoju aż tutaj tylko by go zmęczyło.

Prezbiter dźgnął laską wzdychającą maszynę.

--To urządzenie... Dlaczego wydaje się, że oddycha? -- zapytał.

--Kościana góra śpi -- odburknął szaman. -- Nie zadawaj więcej pytań, kapłanie.

--Innymi słowy, on nie wie -- skwitował Devon.

--Cisza! -- warknął Bataba. -- Bo inaczej każę wam obu wyrwać języki.

--Skąd ten zapal, żeby wszystko ucinać? -- zadrwił Truciciel. -- Plemienny zwyczaj? Czy osobista perwersja?

Szaman spiorunował go wzrokiem.

Wkrótce zaczęli się schodzić doradcy Heshette. Razem siedmiu mężczyzn: czterech siwobrodych i trzech młodszych, którzy poruszali się z buńczucznością wojowników. Wszyscy ciemnoskórzy, mieli na sobie szaty z gabardyny i chusty na szyjach. Wszyscy byli w jakiś sposób zdeformowani. Chemiczne oparzenia i nieskuteczne zabiegi plemiennych uzdrowicieli sprawiły, że ich twarze przypominały grzęzawiska. Najstarszy mrugał kaprawymi oczami. Inny Heshette, o rozwidlonej brodzie i chudych ramionach białych od blizn, rzucił Devonowi groźne spojrzenie i położył dłoń na rękojeści zakrzywionego noża zatkniętego za pasek ze sznurka.

--Później -- rzucił krótko Bataba.

Wojownik uśmiechnął się szeroko.

Przenosząc spojrzenie z jednego dzikusa na drugiego, Devon doszedł do wniosku, że byłoby lepiej, gdyby jego trucizny całkowicie wysterylizowały Martwe Piaski.

Jako ostatni zjawiał się mężczyzna, który poszedł po członków rady. Podtrzymał zgrzybiałego starca idącego o kuli. W pewnym momencie kaleka uderzył nią swojego opiekuna w ramię.

--Zostaw mnie, koźle. Sam sobie poradzę. -- Rozejrzał się zalawionymi oczami o barwie dymu. -- Gdzie Bataba? Na ugotowane jaja Ayen, czego znowu chce ten jednooki *shoka*?

--Zwołałem radę, Drosi -- odezwał się szaman, prostując się.

--Jestem chory od waszych zebrań, mieszańcze! Wleciecie mnie tutaj jak dziwkę zaklinacza węży wysłaną na żebry po *kathallę* i wodę z rury? W dodatku w tym skwarze!

--Niepotrzebnie trudziłeś doradcę, Adi -- zbeształ Bataba człowieka, który podtrzymał Drosiego.

Adi posłał mu bezradne spojrzenie.

--Chciałeś mnie wykluczyć, co? -- rozsierdził się Drosi. -- Ty sflaczały wypierdku *harsha!* Może jestem stary, ale nie głupi. Myślisz, że teraz możesz odbywać swoje narady beze mnie? Prowadziłem je, kiedy ty jeszcze ssalesz cycek matki.

Pozostali doradcy zaczęli się wiercić niespokojnie, a tymczasem Devon robił, co mógł, żeby ukryć uśmiech.

--Drosi, mamy jeńców -- oznajmił Bataba.

Starzec machnął kulą.

--Nie używaj wobec mnie tego tonu, ty pomarszczony worku bez jaj! Pamiętam, jak...

--Wyznawców ciemności. Wrogów Ayen.

--Nie obchodzi mnie, co...

--Doradco! -- Bataba zastukał kijem w podłogę. -- Ten człowiek to Truciciel Deepgate. A drugi to Sypes, głowa czarnego Kościoła, hodowca padlinożernych aniołów, żywiciel boga wyrzutka.

Drosi przestał wymachiwać kulą. Przygryzł wargę.

--Nigdy o nich nie słyszałem. Bataba ściszył głos.

--Przez wszystkie te lata toczyliśmy z nimi wojnę.

--Wojnę? Jaką wojnę?

--Wojnę z ludem łańcuchów, dziećmi wyrzutka.

--Kiedy to było?

--Sam w niej walczyłeś -- przypomniał szaman. -- Przez dziesięć lat. Drosi zmrużył oczy i pokiwał głową.

--Wygraliśmy ją. Wygraliśmy tamtą wojnę, pamiętam. Naśmiewasz się ze starca. --

Splunął pod nogi czarownika.

--Chodzi o wojnę, która zabrała obu twoich synów, dwanaście lat temu -- powiedział ostrożnie Bataba.

Drosi oparł się ciężko na kuli i wymamrotał coś pod nosem, a potem zwrócił się do Adiego:

--Bran, przyprowadź brata, synu. Mam dość tych bzdur.

--Doradco, nie jestem twoim synem. -- Młody wojownik był wyraźnie zakłopotany.

--Nie bądź śmieszny.

--Jestem Adi, syn Hodena. Kuzyn twojej trzeciej żony Deniz.

Drosi potrząsnął głową i bezgłośnie poruszył ustami. Zerknął na Adiego, potem łypnął spode łba na pozostałych doradców.

--Idź do domu, starcze, wracaj do swojego *hamaruk* - odezwał się wojownik z rozdwojoną brodą. -- Musimy pracować. -- Jego akcent był bardziej miękki niż szamana, zbliżony do tego, którym mówili handlarze z nadrzecznych miast.

Devon przyjrzał się uważniej jego nożowi. Ostrze było lekko zakrzywione, stał wygrawerowana we wzory imitujące te z kadłuba Zęba. Rękojeść znaczyły dziesiątki nacięć. Bandycki zwyczaj. Każda kreska to pewnie jedno poderżnięte gardło.

--Pohamuj swoją zuchwałość, Mochet -- skarcił go jeden ze starszych doradców. --

Szaman nie udzielił ci głosu.

Brodacz zmarszczył brwi.

--Przekłęci durnie -- burknął Drosi. -- Żaden z was nie nabrał rozumu. -- Znowu

zdziałil Adiego kulą. -- Chodź, Bran, nie zostaniemy tutaj.

Przez całą drogę do drzwi mamrotał coś pod nosem. Gdy Drosi i jego opiekun wyszli z pomieszczenia, szaman odchrząknął zwrócił się do rady:

--Teraz każdy z was...

W tym momencie rozległo się ciche pukanie.

--Wejść! -- rzucił Bataba.

W drzwiach pojawiła się twarz młodego mężczyzny o skórze usianej ropiejącymi ranami.

--Szamanie -- wysapał przybysz. Oddech miał chrapliwy, urywany. Uszkodzenie płuc. Znam tę truciznę. A rany? Ptasia ospa. Umrze w ciągu miesiąca.

--Strażnik z podniebnego statku zwariował -- zameldował młodzieniec.

--To znaczy?

--Nie przestaje krzyczeć i bredzi jak szaleniec. Toczy pianę z ust, szarpie własne ciało.

--Za ostro się z nim zabawialiście?

--Nie, szamanie, on chętnie przyjmuje nasze ciosy i błaga o więcej. Musieliśmy go hamować.

Bataba spojrział pytająco na Devona.

--On wkrótce umrze -- stwierdził Truciciel.

--Nie możesz tak po prostu go zostawić -- odezwał się Sypes, marszcząc czoło.

--Już nie jest mi potrzebny.

--To...

--Co z nim jest? -- przerwał mu Bataba.

--On go otrul. -- Prezbiter wskazał laską na Devona.

--Niech obejrzą go uzdrowiciele -- polecił szaman ospowatemu młodzieńcowi stojącemu w drzwiach.

--Łatwiej po prostu go dobić -- podsunął Truciciel. Czarownik zmrużył oczy.

--Moi ludzie lubią swoje rozrywki, jak sam się niebawem przekonasz.

--Na litość boską, przynajmniej daj mu coś na uśmierzenie bólu -- rzucił z gniewem prezbiter, zwracając się do Devona.

--Wystarczy nóż.

Mochet splunął.

--Truciciel traktuje swoich współplemieńców tak samo jak wrogów. Wezwalesz nas tutaj, żebyśmy wybrali rodzaj jego śmierci, Batabo? Ludzie mówią, że dostał dwanaście strzał, ale wyrwał je i śmiał się z nas.

Devon zwarł się z nim spojrzeniem i lekko pokiwał głową.

--Potnijmy go -- zaproponował starszy doradca o onyksowej skórze i załzawionych oczach.

-- Jego lud wierzy, że po przelanej krwi przychodzi piekło, więc niech patrzy, jak piasek wchłania jego własną.

--Tysiąc cięć -- zapalił się do pomysłu krępy młody wojownik. -- I niech walczą ze sobą.

--Popatrzcie na kapłana -- prychnął Mochet. -- Kiepska rozrywka. Chyba że odetniemy Trucicielowi drugą dłoń. Albo całą rękę. Albo wylupimy mu oczy.

--Tak czy inaczej, wkrótce umrze, Mochecie, ale to nie jest powód, dla którego zwołałem radę -- powiedział Bataba. -- Musimy zdecydować, czy najpierw go wykorzystamy.

--Ja wykorzystałbym jego żebra jako wieszak na włócznię -- rozmarzył się Mochet. --

Oczy jako pułapki na jaszczurki, a stopę rzuciłbym moim ogarom myśliwskim. To byłby najlepszy z niego pożytek, szamanie.

Devon powoli dochodził do przekonania, że Heshette mają zgromadzone w pokojach stopy uciętych rąk i nóg swoich wrogów. Uśmiechał się cierpliwie i myślał o tym, jak sam wykorzystałby różne części ciała brodatego wojownika.

--On chce zaproponować nam układ -- oznajmił Bataba.

Na mostku na chwilę zapadła cisza.

--Ja mam dla niego propozycję. -- Mochet machnął pięścią. -- A jeśli mu się nie spodoba, tutaj mam lepszą. -- Wyciągnął nóż.

--Schowaj broń -- rozkazał Bataba. -- Wysłuchajmy go.

Mochet opuścił nóż, ale go nie schował.

--Oczekujesz, że będziemy się układać z tym robakiem?

W pomieszczeniu rozległy się stłumione protesty.

--Już zapomniałeś, co nam zrobił? -- Broda Mocheta ociekała oliwą. -- Tak szybko? Zapomniałeś o truciznach i oparzeniach? Nie widziałeś, jak umierali nasi wojownicy? Nie pamiętasz chorób? Co chcesz od niego uzyskać? Nowe oko? Ja mówię, żebyśmy go wypatroszyli. Tutaj. Teraz. -- Zrobił krok w stronę Devona. Mięśnie ręki, w której trzymał nóż, napięły się.

--Stój! -- warknął Bataba.

Mochet się zatrzymał.

--Nie zapomniałem o przeszłości -- ciągnął szaman. -- Ale nie będę zaniedbywał przyszłości. Truciciel uciekł z Deepgate. Ścigają go statki podniebne. Chce zostać naszym sojusznikiem.

--Jego statek się rozbił -- przypomniał brodac. -- Wszyscy to widzieliśmy.

Devon zmierzył go zimnym wzrokiem.

--Sterowiec wylądował tak gładko, jak pozwalały umiejętności mojego niekompetentnego towarzysza.

Mochet łypnął na niego.

Bataba spojrział kolejno na wszystkich członków rady.

--On twierdzi, że może nam oddać miasto -- powiedział.

--Kłamstwo -- skwitował Mochet. Szaman skrzyżował ręce na piersi.

--Wysłuchajmy go, a potem zadecydujemy. Jeśli nas nie przekona, będziesz miał dzisiaj swoją rozrywkę, Mochet.

W jednej chwili Devon skupił na sobie uwagę wszystkich doradców.

Wyjął okulary z kieszeni kamizelki i wyczyścił je bez pośpiechu, zbierając myśli. Anielskie wino poprawiło mu wzrok, ale jeszcze nie pozbył się tego starego nawyku. Czuł, że będzie mu go brakowało. Stawką w grze, którą teraz prowadził, było coś więcej niż jego śmierć. Wiedział, że jeśli nie uda mu się przekonać tych ludzi, będzie zdany na ich łaskę. Schował okulary i wziął głęboki wdech.

--Nie obchodźcie mnie ani trochę -- zaczął. -- Nie obchodzą mnie wasze wierzenia, kultura ani wasza mała wojna.

Heshette łypali na niego posępnie. -- Dla mnie jesteście ciemnymi dzikusami, niewiele lepszymi od zwierząt. Jeśli o

mnie chodzi, możecie sobie wszyscy żyć w tej kościanej górze przez całą wieczność albo paść trupem od ptasiej ospy. Nie dbam o to.

Mochet zacisnął szczęki. Tatuaze na twarzy Bataby przybrały nowe kształty. Sypes uważnie obserwował miny doradców. Podobnie Truciciel.

Chyba mu wierzyli.

--Jedyni ludzie, których nienawidzę bardziej niż dzikusów takich jak wy, to chodzące trupy z Deepgate i ich marionetki ze świątyni. -- Utkwił wzrok w prezbiterze.

--Heshette czczą Ayen, boginię światła i życia, więc przynajmniej w ograniczonym stopniu rozumieją, co to znaczy być żywym. W Deepgate człowiek umiera od chwili narodzin. Wszyscy pragną być pochłonięci przez ciemność, którą mają pod stopami. -- Devon prychnął. -- Tak to wygląda w teorii. W rzeczywistości te robaki czepiają się swojego istnienia z dziką nieustępliwością, pożerają wszystko i każdego w rozpaczliwym dążeniu, żeby przetrwać jeszcze jeden żaloszny dzień w oczekiwaniu na koniec. -- Wyrzucał słowa przez zaciśnięte zęby. -- Ich hipokryzja jest zdumiewająca. Moja żona umarła, żeby zaspokoić ich nienasycony głód życia. Kuchnie Trucizn upomniały się o nią, tak jak omal nie upomniały się o mnie. O nas dwoje, o ludzi, którzy chcieli czegoś więcej niż to niby-życie, których nie cieszyła perspektywa, że staną się karmą dla ich boga, którzy zostali wykorzystani i odrzuceni przez bezmyślną masę tęskniącą za otchłanią.

Devon miał ochotę uderzyć prezbitera. Czuł, że eliksir w nim buzuje, szepcze do niego, ogranicza pole widzenia. Doradcy zniknęli. Został tylko Sypes, wymizierowany stary kapłan, zgarbiony nad laską, bardziej martwy niż żywy.

--Strącę to gnijące miasto w przepaść, żeby dać twoim owieczkom to, czego pragną. Myślisz, że uciekną, kiedy sięgnie po nich otchłań?

Sypes wytrzymał jego spojrzenie.

--Są w Deepgate niewinni, dzieci...

--Niech rodzice je ewakuują -- wysyczał Devon. -- Jeśli tego nie zrobią, zbrodnia obarczy ich sumienia... twoje. To Kościół umacniał ich absurdalną wiarę, nie ja.

Zbolały wyraz twarzy świadczył, że starzec zdaje sobie z tego sprawę. Ale nadal wierzył w Ulcisa. I wtedy Devon zyskał całkowitą pewność, że jego podejrzenia były słuszne. Prezbiter bał się swojego boga. Truciciel nagle zrozumiał, dlaczego Sypes postanowił zdobyć anielskie wino dla Carnival. Myśl była tak nedorzeczna, że nigdy wcześniej jej nie rozważał. Otóż kapłan miał nadzieję, że przekona anielicę, by wystąpiła przeciwko jego własnemu panu. To, co czekało w otchłani, najwyraźniej

stało się zagrożeniem.

--Zginie dziesięć tysięcy ludzi -- powiedział Sypes.

--Umrą szczęśliwi. Dam im to, czego pragną, na co zasłużyli.

Ale co wyjdzie z otchłani? Devon już nie mógł się doczekać, żeby to zobaczyć.

--Jak zamierzasz tego dokonać, Trucicielu? -- spytał szaman.

Gniew przesłonił Devonowi wzrok, zaćmił mu umysł. Przez długą chwilę patrzył oszołomiony na wysokiego tubylca, próbując sobie przypomnieć, kto to jest. W końcu potrząsnął głową.

--Obudzę maszynę -- oznajmił. -- Kościaną górę, jak ją nazywacie, i poprowadzę do

przepaści, żeby przecięła łańcuchy podtrzymujące miasto.

--Bóg wyrzutek zostanie zmiażdżony, jego wyznawcy zginą -- odezwał się jeden z doradców. -- Jak odplaci Ulcis, szamanie?

Bataba zmarszczył w zamyśleniu czoło.

--Ayen nas ochroni. -- Pokiwał głową. -- I pobłogosławi.

--Truciciel to łgarz -- wysyczał Mochet. -- To podstęp.

--Zdradził własny lud -- przypomniał prezbiter. -- Was też zdradzi.

--Nigdy nie uważałem ich za swój lud, Sypes. -- Głos Devona brzmiał dziwnie w jego własnych uszach, jakby towarzyszył mu chór szeptów. -- Poza tym nigdy nie byli żywymi ludźmi, tylko trupami.

Bataba zastukał laską w podłogę.

--Słyszeliście go, doradcy. Jaka jest wasza decyzja? Odwlekamy naszą rozrywkę i sprzymierzamy się z tym człowiekiem? Czy kończymy z nim teraz? Statki Deepgate się zbliżają.

--Zabić go -- zażądał Mochet.

Ale pozostała szóstka zaczęła coś szeptać między sobą. W końcu do czarownika zbliżył się najstarszy członek rady.

--Odłożymy naszą rozrywkę. Na razie. Devon odetchnął głęboko.

--Dobrze -- powiedział. -- Ale nim zaczniemy, muszę zrobić dla was coś ważnego.

--Co? -- zapytał Bataba.

--Uratować wam życie.

*** Przez okna na mostku *Adraki* było widać armadę sunącą nad Martwymi Piaskami w stronę Czarnego Tronu niczym długą, zagiętą linię stalowych chmur. Wielkie srebrzyste balony lśniły w blasku słońca, połyskiwał mosiądz zawieszonych pod nimi gondoli. Fogwill mógłby uznać widok za imponujący, a nawet inspirujący, gdyby był w stanie unieść głowę znad wiadra, które trzymał między kolanami. Mostek nagle się zapadł, przez podłogę pod jego nogami przebiegło drżenie, a on znowu zwymiotował.

W tym momencie zabrzmiał gwizdek i komandor Hael przystawił ucho do interkomu umieszczonego na ścianie. Po chwili rzucił do drugiej trąbki:

--Tak, prześlij wiadomość *Korze* i *Bokemni*. - Odwrócił się do kapitana. --

Czternaście stopni na prawą burtę. Rozciągnąć formację i meldować Clayowi o rozwoju sytuacji.

--Tak jest, sir. -- Kapitan dał znak aeronaucie siedzącemu po jego lewej stronie, a ten przez trzecią trąbkę przekazał rozkaz sygnaliście na pokładzie rufowym.

--Dostrzeżono ruch wokół statku Truciciela -- oznajmił komandor, zwracając się do Fogwilla. -- Poganie najwyraźniej są bardzo zajęci.

--Kanibalizm czy naprawy? -- wykrztusił adiunkt między kolejnymi skurczami.

--Trudno powiedzieć -- odparł Hael. -- Straż przednia floty krąży wysoko, poza zasięgiem strzał.

Reszta armady, rozciągnięta między Czarnym Tronem a Deepgate, tworzyła ciągłą linię, żeby można było przekazywać informacje między sterowcami, które wisiały nad rozbitą *Birkitą*, a tymi nad miastem, gdzie kapitan Clay był zajęty szykowaniem regularnych oddziałów do marszu przez pustynię.

Gdy tuż po świcie dotarła wieść o nagłym upadku *Birkity* na ziemię, Mark Hael rozkazał utrzymać szyk i przygotować do lotu jego własny sterowiec *Adraki*. Bliska odległość *Birkity* do Zęba Boga mogła oznaczać tylko jedno. Sterowiec został przedziurawiony, a Devon na razie nigdzie się nie wybierał. Teraz, kiedy wiatry zmieniły się na pomyślne, Hael mógł dotrzeć na miejsce katastrofy w ciągu sześciu do ośmiu godzin. Postanowił osobiście dać rozkaz do ataku.

Ponieważ komandor był znany z braku powściągliwości, jeśli chodzi o wykorzystanie uzbrojenia, Fogwill, który bardzo pragnął zobaczyć Sypesa całego i zdrowego, uparł się mu towarzyszyć. Carnival szukała anielskiego wina, Dill przepadł, może nawet nie żył, a krótkie rządy adiunkta naraziły miasto na śmiertelne niebezpieczeństwo, dlatego Fogwill marzył o tym, żeby jego stary mistrz wrócił i zajął się wszystkim. Clay oczywiście próbował odwieść go od tej wyprawy; nie ufał sterowcom. Ale Crumb był nieugięty. Przecież będą poza zasięgiem strzał, uspokajał

samego siebie. Co złego mogło im się przydarzyć?

Zawartość wiadra chlupotała między jego drżącymi kolanami. Żołądek znowu podszedł mu do gardła, kiedy statek zadygotał, wybijając fałszywy rytm na wszystkich nerwach kapłana.

--Doskonały wiatr, adiunkcie. -- Mark Hael uśmiechał się szeroko. -- Może sam Ulcis wysłał go nam na pomoc.

Fogwill jęknął. Wiało bez przerwy, odkąd wyruszyli z Deepgate przed trzema godzinami. W nocy statek Devona musiał się zmagać z przeciwną północną wichurą, ale wraz ze świtem wiatr zmienił kierunek na południowy, dzięki czemu *Adraki* mknął wzdłuż stacjonarnej linii flagowej z prędkością trzy razy większą niż wcześniej *Birkita*. Niedługo dotrą do celu.

O ile *Adraki* zaraz nie rozpadnie się na kawałki.

Mark Hael nie wyglądał na zdenerwowanego. Wydał rozkaz, żeby ustawić silniki na pełną moc, i najwyraźniej rozkoszował się wyjącem wiatrem, bujaniem i łomotaniem mostka, jękiem naprężonych kabli.

A twierdził, że Devon nigdzie się nie wybiera.

Fogwill marzył tylko o tym, żeby wysiąść. Wytarł usta wierzchem dłoni. Do tej pory zdążył zetrzeć z twarzy cały talk i teraz pokazywał światu niezdrową błądź.

--Nie wygląda pan dobrze -- stwierdził Hael z jeszcze szerszym uśmiechem, jakby szczerze radował się dyskomfortem Crumba.

--Dlaczego te rzeczy tak się bujają?

--Prądy powietrza. Mocno popędzamy *Adraki*. Poczuj się pan lepiej, jeśli utkwisz pan wzrok w horyzoncie.

Ale adiunkt miał wzrok utkwiony w wiadrze.

--Od stania bardziej kręci mi się w głowie -- wymamrotał. -- Jak długo jeszcze muszę to znosić?

Komandor zabębnił palcami w deskę rozdzielczą.

--Pięć godzin. Sterowce straży przedniej już się koncentrują. Gdy dotrzemy na miejsce, zatoczmy krąg i poszukamy śladów Devona i Sypesa. Może Shetties już nas wyręczyli i rozprawili się z Trucicielem.

--Trzeba chronić Sypesa -- powiedział Fogwill i czym prędzej wsadził głowę do wiadra. Odór przyprawił go o łzy.

--Jeśli dzicy go mają, jest już za późno -- stwierdził rzeczowo Hael. -- Znam ich. Nie

zatrzymają go dla okupu.

Fogwill podniósł wzrok. Gardło miał wysuszone i obolałe, ślina ściekała mu po brodzie.

--Musimy... odzyskać prezbitera -- wykrztusił.

Komandor chrząknął.

--Niczego nie mogę zagwarantować. Nie mam dość ludzi do bezpośredniej akcji, więc łądowanie byłoby bezcelowe.

--Co w takim razie pan proponuje?

--To co zwykle robimy. -- Hael zapatrzył się na pustynię. Guziki jego i munduru lśniły w słońcu. -- Zagazujemy ich. Tyle statków przeciwko jednej twierdzy wystarczy, żeby prawie całkiem ją oczyścić. Potem mogą wmaszerować regularni Claya i posprzątać.

--Ale Devon może przeżyć.

--I dokąd pójdzie?

Po krótkiej naradzie Dill i Rachel postanowili zrezygnować ze spiralnej ścieżki, trasy zbyt wolnej i zdradliwej, żeby zdołali dotrzymać kroku Carnival. Trzymając asasynekę w ramionach, anioł leciał ostrożnie, żeby zbyt raptownie nie dotknąć dna przepaści. Opuszczali nisko lampę i wytężali wzrok, żeby coś dostrzec w wilgotnej ciemności, szukali w dole śladu Deep albo duchów.

Ale cokolwiek tam na nich czekało, nadal pozostawało w ukryciu.

Carnival nie powiedziała ani słowa na temat tego, co widziała w czasie swojego wcześniejszego rekonesansu. Okrążała ich niecierpliwie, ale zachowywała bezpieczną odległość od światła lampy. W jej oczach czasami dostrzegał w przelocie złośliwy błysk, jakby anielica cieszyła się z jakiegoś okrutnego żartu.

Był zbyt rozsądny, żeby się domagać odpowiedzi. Zresztą nie palił się zbyt do tego, żeby je usłyszeć. Lecz niepokoiło go jej gorączkowe wyczekiwanie na to, kiedy wreszcie dotrą na dno.

W ciszy Dill słyszał dudnienie krwi w uszach. Ręce Rachel oplatały mu szyję, gorący oddech muskał jego policzki. Stalowa kolczuga zaczynała ciążyć jak żelazne łańcuchy. Miał wrażenie, że dźwiga na plecach całe miasto. I jeszcze ten odór, wszechobecny.

Wojny.

Broni.

Lekko potrząsnął głową. Nie mógł go rozpoznać, ale czuł, że powinien wiedzieć, co to za woń.

Wojna. Broń. Coś?...

--Słyszysz to? -- zapytała Rachel, przerywając rozmyślenia Dilla.

Wytężył słuch.

Stukanie, metaliczne, bardzo słabe.

--Co to jest?

--Nie wiem -- wyszeptała asasynka.

Dziwne odgłosy stawały się coraz głośniejsze. Przypominały Dillovi Kuchnie Trucizn, znajomy daleki hałas dobiegający z fabryk, kuźni, zakładów rzemieślniczych. Zapach też się nasilał, ale Dill nadal nie potrafił go zidentyfikować.

Jest! Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega szary kształt w pustce pod nimi. Zwolnił

raptownie.

Znam to. Dreszcz strachu przebiegł mu po plecach.

Rachel wciągnęła powietrze nosem, zmarszczyła brwi.

--Ten smród... Co to jest, do diabła? Dill spojrział w dół.

--Zdawało mi się, że coś widzę... -- Urwał. -- Ale może to tylko złudzenie.

W miarę jak opadali, ciemność w dole zaczynała się rozpraszać. Pojawiły się jakieś niewyraźne zarysy. Z jednej strony Dill dostrzegł ciemną smugę, jakby słup ledwo widocznego dymu. Skupił wzrok, ale nie zdołał wypatrzeć żadnego kształtu. Czyżby to był jedynie występ skalny? Czy w ogóle coś widział?

--Dill, spójrz tam -- szepnęła Rachel. -- Nad Martwymi Piaskami szaleje burza.

Anioł uniósł głowę i zaparło mu dech. Z dołu Deepgate było nie większe od pięści, ale najwyraźniej coś się w nim działo. Chmury pyłu i rdzy spadały z rozkołysanych łańcuchów i dzielnic, w niezliczonych miejscach przebijały się promienie słońca. Miasto otaczała groźna poświata, a wokół znajdującej się w samym środku czarnej kropki jarzył się oślepiający krąg. Kościół Ulcisa.

--Jest jaśniej -- stwierdziła Rachel. -- Słońce stoi wysoko. Musi być blisko południa.

--Wydaje się takie dalekie -- powiedział Dill.

Deepgate wydawało się odległe jak słońce i równie nieosiągalne.

Zadarłszy głowę, Dill nie zauważył, że zbliża się grunt. Kiedy spojrział w dół, zobaczył, że pędzi na nich strome, kredowobiałe zbocze, które poza światłem lampy opada dalej w mrok.

--Dill!

--Widzę!

Zamachał mocniej skrzydłami, żeby spowolnić opadanie. Nagły podmuch rozwał włosy Rachel.

--Och, Dill, patrz!

Anioł w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co właściwie widzi. Gdzie miasto Deep? Budynki, ulice, ogrody? Gdzie światelka dusz? Armia duchów? Gdzie Ulcis?

Co to było?

Powierzchnia, na której z impetem wylądował, rozstąpiła się pod nim z trzaskiem. Straciwszy grunt pod nogami, potoczył się w ciemność na leb na szyję, pociągając za sobą Rachel. Dźgały go setki twardych krawędzi, pozbawiając tchu w obolałej piersi. Rękojeść miecza obijała się o żebra. Lampa rzucała chybotliwe kręgi światła. Dill rozpostarł ręce, żeby powstrzymać spadanie, ale jego dłonie zagłębiły się w czymś sypkim, i znowu zaczął się zsuwać. Płuca zatykał mu gęsty pył.

Broń? Wojna?

Dill zatrzymał się twarzą do dołu, w chmurze pyłu. Jęknął i uniósł głowę.

Kości.

Leżał na górze kości. Piszczyle, palce, obojczyki, żebra, kręgosłupy leżały jak okiem sięgnąć. Ogromne rumowisko kruchych, roztrzaskanych szkieletów. Z wąwozów i pagórków wystawały ręce pozbawione ciała. Czaszki i zęby z grzechotem osypywały się w ciemność.

Dill ugrzązł po łokcie w stosie pokruszonych kości. Rozkaszał się, zaczął mrugać.

Ten zapach.

Nie wojny ani broni, tylko korytarza Sanktuarium i dziewięćdziesięciu dziewięciu dawno

nieżyjących archontów, którzy nawiedzali go w snach o bitwie.

Wstał niepewnie, otrzepał z ubrania biały pył.

Ale to nie były kości aniołów, tylko ludzi. Tysiący ludzi. Milionów. Rzuconych do otchłani jak na biesiadny stół wiecznego bankietu.

Obok niego gramoliła się Rachel, posyłając w dół kolejną lawinę szczątków.

Dill nie mógł dobyć głosu. Gapił się na upiorną górę, wdychając duszące powietrze, i na próżno szukał jakiegoś śladu Deep. Ale nie było tutaj żadnego miasta. Tylko kości. Trzy tysiące lat kości.

Z ciemności dobiegał dźwięk młotów uderzających w metal.

Przemysł? Kuźnie?

--Dill? -- Rachel potrząsnęła nim łagodnie. -- Dobrze się czujesz?

--Nic nie rozumiem. -- Spojrzał na nią bezradnie. -- Gdzie są światelka? Gdzie duchy?

Kiedy asasynek przestąpiła z nogi na nogę, coś pękło z trzaskiem pod jej stopami.

--To stare kości -- powiedziała. -- Starożytne. Wyżej są świeższe. Ale nie ma żadnych ciał, żadnych całunów. -- Podniosła małą kostkę, która mogła pochodzić z palca, i przyjrzała się jej uważnie. -- Są na niej ślady. Rysy, jakby została oskrobana do czysta. -- Spojrzała w górę. -- Słońce się przesunęło. Wkrótce znowu zrobi się ciemno. Musimy ruszać dalej... -- zawiesiła głos -...dotrzeć do dna.

Z miejsca położonego wyżej na zboczu dobiegło głośnie stukanie. Na stosie czaszek siedziała Carnival z rozpostartymi kruczymi skrzydłami. W rękach trzymała dwie długie kości i używała ich jak pałeczek, wybijając rytm na czerepie, który umieściła między kolanami.

--To nie jest najlepszy pomysł -- powiedziała, a w jej oczach jarzyła się złośliwa uciecha. -- Właśnie stamtąd przychodzą.

Dill odwrócił się gwałtownie. Z początku nie widział nic oprócz ciemności, ale po chwili dostrzegł światelka. Nadchodzili zmarli.

ROZDZIAŁ 26 ATAK

„Szmaty”, rozkazał. I przynieśli szmaty. Nie brakowało lachmanów w tej dziurze zapomnianej przez boga i ludzi. Zgodnie z jego poleceniem Heshette podarli koce i gabardyny na pasy, namoczyli je w błocie i pozatykali nimi wszystkie przewody i otwory w ogromnym kadłubie Zęba, żeby zabezpieczyć się przed gazem, którego przeciwko nim miała użyć armada. Zgromadzili również szarpie i przygotowali je do namoczenia w urynie, żeby zakryć nimi twarze. Kobiety już zbierały ją w wiadrach. „Uryna”, wyjaśnił Devon, „zneutralizuje trucizny”.

Oczywiście to była nieprawda, ale Trucicielowi bardzo spodobał się pomysł, że zmusi dzikusów do wdychania własnych szczyn.

Bataba pilnie nadzorował całą operację, podczas gdy tuzin Heshette ze skwaszonymi minami eskortował Devona na zewnątrz. Wszyscy nieśli łopaty, a Truciciel lampę, młotek, gwóźdź i ogarek świecy.

--Tylko dwunastu? -- rzucił ironicznym tonem, kiedy wyszli na oślepiające pustynne słońce.

--Nie chciałbym, żebyś nas opuścił, nim zaczniesz się zabawa -- warknął Mochet i owinał twarz chustą.

--Ciekawe, jak mógłbym obsługiwać silniki i jednocześnie nawigować! -- zirytował się Devon. -- Sterowca nie da się prowadzić w pojedynkę. Poza tym czuję się zraniony podejrzeniami, że chciałbym uciec od takiego świetnego towarzystwa.

--Oczekuję, że się wreszcie zamkniesz.

Devon łypnął na niego ponad własną chustą, zapewne rojącą się od wszy. Poplamiona gabardyna, którą dał mu Bataba, cuchnęła dymem i lajnem.

Straż przednia floty Deepgate zajęła pozycje na południe od nich prawie pięć godzin temu. Od tamtej pory armada rozciągała linię komunikacyjną i koncentrowała siły do zmasowanego ataku. Nad nimi wisiało już siedemnaście sterowców bojowych, a kolejne były w drodze. Kiedy stało się jasne, że nie spieszą się z uderzeniem, Devon postanowił dobrze wykorzystać dodatkowy czas.

Na pokładach statków błyskały lunety, ale z takiej odległości obserwatorzy raczej nie mogli dostrzec wielu szczegółów. Mimo to Truciciel ukrywał kikut w rękawie.

Myślał, że się rozbiliśmy. Gdy będą gotowi, zrzucą gaz wapniowy i bomby zapalające wokół Zęba, żeby wykurzyć jak najwięcej dzikusów prosto pod kusze. Devon pokiwał z zadowoleniem głową. Sądzą, że mają cały czas świata. Co oznacza, że uważają Sypesa za martwego.

Pod eskortą Heshette Devon zsunął się po wydmie i ukrył w cieniu zalegającym pod kadłubem Zęba. Nad nimi wznosiły się ogromne, zatkane ziemią gąsienice, tak wielkie, że ich grupa bez trudu przeszła między kołami i dotarła do szczątków zagród dla zwierząt i uszkodzonego sterowca, który leżał po drugiej stronie maszyny. Kozy stłoczone w prowizorycznym korralu meczały i popychały się nawzajem, brzęcząc dzwonkami.

Gondola *Birkity* została całkowicie splądrowana. Heshette zdarli tekowe deski z pokładu rufowego i zgromadzili je w stosach. Lina i kabel leżały zwinięte obok gór patelni, garnków i innych utensyliów kuchennych. Wszędzie wały się rozrzucone meble: pluszowe fotele, szafki wyłożone drogim fornirem, stoły i półki na książki. Czterej wojownicy znaleźli barek kapitana i teraz, siedząc w kucki na piasku, wlewali w gardła dobre wina.

Devon omal nie stracił równowagi, kiedy chciał kikutem złapać za framugę drzwi. Przeklinając, ruszył korytarzem w stronę maszynowni. Pokłady były całe zapiaszczone i -- choć to niedorzeczne -- Truciciel pożałował, że nie ma przy nim Fogwilla, żeby skomentował ten bałagan. Byłaby to ostatnia skarga tłustego klechy.

W maszynowni znaleźli zbiorniki gazu nośnego. Z obu biegly rury do zaworów i dalej do powłoki. Z tyłu każdego silnika wystawały bliźniacze osie i przez skrzynie biegów prowadziły do śmigieł zamontowanych na pokładzie rufowym. Ściany przecinały przewody hydrauliczne lśniące od oleju. Sieć kolejnych rur ciągnęła się od silników i znikiała w kanałach wentylacyjnych po obu stronach pomieszczenia, żeby zasilać żebra sterowca gorącym powietrzem. Devon położył sprzęt na podłodze i odetchnął z ulgą; wszystko wyglądało na nietknięte.

--Znajdźcie jakieś rurki -- powiedział do Mocheta. -- Ile się da. Możecie wyrwać te i tamte. Wylać z nich płyn i ułożyć w rzędzie od tamtych zbiorników do przewodów z gorącym powietrzem. Tu, tu i tu, ile dacie radę. Po prostu odetnijcie metal, a potem dokładnie owińcie złączenia. Nie musi być idealnie. -- Rozejrzył się po pomieszczeniu. -- Będziemy potrzebować pasów materiału, bardzo dużo. I tyle balastu, ile zdołacie wrzucić na pokład. Piasek i skała są w sam raz. Wszystko co ciężkie. -- Zmierzył wojownika wzrokiem. -- Ile ważysz?

W gęstej brodzie Heshette ukazały się odbarwione zęby. Mochet cisnął Devonowi łopatę pod nogi.

--Kop, Trucicielu.

Tak więc Devon razem z ośmioma tubylcami wrzucał łopatą piasek do korytarza na prawej burcie, podczas gdy Mochet i reszta pracowali w środku. Kopanie jedną ręką okazało się uciążliwe i trudne. Większość piasku lądowała na twarzach Heshette. Od czasu do czasu Devon machał kikutem na przeprosiny. Nie widzieli, że jest kaleką? Słońce stojące w zenicie wpadało między Ząb a ścianę kamieniolomu, bezlitośnie pożerając każdy cień i gotując piasek pod źle dopasowanymi mokasynami Devona. Truciciel zerknął przez chustę na rozpalone do białości niebo. W każdej chwili spodziewał się ujrzeć armadę nad górną krawędzią Zęba. Ale na razie posterunki Heshette nie dawały żadnego sygnału.

Devon niechętnie wrócił do kopania. Kiedy wrzucił na pokład tyle balastu, ile zdołał, wskoczył do gondoli, żeby sprawdzić, jak postępują prace w środku. Dwaj Heshette wymienili spojrzenia, po czym rzucili łopaty i ruszyli za nim.

--Nie bójcie się -- uspokoił ich Devon, kiedy stanęli po jego bokach. -- Mochet na pewno potrafi o siebie zadbać.

Mimo to poszli za nim.

Ludzie w maszynowni prawie skończyli podłączanie rur do przewodów gorącego powietrza. Mochet stał oparty o ścianę i bawił się nożem, obserwując postępy spod przymrużonych powiek.

--Zajęty? -- spytał Devon.

Mochet chrząknął.

--Drażnij się ze mną, Trucicielu, a mój nóż sprawdzi granice twojej wytrzymałości. Już, twoje istnienie jest obrazą dla Ayen.

--Mówisz w imieniu swojej bogini? Czy szaman o tym wie?

Wojownik obnażył zęby, ale nie odpowiedział.

Devon zebrał sprzęt, który wziął z Zęba, i wyszedł z maszynowni na środkowy pomost. Mochet podążył za nim.

--Potrzymaj to, a ja będę uderzał młotkiem -- powiedział Devon, wręczając mu gwóźdź. -- Pod kątem, o tak.

Heshette spełnił polecenie.

--Nie traf w cel, Trucicielu, a wypróbuję młotek na tobie.

Devon wbił gwóźdź w drewno do połowy i umieścił na nim świecę. Potem otworzył lampę i wylał oliwę na воск, cal od knota. Następnie wziął pasy materiału przygotowane przez Heshette i nasączył je oliwą. Ów prowizoryczny, długi lont poprowadził do maszynowni. Resztą paliwa polał ściany i podłogę wokół zapalnika.

Zadowolony z rezultatu, odwrócił się do ludzi Mocheta.

--Musimy teraz przekręcić zawory, tylko delikatnie. Niech gaz zaleje żebra.

Otwórzcie wszystkie zbiorniki, ale nie za mocno, o kilka obrotów, aż usłyszycie syk.

Heshette słyszeli go wyraźnie, ale Mochet jeszcze raz przekazał im instrukcje. Tubylcy wypełnili polecenie Truciciela i wycofali się na pomost.

--Teraz zapal świecę -- powiedział Devon i wręczył Mochetowi sakiewkę z krzesiwem. -- Ja poczekam na zewnątrz.

Wojownik ścisnął go za ramię.

--Nie, Trucicielu. Zostaniesz tutaj.

Kilka minut później Devon obserwował *Birkitę* z cienia Zęba. Żebra sterowca powoli się wypełniały. Miał nadzieję, że dostatecznie szybko.

Gdy weszli do maszyny, spotkali szamana z mokrą chustą na twarzy. Drugą wilgotną szmatę Bataba podał Devonowi.

Truciciel ją powąchał.

--Macie tego dość dla wszystkich?

--Tak.

--I dla Sypesa? Bataba skinął głową.

--Świetnie. -- Truciciel zatarł rękę i kikut. -- Możesz ją zatrzymać. Ja zaryzykuję.

Blady jak kreda Fogwill chwycił się deski rozdzielczej *Adraki*, utkwiał wzrok w przekrzywionym horyzoncie i skupił się na zatrzymaniu w żołądku tego, co w nim jeszcze zostało. Czy w ogóle coś zostało? Już wymiotował więcej, niż zjadł, nawet to, czego na pewno nie wkładał do ust. Całe gardło miał obolałe. Nagle jego wnętrzności zrobiły fikolka i coś zabulgotało w środku. Niżej niż do tej pory.

Kapitan sterowca spiorunował go wzrokiem, w którym nie było krzty współczucia dla oplakanego stanu adiunkta. Fogwill próbował odpowiedzieć mu uśmiechem. Nie miał ochoty korzystać z ustronnego miejsca dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Mark Hael poinformował go z wyraźną uciechą, jak działa wychodek na sterowcu.

Czarny Tron smażył się pod wyblakłym niebem. Osiemnaście sterowców zebranych nad Zębem obracało się wolno ku zachodowi w miarę jak zmieniał się kierunek wiatru. Przewody nad oknami mostka dmuchały gorącym metalicznym powiewem, który suszył pot na czole Fogwilla. Silniki buczały jak natrętnie muchy. Na dźwięk gwizdka Hael przyłożył ucho do jednej z trąbek interkomu zamontowanego na ścianie. Chwile później poinformował:

--Zbliżamy się do *Birkity*. Została splądrowana. Zauważono grupę Heshette uciekającą stamtąd do Zęba.

--Prezbiter? -- zapytał Crumb.

Komandor przekazał pytanie i zaczął na odpowiedź.

--Za daleko, żeby coś stwierdzić. -- Odwrócił się do kapitana. -- Niech armada ustawi się nad *Birkitą* na wysokości czterystu stóp, pod wiatr zachowując szyk i odległość sygnałową. Przygotować dwie trzecie zapasów gazu do wypuszczenia na mój rozkaz i bomby zapalające. Wszyscy kusznicy na stanowiska. Informować mnie o zmianach kierunku i prędkości wiatru.

Fogwill przełknął ślinę.

--Ten gaz... jest śmiertelnie trujący?

--Zależy, ile się go nawdycha -- odparł Hael rzeczowym tonem. -- W takim razie obawiam się, że nie mogę pozwolić panu na użycie go.

Komandor wzruszył ramionami.

--To najlepszy sposób, żeby ich wykurzyć. To coś na dole jest zbyt solidne, żeby wystarczyły bomby zapalające.

Ząb wyglądał na nie do zdobycia. Fogwill słyszał o tej maszynie, ale jeszcze nigdy jej nie widział. Niewielu ludzi miało okazję zobaczyć ją na własne oczy. Górowała nad urwiskami kamieniołomu, lśniła w ostrym blasku słońca. Jej oślepiająco biały kadłub znaczyły ciemne dziury. Podstawę zasłaniały pryzmy piasku. Zwężający się wierzchołek wieńczyły osmalone kominy. Z przodu szkieletowe ramiona podtrzymywały potężne kolumny tarcz tnących nad wielką, zakurzoną łyżką.

Fogwill przyglądał się gigantycznej maszynie z nabożnym zachwytem. Była to święta relikwia porzucona przez Callisa prawie trzy tysiące lat temu po zbudowaniu łańcuchowych fundamentów Deepgate. Ostatni raz kierował nią sam herold Ulcisa. W tym momencie Crumb przypomniał sobie okaleczonego anioła zamkniętego w świątynnym lochu i przełknął ślinę. Trzy tysiące lat. Ile dusz od tamtej pory?...

Misjonarze, którzy widzieli maszynę, twierdzili, że ma ona w sobie ślady boskiej świadomości. Patrząc na nią teraz, Fogwill stwierdził, że trudno mu w nie uwierzyć. Ząb był imponujący, owszem. Ale rozumny? Wątpliwe. A jednak zdawało się, że emanuje jakąś uśpioną mocą, która czekała i obserwowała ich przez otwory w kadłubie.

Gra wyobraźni. To Heshette nas obserwują.

Mimo wszystko adiunkt nie potrafił uwolnić się od niepokoju. Ale dręczyło go coś innego. Ząb wyglądał na zbyt... kompletny. Nienaruszony.

Gotowy.

--Po co Devon tu przyleciał? -- Mimo woli wypowiedział na głos swoje myśli.

--Woda. To jedna z niewielu oaz w tym rejonie, które nie zostały zatrute. -- Hael uśmiechnął się szyderczo. -- Święte miejsce.

--Ale bez trudu mógłby dotrzeć do Coyle i tam przesiąść się na skif. Po co miałby lecieć pod silny wiatr, do pogan?

--Unikał garnizonów rozlokowanych nad Coyle. Sandport, Racha, Clune to nieprzyjazne porty dla zbiega. Pewnie nie przypuszczał, że Ząb jest zajęty. Heshette to nomadzi, rzadko odwiedzają Czarny Tron.

Fogwill pokręcił. Devon nie był głupi. Musiał mieć inny powód. Adiunkt spojrział w dół na Ząb, na potężne ostrza, które dawno temu wycinały rudę z góry. Wydobyto jej tysiące ton, przetworzono i przekuto na łańcuchy. Nagle jego niepokój przerodził się w strach.

--Czy wasze gazy i bomby zapalające są w stanie zatrzymać tę maszynę, jeśli ruszy z miejsca?

Komandor odwrócił się wolno. Przez chwilę się zastanawiał, ale w końcu pokręcił głową.

--On nie będzie w stanie jej uruchomić -- rzekł z przekonaniem.

--Mówimy o Devonie -- przypomniał adiunkt. Hael odchrząknął.

--Truciciel przegapił jedyną szansę ucieczki. Jest głupcem... albo już szaleńcem.

--Głupcem, który umyka przed polowaniem prowadzonym w całym mieście, porywa prezbitera i spod nosa kradnie wam sterowiec.

Komandorowi wyraźnie się nie spodobało, że przypomniano mu o tym w obecności jego ludzi.

--Teraz go dopadniemy -- odburknął.

Fogwill nie mógł oderwać wzroku od noży, ostrych tarcz tak potężnych, że bez trudu cięły skalę. A łańcuchy? Niech mnie ciemność pochłonie, wiem, co knujesz, Devon. Wybacz, Sypes, ale zrozumiałbyś, co muszę zrobić. Odwrócił się do kapitana sterowca.

--Proszę przystąpić do ataku.

--Wstrzymać wykonanie -- natychmiast sprzeciwił się Hael. -- Chyba nie sądzi pan, adiunkcie, że może wydawać rozkazy na moim statku.

Fogwill wyprostował się na stolku.

--Pozostaje pan w służbie Kościoła, a ja jestem pańskim zwierzchnikiem, komandorze.

--Nie na pokładzie *Adraki*.

--W takim razie uprzejmie proszę, żeby przekazał pan wiadomość do Deepgate. -- Fogwill ściszył głos. -- Sądzę, że mam do tego prawo na pokładzie *Adraki*. -- Nie czekał, aż Hael potwierdzi, tylko mówił dalej: -- Proszę powiedzieć Clayowi, żeby zerwał z łóżek regularnych i otrzeźwił rezerwistów. Jeśli będzie trzeba, mają wyciągnąć ich nagich z lupanarów, do ostatniego. Niech zbierze tylu ochotników albo poborowych, ilu zdoła, uzbroi ich i przygotowuje się do lądowego ataku na miasto. Niech ponownie sformuje dywizje kawalerii, odszuka i powoła do służby każdego byłego żołnierza. Potem ma przeszukać Kuchnie Trucizn, zabrać wszystko, co tam zgromadzili chemicy, przenieść to nad otchłań i rozmieścić wzdłuż jej brzegu, żeby było gotowe do użycia. Trzeba odwołać saperów z emerytury -- zapłacić tym draniom, ile zażądają -- i kazać im zaminować Martwe Piaski aż do Czarnego Tronu, jakby kopali drugą przepaść. Miejscy cieśle i kowale niech rzucą wszystko i podejmą się wykonania nowych kontraktów dla świątyni. Potrzebujemy ofensywnego wyposażenia: skorpionów, mangoneli, machin oblężniczych. Wszelkiej broni na tyle potężnej, żeby powstrzymać boga.

--Machiny oblężnicze? Mangonele? Skorpiony? -- Ton Haela był drwiący. -- To słowa z legend i mitów opowiadanych przez starców. Skąd mieliby wiedzieć, jak je zbudować?

--To nasza historia -- powiedział Fogwill. -- W przeszłości toczyliśmy wojny. Sto lat temu, dwieście. Z nadrzeczными miastami, bandyckimi twierdzami z obrzeży Martwych Piasków.

--Historia? -- prychnął Hael. -- Deepgate nie ma historii. Sypes zamknął ją w swoich przeklętych księgach.

--Więc niech raz sami ruszą głową. Proszę spojrzeć na tę maszynę. Będziemy musieli wdrzeć się do niej jak do cytadeli. Niech pan poinstruuje Claya, żeby wszystkich zapędził do roboty. Mają pracować dzień i noc. Nie obchodzą mnie koszty. Czekają nas wojna.

Mark Hael niechętnie przekazał wiadomość sygnaliście.

--A teraz, komandorze Hael. -- Tępy ból ścisnął pierś Fogwilla. Prezbiter na pewno by zrozumiał, pochwalił, ale mimo wszystko... Wybacz, Sypes. -- Kiedy proponuje pan zaatakować?

Komandor nie zdążył odpowiedzieć.

--Sir! -- krzyknął kapitan. -- *Birkita* się unosi!

Fogwill pochylił się nad deską rozdzielczą i zobaczył, że zza Zęba wylania się sterowiec bojowy.

--Szybko idzie w górę -- stwierdził Hael. -- Devon zalał żebra gazem, zbliżmy się do niej. Kapitanie, niech pańscy ludzie przygotowują haki, a pozostałe statki ustawiają w gotowości na wypadek, gdybyśmy my chybili. -- Pobiegnął do drzwi po prawej, ale zatrzymał się w progu i rzucił przez ramię: -- I tyle, jeśli chodzi o pańską wojnę, adiunkcie.

Birkita ominęła kominy Zęba i teraz zbliżała się do *Adraki*. Z jej gondoli wysypywały się strumienie piasku. Sterowiec skręcał, jakby wyrwał się spod kontroli.

Coś jest nie tak. Fogwill rzucił pytające spojrzenie na kapitana i nawigatora, ale obaj byli zbyt zajęci, żeby rozwiać jego wątpliwości, więc podreptał za Haelem, trzymając się za brzuch.

Co najgorszego mogło się wydarzyć?

Na zewnątrz wiatr szarpnął szatą Fogwilla. Silniki *Adraki* zagrzmiały. Aeronauci naciągali sprężyny harpunów zamontowanych we wszystkich czterech narożnikach pokładu rufowego, ustawiali celowniki, oliwili szpule kabli. Śmigła cięły powietrze, kiedy statek obracał się, żeby przechwycić sterowiec Truciciela. Gaz wypełnił żebra i pokład nagle zanurkował. Nieprzygotowany Fogwill zatoczył się w stronę poręczy na lewej burcie, machając rękoma. W pędzie spadł mu jeden pantofel. Tuż za relingiem ukazała się biała pustka.

Hael w ostatniej chwili złapał go za kołnierz szaty.

--Proszę wejść do środka, nim się pan zabije!

Pod adiunktem trzęsły się kolana.

--Niech pan przepuści ten sterowiec! -- krzyknął. -- Devona nie ma pokładzie. To pułapka.

W tym momencie jednocześnie ogarnęły go zawroty głowy i mdłości. Zwymiotował.

Mark Hael puścił go i odsunął się, marszcząc nos. Fogwill osunął się na pokład, a komandor podszedł do relingu. Dwaj aeronauci o granitowych twarzach patrzyli na niego ze swoich stanowisk.

--Przygotować harpuny z lewej burty -- rozkazał Hael. -- Działo dziobowe, cel pokład rufowy. Przerzucić linę. Rufa, czekać w pogotowiu, jeśli nie trafią. Celować w powłokę. Na mój znak.

Fogwill zobaczył, że za relingiem wyrasta *Birkita*, w odległości zaledwie stu jardów od *Adraki*.

--Ognia!

Harpun dziobowy wypuścił z głośnym trzaskiem pocisk. Hak poleciał lukiem w stronę drugiego sterowca. Lina zaczęła się odwijać ze szpuli. Hak trafił pokład rufowy *Birkity* i wbił się w drewno.

--Kontakt!

--Kołowrót!

Dwaj aeronauci kręcili korbą, wyężając siły. Kabel zaczął się napinać. Mark Hael skinął głową.

--Przygotować działo dziobowe! Celować nisko w powłokę. Pozbawmy go oddechu. I... Ognia!

Rozległ się trzask i w powietrzu poszybował drugi hak. Nie trafił w powłokę, tylko stłukł okno w gondoli *Birkity*.

--Kontakt! Poniżej celu.

--Kołowrót!

Aeronauci wykonali rozkaz. Obie liny się napięły. Hael porwał trąbkę interkomu z tylnej ściany gondoli.

--Ustawić się równolegle. Przerzucić ramię balastowe na lewą burtę, wysypać piasek, oczyścić żebra. Wznosimy się. Przygotować się do holowania. -- Odwrócił się do swoich ludzi na pokładzie. -- Ściągnąć liny!

Obsługa kołowrotu przebiegła z prawej burty na lewą i zdjęła długie kije z relingu. Drągi miały dziesięć jardów długości i haki na końcu. Aeronauci chwycili nimi obie liny i pchnęli. Kabel jęknął.

--Luz! -- krzyknął jeden z aeronautów.

Ich koledzy przestali kręcić korbą wyciągarki. Kiedy drągi znalazły się w pozycji poziomej, obsługa umieściła ich końce w uchwytach pokładowych.

--Kołowrót!

Liny znowu się napięły. *Birkita* zakołysała się, kiedy zaczęli ją przyciągać. Mark Hael spojrział na Fogwiła siedzącego na pokładzie i wyjaśnił:

--Chodzi o to, żeby liny nie przecięły naszej powłoki, kiedy *Birkita* znajdzie się nad nami. -- Uśmiechnął się szeroko. -- Mamy ją.

Birkita eksplodowała.

Fogwill zobaczył, że komandor odwraca się powoli w stronę płonącego nieba. Potem coś uderzyło adiunkta w bok i świat zrobił się czarny.

Ponad dzwonienie w uszach Fogwilla wybiły się stłumione krzyki:

--W dół! W dół! W dół!

Jakieś żelazo wbijało mu się w policzek. Reling? Dalej był piach. Coś miażdżyło mu ramię. Pod nim wirowały Martwe Piaski. Odległe głosy.

--Przedziurawiony!

--Nic mnie to nie obchodzi! Nie obchodzi!

--Kabel!

--Lewa burta!

--Gdzie?

--Jego noga, zatamujcie krwawienie.

--Nie wiem.

--Dziób!

--Gdzie?

--Zostaw to!

--Nie. Wszystko przepadło. Wszystko.

Fogwill chwycił się poręczy. Cały świat wokół niego wirował: pustynia, skały, mosiądz i białe niebo. Pokład jęczał i drżał.

--Ciąć! Do cholery, przetnijcie liny!

Adiunkt spojrział na rękę. Czerwień krwi kontrastowała z białą przypudrowaną skórą. Niedobrze. Nie podobał mu się ten sen. Krew zachlapała również jego pierścienie. Złoto i kamienie szlachetne były brudne. Będzie musiał je umyć, kiedy wstanie. Odwrócił głowę i ból przeszył mu szyję. Tekowe deski uniosły się pod ostrym kątem i przyszpiliły go do relingu. Po drewnie spływały czerwone strumyczki. Próbował się dźwignąć, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Był zbyt ciężki. Krew zaraz przemoczy mu szatę, zniszczy ją. W pobliżu zahuczało śmigło. Owiał go silny podmuch.

--Obaj. Natychmiast.

Fogwill się rozejrzył. Mark Hael leżał na plecach przy lewej burcie i trzymał się włazu. Oczy miał oszalałe. Tam też była krew. Na białym mundurze komandora.

Wykluczone, żeby oficer pokazał się w takim stanie. Co by powiedziała matka Fogwilla? A co się stało z brzuchem Haela? Z przemoczonej tkaniny wystawał drut. Hak? Nie powinno go tam być, pomyślał z lekkim zdziwieniem Fogwill. Musi chyba powiedzieć komandorowi o haku. Krzyknął, ale wycie wiatru zagłuszyło jego słowa.

Jeszcze raz sprawdził swoje pierścienie: pod czerwonymi plamami szmaragdy i rubiny nadal lśniły. Potarł złoto. Doczyści je, wystarczy woda i trochę mydła. Kapitan na pewno ma jakieś u siebie. Ale właz był wysoko, na końcu pochylego pokładu. Musiałby przeczołgać się przez całą tę krew, żeby do niego dotrzeć.

--Nie damy rady. Prawe śmigło się urwało!

Fogwill wołałby, żeby aeronauci przestali wrzeszczeć. Ich krzyki, świst wiatru i loskot śmigieł przyprawiały go o okropny ból głowy.

Przyszpilony przez hak Mark Hael próbował zajrzeć w głąb włazu. Żelazo sterczące mu z brzucha wyglądało absurdalnie.

--Odciać rufę -- wychrypiał. -- Odrzucić cholerne rury.

Tam nie było żadnych rur. Tylko hak. Z pewnością komandor to widział. Ale dlaczego nie patrzył na swój brzuch? Nadal był wykręcony, zaglądał do wnętrza statku.

Piasek zakłuł Fogwilla w oczy. Adiunkt zamrugął. Spojrział w tył za reling. Wydmy zbliżały się szybko. Za szybko. Powinni zwolnić.

--Zwolnijcie -- wyszeptał.

Nikt go nie usłyszał. Mark Hael skupiał uwagę na czymś innym. Naprawdę musieli zwolnić. Musiał to powiedzieć kapitanowi. Próbował odepchnąć wbijającą się w niego poręcz, ale okazało się, że jest zbyt zmęczony. Ramię mu pulsowało. Dłonie

były strasznie spuchnięte. Zamrugął znowu, próbując usunąć piasek z oczu. Po policzkach spływały piekące łzy. Pantofle. Gdzie są jego pantofle? Rozejrzył się gorączkowo. Pustynia się

zbliżała. Piasek i skały pędziły ku niemu coraz szybciej. Nigdzie nie widział swoich pantofli.

Zmarli wylaniali się z ciemności i zalewali górę kości. Światelka, które Dill początkowo wziął za dusze, okazały się płomykami wąskich świec trzymanyh w kościstych dłoniach. To nie były duchy, tylko mężczyźni i kobiety. Niektórzy chudzi jak szkielety, inni obrzmiali, ich ciała miały różne odcienie szarości i niebieskiego. Wszyscy nosili lachmany. Wszyscy wyglądali na głodnych.

Cała armia.

Dill przygasił lampę.

--Za późno -- syknęła Carnival. -- Zobaczycyli was.

Za tamtymi nadciągali kolejni. Kiedy oczy Dilla przywykły do mroku, zorientował się, skąd przychodzą.

Deep zostało wykute w ścianie otchłani. Na niebotyczną wysokość sięgały tutaj ciemne rzeźby, całe fasady z wijących się postaci i udręczonych twarzy. Niższa część miasta, jedna trzecia, roila się od dalekich światełek. Za ciosanymi mięśniami i ścięgnami migotały płomyki. Zmarli przekradali lukowate mostki, schodzili po schodach, które wyglądały jak spirale z czarnej kości, i wspinali się na stoki utworzone z ludzkich szczątków. Ze skalnego zbocza bezgłośnie krzyczały ściany czaszek. W oczodolach i drzwiach obramowanych zębami mrugały świece, kiedy postacie przesuwały się za nimi. Żłobkowane kolumny podtrzymywały wielkie kamienne kule, na których były wyrzeźbione prawdziwe orgie ciał, skrzydeł, zębów i kości, uczty niezliczonych aniołów.

Całym Deep wstrząsało metaliczne dudnienie.

--Tam -- powiedziała Rachel. -- Dźwięki dochodzą stamtąd.

W głębi ciemnego miasta jaśniały płomienie. Widać było sylwetki pracujących ludzi. Rozżarzony metal, błyski stali.

--Kuznie -- stwierdziła asasynka. -- Wyrabiają broń.

Blask pochodni wylał się wielką falą z miasta i zaczął wpełzać na kościaną górę. Zmarli poruszali się zwinnie, prawie bezszelestnie, spojrzenia mieli utkwione w trójce intruzów. Spomiędzy bezkrwistych warg wysuwały się języki, jakby smakowały

powietrze. Białe, szare, niebieskie ciała w poplamionych lachmanach. Błysnęły noże i miecze. Horda zbliżała się w upiornej ciszy.

--Kim oni są? -- zapytał szeptem Dill.

--Myślę, że to umarli -- odpowiedziała Rachel. -- Albo kiedyś nimi byli.

--Powinniśmy stąd odejść.

--Jeszcze nie. -- Asasynka miała nieobecny wyraz twarzy. -- Pamiętaj, po co przyszliśmy.

Carnival wzięła do ręki czaszkę, przyjrzała się jej i odrzuciła z pogardą. Czerep odbił się parę razy i potoczył w dół zbocza. Wylądował kilka stóp od najbliższego żołnierza nadciągającej armii. Pierwszy szereg mężczyzn i kobiet zatrzymał się na chwilę, a potem znowu zaczął się wspinać. Twarze mieli wykrzywione, drapieżne.

--Brawo! -- rzuciła Rachel. -- Wkurzyłaś ich.

--I co z tego?

--To, że jest ich cała armia, a nas troje. Carnival wzruszyła ramionami.

--Jak na armię nie jest taka duża.

Dziesięć jardów niżej jeden z mężczyzn uniósł rękę. Na ten znak około trzydziestu najbliższych obdartusów zatrzymało się tuż za nim. Nie odrywając wzroku od intruzów, bez pośpiechu wsadzili świece między kości stóp i wyjęli noże o kościanych rękojeściach. Za nimi kolejne setki wspięły się na zbocze i rozciągnęły w wachlarz pośród błysków ognia i stali.

Dill poczuł zapach palącego się tłuszczu. Kątem oka dostrzegł, że Rachel sztywnieje.

Mężczyzna, który uniósł rękę, skupił spojrzenie mleczych oczu na Dillu i odezwał się:

--Czego tutaj chcecie? -- Jego głos był świszczący i chrapliwy, jakby wydobywał się z dziurawego gardła, zęby spiłowane.

--Kim jesteście? -- zapytała Rachel.

Mężczyzna obrzucił ją przelotnym spojrzeniem i skierował wzrok z powrotem na anioła.

--Czego chcecie? -- powtórzył.

Za nim inni rozstawiali się cicho i niespiesznie, zajmując całe zbocze jak okiem sięgnąć.

Pod Dillem ugięły się kolana. Wiedział, że jego oczy są równie białe, jak u

człowieka, który się do niego zwracał. Nawet gdyby przyszła mu do głowy jakaś

odpowiedź, nie zdołałby jej wykrztusić przez ściśnięte gardło.

--Nie twoja cholerna sprawa -- wyręczyła go Carnival.

Rachel drgnęła.

Mężczyzna obnażył zęby ostre jak igły. Działła miał spuchnięte i krwawiące, ale krew była czarna, stara. Gdy uniósł nóż, Dill przez jedno uderzenie serca myślał, że nim ciśnie.

Rzuciłby się do ucieczki, gdyby tak nie drżały mu mięśnie. W końcu zmusił ołowiane nogi do ruchu, żeby stanąć między igłozębym a Rachel. Asasynka powstrzymała go, unosząc rękę i lekko kręcąc głową. Oczy miała czujne.

Nóż nie został rzucony.

Carnival wytarła ręce w skórzane spodnie.

--To nie smolę palą -- powiedziała.

Igłozęby przeniósł mętny wzrok na anielicę i wywarczał do swoich ludzi rozkaz w języku, którego Dill nie rozumiał. Przez masy przetoczyła się seria okrzyków.

--Wyrzutek -- syknął igłozęby. -- Dziwka z bliznami. On wie, że tu jesteś. Chce cię żywą.

Carnival uśmiechnęła się groźnie.

--Muszę ci przypominać, że mają nad nami przewagę liczebną? -- wyszeptała Rachel.

--Może nad tobą -- odparowała Carnival.

Dill próbował zasłonić sobą asasynkę, ale ona znowu go powstrzymała. Anioł zachwiał się, kiedy pod jego stopą pękła jakaś kość. Tymczasem w dole zbocza powstało jakieś zamieszanie. Coś sobie przekazywano. Sieć?

Igłozęby uśmiechnął się szyderczo do Carnival i rzucił:

--Odmieniec.

Blizny Carnival pociemniały. Skrzydła się rozpostarły z szybkością pioruna. Anielica wyrwała widły zza pasa...

...i zaatakowała armię.

Dill nie widział sieci, dopóki nie znalazła się tuż nad Carnival. Anielica była jednak

szybsza. Zrobiła unik i niemal natychmiast zadała błyskawiczny cios.

Igłozęby poleciał do tyłu, czarna krew trysnęła gejzerem z poderżniętego gardła. Runął na trzech towarzyszy z impetem szarżującego byka i wszyscy czterej upadli na tylne szeregi, przewracając dwa tuziny ludzi. Sieć wylądowała na kościach,

sześćdziesiąt stóp za Carnival.

Anielica ukucnęła, zasyczała.

Rachel zmierzyła wzrokiem ciało Igłozębego.

--On już nie wstanie -- powiedziała cicho do Dilla. -- Właśnie został zabity... znowu.

Carnival skoczyła.

I polala się krew.

Dill nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś, człowiek czy anioł, poruszał się tak szybko. Z rozpostartymi skrzydłami Carnival wykonała obrót w locie i jednocześnie wymach nogami. Zanim wylądowała, z trzech kolejnych gardel trysnęła łukiem krew. Znowu przykucnęła, znieruchomiała na pół uderzenia serca i śmignęła jak belt kuszy prosto w najbliższe skupisko przeciwników. Błysnęły noże. Anielica zręcznie uchylała się przed nimi i jak wąż sunęła przez płataninę rąk i nóg, wymachując widłami. Wkrótce wokół niej zrobiło się pusto.

Na stare kości zwałił się stos świeżych trupów.

--Cholera -- mruknęła Rachel. -- Ona dopiero się rozgrzewa.

Gdy martwi znowu otoczyli ją kręgiem, Carnival dała ogromnego susa nad sproszkowanym zboczem, jakby nic nie ważyła. Wbiła widły w serce kobiety o dzikich oczach i natychmiast wyrwała broń, żeby odparować wściekły cios zadany przez mężczyznę stojącego po lewej stronie i chwycić jego nóż między żelazne zęby. Łokciem strzaskala mu twarz i machnęła widłami. Przeciwnik zwinął się wpół, krzycząc.

Horda ryknęła z wściekłością. Dziesiątki wygłodniałych, opętanych żądzą krwi mężczyzn i kobiet zaczęły wdrapywać się pod górę po trupach towarzyszy. Carnival przemykała między nimi niczym czarna furia, zabijając z szybkością, która nie przestawała zdumiewać Dilla. Stał szczękała o żelazo, posoka lała się z rozerwanych ciał, otchłań wypełniły dzikie wrzaski.

A wciąż nadciągali falami kolejni zmarli, bez wytchnienia. Rzucali się na szalejącą anielicę i ginęli. Carnival nie wahała się ani nie zwalniała tempa. Wirowała i atakowała jak koszmar z gorączkowych majaków, zostawiając za sobą krwawy ślad. Czarne włosy powiewały dziko wokół pokrytej bliznami twarzy. Klingi szczękały i sypały iskrami. Jej taniec był precyzyjną, metodyczną rzezią, która budziła w Dillu odrazę. Carnival nie latała. Nie musiała. Nikt nie dorównywał jej szybkością ani siłą. Napastnicy padali pokotem i wkrótce góra kości była usłana martwymi i umierającymi.

W końcu horda zaczęła się cofać, a Carnival stanęła na stosie drgających trupów.

Nagle rozwinęła skrzydła i zmrużyła oczy. Zlizwała krew ze zranionego ramienia i splunęła.

--Martwi! -- ryknęła. -- Żadnych dusz!

Na te słowa armia drgnęła jak jeden organizm.

Carnival przywołała wrogów skinieniem ręki. Zawahali się.

--Musimy się stąd wydostać -- powiedział cicho Dill. -- Natychmiast.

--Nie -- zaprotestowała Rachel. -- Spójrz na to miejsce, Dill. Kości, kuźnie, ścieżka na powierzchnię. I popatrz na nich! Fogwill zaryzykował wszystko, żeby kupić pomoc Carnival, a ja teraz wiem dlaczego. Nie rozumiesz, że to nie są duchy z twoich kodeksowych historii? Te

istoty nie mają duszy, są złe. Nie tak powinno być. To jest piekło.

--Nie dasz rady jej pokonać. Nikt tego nie potrafi.

--To nie jest uczciwa walka.

Z dołu dobiegł gardłowy okrzyk i nagle powietrze wokół Carnival zaroilo się od noży.

Anielka schyliła się, uskoczyła w bok, zrobiła obrót. Jej widły śmigaly tak szybko, że Dill nie mógł ich dostrzec. Wokół sypaly się iskry, stal wybijała gorączkowy rytm. Atak był tak zażarty, że w końcu powalił ją la kolana, ale ona nadal parowała i zadawała ciosy.

Nagle zapadła cisza.

Carnival wstała.

Była ranna. Dwa noże trafiły w cel. Jeden utkwil w udzie, drugi pod pachą. Krew ściekała jej po boku, kapala na pokruszone kości pod stopami.

Anielka się uśmiechnęła.

Martwi wydali triumfalny ryk i ruszyli na nią ławą.

Dill chciał skoczyć jej na pomoc, ale Rachel złapała go za ramię.

--Nie. Nie podchodź do niej, kiedy jest w takim stanie. Zabije wszystko, co się do niej zbliży.

Carnival jeszcze raz skoczyła na spotkanie nadciągającej hordy. Dwaj najbliżsi wojownicy polecili do tyłu, rozplalani. Trzeci dostał pięścią w twarz i runął jej pod nogi.

Następni próbowali ją otoczyć. Carnival umknęła przed rzuconą siecią. Pomarszczony mężczyzna o szarej skórze zawadził nogą o jakieś zera i upadł. Carnival, pędząc obok niego, rozplatała go od pachwiny do szyi. Potem chwyciła ze

stosu czaszkę i roztrzaskała ją na czole kolejnego napastnika.

Kilkadziesiąt noży przecięło powietrze. Szczęknał metal, kiedy Carnival wszystkie odtrąciła widłami. Oprócz jednego, który wbił się głęboko w jej kark. Anielica zatoczyła się do tyłu, rycząc z bólu.

I wtedy rzucili się na nią wszyscy, jak dzikie bestie, mlóćąc pięściami kopiać, drapiąc się nawzajem pazurami, żeby tylko ją dopaść.

Carnival znowu odparła atak. Wirując wśród wrogów, dźgała i cięła. Wokół niej padały ciała, ranni uciekali z krzykiem, ściskając rozprute żyły. Ale napływali kolejni, fala za falą, oszalały, wyjący tłum, który wdrapywał się po martwych i rannych.

Gdy już się wydawało, że anielica zaraz zostanie pochłonięta przez masę przeciwników, ona wzbila się w powietrze. Nie odleciała daleko, bo jej skrzydło zaplątało się w sieć. Krzyknęła z wściekłością i próbowała je wyszarpnąć, ale wtedy nakryła ją kolejna sieć. Uwięziona anielica wylądowała twardo wśród kości.

Bila skrzydłami, atakowała grube sznury widłami, ale tępe narzędzie nie dawało sobie z nimi rady. Białowłosy wojownik rzucił się na nią z nożem. Carnival odparowała cios i próbowała sięgnąć do jego broni. Mężczyzna krzyknął i czym prędzej zabrał ostrze. Pięść anielicy wystrzeliła do przodu i trafiła go w szczękę. Napastnik przewrócił się, charcząc. Wtedy pozostali otoczyli sieć, zaczęli kopać Carnival i okładać ją pięściami. Zbyt wielu naraz. Ci z tyłu podnosili kości ze zbocza i przedzierali się do przodu.

Bili ją jeszcze długo po tym, jak przestała się ruszać.

Dill spojrzal na stos świeżych trupów. Góra kości zyskała nowy wierzchołek. Wszystko było zbryzgane krwią.

--Dasz radę pofrunąć? -- zapytała cicho Rachel.

--Nie możemy jej tutaj zostawić -- oświadczył Dill.

Na dźwięk jego głosu napastnicy się odwrócili, posiniaczeni i zakrwawieni, z wybitymi zębami. Dłonie mocniej zacisnęły się na nożach. Mięśnie napięły się pod lachmanami. Usta rozciągnęły się w szyderczych uśmiechach.

Martwi zaczęli wspinać się ku nim.

Rachel potrząsnęła aniołem.

--Dill! Musimy uciekać, natychmiast!

Przez chwilę patrzył na nią oszłomiony. Carnival leżała opleciona siecią, bezradna. Nie zasłużyła na taką śmierć. A on, choć słaby i przerażony, nadal był świątynnym archontem. Musiał coś zrobić. Sięgnął do rękojeści miecza.

--Dill!

--Ja...

Coś zdzieliło go mocno w pierś. Zachwiał się do tyłu i upadł bez tchu.

--Co...? Rachel?

Jej twarz pobladła, oczy się rozszerzyły.

--O mój Boże, Dill? O Boże.

Anioł spojrział w dół i zobaczył, że jego stara kolczuga jest rozdarta jak papier. W piersi aż po rękojeść tkwił nóż. Dill uniósł dłoń.

--Nie! -- krzyknęła Rachel.

Ale ciemna krew już tryskała z jego serca. To było ostatnie, co ujrzał przed śmiercią.

ROZDZIAŁ 27 UWIEZIENIE I SABOTAŻ

Niepowiązane ze sobą chwile jasności. Zgrzytanie łańcuchów. Ciągły ból. Wdychane powietrze jak pokruszone szkło. Dudnienie metalu. Przebłyski żelaznych krat, huczących płomieni, stopionej skały. Kajdany. Czarne i żółte siniaki, miękkie jak gnijące ciało. Świsł strzał. Grzechot kluczy. Cuchnące kotły spienionego tłuszczu. Krew. Zardzewiałe haki z połciami pokrojonego mięsa. Refleksy światła na stali. Suchy kaszel.

Ciemność.

Potem zimne, twarde oczy. Zęby. Blizny.

I krzyki, straszne krzyki.

W pewnym momencie Rachel uświadomiła sobie, że wrzaski wydobywają się z jej własnego gardła.

Ktoś tulił jej głowę, delikatnie.

--Pić.

Ohydna ciecz na spierzchniętych wargach. Ból.

Krztusiła się, pluła. Tonęła...

...światło.

--Nie umieraj mi, suko. Odejdź ode mnie, suko. Klejarz z długimi, tłustymi włosami skulony w bramie. Noc Blizn to jej pora... Czarny księżyc... Jedna dusza.

--Kto?

Nieznośny ucisk na piersi.

--Zostaw mnie!

--Pić.

--Dill?

Uśmiechał się, machając lampą. Tęczowe oczy i pióra jaśniały w złotym blasku zachodzącego słońca. Zdmuchnął płomień. Dzień zmienił się w noc. Złap mnie.

--Boli!

Brzegi blizny się zeszyły, a potem cofnęły, zostawiając ją samą z bólem.

Rachel obudziła się, łapczywie chwytając powietrze. Gwoździe szorowały jej skórę. Zasnęta krew w kącikach ust była jak rdza. Język spuchnięty, suchy.

--Dill?

Uniosła głowę z szorstkiego kamienia i jęknęła cicho. Ostre szpile wbił się jej w kark, kręgosłup, brzuch. Pęknięte żebra? Coś ścisnęło kostkę. Sięgnęła ręką w dół. Namacała krew. I kajdany.

--Zapalę lampę. -- Kobięcy głos, znajomy. Usłyszała trzask krzesiwa.

Sploty czarnych włosów nie zasłaniały twarzy Carnival. Jej blizny wydawały się świeże i nabrzmiałe krwią. Anielica zmrużyła oczy przed blaskiem. Rachel zobaczyła, że znajdują się w kamiennej celi z żelazną kratą zamiast drzwi.

--Wrzucili ją razem z nami -- powiedziała Carnival, unosząc lampę i przysuwając się do asasynek. Łańcuch zagrzechał na posadzce. Jedno ze skrzydeł anielicy zwisało pod dziwnym kątem. -- Wodę też. I jedzenie. -- Mówiła gniewnym tonem. -- Nawet świnia nie chciałaby tego zjeść.

Rachel próbowała coś powiedzieć, ale z jej obolałego gardła wydobyły się tylko zdławione dźwięki.

--Spójrz na siebie -- rzuciła Carnival przez zaciśnięte zęby. -- Jesteś prawie taka ładna jak ja.

--Co...? -- Rachel przelknęła ślinę. -- Co się stało?

Anielka tylko chrząknęła.

Asasynek próbowała przypomnieć sobie walkę. Zalały ją niewyraźne, zamazane obrazy krwi i twarzy podobnych do trupich czaszek. Nagle przypomniały o sobie ciosy, które otrzymała. Skrzywiła się. Zabiła... ilu napastników? Najwyraźniej nie dość.

Carnival masowała kostkę zakutą w kajdany. Rachel przez chwilę patrzyła na nią bezmyślnie, zanim zrozumiała, że są ze sobą połączone łańcuchem. Ogarnął ją mdlący strach.

--Dill? -- Pamięć podsunęła jej bladą, przerażoną twarz i oczy białe jak śnieg w słońcu. -- O, Boże, co z nim? -- Był taki osamotniony. Ale wtedy dotarły do niej pierwsze szeregi armii i z kolei ona została zmuszona do walki.

--Jest w celi naprzeciwko -- powiedziała Carnival.

Jakaś dziwna nuta w jej głosie sprawiła, że Rachel poczuła niepokój. Wstała, pojękując. Nogi się pod nią uginały, ale wzięła lampę i pokuśtykała do żelaznej kraty, ciągnąc za sobą łańcuch. Płomień oświetlił popękane kamienne płyty i taką samą kratę naprzeciwko. Obie cele dzielił korytarz niknący w ciemności po obu stronach.

--Dill?! -- zawołała. Żadnej odpowiedzi.

--Dill, proszę, jesteś tam?

--Było dużo krwi -- odezwała się Carnival spoza kręgu światła.

Jej twarz była ukryta w cieniu, ale Rachel odniosła wrażenie, że anielica się uśmiecha.

--Dill!

Echa jej głosu wypełniły ciemny korytarz i umilkły. Odpowiedziało jej tylko kapanie wody. W piersi Rachel wezbrała rozpacz. Asasynka poczuła, że zaraz w niej utonie. Opadła na kolana i chwyciła żelazne pręty, jakby chciała się utrzymać na powierzchni. Proszę, boże, niech on żyje.

Sama nie wiedziała, do kogo się modli. Do Ulcisa? Wyglądało na to, że tutaj na dole nie ma nadziei na ratunek.

--Wkrótce go wypatroszą -- powiedziała Carnival.

--Jak możesz tak mówić? -- oburzyła się Rachel. -- A jeśli on jeszcze żyje?

--On nie zdrowieje tak jak ja. -- Ostatnie słowa Carnival aż ociekały jadem.

Mój biedny Dill. Rachel przypomniała sobie, jak latał wokół świątynnych iglic i śmiał się, a ten nedorzeczny miecz zabawka obijał mu się o biodro. Pomyślała o idiotycznej, bezużytecznej kolczudze, którą mu dali. O głupim wiadrze ze ślimakami. Łzy zapiekły ją w kącikach oczu. Podciągnęła kolana pod brodę.

--Miałam go chronić -- powiedziała cicho.

--Przed tymi stworami?

--Przed tobą.

Carnival parsknęła śmiechem.

--Teraz jest bezpieczny.

--Chciał ci pomóc po tym, jak zostałam ranna. Próbował iść ci na ratunek. Ale ja go powstrzymałam.

Anielka nie odpowiedziała.

Cisza się przedłużała. Rachel przyglądała się Carnival. Ona lypała na nią spode łba. Łańcuch leżał nieruchomo na posadzce celi. Pokryta siecią starych blizn twarz anielicy nic nie wyrażała. Ale czyżby w jej oczach czaił się drapieżny błysk? W końcu asasynka zapytała:

--Dlaczego jeszcze żyjemy?

--Ktoś tutaj cię nie lubi -- powiedziała Carnival beznamiętnie.

--Ile czasu zostało do Nocy Blizn?

--Niedużo.

Rachel stwierdziła, że obojętność w głosie anielicy jest bardziej niepokojąca niż gniew. Wściekłością można sterować, antypatia i złość są podatne na manipulacje. Ciężko emocji dawałby nadzieję, że uda się jakoś do niej dotrzeć. Ale zobojętnienie sugerowało, że Carnival stara się odciąć od swojego głodu.

Żeby ją chronić.

Asasynka poczuła ukłucie litości. Anielka przez tysiąclecia wznosiła wokół siebie mur obronny. Ale to nie wystarczyło. Rachel zbyt wiele razy widziała, jak Carnival wpada w furję.

Nie potrafi całkowicie się wyłączyć. Niech mnie ciemność pochłonie, ona nawet teraz próbuje. Ale to się nie uda. Będzie wściekłość i blizny. Ile dni zostało do Nocy Blizn? Siedem? Sześć?

Carnival jakby czytała w jej myślach.

--Trzy dni -- powiedziała.

Ręka asasyunki odruchowo powędrowała do pasa.

--Zabrali ci broń.

Rachel wydawało się, że w oczach anielicy dostrzega żal.

Mieli poważny kłopot. Ząb nie chciał ruszyć.

Callis, ten mityczny upierzony fircyk, uznał za stosowne dokonać sabotażu, dlatego Devon przyrzekł sobie, że jeśli jeszcze kiedyś znajdzie się w Sanktuarium, ściągnie z kolumny szkielet cholernego anioła i pokaże mu, do czego służą tłuczek i móżdżierz.

Zaczynał nienawidzić mostka Zęba. Wystarczyły trzy dni w słońcu, żeby wszystko wokół przesiąkło trupim odorem. Dziesiątki lin przywiązanych do podstawy deski rozdzielczej znikwały za otwartym oknem. Po katastrofie ocalało wielu członków załogi *Adraki*, zatem Heshette mieli kogo wieszać. Nomadom ta metoda egzekucji mogła się wydawać niezwykła, jednak uwagi Truciciela nie umknęło jej podobieństwo do przedstawień *Avulsiora*. Pustynnym ludziom smród najwyraźniej nie przeszkadzał, ale oni nie musieli spędzać tutaj całych dni.

Devon otworzył zawór przypominający kiel dzika i pociągnął pierwszą dźwignię zapłonu -- cienką wypustkę podobną do żebra. Przewodami popłynęła krew... nie, olej.

Podłoga zawibrowała lekko, potem znieruchomiała.

--Niech mnie ciemność!

Truciciel zamachnął się pięścią, ale zamiast w deskę rozdzielczą uderzył się kikutek w nogę. Przesunął dźwignię do pierwotnej pozycji i ścisnął nasadę nosa. Jeśli wał był złamany, jego naprawa zajmie cały dzień. Devon omal nie splunął. Nie mieli wiele czasu do powrotu armady przygotowanej do nowego ataku.

Co prawda nie spodziewał się, że powtórny atak będzie bardziej skuteczny niż pierwszy. Ząb był dobrze zabezpieczony przed gazem i beltami, a przed bombami zapalającymi bronił się równie skutecznie jak skała. Ale Truciciel nie zamierzał dłużej przebywać w pobliżu Heshette i mokrych szmat owiniętych wokół ich twarzy. Ten żart szybko obrócił się przeciwko niemu i dokuczał mu teraz tak, jak odór na mostku.

Co więcej, główne siły miasta zbierały się do wymarszu. Zwiadowcy Heshette donosili o intensywnych pracach prowadzonych na Martwych Piaskach. Na północ od *Deepgate* budowano katapulty, skorpiony, tarany i wieże oblężnicze, rozmontowując przy tym połowę *Ligi Sznurów*. Jeśli się nie pospieszy, zostanie mu niewiele miasta do zniszczenia.

Poza tym należało wziąć pod uwagę *Noc Blizn*. Gdyby udało mu się zaatakować właśnie wtedy, ludzie baliby się wyściubić nosy z domów, i bardzo dobrze. Czarny księżyc wywoła niepokój i niesnaski -- jeśli nie masową dezercję -- wśród rezerwistów.

Devon opuścił mostek i ruszył korytarzami do maszynowni, gdzie sto świec rozstawionych wśród tłoków i przekładni ukazało mu straszną prawdę.

Wał napędowy zabrany z *Adraki* wyskoczył z łożyska.

Duży Brodacz i Większy Brodacz próbowali wepchnąć go z powrotem na miejsce. Mocowali się właśnie ze stalowymi uchwytami, które sami zmajstrowali, naprawiając silnik zapłonowy. Bataba wyznaczył tych dwóch, żeby dla niego pracowali. Nosili jakieś kłaskające, niewymawialne imiona hodowców wielbłądów, ale Devon nie zamierzał ich uczyć. Przydomki doskonale opisywały ich wygląd i talenty. Truciciel podszedł do nich i spytał ze znużeniem:

--Co się stało?

Większy Brodacz zerknął przez ramię.

--Wyskoczył.

--Widzę. Główny silnik zaskoczył?

Heshette popatrzył na niego pustym wzrokiem.

--Tłoki, człowieku. Poruszały się? -- Devon westchnął. -- Te... słupy. -- Wskazał kikutem.

--Nie.

Devon ocenił rozmiary uszkodzeń. Okazało się, że stal użyta do sztukowania nie połączyła się dobrze z dziwnym materiałem przypominającym ceramiczny, co groziło tym, że przy zapalaniu głównego silnika prowizoryczna łatanina się rozpadnie. Nie była to sytuacja bez wyjścia, pod warunkiem, że we wrakach dwóch sterowców znajdą więcej śrub. Wysłał Brodaczy, żeby ich poszukali.

Mimo przeszkód zmierzał do celu. Nie licząc wału, który usunął Callis, silniki wyglądały na nietknięte. Ogromne kryształowe kadzie zawierały dość paliwa na podróż dookoła świata. Zewnętrzne reflektory -- jakieś pochodne eterowych -- działały, choć większą część wewnętrznych zniszczyli Heshette.

Ale bez głównego zasilania oraz z wylotami powietrza zatkanymi błotem i szmatami w Zębie śmierdziało jak w skarpecie dokera. Devon wziął świecę i ruszył w głąb maszyny, ścigany przez echo własnych kroków. Ostatnio rozmyślał o uporczywym milczeniu Sypesa. Prezbiter bał się nie tylko swojego boga, ale też tego, że ktoś odkryje jego sekret. Teraz i Truciciel zrozumiał dlaczego.

Korytarze zaśmiecały przewrócone wiadra i kawałki płótna cuchnące uryną. Mesa była pobojowiskiem, kambuz z zardzewiałymi zlewami i kranami wyglądał jak chlew. Na półce stała jedna butelka brązowego płynu, jakby uznano ją za przedmiot kultu albo strachu, ale garnki, rondle i naczynia zniknęły w norach Heshette.

W końcu Devon dotarł do kwater załogi, labiryntu tuneli z małymi, identycznymi drzwiami, na których widniały hieroglify. W powietrzu unosił się odór zgnilizny, jakby po tyłu wiekach obsługa nadal była zamknięta w środku. Przed prowizoryczną celą strażnik wyznaczony przez Batabę chrapał jak sterowiec. Truciciel go kopnął. Tłuścioch obudził się gwałtownie i wytarł ślinę z brody

--Miałeś go pilnować -- powiedział Devon.

--*Bara Sahbel!* Nie przyjmuję rozkazów od ciebie. -- Strażnik dźwignął cielsko z podłogi, sapiąc głośno. -- Nie wolno odwiedzać jeńca bez szamana.

--Więc idź po niego.

Heshette wyraźnie miał ochotę zaprotestować, ale po chwili wymamrotał coś w dialekcie, którego Truciciel nie rozumiał, i powłókł się korytarzem, byle jak najdalej od niego. Tymczasem Devon wszedł do celi.

Od smrodu oczy zaszły mu łzami. W kącie leżało przewrócone wiadro na nieczystości. Pod ścianą kulił się z zamkniętymi oczami nagi Sypes, a wokół niego wały się szczątki laski. Był chudy jak szkielet, wyglądał jak kupka kości obciążonych za luźną skórą. Całe ciało pokrywały siniaki. Minęło jedno uderzenie serca, zanim po płytkim oddechu i drzeniu atramentowych palców Devon upewnił się, że starzec żyje.

--Wkrótce będziemy w drodze -- powiedział, stawiając wiadro.

Potem ukucnął przy kapłanie.

Sypes nie otworzył oczu.

--Nie ma już nadziei na ratunek ani potrzeby, żebyś dalej milczał. -- Zrobił pauzę, a potem dodał szeptem: -- Twój bóg się buntuje, co? Ale Ulcis nie jest tym, w co kazał nam wierzyć Kościół. To dlatego tak się boisz.

--Chciałem ich chronić. -- Starzec przełknął ślinę. -- Chciałem uwolnić Deepgate z łańcuchów.

--Jedyny sposób, żeby tego dokonać, to je zerwać.

--Mylisz się, Devon. Nawet oplecione łańcuchami, miasto tętni życiem. Dlaczego tego nie dostrzegasz?

Truciciel westchnął.

--Kiedyś stwierdziłem, że jestem jedynym żywym człowiekiem w Deepgate.

Miałem na myśli to, że wszyscy inni konsumują tylko dlatego, żeby odżywić krew, która z kolei stanowi pokarm dla otchłani. To nie jest prawdziwa egzystencja, tylko głód, równie bezmyślny jak trucizna albo choroba. Myliłem się jednak, twierdząc, że tylko ja żyję. Ty i ja stoimy na szczytach bliźniaczych piramid, Sypes. Religii i nauki. Między nami nie ma niczego oprócz otwartych gąb. Ale w tobie też jest życie, starcze.

--Trudno mi potraktować to jako komplement. Jesteś zbyt arogancki. A poza tym szalony.

Devon się uśmiechnął.

--Dać ci coś na uśmierzenie bólu, starcze?

--Nie. Zasłużyłem na cierpienie za to, co im zrobiłem. Śmierć będzie dla mnie wybawieniem.

--To mi cuchnie męczeństwem, Sypes, a taka postawa do ciebie nie pasuje.

--Jeśli jestem męczennikiem, to dla spokoju własnego sumienia, a nie dla mojego boga.

--Nie widzę różnicy.

W celi zapadła cisza. W końcu Devon poprosił:

--Opowiedz mi o Ulcisie. Kim on naprawdę jest?

--Synem Ayen! Bogiem! -- Wybuch przyprawił prezbitera o atak kaszlu.

--W porządku. -- Truciciel uniósł rękę. -- Nie kłóćmy się z powodu semantyki.

Czasami myślę, że obaj patrzymy na to samo przez różne końce lunety. Nasza percepcja jest inna, ale obiekt obserwacji pozostaje ten sam.

Sypes wziął długi, urywany oddech.

--Ulcis pożera dusze zmarłych i zostawia puste ciała. Szczęśliwcy stają się naczyniami jego woli. Dopóki on istnieje, oni są... chodzącymi truchłami. Innych spotyka jeszcze gorszy los. -- Prezbiter się skrzywił. -- Lepiej wędrować po Labiryncie, niż zostać wykorzystanym w taki sposób, pozbawionym wszystkiego, co czyni nas ludźmi.

--To zależy, któremu bogu dusza ma dać siłę -- stwierdził z uśmiechem Devon.

Sypes prychnął.

--Nawet Ulcis musiałby się bardzo starać, żeby dorównać twojej arogancji.

Myślisz, że trzynaście dusz czyni cię jemu równym?

--Uważam to porównanie za uwłaczające. On jest pasożytem.

--Po pierwszej świętej wojnie jego armia zbyt się rozrosła, żeby przetrwać. Bez pożywienia martwi gniją. Bóg łańcuchów nie był w stanie wyżywić swoich szeregów, więc pozwolił im ucztować przez długi, długi czas. Czekał przez trzy tysiąclecia i nabierał sił dzięki martwym duszom, a jego niewolnicy żywili się resztkami po nim. -- Starzec potrząsnął głową. -- Teraz nadchodzą, żeby zabrać nasz świat dla swojego pana. Wszystkich nas czeka wieczne zapomnienie. Jeśli odetniesz miasto, tylko pomożesz Ulcisowi.

Kaszel szarpnął jego wynędzniałą pierś. Sypes zwinął się w kłębek, zamknął oczy, zacisnął palce.

Devon przytrzymał go za ramiona, aż minęły najgorsze spazmy. Potem wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i wcisnął w dłoń starca. Sypes chwycił ją jak linę ratunkową.

Trucicielowi nagle zrobiło się żal prezbitera. Źródłem jego wiary była otchłań. Devon miał nadzieję, że Sypes przeżyje i będzie świadkiem upadku miasta. Uważał, że wyświadczy mu przysługę, bo tylko wtedy kapłan zobaczy prawdę. Martwi nie chodzą. Nie ma żadnej armii w ciemności pod Deepgate.

--Zabieram cię stąd -- powiedział.

--Nie -- wychrypiął Sypes. -- Nie zależy mi już. Pomóż świątynnemu strażnikowi.

Uśmierz jego ból.

Devon całkiem zapomniał o Angusie.

--To on jeszcze żyje?

Sypes pokiwał głową.

--Słyszałem, że popadł w obłęd, gryzie i drapie samego siebie jak wściekły pies.

Musieli go skępować.

--Ty!

Devon odwrócił się i zobaczył, że w progu stoi Bataba.

--Co tu robisz?

--Przesłuchuję jeńca -- odparł Truciciel.

--To ty jesteś jeńcem. -- Fetysze wplecione w brodę Bataby tworzyły zakrzywioną drabinę do blizny biegnącej przez pusty oczodół. -- O czym z nim rozmawiałeś?

--Dyskutowaliśmy o kwestiach wiary, co do których się nie zgadzamy.

--Zostaw kapłana -- warknął szaman. -- Idziesz ze mną.

Właz otworzył się na niebo zasnute dymem. Oślepiająco białe schody prowadziły spiralą prosto w słońce. Martwe Piaski syczały i migotały.

--W górę! -- rozkazał Bataba.

Devon zaczął się wspinać.

Na dachu ogromnej maszyny było jeszcze gorzej. Poczerniałe od sadzy kominy wyglądały w blasku słońca jak wysokie kolumny jaskrawej bieli, która zostawiała

odciski na siatkówce. Ząbkowane klify Czarnego Tronu płonęły lśniąca miedzią, rozprażonymi złożami mineralnymi, migotliwymi kryształami.

Bataba poprowadził go na sam skraj Zęba.

W dole na pustyni rozgrywały się jakieś zawody. Spod końskich kopyt wzbijały się tumany kurzu, jeźdźcy wymachiwali długimi, zakrzywionymi kijami. Od czasu do czasu któryś trafiał w

szmacianą kulę wielkości pięści i posyłał ją wysoko w górę.

--*Kabarah* - wyjaśnił szaman. -- Walczą o klejnoty tłustego kapłana. Grupka mężczyzn gonila za prowizoryczną piłką, spinając wierzchowce ostrogami i głośno wrzeszcząc.

--Przeciwko nam zbiera się armia -- mówił dalej Bataba. -- Wkrótce nie będzie czasu na gry i zabawy.

Po bokach zaimprovizowanego boiska leżały rozrzucone wraki dwóch sterowców. Stare kobiety myszkowały w roztrzaskanej gondoli i klóciły się o znalezione skarby. Z tej wysokości Devon nie potrafił stwierdzić, do którego statku należą te szczątki. Pasy srebrnych powłok wily się na piasku jak dekoracje z balu.

--Nie ufają ci -- powiedział szaman, nie odrywając wzroku od gry. -- Ja też ci nie ufam.

--Nie rozumiem dlaczego -- zdziwił się Devon.

--Nie masz szacunku dla życia. Truciciel prychnął.

--Podobnie jak ja, aż się palicie, żeby wyruszyć na wojnę.

--Ale z innych powodów, Trucicielu. My staramy się wyrwać cierni z boku Ayen, czyli jej syna wyrzutka i tych, którzy go żywią. Natomiast ty...

Z dołu dobiegł triumfalny ryk. Ktoś trafił w cel zaznaczony na boisku. Mały chłopiec podniósł szmacianą piłkę i popędził z nią na środek.

--Ty nie wahasz się przed zamordowaniem tysięcy ludzi, żeby pomścić rzekomo wyrządzoną tobie niesprawiedliwość -- ciągnął Bataba.

--Nie mów mi, że nie tęsknisz za sprawiedliwością dla swojego ludu i zemstą za lata wojny, która zdziesiątkowała wasze plemię.

--Nie przeczę, że czujemy wściekłość. Ale nasz cel jest wyższy. Walczymy, bo taka jest wola Ayen.

--A jeśli Ayen nie istnieje i nigdy nie istniała, to jaka jest różnica między nami? Moje motywy wynikają z przekonania, a nie z prostej wiary.

--To kolejny powód, dla którego ci nie ufamy -- odburknął szaman.

Devon miał ochotę zepchnąć go z dachu, ale wziął głęboki wdech i pohamował gniew. Przyzwyczajał się do nieoczekiwanych skutków zażycia anielskiego wina. Gdzieś w środku tlił się w nim lont i czasami doprowadzał do wybuchu, kiedy najmniej się go spodziewał, ale powoli uczył się nad nim panować.

Jeden z jeźdźców uderzył w piłkę i posłał ją łukiem na skraj boiska. Pozostali gracze popędzili za nią, wzbijając chmury kurzu.

--Ci, którzy ocalili ze statku, mówili, że tłusty kapłan zmobilizował przeciwko nam całe łańcuchowe miasto -- rzekł Bataba. -- Podobno zgromadził armię, która mogłaby rywalizować z największymi w historii. To by się zgadzało, ale kiedy zobaczyłem jego wyperfumowanego trupa odzianego w jedwabie, wyglądał bardziej na kobietę niż mężczyznę. -- Wrócił spojrzeniem do gry. -- Nie sądziliśmy, że jednak miał jaja.

Na dole wybuchła wrzawa. Najwyraźniej kolejny jeździec zdobył punkt. Devon poczuł lekkie mdłości.

W tym momencie Ząb zadrżał, przez dach przebiegły wibracje, a potem dało się słyszeć i wyczuć równe, rytmiczne dudnienie. Z kominów wzbily się z sykiem strumienie piasku nagromadzonego wewnątrz maszyny.

--Czas ruszać na wojnę -- stwierdził szaman.

ROZDZIAŁ 28 ULCIS

W ciemności Rachel nie miała jak odmierzać mijającego czasu, nie licząc kapania wody w korytarzu za zakratowanymi drzwiami i straszliwego odoru, który dochodził z drugiej celi.

Przestała wołać Dilla.

Siedziała skulona na wilgotnych kamieniach i wzdrygała się lekko na każde ciche kapnięcie jak na uderzenie młotem. Starła się o niczym nie myśleć, tylko trwać w bezruchu. Gdy tylko zmieniała pozycję, kajdany wbijały się głęboko w kostkę, a siniaki na twarzy i piersi pulsowały boleśnie. Gardło miała wyschnięte, żołądek ściśnięty jak pięść. Odrzuciła miski z mięsem, które zostawili strażnicy, i cisnęła za nimi przekleństwa. Nikt się nie pojawił, żeby je zabrać. Dzbanek na wodę był już pusty, więc dręczyło ją pragnienie. Podobnie jak anielicę. Ale Carnival miała napić się pierwsza.

Raz na jakiś czas Rachel próbowała się skoncentrować, sięgnąć umysłem daleko -do zamglonych lasów Shale, Spiralnego Wzgórza w Clone, do jego pobielonych domów i tarasowych ogrodów, kolorowych jak na dziecięcych malunkach -- do miejsc, o których marzyła jako dziewczynka. Rozpaczliwie próbowała wrócić do nich w wymuszonych snach, ale obrazy zawsze jej umykały. Łańcuch przy kostce sprowadzał ją do rzeczywistości.

Zgasila lampę, żeby oszczędzać oliwę. Wydawało się jej, że w ciemności dostrzega zarys swojej towarzyszkii, ale to mogło być tylko złudzenie. Carnival od wielu godzin zachowywała ponure milczenie. Do Rachel docierał tylko jej oddech, krótki, płytki, wyglodniały.

--Carnival?

Żadnej odpowiedzi.

--Jak długo?

--Dlaczego miałabym cię ostrzec? -- wycedziła anielica przez zaciśnięte zęby. Jednak nie udało się jej zapomnieć o głodzie, a teraz jeszcze doszedł do niego gniew. Anielica była poirytowana, skupiona na sobie, napięta jak sprężyna.

--Jeden dzień?

--Mniej. -- Silny podmuch uderzył w Rachel, kiedy Carnival gwałtownie rozprostowała skrzydła i ściągnęła je z powrotem. -- Spróbuj znowu z kratami. -- Jej głos był chrapliwy, zdławiony. -- Mocno.

Rachel wstała chwiejnie i cała obolała ruszyła po omacku w stronę drzwi. Łańcuch ciągnął się za nią po kamieniach. Zaciśnęła dłoń na pręcie i zaczęła napierać ramieniem na metalową konstrukcję, napinając mięśnie.

Krzyknęła z bólu, ale żelazo nie ustąpiło. Bez tchu osunęła się na posadzkę.

--To beznadziejne. -- Zabębniła pięścią o pręty.

Oddech Carnival przyspieszył wyraźnie.

--Dlaczego? -- wykrztusiła Rachel. -- Dlaczego nas tak zostawili? Gdzie są, skoro chcą patrzeć, jak mnie zabijasz?

--Nie oni, tylko To -- wysyczała Carnival.

--Ulcis?

--Nie wiem -- warknęła anielica. -- Przestań wreszcie gadać!

Rachel dźwignęła się z wysiłkiem z ziemi. Znowu chwyciła za kratę, zaparła się obiema stopami o próg i szarpnęła z całych sił. Nic. Odsunęła się, dysząc ciężko.

--Gdybyśmy spróbowały obie... Carnival tylko warknęła głucho.

--Pomóż mi!

Rachel wyczuła za sobą ruch. Usłyszała szuranie i grzechot łańcucha. Nagle czyjaś ręka chwyciła jej nadgarstek. Jak ona...?

--Nie rozkazuj mi -- syknęła jej Carnival do ucha.

--Zadajesz mi ból.

--Owszem.

Oddech zamarł Rachel w krtani, nieprzenikniona ciemność wokół niej ziała gniewem. Asasynka sięgnęła po miecz, ale zatrzymała się w pół ruchu. Oczywiście zabrali jej miecz. Także noże, strzałki i trucizny. Nawet bambusowe rurki, wraz z tym, co zawierały. Bez broni czuła się naga.

W końcu uścisk na jej nadgarstku zelżał. Rachel usłyszała, że Carnival odchodzi w kąć celi, ciągnąc za sobą łańcuch.

--Mogę zadać ci pytanie?

--Nie.

--Dalaś kiedyś szczura żebrakowi?

--Co?

--Nieważne. -- Rachel masowała spuchniętą kostkę. -- Spotkałam kiedyś ślepcę, klejarza, a on powiedział, że dalaś mu szczura i powiedziałaś, że to baranina.

--Uwierzyłaś mu?

--Nie... Nie wiem.

--Dlaczego nie? -- warknęła Carnival. -- Robiłam gorsze rzeczy. Zabijałam żebraków, pijaków, dziwki, szlachciców, żołnierzy i dzieci. -- Zasysała cicho. -- Nawet Spine.

--Musiałaś być bardzo samotna -- stwierdziła asasynka. Cisza.

--Mów do mnie.

--Myślisz, że to cię uratuje? Nie uratuje.

--Dobrze. -- Rachel sięgnęła po omacku po lampę, przekręciła kółko krzesiwa. -- Skoro zamierzasz mnie zabić, niech przynajmniej widzę twoją twarz.

Cela pojaśniała. Palce cieni sięgnęły na korytarz za kratą. Carnival odwróciła się i ukryła twarz przed światłem.

--Jeśli ty nie chcesz mówić, ja będę -- oświadczyła Rachel.

--Nie obchodzi mnie to.

--Aż przyjdzie pora, żeby wyssać ze mnie krew. Carnival drgnęła. Asasynka natychmiast pożałowała swego braku opanowania. Przez chwilę zastanawiała się, od czego zacząć. W końcu powiedziała:

--Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Nie mogę mu nic zarzucić. Matka umarła, kiedy miałam osiem lat, nie wiemy z jakiego powodu. Po prostu zachorowała. Takie jest życie.

--Zamknij się! -- krzyknęła Carnival. -- Myślisz, że chcę tego słuchać?

--Nic mnie to nie obchodzi.

Anielka zapadła w gniewne milczenie.

--Nasza rodzina miała dom w Ivygarths. Ogród z nędznym drzewkiem i staw pełen wodorostów. Nic szczególnego. Bawiłam się z dziećmi innych oficerów. Razem podkradaliśmy jabłka, dręczyliśmy mrówki, kazaliśmy młodszym chłopcom zjadać

traszki... zwyczajne rzeczy.

Carnival skuliła się, objęła rękoma, oparła głowę na kolanach.

--Ojciec był wiecznie poza domem, brał udział w kolejnych niebezpiecznych kampaniach w obronie Kościoła i boga. Nie przepadasz za aeronautami, co? Anielka nawet nie podniosła wzroku.

--Przywoził prezenty. Lalki dla mnie i talk z nadrzecznych miast dla mamy. Malowanych żołnierzyków dla Marka. Siadałam mu na kolanach i słuchałam opowieści o egzotycznych miejscach. O zatłoczonych sukach w Dalamoor, bandytach, handlarzach klejnotami z Rachy, o uśmiechach rzezimieszków. O taumaturgach z dalekich krajów. O ludziach, którzy mieli wargi przebite drewnem z szubienicy i znali Deep pod inną nazwą. -- Rachel się zgarbiła. -- Marzyłam o tym, żeby z nim jechać, kiedy znów wyruszał z misją. Chciałam być częścią jego historii.

Asasynka zauważyła, że Carnival trochę się odprężyła i chyba jej słucha.

--Kiedy przyjęto mnie do Spine, nie wahalam się. Wstąpiłam do nich, bo chciałam, żeby ojciec był ze mnie dumny, a poza tym chciałam doświadczyć własnych przygód i dzielić się z nim tą częścią życia. -- Popatrzyła na swoje kajdany. -- To dlatego go znienawidziłam.

--Bo nie był z ciebie dumny? -- Carnival po raz pierwszy odezwała się bez złości.

--Dlatego że mi nie powiedział, jak to jest zabijać. On wiedział, ale mnie nie ostrzegł. Gdy wróciłam z Nizinnych Kolonii, między nas już był wbity klin. Oboje to czuliśmy, ale żadne o tym nie mówiło. W ogóle niewiele potem rozmawialiśmy.

Carnival milczała przez jakiś czas, a potem uniosła głowę i powiedziała gniewnie:

--Ja pamiętam to. -- Przesunęła palcem po bliźnie na szyi. -- Moje pierwsze wspomnienie.

--Ile miałaś wtedy lat?

--Nie wiem! -- Anielica zaczerpnęła drżący oddech. -- Wisiałam na sznurze z łańcucha fundamentowego, do nóg miałam przywiązane worki z kamieniami.

--Kto to zrobił? -- wykrztusiła Rachel. Carnival wzruszyła ramionami.

--Nic nie pamiętasz? Nawet tego, co było przedtem?

--Swoje imię.

--Jak się uwolniłaś?

--Przegryzłam sznur. -- W głosie anielicy brzmiała zimna obojętność. Przegryzła? O, bogowie... jak?

--Zajęło mi to cztery dni.

Rachel nie wiedziała co powiedzieć. W celi zapadło niezręczne milczenie. Na zewnątrz krople wody wybijały stały bezduszny rytm. Asasynka przez długi czas siedziała bez ruchu i przysłuchiwała się kapaniu. Przyszło jej do głowy, żeby znowu spróbować poluzować kratę, ale była zbyt zmęczona. Czy rozpozna, kiedy nadejdzie koniec? Zauważy moment, kiedy głód roztrzaska mur obronny, który wzniosła wokół siebie Carnival? Czy w ogóle chciała wiedzieć? Może lepiej zasnąć i niech już będzie po wszystkim.

Przypomniała sobie głos ze snu, który kiedyś ją nawiedził.

„Nie umieraj mi, suko”.

Nie mogła sobie przypomnieć, kto to mówił. Jej powieki zatrzepotały.

O świcie armia aniołów zapelniła niebo. Ich złote zbroje i stal lśniły niczym deszcz padający ze słońca. Z pustyni unosiły się kłęby piasku, wzbijane przez ich skrzydła. Rachel stała na wydmie i patrzyła, jak wojsko zbliża się do małego ciemnego kształtu, który znajdował się pół mili dalej na wschód. Do skrzydlatej postaci pełzającej przez Martwe Piaski na rękach i kolanach, przygniecionej ciężarem, który za sobą wlokła. Setkami, tysiącami łańcuchów.

„Rachel”.

Podniosła wzrok.

Miecz Dilla jaśniał złotem, ale jego oczy były białe jak skrzydła. Anioł walczył z niewidocznym prądem, który go od niej odciągał.

„Zaczekaj!”, krzyknęła. „Wracaj!”.

Ale on już się oddalał, łączył z szeregiami swoich przodków. Otoczyli go, same mięśnie z brązu i ciężkie zbroje, sztychli z niego i drwili. Dill krzyknął. Próbował jej coś powiedzieć.

„Co to jest? Co?”.

Niemal go usłyszała.

Obudziła się gwałtownie, z silnym przeświadczeniem, że Dill żyje i jej potrzebuje. Cień krat padał na nierówną posadzkę i zwoje łańcucha. Ciała była oświetlona. Z zewnątrz.

--Kim jesteś? -- Carnival kuciała na środku celi i patrzyła na korytarz, wściekła.

--Bogiem -- odpowiedział głęboki głos. Rachel się odwróciła.

Bóg łańcuchów wyglądał jak góra mięsa. Pofalowana skóra spływała wielkimi nakładającymi się kaskadami od gładkiej łysiny po pałkowate łydki. Był nagi, chyba płci męskiej. O tym ostatnim świadczył tylko głos, bo inne dowody zasłaniał nawis z tłuszczu. Z pagórków jego ramion wyrastały skrzydła. Choć były ogromne, Rachel podejrzewała, że nie używał ich od lat.

--Żaloszny ten wasz bóg -- stwierdziła z pogardą Carnival. -- Nic dziwnego, że Ayen wykopała go z nieba.

Bóg ją zignorował. Uniósł lampę i przysunął się do krat. Jego piersi zafalowały jak wzburzone morze. Oczy koloru starej krwi skierował na Rachel.

--Jesteś Spine -- zagrmiał. -- Ale niezahartowaną. Dlaczego?

--I tyle jeśli chodzi o wszechwiedzę -- zadrwiła anielica. Gniew najwyraźniej popychał ją do igrania z niebezpieczeństwem.

--Jesteś Ulcis? -- zapytała Rachel.

--Odpowiedz na moje pytanie.

--Ty odpowiedz na moje.

Gigantyczne oblicze boga pomarszczyło się w stu miejscach.

--Jestem Ulcis.

--A ja nie zostałam zahartowana, bo mój brat na to nie pozwolił -- wyjaśniła asasynka.

--Prezbiter ukrył to przede mną -- powiedział bóg łańcuchów. -- Dlaczego?

Sypes? Starzec był w kontakcie ze swoim panem? Ukrywał przed nim różne rzeczy? W głowie Rachel rozdzwonił się alarm. Już nie miała ochoty rozmawiać dłużej z tym bóstwem.

--Sam go zapytaj.

Ulcis zmrużył oczy i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, jakby próbował zdjąć z niej

kolejne warstwy. Kiedy w końcu przemówił, jego głos był jak trzęsienie ziemi.

--Nie ty pierwsza przychodzisz tutaj szukać odpowiedzi, śmiertelniczko. Życie i śmierć, odwieczne pytania...

--Nie szukam odpowiedzi -- przerwała mu Rachel. -- Szukam strzykawki.

--Widziałeś ją? -- wtrąciła się Carnival.

Bóg się nasrożył i wyprostował ogromne cielsko. Głazy tłuszczu przetoczyły się po jego kadlubie, fałdy zasłoniły mu oczy, kiedy odwrócił twarz w stronę anielicy i wycelował w nią tłusty paluch.

--A ty co tutaj robisz, odmieńcze?

Carnival zbliżyła się do krat i plunęła mu w twarz. Przez ciało Ulcisa przebiegło potężne drzenie.

--Nie pamiętasz mnie -- stwierdził tubalnym głosem.

Anielka splunęła jeszcze raz.

--Nic nie pamiętasz... -- Tłusty bóg wytarł plwocinę z obwisłych policzków. Jego oczy zabłyśły. -- Prawda, Rebeko?

Blizny Carnival nabrały krwistoczerwonej barwy.

Światło w oczach Ulcisa rozjarzyło się jeszcze mocniej. Ciemność skupiła się wokół niego i przybrała formę łańcuchów wyrastających mu z ramion i skrzydeł. Łańcuchów, które sięgnęły w głąb celi i otoczyły Carnival. Z ich kłębowiska dobiegły dźwięki: głosy dziesięciu tysięcy dusz.

Powietrze zrobiło się lodowato zimne.

--Pamiętasz? -- ciągnął bóg. -- Pamiętasz swoją matkę, tę dziwkę i śmiertelniczkę jak inne, ale taką ładną nawet w chwili śmierci i potem, kiedy zaczęła gnić. Zwróciłem jej duszę, żeby bardziej rozkoszować się jej cierpieniem. -- Uśmiechnął się szyderczo. -- Ale ty ją zabrałaś, kiedy wyrwaliśmy cię z jej łona. Ukradłaś mi ją. Pamiętasz teraz, dziecko, swoją pierwszą ofiarę?

Carnival głośno zaczerpnęła tchu, próbowała się cofnąć, ale widmowe łańcuchy trzymały ją mocno.

--No! -- Głos Ulcisa był jak grzmot. -- Przypomnij sobie mój sznur.

Anielka skoczyła na niego.

Rachel usłyszała trzask kości, gdy Carnival uderzyła w żelazną kratę. Bóg się cofnął. Anielka z furią drapała pazurami powietrze tuż przed nim.

--Widzę, że już pamiętasz, córko -- stwierdził Ulcis. -- To był mój podarunek dla ciebie, dzika mała Rebeko. Mój karnawałowy dziwolągu.

Devon czuł się tak, jakby jechał na plecach boga. Siedząc na krześle przed deską rozdzielczą, pociągnął dźwignię do siebie. Mostek zadrżał. Ścianami i podłogą wstrząsnęło głębokie dudnienie. Silniki zawyły i Ząb ruszył z gwałtownym szarpnięciem przez Martwe Piaski. Piasek tryskał z obu stron łyżki jak rozbijające się fale. Potężne gąsienice miażdżyły i miały wszystko na swojej drodze.

--Skąły -- ostrzegł Bataba, pokazując palcem. -- Uważaj! Musisz skrócić na zachód.

--Nonsens -- odparł Devon, przekrzykując huk silników. -- Ta maszyna mogłaby zrównać z ziemią całą górę.

--Chcę to zobaczyć.

Truciciel przekręcił zawór z szerokim uśmiechem. Płyny zafalowały w głównym zbiorniku. Powietrze wydostało się z sykiem z wilgotnych przewodów. Devon przesunął kostny wyrostek. Z dołu dobiegł przeraźliwy zgrzyt i w niebo poleciał wielki strumień sproszkowanej skały. Mostek zadygotał i za oknami pojawiły się noże tnące Zęba z obracającymi się tarczami.

Ale szaman odwrócił od nich wzrok i spojrzął na worek, który Devon położył w kącie pomieszczenia. Na brezencie wykwitły ciemne plamy.

--Gdzie twoi ludzie? -- zapytał Truciciel. -- Myślałem, że tu będą.

--Są na dachu.

--Rozumiem. -- Devon przesunął dźwignię jeszcze trochę do tyłu. Ząb zawył. Noże wgrzyły się głębiej w wydmy, gejzery piasku strzeliły ponad okna mostka. Zachodzące słońce przesłonięte przez chmury pyłu miało barwę krwi. -- Wybacz, szamanie. Chciałem pociągnąć tę dźwignię w drugą stronę.

--Ostrożnie, Trucicielu. -- Bataba nie odrywał wzroku od worka.

Devon pchnął dźwignię w pierwotne położenie i wskazał głową na worek.

--Obiecałem Sypesowi, że ulżę cierpieniom strażnika świątynnego -- wyjaśnił.

Angus był w strasznym stanie. Truczna krążąca w jego żyłach doprowadziła go na skraj wytrzymałości i obłądzenia. Mimo to czepiał się życia z uporem, który Devon uznał za zdumiewający i jednocześnie odpychający. Uzdrowiciele Heshette związali biedaka, żeby nie rozdrapywał własnego ciała, i zostawili go samego. Truciciela zaciekawilo, ile Angus może znieść. Ale ponieważ złożył Sypesowi obietnicę, poszedł na kompromis.

--Zakazano ci dostępu do trucizn -- przypomniał Bataba.

--Chemikalia nie były potrzebne -- odparł Truciciel. -- Wystarczyła mi piła. Szaman znowu zerknął na przemoczony worek.

--Co mu zrobiłeś?

--Powstrzymałem go przed drapaniem się.

Ząb wspiał się na niskie wzniesienie seria podskoków, od których Devonowi szczękały zęby. Następnie potoczył się w dół zbocza po drugiej stronie, miarowo hucząc silnikami i nabierając szybkości.

Z łagodnym kołysaniem sunął przez Martwe Piaski w zapadającym mroku. Pokonywał wydmy. Miażdżył skały gąsienicami. Na niebie zapaliły się gwiazdy. Wkrótce miał wzejść czarny księżyc Nocy Blizn. Sama jego nieobecność była złowieszczą zapowiedzią krwi, która zostanie przelana przed świtem. Po jakimś czasie Bataba wyszedł, żeby się przyłączyć do swoich doradców stojących na dachu.

Devon był ożywiony i pełen energii. Pochylał się nad rzędami wskaźników, czując pulsowanie i drżenie wielkiej maszyny w każdym mięśniu. Obserwował krajobraz przed sobą. Na południu nocne niebo przeszywały eterowe światła.

Pułapki.

Devon pociągnął jedną z dźwigni i na okna opadła metalowa siatka. Wiedział, że pierwszy atak nastąpi na długo przed tym, jak dotrze do nich armada. Deepgate miało jeden czarny sterowiec bojowy, *Szeptacza*. To był jego pomysł. Srebrne statki nawet w nocy stanowiły zbyt łatwy cel dla łuczników. Gondolę *Szeptacza*, jednostki lekkiej i szybkiej, pozbawiono kwater dla załogi, haków, wind i innych zbędnych urządzeń, żeby zrobić miejsce dla większych silników i dodatkowych zbiorników paliwa. Ponieważ nie miał kontaktu z resztą floty, musiał znajdować

się gdzieś blisko. Zapewne unosił się nad nimi na prądach wstępujących, a jeśli obecny komandor aeronautów, zastępca Haela, był równie przewidywalny jak jego poprzednik, atak powinien nastąpić lada moment.

I rzeczywiście w górze nagle rozległ się huk i syk. Blask płomieni oświetlił na chwilę ziemię i wydmy wokół Zęba.

Bomby zapalające.

Kolejny wybuch, a po nim przeciągły syk. Pustynia rozbłysła pomarańczowymi i czerwonymi barwami. Ząb jechał dalej.

Dwa pojemniki spadły z loskotem na piasek tuż przed maszyną, rozpylając gaz wapienny. Devon opuścił tarcze tnące. Pierwsza beczka poleciała w noc, druga eksplodowała, syjąc odłamkami. Metalowe fragmenty uderzyły w siatkę ochronną. Dym zasnuł okna. Następne dwie baryłki z gazem wylądowały kilka jardów na lewo, pod wiatr. Devon skręcił i rozjechał je jak suche liście.

Grad pocisków odbił się od kadłuba, a po nim nastąpiły wybuchy kolejnych bomb zapalających.

Pustynia wokół płonęła.

Devon pogwizdywał i bębnił palcami do rytmu o deskę rozdzielczą, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Bataba.

--Czarny statek! -- rzucił oskarżycielsko. Truciciel zmierzył go z pogardą wzrokiem.

--Nie możesz oczekiwać ode mnie, że wszystko przewidzę.

--Straciliśmy czterech ludzi.

--Nie kazałem im siedzieć na górze.

--Czterech ludzi, Trucicielu... a dwudziestu innych jest poparzonych. Devon wzruszył ramionami.

--Nie wiedziałeś o czarnym statku? -- zapytał z niedowierzaniem Bataba

--Nie.

--Kłamiesz.

--Czy już raz nie uratowałem was przed atakiem gazowym? Nie straciłem *Adraki*, a potem nie przygotowałem tej maszyny do walki? Czy nie zamierzam zmiażdżyć sił lądowych Deepgate? Wszystko to robię dla was, szamanie, więc dlaczego miałbym kłamać?

Bataba spiorunował go wzrokiem.

--Co jeszcze powinniśmy wiedzieć? Twoja użyteczność się kończy.

--Powiem wam, jeśli coś przyjdzie mi do głowy.

Napięcie ustąpiło miejsca kłopotliwemu milczeniu, podczas gdy Ząb wpełzał na kolejną stromą wydnię. W końcu nadciągnęła reszta floty. Statki gromadziły się w górze, srebrne powłoki połyskiwały pośród wściekle błyskających sygnałów eterowych. Przed nimi na pustyni jaśniał szeroki pas światłek. Na szczycie wzniesienia Devon zwolnił.

--Wojska Deepgate -- mruknął.

--Ile?

--Wszystkie.

W blasku lampy Rachel zobaczyła, że Carnival płacze. Przysunęła się do niej, niepomna

tego, że świeci jej prosto w twarz. Anielica zasłoniła policzki rękami.

--Zostaw mnie w spokoju.

--Nie pamiętasz go? -- zapytała asasynka.

--Zostaw mnie! Rachel drgnęła.

--Przepraszam.

--Nie chcę twojej litości! Oszczędzaj oddech, suko. Nic cię nie uratuje. Asasynka miała nadzieję, że jednak będzie inaczej. Zmuszając córkę do

przypomnienia sobie tego, co się stało, bóg łańcuchów chciał ją zranić, jedno spojrzenie na niego wystarczyło, żeby runął mur obronny liczący trzy tysiące lat i otworzyły się najgłębsze zabliznione rany. Carnival była teraz bezbronna, ale Rachel podejrzewała, że jednocześnie otworzyło się jej serce.

Anielica objęła kolana. Siatka białych szram znaczyła jej ręce. Jedno skrzydło wisiało przekrzywione na złamanym barku, pióra były matowe zlepione brudem.

Rachel ukucnęła na podłodze obok niej.

--Już jest Noc Blizn, prawda?

--Tak.

--Zabijesz mnie.

Chwila ciszy, a potem cicha odpowiedź:

--Tak.

--Przykro mi. Przykro mi, że on jest twoim ojcem. Przykro mi z powodu wszystkiego.

Mówiła szczerze. Czuli smutek, że jej życie kończy się w taki sposób. Że Dill nie żyje. Że nie żyje ojciec.

Kiedy o nim myślała, przed jej oczami pojawiał się zawsze ten sam obraz: ojciec wraca do domu z kolejnej kampanii, solidny, przyziemny mężczyzna w wykrochmalonym białym mundurze ze srebrnymi guzikami lśniącymi w blasku kominka. Pamiętała jego komiczne miny, kiedy matka skakała wokół niego i paplała o przeczytanych książkach, dzieliła się plotkami z klubu dla żon oficerów, opowiadała o utarczkach Marka z władzami akademii. I pamiętała twarz ojca, kiedy oznajmiła mu, że wstępuje do Spine: gorzką linię ust, zranione spojrzenie.

Mogłeś mnie powstrzymać. Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Rachel spojrzała na Carnival, na czarne włosy rozsypane wokół jej oszpeconej twarzy, na połamane pióra w skrzydłach, na skórzaną kamizelkę z plamami pleśni, lataną setki razy. Anielica siedziała skulona jak małe dziecko. Jej chude pokryte bliznami ręce ciasno oplatały kolana.

--Rozmawiaj ze mną -- poprosiła cicho Rachel.

Carnival znowu się rozplakała.

--Zostaw mnie w spokoju! Próbujesz ratować swoje bezwartościowe ciało. --

Uniosła głowę. Zęby miała zaciśnięte, czarne oczy pełne łez. -- Myślisz, że mnie obchodzisz? Jesteś dla mnie niczym. Jesteś mięsem. Mięsem!

--Możesz z tym walczyć.

--Walczyć? -- Bolesny śmiech. -- Walczyć! -- Wypluła z siebie te słowa. -- Nie masz o tym pojęcia, suko!

--Twoje życie nie zaczęło się od tamtego sznura ani nie skończyło wtedy.

--Szkoda, że to nie był łańcuch.

--Przestań się nad sobą użalać.

Napięcie nagle zniknęło z twarzy Carnival. Łzy popłynęły swobodnie po bliznach. Anielica opuściła brodę na kolana i wzięła głęboki, drżący wdech.

--Nienawidzę tego. -- W jej głosie brzmiała udręka. -- Nienawidzę ich... ciebie.

Zabiję ich. Ciebie. Was wszystkich. Wszystkich. Odejdź ode mnie! Idź do diabła!

Rachel dotknęła jej ramienia.

--Rebeko.

Anielica strąciła gwałtownie jej dłoń.

--Mam na imię Carnival! -- krzyknęła.

--Przepraszam, ja...

W zamku celi zazgrzytał klucz. Rachel odwróciła się powoli.

Za kratami stał gigant odziany w brudną szatę. Wypełniał sobą całe wejście. Rachel w pierwszej chwili pomyślała, że to wrócił Ulcis, ale potem zobaczyła, że przybysz jest zbudowany potężniej niż bóg, z samych nabitych mięśni. Jego posiniaczoną twarz ocieniał zarost. Do lewej nogi miał przywiązaną prowizoryczną szynę z ludzkich kości i opierał się na kuli zrobionej w taki sam sposób. Wielkimi łapskami niezdarnie grzebał w pęku kluczy. W końcu drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

--Abigail? -- zapytał nieznajomy.

ROZDZIAŁ 29 SIECIARZ

Serce pana Nettle podskoczyło, kiedy jego córka wstała z posadzki celi i zbliżyła się do niego ostrożnie. Przy biodrze trzymała lampę, ale jej twarz była ukryta w cieniu. Sieciarz miał ochotę podbiec i chwycić ją w ramiona, uściskać mocno.

--Zabieram cię do domu -- oznajmił.

--Tylko spróbuj.

Radość nagle opuściła pana Nettle. Dziewczyna była za niska, za smukła, za jasna. Poruszała się zwinnie, z gracją, której Abigail zawsze brakowało. I miała na sobie skórzaną zbroję Spine.

Asasynka uniosła lampę i przyjrzała mu się zdumiewająco zielonymi oczami. Jej twarz była wychudzona, od szyi do boku czoła ciągnął się rząd siniaków.

--Kim, do diabła, jesteś? -- zapytała.

--Jesteś Spine -- stwierdził pan Nettle.

Dziewczyna popatrzyła na niego uważnie i powiedziała:

--Nazywam się Rachel Hael.

Pan Nettle podrapał się po strupach ukrytych wśród zarostu.

--Ty też nie żyjesz?

Zdziwione spojrzenie. Może ta Spine nie wiedziała, że nie żyje? Słyszał o duchach, które nie osiedlały się spokojnie w Deep, tylko stawiały opór. Często nie zdawały sobie sprawy, że są martwe. „Zaparte”, mówili o nich ludzie z Ligi, ale, z drugiej strony, co te gamonie wiedziały?

--Widziałaś ją? -- spytał chrapliwie.

--Kogo?

--Moją córkę. -- Przysunął do niej wielką twarz. -- Ona nie zostałaby z nimi. Abigail uciekłyby od razu po zobaczeniu tych zjaw na kościanej górze. Pan Nettle

doszedł do wniosku, że jego córka ukrywa się gdzieś w tunelach pod Deep, wśród martwych aniołów i ich kuchni, w których gotują rosół. Durna dziewczyna lubiła anioły.

Rachel Hael opuściła wzrok na łupki sklecone z kości. Ból przeszył jego udo, jakby go dotknęła. Pan Nettle przeniósł ciężar na drugą nogę, aż zaskrzypiała kula.

--Kim jesteś? -- spytała ponownie asasynka.

--Nettle. Ona tu jest? Dziewczyna wyglądała na zdezorientowaną.

--Jesteś jednym ze sług Ulcisa? Sieciarz skrzywił się, słysząc to imię. Tłusty bóg był gdzieś tutaj na dole, sunął

tunelami jak ściana błota, obserwował wszystko. Głodny. A on zgubił swój tasak.

--Nie -- odparł krótko.

--Więc co tutaj robisz? Głupia czy co?

--Szukam Abigail -- wyjaśnił.

--Nie znam jej. Jesteś z góry? Z Deepgate?

--Tak. Miasto było teraz tylko snem. Sieciarzowi wydawało się, że spadał przez wiele dni albo nawet lat. Chyba spał w locie albo może wtedy umarł, nie był pewien. Obudził się, kiedy ugryzł go anioł. Chuda, zła istota w pogietej zbroi. Musiała go dopaść blisko dna, ale szybko puściła, kiedy wrzasnął i zdzierzył ją pięścią w twarz.

Potem leżał w kraterze z kości, martwy jak trup, z wielkim krwawym śladem po ugryzieniu na nodze. Abigail nie odezwała się do niego od tamtej pory, nie zdradziła mu, gdzie

się ukrywa. Pewnie się bała, że ją usłyszą. Albo się dąsała.

Żebra miał obolale po upadku, a noga bolała go, jakby wyrwił ją obcęgami. Może była zainfekowana. Nie wiedział, nie dbaj o to. Unieruchomił ją prowizoryczną szyną i wyruszył na poszukiwanie córki. Była tu gdzieś na dole, podobnie jak strzykawka z jej duszą. Znajdzie je obie, żywe albo martwe. Nadal był cholernie dobrym sieciarzem.

--Jak się tutaj dostałeś? -- zapytała dziewczyna.

--Spadłem. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

--Skąd wzięłeś klucze?

--Znalazłem.

--Ukradłem.

Tym razem w głowie odezwał się jego własny głos, i całe szczęście; Abigail byłaby na niego wściekła, gdyby wiedziała... Podobnie jak jej matka. Nie powie jej o kradzieży kluczy ani o innych rzeczach, które robił, odkąd umarł.

0 morderstwach.

--Spokojnie -- mruknął. -- Przecież nie można zabić martwych.

W głębi celi ktoś pociągnął nosem, a potem z cienia dobiegł głos:

--To człowiek?

Ta istota miała skrzydła.

1 blizny.

Pan Nettle cofnął się i rozejrzał za bronią, ale nie dostrzegł żadnej, więc uniósł kulę. Noga pozbawiona podparcia zaprotestowała ukłuciem bólu. Zignorował ją i ruszył na anielicę.

--Zaczekaj. -- Spine go odepchnęła. Była całkiem silna jak na takie drobne stworzenie. -- Ona nie zrobi ci krzywdy.

--Mów za siebie -- ostrzegła Carnival.

Pan Nettle warknął.

--Teraz go poznaję. -- Anielica wstała z ziemi. -- Mój pijany zabójca. Zgubiłeś tasak, żebraku?

Pan Nettle rzucił się na nią.

Zatrzymał go rozdzierający ból, gdy asasynka kopnęła go w ranne udo. Pan Nettle odwrócił się, żeby zdzielić ją pięścią...

...i wylądował na plecach. Przez dłuższą chwilę nie mógł zaczerpnąć tchu.

--Dość! -- Rachel Hael przyszpiliła go do ziemi, stawiając mu stopę na szyi.

Próbował ją złapać, ale mocniej wbiła piętę. -- Powiedziałam: dość! Niech mnie ciemność, tu na dole jest wiele rzeczy, na które oboje możecie się wściekać, zamiast walczyć ze sobą.

Pan Nettle zauważył kajdany na jej kostce. Obrócił głowę i podążył wzrokiem za łańcuchem. Jego chrząknięcie zabrzmiało niemal jak miech; jedna suka przykuta do drugiej.

Spine pozwoliła mu wstać, oddała kulę.

--Co się stało z twoją córką?

--Truciciel ją zabił -- odpowiedział, łypiąc na Carnival. -- Spuścił z niej krew. Muszę ją znaleźć, zanim wpakuje się w większe kłopoty.

Asasynka i anielica wymieniły spojrzenia.

--Tu są martwe anioły -- dodał pan Nettle, kierując zmrużone oczy na Carnival. --

One są jeszcze gorsze niż ty.

Anielica zaplotła ręce na piersi.

--Twoje klucze pasują do innych zamków? -- zapytała Rachel Hael niepewną miną.

Druga cela była ciemna, zimna i cuchnęła przemocą. Przelano w niej krew, dużo krwi.

Kuśtykając o kuli, pan Nettle wszedł głębiej, żeby się rozejrzeć.

--Abigail?

Stojąca za nim asasynka uniosła lampę.

Podłoga była zasłana białymi piórami zlepionymi krwią. Sieciarz zaczął wpychać je garściami do kieszeni. Pióra można sprzedać. Ludzie robią z nich poduszki i ocieplają nimi kurtki. A tutaj wały się ich całe stosy. Wprawdzie będzie musiał najpierw oczyścić je z krwi i brudu, ale tak warto się po nie schylić.

I wtedy zauważył w kącie trupa.

Anioł leżał połamany na legowisku ze słomy, tak jak go na nie rzucono, skórę miał czarną i spuchniętą, usta i oczy otwarte w zastygłym wyrazie przerażenia, skrzydła porwane na strzępy, jakby dopadła go sfora psów.

Przy zwłokach pan Nettle dostrzegł miecz i ruszył po niego czym prędzej. Broń była cenniejsza niż wszystkie pióra.

Spine powstrzymała go, mówiąc dziwnym głosem:

--Nie.

Ukucnęła przy aniele i położyła dłoń na jego czole.

--Dill?

Pan Nettle chrząknął i wrócił do zbierania piór. Gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył, że asasynka wyjmuje broń z ręki anioła.

--Nie zabrali mu miecza -- wyszeptala, a potem powtórzyła gniewnie: -- Nawet nie zabrali mu miecza!

Położyła broń na piersi anioła.

Tymczasem pan Nettle zgarnął tyle piór, ile zdołał, i wyprostował się, opierając na kuli.

--Oprócz tych dwóch nie ma więcej cel -- powiedział.

Carnival zmierzyła wzrokiem jego wypchane kieszenie i obnażyła zęby, jakby chciała rozerwać mu gardło. Pan Nettle zacisnął dłoń na kuli, ale znowu wkroczyła między nich asasynka. Jej oczy były wilgotne.

--Wynośmy się stąd -- zarządziła.

--Miecz jest wart dużo pieniędzy -- stwierdził pan Nettle.

--Dotknij go, śmieciarzu, a złamię ci kark.

Pan Nettle popatrzył z żalem na broń i niechętnie ruszył do drzwi. Miecz i tak nie przydałby mu się tu na dole, przeciwko tym wszystkim martwym istotom. Zwłaszcza przeciwko aniołom byłby zupełnie bezużyteczny.

--Musimy znaleźć Abigail -- oświadczył.

--Ona nie żyje -- warknęła Carnival. -- Zapomnij o niej.

--Nie. -- Pan Nettle spojrział z góry na anielicę. Był od niej dwa razy większy. -- Ona jest tutaj. Zupełnie sama.

Rachel Hael dotknęła jego ramienia.

--Pomogę ci jej poszukać -- obiecała. Potem zerknęła na Carnival i szybko odwróciła wzrok. -- Ale najpierw musimy jakoś przeciąć ten łańcuch. I potrzebujemy broni.

Pan Nettle zrobił ruch, jakby zamierzał wrócić do drugiej celi.

--Nie -- powstrzymała go Rachel. -- Zostaw ten miecz. On nie należy do nas. Sieciarz burknął coś pod nosem. Kobiety. Nie ma sensu nawet próbować ich zrozumieć.

--Niedaleko stąd jest magazyn -- powiedział. -- Może tam coś znajdziemy.

Zostawili cele za sobą i pospieszyli korytarzem wyciosanym w nagiej skale. Światło lampy skakało po ścianach, przez co cienie wyglądały jak uciekające zjawy. Carnival pędziła przodem, ciągnąc za sobą łańcuch. Jedno skrzydło zwisało bezwładnie ze złamanego ramienia. Pan Nettle kuśtykał za nią o kuli, zostawiając za sobą ślad z piór. Rachel biegła na końcu, pogrążona w myślach.

Na wspomnienie Dilla porzuconego w celi ogarniał ją gniew. Dlaczego prześladowcy nie zabrali mu broni? Uznała to za niewybaczalne okrucieństwo i poniżenie.

Choć nie żył, Rachel nie potrafiła wziąć jego miecza, mimo że byłby lepszy niż nic, nawet tępy. Ale gdyby wyrwała go z martwej dłoni, poczułaby się równie okrutna jak ci, którzy nim wzgardzili. Przeklęła się za swoje rojenia. Przez chwilę była pewna, że zdolalaby go uratować.

Zastanawiała się, o czym teraz myśli Carnival. Anielka -- albo półbogini, jeśli rzeczywiście nią była -- gnała przed siebie, jakby zamierzała zburzyć Deepgate gołymi rękami. Po bitwie stoczonej na górze kości Rachel nie wątpiła, że jest do tego zdolna. Wtedy trzeba było całej armii, żeby ją powstrzymać, a co dopiero w Noc Blizn.

I co z sieciarzem? Przez wzgląd na niego miała nadzieję, że nie znajdą jego martwej córki.

Lampa zaskwierczała. Została w niej zaledwie kropla nafty. Jeśli wkrótce nie trafią do oświetlonych tuneli, tylko Carnival będzie coś widzieć. Łańcuch grzechotał na kamieniach, jakby martwych dopadł atak kaszlu.

Kręty korytarz wznosił się ku mniejszym tunelom. Wilgotne prądy powietrza niosły dźwięki tak ciche, że Rachel nie była pewna, czy to nie złudzenie. Raz wydawało jej się, że słyszy czyjś szloch, innym razem brzęk i stuk siekających noży. Lecz w tle, niczym puls, cały czas rozlegało się dudnienie metalu w kuźniach. Czowała również znajome zapachy, słabe i mdlące, ale odpędzała je od siebie i skupiała się na tym, żeby ostrożnie stąpać po śliskich kamieniach. Po jakimś czasie tunel zaczął biec poziomo i nagle otworzył się na wielką jaskinię.

Było to coś w rodzaju magazynu, który pękał w szwach od gnijących śmieci: mebli, stelaży, bel materiału, skrzyń i pudeł wypełnionych po brzegi zbieraniną przedmiotów, kamiennych blatów i zlewów, potłuczonych donic, koszy z butelkami zawierającymi wszystko: od koralu po zęby.

--Szukaj narzędzi i broni -- zwróciła się Rachel do pana Nettle.

--Szybko -- warknęła Carnival.

We trójkę wzięli się do przetrząsania śmietnika, ale większość przedmiotów okazała się zniszczona albo bezużyteczna. Ofiary składane przez całe lata w czasie ceremonii Avulsiora,

domyślała się Rachel. Opłaty za przywilej uczestnictwa w zbawianiu pielgrzymów. Były tam wytwór rzemiosła poszczególnych dzielnic Deepgate: niegdyś piękne stroje, kute żelazo, ceramika, dziecięce zabawki, drewniane rzeźby, rzucone na bezładny, butwiejący stos.

Pan Nettle znalazł drewnianą skrzynię.

Rachel ledwo zdołałaby udźwignąć ciężką kuszę, nie mówiąc o jej skutecznym użyciu, ale sieciarz z łatwością wyjął ją jedną ręką i uśmiechnął się szeroko.

--Należała do Kowala -- wyjaśnił.

--Twojego przyjaciela? -- spytała asasynka.

Uśmiech zniknął z twarzy wielkoluda.

--Tak.

Oprócz broni w skrzyni znajdowały się trzy belty owinięte w brezent: do polowania, zapalający i zatruty, choć nie było oznaczeń, czym jest nasączony.

Rachel zauważyła, że pan Nettle obserwuje Carnival kątem oka. Podala mu belt do polowania, a dwa pozostałe ostrożnie schowała do przegródek przy pasie. Zatruty grot mógł już stracić moc -- ale nadal skutecznie zabijać -- natomiast zapalający był prawdziwym skarbem.

--Powinny być jeszcze młoty -- powiedział pan Nettle, zaglądając do skrzyni. -- Kowal je tutaj trzymał.

--Ktoś je zabrał. Przypuszczam, że dla ludzi żyjących pod ziemią są warte więcej niż inna broń.

Do czego mieliby tutaj strzelać?

Rachel chętnie poświęciłaby godziny, żeby znaleźć jakąś broń w tym śmietniku, ale gdy zobaczyła wyraz twarzy Carnival, zrozumiała, że trzeba się spieszyć. Dlatego za pomocą kołowrotu załadowała kuszę pana Nettle beltem do polowania i ruszyli dalej.

Tunele rozgałęziały się bez końca, jakby szli wydrążonymi korzeniami drzewa. Carnival trzymała się najszerszych, ale i tak szorowała końcami skrzydeł o ściany po obu stronach. Robiło się coraz cieplej i jaśniej, aż wreszcie Rachel zobaczyła blask ognia.

--Zgaś lampę -- syknęła Carnival. -- Nie czujecie?

Rachel pociągnęła nosem. Ktoś gotował mięso.

Uświadomiła sobie, że właśnie ten zapach docierał do niej od jakiegoś czasu. Ślina napłynęła jej do ust. W żołądku wezbrały soki. Zerknęła na pana Nettle. Domyślił się, co oznacza ta woń, czy jego umysł był zamknięty na taką możliwość?

Jak zareaguje na prawdę?

Carnival popędziła naprzód dużymi susami.

--Zaczekaj -- wyszeptala Rachel.

Anielka ją zignorowała. Kiedy łańcuch się napiął, asasynka pobiegła a nią, klnąc pod nosem.

W wielkich parujących kotłach ustawionych w jaskini bulgotały i pieliły się płyny. Skalne ściany były wilgotne i czerwone od żaru węgla palącego się pod masywnymi kratami. Resztę wolnej przestrzeni między jarami zajmował ciężki rzeźnicki blok. Jego drewniana powierzchnia tyła poplamiona i pełna głębokich rys. Na szczęście, nigdzie nie było śladu mięsa.

Carnival zajrzała do jednego z kotłów, mrużąc oczy przed blaskiem.

--Sieciarzu -- zawołała cicho.

--Nie. -- Rachel chwyciła ją za ramię. Anielka warknęła.

Pan Nettle podszedł do nich i spojrział na kotły, ale nie wykazał zainteresowania zawartością.

Nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy. Jego umysł nie jest zdolny do jej przyjęcia. A może po prostu jest cholernie uparty. Rachel zastanawiała się, jak długo pan Nettle przebywa pod ziemią i co jadł, żeby utrzymać się przy życiu.

W drugim końcu jaskini znajdowały się dwie pary solidnych wrót. Mniejsze bez wątpienia prowadziły do chłodni. Asasynka przyjrzała się podłodze i zobaczyła ślady wskazujące na to, że ciągnięto tędy jakieś ciężary.

Carnival zbliżyła się do drzwi.

--Zaczekaj!

Ale kiedy Rachel wyciągnęła rękę, żeby ją powstrzymać, większe wrota stanęły otworem i coś zaczęło się przez nie gramolić.

Przybysz musiał się pochylić, żeby seria koślawych podrygów precyzyjnie przecisnąć skrzydła i resztę zniekształconego ciała przez framugę. Na ich widok rzucił kość, którą ogryzał, wyprostował się niezdarne i zmrużył siarkowożółte oczy. Jedna strona jego ust opadła, odsłaniając pojedynczy ostry ząb. Między białymi wargami poruszył się język przypominający robaka. Nawet tutaj, w cuchnącej jaskini, odór koszmarnej istoty obezwładniał. Ten stwór gnił.

Rachel zorientowała się, że to anioł... W każdym razie kiedyś nim był.

ROZDZIAŁ 30 ŁAŃCUCHOWY PAŁAC

Tysiąc obozowych ognisk migotał pod czarnym księżycem Nocy Blizn. Przed nimi ciągnęły się wydmy niczym zamrożone fale, przez co Devon miał wrażenie, że patrzy na miasto zbudowane na dalekim morskim brzegu. Zwolnił i zatrzymał maszynę. Piasek opadł za oknami mostka.

Tyle ognisk. Wszystkie oddziały regularnych wojsk Deepgate i rezerwistów ogrzewały się przy nich, czekając na sygnał do ataku. Niewidoczne siódma i dziewiąta dywizja kawalerii zapewne przemieszczały się na flanki, żeby ich otoczyć. W górze krążyły statki wojenne. Devon naliczył ich ponad trzydzieści, płonących jak komety wśród gwiazd. *Szeptacz* pozbył się ładunku i wracał do Deepgate, żeby go uzupełnić.

Bataba wyglądał przez przednie okna, na zmianę drapiąc bliznę w prawym oczodole albo ciągnąc fetysze wplecione w brodę.

--Jesteśmy pięścią Ayen -- przemówił w końcu. -- Tę wojnę powinniśmy stoczyć w jej świetle.

--Niewiele możemy zrobić w tej kwestii -- stwierdził Truciciel. -- Chyba że twoja bogini uzna za stosowne wcześniej obudzić słońce.

Szaman tylko chrząknął.

--Jak chcesz to rozegrać? -- zapytał Devon.

--Skosić ich -- odparł krótko Bataba. Truciciel udał zaskoczenie.

--Myślałem, że Heshette patrzy wrogom w twarz, kiedy ich zabijają.

--W świetle dziennym tak, ale ta wojna jest prowadzona na specyficznych warunkach.

--Przyślą kogoś na rozmowy.

Bataba wpatrywał się w horyzont. Devon stłumił ziewnięcie.

--Jak chcesz. -- Pociągnął dźwignię i Ząb ruszył z szarpnięciem na spotkanie zgromadzonych armii.

Kiedy maszyna zjechała z wzniesienia, szaman odwrócił się plecami do nocnego nieba.

--Czego możemy się spodziewać? -- zapytał.

--Wyboistej jazdy.

--Coś jeszcze powinniśmy wiedzieć?

--Saperzy z trzeciej, czwartej i piątej dywizji zastawili pułapki. Wykopali tunele, rowy ze smołą, tego rodzaju rzeczy. Możemy się spodziewać eksplozji, ale wątpię, czy mieli czas na poważniejsze roboty, więc to nie powinien być problem. Sklecieli trochę wież obłężniczych, ciężkich katapult i tak dalej, ale nie zdołają nas powstrzymać.

Dopóki będziemy się posuwać do przodu, nie uda się im naruszyć naszego kadłuba w znaczący sposób. Powinniśmy bezpiecznie dotrzeć do przepaści. Rezerwiści, mimo zapalu, nie walczyli ani nie ćwiczyli od dekady. -- Truciciel umilkł na chwilę. --

Najbardziej martwią mnie sabotażyści Spine. Ichin Tell ukryje na pustyni asasynów, których zadaniem będzie dostanie się do środka, podczas gdy inni odwrócą naszą uwagę. Uważajcie na haki rzucone z dołu.

--Wystawię posterunki.

--Lepiej urządzić na nich zasadzkę -- podsunął Devon. -- Pozwolić im wejść i odciąć drogi ucieczki.

--Nie mów mi, jak mamy walczyć, Trucicielu. Już pokonywaliś takich jak oni.

--W pustynnych potyczkach owszem -- zgodził się Devon -- ale nigdy nie mieliście naprzeciwko siebie takiej siły. Są tutaj prawie wszyscy ludzie, którzy mogą utrzymać miecz.

Bataba puścił jego słowa mimo uszu i odwrócił się, kiedy maszyna zaczęła wypelzać z zagłębienia.

--Zwołam radę -- oznajmił i ruszył do drzwi.

Gdy dotarli na grzbiet następnej wydmy, Devon zobaczył grupę jeźdźców pędzących im na spotkanie. W blasku kilkunastu żagwi powiewały złoto-czarne kościelne sztandary. Ponad ryk pracujących silników Zęba wybił się ostry głos trąbki. Truciciel utrzymał kurs i włączył noże tnące. Tryby zrobione z tajemniczego metalu zaczęły się obracać, wyrzucając w górę fontanny piasku. Jeźdźcy rozerwali szyk, żeby okrążyć wielką maszynę. Kiedy znowu zabrzmiała trąbka, Devon w odpowiedzi zwiększył obroty silnika.

Deepgate nadal było ukryte za horyzontem, ale unosiły się nad nim; wysokie słupy dymu, jakby pracowały wszystkie piece kuźni wykuwających broń. Niebo przybrało barwy oliwy, węgla i ognia. Statki kościelne wyglądały w kłębiących się chmurach jak czerwone pęcherze.

Ostatnia linia obrony? Czyżby Clay uzbroił świątynną armadę? Devon nie przejął się tym zbyt. Zanim sterówce go zaatakują, miasto będzie zgubione.

Pół mili dalej jeźdźcy przegrupowali się i wrócili do miejsca stacjonowania wojsk Deepgate.

Tymczasem na mostku zjawili się Heshette. Członkowie rady nie byli w lepszym nastroju niż szaman, a co najmniej połowa z nich miała świeże oparzenia po ataku *Szeptacza*. Żaden nie ukrywał pogardy dla Truciciela, kiedy zebrali się wokół niego, ściskając w rękach noże. Lecz wkrótce ich uwagę przyciągnęły odległe światła.

--Ustawiliśmy luczników przy wlotach powietrza po obu stronach kadłuba --

oznajmił Bataba. -- Beczki ze smołą z rozbitych statków stoją gotowe w korytarzach świtu i zmierzchu. Sabotażyści przekonają się, że wejście na nasze ściany nie będzie łatwe.

Devon nie był o tym przekonany, ale nie wyraził na głos swoich obaw.

--Uważajcie na niebo -- ostrzegł tylko.

Szaman nic nie odpowiedział. Wyglądał przez okna. Truciciel podążył za jego wzrokiem i zobaczył wojska zgromadzone wokół ognisk obozowych oraz rojących się między nimi konnych żołnierzy. Lśniły zbroje i tarcze. Na południowym wschodzie i południowym zachodzie, gdzie teren był wyższy, majaczyły zarysy drewnianych wież, mangoneli i skorpionów ustawionych przed otchłanią.

--Posłańcy już wrócili -- rzucił Bataba.

Jeźdźcy minęli oddziały piechoty i zatrzymali się przed skupiskiem namiotów dowództwa, rozstawionych za głównym korpusem armii.

--Przynajmniej wiemy, gdzie jest Clay -- stwierdził Devon. -- Albo chce nas zmylić.

Nie musieli długo czekać, aż wysłannicy dostarczą meldunek. Trębacze przekazali rozkazy i armia Deepgate ruszyła do boju.

Setki chorągwi rozdzieliły się i popłynęły na wschód albo na zachód. Tylne oddziały kawalerii skierowały się na flanki. Piechota złożona z rezerwistów utworzyła między nimi dwa czworoboki najeżone włóczyniami i pikami. Przed szeregami luczników i kuszników zapłonęły rzędy smolowych ognisk. Wysoko w górze rozbłysły światła eterowe i sterówce Deepgate zaczęły się do siebie zbliżać, żeby zająć pozycje

do zmasowanego ataku.

Przed Zębem ciągnęła się płaska równina. Gąsienice kruszyły skały i kamienie, zmieniając je w piasek. Silniki huczały. Ale do Devona te hałasy docierały jak z oddali, wytłumione przez głęboką ciszę panującą w jego umyśle.

Truciciel czekał. Ząb kołysał się i dygotał, powoli nabierając szybkości, miażdżąc wszystko na swojej drodze. Szlaki karawanowe przecinały jałową ziemię przed nim jak stare rany. Gwiazdy mrugały z aprobatą. Oświetlone przez płomień słupy dymu nad Deepgate zbliżały się powoli.

Nadal czekał.

Wkrótce nadleciały statki wojenne i rozpoczęła się bitwa.

W górze niczym grzmoty rozbrzmiały potężne eksplozje, a po nich przeciągłe trzeszczenie. Pustynia rozbłysła na czerwono i pomarańczowo. Ogniste jęzory przeleciały z sykiem przed oknami mostka i osmały szyby, ciągnąc za sobą kłęby fosforowego dymu. Lecz Ząb otrząsnął się z tego ataku, jakby to był zwykły letni deszczyk.

Łup, trzask, sss...

Dwieście jardów przed nimi z nieba spadł drugi ognisty prysznic.

--Nie trafili -- stwierdził szaman.

--Nie. -- Ale Devon wiedział, co się zaraz stanie.

Martwe Piaski nagle buchnęły płomieniami. Wokół maszyny rozlało się jezioro ognia sięgające na ćwierć mili po obu jej stronach.

--Ziemia płonie! -- krzyknął Bataba. -- Objedź ją! Objedź! -- Rzucił się do tablicy sterowniczej.

Devon odtrącił go łokciem i utrzymał kurs prosto w płomienie.

--Uspokój się -- powiedział bez cienia emocji. -- Oni chcą, żebyśmy się tutaj zawahali i skręcili w bok. Wtedy Spine spróbują wejść na pokład.

Bataba zbladł. Pot wystąpił na jego poradzone czoło, spłynął po tatuażach. Bataba dotknął pustego oczodołu, jakby to była świeża rana.

--Boisz się ognia, szamanie?! -- rzucił Devon, przekrzykując loskot gąsienic i huk płomieni.

--Usmażymy się żywcem!

--Tylko jeśli się zatrzymamy.

Ząb wjechał w piekło. Za oknami mostka kłębił się gęsty dym, żar buchał w górę spiralnymi strumieniami. Nagle z głośnym trzaskiem pękła jedna z szyb.

--To szaleństwo! -- syknął Bataba.

--Uspokój się!

Przez pęknięte okno wlewał się dym i unosił pod sufit. Szaman ukucnął obok Devona i oddychał przez chustę. Łzy płynęły z jego zdrowego oka. Doradcy Heshette wycofali się, kaszląc, na tył mostka.

--Załatajcie szparę! -- wrzasnął Devon. -- Jeśli teraz zrzucą gaz...

Bataba przekazał rozkaz gońcowi czekającemu przy drzwiach. Chwilę później zjawił się inny Heshette z tubką gęstego, szarego kleju z kości, kuląc się przed żarem, przystąpił do uszczelniania okna.

Ząb parł do przodu, jeszcze głębiej w płomienie.

Temperatura na mostku wzrosła. Devon zaczął się pocić, drażek zrobił się śliski w jego dłoni. Truciciel zwymiotował, wytarł usta rękawem. Ludzie na korytarzach przekazywali sobie krzykiem rozkazy. Po załataciu pęknięcia tubylec wycofał się chwiejnie, powiedział coś szybko do szamana i zniknął.

--Spine wylądowali na dachu -- oznajmił Bataba. -- Próbowali zejść tylnymi schodami, ale zostali odparci.

Coś głośno zastukało w kadłub.

--Bełty! -- wrzasnął ktoś za drzwiami.

Stalowe groty zabębniły o przednią kratę jak grad. Kolejne eksplozje wstrząsnęły mostkiem, kiedy statki wojenne wznowiły bombardowanie.

Łup, trzask, sss...

Dym całkiem zasnął Martwe Piaski. Języki ognia lizwały osmalone szkło. Żar stał się nie do zniesienia. Trujące powietrze dusiło. Devon otworzył do końca przepustnicę, żeby wycisnąć resztki mocy z ciężko pracujących silników Zęba.

Bataba klęczał i z trudem łapał oddech.

--Palimy się -- wykrztusił.

--Pali się smoła, którą zrzucili na kadłub -- odparł Devon. -- Wkrótce zgaśnie. Ale szaman miał obłęd w oczach.

--Musimy zawrócić! -- krzyknął. -- Spróbuj innej drogi.

--Nie -- odparł spokojnie Truciciel. -- Nie zatrzymamy się. Prawie się przedarliśmy.

--Zawróć!

--Opanuj się i patrz!

Przez prześwit w dymie zobaczyli maszerującą armię Deepgate. Las włóczy. Zbroje i

tarcze płynęły ku nim jak fala roztopionego metalu. Poczerniały szkielety machin obłączniczych i katapult rysowały się na tle smogu oświetlonego przez płomienie. Obsługa mangoneli zapalała ładunki i naciągała wielkie ciężkiy skorpionów. Z boków nadciągali jeźdźcy, strzelając z kusz. Bełty odbijały się z brzękiem od siatki ochronnej.

W końcu Ząb wyjechał z jeziora ognia na chłodny, ciemny piasek. Bębny zaczęły wybijać powolny, stały rytm.

Bum. Bum. Bum.

Zabrzmiała trąbka sygnałowa. Skorpiony wypuściły ładunki. Jedno uderzenie serca później w kadłub trafiły żelazne groty. Devon poczuł, że dźwignia drży w jego dłoni.

--Goniec! -- wrzasnął Bataba.

--Dostali się od wschodniej strony -- odpowiedział mu rozgorączkowany głos. --

Właz jest oderwany.

--Naprawcie go!

--Nie dotykać beltów! -- ostrzegł Devon, przekrzykując hałas. -- Jeśli się nie palą, są nasączone trucizną.

Szaman wydał rozkaz, ale druga kanonada ze skorpionów zagłuszyła potwierdzenie, że został przyjęty. Bębny dudniły. Coraz głośniejszy i szybciej.

Smola na kadłubie prawie się wypaliła. Przez osmalone szyby Devon widział rozkołysane morze zbroi, spiczastych hełmów, lśniących mieczy i tarcz. Włócznie falowały aż po horyzont. Złoto-czarne chorągwie łomotały na wietrze. Statki wojenne oświetlały niebo błyskami eterowego światła.

Bum. Bum. Bum.

Na głos trąbki ramiona baterii mangoneli poszły z hukiem w górę. Płonące beczki i wielkie gliniane naczynia poszybowały łukiem, ciągnąc za sobą dym i ogniste ogony. Powietrze wypełnił dźwięk podobny do westchnienia. Devon dostrzegł kątem oka, że Bataba się cofa.

--Złap się czegoś -- poradził.

Nie odwrócił się, żeby sprawdzić, czy szaman go posłuchał. Przed nimi nagle eksplodowała smola i fosfor. Przednie okna zasnęła biała chmura. Mostek zadrżał.

Devon poczuł, że silniki się dławią. Lekko cofnął dźwignię przepustnicy, a następnie pchnął ją mocno do przodu. Bataba rzucił mu groźne spojrzenie. Truciciel odwzajemnił je ze znużeniem. Ząb zadygotał, szarpnął do przodu, a potem płynnie ruszył dalej. Jednak coś było nie tak. Silniki pracowały nierówno, ich dźwięk wydawał się lekko zgrzytliwy.

Zespoły inżynierów ponownie załadowały skorpiony i mangonele, ustawiły celowniki i kapiącymi żagwiami podpaliły ciężkie beczki. Na tle płonącego horyzontu było widać czarne sylwetki postaci stłoczonych na wzniesieniu przed miastem. Łucznicy ustawieni w szeregach za maszerującą piechotą zanurzyli groty w korytach z płonąca smolą i wypuścili ogniste strzały. Niezliczone żółte punkty przecięły łukami niebo i spadły z przeciągłym wizgiem na kadłub Zęba.

Silniki znowu stanęły na krótką chwilę i podjęły pracę, ale z wyraźnie mniejszą mocą.

--Co się dzieje? -- zapytał Bataba.

--Silniki się przegrzały.

--Możesz je naprawić?

--Nie ma czasu.

Trzask. Skorpiony ponownie wyrzuciły swój ładunek i chwilę później na potężną maszynę spadły ciężkie pociski. *Trzask. Trzask. Trzask.* Devon wzdrygał się przy każdym uderzeniu. Z korytarzy dobiegły wrzaski paniki i krzyki agonii. Heshette jednak dotknęli zatrutych, żłobkowanych beltów.

--Mówilem, żeby trzymali się od nich z daleka -- warknął Devon.

--Przedarli się do środka. Korytarze są zablokowane!

--Więc ich wyrzucicie! Ssss.

Nadleciała druga chmura ognistych strzał i spadła na Ząb jak gwiazdny prysznic. Potem łucznicy wycofali się i rozdzielili, kierując na wschód i na zachód. Ich miejsce zajęła piechota. Żołnierze pchali maszyny oblężnicze. Po bokach galopowała ciężka kawaleria. Z obu stron nadleciał grad beltów. Devon już słyszał chrzęst podkutych butów i łoskot potężnych kół.

--Jesteśmy w zasięgu balist -- powiedział. -- Teraz wkroczą piesze oddziały. *Bum. Bum. Bum.* Bębny przyspieszyły rytm.

--Łucznicy na dachu! -- krzyknął Bataba. -- Przygotować się do odparcia ataku. Ząb szarpnął, zanurkował do przodu, jęknął i zwolnił.

--Rowy -- rzucił Devon.

Otworzył przepustnicę do końca. Silniki zawyły. Belty i strzały roztrzaskały się o przednią kratę. Ząb odchylił się do tyłu, a potem zakolysał na boki. Na nadciągającą piechotę posypały się tumany piasku.

Maszyna zaczęła się wspinać na strome zbocze, bębny wojenne dudniły niczym serce miasta.

Fala tarcz i włóczy rozbiła się na Zębie, który właśnie wydostał się z rowu. Ze wszystkich stron nadleciały haki. Devon pchnął kikutem dźwignię. Ramiona tnące opuściły się z wściekłym sykiem.

--Skosimy ich, tak jak chciałeś.

--Dla Ayen! -- wykrzyknął szaman.

Devon uśmiechnął się szeroko i uruchomił tarcze. Silniki zakaszlały, raz, drugi, i umilkły. Ząb zatrzymał się raptownie.

Na mostku nagle zapadła cisza, jakby wszyscy w Zębie i armia na zewnątrz zamarli w bezruchu i wstrzymali oddech. Devon odwrócił do Bataby pobladłą twarz.

--Wał napędowy -- powiedział. -- Wyślij ludzi na dół, żeby go naprawili, bo inaczej zginieemy.

--Jak szybko można go naprawić?

--Nie dość szybko. -- Devon wstał z krzesła. -- Przyrowadź kapłana.

W tym momencie armia Deepgate ruszyła do ataku.

Carnival cofnęła się mimo woli, a jej ręka powędrowała do blizny na szyi, jakby ciągnęły ją tam mroczne wspomnienia.

--Mam to zabić? -- spytała szeptem.

--Ktoś już to zrobił -- powiedziała Rachel. -- Dawno temu. Było niewiarygodne, że ta istota w ogóle chodzi.

Anioł stał przechylony pod dziwnym kątem, oparty na jednej nodze, Z drugiej został kikut niemal zupełnie pozbawiony ciała. U lewej ręki potwór miał trzy palce, u prawej jeden.

Wnętrznosci zwisaly mu z brzucha tam, gdzie pekly kawalki stwardnialej skory. Zolte oczy byly pozbawione powiek i wybaluszone, co nadawalo stworowi niemal komiczny wyglad. W miejscu nosa ziala dziura. W skrzydlach nie zachowalo sie ani jedno pioro.

Byla to najbardziej zalosna i paskudna istota, jaką Rachel w zyciu widziala, ale odnosila dziwne wrazenie, ze Carnival sie jej boi.

„Mam to zabic?”. Zupelnie, jakby pytala o zgode, a czy anielica kiedykolwiek o cos prosila?

--Wywiadczylabym mu przysluge. -- Glos Carnival drzal.

--Nie -- uciela Rachel.

Martwy aniol obserwowal Carnival przez chwile, a potem nagle skinal glową, wyciagnal zaciśnietą piec i zabelkotal:

--Shing! Carnival drgnela.

--Shing!

--Nie rozumiemy -- powiedziala Rachel.

Pan Nettle cofnal sie o kilka krokow i czujnie obserwowal martwego aniola. Najwyrazniej doszedl do wniosku, ze to nie Abigail.

--Shing! -- Stwor znowu machnal zaciśnietą ręką w strone Carnival.

--On próbuje ci cos dac -- stwierdzila asasynka.

--Shing!

Carnival wysunela dlon, a martwy aniol cos do niej wlozyl.

--Co to jest? -- spytala Rachel.

Anielica uniosla brzydki kosciany pierścien. Potwór uniosl brode.

--Shing -- powtorzyl i rozciagnal wargi w grymasie, który mógł byc usmiechem.

Nastepnie odwrócił sie i zaczął gramolic z powrotem przez drzwi.

--Nadal chcesz go zabic? -- zapytala Rachel.

Carnival pobladla. Przez chwile wygladala na zagubiona, zdeorientowana. Potem spochmurniala i ku przerazeniu asasynki w jej oczach znowu pojawil sie glód.

--A dlaczego nie, do diabla? -- Ruszyla za aniolem.

Rachel chciala ja powstrzymac, ale sie zawahala. Wczesniej zauwazyla, ze Carnival wsunela pierścienek na palec.

--Chodzmy -- syknela do pana Nettle.

Wilgotny korytarz wykuty w czerwonej skale opadal tuz za drzwiami, a kawalek dalej ponownie sie wznosil. Martwy aniol zatrzymal sie w najnizszym miejscu i skinal na nich.

--Ugh -- wymamrotal. -- Ussis. -- Potem odwrócił sie i pokuslykal przed siebie.

--Czy ja dobrze uslyszalam? -- Rachel zmarszczyla brwi.

Carnival nic nie odpowiedziala, tylko z mrocznym wyrazem twarzy patrzyla za stworem.

--Proponuje skierowac sie w inna strone -- rzucila asasynka.

Anielka nagle zacisnela pieści i poruszyla zwichnietym ramieniem.

Kosci chrupnely, przekrzywione skrzydlo sie wyprostowalo. Carnival steknela i ruszyla za Shingiem.

Rachel pobiegla za nia, klnac cicho. Z tylu poskrzypywala kula pana Nettle.

Tluszc kapiacy z lamp olejnych wiszacych na scianach tworzil metne sadzawki i zastygle pagorki. Rachel omijala je, ale lancuch laczacy ja z Carnival wkrótce stal sie mokry i lśniacy.

Biegnać, asasynka wciąż odruchowo sięgała do pustej pochwy na miecz. Czas uciekał.

Czerwony korytarz kończył się ciężkimi drzwiami. Shing zatrzymał się, pokiwał głową z kolejnym upiornym uśmiechem i szarpnął za klamkę. Rozległ się ssący dźwięk i ze środka wionęło chłodnym powietrzem.

Z góry z hukiem spadały kurtyny białej wody, tworząc wysoki, mglisty korytarz bez podłogi i sufitu. Okazało się, że stoją na półce wysoko na ścianie ogromnej jaskini. A może na skraju innej przepaści? Starożytny most łańcuchowy biegł zygzakiem między wodospadami i zniknął trzydzieści jardów dalej, gdzie przez mgłę przeświecało słabe czerwone światło. Najbliższe przęsła mostu wyglądały na słabe, te dalsze sprawiały wrażenie delikatnych jak koronka. W dole Rachel widziała tylko spienioną wodę.

Jeśli to piekło, to co znajduje się niżej?

--Ugh -- wybelkotał Shing i bez wahania ruszył przed siebie. Poruszali się ostrożnie. Most był zdradliwie śliski. Przegnile belki skrzypiały i kruszyły się pod nogami. W dół sypały się drzazgi i większe kawałki drewna. Łańcuchy parowały i ociekały wodą. Skórzana zbroja Rachel wkrótce cała nasiąkła wilgocią. Czerwone światło jaśniało coraz mocniej. Potop się zmniejszał, najpierw do strug, potem strumyczków przypominających srebrne liny i wreszcie do kropel. W końcu mgła się rozstała, a oni stanęli przed siedzibą Ulcisa.

Żelazny pałac wisiał w powietrzu bez żadnych widocznych podpór i jarzył się w ciemności jak gniewne czerwone słońce. Stanowił jedną wielką płataninę chodników, schodów, balkonów i platform połączonych łańcuchami. W środku płonęły ogromne lampy olejne. Choć pozbawiony ścian, zamek Ulcisa był więzieniem. W klatkach wkomponowanych w budowlę albo zawieszonych na łańcuchach i hakach na wszystkich: poziomach znajdowali się ludzie.

Zbieracz Dusz siedział rozparty na wielkim tronie pośrodku pałacu i obserwował nadchodzących intruzów.

--Ugh -- powiedział Shing.

--To znaczy „bóg” -- zagrzemiał w otchłani głos Ulcisa. -- Jego struny głosowe zgniły wieki temu. -- Mówił z wyraźną nutą żalu. -- Razem ze skrzydłami i umysłem. Składam ich wszystkich, jak się da, ale co można zrobić, kiedy ciało roi się od robaków? Ten jest bez wątpienia najgorszy. Nigdy nie zależało mu na przetrwaniu.

Rachel, Carnival i pan Nettle zeszli z mostu i wkroczyli do łańcuchowego pałacu. Boży tron stał pośrodku szerokiej platformy otoczonej przez liczne wiszące klatki. Podłogę wokół niego zaścierał dywan z kości. Rachel dyskretnie odpięła skórzane paski wokół dwóch beltów: zapalającego i trującego. W górze skrzypiały pręty, zimne, głodne oczy śledziły każdy ich krok.

--Są poruszeni -- wyjaśnił Ulcis. -- Czują mięso.

--Ugh -- wymamrotał Shing.

Ulcis schylił się po kość i rzucił ją Shingowi. Nie trafił. Smakowity kąsek odbił się od platformy i zsunął między łańcuchami w ciemność. Shing skoczył za nim, ale zatrzymał się na skraju przepaści, zgarbiony.

--Ugh?

--Pewnego dnia jego instynkt przeżycia zawiedzie, a ja pozbędę się go na dobre - powiedział Ulcis. -- Istoty mieszkające pod pałacem szybko rozerwą go na strzępy.

--Inni niewolnicy? -- zapytała Rachel.

--W dole znajdują się bramy Irilu -- odparł bóg.

--A co to właściwie jest Iril? Ulcis się uśmiechnął.

--Chciałabyś wiedzieć?

--Ugh?

--Odejdź!

Stwór zawahał się, a potem uklonił niezdarnie i zawrócił na most. Bóg łańcuchów zmierzył wzrokiem kuszę pana Nettle.

--Przypuszczam, że to człowiek. Albo przynajmniej do tego aspiruje. -- Jego głos brzmiał jak loskot kruszących się skał. -- Wciąż tutaj schodzą z góry, z neodpartej potrzeby, żeby stanąć przed bogiem. Widziałem już wszystko: wielkie balony, maszyny latające z żaglami, statecznikami albo śmigłami. Był człowiek przywiązany łańcuchami do setek wróbli, gubiących po drodze pióra. -- Ulcis machnął ręką z lekceważeniem. -- Musiałem potem naprawiać tron.

--To jest pan Nettle -- powiedziała Rachel. -- I nie przyszedł tu po to, żeby przed kimś klękać. Szuka córki.

--Widziałeś ją? -- zapytała Carnival.

Twarz boga stężała z wściekłości.

--Jesteś głodna, córko? -- Odchylił się na oparcie i rozciągnął usta w wilgotnym uśmiechu. -- Ilu do tej pory zamordowałaś? A może wszystkich zapomniałaś?

Pamiętasz swoją ostatnią bliznę? Nie? Ale teraz przynajmniej odzyskałaś pamięć o pierwszej.

--Zapamiętam następną.

Rachel zacisnęła dłoń na jej ramieniu. Łańcuch.

Nie zapominaj, że jesteśmy związane ze sobą.

Carnival patrzyła poza tron Ulcisa. W ciemności coś się poruszało. Wśród łańcuchów nadchodziły inne anioły: najpierw garstka, potem dziesiątki. Były w różnych stadiach rozkładu, ale żaden nie wyglądał tak paskudnie jak Shing. Wystrzępione skrzydła koloru kurzu. Na szarych muskularnych torsach resztki zbroi ze skorodowanej stali albo kościane napierśniki, w rękach zakrzywione miecze, włócznie, maczugi i proste kości.

--Moi porucznicy -- przedstawił ich Ulcis. -- Pamiętają cię, córko. Kiedyś byłaś taka ładna. -- Mówił znaczącym tonem. -- Pióra i wstążki we włosach, taka ładna. Wszyscy cię pamiętają.

Archonci Ulcisa patrzyli na Carnival tak szyderczo i zarazem lubieżnie, że asasynekę zalała fala rozpacz, niemal paniki. Widziała już takie spojrzenia, w oczach żołnierzy, po tym jak oczyszczono Hollowhill z wojowników Heshette. Rachel pobiła czterech mężczyzn do nieprzytomności, kiedy zobaczyła, co zrobili. Tłukła ich tak długo, aż ich twarze zamieniły się w miazgę. Odciągnęli ją dopiero Spine, wrzeszczącą.

Mocniej ścisnęła ramię Carnival. Mięśnie anielicy napięły się jak stal, pięści zacisnęły, kostki zbieleły. Blizna na szyi pulsowała przy każdym szybkim oddechu. Rachel chciała krzyknąć do boga: „Nie! Nie zmuszaj jej, żeby sobie przypomniała!”.

--Co mi zrobiłeś? -- zapytała spokojnie Carnival.

Bóg dźwignął ogromne cielsko z tronu i rozłożył wielkie skrzydła.

--Mam ci zwrócić wspomnienia, córko? Kiedy z tobą skończyli, z twojej duszy nie zostało nic.

Rachel wiedziała, że to kłamstwo. Ulcis próbował zniszczyć duszę córki, ludzkie uczucia, których tak nienawidził. Nie udało mu się. Carnival pogrzebała tę część siebie głębiej niż w otchłani. Odziedziczyła głód ojca i jego wściekłość, ale zachowała też naturę matki.

Carnival zsunęła z palca pierścień od Shinga i upuściła go na ziemię. Na widok tego drobnego gestu Rachel ścisnęło się serce.

--Przynieście strzykawkę -- rozkazał Ulcis.

Na te słowa zbliżył się do niego anioł o wroście siedmiu stóp. Na jego twarzy, w miejscach gdzie otworzyły się wojenne rany, lśniła naga kość. Przez dziury w zbroi sterczały żebra. Rachel przyjrzała się mieczowi i bambusowej rurce, które miał u pasa. Zmarszczyła brwi. Ten drań nosił jej broń. Archont podał Ulcisowi strzykawkę wraz z uciętą ręką Devona.

--Po to przyszedłeś? -- zapytał bóg. Gdy dłoń drgnęła i mocniej zacisnęła się na szklanym pojemniku, przyjrzał się jej bez zbytniego zainteresowania.

--Jest moja -- syknęła Carnival, przykucnąwszy. Blizny na jej twarzy się ściągnęły.

Rachel obejrzała się, słysząc za sobą skrzypienie kościanej kuli. Zobaczyła, że pan Nettle, który dopiero teraz do nich przykuśtykał, opuszcza kuszę i celuje w boga. Sieciarz patrzył głodnym wzrokiem na strzykawkę.

Cholera, a po co mu anielskie wino? I wtedy Rachel olśniło. Dusza jego córki. Chyba zrobi się niezłe zamieszanie.

Nikt się nie poruszył.

Destylat z dusz, który mógł przywrócić anielicę do życia, lśnił w strzykawce. Rachel teraz zrozumiała, dlaczego Carnival tak bardzo chciała ją odnaleźć. Czy eliksir w końcu wyleczyłby ją z głodu? Położył kres jej udreć? Wygładził blizny? Nie tylko na ciele, ale również na duszy?

Anielskie wino uratowało Devona przed pewną śmiercią.

I wtedy uświadomiła sobie, że nigdy nie pozwoli Carnival go zdobyć.

Ulcis wyszarpnął strzykawkę z martwych palców Truciciela i rzucił córce jego uciętą rękę.

--Możesz to zatrzymać. Prezent ode mnie.

Anielica się nie poruszyła. Dłoń wylądowała u jej stóp i natychmiast zaczęła uciekać jak wyrośnięty krab. Blizny Carnival zapłonęły czerwienią, oczy pociemniały.

Zazgrzytała stal. To martwe anioły dobiły mieczy.

Rachel usłyszała za plecami szczęknięcie.

Głowa Ulcisa odskoczyła do tyłu, gdy belt do polowania zagłębił się w jego prawej brwi.

Pan Nettle rzucił kuszę i ruszył do ataku.

Prowizoryczna kula się złamała, ale sieciarz sunął dalej jak taran i uderzył w boga z siłą, która mogłaby zburzyć dom. Tron poleciał do tyłu, Ulcis runął na ziemię pod ciężarem napastnika. Cała platforma zadrżała i się przechyliła, klatki zakolysały się na grzechoczących łańcuchach.

Bóg ryknął gniewnie.

Pan Nettle uderzył go głową w twarz.

Archonci ruszyli do ataku.

Carnival skoczyła.

Ale Rachel była gotowa. Chwyciła łańcuch przypięty do kostki i szarpnęła nim mocno.

Carnival, gwałtownie zatrzymana w pół skoku, runęła twarzą na ziemię.

Pan Nettle próbował jedną ręką wyrwać Ulcisowi strzykawkę, a jednocześnie okładał go

pięścią po twarzy, robiąc z niej krwawą miazgę. Najbliżej stojący archont uniósł miecz...

Rachel rzuciła belt zapalający.

Strzała trafiła go w czoło i eksplodowała. Anioł wrzasnął i w kuli ognia zatoczył się do tyłu na innych archontów.

Pan Nettle, w płonącej szacie, odtoczył się od Ulcisa i dźwignął na kolana, ściskając strzykawkę w potężnej pięści.

--Moja! -- Carnival zerwała się z ziemi, z twarzą wykrzywioną bólem i wściekłością.

Rzuciła się na sieciarza i łokciem wymierzyła mu miazdzący cios w czaszkę.

Pan Nettle tylko chrząknął, potrząsnął głową i z furją skoczył na anielicę. Jedną ręką otoczył jej szyję, drugą plecy. Schwytana w niedźwiedzi uścisk Carnival wyrwała mu strzykawkę, ale tak niezręcznie, że wypuściła ją z palców.

Szklana tubka z anielskim winem upadła na ziemię i potoczyła się pod nogi Rachel. Asasyńska schyliła się i w tym samym momencie nad jej głową świsnęła stal. Porucznicy Ulcisa otoczyli intruzów, a wysoki archont z wojennymi bliznami na twarzy zamierzył się na nią jej własnym mieczem. Drań.

--Oddaj to, suko! -- wrzasnęła Carnival, wrywając się sieciarzowi. -- To należy do mnie!

Pan Nettle, w nadal tłącym się ubraniu, rzucił się ku Rachel.

Asasyńska zrobiła krok w bok i wystawiła nogę. Podcięty sieciarz poleciał prosto na archonta, który ją zaatakował. Obaj z impetem runęli na ziemię. Zbroja i żebra anioła omal nie pękły pod ciężarem wielkoluda, ale mimo to porucznik Ulcisa próbował zamachnąć się mieczem.

Jej mieczem.

Rachel wyrwała mu go z ręki, potem bambusową rurkę z za pasa i puściła się biegiem w stronę Carnival.

--Rusz się! Łańcuch! Nadal jesteście związane.

Ale twarz anielicy była maską wściekłości, czarne oczy płonęły nienasyconym głodem.

Cholera, nie teraz.

Rachel skręciła ostro, ledwo omijając wyciągnięte ręce Carnival. Uderzyła ją pięścią w szyję, a potem w ramię. Anielka upadła na ziemię, sycząc i plując jak dzika kocica.

Za jasno dla ciebie?

--Wstawaj! -- krzyknęła Rachel. -- Łańcuch.

Kątem oka dostrzegła błysk klingi i obróciła się błyskawicznie. Ostrze przecięło powietrze zaledwie cal od jej brzucha. Drugi napastnik mierzył prosto w jej twarz. Rachel podbiła wierzchem dłoni płaz miecza przeciwnika, a swój wraziła w pachę archonta. Szarpnięciem wyrwała broń i szerokim zamachem w dół sparowała sztych pierwszego anioła. Zadzźwięczała stal. Rachel wykonała obrót i kopnęła przeciwnika w szczękę. Cios powinien złamać mu kark. Ale on tylko się uśmiechnął i znowu ją zaatakował.

Cholera!

Za nim nadchodzili pozostali.

Rachel chwyciła Carnival za włosy i zaczęła biec. Gdy się obejrzała, zobaczyła, że Ulcisa wstaje i wrywa belt z brwi. Z rany i ze złamanego nosa boga trysnęła krew. Pan Nettle nadal toczył walkę wręcz z archontem z bliznami. Wymierzył mu miazdzący cios w twarz, a przeciwnik dzielił go mocno w skroń i odrzucił od siebie. Sieciarz zwałił się na ziemię,

nieprzytomny albo martwy.

Carnival uwolniła się z furją od Rachel. Najwyraźniej zapomniała o kajdanach i atakujących archontach. Niepomna niczego, chciała jedyne rozerwać asasynekę na strzępy.

--Łańcuch!

--Oddaj mi strzykawkę!

Rachel prześliznęła się przez łańcuchy otaczające platformę i dotarła do mostu, nie wypuszczając z ręki anielskiego wina. Ludzie uwięzieni w klatkach wyli i grzechotali kratami. Cały pałac się zatrzęsł, kiedy Ulcis ryknął grzmiącym głosem:

--Zabić ich!

Gwałtowne szarpnięcie zatrzymało Rachel w pół kroku.

Carnival znalazła inną drogę ucieczki. Łączący je łańcuch oplótł się wokół innego, podtrzymującego pałac. Żadna nie mogła ruszyć do przodu. Carnival bezskutecznie próbowała dosięgnąć ją pazurami. Za nią zbliżali się archonci Ulcisa. Tłusty bóg osobiście przyłączył się do pościgu. Zamek drżał w rytm jego kroków. Klatki kołysały się i skrzypiały.

--Cofnij się! -- krzyknęła Rachel. -- Jesteśmy w pułapce.

Carnival dopiero teraz spojrzała na swoją kostkę zakutą w kajdany, a następnie powędrowała wzrokiem wzdłuż ogniw do miejsca, gdzie zaplątał się łańcuch.

--Teraz cię mam, dziwko.

--Zaraz nas obie zabiją.

--Najpierw wyrwę ci serce. Oddaj mi strzykawkę.

--Za tobą!

Carnival odwróciła się w chwili, gdy ogromny anioł z klapiącą szczęką zamiast dolnej połowy twarzy uniósł maczugę nad jej głowę. Płyty kościanej zbroi przemieściły się, kiedy wziął potężny zamach. Carnival zrobiła unik i cios trafił w łańcuch podtrzymujący pałac. Zdzielony pięścią anielicy porucznik Ulcisa poleciał do tyłu jak wystrzelony z katapuły, z ziejącą dziurą w miejscu, gdzie niedawno miał zęby. Jego towarzysze już pędzili na Carnival ze wszystkich stron.

Rachel zaklęła i skoczyła jej na pomoc.

Archonci otoczyli anielicę, kierując na nią włócznie, błyskając mieczami. Większość nich była dwa razy większa od niej, ale córka Ulcisa przewyższała ich szybkością. Jej blizny jarzyły się czerwienią, oczy połyskiwały czernią głębszą niż otchłań. Zaatakowała przeciwników uzbrojona tylko w pięści, zęby i wściekłość nagromadzoną podczas tysięcy Nocy Blizn.

I odparła pierwszy atak.

Archontowie Ulcisa zaczęli się cofać, bo w płataninie żelastwa nie mogli użyć broni.

--Teraz! -- krzyknęła Rachel, chowając miecz do pochwy na plecach.

Zasapana Carnival znieruchomiała na jedno uderzenie serca i rozejrzała się wyraźnie zdezorientowana. Dopiero po chwili zauważyła asasynekę i rzuciła się na nią, wrzeszcząc:

--Moja! Moja!

Rachel przebiegła obok huczącego wodospadu i pognąła do drzwi. Wypadła przez nie siłą rozpędu. Carnival następowała jej na pięty, plując i warcząc.

--Gonia nas, wściekła suko! -- krzyknęła Rachel. -- Zapomnij o strzykawce i ruszaj się!

Popędziły korytarzem wykutym w skale. Z obu stron odchodziły od niego mroczne tunele.

Który wybrać?

Rachel nie miała czasu się zatrzymać i pomyśleć. Słyszała za plecami oddech Carnival, a trochę dalej szczęk zbroi poruczników Ulcisa. Biegła przed siebie, zdając się na ślepy los. W dłoni ścisnęła strzykawkę jak ukradziony klejnot.

Już wiedziała, co musi z nią zrobić.

Nagle stwierdziła, że są z powrotem w jaskini, w której spotkali Shinga. Wokół niej bulgotały kotły, tuż przed sobą zobaczyła rzeźnicki blok. Nie zdążyła wyhamować, więc go przeskoczyła. Uderzyła gołenią o kant i upadła.

--Moja! -- Carnival rzuciła się na nią z krzykiem. Rachel wbiła jej piętę w szyję, posyłając anielicę na pierwszego z archontów Ulcisa, który wpadł do pomieszczenia.

--Wstawaj! -- Szarpnęła za łańcuch, przyciągając ją do siebie. Porucznik poruszył skrzydłami i cisnął włócznią. Pocisk trafił tam, gdzie przed chwilą leżała Carnival.

Obie zerwały się i pobięły dalej.

W ciemność.

Rachel nadal miała u pasa lampę razem z trującym bełtem i bambusową rurką, ale nie mogła jej zapalić, nie zwalniając. Zresztą nie była pewna, czy zostało w niej choć trochę oleju. Nic nie widziała, ale pędziła przed siebie z wyciągniętymi rękami, ślizgając się na mokrej skale. Zza jej pleców dobiegł głos Carnival:

--Jest ciemno, Spine.

Nie zatrzymując się, asasynka mocno zacisnęła powieki i się skoncentrowała. Po chwili prądy powietrza przyniosły różne dźwięki i wonie: stuk noży, huk młotów w kuźniach, brzęk stali, zapach zimnej wody, gliny, minerałów. Rachel skoncentrowała się jeszcze bardziej i przesiała je, szukając tego, o który jej chodziło.

Jest!

Odór rozkładu.

Zebrała resztki sił i pobiegła jeszcze szybciej. Jej płuca płonęły, mięśnie drżały z wysiłku. Znajomy zapach stawał się coraz intensywniejszy, wskazywał jej drogę do celu. W końcu prawą ręką namacała żelazne kraty. Wpadła do celi.

--Nie! -- krzyknęła Carnival.

Nagle szarpnięcie ścięło ją z nóg. Asasynka upadła ciężko na ziemię. Na chwilę zaparło jej dech, ale ruszyła na czworakach do przodu, wlokąc przeklęty łańcuch.

Za sobą usłyszała odgłosy walki, szczęk broni. Archontowie Ulcisa dopadli Carnival, a ona nie była z tego zadowolona, sądząc po reakcji.

Rachel wpełzła głębiej do celi, po omacku przeszukując podłogę.

Pióra.

Kamień.

Metal?

Kolczuga Dilla była zimna i cienka, jego skóra śliska jak wosk.

Złap mnie.

Rachel wbiła strzykawkę w pierś anioła, wcisnęła tłok do oporu... i wyczerpana opadła na ziemię.

--On nie żyje! -- zawyła Carnival. -- Jest martwy, ty głupia dziwko. Nie możesz go uratować!

Blask pochodni zalał celę, kiedy archontowie Ulcisa stanęli przy kracie.

--On nie żyje! -- zawodziła anielica. -- Nie żyje!

Podbiegła i uniosła nadgarstek Dilla do ust. Wgryzła się głęboko, possała chwilę i odrzuciła jego rękę.

--Widzisz, co zrobiłaś -- osunęła się na kolana -- ty głupia, samolubna... -- Nie mogła znaleźć słów na wyrażenie frustracji.

Rachel z trudem łapała oddech, ręce miała ciężkie i puste. Odwróciła się w stronę archontów zebranych pod celą. Nagle między nimi powstało zamieszanie. Wszyscy cofnęli się od krat. Przybył ich pan.

Krew ciekła po posiniaczonej twarzy boga. Jego potężna pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym oddechu.

--Naprawdę mnie wkurzyłaś, moje dziecko -- zagrzmiał.

Rachel popatrzyła na zwały cielska, na wielkie brzuszysko, na obwisłe podbródki. Jego oczy płonęły jak węgle. W jednej ręce trzymał ogromny żelazny miecz, porysowany i wyszczerbiony od długiego używania. Asasynka miała ochotę się roześmiać.

Nagle ktoś za nią zakasłał. Rachel oderwała wzrok od paskudnego boga i przeniosła go na Carnival. Widząc zaskoczenie na twarzy anielicy, podążyła za jej spojrzeniem.

Dill siadał.

ROZDZIAŁ 31 NA KRAWĘDZI

Devon z hukiem otworzył drzwi celi.

--Wstawaj -- powiedział.

Sypes drgnął. Nie poruszył się od czasu, kiedy Truciciel go ostatnio widział. Leżał na podłodze nagi i drżący.

--Włóż to. -- Devon rzucił prezbiterowi sutannę. Kapłan nawet nie próbował się podnieść. Truciciel posadził go i wcisnął mu szatę w ręce.

--Ubierz się. Musisz być rozpoznawalny.

Nie mając laski, Sypes musiał oprzeć się o ścianę. Jego chude ręce i nogi dygotały, kiedy nałożył sutannę na ramiona i pozwolił jej opaść do stóp.

--No, teraz wyglądasz prawie jak człowiek -- stwierdził z zadowoleniem Devon.

Ale to było kłamstwo. W starym kapłanie nie zostało nic ludzkiego. Przypominał bardziej trupa niż żywego człowieka: sama skóra i kości, ciało pokryte fioletowymi i żółtymi siniakami. Obszerna sutanna jakby ciągnęła jego zgarbioną postać jeszcze bardziej do ziemi. Szare powieki opadały na zalazwione oczy, które unikały spojrzenia Devona.

Truciciel musiał mu pomóc wyjść z celi. Prawie zaniósł starca zejściówką przy kwaterach załogi i dalej w głąb Zęba. Sypes drżał i kaszlał, kolana się pod nim uginały mimo pomocy Devona. Ważył tyle co nic.

Zanim dotarli do korytarza prowadzącego do zewnętrznych luków, prezbiter zaczął tracić świadomość. Truciciel musiał nim potrząsać, kiedy wyczuwał, że kapłan zaraz zemdleje.

--Jeszcze tylko kilka kroków, starcze. Prawie jesteśmy na miejscu. Sypes wymamrotał coś niezrozumiale, machając rękami, jakby odprawiał niewidocznych służących.

W gorącym, ciasnym korytarzu tłoczyli się łucznicy Heshette. Wypuszczali strzały przez rozdarcia w kadłubie pozostawione przez kanonadę skorpionów. Ząbkowane drzewca zostały wyrwane i odciągnięte na bok, żeby zrobić miejsce strzelcom. Stosy pocisków leżały teraz pod wewnętrzną ścianą, a ich zatrute kolce były zakryte dywanami i ciężkimi kocami. Na zewnątrz bębny wojenne wybijały stałą pieśń żalobną pośród brzęku stali, okrzyków bojowych i wrzasków atakującej armii.

--Tam... -- Devon powlókł Sypesa kilka ostatnich kroków.

Właz został wyrwany, a przez ziejącą dziurę wpadał do środka dym z palącej się smoły. Po obu jego stronach kucali dwaj łucznicy i na zmianę wypuszczali ogniste strzały. Na zewnątrz drewno buchało płomieniami, trzaskało, gwizdało. Bełty leciały ze świstem i zawodzeniem, z gardel trafionych wyrwał się krzyk. Wielkie drewniane koła turkotały, buty tupwały, podkowy grzmiały. Pośród tego hałasu bębny bez końca wybijały bitewny rytm. Przy otworze czekał na nich Bataba. Połowę jego wytatuowanej twarzy oświetlał ogień.

--Większość drabinek została odrzucona -- powiedział. -- Ale wieże oblężnicze przemieszczają się na stanowiska, a my nie mamy więcej smoły. Nie damy rady dłużej ich powstrzymać, więc to twoja ostatnia szansa, Trucicielu.

Devon wyjrzał na zewnątrz i gwałtownie cofnął głowę, kiedy w ścianę tuż obok niego trafiła strzała i rozbila ją w drzazgi. Po niej nadleciały kolejne dwie. Truciciel zmarszczył brwi, chwycił Sypesa za sutannę i wystawił go na widok przez otwarty właz. Blask ognia na krótką chwilę oblał kapłana, zanim Devon pchnął go na bok. Przez otwór wpadła kolejna strzała i

świsnęła obok ucha starca. Prezbiter nawet jej nie zauważył. Wymamrotał coś o kamieniarzach.

Devon odczekał chwilę i znowu przyciągnął Sypesa do otworu jak marionetkę. Tym razem nie było żadnych strzał.

Z zewnątrz dobiegł chór okrzyków:

--Przerwać ogień! Przerwać ogień!

Bataba jak echo powtórzył rozkaz swoim lucznikom. Odgłosy bitwy ucichły. Bębny przestały bić.

Devon schował się za kapłana i wyjrzał ponad jego ramieniem.

Połowa kadłuba Zęba stała w ogniu. Rzeka lśniących zbroi i płomienie wyglądały, jakby ciągnęły się aż po horyzont. Znad tarcz wystawały helmy. Pole bitwy zaścielały trupy naszpikowane strzałami. W górę buchały skłębione słupy dymu z palącej się smoły. Na tle krwawego nieba rysowały się cztery nietknięte wieże obelżnicze. Dwie

kolejne stały bliżej, ale płonęły. Z ich osmalonych szkieletów unosiły się snopy iskier niczym maleńkie fruujące dusze.

Nagle zabrzmiały trąby i za masami piechoty zaczęły się przegrupowywać rozproszone oddziały kawalerii. Trzej jeźdźcy oderwali się od najbliższej jednostki i popędzili konie. Zwarte szeregi rozstały się przed nimi.

Devon rzucił do Bataby:

--Powiedz swoim ludziom, żeby nie napinali cięiw. Jeśli zastrzelą tych ludzi, to będzie koniec. Potrzebujemy czasu.

Truciciel rozpoznał insygnia na napierśniku najbliższego z jeźdźców. To był Gullan, sierżant miejskiej gwardii regularnych. Wysoki mężczyzna o szerokich barach jechał na ognistym rumaku, który kłapał szczękami na pieszych żołnierzy, jeśli za bardzo się zbliżyli. Devon przypuszczał, że pozostali dwaj emisariusze reprezentują piechotę rezerwistów i kawalerię. Żołnierz po lewej stronie Gullana nosił powgniataną zbroję płytową spiczasty hełm z osłonami na policzki. W prawej ręce dzierżył krótki miecz, a do lewego ramienia miał przytroczony drewniany puklerz. Mężczyzna po prawej nosił kolczugę na gotowanych skórkach, a na lęku jego siodła spoczywała lekka kusza. Gullan jadący między nimi nie zwracał uwagi na kaprysy wierzchowca. Wzrok miał utkwiony w Trucicielu.

--Mam propozycję dla Claya! -- krzyknął Devon.

Od strony najbliższych stojących żołnierzy dobiegły wściekle okrzyki szyderstwa. Gullan uniósł rękę i hałas ucichł.

--Wysłucham jej -- powiedział.

--Będę rozmawiał tylko z Clayem, a nie z jego giermkim -- oświadczył truciciel.

--Mam zgodę kapitana Claya na prowadzenie rokowań.

--Czy twój dowódca boi się przyjść do mnie osobiście?

Na tę uwagę uniosły się dziesiątki kusz. Devon pchnął prezbitera do przodu, tak że starzec wychylił się niebezpiecznie poza kadłub.

--Zaczekaj. -- Gullan dał żołnierzom znak, żeby opuścili broń. -- Zaprowadzę cię do niego, Trucicielu.

--Może. Wycofaj armię, to się zastanowię.

Jego żądanie wywołało oburzenie wśród najbliższych szeregów piechoty. Miecze zabębniły

o tarcze.

--Mów, co masz do powiedzenia, Devon -- rzucił Gullan.

--Nie chodzi o deklaracje, tylko o wzajemne korzyści. Po co miałbym zatrzymać maszynę na skraju Deepgate?

--Ząb Boga jest skończony -- stwierdził sierżant. -- Teraz może stać się jedynie twoim grobem.

--Mam włączyć silniki? Ilu jeszcze waszych ludzi mam zmiażdżyć, zanim wysłuchacie mnie na równych warunkach?

Dowódca rezerwistów w spiczastym helmie powiedział coś do Gullana. Po gorączkowej wymianie zdań sierżant postawił ultimatum:

--Uwolnij prezbitera, to porozmawiamy.

Devon poczuł lekkie dudnienie pod nogami. Przesunął Sypesa o cal do przodu. Do ziemi było sto stóp. Prezbyter nie zrobił nic, żeby się ratować. Stał bezwładny jak marionetka.

--Chcecie, żebym go uwolnił?! -- krzyknął Truciciel i szepnął do kapłana: -- Co o tym sądzisz? Mam cię wypuścić?

Z trzewi maszyny znowu dobiegł głuchy pomruk, tym razem głośniejszy. Sypes popatrzył z góry na armię, wyraźnie oszołomiony.

--Obudź się, starcze. -- Devon potrząsnął prezbyterem. -- Lepiej dla nas wszystkich, żebyś wyglądał na przytomnego.

Twarz kapłana stężała. Sypes spojrział na zwrócone ku górze twarze żołnierzy i zamrugał. Potem obrócił się, złapał oburącz koszulę Truciciela i pociągnął mocno.

Devon chciał się przytrzymać nadproża, ale jego kikut trafił w próżnię, a on zatoczył się do przodu, nadal trzymając Sypesa zdrową ręką. Świat pod nim zawirował.

Zamiast spaść prosto w żołnierską masę, rąbnął w kadłub tuż pod włazem i razem z prezbyterem zawisł na sutannie, która o coś zahaczyła. Objął ramieniem szyję kapłana i drugą ręką próbował się czegoś złapać. Sypes zaczął się dławić i krztusić.

Bataba i dwaj łucznicy chwycili jego sutannę i próbowali ich obu wciągnąć na pokład Zęba. Devon uderzył w kadłub, odbił się od niego. Przed oczami przesunęła mu się lśniąca stal, ogień i niebo. Szata zacisnęła się wokół szyi prezbitera. Starcowi oczy wyszły na wierzch, jego twarz zrobiła się czerwona, ale nadal ścisnął w garściach koszulę Truciciela.

Chwilę później Heshette wciągnęli ich do Zęba. Sypes osunął się bez sił na podłogę, rżąc ciężko. Gdy Devon wstał chwiejnie, trzy strzały trafiły go w pierś i powaliły jak cios młotem. Czwarta wbiła się w szyję w chwili, kiedy padał. Roztrzaskała mu szczękę, stalowy grot utkwił w podniebieniu, krew zalała usta.

Truciciel odtoczył się na bok, kiedy deszcz beltów i strzał zabębnił w ścianę. Łucznicy ukryci w korytarzu odpowiedzieli ogniem.

--Ghhh -- wycharczał Devon, leżąc na plecach na prezbiterze.

Czuł drzewce w szyi i jeszcze trzy w piersi. Powietrze bulgotało mu w płucach. Krzywiąc się, wyrwał strzałę z gardła i odrzucił ją na bok. Szczękę przeszył silny ból.

--Ghhh... -- Kolejno usunął resztę pocisków. -- Niech was ciemność! -- Splunął krwią i dźwignął się do pozycji siedzącej. -- Do diabła z tobą, Sypes. To... było... bolesne.

Prezbyter leżał bez ruchu. Żaden z pocisków go nie trafił.

--Lepiej, żebyś nie żył -- burknął Devon. -- To... było... bardzo...

Korytarz zadrżał, kiedy głęboko w Zębie ożyły silniki. Łucznicy wrzasnęli z radością. Odpowiedziało im dzikie wycie żołnierzy stojących na dole. Zagrały trąbki, przekazując rozkazy. Bębny zagrzmiały.

--Ruszamy! -- krzyknął Bataba.

Ząb zaczął pełznąć przed siebie, żłobiąc gąsienicami szeroką ścieżkę w szeregach wojska Deepgate. Dziki uśmiech rozlał się po zakrwawionej twarzy Devona. Truciciel poczuł, że eliksir odpowiada na potrzeby jego rannego ciała, dociera do płuc i serca, naprawia je, dodaje sił. Przez chwilę nawet wydawało mu się, że słyszy lament trzynastu dusz. Chwycił Sypesa za luźną skórę na karku i poderwał go na nogi.

--Słyszysz, starcze? Czujesz w swoich kruchych kościach, że to koniec. Ty sam do niego doprowadziłeś.

Głowa prezbitera kiwała się jak u pijaka.

--Żniwo śmierci to twoje dzieło, Sypes.

--Proszę -- wyszeptał kapłan. -- Aleksandrze...

Devon uderzył głową prezbitera w kadłub, raz, drugi, trzeci, aż fragmenty kości i mózgu pokryły grodz. Potem wyrzucił go przez właz.

--Lepiej, żeby tym razem ta cholerna naprawa się udała! -- ryknął. Bataba wytrzeszczył oczy.

--Czego? -- warknął Devon. -- Jedziemy. Tak czy nie?

--Żyje? To dobrze. Teraz możemy zabić go znowu. -- Bóg łańcuchów nadal się pieklił. Od czasu do czasu ścisnął nozdrza i z mieszaniną przerażenia i niedowierzania patrzył na zakrwawione palce.

Rachel nie mogła oderwać oczu od Dilla, który próbował wstać, ale opadł z powrotem na podłogę. Siedział drżący i masował rękę. Jego twarz była kredowobiała z jednej strony, czarna z drugiej, gdzie zebrała się krew. I już zaczęła się rozkładać. Od odoru robiło jej się niedobrze.

Dill sięgnął po miecz i zmarszczył brwi. Otwierał i zamykał usta, jakby próbował sobie przypomnieć nazwę tego przedmiotu. Czarny, spuchnięty język wysunął się spomiędzy warg.

--Słowo -- wymamrotał anioł. -- Mój.

--Dill? Żadnej reakcji.

--Dill!

Kiedy na nią spojrział, Rachel zobaczyła, że jego oczy są bezbarwne. Nie białe ze strachu, tylko zamglone, jakby zasnuwane bielmem.

--Dill, co pamiętasz?

Anioł objął się rękoma i spojrział na pustą strzykawkę wystającą z jego piersi. Wyrwał ją i upuścił na posadzkę. Potem rozpostarł skrzydła... i skrzywił się.

Carnival i Ulcis obserwowali go w napięciu: ona z wyrazem ogromnego zawodu na twarzy, on z narastającym gniewem. Dwaj porucznicy boga stali z wyciągniętymi mieczami przy wejściu do celi.

Dill szybko dochodził do siebie. Na oczach Rachel jego siniaki zbladły, brakujące pióra odrosły ze zdumiewającą szybkością. Spojrzenie z każdą chwilą stawało się bardziej przytomne. Anioł włożył palec do ust i odciągnął dolną wargę. Gdy go wyjął, była na nim krew.

Brakowało mu kilku zębów.

--Zimno -- wyszeptał.

Ulcis prychnął z pogardą i odwrócił się do wyjścia.

--Zamknijcie drzwi celi -- rozkazał. -- Niech ta wariatka ją pożre...

Gdy tylko szczęknęła krata, Carnival zarzuciła mu na szyję pętlę z łańcucha i szarpnęła z całej siły. Bóg rąbnął plecami na kamienie.

Anielica natychmiast do niego doskoczyła i mocniej zacisnęła łańcuch. Ulcis zaczął się dławić, a dwaj archonci stojący przy drzwiach rzucili się mu na pomoc. Ale kiedy bóg uniósł rękę, zatrzymali się niepewni.

--Chcę, żebyś zapamiętał ten ból -- wysyczała Carnival.

Zsiniała twarz boga wykrzywiła się z wściekłości. Próbował coś powiedzieć, lecz anielica zaciągnęła pętlę, tak że z jego gardła wydobył się tylko charkot.

--Odeślij ich. -- Zwolniła uścisk i pozwoliła Ulcisowi nabrać powietrza, a on próbował się uwolnić, bijąc ogromnymi skrzydłami o podłogę.

--Czego...? -- zaczął.

--Zamknij się! -- Carnival wykręciła pięść, w której trzymała łańcuch, i nachyliła się tak, że jej zęby znalazły się cal od szyi boga. -- Pozbądź się tych drani albo stracisz głowę. Zobaczymy, czy potrafisz wyhodować sobie nową.

Ulcis opadł na ziemię, uniósł ręce.

--Zaczekaj -- wysapał. -- Rebeko... Ogniwa wbily się mocniej w jego ciało.

--Mam na imię Carnival!

W kącikach ust boga pojawiły się bańki krwi, żyły na jego szyi nabrzmiały, oczy wyszły na wierzch.

Archontowie zrobili krok do przodu. Rachel przecięła mieczem powietrze tuż przed nimi.

--Ostatnia szansa -- ostrzegła Carnival. -- Chcesz przeżyć następny eon? Doczekać następnego dnia?

Tymczasem Dill w końcu dźwignął się z podłogi. Siniaki na jego twarzy prawie zniknęły, a oczy zmieniły kolor. Patrzył przez chwilę na Carnival bladym spojrzeniem, a potem odwrócił się do Rachel, lekko marszcząc czoło.

--Domowa kłótnia -- wyjaśniła krótko asasynka. Ulcis machnął ręką na archontów. Obaj się cofnęli.

--Do celi naprzeciwko -- warknęła Carnival.

Łańcuch był na tyle długi, że pozwolił Rachel zamknąć za nimi kratę kluczami pana Nettle.

--Teraz mnie puść -- wydyszał Ulcis.

Carnival uśmiechnęła się szeroko.

--Nie zostawię cię tak, tato. -- Chwyciła jego nadgarstek i przyciągnęła do ust. --

Dzisiaj jest Noc Blizn, zapomniałeś?

Wgryzła się głęboko.

Truciciel odepchnął luczników i ruszył w górę po schodach, mijając gońców, wojowników i rannych, pośród kakofonii dudniących bębnow, szczęku metalu, ryku silników i wrzasków.

Kiedy dotarł na mostek, był w nie najlepszym nastroju. Łypnął spode łba na doradców Heshette, zbył ich pytania machnięciem kikuta i opadł ciężko na krzesło przed

deską rozdzielczą. Wyjrzał przez popękane, osmalone okna.

Świt oświetlił pole bitwy, które wyglądało jak piekło. Garstka statków kościelnych przecinała niebo zasnuwane trującym dymem niczym zaognione, czerwone blizny. Wojska Deepgate rozstępowały się jak fale przed nieruchomymi tarczami maszyny, wpadały na siebie, uciekając przed pracującym naprzód Zębem. Grupki Spine wypuszczały belty w okna mostka. Dziesiątki żołnierzy znikwały pod wielkimi kołami. Niektórym udawało się podskoczyć do noży tnących i zawisnąć na nich. Wielu nie miało tyle szczęścia.

--Chciałeś ich skosić, to masz -- warknął Truciciel.

Bataba nic nie odpowiedział. Wycofał się w kąt mostka, z twarzą ściągniętą i spopieloną.

Devon pchnął dźwignię do przodu i ostre tarcze zaczęły się obracać. Wiszący na nich ludzie spadli na łyżkę albo zostali zmiażdżeni przez gaśienice. Kilku nadal się trzymało, ale kiedy noże przyspieszyły, polecili na kadłub albo w dół, prosto na ogarnięte paniką masy żołnierzy. Ząb jechał po nich bezlitośnie.

Truciciel skręcił w lewo, gdzie stała porzucona wieża obłącznicza. Obracające się noże pocięły drewnianą konstrukcję na drzazgi. Obsługa wyskoczyła z niej albo zginęła. Na piechotę, która znajdowała się w całkowitej rozsypce, opadła krwawa mgła. Devon zawrócił na południe, kierując maszynę na pasmo wzniesień otaczające przepaść. Żelazne ostrogi załamały się pod gaśienicami Zęba z głuchym trzaskiem. Przed nimi pojawiło się Deepgate.

Miasto wyglądało tak samo, jak w niezliczone poranki: zakurzone chaty z drewna i blachy w Lidze, lukowaty cień rzucany przez wschodnią skarpe, smog nad Sierpem i wystające z niego kominy, dźwigi i wieże do cumowania, skupiska czynszówek rozdzielone niekończącymi się krętymi zaułkami. I górująca nad tym wszystkim świątynia spowita mgłą. Wśród łańcuchów słabo migotały lampy gazowe. Czy ktoś zadał sobie trud ewakuacji miasta? Devon wątpił. Deepgate zawsze było miejscem śmierci.

Obracające się noże stanowiły zamazaną plamę, tarcze szumiały, wprawiając mostek w nerwowe wibracje. Nie odrywając oczu od miasta, Truciciel zwolnił i zatrzymał Ząb na skraju przepaści. Pociągnął do siebie krótką dźwignię.

Bataba zbliżył się do niego.

--Tego chcesz? -- zapytał Devon.

--Dla Ayen -- wyszeptał szaman.

Ramiona tnące wysunęły się do przodu. Gdy Truciciel przesunął inny drążek, wirujące ostrza obniżył się i z cichym wizgiem przecięły skupisko peryferyjnych ruder z drewna i blach. Chałupy rozpadły się jak domki z kart. Potem noże z metalicznym, przeraźliwym zgrzytem wgryzły się w łańcuch fundamentowy. W górę trysnął gejzer iskier i spadł na dachy Ligi znajdujące się dwieście jardów dalej.

Łańcuch fundamentowy pękł z ogłuszającym trzaskiem i zwisał między przekrzywionymi ulicami, a chwilę później Liga Sznurów runęła jak uschnięte drzewo. Mniejsze łańcuchy zerwały się pod dodatkowym obciążeniem, kable strzeliły w powietrze jak bicze, a na koniec sam wielki łańcuch wyrył ścieżkę przez miasto. Buchnęły płomienie, gdy przeciął rury z gazem. Pół tysiąca budynków przewróciło się i zsunęło w otchłań. W sercu Deepgate świątynia zatrzęsała się i pochylila.

--Człowiek albo bóg. -- Devon manewrował Zębem w stronę następnego łańcucha.

--Kimkolwiek jest Ulcis, to powinno zwrócić jego uwagę.

Po opuszczeniu celi Dilla przez jakiś czas podążali serią ciemnych korytarzy, zanim stanęli przed kościaną górą. Głód zniknął z oczu Carnival, i zamiast niego pojawił się wyraz, którego Rachel nigdy wcześniej nie widziała. Może nie spokój, ale coś do niego zbliżonego. Anielka była pokryta krwią, ale nie miała na ciele świeżych ran. Śmierć ojca najwyraźniej jej nie zasmuciła.

Nigdzie nie było śladu sieciarza. Rachel miała nadzieję, że wielkolud żyje i że jakoś udało mu się uciec z łańcuchowego pałacu.

Dill stał z boku i patrzył w milczeniu na miasto Deep. W kuźniach panowała cisza. Armia Ulcisa przestała wyrabiać broń i teraz, całkiem zdezorientowana, błąkała się bez celu po skalnych jaskiniach i korytarzach. W mroku migotały tysiące świec, rzucając długie cienie na stosy kości.

Gdy Rachel do niego podeszła, Dill odwrócił się, ale jego twarz nadal była obojętną maską. Asasynka uniosła lampę.

--Masz siłę latać?

Fizycznie wydawał się w porządku, lecz jego oczy miały nieobecny wyraz. Trzymał dłoń na rękojeści miecza.

--Gdzie jestem? -- zapytał.

--Pamiętasz cokolwiek?

--Coś. -- Przyjrzał się łączącemu Rachel i Carnival zakrwawionemu łańcuchowi, który leżał zwinięty między nimi. -- Dlaczego jesteście ze sobą skute?

--Taka tradycja. -- Asasynka wzruszyła ramionami. -- Wiesz, jak mam na imię? Milczenie.

--Rachel -- powiedziała. -- A to jest Carnival.

Jeśli Dill je rozpoznał, nie okazał tego. Anielka stała z przekrzywioną głową i patrzyła w górę. Nagle rozległ się świst i coś wielkiego uderzyło z potężnym lupnięciem w górę szczątków trzydzieści jardów od nich. Kości pofrunęły na wszystkie strony.

Rachel złapała Dilla za rękaw i wbiła wzrok w ciemność. W ręce ścisnęła miecz, choć nie pamiętała, jak go dobyła. W dół niczym wielkie liście spływały płaty blachy z pokrycia dachu.

--Czy to był dom? -- wykrztusiła asasynka. Carnival pokiwała głową.

--W drodze są kolejne. -- Wytarła krew z ust. -- Dużo więcej.

ROZDZIAŁ 32 DEEPGATE SPADA

Dill wzbił się w powietrze, niosąc Rachel, podczas gdy wokół nich z nieba spadało miasto.

Kamienie, belki i zaprawa leciały w dół jak deszcz. Całe domy śmigły obok nich, sypiąc dachówkami, i wybijały wielkie kratery w kruchych zboczach kościanej góry. Łańcuchy, kable, przęsła mostów linowych i pomosty roztrzaskiwały się na drobne kawałki wraz z całym fragmentami brukowanych ulic.

Większość tych rzeczy płonęła. Kłębowisko sznurów i drewna ciągnęło za sobą kłęby dymu i rozżarzone węgle. Snopy iskier odbijały się z sykiem od ścian otchłani.

Ich trójka przedzierała się w górę przez tę nawałnicę. Rachel trzymała nocno Dilla za ramiona, a Carnival osłaniała ich, na ile pozwalał łańcuch.

Dill patrzył na to wszystko z nabożnym lękiem. Na widok znajomych przedmiotów w jego głowie pojawiały się wspomnienia, niepowiązane obrazy, w których nie potrafił doszukać się żadnego sensu. Przypominał sobie kamienne korytarze, zniszczone schody, zakurzone witraże, zmierzch zapadający nad rozległą pustynią z różowym piaskiem.

Widział już wcześniej to miasto? Z innego punktu obserwacyjnego? Rozciągało się pod nim w wielkiej misie: zaułki i ogrody otoczone murami, skupiska dachów i kominów. Stał gdzieś wysoko, czuł na twarzy rzeźkie poranne powietrze. Słyszał donośny głos dzwonu. Kościół Ulcisa?

Łańcuch napiął się i szarpnął nogę Rachel, kiedy Carnival uskoczyła przed starą pustą cysterną. Jej bok prawie musnął skrzydło anielicy.

--Całe miasto się wali -- wyszczała Carnival.

--Ostrożnie -- powiedziała asasynka. -- Nie potrzebuję ozdoby z piór dyndającej mi na kostce.

Anielka coś odburknęła.

Gruz spadał coraz gęściej. Z wizgiem minęła ich kamienna wieża. W jej oknach nadal paliły się światła. Latarnie gazowe i dźwigary przemknęły obok nich jak włócznie. Zardzewiały most ciągnął za sobą łańcuchy i wirował jak ogromna zepsuta zabawka. W otchłań pędziły kolumny, luki, całe ściany z oknami albo dachy z nietkniętymi kominami. Koń, nadal zaprzężony do wozu, rżał i kopał w powietrzu, lecąc w dół jak kamień.

Oni z coraz większym trudem przebijali się ku światłu przez chmury pyłu i kurtyny wody. Żwir obsypywał głowę i plecy Dilla, wyciskał mu łzy z oczu. Rachel ukryła twarz na jego ramieniu, ale on patrzył w górę, czujny na wszelkie zagrożenia.

Uderzeń mniejszych obiektów niemal nie sposób było uniknąć. Odlamki szkła spadające lśnięcymi strugami rozrywały im ubrania i skórę. Połamane dachówki i kawałki drewna siekły ich jak ogromny grad. Dill wykręcał się, robił uniki, lawirował wśród tego potopu, starając się omijać największe zagrożenia. Carnival czuwała nad nimi z góry, połączona łańcuchem z asasynką.

Deepgate? Wraz z tą nazwą napłynęły inne wspomnienia. Łańcuchy fundamentowe. Kolonie. Ujrzał siebie wysoko na balkonie opasującym wieżę, przypomniał sobie celę pod dzwonnica. Podłogę z poobtlukiwanych kamiennych płyt. Światło słoneczne przeświecające przez szklanego anioła.

Jego dom? Wracal do domu.

--Ten kurz. -- Rachel zakaszlała. -- Nic przez niego nie widzę. Zostało tam jeszcze na

górze jakieś miasto?

Dill zmrużył oczy i spojrział przez chmury pyłu. Łańcuchy wisiały jak rozdarta sieć i przez dziurę wielkości jednej czwartej Deepgate mógł dojrzeć błękitne niebo. Jej brzegi lizaly płomienie. Nagle zaczęła się na nich zsuwać kolejna grupa budynków.

--Leć w drugą stronę! -- krzyknął do Carnival. -- Tam jest bezpieczniej. Te dzielnice już spadły. -- Potem szepnął do ucha Rachel: -- Zerwała się część łańcuchów fundamentowych. Wszystko wokół nich runęło w dół.

--Świątynia?

--Widzę ją. -- Kościół Ulcisa otaczało płonące halo.

--Usłyszeliśmy, jak leci -- burknęła Carnival. -- Tylu zawodzących kapłanów. Miasto zbliżało się powoli. Od czasu do czasu moczyły ich strugi wody, na chwilę oczyszczając powietrze z kurzu i dymu. Wydawało się, że lecą przez burzę. Dillowi zjeżyły się włoski na rękach i na karku.

Nagle usłyszeli huk i kilkaset jardów od nich przemknęła cała ulica z płonącymi domami. Za nią spadało stare kamienne drzewo o sękatych konarach zaplątanych w łańcuchy mlójące powietrze. Carnival odprowadziła je wzrokiem. W blasku ognia Dill dostrzegł na jej twarzy wyraz ponurej zadumy.

--Musimy się pospieszyć -- powiedziała. -- Archontowie Ulcisa już tu są.

--Ilu? -- zapytała cicho Rachel.

--Pięćdziesięciu albo więcej -- odparł Dill, zerknąwszy w otchłań. -- Szybko się zbliżają.

Zaczął z całej siły machać skrzydłami. Carnival jęknęła i popędziła za nimi. Rachel wyciągnęła zza pasa bambusową rurkę i otworzyła wieczko. Gdy ze środka buchnął odór stęchlizny i dobiegło dziwne drapanie, zamknęła ją pospiesznie.

--Powiedz mi, kiedy się zbliżą! -- krzyknęła. -- Nie widzę dobrze.

Wśród spadającego gruzu pojawili się ludzie. Obdarci mężczyźni, kobiety i dzieci lecieli głowami w dół, z furkotem ubrań. Otchłań wypełniły krzyki i wrzaski. Matka trzymała w objęciach niemowlę; jego płacz powoli cichł w oddali.

Archontowie byli tuż pod nimi. Wyciągali miecze. Omijali sypiące się z góry części miasta, zataczając koła jak wielkie szare jastrzębie.

--Są blisko? -- zapytała Rachel.

--Dostatecznie -- odparł Dill.

--Weź to. -- Podała mu rurkę. -- Otwórz ją i rzuć w twarz pierwszemu, który się do nas zbliży.

Objęła anioła nogami w pasie, odchyliła się i dobyła miecza. Dill przyjrzał się rurce.

--Co jest w środku?

--Pchloryjce.

Najbliższy z archontów ruszył do ataku, wydając wojenny okrzyk.

--Nad wami! -- wrzasnęła nagle Carnival.

Dill spojrział w górę w samą porę, żeby zrobić unik przed żelaznym szpikulcem wielkim jak świątynna iglica.

--Sierp! -- krzyknęła Rachel. -- Stocznia leci w dół.

Z loskotem przemknęły obok nich wieże do cumowania, pomosty i dźwigi, ogromne

kołowroty, bloki, zardzewiałe haki, pęki poczerńiałych kabli i łańcuchów. Żelazny komin buchający dymem rąbnął w dach magazynu z potężnym hukiem, który wstrząsnął ścianami przepaści.

--Nie możemy... -- Rachel krzyknęła z bólu, kiedy łańcuch przy jej kostce został gwałtownie pociągnięty do dołu.

To Carnival musiała uskoczyć przed ziejącym ogniem paleniskiem. Stracili sporo wysokości i nagle znaleźli się wśród prześladowców.

Archont o trupim uśmiechu złapał Dilla za kostkę. Wbił paznokcie głęboko w jego ciało. Rachel próbowała ciąć go w łokieć, ale napastnik wykonał bez trudu unik i z szyderczym grymasem na ustach uniósł miecz do ciosu.

Dill opróżnił bambusową rurkę prosto w jego twarz.

Ze środka wyleciały pchłoryjce z dźwiękiem podobnym do świergotu. Archont zawył, upuścił miecz i zaczął drapać pazurami twarz. Pchły już wgryzły się w ciało i przemieszczały pod szarą skórą. Pod głębokimi krwawymi zadrapaniami na policzkach i czole załśniła naga kość.

--Docierają do mózgu i tam się zagnieżdżają -- wyjaśniła Rachel. -- Nie umrze od razu, ale nie wiadomo, czy będzie umiał latać.

Drugi archont zaatakował Carnival od tyłu, celując mieczem między jej łopatki. Anielica okręciła się i uniosła łańcuch, żeby odparować cios. Stal szczęknęła o żelazo. Posypały się iskry.

Rachel krzyknęła ostrzegawczo.

Carnival błyskawicznie odfrunęła w bok, a między nią i napastnikiem przeleciał ceglany mur. Gdy mijaly ją okna, zadała przez nie pół tuzina ciosów szybkich jak błyskawica, rozbijając szyby. Kiedy ściana zniknęła, archont wisiał w powietrzu oszołomiony i bezzębny. Anielica kopnęła go w twarz, a on pokoziołkował w dół, charcząc.

Lecz zbliżali się kolejni, ponad czterdziestu. Młócili wielkimi skrzydłami powietrze, lawirując wśród gruzu. Gdy najbliższy skoczył na Rachel, Dill wyciągnął miecz. Czy kiedyś w ogóle potrafił go używać? Wydawał się taki nieporęczny w jego dłoni. Anioł rzucił pustą rurkę w archonta, ale nie trafił. Stwór uśmiechnął się triumfalnie i raptem zniknął, zmieciony przez ogromny hak. Za nim posypały się pióra.

--Jest ich za dużo! -- zawołała Rachel do Carnival. -- Trzymaj się blisko nas.

Łańcuch... Jeśli coś w niego uderzy...

Dill skrzyknął gwałtownie, kiedy omal nie zawadził ich róg palącego się budynku. Otoczeni przez dym, przez chwilę kręcili się po omacku w duszącym powietrzu.

--To był magazyn! -- krzyknęła asasynka.

Co oznaczało, że teraz spadały przemysłowe dzielnice kiedyś graniczące z Sierpem. Płonące fabryki, składy, odlewnie i młyny rozlatywały się z hukiem. Monstrualne łańcuchy pędziły w otchłań przez chmury kłębiącego się dymu i kurzu. Skupisko chat robotników uderzyło w dźwig i zmieniło się w kłębowisko sznurów, dykty i blach.

Bliznowaty archont w zardzewiałej półbroi zaatakował Carnival. Jego włócznia śmigła jak język węża. Anielka odparowała z szerokim uśmiechem kolejne ciosy napiętym łańcuchem, po każdym uderzając nim z rozmachem w twarz przeciwnika. Po trzech wymianach twarz atakującego zamieniła się w miążgę. Carnival złapała włócznię napastnika i kopnęła go w ramię. Wyrwawszy mu broń, wbiła ją głęboko między jego skrzydła.

Obok ucha Dilla świsnęła strzała.

--Łucznicy! -- rzucił ostrzegawczo, wskazując w stronę, z której nadleciał pocisk. Carnival pomknęła w tamtym kierunku.

--Zaczekaj! -- wrzasnęła Rachel.

W wirze walki anielica zapomniała o kajdanach i o łańcuchu. Zanim Dill zdążył zareagować, asasyńska uwolniła się z jego objęć.

Carnival krzyknęła, kiedy ciężar Rachel wytrącił ją z kursu i pociągnął kilkanaście sążni w dół.

Porucznicy Ulcisa zaatakowali jednocześnie.

Ci, którzy znajdowali się na wysokości Dilla, co najmniej dwunastu, zanurkowali ku Carnival. Kolejni nadlatywali z dołu w stronę Rachel, która kołysała się w powietrzu jak wahadło. Miecze, włócznie, kordy szable otoczyły ją zewsząd niczym kły.

--Spine, przydad się na coś! -- ryknęła Carnival.

Chwyciła za łańcuch tuż przy jej kostce i pociągnęła asasyńkę w górę, bijąc skrzydłami. Zaczęła kręcić się powoli, bujając nią pod sobą. Rachel oplotła łańcuch wolną nogą i wysunęła przed siebie miecz.

Carnival przyspieszyła obroty. Mięśnie jej karku napięły się z wysiłku.

--Szybciej! -- krzyknęła Rachel.

Skrzydła Carnival załopotwały mocniej. Asasyńska, ułożona poziomo, zaczęła wirować jak żywy pocisk, nabierając prędkości. Z góry Dill obserwował je obie bez tchu. Miecz Rachel wyciął trzy jasne kręgi w otaczającej ją ciemności, zanim trafił w

pierwszego z archontów Ulcisa. Szaroskóry nawet nie zdążył krzyknąć. Chmura krwi i piór poleciała za przepołowionym trupem w głąb otchłani.

Zaciskając zęby, Carnival wykorzystała rozpęd Rachel, żeby zwiększyć jej prędkość. Asasyńska wirowała coraz szybciej, napięte ogniwa śpiewały, miecz wyglądał jak stalowy pierścień.

Rachel rozplatała następnego anioła od barku po brzuch, odcięła skrzydło trzeciemu. Zataczała koła, a jej miecz kreślił krwawe łuki. I przez cały czas ze zdumiewającym refleksem parowała ciosy. Stal błyskała, dźwięczała, sypała iskrami.

Niestety, przeciwnicy też byli szybcy. Krążyli wokół niej, szukając sposobu przedarcia się przez wirujący łańcuch i miecz. Potężny anioł barwy kurzu rzucił włócznią i trafił asasyńkę w ramię. Kiedy krzyknęła, Carnival zakręciła nią nad głową z brutalną siłą. Rachel uderzyła w archonta, nadziała go na miecz i pofrunęła dalej.

Dill patrzył na to jak zaczarowany. Asasyńska obracała się na końcu łańcucha tak szybko, że jej sylwetka się zamazywała. Jakim cudem zachowywała przytomność? Iskry tworzyły wokół niej rozszalały wir, tryskająca krew układała się w kręgi. Aniołowie Ulcisa byli wszędzie, trzydziestu albo czterdziestu. Robili uniki, uskakiwali, krążyli. Parowali ciosy Spine, zadawali jej rany, zamierzali roznieść ją na strzępy.

A wokół nich waliło się miasto. Z góry leciały dymiące belki i żelazne krzyże. Łańcuchy, przypory, wieże i rusztowania. Kładki, schody, rynny i kominy. Domy buchały dymem, rozpadały się z hukiem wśród potopu szkła, bruku i dachówek.

Nagle zrobiło się ciemniej. Dill spojrzał w górę.

Niebo przesłoniła budowla wielkości sterowca wojennego, trzy piętra kamienia

powiązanego łańcuchami i wygięta żelazna płyta. Pędziła prosto na nich.

--Carnival! -- krzyknął anioł. Ona też zauważyła niebezpieczeństwo.

Uniosła Rachel jeszcze raz i złożyła skrzydła. Impet wyrzucił asasynkę poza krąg archontów i porwał za nią anielicę. Carnival wykonała ten manewr w ostatniej chwili. Wahadłowy dom spadł prosto na wojowników Ulcisa i wszyscy zniknęli w czeluści.

Miasto Deepgate wisiało nad nim niebezpiecznie przechylone, rozdarte od brzegu do osi. Budynki dyndały pod świątynią na kilkudziesięciu łańcuchach, omotane mniejszymi linami i kablami. W górze szalały pożary, zasnuwając dymem pół nieba, żar i sadza padały jak śnieg, ale przez chmury pyłu słabo przeświecało słońce.

Po aniołach Ulcisa nie został nawet ślad. Tak czy inaczej, wrócili w głąb otchłani.

Carnival czekała na niego, trzymając Rachel na rękach. Zakurzona skórzana zbroja dziewczyny była pocięta w niezliczonych miejscach, a spod niej przezierala czerwień ran. Głowa asasynki spoczywała na ramieniu anielicy, ramię z mieczem zwisało bezwładnie, klinga ociekała krwią.

Ale kiedy podmuch od skrzydeł Dilla owiał jej twarz, Rachel otworzyła oczy i uśmiechnęła się ze znużeniem.

--Jak się czujesz? -- zapytał.

--Kręci mi się w głowie -- wyszeptala.

Dill odwzajemnił uśmiech i pojrzał na Carnival. Kurz pokrywał jej twarz i ręce, zasłaniając blizny. Anielka też była wyczerpana, ale jej oczy wydawały się o ton jaśniejsze, niż zapamiętał. Przyszło mu do głowy, że jest ładna. Otworzył usta...

--Daruj sobie -- zgasila go Carnival.

Polecieli w górę ku światłu słonecznemu.

Dilla zalały wspomnienia z poprzedniego życia, jakby w jego umyśle otworzyła się śluza. Przypomnił sobie, jak stał przy wiatrowskazie i obracał się razem z nim pod ciemniejącym niebem. Przypomnił sobie, jak krążył po celi i starannie rozstawiał świece. Czyżby aż tak bał się ciemności?

Teraz nie mógł zrozumieć dlaczego.

Przypomnił sobie kapłanów w czarnych szatach, sunących przez mroczne zakamarki świątyni. Sklepiony korytarz, gdzie z wysokich kolumn spoglądały szkielety jego przodków. I prezbitera Sypesa, zręczliwego, ale łagodnego starca. Bat Borelocka. Perfumy adiunkta Crumba.

Gdzie oni teraz są?

Wszystko, co znalazł, zostało zniszczone. Jedna czwarta Deepgate spadła do otchłani. Łańcuchy, kable i sznury zwisały z krawędzi przepaści w miejscach, gdzie zsunęły się z nich budynki. Całe ulice kołysały się nad ziejącą czeluścią. Nagle rozległ się przeciągły grzmot i część Lilley runęła w dół. Ogień trawił okoliczne dzielnice, poczerniałe łańcuchy zasnuwał gęsty dym. Sama świątynia przechyliła się groźnie. Przypominała chudą postać w sutannie spoglądającą w dziurę pod nogami.

Na wschodnim skraju otchłani stała ogromna maszyna, jakiej Dill nigdy dotąd nie widział. Płonęła, a z kominów wieńczących kadłub, poznaczony żółtymi i czarnymi smugami, buchały kłęby dymu. Znajdujące się niżej długie przegubowe ramiona z obracającymi się tarczami

przecinały łańcuch fundamentowy, sypiąc iskrami na pół miasta. Armia Deepgate otaczała kolosa, pchając wieże oblężnicze i drabiny. Statki

wojenne atakowały go z góry wodospadami płonącej smoły i gradem beltów.

--Devon -- powiedziała Rachel.

Carnival przyjrzała się obrazowi zniszczenia.

--Drań ściał moje drzewo.

Chmury dymu wzbily się nad Deepgate i poniosły ich trójkę między flotę sterowców kościelnych. Na pokładach stali misjonarze i patrzyli w dół, ale statki nie ruszały do ataku na Ząb. Krążyły nad polem bitwy.

Rachel przeniosła wzrok z jednostek kościelnych na ulice miasta.

--Ci tchórze mogliby przynajmniej pomóc w ewakuacji. Nie robią zupełnie nic.

Mieszkańcy tłumnie uciekali z Deepgate. Zapelniali alejki wolno pełznącymi, niekończącymi się kolumnami. Wielu niosło ze sobą dobytek albo prowadziło osły wyladowane meblami, skrzyniami i beczkami. Tysiące dotarły już do obozu armijnego, w którym zdenerwowany porucznik wykrzykiwał rozkazy, zaganiając uciekinierów poza linie wojsk do miejsca, gdzie namioty wdarły się w głąb pustyni. Ale kolejne tysiące poruszały się w przeciwnym kierunku i gromadziły przy świątyni pośrodku zniszczonego miasta. Strumienie ludzi próbowały się mijać, aż w końcu całkiem zatarasowały ulice. Wszędzie dochodziło do bójek.

Czterej mocno zbudowani robotnicy zmierzający do świątyni torowali sobie drogę przez rodziny, które uciekały w drugą stronę. Żona płakała nad ciałem męża. Inne ofiary zatamowały ruch w następnej alejce, gdzie przerażony koń zaczął szaleć wśród tłumu.

--Ktoś powinien im powiedzieć, co jest na dole -- stwierdziła Rachel. -- Wtedy nie byłoby im tak spieszo do świątyni.

--Tylko by cię zmienawidzili -- rzuciła burkliwie Carnival.

Przelecieli nad zatłoczonymi uliczkami Kolonii i nad Ligą Sznurów, do której już dotarli pożary szalejące przy otchłani. Zatrzymali się nad maszyną wielkości góry.

W dole toczyła się zażarta bitwa. Saperzy atakowali gąsienice kolosa taranami i kopiami, ciągnęli belki ze zniszczonych wież oblężniczych. Piechota parła naprzód z uniesionymi tarczami, do drabin opartych o kadłub. Dziesiątki żołnierzy padały od strzał. W górę poleciały haki, ale większość zsunęła się po gładkiej powierzchni.

Diiri i jego dwie towarzyszkę wylądowali na dachu maszyny i zeszli schodami do wjazdu.

W środku napotkali silny opór, ale anielica z łatwością rozprawiła się z obrońcami, którzy stanęli jej na drodze. Łańcuch i miecz lśniły świeżą krwią, zanim dotarli na mostek.

Devon siedział zgarbiony nad osobliwą deską rozdzielczą, całkowicie skupiony na wydarzeniach rozgrywających się na zewnątrz. Z boku stał brodaty mężczyzna z pokrytą tatuażami twarzą. Kiedy ich zobaczył, jego jedyne oko rozszerzyło się z zaskoczenia. Mruknął coś ostrzegawczo do Truciciela.

--Wejdźcie, proszę -- powiedział Devon spokojnie, nie odrywając wzroku od bitwy.

--Zaraz się wami zajmę.

Pchnął jeszcze kilka dźwigni i odwrócił się do nieproszonych gości.

Dobiegający z zewnątrz zgrzyt metalu ucichł, przed oknami mostka uniosły się noże tnące.

--To jest Bataba. -- Truciciel wskazał na brodacza. -- Szaman i przywódca Heshette, których zabiliście po drodze. -- Popatrzył na czerwony miecz asasyunki. -- Próbowałem go ostrzec, kiedy was zobaczyliśmy. Zapewnienie wam eskorty oszczędziłoby nam bałaganu. -- Wzruszył ramionami. -- Teraz oczywiście jest zły i bez wątpienia obwinia mnie. -- Machnął lekceważąco ręką. -- W dniu, kiedy pada Deepgate, z nory wylaniają się anioł, pijawka i asasyunka. -- Powiódł po nich wzrokiem, zatrzymał go na łańcuchu łączącym Rachel i Carnival. -- Noc Blizn musiała być interesująca.

--Dlaczego to robisz? -- Rachel opuściła miecz. Drugą ręką ostrożnie zsunęła kapturek z zatrutego beltu, który trzymała za pasem.

Devon prychnął.

--Bo tego właśnie pragną. Popatrz. -- Wskazał kikutem za okno. -- Wierni zbierają się w świątyni. Im szybciej tnę łańcuch, tym bardziej gorliwi się stają.

--Połowa mieszkańców próbuje uciec.

--Jeśli im się uda, nie będę ich ścigał. Jestem rozsądny.

--Ulcis nie żyje -- oznajmiła Rachel. -- Jego archontowie nie żyją. Na dole nic nie zostało.

Devon uniósł brew.

--Macie na to jakieś dowody? -- Nie wyglądał na przekonanego. -- Grób?

--Wypiłam z niego krew -- odezwała się Carnival.

Truciciel zmarszczył brwi, objął podbródek dłonią. Przeniósł wzrok z Carnival na podłogę i z powrotem na anielicę. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

--Wypiłaś krew Ulcisa? -- W głosie Devona pobrzmiwał ton niepewności. -- Zabiłaś boga?

--Dałabym radę jeszcze jednemu.

Dill wyczuł krew w powietrzu, zapach przemocy, jakby woda wzbierała za tamą. W nim samym też zaczął narastać bunt. Czy jeszcze za mało krwi przelano? Za mało ludzi straciło życie? Miał dość tej hekatombi.

--Nie -- powiedział twardo. -- Żadnego więcej zabijania. -- Spojrzał na Carnival. --

Puść go. Niech wszyscy się rozejdą.

--Myślę, że już na to za późno -- stwierdził łagodnym tonem Devon.

--Wystarczy! -- warknął Bataba. Chwycił Truciciela za ramię, obrócił go do siebie. --

Miasto... wykończ je.

--Pod Deepgate nie ma nic oprócz kości, szamanie -- powiedziała Rachel.

--Kości! -- Devon się roześmiał. -- Co miałbym z nimi zrobić? -- Wbił wzrok w świeżo zagojone rany na piersi archonta. -- Anielskie wino. Znalazłeś je?

--Dill umarł -- wyjaśniła Rachel. -- Ja przywróciłam go do życia.

--Umarł?

--Niestety, zostawiłam na dole twoją rękę.

Dill był oszolomiony. Umarł? Jego wspomnienia zaczęły się klarować. Pamiętał walkę na górze kości i ostry ból w piersi, zanim stracił przytomność. Potem ocknął się w mrocznej celi. Czy było coś pomiędzy?

Coś...

Pustka, ciemność. Ale miał wrażenie, że w tym mroku, na razie poza jego zasięgiem, kryją się inne wspomnienia.

--Jak długo byłem martwy? -- zapytał.

--Kilka dni -- odparła Rachel. -- Może tydzień. Nie wiem.

--Co pamiętasz? -- zainteresował się Devon.

--Ciemność.

--Tylko tyle?

Dill próbował rozpędzić mgłę zaćmiewającą jego umysł. Było coś jeszcze. Sen o poruszających się cieniach. Migoczące światło? Głosy? Truciciel zmarszczył brwi.

--To niezbyt dobrze.

Tymczasem za jego plecami Bataba pochylił się nad tablicą sterowniczą i wyciągnął rękę do dźwigni.

--Żadne z was nie ma wiary! -- wykrzyknął.

Devon się odwrócił.

--Co? Nie... -- Chciał złapać szamana za rękaw, ale odruchowo sięgnął kikutem.

Bataba pchnął dźwignię do przodu.

Silniki zawyły.

Truciciel i szaman zaczęli się mocować nad deską rozdzielczą. Ząb szarpnął do przodu, przechylił się i zawisł nad przepaścią. Potem runął w dół.

ROZDZIAŁ 33 TRUJĄCA STRZAŁA

Rachel rozplaszczyła się na oknach mostka, w następnej chwili oderwała się od nich raptownie, gdy napiął się łańcuch przy kostce. Uderzyła w tylną ścianę pomieszczenia, aż zaparło jej dech.

Z zewnątrz dobiegł przeciągły jęk. Ząb zakolysał się i znieruchomiał do góry gąsienicami. Uwiązł w sieci ocalałych łańcuchów Deepgate. Przez popękane okna Rachel zobaczyła potężne ogniwa i smolistą czerń otchłani. Jeden z pierścieni był do połowy przecięty przez noże maszyny.

I powoli się rozciągał.

Carnival i Dill zostali ciśnięci w przeciwległe kąty mostka i teraz zbierali się z podłogi, oszłomieni. Szaman Heshette leżał między nimi bez ruchu. Devon zwisał z sufitu, trzymając się deski rozdzielczej.

Rachel usłyszała trzask kabli i Ząb osunął się o sążęń. Łańcuch fundamentowy jęknął, naruszone ogniwo jeszcze trochę się rozchyliło. Za oknami posypał się gruz.

Devon huśtał się nad nią, przeklinając, podczas gdy ona dźwignęła się na nogi i chwiejnie podeszła do okien, wołając do Carnival:

--Pomóż mi je wybić!

Carnival i Dill ruszyli w jej stronę, a tymczasem Rachel uderzyła rękojeścią miecza w osmaloną szybę. Kiedy szkło nie pękło, spróbowała ponownie, wkładając w cios wszystkie siły. Bez skutku.

--Z czego to jest zrobione, do diabła?! -- krzyknęła.

--Pozwól. -- Carnival wzięła od niej miecz i mocno uderzyła w okno. Wśród starych pojawiło się świeże pęknięcie, ale szyba nadal była cała.

--Nic z tego -- stwierdziła Rachel. -- Spróbujmy na korytarzu. Musimy znaleźć jakieś wyjście.

W tym momencie Ząb zadrzał. Mniejsze kable pękły ze świstem. Zazgrzytał metal i maszyna obniżyła się o kolejny sążęń.

--Nie ma czasu -- rzuciła Carnival. -- Zaraz runiemy.

Mięśnie jej rąk napięły się, kiedy wbiła rękojeść miecza w szybę. Potem jeszcze raz i jeszcze. Rysa się powiększyła. Warcząc z wściekłością, Carnival zaczęła uderzać w okno tak szybko, że trudno było śledzić wzrokiem jej ruchy. W końcu odsunęła się, dysząc ciężko.

--Pęka -- powiedziała asasynka.

--Nie dość szybko.

--Pozwólcie mi spróbować. -- Dill zbliżył się do Carnival ze swoim tępym mieczem w ręce.

--Odsuń się, idioto -- warknęła anielica.

Ale tym razem Dill ją zignorował. Oburącz uniósł ciężką broń nad głowę i opuścił ją, celując czubkiem w szybę. Rozległ się głośny brzęk, gdy okno eksplodowało na zewnątrz.

Carnival przez chwilę gapiała się na niego bez słowa.

--Wyskakuj! -- Rachel chwyciła Dilla za rozerwaną kolczugę i wypchnęła go z mostka. -- Teraz ty! -- krzyknęła do anielicy. -- Ruszaj się, zanim...

Dalsze słowa zagłuszył odgłos pękających łańcuchów. Ząb spadł tak nagle, że Rachel poleciała w górę, łokciem uderzyła o coś twardego, kolanem trafiła się w brodę. Pokój zawirował, asasynka została ciśnięta na ścianę, na sufit albo na podłogę... sama nie wiedziała.

Potem coś szarpnęło ją mocno za kostkę. Trzymając się framugi, Carnival ciągnęła łańcuch do siebie. Przez wybitą szybę wpadał ze świstem wiatr.

Rachel miała ochotę krzyknąć: „Wynoś się stąd. Zostaw mnie!”. Ale oczywiście Carnival nie zamierzała uciekać bez niej. Nadal były ze sobą połączone łańcuchem. Anielica chciała ratować przede wszystkim siebie.

Nagle Truciciel złapał Rachel za włosy i wciągnął ją do środka.

--Zostań ze mną, Spine.

Devon miał kikut zaklinowany w desce rozdzielczej. Zimne spojrzenie utkwił w Rachel. Asasynka sięgnęła po miecz, ale broni nie było. Podobnie jak bambusowej rurki. I wtedy przypomniała sobie o zatrutym belcie. Wyciągnęła go z przegródki przy pasie.

Truciciel uśmiechnął się szyderczo.

--Myślisz, że to zrobi na mnie wrażenie?

Rachel dźgnęła grotem za siebie, ale nie trafiła. Mostek uniósł się i opadł, asasynka odbiła się od tablicy sterowniczej, lecz Devon trzymał ją mocno.

--Puść mnie, ty...

W tym momencie Carnival pociągnęła za łańcuch. Przez jedno uderzenie serca asasynka była nieważka, potem z impetem uderzyła o framugę obok anielicy. Truciciel runął na plecy. Rachel poczuła ból w boku i jednocześnie usłyszała cichy okrzyk Devona.

Jeden koniec belta sterczał spomiędzy jej żeber, drugi przebił marynarkę Truciciela tuż pod sercem. Oboje krwawili, a dzieliło ich pięć cali drzewca.

Nie! Gdzie jest czubek? Zaraza? Który koniec?

Devon się skrzywił. Z jego ust przysnęły krople śliny. Zamierzył się pięścią na asasynkę, wkładając w cios całą siłę, ale kikut przeciął powietrze tuż przed jej nosem.

--Cholera! -- ryknął.

Tymczasem Carnival już zdążyła wyciągnąć ją przez okno.

Dill zanurkował za spadającą maszyną, z ciasno złożonymi skrzydłami, czubkiem miecza przebijając powietrze przed sobą. Przed nim na zmianę pojawiały się tarcze tnące, zakurzone gaśienice i osmalony kadłub. Ząb był wielki jak świątynia i obracał się, lecąc w przepaść. Anioł uciekł w bok przed ogromnym kominem i popędził dalej za kolosem.

Przed oczami mignęły mu okna mostka.

--Dill!

Nad nim raptem pojawiła się Carnival i zawołała:

--Mam ją!

Dill rozłożył skrzydła i zwolnił, a maszyna pokoziołkowała w ciemność. Anielica trzymała na rękach bezwładne ciało asasynki.

--Rachel? -- wykrztusił Dill, patrząc na krew ciekącą z rany w jej boku.

Asasynka nie poruszyła się ani nie otworzyła oczu, nie było też widać, czy oddycha.

--Rachel!

--Obóz rezerwistów -- rzuciła Carnival. -- Tam znajdziemy lekarza.

--Ale przecież jesteś do niej przykuta. Armia cię zabije.

Carnival nie odpowiedziała. Pofrunęła w niebo, machając skrzydłami, jakby biła w bębny wojenne. Dill podążył za nią.

Ząb drżał, trząsał się i wirował, spadając w otchłań jak kamień, ale Truciciel wiedział, że przeżyje upadek. Nawet jeśli będzie bolało, jeśli połamie sobie wszystkie kości, w końcu odzyska zdrowie i siły. Stał się kimś więcej niż człowiekiem, nie musiał się obawiać żadnych urazów. Anielskie wino aż w nim buzowało. Teraz wyraźnie słyszał dusze, wściekle i rozgorączkowane, a wszystkie miały jego głos. Stanowiły część jego. Uświadomił sobie, że zawsze tak było.

Znajdzie drogę na powierzchnię, nawet gdyby miało mu to zabrać setki lat. Nawet gdyby musiał wspinać się po ścianie otchłani z liną i hakiem.

A wtedy skończy to, co zaczął. Jeśli Ulcis nie żyje, reszta wiernych dołączy do niego w niebycie. On dopadnie Rachel Hael i każe jej cierpieć za swoje zbrodnie. I Carnival. Zamknie tę pijawkę w celi i będzie patrzył, jak dręczy ją głód. Ten upadek to zwykła niedogodność. On zniszczył całe miasto. Pokonał ich.

W pewnym momencie obracający się Ząb uderzył w ścianę przepaści z impetem, od którego roztrzaskały się pozostałe okna mostka. Powietrze wpadało ze świstem do środka, miotano Devonem, wyciskało mu lzy z oczu. Ale on nie puszczał framugi.

Już niedługo, na pewno. Otchłań nie może się ciągnąć bez końca.

Czuł zawroty głowy, mdłości, krew ciekła z rany w piersi. Truciciel ścisnął jej brzegi i patrzył, jak zaczyna się goić. Uśmiechnął się szeroko. Teraz śmiertelne obrażenia były zwykłymi zadrapaniami. Devon wiedział, że przez jakiś czas jest w stanie znieść każde cierpienie. Praca stanowiła sens jego życia. Teraz będzie miał na nią mnóstwo czasu. Pozostało mu jeszcze tyle do nauczenia się.

Nagle w jego piersi pojawiło się dziwne drżenie, jakby zaczynały puszczać mu nerwy.

Cał poniżej pierwszej otworzyła się druga rana i wyciekła z niej strużka krwi.

Dziwne. Truciciel przycisnął ją dłonią i poczuł, że zaczyna się goić. Tak lepiej. Chwilowa aberracja, nic więcej. Najwyraźniej belt był zatruty. Czym? Devon pogrzebał w pamięci. Zresztą to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że nowa ranka się zasklepiała. Ze wszystkimi będzie podobnie. Zacisnął zęby, szykując się na wstrząs, który mógł nastąpić w każdej chwili.

Raptem zaczęła potwornie go swędzieć górna połowa ciała, jakby roily się na niej wszy. Powstało pięć kolejnych ran: trzy na piersi, dwie na barku. Skóra popękała, płyny wsiąkły w koszulę. Truczna się rozprzestrzeniała. A może choroba? Devon zwilżył wargi i oszolomiony potrząsnął głową. Te nowe uszkodzenia też się zablizniały.

Ząb spadał w przepaść, z potężnym hukiem obijając się o ściany. Truciciel mocno trzymał się framugi, obłany potem. Wszystko go świerzbiło.

Teraz miał na sobie dziesiątki ran. Na piersi, plecach, ramionach, nogach, twarzy. Wiedział jednak, że wkrótce się zagoją. Tak jak inne.

Pan Nettle dołączył do pozostałych zmarłych na dnie otchłani. Naprawiona kula zagłębiała się w kości i gruz, kiedy wspinał się po zboczu. Szczątki miasta nadal spadały z góry, ale coraz rzadziej, więc może najgorsze minęło. Deepgate jaśniało nad nim pełne obietnic.

Ukradziono mu duszę Abigail... na razie. W pewnym sensie był zadowolony, że znalazła tymczasowe schronienie w świątynnym archoncie. Biedna dziewczyna lubiła anioły. Ale on znajdzie jej duszę, tak jak znalazł ciało. Odzyska córkę. Nie na darmo był sieciarzem. Potrafił

odszukać wszystko.

Martwi go ignorowali. Byli zbyt zajęci przesiewaniem ostatnich skarbów, wyciąganiem płacht blachy, połamanych mebli, łańcuchów i desek ze stosów kości i popiołu. Niektórzy klócili się albo bili o znaleziska, inni tylko szlochali albo unosili twarze ku Deepgate i modlili się. Ulcis nie żył, ale wielu znalazło sobie nowego boga. Miasto przecież dawało im wszystko.

Wysoko w górze krąg nieba wypełnił ogromny cień. Coś pędziło w dół, wprawiając w drżenie całą otchłań. Zbieracze również je wyczuli i zadarli głowy. Spadający obiekt stawał się coraz większy, aż całkiem przesłonił światło. Zmarli patrzyli na niego z nabożnym lękiem, unosząc ręce w poddańczym geście, w miarę jak gęstniała ciemność.

Pan Nettle pokuśtykał dalej w górę zbocza, wracając do swoich poszukiwań. Noga go bolała, kula grzęzła w rumowisko. Musiał znaleźć Abigail. Ona gdzieś tu była. Blisko. Sieciarz to wiedział, czuł w kościach.

EPILOG

Szli pod gwiazdami i zimnym księżycem, podążając szerokim szlakiem, który zostawił za sobą Ząb w drodze od Czarnego Tronu.

--Przykro mi -- powiedział Dill.

--Przestań wreszcie przepraszać, na litość boską -- obruszyła się Rachel. Jej oddech zmieniał się w parę. -- To ja powinnam błagać o wybaczenie. Miałam cię chronić, a pozwoliłam ci umrzeć.

Tamten czas nadal spowijał mrok, ale Dill czuł, że kiedyś odzyska wspomnienia.

--Na krótko -- zbagatelizował jej słowa.

W blasku gwiazd jego skrzydła rzucały cień na wydmy. Martwe Piaski ciągnęły się po horyzont, połyskując lekko jak stare, pofałdowane srebro.

--Myślisz, że Truciciel przeżył upadek? -- zapytał.

--Prawdopodobnie.

--A zaraza?

Rachel dotknęła obandażowanego zebra.

--To był stary belt. Nie wiadomo, czy trucizna jeszcze działała.

--A jeśli tak?

--Będzie na mnie wściekły. -- Skrzywiła się, przyciskając dłoń do boku.

--Dobrze się czujesz?

--Cholerny lekarz, wszystkie szwy są krzywe.

--Carnival. -- Dill spojrzał w górę, gdzie na tle gwiazd rysowała się sylwetka szybującej wysoko anielicy. -- W namiocie lekarza stała na długość łańcucha od ciebie. Nic dziwnego, że ręce mu się trzęsły.

--Kiedyś znowu nadejdzie Noc Blizn -- przypomniała asasynka.

Dill nic nie odpowiedział, tylko mocniej objął Rachel skrzydłem, żeby ją ogrzać.

--Dokąd pójdziemy? -- spytał. Rachel wzruszyła ramionami.

--Do nadrzecznych miast? Za morze?

--A jeśli ono nie ma końca? Jeśli się zmęczę? Nie umiem pływać.

--Nauczę cię.

--A jeśli nie potrafię się nauczyć? Asasynka westchnęła.

--Głowa do góry, Dill. Za bardzo się garbisz. Przez jakiś czas szli w milczeniu.

--Dill?

--Tak.

--Nie było cię tak długo. -- Rachel się zawahała. -- Kiedy leżałeś martwy. -- Spojrzała mu w oczy. -- Czy w ogóle coś pamiętasz?

Anioł zatrzymał się w pół kroku. Nagle wszystko sobie przypomniał.

--O co chodzi? -- zaniepokoiła się asasynka. -- Co zobaczyłeś?

--Iril...

Table of Contents

WYDAWNICTWO MAG WARSZAWA 2008

PROLOG

ROZDZIAŁ 1 DILL

ROZDZIAŁ 2 PAN NETTLE

ROZDZIAŁ 3 DILL I RACHEL

ROZDZIAŁ 4 PŁATNERZ

ROZDZIAŁ 6 WYSŁANIE

ROZDZIAŁ 7 SZCZĘŚCIE PANA NETTLE

ROZDZIAŁ 8 BITWA ZĘBA

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10 SEKRETNE MIEJSCE

ROZDZIAŁ 11 NOC BLIZN

ROZDZIAŁ 12 KUCHNIE TRUCIZN

ROZDZIAŁ 13 LIGA SZNURÓW

ROZDZIAŁ 14 DWAJ ASASYNI

ROZDZIAŁ 16 POLOWANIE

ROZDZIAŁ 17 ANIELSKIE WINO

ROZDZIAŁ 21 DILL I CARNIVAL

ROZDZIAŁ 23 OTCHŁAŃ

ROZDZIAŁ 24 NIEŁATWE SOJUSZE

ROZDZIAŁ 25 ZĄB

ROZDZIAŁ 26 ATAK

ROZDZIAŁ 28 ULCIS

ROZDZIAŁ 29 SIECIARZ

ROZDZIAŁ 31 NA KRAWĘDZI

ROZDZIAŁ 32 DEEPGATE SPADA

ROZDZIAŁ 33 TRUJĄCA STRZAŁA

EPILOG